

Autograph

JENNIFER
BLAKE

Autograph



JENNIFER BLAKE

© 1994 by Jennifer Blake

KRÓLEWSKA KREW

CZEŚĆ I

Rozdział 1

1820 rok

Wieczór u Madame Delacroix był udany.

Mimo przejmującego zimowego wichru, szalejącego wokół otoczonego galerią domu, *creme de la creme* St. Martinville przyjęła dostarczone przez posłańca zaproszenia. Przybrani w aksamity i brokaty, satyny i florenckie tafty, pakowali się do powozów i udawali do jej domu błotnistym traktem, wiodącym wzdlu szpaleru omszałych drzew.

Zdawała sobie sprawę, e magnelem, przyciągającym ich tutaj, nie były jej piękne oczy, lecz perspektywa nowości. Mimo e od momentu, kiedy to Francuzi i Francuzki zamieszkujący Luizjanę przerodzili się w obywateli Ameryki, minęło ponad trzydzieści lat i chocia tak długo ju trwali w podziwie dla republikańskiej Francji, ciągle jeszcze ywili skrywany podziw dla wszystkiego, co związane było z monarchią. Czy ich miasto jeszcze ciągle nie było znane jako La Petite Paris? A czy wielu z nich to nie arystokratyczni *emigres* lub ich potomkowie, którzy w popłochu uciekali przed terrorem? Wielu z nich pamiętało ponury stukot armatnich jaszczy i błyski ostrza Madame Guillotine.

Było pewne, e ksią ę, który ostatnio pojawił się w okolicy, pochodzi z jakiegoś kraju na Bałkanach, o którym mało kto słyszał. Ale zawsze to rodzina królewska. Było mało prawdopodobne, e pojawi się dzisiejszego wieczoru. Ale, *mon Dieu*, Madame Delacroix powinna dać znać przez posłańca, e taka ewentualność istniała. Na razie mo na było tańczyć, jeść i pić – Madame słynęła ze swych kolacji. Na pewno ktoś z obecnych zauwa yłby taką królewską osobistość, gdyby spacerowała po mieście, albo dowiedziałyby się od słu by, która znała czarnych niewolników z Petite Versailles - plantacji M'sieur de la Chaise, gdzie miał się zatrzymać.

Wesoło rozlegały się dźwięki skrzypiec, waltorni i fortepianu. Tańczono z o ywieniem.

Rozmowy, na które składały się głównie plotki i najnowsze wydarzenia w skoligaconych ze sobą rodzinach, zamieszkałych w okolicy, prowadzono półgłosem i z uwagą, by nikogo nie urazić.

Przez szerokie otwarcie drzwi, łączących *grandę salle* z *petite salle*, uzyskano długie, zawieszane jedwabnymi storami pomieszczenie. W obu jego końcach płonął wesoło ogień. W powietrzu unosił się delikatny zapach dymu, mieszaniny perfum, jakich u ywały kobiety, mocnej woni błyszczącego zielonego kolcowoju, którym udekorowano kominek i futryny drzwi. Błyszczała wyfroterowana podłoga. Odbijały się w niej zawieszzone pod sufitem świeczniki i kolorowe stroje pań.

Była jedna osoba, której nie udzielało się powszechne podniecenie. Angeline Fortin krą yła po parkiecie ze sztucznym uśmiechem na delikatnie wykrojonych ustach.

Blask świec odbijał się w jej rdzawo pobłyskujących włosach, opadających w swobodnych lokach a la Belle, w gładkiej skórze, wydobywał miedziane błyski z głębi szarozielonych tajemniczych oczu. Ubrana w nieskazitelnie białą, na grecką modłę skrojoną suknię, nie zwracała uwagi, jakie wrażenie wywierała na otoczeniu. Pragnęła, aby ten wieczór zakończył się jak najszybciej.

W opinii jej ciotki, Madame de Buys, takie zachowanie było niemądre. Nic nie mogło wyglądać dziwniej i wywołać więcej uwag niż ich nagłe zniknięcie. Poza tym, obecność na przyjęciu u Heleny Delacroix była dobrą okazją, by się dowiedzieć, o co idzie księciu, zanim on sam je odszuka. Dobrze jest znać zamiary wroga. Ciotka, oczywiście, miała rację. Nic w toczących się rozmowach i rozlegającym się wokoło śmiechu nie dawało powodu do niepokoju. A jednak Angeline nie potrafiła się rozluźnić.

- Jesteś dzisiaj jakaś milcząca, *ma chere*.

Z uśmiechem spojrzała na swego partnera. Był to syn gospodyni, poważy, ciemnowłosy młody człowiek, z ostro przyciętym wąsem nad wydatnymi wargami.

- Wiem. Wybacz, Andre. Ja... Trochę boli mnie głowa.

- To czemu wcześniej nie powiedziałaś? Przecie nie musimy ciągle tańczyć. Chętnie gdzieś z tobą siadę. Nie trzeba mnie wiecznie zabawiać.

Patrzył na nią ciepło i z z troskaniem, z rumieńcem na oliwkowej twarzy.

- Znam cię dobrze - odpowiedziała ostro. – Jesteś porywczy i rozkapryszony. Wiem, e odsiedzieć taniec byłoby dla ciebie okropnością.

- Gdybym był taki, nigdy byś ze mną nie zatańczyła.

Wiem, e to odpycha delikatne kobiety...

- To znaczy, e mało mnie znasz - rzuciła.

- Myślę, e znam cię dość dobrze. A przynajmniej powinienem. Obserwuję cię przecie od samej kołyski.

Nic na to nie odpowiedziała, więc ju bez uśmiechu mówił dalej.

- Czy twoja ciotka zamierza tego roku jechać na *saisone de visites* do Nowego Orleanu?

- Nie jestem pewna. Dotychczas nie rozpoczęła żadnych przygotowań.

- Byłoby nudno bez ciebie, chocia trzyma cię krótko. Jeśli ciebie tam nie będzie, ja te chyba zostanę na plantacji.

- Oczywiście - odrzekła. - Przecie musisz dopilnować swojej wschodzącej plantacji trzciny cukrowej.

- A tak. Trzcina cukrowa to uprawa przyszłości, wspomnisz moje słowa. Nie to, co indygo niszczone plagami rdzy i...

- Posłuchaj - przerwała mu nagle.

- Co takiego?

- To chyba odgłos koni w biegu.

- Kto mógłby przyjeść o tej porze? Ju niemal czas na taniec wieczoru.

Andre spojrział w okno: nie zobaczył nic prócz odbicia tańczących w świetle płomieni świec.

- Chyba mi się zdawało - powiedziała z ulgą.

Ale nie. W chwilę później z galerii dał się słyszeć odgłos kroków. Płomienie dwustu świec zachybotały w podmuchu od otwieranych drzwi. Kryształki wiszących kandelabrow zadzwieczyły zimno. Wszystkie głowy zwróciły się w tym kierunku. Młode kobiety wstrzymały oddech i stanęły w pół kroku kadryla.

Mężczyźni patrzyli po sobie z zastygłymi twarzami. Wdowy i stare panny w koronkowych czepcach usunęły się pod ściany i przerwały rozmowy. Zrobiła się cisza, w której szuranie nóg i przytłumione dźwięki muzyki wydawały się zbyt głośne.

Światło świecy padało na ramiona Angeline, gdy odwróciła się i w popłochu spojrzała na ciotkę.

Madame de Buys nie zwracała na nią uwagi. Dumna, czarnowłosa starsza pani siedziała sztywno, ściskając w ręku uchwyt delikatnego wachlarza z kości słoniowej. Wydatny nos i ostro zarysowana górna warga nadawały jej twarzy wyraz drwiny. W tym momencie wpatrywała się w stojącego w drzwiach mężczyznę.

Przy jego boku stanął, przybrany w liberię, kamerdyner Madame Delacroix i zaczął recytować:

- Rolfe, Książę Ruthenii, Wielki Książę Auchenstein, Hrabia Faaulken, Markiz de Villiot, Baron...

Książę uniósł dłoń w białej, irchowej rękawicy i uciął dalszą recytację tytułów. Gest był zupełnie prosty, ale wykonany z naturalną, zniewalającą siłą, wymuszającą natychmiastowe posłuszeństwo. Poruszał się, jak ktoś przyzwyczajony do wydawania rozkazów. Nosił bogato szamerowany mundur ze złotymi epoletami, z koalicyjką przewieszoną przez ramię i szeregiem błękitnych, obramowanych koronką baretek, biegnącym przez całą szerokość piersi.

Emaliowany, wysadzany drogimi kamieniami krzyż, zapewne jakiś order, wisiał na wysokości serca. Szabla z rękojeścią pokrytą rzucającymi snopy iskier diamentami zwisała wzdłuż lampasu u spodni. Wzrostu był więcej niż średniego.

Niby niedbale patrzył po sali, ale jego jasnoblękitne oczy, błyskające spoza ciężkich powiek, nie pomijały niczego.

Zza jego pleców wyszło pięciu wojskowych i ustawiło się z boku. Na czele stanął ołnierz o nieruchomej twarzy, z opaską na oku, o manierach Prusaka. Za nim stanął następny, barczysty, jak sam ksią ę, ale bardziej zwalisty. Nad ustami miał bliznę w kształcie półksię yca. Obok niego stanął szczupły, zadzier ysty osobnik z orlim nosem i czarnymi włosami. Za nim - para bliźniaków z kędziorami kasztanowych, opadających na czoło włosów, z identycznymi orzechowymi oczami, w identycznej pozie: z lewą ręką na rękojeści szabli i w rozkroku.

Ustawiali się jak zgrany oddział wojska, pobłyskując galonami i orderami. Ruchy mieli tak precyzyjne jak na paradzie. To był wspaniały widok: niewielki salon Madame Delacroix wyglądał jak wybieg, na którym pojawiło się stadko pawi.

Orkiestra przestała grać, a tańczący pozostali na miejscach. Madame, pani domu, w sukni z ró owego aksamitu z podkreśloną mocno talią, ruszyła w kierunku księcia z głębokim ukłonem.

- Serdecznie witam w tym domu. I w Luizjanie, Wasza Wysokość. Poczytuję to sobie za wielki zaszczyt. Gdybyśmy się spodziewali, gdybyśmy mogli sobie wyobrazić...

- Rozumiem, e mam przyjemność rozmawiać z panią tego domu - rzekł ksią ę. Ujął jej rękę i skłonił się nisko z czarującym uśmiechem na ustach.

- Tak, oczywiście, Wasza Wysokość.

- M'sieur de la Chaise, który był uprzejmy zapewnić moim ludziom i mnie kwaterę na czas naszego pobytu w tych okolicach, dał nam do zrozumienia, e nie miałaby nam pani bardzo za złe, gdybyśmy dziś tu zawitali. Lecz jeśli się mylił, jeśli w jakikolwiek sposób przeszkadzamy, proszę o słowo, a natychmiast odje d amy.

- Ale nie. Jesteśmy zachwyceni, e pan i pańscy przyjaciele zechcieli do nas wstąpić.

Słyszeliśmy, e jest pan gościem M'sieur de la Chaise, ale nie śmieliśmy nawet marzyć, e pan...

- Proszę przyjąć wyrazy mojej najgłębszej wdzięczności, Madame - powiedział z widoczną ulgą, pochylając złotowłosą głowę. - Twoim prawdziwym imieniem niech będzie Łaskawość.

Na czole Madame pojawiła się głęboka zmarszczka.

- Jak pan sobie yczy, Wasza Wysokość. Ale od urodzenia noszę imię Helene. A teraz, jeśli ksią ę pozwoli, chciałabym przedstawić mego mę a.

Rozbawienie, ciepłe i ywe, rozjaśniło twarz księcia; znikło jednak zaraz, gdy tylko zwrócił się do M'sieur Delacroix. Wymiana koniecznych w takich wypadkach grzeczności tylko w połowie zaprzętała jego uwagę. Z zaciekawieniem rozglądał się po sali.

Angeline tańcząc znalazła się obok ciotki. Gdy tylko jej partner się ukłonił i odszedł, zbli yła się do krzesła starszej pani.

- Ciociu Berthe - rzekła ściszym głosem - co mamy teraz robić?

- Nic - syknęła ciotka. - On w ten sposób nie może wiedzieć, a Claire tu jest. Szuka jedynie tropu.
- To ma zadziwiające szczęście, a doszedł tak blisko - odparła Angeline dość szorstko.
- Dotarł tu, bo wie, a St. Martinville jest miejscem urodzenia mojej Claire. Nic więcej.
- I przebył pół świata bez wielkiej nadziei.
- Nie bądź niegrzeczna. Nie cieszy mnie, gdy mówisz o mojej córce, a twojej bliskiej kuzynce, jak o lisie w potrzasku. Nie życzę sobie tego, słyszysz? I, na miłość *le bon Dieu* - uśmiechaj się.

On patrzy w tym kierunku.

Patrzył naprawdę. Rozbawienie znikło z jego twarzy, była stępsła i nieprzenikniona. Pod kruchą powłoką dobrych manier czuło się skrywaną siłę i nieugiętą wolę. Angeline stała zmroziła ona do szpiku kości. Nawet wzroku nie była w stanie odwrócić. Dopiero gdy księżna na prośbę gospodyni zaczęła przedstawiać swoich ludzi, odetchnęła z ulgą.

Angeline rzadko dawała się ponieść nerwom. Jednak przez życie dzisiejszego dnia, wcześniej - nie przespana noc, nie mówiąc już o humorach ciotki, wyczerpały jej siły. Nic nie układało się tak, jak powinno, od momentu kiedy dwie noce temu Claire wróciła do nich i opowiedziała, a obawia się o swoje życie i prosi o ukrycie. Claire - dziewczyna o rudych włosach i szmaragdowych oczach. Jakie wielkie nadzieje przed trzema laty wiązano z jej wyjazdem do Paryża. Przez rok mieszkała u dalszej kuzynki w celu nabrania koniecznej ogłady, a potem, w wieku siedemnastu lat, wkroczyła w wielki świat. Jak jej nieobecność przeżywała ciotka Berthe, z jakim przejęciem czytała jej listy z opisami bali, rautów, przyjęć, *bulet doux* i wiersze pisane na cześć jej brwi i bieli szyi. Jakie wysiłki podejmowano, by droga Claire mogła dostać nową suknię czy nowe wstążki do futrzanej mufki. Nic nie mogło się równać z radością Madame de Buys, jaką odczuwała, słuchając o hołdach, składanych jej córce przez następcę tronu jednego z małych, ale bogatych państw bałkańskich. Zaproszenie do odwiedzenia tego kraju zmusiło ciotkę do jeszcze większych oszczędności i to tylko dlatego, by dla Claire zamówić odpowiednią wyprawę, godną przyszłej narzeczonej księcia. Dotarła na miejsce szczęśliwie i wszystko pięknie opisała.

Niejednokrotnie można było podsłuchać, jak Madame szeptała nad robótkami: księżna na Claire, księżna na Claire...

Później pełne zachwyty listy były coraz rzadsze, coraz krótsze, a skończyły się zupełnie. Po długich tygodniach milczenia Claire potajemnie i z przerażeniem w oczach dotarła do domu.

Opowiedziała, a Maximilian Rutheński zginął zastrzelony, a ją równie usiłowano zastrzelić, by w ten sposób upozorować samobójstwo mordercy. Postrzelona, straciła przytomność.

Kiedy się ocknęła, spostrzegła, a leży obok martwego Maximiliana. W rozpaczliwym pośpiechu udało jej się uciec do Francji. Za sprzedane klejnoty, które otrzymała w prezencie od Maximiliana, dotarła do Le Havre. Stąd wyruszyła do domu, do Luizjany, w obawie, a jest śledzona przez złego ducha, brata Maximiliana, który teraz został prawowitym następcą tronu.

To on stał tutaj i kłaniał się Angeline.

- Moja droga - zawołała Helene Delacroix – nie uciekaj. Książę wyraził życzenie, by mu ciebie przedstawić.

Podczas prezentacji uśmiechał się kpiąco. Przyglądał się, trochę łagodnie i trochę bezczelnie, kasztanowym splotom włosów opadającym wzdłuż jej twarzy, delikatnym kształtom piersi rysującym się pod białą muslinową suknią, przewiazaną w pasie czerwoną wstęgą, którą Claire kiedyś wyrzuciła. Stał bez ruchu pod wrażeniem harmonii jej kształtów, jakby go zaczarowały jej drzące ręce w koronkowych rękawiczkach, spoczywające na biodrach.

- Zatańczy pani walca, mademoiselle? - spytał tonem, który ją przeraził.

Angeline szybko spojrzała w kierunku ciotki; ta przecząco pokręciła głową.

- Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość...

- Ale - zawołała pani domu - przecie przed chwilą widziałam, jak tańczyłaś z moim synem.

- Daj spokój, Helene - rzekła Madame de Buys. - Jeśli moja siostrzenica nie ma ochoty, nie zmuszaj jej.

- *La, ma chere*. Ze wszystkich znajdujących się tutaj dziewcząt ona jest ostatnią, za którą można by się wstydzić. I nie wypada odmawiać księciu. Jego życzenie powinno być rozkazem.

- Nie jesteśmy jego poddanymi - odparowała Madame de Buys.

- Ale on jest naszym gościem.

- To nie ma nic do rzeczy - przerwał książę patrząc z uśmiechem na Angeline. - Jeśli mademoiselle się boi, nie ma o czym mówić.

Gniewny rumieniec pojawił się na policzkach Angeline.

- Ale nie.

- W takim razie - podał jej ramię.

Orkiestra zaczęła grać.

Czy mogła zrobić inaczej, gdy uwaga wszystkich skupiła się na nich? Poza tym, czy jej upór nie wzbudziłby jego podejrzeń? Niepewnie stanęła obok niego. Pod rękawem, którego dotknęła ręką, wyczuła mięśnie i ścięgna. Szabla, zwisająca mu u boku na misternych rapciach, była czymś więcej niż tylko kosztowną zabawką.

Skoro tylko zaczęli tańczyć, od razu zauważyła, że potrafi tak utrzymywać kołyszącą się broń, by nie krępowała ruchów ani jego, ani jego partnerki. Tańczyli prawie sami. Niemal boleśnie odczuwała

jego utkwiony w nią wzrok. Nie pamiętała, by kiedykolwiek tak intensywnie odczuwała dotyk męskiej dłoni na plecach, ocieranie ud w tańcu, bliskość partnera.

- Angeline - odezwał się stłumionym głosem, jakby językiem badał dźwięk sylab. - To imię pasuje do twojej dzisiejszej postawy przestraszonej i skrzywdzonej niewinności. Ale w moim kraju raczej znano cię pod imieniem Claire.

Zesztywniała. Podniosła powieki, by spojrzeć mu w oczy.

- Przepraszam, co takiego?

- Moje uznanie. Dobrze to zagrałaś. Ale nie mam czasu ani ochoty na owijanie spraw w bawełnę.

Muszę z tobą porozmawiać.

- Sądzę, Wasza Wysokość, e się pan myli - powiedziała.

- Nie jestem...

- Myślisz, e cię nie poznaję? - przerwał jej w pół słowa. - Nigdy wprawdzie nie zostaliśmy sobie przedstawieni, ale widywałem cię w towarzystwie mego brata, jak jeździłaś z nim na spacer, siedziałaś z nim w teatrze. I to wiele razy.

- Wydaje mi się, e mówi pan o mojej kuzynce Claire, Wasza Wysokość. Mawiano mi, e trochę ją przypominam, ale zapewniam pana, e ja jestem Angeline Fortin.

Jak mogła nie przewidzieć takiej mo liwości? Ona i Claire były w tym samym wieku i jako dzieci były czasem uważane za bliźniaczki. Angeline zamieszkała z ciotką, oną brata matki, gdy zaraza zabrała jej oboje rodziców. Kiedy podrosła, rysy Claire stały się bardziej wyraziste, a zachowanie bardziej swobodne. Niektórzy mówili, e Angeline jest lustrzanym odbiciem Claire, oglądanym w słabo oświetlonym pomieszczeniu, z włosami o stonowanych barwach jesieni i mrocznych zielonych oczach w gęstym obramowaniu czarnych rzęs. W czasie wieloletniej nieobecności kuzynki zaprzestano tych porównań i Angeline uznała za rzecz oczywistą, e z wiekiem stawały się coraz mniej do siebie podobne. Gdy ją teraz zobaczyła, uznała, e tak naprawdę jest.

Ścisnął jej rękę tak, e szwy rękawiczek wpiły się jej w palce.

- Cierpliwość nie jest moją mocną stroną. Nie obchodzi mnie to, jak będziesz teraz siebie nazywała.

Muszę się dowiedzieć wszystkiego, co wiesz o śmierci mojego brata. A przysięgam na groby swoich przodków, e nic mnie przed tym nie powstrzyma.

Od nacisku, z jakim mówił, od rytmu i doboru słów, ciarki przeszły jej po plecach i w tym momencie zaczęła współczuć Claire.

- Przykro mi, e pański brat nie żyje. Ale ja nie mam z tym nic wspólnego.

Zanim odpowiedział, przez chwilę twarz zmieniła mu się w elazną maskę, a oczy zabłyśły złowrogo.

Przyciągnął ją do siebie, bliżej, niż pozwalała na to przyzwoitość. Wargami dotykał jej czoła.

Mrowie ją przeszło, kiedy usłyszała:

- Czy zdajesz sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakim się znajdujesz? Nie jestem Maximilianem, mięczakiem i chodzącą ogładą. Chodzę własnymi drogami, które w opinii niektórych mogą wieść na potępienie. Ale zapewniam cię, że pociągnę cię za sobą, nawet nagą i pozbawioną czci, jeśli to tylko będzie konieczne do osiągnięcia mojego celu.

Dyszając cię ko, Angeline próbowała odsunąć się od niego, ale trzymał ją w elaznym uścisku.

Spojrzała mu w twarz i ze zdziwieniem stwierdziła, że się do niej śmieje. Zaczęła pracować jej pamięć i nagle przypomniała sobie list, jaki Claire napisała kilka miesięcy temu. Sądząc, że kiedyś zostanie oną Maximilianą, zainteresowała się jego rodziną, a także krajem, w którym przyjdzie jej żyć, dzieląc jego radości i kłopoty. Wtedy to wyszło na jaw skandaliczne prowadzenie się jego brata, członka rodziny królewskiej, który zadawał się z kobietami lekkich obyczajów, ze złodziejami i oszustami, wielokrotnie się pojedykował i rzadko chodził trzeźwy.

Jego włości po całej Europie do rozpacz doprowadzały brata i wywoływały wybuchy furii u ojca. Był jedynie przyjemnością bieżącej chwili i nic dziwnego, że uznano go za zakałę rodziny i kraju. Z drugiej jednak strony, czy to siłą swej osobowości, czy to zuchwałością graniczącą z pogardą dla wszelkich niebezpieczeństw, czy wreszcie ze skłonnością do posługiwania się poetyckim językiem, zdobywał sobie uległość otoczenia, a nawet miłość rodaków. Witano go radośnie wszędzie, gdziekolwiek się pojawił. Nazywano go Złotym Wilkiem, od znamion, które miał na ramionach, a które podobno miały coś wspólnego z jego rosyjskim dziadkiem, a przynajmniej Claire tak myślała. Tym, co Claire o nim wiedziała, w żadnym sposób nie zasługiwał

na uczucia, jakimi go darzono. Najbardziej jednak irytujące było to, że księżę Rolfe cieszył się większą popularnością niż Maximilian, a nawet sam król.

Parkiet wokół nich zapełniał się. Kilku towarzyszy księcia przekonało matki pańienek, by pozwoliły im zatańczyć. Angeline poczuła się osaczona przez białe mundury. Utworzyli mur pomiędzy nią i resztą gości, zasłonę, przez którą nikt nie mógł dokładnie dostrzec, jak była w tej chwili traktowana. Poszukiwała wzrokiem ciotki. Madame de Buys, ze zmarszczonym czołem i wyrazem niezadowolenia na twarzy, siedziała nieporuszona. W tym momencie plecy kogoś z tańczących przesłoniły jej widok.

Angeline oddychała cię ko. W jej oczach pojawiły się groźne błyski.

- Ju panu powiedziałam, że nic nie wiem. To, że mi pan nie wierzy, nie daje panu prawa do tak pospolitych gróźb.

- To nie groźby. To obietnica.

- Której tu, w miejscu publicznym, w prywatnym domu, nie może pan spełnić.

- Twój błąd - powiedział cicho - jeśli w to wierzysz.

Był tak pewny siebie i swej przewagi nad otoczeniem, e miała ochotę go wyśmiać. On natomiast, na pół z bezczelnością, na pół z zachwytem, obserwował jej podnoszące się i opadające piersi i krwisty rumieniec zakwitający na policzkach.

- Teraz, skoro doszliśmy ju do porozumienia, mo e zechcesz mi dokładnie opowiedzieć, jak zginął mój brat.

- Nic panu nie mogę powiedzieć, bo nic nie wiem. Jak mam pana przekonać, e tam nigdy nie byłam?

- Widziano cię, jak opuszczałaś dom o drugiej nad ranem, kilka godzin po tym, jak zastrzelono mego brata. W pościeli znaleziono damską koszulę nocną, którą słu ąca rozpoznała jako twoją.

Więc byłaś tam. Angeline pomyliła krok i straciła równowagę. Omal się nie przewróciła, ale podtrzymał ją, obejmując w pasie i przyciskając do piersi. Poczowała, jak guziki i ordery wpijają się w jej ciało. Odsunęła się w popłochu i zamknęła oczy, by ukryć zmieszanie.

- To jakaś potworna pomyłka.

- Zgadza się. I to Maximilian ją popełnił, pozwalając ci wrócić jeszcze na tę jedną noc, po spłaceniu wszystkich zobowiązań. Chocia muszę przyznać, e po bli szym poznaniu ciebie mogę łatwiej zrozumieć jego brak zdecydowania.

Nie miała adnej wątpliwości co do znaczenia tych słów: Claire była kochanką Maximiliana.

Angeline wolałaby w to nie wierzyć, ale wszystko układało się w logiczną całość. To by tłumaczyło nagłą powściągliwość w korespondencji Claire, brak zainteresowania losem Ruthenii, oznaki cynizmu, jakie zauwa yła w niej podczas tych dwóch ostatnich dni, a tak e ukradkowe spojrzenia, jakie kuzynka wymieniała z ciotką.

- Zaskakujące, co? Zwłaszcza e się wydało.

- Jestem zaskoczona - odparła. - Ale zaskoczona dlatego, e powiedział mi pan o Claire coś, czego do tej pory nie wiedziałam.

- Zrobione - powiedział z lodowatym wyrazem twarzy i cedząc przez zęby poszczególne słowa. -

Będiesz współpracowała albo...

- Pod ka dym względem - zgodziła się zaskakując go swoją gniewną gotowością. - Pogadamy o tym, kto mógł chcieć śmierci pańskiego brata. Rozwa ymy, Wasza Królewska Mość, kto mógł

najwięcej skorzystać na tej śmierci. Kto i co mógł zdobyć - bogactwo, zaszczyty, wysoki urząd?

Mówiła podniesionym głosem. Kątem oka widziała jednego z jego ludzi, tego z blizną na twarzy, jak

ze zdziwieniem patrzył raz na nią, raz na księcia. Zmiana, jaka dokonała się w tańczącym męczyźnie, była niezauważalna, ale wyczuła ją i przejął ją strach.

- Myślę, że spotkanie sam na sam będzie lepsze - powiedział przeciągając słowa.

- To panu nic nie da, nawet gdybym się zgodziła. A nie zgadzam się.

Drgnęły mu mięśnie twarzy, a w oczach pojawił się złowrogi błysk.

- Nie wolno panu... Nie może pan...

- Nie? Nie ma tak podłych czy nieuczciwych sposobów, których bym się nie chwycił, by wykryć zabójcę mego brata, udowodnić, że nie popełnił samobójstwa, a tak jest - oczyścić się w oczach ojca i narodu z zarzutów, które teraz tak jest tak sprytnie mi stawiasz.

Orkiestra powoli milkła i taniec miał się ku końcowi.

Ponieważ już się nie wrywała, zwolnił uścisk i pozwolił jej odsunąć się na właściwą odległość.

Mimo to wyczuwała, że jest napięty jak zgięta w pół hartowana klinga. To napięcie udzielało się tak i jej, widoczne w drżeniu palców, które ciągle jeszcze trzymał w swojej dłoni. Nie wiedziała, co on zrobi, kiedy orkiestra przestanie grać, i nawet nie próbowała się tego domyślać.

Razem z ostatnim dźwiękiem melodii wysunęła się z jego objęcia i próbowała umknąć.

Poskoczył za nią, chwycił ją za rękę z taką siłą, że stanęła w miejscu. Wargi jej zbieleły. Patrzyła w jego twarz jak zahipnotyzowana.

- Nie musisz tak uciekać - rzekł cicho.

- Muszę wracać do ciotki. Ona... wszyscy będą się dziwić, gdy tego nie zrobię.

- Niech sobie myślą, co chcą - odparł.

Ktoś stanął u jej boku: to Andre kłaniając się, spoglądał to na niego, to na nią.

- Czy coś się stało?

- To... to ja objaśniam księciu wymogi etykiety, jakie na tej prowincji obowiązują - odpowiedziała.

Rolfe opuścił ramię tak, że dłoń, którą trzymał, skryła się w fałdach jej sukni.

- Myślę, że te wymogi są wszędzie takie same - z tonu, jakim Andre to powiedział, jasno wynikało, i się domyśla, że coś między nimi nie jest w porządku. - I chcę ci przypomnieć, Angeline, że następny taniec, taniec wieczoru obiecałaś mnie.

- Oczywiście - odrzekła, zmuszając się do uśmiechu; wolną ręką dotknęła ramienia Andre. - Tego nie musiałeś mi przypominać.

Książę mógł ją albo dalej zatrzymać, zdradzając w ten sposób swe mało szlachetne zamiary, albo pozwolić jej odejść. Zdecydował się natychmiast: puścił jej dłoń i cofnął się o krok.

Angeline poczuła się taka słaba, że nie miała odwagi ruszyć się z miejsca. Ledwo zdobyła się na nikły uśmiech.

- Madame Delacroix ma córkę, która pięknie śpiewa. Myślę, że podczas kolacji będzie nas zabawiać. Zostanie pan?

- Nie. Nie sądzę. Ju i tak narzucaliśmy się za długo.

Skinął głową Andre, obrócił się na pięcie i odszedł.

Jego gwardia stanęła na baczność. Tancerze schodzący z parkietu, rozdzieleni niby cięciem szabli, utworzyli szpaler. Kamerdyner podbiegł otworzyć drzwi. Drużyna księcia skierowała się do wyjścia.

- Angeline - zawołała Madame Delacroix podchodząc - co mu powiedziałaś, że tak pośpiesznie nas opuścił?

Angeline spojrzała w stronę, gdzie w milczeniu siedziała jej ciotka.

- Tak naprawdę powiedziałam mu bardzo niewiele.

Przez pozostałą część wieczoru wystawiona była na ciężką próbę. Podczas kolacji otoczyły ją dziewczęta z podziwem szczebioczące o książęcym wyróżnieniu, domagające się powtórzenia wszystkiego, co do niej mówił i co ona odpowiadała, z uznaniem mówiące o tym, jak pomyślnie to wszystko przetrwała. Niejednokrotnie wracały do pytania, które zadała jej pani domu, a mianowicie, dlaczego książę, pomijając miejscowych notabli o znakomitych rodowodach, poprosił, by mu przedstawić właśnie ją, i dlaczego, nie rozmawiając już z nikim, zaraz po skończonym tańcu opuścił dom.

Angeline odpowiadała mu liwie najdokładniej, ale starannie unikała wszystkiego, co mogłoby świadczyć o tym, że Claire wróciła do domu.

Wśród spojrzeń z mieszaniną podziwu i podejrzliwości, wzdychania dziewczyn, które poprosili do tańca ludzie księcia, pytań Andre o ból głowy, który wcześniej udawała, zauważyła, że ciotka Berthe szuka się do opuszczenia towarzystwa. Ona też tego pragnęła.

Na tym się jednak wypytywanie nie zakończyło.

Podczas jazdy do domu Madame de Buys domagała się powtórzenia, słowo w słowo, wszystkiego, co mówił książę i co ona mu odpowiadała. Skarciła Angeline za to, że nie była dość zalotna; gdyby się bardziej postarała, mogła oczarować księcia i przekonać go do siebie, a przez to skuteczniej chronić kuzynkę. Swymi cierpkimi odpowiedziami z całą pewnością nie odwróciła od niej jego uwagi,

wprost przeciwnie - mogła go utwierdzić w przekonaniu, e kłamie. Powinna była odmówić tańca, jak jej poleciła. To było grube nieposłuszeństwo, którego tak szybko jej nie wybaczy.

Groźby księcia Madame de Buys lekcewa yła.

Co mógł zrobić? Siłą wdrzeć się do domu? Ludzie z jego pozycją nie mogą posuwać się do tak barbarzyńskich metod. A nawet, gdyby się posunął tak daleko - jest jeszcze słu ba, która potrafi mu w tym przeszkodzić.

e mo e ją porwać skądinąd? Na to był prosty sposób: jak długo ksią ę będzie w okolicy, nie wolno jej wychodzić z domu bez opieki. A póki co, skoro Claire musiała pozostawać w zamknięciu w domu matki, musi być ktoś, kto pomo e jej znieść samotność.

Angeline, wchodząc za ciotką do domu, uśmiechała się ponuro: słu ący, który je witał, miałby je obronić przed napastnikami? Ten siwy, stetryczały staruszek mógł je najwy ej osłaniać przed niechcianymi gośćmi - nic więcej.

Kiedy Angeline otworzyła drzwi swojej sypialni, Claire rzuciła robótki i podniosła się ze stojącego przed kominkiem fotela.

- No - rzekła lekko łamiącym się głosem – najwy szy czas. Ju myślałam, e będziesz tańczyć całą noc.

Angeline zamknęła za sobą drzwi i odwróciła się do dziewczyny.

- Co ty tu robisz? Przecie miałaś nie ruszać się z pokoju ciotki Berthe, gdzie jej słu ąca miała się tobą opiekować.

- Z Marią nawet nie mo na pogadać, a gapienie się na *toile de Jouy* na ścianach, nawet jeśli przedstawia święto Bachusa, te po jakimś czasie mo e obrzydnać. Krótko mówiąc - poczułam atak *ennui*.

- I to po dwóch zaledwie dniach?

- Jestem przyzwyczajona do bardziej ruchliwego ycia - rzekła, napinając smukłą, ponętą figurę w zielonej atłasowej sukni.

- Tak właśnie zauwa yłam. Jeśli to, co wydarzyło się dzisiejszego wieczoru, jest przykładem takiego ruchliwego ycia, jakie prowadziłaś z tym twoim księciem, to... dziękuję bardzo.

Claire wyprostowała się nagle.

- Co masz na myśli? Chyba nie... nie Rolfe? On tu nie mógł dotrzeć!

- Nie mógł? - rzekła z ironią w głosie Angeline.

Odwróciła się od Claire, zdjęła z ramion płaszcz i rzuciła go na łó ko.

- *Mon Dieu*. To straszne, kiedy pomyślę, e był cały czas tak blisko mnie - wzdrygnęła się. -

Mogłam się domyślać, e ruszy za mną w drogę, ale eby a tak się wysilać? Nie kochali się ani nawet lubili z Maxem. Teraz on jest pierwszym pretendentem do tronu.

- Bez względu na to, czym się kierował, faktem jest, e jest tu. Współczuję ci.

- Współczujesz mi? - spytała Claire zdziwiona.

- Tak. Dzisiejszego wieczoru pomylił mnie z tobą.

Claire milczała przez chwilę, potem wybuchnęła śmiechem.

- To nie było zabawne! - zawołała Angeline.

- Wierzę, e nie - zgodziła się Claire. - Wybacz.

Był niemiły? Pewnie tak. Zwłaszcza jak się zorientował w swojej pomyłce.

Angeline spojrzała na nią ze złością.

- Nie przyjął jej do wiadomości. Wściekał się, kiedy chciałam mu to uświadomić.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju wpadła Madame de Buys. Za nią weszła Maria, chuda Francuzka, w czerni, w nieokreślonym wieku, o manierach monarchini.

- Więc tu jesteś, *chere!* - zawołała Madame, a jej lodowaty wzrok złagodniał natychmiast, gdy tylko zobaczyła córkę. - Przestraszyłam się, gdy zauważyłam, e wyszłaś. Myślę, e Angeline ju ci opowiedziała, co się dzisiaj wydarzyło.

- Śmieszne, prawda?

- Te tak myślę. Ale sama nigdy nie potrafiłam się dopatrzeć takiego podobieństwa między wami.

- Pytanie tylko, czy to mo e nam być pomocne.

Madame de Buys nawet nie udawała, e opacznie rozumie córkę.

- Jak? Nie widzę sposobu, by mogło być.

- W tej chwili ja te nie. Myślę, e szybko odkryje oszustwo, jeśli choć przez chwilę miał mo liwość porozmawiać z nią.

Angeline przysłuchiwała się tej rozmowie z narastającym oburzeniem, a w pewnym momencie im przerwała.

- Jeśli myślicie, e mam zamiar podawać mu się za ciebie, Claire,- to się mylicie. Taką maskaradą nic

się nie osiągnie.

- Ja się nie chcę spotkać ani z nim, ani z jego wybuchami gniewu! - zawołała Claire.

- A ja mam to zrobić? Dziękuję bardzo.

- Tobie, Angeline, będzie znacznie łatwiej pozorować nieznajomość wypadków, jakie miały miejsce w Ruthenii. Ty zawsze potrafiłaś panować nad sobą, bez względu na okoliczności.

Angeline zignorowała wątpliwy komplement.

- Udawanie nieznajomości rzeczy nie byłoby dla mnie adnym problemem. Przecie jak dotąd nic mi na ten temat nie powiedziałaś.

- A co chciałabyś wiedzieć?

- Du o ró nych rzeczy - powiedziała Angeline, patrząc Claire prosto w oczy. - Na początek: czemu nikt nie powiedział mi nic o tym, e tamtej nocy byłaś sama z księciem. Albo: kto mógłby usiłować cię zastrzelić?

Claire rzuciła niepewne spojrzenie na matkę.

- Nie widziałam potrzeby wdawania się w podejrzone szczegóły. Nawet nie wiem... nie jestem pewna, czy wszystko dobrze pamiętam. Prze yłam szok, widząc Maxa umierającego na moich oczach. Pomyślałam, e sama jestem śmiertelnie ranna i zemdlałam. Na szczęście była to tylko niewielka rana.

- Moje gratulacje. Czy któryś z tych podejrzanych szczegółów, o których nie chciałaś mówić, miał coś wspólnego z twoją nocną koszulą znalezioną w łó ku Maximiliana?

- Dość tego, Angeline! - zawołała Madame de Buys.

Dziewczyna, chocia mocno zacisnęła usta, nie wydawała się mieć pretensji o to oskar enie. Jeśli ju , to jej niechęć skierowana była przeciwko Angeline za jej brak taktu.

- Ale muszę takie rzeczy wiedzieć, skoro mam udawać Claire, prawda?

- Myślę, e wszystkie się zgadzamy, e jest to niewykonalne.

To było jej zwycięstwo. Angeline spojrzała na Claire. Na jej pięknej twarzy nie zauwa yła nawet cienia za enowania. Myślała, e mo e ją dotknęła. Ale nie. To raczej ciotka wydawała się ura ona wzmianką o jej skandalicznym prowadzeniu się.

- Bardzo mi przykro - nagle zaczęła mówić Claire. - Ja go bardzo lubiłam, bez względu na sposób, w jaki mnie traktował. Tu nie mo na mówić o adnym morderstwie i jednocześnie próbie samobójstwa. To było morderstwo i nic więcej. Maximilian, ksią ę Ruthenii, nie miał adnego powodu, by pozbawiać ycia siebie i - z przekonaniem mogę dodać - równie mnie.

- Ale co się tam stało? - tego pytania nie mogła uniknąć.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Wiem tylko tyle, że w pewnym momencie wziął mnie w ramiona, by w następnej chwili upaść. Zauważyłam błysk wystrzału, poczułam uderzenie kuli, a potem była już tylko ciemność. Kiedy doszłam do siebie, Max leżał martwy, a ja - moją jedyną myślą była natychmiastowa ucieczka.

- To brzmi rozsądnie - rzekła Madame. - Teraz, *ma chere*, trzeba ci znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, a ten szalony człowiek, który tutaj dotarł za tobą, odjedzie.

- Czy muszę się ukrywać?

Brwi Madame, czarne i cięgie, połączyły się w jeden łuk nad oczami.

- Nie. Myślę, że nie. Dokładnie to rozważyłam. Trzeba ci znaleźć jedynie miejsce bezpieczne, ale poza zasięgiem złośliwych plotek, a przy tym niezbyt odległe, bym w każdej chwili mogła dopilnować, czy nie dzieje ci się jakaś krzywda.

- To znaczy?

- Szkoła klasztorna sióstr.

Claire uniosła brwi ze zdumienia.

- Chyba nie myślisz poważnie?

- Nigdy nie myślałam poważnie. Siostry cię przygarną i udzielą schronienia. Nikt nie odważy się ścigać cię w takim miejscu.

- To nie znasz Rolfe'a!

- I nie mam zamiaru go poznawać - odrzekła matka Claire. - Nie mam też jednak zamiaru poświęcać swoich uczuć. Kiedy już będziesz bezpieczna, otworzymy szeroko podwoje tego domu, zaprosimy go, by sam go przeszukał, przepytaliśmy go. Nikt, poza Marią, Angeline i mną, nic o tobie nie wie.

- Ale wielu się dowie, jak będę opuszczała dom, by udać się do klasztoru - nie dawała za wygraną Claire.

- Jeśli pójdziecie ścieżką przez las pod osłoną nocy, nikt się nie dowie.

- Myślisz, eby przez las... w nocy? - spytała Claire z niedowierzaniem.

- Dokładnie tak. I to jeszcze tę noc. Angeline cię poprowadzi.

- To bardzo odważnie z jej strony - rzekła z sarkazmem Claire.

- Jest w lesie ścieżka dobrze znana Angeline. Przez ostatnie lata chodziła nią, gdy uzupełniała u

siostr swoją edukację, a potem pomagała uczyć młodsze dziewczęta. Kiedy dotrzecie do klasztoru, Angeline obudzi siostrę przeło oną i wszystko jej o tobie opowie. Z łatwością przekona matkę Teresę. Zakonnica bardzo ją lubi.

- W to nie wątpię. I jestem jej za to wdzięczna. Ale nie dam się zamknąć w klasztorze! - zawołała Claire, zrywając się z miejsca.

Matka chwyciła ją za ramię.

- To jest szkoła, a nie konwent dla nowicjuszek, sama o tym dobrze wiesz. Pewne miejsce schronienia, z którego musisz skorzystać. Chodź, Maria pomo e ci się przebrać i upiąć włosy.

Nie będzie tak źle, sama zobaczysz.

- Nie kończące się modły i wór pokutny – powiedziała z goryczą. - Pewnie myślisz, e to będzie miało na mnie zbawienny wpływ?

- Ja tego tak nie widzę. A w ogóle to mam na względzie jedynie twoje bezpieczeństwo, córeczko.

Angeline odwróciła się, zdjęła rękawiczki i zaczęła szukać odpowiednich butów na drogę.

Słuchając tymczasem podeszła do Claire, aby ją pocieszyć i dodać odwagi. Angeline zdawała sobie sprawę, e jej nie grozi adne bezpośrednie niebezpieczeństwo tak jak Claire.

Jeśli będzie musiała spotkać się z tym bałkańskim księciem, to przekona go, e nie jest tą, za którą ją bierze. Jednak byłoby jej miło, gdyby te kobiety zwróciły uwagę, e ona te ryzykuje, eby choć w jakikolwiek sposób dały do zrozumienia, e się tym przejmują.

eby chocia udawały....

Rozdział 2

Na ziemię padała zimna poświata księ yca. Sączyła się przez bezlistne gałęzie drzew i rzucała ruchliwe cienie na ściekę. Suche liście szeleściły pod stopami.

Angeline stanęła i zaczęła nasłuchiwać.

- Co jest? - szepnęła Claire i stanęła obok.

- Nie wiem. Zdawało mi się, e coś słyszałam.

- Mo e jakiś wilk albo lampart? Matka powinna była wysłać z nami któregoś ze słuchających.

Mo na by mu było zapłacić i zamknąć usta...

- Oczywiście. Tylko potem ktoś inny zapłaciłby więcej, eby mu je otworzyć - odparła Angeline.

- Posłuchaj.

Chwilę stały w milczeniu.

- I co?

Angeline wzruszyła ramionami. Owinęła się szczelnie płaszczem i ruszyła. Claire za nią. Uszły ju pewnie z ćwierć mili. Wyszły z domu nie zauwa one. Z piętra schodami dla słu by przedostały się pod dolną galerią, a potem w cieniu krzewów przemknęły w stronę lasu. W

miejscu, gdzie zaczynała się ście ka, obrócili się i popatrzyły na jaśniejący w księ ycowej poświęacie dom w stylu Indii Zachodnich. Madame de Buys chodziła nerwowo po górnej galerii i zaciśniętą pięścią co krok uderzała po poręczy.

- Zatrzymaj się - poprosiła Claire z trudem chwytając powietrze po przejściu następnej pół mili. –

Nie mogłybyśmy chwili odpocząć?

- Nie. Czeka nas jeszcze dobra mila drogi.

- Czemu mi nie powiedziałaś, e to tak daleko?

- Po co? Przecie powozem i tak byśmy nie pojechały.

- Nie pojmuję, jak odnajdujesz tę ście kę. Przecie ju dwa lata temu, tak samo jak ja, skończyłaś naukę.

- U matki przeło onej uczyłam się dodatkowo łaciny i trochę matematyki wy szej. Pomagałam te uczyć w młodszych klasach. Robiłam to do tej zimy.

- Dla kobiety to przecie bezu yteczne, eby nie powiedzieć - ogłupiające. A poza tym, to czemu chodziłaś, zamiast jeździć powozem?

- Nikt mi tego nie proponował - odparła cierpko Angeline. - Twoja matka nie patrzyła zresztą przychylnie na moją naukę.

- Nie widzę powodu, dla którego ktoś inny nie mógł tego zrobić - powiedziała po chwili Claire.

- Myślisz, e jakiś kawaler mógł mi coś takiego zaproponować? W tym właśnie tkwił problem.

Ciotka Berthe była pewna, e jeśli się tylko postaram, to mogę doprowadzić do tego, e Andre Delacroix mi się oświadczy. Bała się, e jeśli moje zainteresowania pójdą w innym kierunku, nigdy go nie usidlę. I dlatego zakazała mi uczęszczać do szkoły – odpowiedziała Angeline.

Podniosła wy ej płaszcz, by nie zaplątał się w gałązki dzikiej ró y rosnącej wzdłu ście ki.

- Na ile pamiętam, Andre to niezła partia. Jego rodzina ma szerokie koneksje i jest bogata. –

Claire mówiła dysząc cię ko i z trudem nadą ając za Angeline.

- O, tak. I bardzo go nawet lubię. Ale tylko tyle, nic więcej.

- Romantyczka? - Claire spytała z ironią i rozbawieniem.

- Czy to coś złego? A ty? Ty nie byłaś taka, gdy spotkałaś Maximiliana w Pary u?

Claire nie odpowiedziała. Przed nimi rozpościerała się otwarta przestrzeń, gdzie ście ka wychodziła z lasu i krzy owała się z drogą. Na lewo trakt skręcał ostro w stronę uśpionego przedmieścia w neoszkockim stylu o nazwie St. Martinville. Klasztor le ał trochę poza miastem.

Mo na tam było dojść tym traktem, ale z powodu licznych zakrętów i zakoli wijącego się Bayou Teche droga była dwa razy dłu sza, ni mogła się wydawać. Teche, francuskie brzmienie nazwy wziętej z indiańskiego narzecza Attapas, znaczy tyle co wą .

Zlewisko to tak właśnie się wiło. Kiedyś, w bardzo odległych czasach, była to odnoga Missisipi, dopóki ta nie zmieniła koryta.

W prawo trakt biegł zakolami przez las, wzdłu zlewiska. Docierał do plantacji rozciągających się po obu jego stronach. Jakies siedem, osiem mil stąd w górę zlewiska rozciągały się posiadłości M'sieur de la Chaise, tego, który gościł księcia. W tamtej stronie le ała równie plantacja Delacroix, na której dzisiejszego wieczoru odbywało się przyjęcie.

Angeline obejrzała się. Nie chciała straszyć Claire, ale nie mogła wyzbyć się uczucia, e ktoś, mo e coś, idzie za nimi. Chwyciła dziewczynę za ramię.

- Chodź, biegniemy.

Zahaczając sukniami o zarośla, zbiegły na drogę.

Angeline, ciągnąc za sobą Claire, skierowała się w lewo wzdłu głębokich kolein. W

księ ycowej poświacie ich kroki głucho dudniły po rozmięklej ziemi. Minęły ostry zakręt i daleko przed sobą zobaczyły szerokie zakole.

- Angeline, nie mogę - Claire z trudem chwytiała oddech.

- Jeszcze kawałek - szepnęła Angeline, zwalniając.

Po kilku krokach obejrzała się. Nie widząc nikogo na zakręcie, zbiegła z drogi i zagłębiła się w las. Posuwały się teraz najciszej, jak potrafiły. Wcisnęły się w gąszcz wiecznie zielonej woskownicy i stanęły.

Zapadła cisza. Dokoła unosiła się aromatyczna woń bluszczu rozbudzona dotykiem ich płaszczy.

Wiatr szumiał w gałęziach drzew. Gdzieś w oddali dwa konary ocierały się o siebie i głośno

skrzypiały.

W tym momencie ujrzały go skroś drzew: czarnowłosy, jeden z tych, co byli z księciem. Biegł wolno drogą. Mundur na piersiach błyskał mu złotymi guzikami. Bez wątpienia miał od księcia rozkaz śledzenia Claire. Teraz albo ich nie zauważył, albo nie dostał polecenia zatrzymania ich.

Jedno i drugie było dobre. Inaczej ju by je miał.

Claire podniosła się i pewnie wyszłaby z ukrycia i rzuciła do ucieczki, gdyby Angeline nie chwyciła jej za ramię.

Zimna wilgoć wpełzała im pod płaszcze, gdy tak stały patrząc, jak wysłaniec księcia podbiegał do następnego zakrętu. Zatrzymał się, postął dłu szą chwilę z rękami na biodrach, po czym zawrócił w kierunku, skąd przybył. Kiedy mijał miejsce, gdzie stały ukryte, zauważył wyraz gniewu na jego pociągłej twarzy.

Mijały minuty. Angeline otarła pajęczynę z policzka.

Wolno trzepocząc skrzydłami przemknęła sowa.

W końcu ruszyły. Ciągnąc za sobą Claire, Angelina poszła w kierunku miejsca, gdzie ścieka przecinała drogę i prowadziła przez las w stronę tylnej bramy klasztoru.

Szkoła klasztorna mieściła się w starym gmaszysku, zbudowanym z *bousillage*, cegieł

formowanych z gliny, włosów jeleni oraz mchu porastającego drzewa okalające zlewisko. Mchu używano do uszczelniania cegieł stawianych jedna na drugiej. Całość otaczała wysoka palisada.

Szkoła wzniesiona została przez bogatą dziedziczkę jako wyraz wdzięczności za wysłuchane modły o zdrowie jej dwunastoletniej córki.

Pierwotnie zamierzano zbudować dużą uczelnię dla dziewcząt, ale zaniechano tego z powodu śmierci fundatorki. Obecnie rozwija nawet możliwość jej zamknięcia. Trzy mieszkające tutaj zakonnice miałyby zostać przeniesione gdzie indziej. O takim rozwiązaniu Angeline nie chciała nawet myśleć.

Pokój matki przeło onej mieścił się na tyłach domu.

Siostra piastująca ten urząd, zapalona ogrodniczka i zielarka, kazała wybić przejście w tylnej ścianie tak, by mieć ułatwiony dostęp do klasztornej pola pozostającego pod jej opieką. To przejście dobrze służyło okolicznym kobietom od lat: umożliwiałało dostęp do matki przeło onej bez konieczności przechodzenia przez główne wejście, gdzie surowa zakonnica siedząca na furcie miała w zwyczaju odprawiać z kwitkiem niemądre podlotki, nerwowe matki i miejscowe plotkarki.

Było ju bardzo późno - zbliżyła się trzecia nad ranem, ale Angeline bez wahania podeszła do tych właśnie drzwi matki Teresy. Utarła się opinia, a *religieuse* rzadko sypiają więcej ni cztery godziny

dziennie, resztę czasu spędzając albo na pracach na rzecz klasztoru, albo na korespondencji z duchownymi tu w Luizjanie czy we Francji, albo wreszcie na klęczkach na *prie Dieu*.

Drzwi otworzyła osobista służka matki Teresy, gburowata czarna dziewczyna ubrana w biały czepek i fartuch założyła na suknię. Popychając przed sobą Claire, Angeline weszła do środka.

Matka Teresa, kobieta o wyjątkowej inteligencji, zrozumiała natychmiast, w czym rzecz.

Zwracając się do Claire, powiedziała:

- Musisz pozostać z nami, moje dziecko. Dostaniesz oddzielny pokój i pozostaniesz w ukryciu, nawet przed uczennicami. Będzie tu spokojnie, pewnie nie tak, jak jesteś przyzwyczajona, ale będziesz miała czas odpocząć fizycznie i duchowo, czas, by przemyśleć to, co minęło, i jednocześnie zastanowić się nad przyszłością.

Claire z grymasem spojrzała na Angeline, a potem, już grzecznie, na zakonnice.

- Pokornie dziękuję, siostrze Tereso.

- Rozumiesz, panno de Burs, a do klasztoru nie powinno się wnosić zwyczajów panujących w świecie.

Reguła zakonna nie jest po to, by kogokolwiek wyniszczać, lecz po to, by przez zachowywanie porządku obowiązującego całą społeczność chronić się przed złem, a w twoim przypadku - przed wspomnieniami niegodnego i hulawczego życia.

- Rozumiem - potwierdziła Claire, ale nie zabrzmiało to radośnie.

Nie pozostawało nic więcej do powiedzenia.

Polecivszy służkę, by przyniosła ubranie i świecą pościel dla Claire, matka Teresa wzięła świecę i poprowadziła dziewczętą przez mroczny korytarz do sypialni, gdzie kuzynka Angeline miała pozostać. Tu, życząc im dobrej nocy, pozostawiła je same.

Kiedy matka przełożyła ona zamknęła za sobą drzwi, Claire rozejrzała się po pustym pomieszczeniu, po surowym tynku ścian ozdobionych jedynie krzyżem.

- Zachwycające - rzekła z sarkazmem w głosie.

- To nie na długo.

- Miejmy nadzieję. Oszaleję, jeśli to uświęcanie będzie się przeciągało.

- Widzę, a pobyt tutaj będzie się bardzo różnił od tego, do czego przyzwyczyłaś się przez ostatnie dwa lata spędzone poza domem.

- Nawet nie wiesz jak bardzo. Nie mogę pojąć, jak potrafiłaś przychodzić tu codziennie, mało tego - z

własnej woli.

- Ludzie mają różne upodobania - odparła Angeline z bladym uśmiechem.

- Tak jest. Nie mogę cię winić za to, że nie miałaś okazji doświadczyć czego innego. Ja, przeciwnie, taką okazję miałam. I to pozostanie moim przekleństwem.

Claire rozpięła płaszcz i pozwoliła mu osunąć się na podłogę; zrobiła to takim gestem, jak ktoś, komu zawsze pomaga się przy rozbieraniu. Stała wyprostowana, w podróbnym stroju, a światło świecy igrało w jej włosach. Zagubiony uśmiech błędził po jej ładnej buzi.

Angeline wiedziała, że ta dziewczyna była samolubna, apodyktyczna, wyrachowana. Ale jednocześnie widziała w jej oczach apatię i przerażenie, co budziło współczucie. Spojrzała na jej ręce.

- Przykro mi, że twoja przygoda z Maximilianem skończyła się tak, jak się skończyła.

- Nie bardziej niż mnie - odparła Claire. – Droga Angeline, mogę ci udzielić rady? Dobrze, jeśli nigdy nie będziesz musiała z niej skorzystać. Nie jest oryginalna, ale mimo to warta zapamiętania: Nie ufaj księżtom.

- Nie rozumiem.

- Gdyby Max był godny zaufania, nie byłoby mnie tutaj, a on sam by był. Ale to nic. Czy nie musisz już iść? A może zostaniesz na noc?

Angeline pokręciła głową.

- Ciotka Berthe będzie czekała na mnie.

- Nie zazdroszczę ci powrotnej drogi. Rolfe może na ciebie czatować.

- Mam nadzieję, że w niewłaściwym miejscu. Nic mi się nie stanie.

- Zanim pójdziesz - rzekła Claire z zakłopotaniem - sądzę, że powinnam ci wyrazić swoją wdzięczność.

- Nie ma potrzeby - odparła Angeline i ruszyła w kierunku drzwi.

- Ale jest. Zwyczajna ludzka uczciwość tego wymaga: twoja i moja równie. Tego uczył mnie Max.

Proszę, przyjmij ten upominek, który choć w części wyrówna nasze rachunki.

Angeline odwróciła się z wahaniem i zobaczyła, jak Claire zdejmuje z szyi złoty łańcuszek oraz małe flakonik w złotej oprawie zwisający ze stanika.

Odurzający zapach konwalii rozszedł się w powietrzu. Łańcuszek zaśnił czerwonozłotym blaskiem w wyciągniętej ręce.

- Nie mogę tego przyjąć, to zbyt drogocenne - wzbraniała się Angeline.

- Nie jest to a taki skarb. To upominek od Maxa.

Nie ma ju dla mnie większego znaczenia. Tu musiałabym go i tak oddać, więc lepiej, ebyś ty go wzięła.

- Wiesz przecie , e oddając go tu, nie tracisz go na zawsze. Wychodząc, odzyskasz go.

- Wiem, wiem. Ale postanowiłam dać go tobie. I nie rób takich ceregieli. Weź.

- Dobrze. Dziękuję - rzekła Angeline; wzięła wisiorek i przeło yła łańcuszek przez głowę z nikłym uśmiechem, dziwiąc się, jak szybko kuzynka potrafi przechodzić od złości do wdzięczności.

Claire zaśmiała się.

- Idź ju . I nie śmieję się. Mo esz tu przychodzić i wychodzić, kiedy tylko zechcesz. Nie wiesz, jak bardzo ci tego zazdroszczę. Oddałabym wszystko, by znowu być wolna, niewinna...

Byłoby niegrzeczne ze strony Angeline powiedzieć, e takie odwrócenie ról wcale by jej nie odpowiadało, więc nie powiedziała nic. Obiecawszy, e odwiedzi ją, jak to tylko będzie mo liwe, yczyła jej dobrej nocy i wyszła.

* * *

Do świtu pozostawało jeszcze około pół godziny.

Matka Teresa zmusiła ją, by wypiła coś gorącego na drogę i podczas gdy Angeline popijała gorące mleko zaprawione wanilią i miodem, wyciągnęła z niej dalsze szczegóły historii Claire.

Księ yc ju zaszedł, kiedy zakonnica odprowadziła ją do tylnych drzwi. Tu jeszcze raz próbowała ją namówić, by przespała się trochę.

Poniewa Angeline odmówiła, chciała dać jej latarnię. Tego te odmówiła. Nie bała się ciemności. A nawet uwa ała je za sprzymierzeńca.

Jeszcze daleko nie uszła, a ju zaczynała ałować swego uporu. Bez światła księ yca szła znacznie wolniej.

Las stał się obcy i nieprzebyty. Jakby tego mało, wiatr niósł ryki gotującego się do polowania drapie nika: rysia albo tygrysa. O jednym i drugim wiadomo było, e atakuje człowieka, gdy ten wejdzie mu w drogę.

Usiłowała iść szybciej, ale gałęzie drzew biły ją po twarzy, a ciernie zarośli czepiały się nóg. Z

uczuciem ulgi spostrzegła, e zbli a się do przecinki oznaczającej drogę. Tu ju poczuła się bezpieczniej. Miała za sobą dwie trzecie drogi.

Przedzierała się przez krzaki bambusu tak gęste, e wyparły wszelką roślinność. Ju prawie wychodziła na otwartą przestrzeń, gdy nagle dobiegły ją jakieś głosy.

Ciche, zmieszane z odgłosem stąpania koni, dochodziły z pewnej odległości. Jedne głośniejsze, inne - cichsze.

Jeźdźcy, jadąc ramię w ramię, zbli ali się do miejsca, gdzie stała.

Był to ksią ę i jego ludzie: nie mógł to być nikt inny.

Dosiadali pięknych koni zakupionych w Nowym Orleanie. Uprzą bogato nabijaną mosię nymi i złotymi ćwiekami przywieźli z Ruthenii. Ich siodeł nie mo na było pomylić z adnymi innymi.

W momencie kiedy zrównali się z miejscem, gdzie stała, ściągnęli wodze.

Czarnowłosy, ten, który był tu poprzednio, powiedział:

- W tym miejscu obie wyszły z lasu, minęły tamten zakręt i zniknęły. Wróciłem po konia, zbadałem całą drogę a do miasta, ale nic więcej ju nie zauwa yłem.

- Mo emy ci chyba uwierzyć, e były to dwie kobiety, co? - spytał ksią ę.

- Obie miały suknie - padła zdecydowana odpowiedź.

- Nie zawsze jest to ostateczny dowód, ale mo emy to chyba przyjąć.

- Mogła to być jakaś parka na potajemnej schadzce.

- Nie wiem, ale na pewno były to dwie osoby.

Rozmowa przycichała w miarę oddalania się jeźdźców.

Wiedziała, e mogą tu wrócić. Co w tej sytuacji powinna zrobić? Iść w stronę domu de Buys było bardzo

ryzykowne. Mogła zawrócić, wejść w głąb lasu i wyjść w zupełnie innym miejscu. Mogła te wrócić do klasztoru i poczekać do rana.

adna z tych mo liwości nie wydawała się dobra.

Stała, wpatrując się w wolną przestrzeń pomiędzy drzewami po drugiej stronie drogi, gdzie biegła ście ka. Była jeszcze jedna mo liwość. Ksią ę i jego ludzie nie spodziewali się jej powrotu. Jeśli zdołałaby przejść przez drogę niezauwa ona, mogłaby pobiec w kierunku domu i zniknąć im z pola widzenia, zanim tu wrócą.

Nie, to byłoby zbyt ryzykowne. Mogli przecie pojechać nie dalej ni do najbli szego zakrętu, do miejsca, gdzie poprzednio zgubiła swego prześladowcę, i zatrzymać się. Nie starczyłoby jej czasu.

Musi więc wracać do klasztoru.

Zawróciła. Nie uszła więcej jak dziesięć kroków, gdy przed sobą spostrzegła majaczący w ciemności kudłaty kształt. Z gardła wydobywał mu się cichy charkot.

Krępy tułów i sterczące uszy wskazywałyby na rysia albo bika - oba równie niebezpieczne.

Mógł się przygotowywać do ataku, ale równie dobrze – do ucieczki.

Mijały sekundy. Kot, nie mrugnawszy okiem, stał bez ruchu. Angeline wstrzymała oddech.

Długo tak wytrzymać nie mogła. Drogę do klasztoru miała zamkniętą. Mogła tylko wracać do domu. Ruszać musiała w tej chwili. To jej ostatnia szansa.

Z największą ostrością zrobiła krok do tyłu. Potem spróbowała zrobić następny, ustawiła się bokiem, by precyzyjnie się między pędami bambusu. Jeszcze jeden krok i ju stała na skraju drogi.

W zasięgu wzroku nie było nikogo. Podniosła wysoko suknię i wybiegła na drogę.

Krzyk rozdarł ciszę nocy. Zabrział jak wołanie nagonki, gdy ścigane zwierzę znajdzie się w zasięgu wzroku. Spojrzała w stronę zakrętu, gdzie pojawił się jeździec. To ten czarnowłosey -

pokazywał coś palcem i popędzał konia.

Nie czekała ju na nic. Na oślep rzuciła się w las.

Schylając głowę i osłaniając ręką twarz przebiegła kilkanaście kroków, niemal instynktownie wyczuwając ledwo widoczną ściekę. Potem rzuciła się w lewo w gęste poszycie, usiłując jak najdalej uciec prześladowcom.

Biegła, jak długo słyszała hałas, jaki robili goniący ją. Potem trochę zwolniła, zdawszy sobie sprawę, że oni te kierują się w pogoni hałasem, jaki robi. Teraz zaczęła stąpać ostro nie, tak jak robią to Indianie, a jak dawno temu uczył ją ojciec podczas zabaw w podchody.

- Stać!

Rozkaz wydany został z bardzo bliska. Ani głośny, ani ostry, a jednak zmuszał do natychmiastowego posłuszeństwa. Zapadła cisza, nie rozlegał się aden dźwięk. Angeline, z zaciśniętymi zębami, zamarła w pół kroku.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, dał się słyszeć szorstki głos tego z opaską na oku:

- Co słyszałeś?

- Przed chwilą słyszałem naszą ofiarę, teraz - nic. To znaczy, że musi być gdzieś blisko. Powinna słyszeć nasze polecenia i wypełnić je dla własnego bezpieczeństwa.

- Czy w tej sytuacji, Wasza Wysokość, mamy zsiąść z koni i zacząć poszukiwania?

- Nie. Chyba e chcecie ułatwić jej ucieczkę.

- W takim razie czekamy na rozkazy – mruknął jeden z nich.

- Zadziwiająca - rzekł Rolfe, po czym w jakimś obcym języku rzucił kilka krótkich rozkazów.

Zacisnęła szczękające ze strachu zęby. Słuchać tego, co mieli zrobić, eby ją pochwycić, i nie móc zrozumieć, o co chodzi - to było gorsze, ni gdyby nic nie słyszała.

Czy by ksią ę o tym wiedział?

Doleciał ją chrzęst skórzanych siodeł, gdy jeźdźcy zsiadali z koni. Dźwięk był złowieszczy. Na koniach, w ciemnościach, nie byli tacy groźni. Gęste zarośla z nisko rozłożonymi gałęziami biły po twarzy, a płatanina lian pętała nogi koniom.

Pieszono mieli te same szanse co ona, nie mówiąc o przewadze liczebnej. Naprężyła mięśnie i oddychała głęboko, szykując się do ucieczki.

- I jeszcze jedno - doszedł ją spokojny, zdecydowany głos. - Tej nocy naszej ofierze nie mo e stać się adna krzywda. Pamiętajcie o tym.

Czy by to zdanie, w nienaganej francuszczyźnie, miało być przeznaczone dla niej? Czy by w ten sposób chciał ją zapewnić, e nie grozi jej adne bezpośrednie fizyczne niebezpieczeństwo?

Czy raczej miał to być sposób na uspienie jej czujności, złamanie woli ucieczki?

Mo e ksią ę chciał ją dostać teraz całą i zdrową, a dopiero później się zemścić?

Koń parsknął, nerwowo przestępując z nogi na nogę, potrząsnął łbem, a zadźwięczała uzda.

Ktoś zaklął.

Ksią ę zaczął coś mówić i w tym samym momencie ciszę nocy rozdarł przeraźliwy ryk atakującego drapieżnika.

Skowyt załamywał się w wysokim crescendo.

Konie zarżały w przerażeniu.

Angeline nie traciła czasu. Korzystając z powstałego zamieszania rzuciła się przed siebie, przemykając przez gęste poszycie lasu. Usłyszała za sobą jakieś pospiesznie wydawane rozkazy i zaraz potem odgłos pogoni. Nie przestawała biec, uchylając się przed gałęziami i przeskakując leżące pnie. Czuła, jak wypadają jej spinki i włosy rozsypują się na wietrze. Potem dobiegł ją jakiś krzyk, urywane echo i - cisza.

Stała i zaczęła nasłuchiwać. Z odległości kilkuset jardów dochodziły słabe wołania, po nich - odpowiedzi.

Powtarzało się to w krótkich odstępach czasu gdzieś daleko z prawej strony. Posuwali się parami, w ten sposób utrzymując kontakt między sobą. Przeczesywali las kawałek po kawałku. Chcieli ją wypłoszyć jak zwierzę w nagonce.

Ale noc była ciemna, las duży, a ich do takiego zadania za mało. Co więcej - Angeline знаła ten las, wiedziała, jak jest położony względem drogi, znała zlewisko, wiedziała, w którym kierunku leży dom ciotki, wiedziała, gdzie są jej prześladowcy - obwoływali się co chwilę. Wciągnęła głęboko powietrze do płuc, by choć trochę uspokoić roztrzęsione nerwy. Włosy odgarnęła na plecy. Niech na nią polują. Nie pójdzie im łatwo.

Z bijącym sercem próbowała ustawić się tak, by znaleźć się w samym środku pomiędzy zbliżającymi się parami. Domyślała się, że może ich tu być tylko czterech.

Dwaj pozostali albo poszukiwali jej po drugiej stronie ścieżki, albo jeden, pewnie sam książe, pilnuje koni, a drugi pozostał z tyłu i zamyka cały szereg.

Mężczyźni posuwali się w jej kierunku. Spodziewali się pewnie, że w pewnym momencie zacznie w popłochu uciekać, a wtedy z łatwością ją dogonią i pochwycą. Ale jeśli uda się jej wydostać na ich tyły, z łatwością wróci na ścieżkę daleko przed miejscem, w którym z niej zbiegła i jednocześnie dość daleko od miejsca, gdzie mógł stać książe. Stamtąd już bez trudu dobiegnie do domu.

Zbliżyli się. Hałas łamanych cię kimimi butami gałęzi sprawiał, że ciarki przechodziły jej po plecach. Niemal bezwiednie owinięła się ciemnym płaszczem i wsunęła się głębiej pod wiecznie zieloną gęstą woskownicę.

Taka zasłona raz już ją ochroniła, może i teraz się uda.

Zaszyła się jeszcze głębiej, uklękła. I natychmiast tego połowała: to było niemądre, ryzykowne. Raczej powinna wykorzystać inne możliwości, zawierzyć szybkości swoich nóg.

Byłoby poniżej, gdyby ją znaleźli w takiej pozycji: kryjącego się, przerażonego dziecka.

Podło się zachrząściło i jeden z szukających wyłonił się z ciemności tu obok niej, na odległość wyciągniętej ręki.

Wstrzymała oddech, stojąc bez ruchu.

- Oscar!

Angeline straciła już całą nadzieję, gdy usłyszała to wołanie. Nie wiedziała, czy ją już zobaczył, czy może woła pomocy, by łatwiej było ją pochwycić.

Odpowiedź nadeszła z drugiej strony krzaka woskownicy, z odległości zaledwie kilku kroków.

- Nie włącz mi tak pod nos, braciszku. Chciałbym wiedzieć, kogo łapię: delikatną kobietę, dzikiego kota czy twój kościsty grzbiet.

- Przestań się tak wydzierać, bo niczego nie złapiesz.

Było polecenie, by gadać po cichu i nie robić harmideru.

Stojący tu koło niej bliźniak, bo oni to byli, parsknął gniewnie na taką uwagę i ruszył przed siebie.

- Mogę się założyć, że nie było tu żadnej dziewczyny. To tylko Leopold wymyślił, żeby wymigać się od odpowiedzialności za to, że zgubił jej ślad w poprzednim miejscu. Nie, żeby go obwiniał. Rolfe, z jego napadami białej furii, może być diabelnie nieprzyjemny dla nas wszystkich, dopóki jej nie odnajdziemy, a już szczególnie dla tego, kto pozwolił jej zniknąć.

- O czym ty te będziesz mógł się osobiście przekonać, jeśli przegapimy tę widmową damę.

Ich kroki cichły w oddali. Angeline podniosła się i zaczęła nasłuchiwać. Wszyscy zagłębiali się w las.

Było mało prawdopodobne, że zatrzymają się przed osiągnięciem zlewiska. Dokonała swego.

Ogarnęło ją radosne uniesienie. Zaraz jednak opanowała się. Jeszcze nie była całkowicie bezpieczna.

Przed nią majaczył ocieniony galerijkami dom de Buys. Z trudnością chwytła oddech. W boku czuła piekący ból. Okna domu były ciemne. Ciotka Berthe dała sobie z nią spokój. Poszła spać, nie zostawiając nawet zapalanej świecy. Angeline nie spodziewała się już dalszych kłopotów, ale na to, by czuć się bezpiecznie, musiała jeszcze trochę poczekać. Dom w mroku przedświtów wydawał się nieprzyjazny. Będzie mogła mówić o szczęściu, jeśli drzwi nie zastanie zamkniętych na klucz.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na pustą ścieżkę ruszyła w kierunku tylnych schodów. Korzystając z mroku pod ścianami wspięła się na górną galerię i pobiegła w stronę drzwi balkonowych swojej sypialni.

Stała na chwilę i popatrzyła w kierunku lasu, tam, skąd przyszła. Niczego nie dostrzegła, niczego nie usłyszała. Chwyciła za klamkę, odchyliła jedno skrzydło, weszła do środka, zamknęła okno i przekręciła klamkę.

Dopiero w tym momencie odetchnęła spokojnie.

Trzymając jeszcze ciągle w ręku zimną mosiężną klamkę, oparła czoło o chłodną szybę i czekała na moment ulgi i tryumfu, który teraz powinien nadejść. Ale nie nadchodził. Zamiast tego poczuła w pokoju zapach dymu i ciepłego wosku jakby dopiero co zgaszonej świecy. Dał się słyszeć cichutki szelest ocierania się materiału o materiał. Dochodził z zupełnie bliska, z tak bliska, że wyostrozonymi zmysłami w pierwszej chwili wyczuła ciepło ciała, zanim tuż za sobą usłyszała miękki głos.

- Lisica - rzekł ksiądz Rolfe - zawsze w końcu wraca do swojej kryjówki.

Angelinę zeszywniała. Gwałtownie szarpnęła klamkę. Okno się otworzyło, ale w tym samym momencie stalowe palce chwyciły ją za ramię i obróciły. Poczuła, jak jakaś materia okrywa jej głowę i krępuje ręce.

Nabrała gwałtownie powietrza, by krzyknąć, ale w tej samej chwili poczuła na ustach twardą dłoń i głos uwiązał jej w gardle. Głowa znalazła się w stalowym uchwycie jak w kołodziejskim imadle.

Nie mogła oddychać. W panice zaczęła się szarpać, starając uwolnić od duszącej dłoni na ustach.

Resztkami świadomości zdała sobie sprawę, że ktoś niesie ją wzdłuż galerii, a potem schodami w dół. Kopała nogami i próbowała obrócić głowę, ale czuła, jak z każdą sekundą opuszczają ją siły.

Potem była już tylko ciemność czarniejsza niż noc, ciemność ogarniająca wszystko.

Teraz ręka cofnęła się sama. Czyste powietrze, zimne i o ywczce, rozbudziło jej umysł. Zdała sobie sprawę, że dłoń wróci na poprzednie miejsce przy najmniejszej próbie z jej strony, by krzyknąć czy zawołać pomocy.

Groźba taka nie została wypowiedziana, ale była zupełnie oczywista. Tak więc uległa, ślepa, z zimną furią w piersiach, pozwalając się nieść przez otaczające dom krzewy. Książę podał ją komuś siedzącemu na koniu, potem sam wskoczył na siodło. Przejął ją ponownie i posadził przed sobą. Niemal leżała, opierając się na jego piersi. Konie ruszyły.

- Nie było kłopotów? - spytał jadący obok księcia.

- adnych. Wpadła w sidła, które sama zastawiała.

- Uważaj. Z tego, co o niej wiadomo - ma kły i pazury.

- Twoja troska o mnie, Leopoldzie, zacznie mnie zaraz wzruszać.

- Nie śmieję się, nie śmieję. Jeśli i ciebie zawojuje, wszyscy mnie za to obwiniają.

Po głosie i po imieniu Angeline zorientowała się, że był to ten, który pierwszy ją wysledził.

- Myślisz, że znajdą powód?

- Czemu zadajesz takie pytanie? - odparł Leopold.

- Nie zatrzymałeś jej wcześniej - przypomniał mu książę z pretensją w głosie.

- Nie miałem polecenia, by ją ująć. Miałem jedynie obserwować i informować o jej ruchach.

- Ale to nie wszystko - nalegał książę.

- Nie... tak. Ale na balu, wieczorem, wydawała się... damą i...

- I co? - ponaglił go ksią ę. - Urocza i niewinna?

- No, właśnie.

Angeline poruszyła się i ju by się odezwała, ale mę czyzna, który trzymał ją przed sobą na siodle, wybuchnął długim głośnym śmiechem, niosącym się po lesie.

Dołączyli do pozostałych członków *gardę de corpse*, którzy tymczasem wyłonili się z lasu.

Angeline poczuła, e materiał spowijający jej głowę nie był ju tak bardzo zaciśnięty. Rozluźnił go ksią ę czy samo się tak zrobiło podczas jazdy? Nie wiedziała, ale wolałaby, by to samo się tak stało. W tej chwili nie miała ochoty na wdzięczność.

Twarz jeźdźca, który ją wiózł, wyglądała w ciemności niczym blada plama. Pierwotny strach zaczął ją stopniowo opuszczać. Poza elaznym uchwytem ramienia, które ją podtrzymywało, i twardymi wypukłościami na jego piersiach, które ją uwierały, nie rozpoznawała nic więcej.

Siedziała sztywno, czując pod sobą obły kształt siodła i dotyk ud księcia. Nie wiedziała, dokąd ją zabiera ani co ma zamiar z nią zrobić.

Poczuła nagłą radość, e nie jest Claire.

- Wasza Wysokość - powiedziała błagalnie – to pomyłka. Musi mi pan uwierzyć.

- Prosisz o litość, mademoiselle de Buys? Masz pecha. To uczucie jest mi zupełnie obce.

Nie odzywała się ju więcej. Po prze ytym szoku próbowała zebrać myśli i uporządkować argumenty.

Będzie zapewne potrzebowała wszystkich swych umiejętności, by mu wyjaśnić, kim naprawdę jest.

Oстрыm galopem wkrótce dotarli do posiadłości M'sieur de la Chaise. Nie podje d ali do głównego budynku, lecz polną drogą udali się na boczną plantację, której pola ciągnęły się a po samo zlewisko. Podjechali pod kwadratowy, ozdobiony portykiem dom, o ścianach ze stylizowanych na kamienie cegieł. Wzniesiony został przez de la Chaise'a jako dworek myśliwski na europejską modłę. Słu ył jako miejsce podejrzanych zabaw, za którymi przepadał jego właściciel, a na które nie zgadzała się jego ona. Z tego względu dom był rzadko u ywany.

Kiedyś słu ył równie jako *garconniere* starszym synom, ale od czasu, jak się po enili, dom jedynie niekiedy u ywany był jako locum dla gości.

Nie zdarzało się to jednak zbyt często z powodu dość znacznej odległości od głównej rezydencji.

Drzwi się otworzyły i w ółym świetle świecy ukazał się krępy, zwalisty mę czyzna. Mięśnie ramion zdawały się rozsadzać rękawy liberii o wojskowym kroju. Zmierzwiona czupryna opadała na skośne mongolskie oczy, jakie spotkać mo na jedynie w głębi rosyjskich stepów, oczy o wyrazie jak u tresowanego niedźwiedzia.

Jeśli zdziwił się, widząc kobietę w ramionach zbliżającego się księcia, to nawet najmniejszym gestem nie dał tego po sobie poznać. Kłaniając się, wpuścił wszystkich do środka.

Weszli do ogromnego hallu. W jednym jego końcu znajdował się kominek tak ogromny, że mógł się w nim zmieścić cały pień drzewa. Po obu stronach stały kanapy w stylu napoleońskim z okresu kampanii egipskiej, pokryte wyblakłym aksamitem, z nogami w kształcie łap krokodyla, które pewnie wyrzucono z głównego budynku, gdy zmieniła się moda. Z boku stał ogromny stół z resztkami posiłku, który został nagle przerwany. Sufit był sklepiony, poprzecinany lukami, między którymi widniały freski utrzymane w przyziemnych, pastelowych kolorach, wszystkie o tej samej myśliwskiej tematyce: Diana z łukiem, Apollo porywający Daphne. Rogi jeleni i ryje odyńców tworzyły jakby fryzę wokół pokoju. Poniżej wisiały sztandary z wyblakłego jedwabiu i średniowieczne kilimy zasłaniające surowe ściany.

Naprzeciw drzwi znajdowały się ogromne dębowe schody z wychylonymi na zewnątrz poręczami. W ich kierunku szedł książę. Wchodził po stopniach pewnie, nie zwracając uwagi na docinki towarzyszy, którzy weszli za nim do hallu.

Pchnął pierwsze drzwi po prawej stronie i wszedł do ogromnej komnaty. Ogień płonął w piecu.

Angeline zauważyła wielką szafę, biurko, niewielki stół i malowidła w wesołych kolorach, przedstawiające leśne sceny, w których lisy, zające i jelenie porozmieszczano wśród krzewów lauru i ostrokrzewu. Zauważyła jeszcze kilka stopni prowadzących w stronę łóżka z baldachimem, osłoniętego kotarami przetykanymi złotą nicią. Potem już tylko poczuła, jak pada na jego skrzypiącą miękkość.

Odsunęła się gwałtownie, zerwała z głowy zasłonę, obróciła jeszcze raz i... spadła z łóżka na podłogę.

Poderwała się natychmiast na nogi. Z rozwichrzonymi włosami i bez tchu spojrzała w stronę drzwi: książę niedbale, niemal z gracją stał pomiędzy nią i wyjściem.

Zamknął drzwi i obrócił się w jej stronę. Uśmiech ukazał się na jego ustach, a zaraz potem rozjaśnił turkusowe oczy.

- Teraz, mademoiselle - rzekł z nieskrywanym zadowoleniem - pod maską i grymasami, pod kobiecymi sztuczkami, pod udawaną skromnością poszukajmy wreszcie słodkiego ziarna prawdy.

Rozdział 3

W pokoju panowała ciemność, którą nieco rozpraszało czerwonopomarańczowe światło padające od pieca.

Angeline końcem języka zwilżyła wargi. Wpatrywała się w księcia, jak ten odwracał się od drzwi. Była roztrzęsiona. Rolfe podszedł do stolika stojącego pod frontowym oknem, wziął do ręki hubkę i krzesiwo.

Kilkoma uderzeniami rozniecił płomyk i zapalił świecę w srebrnym lichtarzu. W jej blasku błysnął pierścień z wygrawerowaną, w stylu romańskim, głową wilka z odsłoniętymi kłami.

Światło świecy objęło równie jego twarz, a w oczach zatańczyły niebieskie iskierki.

Angeline wzięła głęboki oddech.

- Nie musi pan poszukiwać prawdy. Podaruję ją panu. Nie jestem Claire. Nazywam się i jestem Angeline Fortin, co zresztą powiedziałam ju panu zaledwie pięć godzin temu na przyjęciu.

- Wybaczysz mi, jeśli teraz nie uwierzę ci tak samo jak wtedy?

- Wybaczyć nazywanie mnie kłamcą? Wybaczyć porwanie z domu? Nie, tak wielkoduszna nie jestem!

- Jeśli moje zachowanie ci nie odpowiada, jest sposób, by się mnie pozbyć. Musisz mi tylko powiedzieć, co wiesz o śmierci mego brata.

- To mogę bez trudu zrobić. Nie wiem na ten temat nic. Powiedziałam ju panu, e nie jestem tą kobietą, której pan szuka. Jestem jej kuzynką.

Z całym spokojem, na jaki tylko mogła się zdobyć, opowiedziała mu cały swój yciorys, poczynając od daty urodzenia, poprzez imiona rodziców i dziadków, pokrewieństwo z Claire poprzez swoją matkę, a siostrę jej ojca.

Mimo e jego twarz zdradzała zniecierpliwienie, opowiedziała mu, w jaki sposób zmarli jej rodzice i w jakich okolicznościach znalazła się w domu ciotki. Opowiadanie zakończyła wyjaśnieniem swego podobieństwa do Claire.

Czekała na jego reakcję.

- Gratuluję sobowtóra. Tylko czy on, jak w dziecinnej zabawie, weźmie na siebie całą odpowiedzialność?

- Odpowiedzialność? Nie ma chyba za co.

- Obawiam się, e jednak jest.

Angeline wpatrywała się w niego; przez myśl przemknęło jej wspomnienie opowiadania Claire o zdradzie i usiłowaniu morderstwa.

- Za co?

- Gniew wzgardzonej kobiety, który pchnął ją do spisku na ycie mego brata, wykorzystanie niewątpliwego wdzięku i za yłości, by ten ostatni raz dostać się na jego pokoje, w końcu -

zbrodnię porzucenia umierającego w kału y krwi - jego i swojej własnej. Jak na początek, to chyba wystarczy?

Słuchając tego, Angeline zbladła jak płótno. Gdy się odezwała, głos miała zmieniony nie do poznania:

- Chyba nie mówi pan tego powa nie?

Szedł w jej kierunku lekki, mocny, atletyczny, wzbudzający nieokreślony strach.

- Zapewniam cię, e najpowa niej. Pozwolisz, e wezmę twój płaszcz?

Nie czekając na odpowiedź, wyciągnął ręce, rozwiązał tasiemkę przy kołnierzu, rozsunął poły i zdjął z jej ramion. Odruchowo chwyciła go za przeguby rąk.

- Nie zostanę tutaj! - zawołała.

- Nie?

W jego głosie nie czuło się zdziwienia, raczej pewność siebie. Spojrzał jej w oczy. W dotyku jego dłoni czuła jakąś dziwną moc, która mogłaby z łatwością złamać jej opór. Ciarki ją przeszły.

Puściła jego ręce, jakby były z rozpalonego elaza, i zaraz sama przeraziła się tego niemądrego odruchu. Patrzyła, jak zdejmuje jej płaszcz i pedantycznie układa na krześle.

Przyglądał się jej dłu szą chwilę, a potem ujął za ramię.

- Podejdz do ognia - powiedział miękko.

Szarpnęła się, ale sama podeszła do kominka. Odwróciła się. Stał tak blisko niej, e odruchowo cofnęła się o krok. Ujął ją powy ej łokci i przyciągnął do siebie. Tracąc równowagę, oparła się o niego niemal całym ciałem. Poczowała ucisk orderów i guzików munduru na piersiach. O biodro ocierała się rękojeść szabli. Trwało to tylko przez chwilę, bo natychmiast oparła się rękami o jego piersi i usiłowała się odsunąć.

- Udawanie świętej niewinności nie jest w tym momencie ani potrzebne, ani po ądane. Taki spektakl oglądałem nie tak dawno.

Przestała z nim walczyć. Oddychała nierówno, a na plecach czuła falę gorąca. Przez zaciśnięte zęby powiedziała:

- Czy, w swej dobroci, pozwoli mi pan odejść?

- Dobroć? A niby dlaczego miałbym okazać dobroć?

Czy choćby litość?

- Nie wiem - odparła z goryczą. - Proszę wybaczyć, ale w przyływie złości pomyślałam, e mo e pan mieć takie same ludzkie odruchy jak inni.

- Moje odruchy - powiedział wolno, przyglądając się cudownej linii jej szyi i ramion z jaśniejącym pasemkiem włosów, które spłynęło na piersi - nie mają nic do rzeczy.

Otworzyła szeroko oczy. Czowała się tak, jakby jego jasnoniebieskie oczy rozbierały ją do naga, jakby tego właśnie chciał.

- Sądziłam... oczekiwałam, e będzie się pan... e zachowa się pan jak gentleman...

- Odwoływanie się do rycerskich gestów? Fatalny błąd - to nie w moim stylu.

Rozluźnił uchwyt ramion. Dotknął jej włosów, zagłębił w nich palce, w dłonie ujął tył głowy.

Nachylił się, by zbliżyć usta do jej ust. Próbowwała się obrócić, ale trzymał ją tak mocno, e nie była w stanie się poruszyć.

Próbował rozchylić jej wargi i zaciśnięte zęby. Po chwili ją puścił. Oddech miał szybki, a oczy z jasnoniebieskich zmieniły się w granatowe.

- Z moimi odruchami jest wszystko w porządku, ale twoje mnie zaskoczyły. Opierasz się jak źrebiczka, która jeszcze nigdy nie poczuła wędzidła, albo raczej, jak narowista klacz...

- A... a pan... czego się spodziewał? - spytała ledwo słyszalnie.

- Zwyczajnej dziwki, ze wszystkimi jej atrybutami - odpowiedział wprost.

Zmarszczył czoło i widać było, jak głęboko się nad czymś zastanawia. Zauważył, jak zbladła.

- Pytałaś, więc ci odpowiedziałem.

Krew uderzyła jej do głowy.

- Arogancki, zarozumiały!...

- Zaczynamy się wzajemnie poznawać, co? – przerwał jej bezceremonialnie. - Widzę, e jesteś nie tylko zakłamana, ale i przebiegła. Nie doceniałem cię i przyznaję - to była głupota z mojej strony. Powinienem był wiedzieć, e kobieta, która wkradła się do łóżka Maxa i potem go zabiła, musiała być bardzo cwana. Teraz pozostaje tylko pytanie, czy mam dokonać zemsty zaraz czy mo e poczekać...

Spróbowała mu się wyrwać, ale trzymał ją w elastycznym uścisku. Przełknęła podchodzący do gardła strach.

Ochryłym głosem zaczęła mówić:

- Jestem kuzynką Claire. Mo e pan spytać, kogo chce: słu by, mojej ciotki, Madame Delacroix, księdza proboszcza - powiedzą panu! Nigdy nie widziałam pańskiego brata. Najdalej, gdzie w yciu byłam, to Nowy Orlean. Byłam tu, w czasie gdy Claire...

- Powtarzasz się. Przejechałem za tobą pół świata, przez góry i rzeki, po drogach i bezdrożach.

Przebyłem ocean, aby cię, odnaleźć. Moi ludzie i ja deptaliśmy ci po piętach, jechaliśmy w kurzu opadającym po twoim przejeździe. Zadawaliśmy tysiące pytań, opisywaliśmy, wyjaśnialiśmy, posługiwaliśmy się kłamstwem, groźbami i złotem. Ciągłe zmniejszaliśmy dzielącą nas odległość.

Teraz, kiedy w końcu mam cię w ręku, myślisz, że dam się zwieść twoim ałosnym wyglądem czy oszukańczą opowieścią o dwu podobnych do siebie kobietach, pięknych i inteligentnych, które z mężczyzn robią durniów?

To był prawdziwy potok słów, pięknie sformułowanych, ale bolesnych. Patrzyła na niego w bezsilnej furii, kiedy ciągnął dalej:

- Mój brat, przyszły król, wykarmiony na migdałach, kobyli mleku i ojcowskiej miłości, z jasno ukształtowanym umysłem, ćwiczony w rozlicznych dyscyplinach, był przygotowany do kierowania sprawami państwa. Nie miał umrzeć w rozpustnym łóżku z ładacznicą.

Ja, przeciwnie, nie zostałem starannie wychowany ani gruntownie wykształcony. Wyklęty przez ojca, włóczyłem się, gdzie mi się ywnie podobało. A teraz oto stoję oko w oko z morderczynią brata... Nikt mi nie wmówi, że nie istnieje przeznaczenie.

Oczy mu płonęły, choć mówił głosem dość jednostajnym.

Nagle przerwał. Pochylił się, jedną ręką chwycił ją od tyłu poniżej kolan, drugą - pod pachy i podniósł. Była tak przerażona, że nawet nie próbowała się bronić przez te kilka sekund, jakich potrzebował, by donieść ją do łóżka.

Na swój sposób kochał brata, podziwiał go, darzył go uznaniem, a teraz chciał się pozbyć bólu wywołanego jego bezsensowną śmiercią. Chciał ukarać kobietę, którą uznał za winną wszystkiemu. Co chciał osiągnąć? Czy przez swoje poświęcenie sprawie miał nadzieję dowieść, że nadaje się do objęcia rządów w Ruthenii? Może przez swoje oddanie się poszukiwaniom chciał zdobyć przychylność ojca?

Zaskrzypiały sprężyny materaca, gdy rzucił ją na łóżko i sam kładł się obok niej. Zdjął buty i zaczął rozpinąć guziki munduru. W obronnym geście wyciągnęła przed siebie rękę.

- Wasza Wysokość, proszę poczekać. Czy nie mógłby pan sprawdzić tego, co mówię?

Oczy miał zamknięte, gdy zdejmował bluzę munduru.

- Odkładać to co nieuniknione? Dać ci czas, byś znowu coś wymyśliła? To odpada. Masz dwa wyjścia.

Pierwsze, zakładając, że jesteś kuzynką Claire, powiedz mi, gdzie ona jest...

- A jeśli, będąc niewinna, nie zrobię tego, to co?

- Musisz. I mo esz, jeśli tylko jesteś tą, za którą się podajesz. Ostatnie informacje, jakie zdobyliśmy, wyraźnie wskazywały, e zmierza do St. Martinville, do domu matki. Jeśli jesteś jej krewną i mieszkasz tam, musiałaś ją widzieć. Słuchacy powiedzieli, e ostatniego wieczoru tylko jedna młoda kobieta była w tamtym domu, więc jeśli ty nie jesteś Claire, to ona sama musi być gdzieś w pobliżu, mo e nawet w mieście. Angeline Fortin mo e być natychmiast uwolniona.

Wystarczy powiedzieć...

- A drugie wyjście? - ledwo wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

Wiedziała, e odmowę wydania kuzynki księżę potraktuje jak współdziałanie w przestępstwie. Ale przecie nie mo e jej zdradzić. Pogrzebanie kuzynki dla własnego bezpieczeństwa - to klóciłoby się z jej sumieniem.

- Mo esz liczyć na moją wielkoduszność, jeśli tylko wyznasz, jak i dlaczego pozbawiłaś życia Maxa i kto był twoim współnikiem.

Angeline uświadomiła sobie, e cała zagadka sprowadza się do tego pytania, a groźba, jaka nad nią zawisała, miała zmusić ją do odpowiedzi. Zaczynała się domyślać, e tu nie chodzi o zemstę oszukanej kobiety, co sugerowałyby opowieść Claire, ale raczej o nieudaną próbę upozorowania samobójstwa Maxa z Claire jako drugą ofiarą. Jaką miała szansę, by przekonać go o prawdzie, skoro nabił sobie głowę swoimi racjami, a ją uznał za winowajczynię?

Oddechnęła kilka razy głęboko, zanim się zdecydowała.

- Godząc się na pańską propozycję, podjęłabym, oczywiście, du e ryzyko, jako e sam pan powiedział, e pańska łaska jest ju - eby tak rzec - na wyczerpaniu i...

- A jednak zapamiętałaś - powiedział nie bez satysfakcji. Poruszał się wolno. Niespiesznymi ruchami zdjął mundur. Zaczął rozpinać spodnie.

Błada z przerażenia patrzyła mu w oczy. Nagle odskoczyła, rzucając się w drugi koniec łóżka.

Odruchowo schylił się i chciał ją złapać za rękę, ale udało mu się chwycić tylko za rękaw.

Materiał pękł i spod okrycia ukazało się nagie, jak z alabastru, ramię. Przez moment nie wiedziała, co zrobić, ale zaraz szarpnęła: oderwany rękaw pozostał mu w palcach.

Zgubiła gdzieś buty i pod bosymi stopami czuła zimną podłogę, gdy biegła w kierunku drzwi.

Zawahała się na ułamek sekundy: wiedziała, e na zewnątrz są ludzie księcia gotowi ją w każdej chwili zatrzymać. Ale w tej chwili nie było to ważne. Jej jedyną szansą było przemknąć między nimi.

Ten moment zawahania wystarczył: dopadł ją. Ramię, niczym elazna obręcz, objęło ją w pól, kolana się ugięły i ju leciała na podłogę. Nie upadła jednak. Podtrzymywana, osunęła się na kilim przed kominkiem.

- Pierwszy upadek przede mną i punkt dla mnie - rzekł z nieskrywanym zadowoleniem.

Ogarnęła ją dzika furia. Wygięła się w łuk, wyciągniętymi rękami dosięgnęła jego twarzy.

Paznokcie pozostawiły na policzkach głębokie ślady. Złapał ją za nadgarstki, skrzy ował ręce na plecach i przyciągnął do siebie. Piersi jej unosiły się w rytm urywanego oddechu.

Desperackie próby uwolnienia się tylko zwiększały nacisk twardego męskiego ciała. Z

zaciśniętymi zębami próbowała uwolnić rękę. Usiłowała kopać, ale podciągnął kolana, przeło ył w poprzek jej nóg, całkowicie ją unieruchamiając. Musiała się poddać. Patrzyła na niego z bezsilną złością jak zwierzątko zamknięte w klatce.

Zapadła cisza, w której słycać było tylko trzaski ognia w kominku. Płomienie tańczyły na twarzy nachylonego nad nią mę czyzny, oświetlając szramy, jakie przed chwilą zostawiły jej paznokcie.

Powoli, wpatrując się w jej oczy, dotknął ustami jej ust.

Pocałunek był mocny, brutalny. Rozwarł jej zaciśnięte wargi. Nigdy do tej pory nie doświadczyła fizycznej przemocy. Była czysta, nietknięta. O namiętności, jaka mo e towarzyszyć miłości, miała jedynie blade wyobra enie.

Jej wuj, na długo przed śmiercią, zwykł był całować ją w policzek, a Andre Delacroix, jej adorator, podnosił czasem koniuszki jej palców do gorących warg. Nic więcej. Ten gwałt był dla niej niezrozumiały, był jak przykre zdarzenie, które burzy jej radość ycia i pozostawia po sobie wyniszczającą rozpacz.

Odsunął na bok złoty wisiołek z flakonikiem perfum.

Łańcuszek zaśnił odbitym światłem, tworząc złotą linię w poprzek szyi. Flakonik zginął w gęstwie włosów.

Zdjął z niej biało wyszywany gorset uwalniając ze skrępowania kuszące, kształtne piersi. Z

bolesną powolnością ujął palcami stanik i pomału, w dół, przez biodra, zdjął go z niej razem z resztą bielizny.

Otwartą dłonią dotknął nagiej skóry brzucha. Przeszedł ją dreszcz, oddychała pospiesznie, obracała głowę raz w lewo, raz w prawo w geście rozpaczliwej obrony.

Czuła pulsującą w yłach krew, zalewającą całe ciało uczuciem głębokiego poni enia, a zarazem czegoś oczekiwanego, bez radości, ale nieuniknionego. Zacisnęła powieki i tylko rzęsy drgały jej nerwowo.

Opór jej słabł. Oddech stawał się coraz krótszy i urywany, gdy jego pieszczoty docierały do coraz intymniejszych zakątków jej ciała. Starala się nie reagować, ale czuła, e traci panowanie nad sobą.

Rozpalone uda budziły ostre poczucie wstydu. Zapra gnęła ciemności, by się w nich skryć, ale sama ju nie wiedziała, czy starczyłoby jej siły, by przed tym, co w sposób nieunikniony nadchodziło, uciec w nieprzeniknioną noc.

Podniecenie rośło. Ostre dreszcze przeszły ją raz i drugi. Mięśnie brzucha tę ały. To było wyrafinowane okrucieństwo, gwałt zadawany zmysłom. Doprowadzenie jej do takiego napięcia było wymyślną torturą. Ale pozostawienie jej w takim stanie byłoby ju diabolicznym aktem zemsty.

Le ała rozpalona, ledwo oddychając. Piersi poruszały się nieznacznie w rytm bicia serca. Gdy na moment podniosła powieki, ukazały się spod nich płonące, wielkie, jakby zdziwione oczy.

On patrzył na nią takim wzrokiem, jakby zamiast oczu miał rozpalone węgle. Mięśnie twarzy, ściągnięte i naprę one, pokryły się drobnymi kropelkami potu.

Mimo doświadczenia, pewności siebie, nie pozostawał obojętny. Zamierzał jedynie przełamać jej opór, ale sam uległ swojej grze. Zrozumiała to instyktownie.

Na spierzchnięte wargi usiłowała przywołać coś w rodzaju uśmiechu i odwrócić się od niego.

Pochwycił ją gwałtownie i przydusił tak, e nie była w stanie się poruszyć. Chrapliwym głosem wykrztusił:

- Teraz punkt dla ciebie.

Ogarnęło ją jakieś dziwne, niezrozumiałe poczucie tryumfu, gdy zrywał z siebie spodnie, rozchyłał jej uda w gwałtownym poszukiwaniu. Poczul opór. Chciał się zatrzymać. Rzucił jakieś ledwo dosłyszalne przekleństwo. Ale było ju za późno. Krzyk uwiązał jej w gardle, ostry ból przeszył ciało. Nie mogła oddychać, nie była w stanie się poruszyć, całkowicie pochłonięta bólem w swoim wnętrzu.

Czas stanął w miejscu. Dopiero po długiej chwili puścił jej rękę i pogłaskał po ramionach.

Przysunął się bli ej i w jej rozsypane włosy powiedział skruszonym głosem:

- Proszę o rozejm. A ponieważ to ja cię źle potraktowałem i zraniłem, pozwól, e opatrę ci rany.

Objął ją. Wargami dotykał jej czoła, brwi, delikatnych kącików ust, a się same rozchyliły. Ujął

dłońmi piersi, palcami pieścił ich sterczące szczyty, a wyzbyła się strachu i zaczęła poddawać jego powolnym ruchom.

W całym ciele czuła coś zupełnie nowego, coś, co siecią nerwów rozpływało się po niej całej.

Podniosła ręce, by go od siebie odsunąć, ale zamiast tego objęła go za szyję, zagubiona w prze ywaniu nowych doznań.

Poza tą chwilą nie istniało nic: adna przeszłość, adna przyszłość, tylko uderzenia krwi, tylko

całkowite zapomnienie, gwałtowne stopienie ciała, a potem - zupełny bezruch.

Długo le eli spleceni ze sobą. Czuła na piersi uderzenia jego serca i powolne opadanie napięcia z własnego ciała. Dopiero po jakimś czasie podniósł się trochę i oparł na łokciu, ona zaś otworzyła oczy i z rozpaczą patrzyła na niego. Przyglądał się jej w skupieniu spod opadającej na czoło grzywy złotych włosów. Nie zdradzał swoich uczuć, poza momentem skruchy sprzed chwili, bo uznał, e przynajmniej tyle jest jej winien. Całkowicie wynagrodzić tego, co jej zrobił, nie był

teraz w stanie.

Unikała jego wzroku. Podniosła rękę pokrytą gęsią skórką i nagle zdała sobie sprawę, e w pokoju panuje przenikliwe zimno. Książę również to spostrzegł, więc zaraz podniósł się na jedno kolano, wsunął pod nią ręce i stanął na nogach, trzymając ją w objęciach. Położył ją na łóżku i okrył kołdrą.

Odwrócił się i, zupełnie nagi, skierował się do drzwi.

Był wspaniale zbudowany: szeroki w ramionach, z płaskim brzuchem, z długimi, kształtnymi nogami, bez grama tłuszczu. Mięśnie pleców odznaczały się wyraźnie, gdy otwierał drzwi.

- Sarus! - krzyknął, a echo poniosło się po domu.

Służący pojawił się, zanim wezwanie przebrzmiało w hallu. Stanął w drzwiach i w milczeniu czekał poleceń.

W stronę Angeline nawet nie spojrzął, ale była pewna, e nie przeoczył nic: garderoby rozrzuconej po całym pokoju, jej bladości ani potarganych włosów. Jeśli nawet coś takiego go dziwiło, to nie dał tego po sobie poznać.

- Brandy dla dwojga - rozkazał książę. - I kolację, te dla dwojga.

Zamknął drzwi i wolno wrócił do pokoju. Przyklęknął przy kominku, by dorzucić drewno. Robił to szybko i zręcznie, jakby nie wiedział, e takie zajęcie nie pasuje do książęcych rąk. Potem dopiero podniósł spodnie, założył je, obrócił się w jej stronę i idąc w kierunku łóżka, zapinał

pasek.

Łóżko, z opartym na czterech drewnianych baldachimem, wykonane z wiśniowego drzewa, zdobiły misternie rzeźbione lilie. W nogach łóżka, powyżej ścianki, umieszczony był drewniany słup do przewieszania pościeli podczas wygładzania materaca i zaścielania. Na tym słupku Rolfe oparł ręce i przyglądał się Angeline zaintrygowany.

- Zdaje się, e znalazłaś trzecią drogę, by udowodnić, kim jesteś, Angeline Fortin.

Bez zdziwienia przyjęła to, e ułożył jej imienia i nazwiska.

- Mogę pana zapewnić, e nie miałam takiego zamiaru.

- Przepraszam za uycie siły, ale nie mam wprawy w postępowaniu z cnotkami...

Mogła mu nawet uwierzyć, ale to wcale nie rozpraszało jej przygnębienia.

- Tak, rozumiem. Wprawę ma pan w postępowaniu z... utrzymankami...

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi. Sarus wniósł tacę z karafką brandy oraz całym zestawem potraw, nakryć i szklanek. Ustawił ją na stole przysuniętym do łóka. Otworzył karafkę i nalał po trochu w dwa kieliszki, po czym cofnął się, oczekując dalszych poleceń. Ksiąę przyjrzał się uwa nie tacy i dał mu znak, by wyszedł.

Wziął do ręki oba kieliszki i jeden wręczył Angeline.

- Dziękuję, nie. Nie jestem przyzwyczajona do mocnych trunków.

- adna dama nie jest. Rozumiem to – powiedział z nutką zniecierpliwienia w głosie - ale w takiej chwili jak ta, ratafia czy rozcieńczone wino nie wystarczą.

- Nic mi nie trzeba, naprawdę.

Podniósł w górę brwi.

- Sądysz mo e, e chcę cię upić? Pragnę zwrócić ci uwagę, e taka potrzeba w tej chwili nie istnieje.

Rumieniec gniewu oblał jej twarz. Przesunęła się wy ej na poduszce, pochwyciła kołdrę i okryła się szczelnie.

- Ani mi to przez myśl nie przeszło.

- To co się stało? Mo e chcesz, ebym cię zmusił?

Mo e to będzie przyjemniejsze?

Z błyskiem w oczach pochwyciła kieliszek. Dotknięta aluzją zawartą w jego słowach, wzięła zbyt du y łyk piekącego trunku. Utknął jej w gardle, zabrakło jej tchu.

Przełknęła z wysiłkiem, a łzy pojawiły się w oczach.

Błysk rozbawienia rozjaśnił mu twarz. Upił trochę ze swego kieliszka i siadł na brzegu łóka.

- Brandy i wściekłość to piorunująca mieszanka na bezsensowną...

Łańcuszek, który miała na szyi, przesunął się na swoje miejsce, gdy niósł ją do łóka. Flakonik z perfumami tkwił między piersiami. W momencie kiedy próbowała się cofnąć, wysunął się stamtąd i światło odbiło się w jego misternych splotach. Ksiąę zauwa ył go. Pochylił się, gorącymi palcami dotknął jej skóry, gdy chwycił flakonik. Przyglądał mu się dokładnie przez dłu szą chwilę.

- Najpierw dopij brandy - rzekł - a potem powiesz mi, gdzie ona jest.

Teraz nie piekąca moc brandy, ale niebezpieczny błysk w jego oczach spowodował, e zaczęła się jąkać.

- Nie... nie wiem... o czym pan mówi...

- Nawet nie próbuj się wykręcać. Jak nie mogę przypuszczać, eby mój brat był na tyle głupi, by utrzymywać kochanki dziewice, tak ciebie nie mogę oskarżyć o jego śmierć. To oczywiste.

Poniewa jednak drobiazg, który masz na szyi, oznaczony jest jego inicjałami, a tak zwykł był znakować prezenty rozdawane w zamian za wyświadczone mu usługi, nie możesz zaprzeczyć, e widziałaś się z Claire de Buys. Pytam cię jeszcze raz, ostatni raz: Gdzie ona jest?

- A jeśli nie zechcę panu powiedzieć, to co wtedy?

Podniosła zaczepnie głowę, chocia wiedziała, e to niemądry gest. Ale nie mogła się powstrzymać.

Puścił flakonik, tak e z cichym plaśnięciem upadł na jej piersi.

- Złość nie jest dobrym środkiem podniecającym. Przyjmij to do wiadomości. A głupotą będzie, jeśli uznasz, e nie masz się ju czego bać.

Przymknęła oczy. Obracała kieliszkiem tak, e brandy cieniutką warstewką opływało wewnątrz szkła.

- Jeśli nawet widziałam się z Claire, jeśli nawet wiem, gdzie ona w tej chwili jest, to jak mam panu powiedzieć? Przecie to byłaby zdrada kogoś z rodziny, jedynej, jaką mam. To tak, jakbym własną siostrę wydała w pana... ręce...

- Twoje skrupuły są godne podziwu, ale czy zdajesz sobie sprawę, ile cię mogą kosztować?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- O ile j e s z c z e te koszty mogą wzrosnąć?

- Zastanów się - rzekł odwróciwszy głowę. - W domu ciotki nic się nie poruszyło, gdy tam wchodziłem.

Nic się te nie stało, gdy stamtąd wychodziliśmy.

Z całą pewnością nikt nie zauważył twojej nieobecności i jeśli jeszcze tego ranka wrócisz, nikt się nie domysli, e coś się stało. Nikt ci nie będzie mógł niczego zarzucić. Nic, co mogłoby ci w przyszłości zaszkodzić.

Ale, z drugiej strony, jeśli odwiozę cię tam w pełnym świetle dnia, przewieszoną przez siodło, na oczach sąsiadów i słuchających twojej ciotki, to co wtedy?

Nie miała co zgadywać. Plotka rozniesie się natychmiast. Starsze panie, stró e moralności, zrobią swoje. Rodzice jej kole anek zapoznają ze sprawą swoje córki i naka ą, by się z nią nie kontaktowały, bo same mogą stracić dobrą opinię. Kawalerowie nie będą się do niej odzywać, chyba e po północy, pod jej oknami, by się z niej powyśmiewać. Mo e się sama skazać na los samotnej starej panny albo, jeśli to oka e się nie do zniesienia, ulicznej dziewczyny w mieście.

- Bardzo nieciekawe widoki - powiedział przyglądając się jej zastygłej twarzy.

- Nie... nie powinien... nie będzie pan tak okrutny.

- Przeciwnie. Będę. I posunę się jeszcze dalej, byleby wykryć morderców mego brata.

Angeline odwróciła się do ognia.

- Jeśli to jest droga, którą musi pan iść, nic na to nie poradzę. Zrobi pan to, co zrobić musi...

- Nie sędę, byś zdawała sobie sprawę z tego, na co z takim spokojem się nara asz - rzekł i pochwycił ją za ręce. - Zastanowiłaś się chocia przez moment, czy Claire jest warta tego poświęcenia?

- Nie robię tego dla niej. Robię to dla zachowania własnej godności.

- A więc wiesz, gdzie ona jest i w swym świętoszkowatym uporze odmawiasz mi odpowiedzi?

Czy wiesz, jak mało brakuje, ebym cię naprawdę zbił?

Mówił głośno, z trudem hamując gniew. Ślady po jej paznokciach wystąpiły mu na policzkach, czerwone i ywe. Niebieskie ogniki zapaliły się w oczach. Pochylił się nad nią. Patrzyła mu wyzywająco w oczy.

- Zastanawiam się tylko, kiedy do tego dojdzie.

- To dłu ej się nie zastanawiaj!

- Mam się czołgać przed panem i błagać o litość?

Myślę, e to nie miałoby sensu. Jak pan widzi, pańska taktyka nie przynosi efektów. Przestraszyć kogoś mo na tylko czymś mu nie znanym. Mnie uczynił pan najgorsze, co mo na uczynić kobiecie, więc niczym więcej ju mnie pan nie przerazi.

Czy to wypita brandy dodała jej odwagi, by rzucić mu w twarz takie słowa? Nie wiedziała, ale wypowiedziała je bez wysiłku i bez strachu.

Dopił swoją brandy, odstawił kieliszek na tacę, wyciągnął ręce i całym cię arem oparł się na jej ramionach.

- Je eli uwa asz, e to, co cię spotkało, było najgorszą rzeczą, jaka cię spotkać mogła, to zapewniam

cię, e się mylisz. To tylko wstęp do tego, na co mnie stać. Jesteś moim więźniem.

Mogę zrobić z tobą, co zechcę. Jeśli będziesz oporna, dopuszczę się nawet tortur, aby zdobyć potrzebne mi informacje.

- Ciotka rano zauważyła moją nieobecność i podniesie alarm.

- To niewykluczone. Ale nie sądzę, by wysnuła podejrzenie, e jesteś ze mną. Będzie się obawiała niepotrzebnych pytań w rodzaju: dlaczego uprowadziłem właśnie ciebie. Nie, nie sądzę, abym natrafił na jakieś przeszkody...

- Myli się pan - ledwo wykrztusiła Angeline.

Wyciągnął rękę, podniósł jeden z loków opadających na ramiona i przesunął go pomiędzy jej piersi.

- Myślę, e nie. Zresztą ju mi trochę pomogłaś.

Wiem, e Claire jest gdzieś w pobliżu. Jeszcze trochę, a powiesz więcej. Tymczasem zaś będę cię zabawiał swoim towarzystwem.

- Odkryją tu pana w ciągu jednego dnia.

- Bardzo mo liwe, ale takie ryzyko gotowy jestem podjąć.

Wyciągnął rękę w stronę flakonika wiszącego między jej piersiami.

- Nie podoba mi się ta prymitywna ozdoba. Mo e była dobra dla Claire, ale nie dla ciebie.

Zręcznie rozpiął zameczek i zdjął wisiorek. Następnie wyjął kieliszek z jej ręki i odstawił na stół.

Obok położył łańcuszek z flakonikiem. Obrócił się do niej, wsunął rękę pod plecy i przyciągnął ją do siebie.

Protest zamarł jej na wargach, kiedy chłonał je w gorącym po ądaniu. Le ała sztywna. Jak miała z nim walczyć? Czego miała bronić? Nie będzie miał z nią adnej przyjemności. Niczym nie da po sobie znać, co się w niej dzieje. Mo e zrezygnuje? Musi za wszelką cenę uciec. I niech robi, co chce. Od niej nie dowie się niczego. Niczego.

Rozdział 4

W chłodnym powietrzu unosił się podniecający zapach kawy. Angeline obudziła się. Był jasny dzień. W całym ciele czuła dziwną ocię ałość, jakby spała długo i głąboko.

Było jej ciepło i wygodnie i wcale nie miała ochoty ruszać się stąd. Przeciągnęła się, z uśmiechem podnosząc ręce wysoko ponad głowę, a czubkami palców u nóg dotykając szczytu łó ka.

Odwróciła się i zobaczyła leżącego obok Rolfe'a.

Natychmiast, niczym zły sen, wróciły wspomnienia wydarzeń ubiegłej nocy. Gwałtownie odwróciła głowę i spojrzała księciu w oczy. Leżał obserwując ją ze spłoszoną miną.

- yczę ci przyjemnego dnia - powiedział.

Twarz miał poraną czerwonymi pręgami - ślady po jej paznokciach. Ranne porwanie to nie był sen, to była okropna rzeczywistość. A teraz, w świetle dnia, jeszcze okropniejsza.

- Dzień dobry - mruknęła w odpowiedzi.

- No, myślę, że jest już późne popołudnie. A ty jesteś chyba trochę rozbita.

- To... to... uprzejmię z pańskiej strony, bo inaczej pewnie umknęłoby to mojej uwagi.

- Zła, co? Dobrze. Objawy złego humoru wymagają leczenia zdecydowanymi środkami.

- Groźby z samego rana? Przed śniadaniem?

Ma pan dość schematyczny sposób rozmowy, prawda?

Uśmiechnął się, a wokół oczu uwidoczniła się siateczka zmarszczek.

- To brzmi jak skarga, która zaraz jednak zostanie wysłuchana. Czy pozwolisz, że zwrócę twoją uwagę na tacę tu przy łokciu? I czy mogę cię prosić o kawę?

Zmarszczyła czoło i, nie dowierzając jego nagłej uprzejmości, odwróciła głowę i zobaczyła stół

przysunięty do łóżka, ustawiony niewątpliwie przez bezgłośnie poruszającego się Sarusa. Stał na nim srebrny czajnik, z kłębem pary unoszącym się z dzióbka, dzbanek z gorącym mlekiem, zestaw srebrnych i kryształowych pojemniczków z dekami i powidłami oraz koszyczek pełen pachnących drożdżowych bułeczek, a wszystko nakryte białą, lnianą serwetą. Podciągnęła się wyżej na poduszce, a kołdra opadła i odsłoniła nagie, sterczące piersi. Nagle zdała sobie sprawę z dwuznaczności sytuacji, w jakiej się znajdowała: leżała naga w łóżku nieznanego mężczyzny, który najspokojniej w świecie podawał jej filiżankę, by naleła mu *café au lait*.

Co mogła zrobić?

Czuła się nieswojo, nalewając kawę do filiżanki z chińskiej porcelany, mieszając ją z mlekiem, podając ją siedzącemu obok mężczyźnie z naturalną gracją damy zasiadającej przy stole w czasie popołudniowej herbaty. Jeszcze bardziej krępujące było to, że czuła ogromny głód i bez trudu pochłonęła dwie bułeczki.

Kiedy sięgnęła po trzecią, zdało się jej, że księżyc z aprobatą skinął głową, ale ponieważ rozmyślnie starała się przez całe to krępujące śniadanie nie patrzeć w jego stronę, nie była tego zupełnie pewna.

Im dłużej jednak o tym myślała, tym bardziej się w tym utwierdzała i było jej coraz trudniej przełykać. Niemal z ulgą przyjęła podaną filiżankę, by mu ponownie nalać kawy.

Wziął podany napój, poprosił o następną bułeczkę, posmarował ją dokładnie masłem, potem d emem figowym.

- Myślę, że nie doceniłem ani ciebie, ani Claire.

- Czy by?

- Wczoraj wieczorem z domu twojej ciotki wyszły dwie kobiety. Tak mówił Leopold. Biorąc pod uwagę zwyczaj kobiety europejskiej, która krokiem nie rusza się z domu same i nawet w drodze do szpitala wymaga towarzystwa, doszedłem do wniosku, że jedną z tych dwu była Claire, a drugą jej siostrę. Później, kiedy zobaczono ciebie samą na drodze, pomyślałem, że siostrę albo idzie przed tobą, aby sprawdzić drogę, albo przestraszona uciekła. W jednym i drugim wypadku ta druga kobieta przestała mnie interesować, jako że miałem ciebie, a raczej Claire, bo tak wtedy sądziłem. Udowodniłaś mi, że się mylę. Ale w tej sytuacji powstaje pytanie, co się stało z tą drugą kobietą. Czy rzeczywiście była to siostrę? A może ta druga kobieta to była Claire? Może to ty sama zabrałaś Claire z domu ciotki, odprowadziłaś pod osłoną ciemności do miejsca ukrycia, a potem tą samą drogą wracałaś do domu?

Wpadła w popłoch. Nie mogła dać tego po sobie poznać, więc spokojnie popatrzyła w jego stronę.

- To chyba jasne, Wasza Wysokość, że nie mogę tego ani potwierdzić, ani temu zaprzeczyć, prawda?

- W tej sytuacji - powiedział marszcząc czoło - wolałbym, abyś mówiła mi po imieniu. A co do twojego pytania, to chyba masz rację. Niemniej, *fortuna favet fortibus!*

Znała łacinę.

- To prawda, że fortuna sprzyja odważnym. Ale odwaga może nie wystarczyć, by znaleźć osobę, której tu nie ma.

- Zgadza się, tylko że w takim wypadku moim ludziom będzie wstyd, że...

Ponieważ nie odpowiadała, położył się w poprzek jej nóg, by odstawić na stół filiżankę. Cofnęła się instynktownie.

Widząc tę reakcję, najpierw się skrzywił, a potem uśmiechnął. Położył ciękłą rękę na biodrze Angeline, tak że kołdra sama się osunęła, odsłaniając piersi.

- Pozwoliłem ci nazywać się po imieniu, ale dotychczas nie usłyszałem tego z twoich ust.

- Nie miałam jeszcze okazji...

- Ze względu na konwenanse chcesz zachować dystans? Na to nie mogę pozwolić. Masz się zwracać do mnie po imieniu.

Nachylił się, ustami dotknął jej obojczyka, potem sięgnął niżej, do kształtnych, sterczących piersi.

- Nie! - zawołała bez tchu. - Co ma za znaczenie, jak będę pana nazywała?

- Jestem przyzwyczajony, eby mnie słuchano i nie znoszę żadnych oporów.

Gdy poczuła gorąco jego oddechu, podniosła ręce i... zanurzyła palce w jego miękkie loki.

- I jest pan zepsuty ponad wszelką miarę.

- W ten sposób szukasz dobra mojej duszy czy wyrażasz swoje oburzenie?

Próbowała go odepchnąć, ale zupełnie nie zwracał na to uwagi. Koniuszkiem języka dotykał jej wrażliwych miejsc, a ręką coraz niżej ściągał kołdrę. Dotknął bioder, potem ud.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

Angeline odetchnęła z ulgą.

- Ktoś puka.

- To tylko Sarus - powiedział nie podnosząc głowy.

Pukanie się powtórzyło.

- Proszę, Rolfe. Proszę.

Podniósł się, ułożył kołdrę na swoim miejscu. Z ociąganiem przesunął się na drugą stronę łóżka.

- Ten człowiek dobrze wie, co ma robić – powiedział z ponurym uśmiechem.

Sarus wniósł miedzianą wannę i gorącą wodę. Kąpiel zdawała się należeć do codziennego rytuału, jakiego nie słyszała, by ktoś ją zamawiał. Sarus tego niczego nie tłumaczył. Chociaż sama bardzo lubiła kąpiel, to jednak taka dbałość o czystość u mężczyzny zaskoczyła ją, tak że skupiła uwagę bardziej na samym myciu niż na Rolfie, który, nie zwracając uwagi na płaszczyznę kąpielową, ułożył się przez Sarusa na skraj łóżka, zeskoczył z materaca i wszedł do wanny.

Kąpał się tak, jak robił wszystko inne: szybko, precyzyjnie, bez zbędnych ruchów. Chłodu, panującego w pokoju, mimo ognia, który Sarus rozpałał, ktoś się zdawał nie dostrzegać, gdy w kłębach pary, unoszącej się z gorącej wody, namydlał się i opłukiwał. Potem wyszedł z wanny, pozwolił sługaczemu ubrać się w nieskazitelnie biały, chociaż nie tak oficjalny i powaźny mundur jak ten z poprzedniej nocy. Sarus przyniósł świeżo wyczyszczone buty, podał rękawiczki i przeczesał mu włosy. Kilkakrotnie podczas tego ceremoniału Rolfe pochwycił spojrzenie Angeline, ciesząc się wyraźnie jej zmieszaniem. Na koniec Sarus podszedł ze szpadą, by mu ją przypasać do boku.

Dobry humor Rolfe'a zniknął, gdy stanął gotowy do wyjścia. Poleciał sługaczemu przygotować kąpiel dla Angeline i wydał jeszcze inne, niezrozumiałe dla niej polecenia. Na koniec powiedział:

- Wykonasz ka de jej polecenie, z wyjątkiem wyszukania sposobu na opuszczenie tego domu.

Gustave pozostaje na stra y.

Wiedząc, e to ostatnie polecenie wydane zostało bardziej na u ytek jej ni słu ącego, spytała:

- A kto to jest Gustave?

- To mój najstarszy, a więc, jeśli idzie o ciebie, najbardziej godny zaufania człowiek.

Stał, czekając na jej reakcję. Zdobyła się na nikły uśmiech.

- Postaram się pograć mu na nerwach.

- Nie radziłbym - rzekł zbli ając się lekkim krokiem.

- Nie jest a taki stary...

Z jedną ręką na gardzie szpady, nachylił się nad nią, by ją pocałować. Spróbowała się cofnąć, lecz chwycił ją za podbródek i zmusił do pocałunku.

- Z tego zwyczaju mam szczerzy zamiar wyleczyć cię zaraz po powrocie.

- Nie będzie mnie tu! - zawołała z wymuszoną brawurą.

Wyprostował się i ruszył w stronę drzwi, które Sarus przed nim otworzył.

- Będziesz - rzucił, nie odwracając głowy.

Angeline poczekała, a słu ący zamknął drzwi za sobą i swoim panem i kroki księcia ucichły w głębi domu. Rozejrzała się za swoim ubraniem, ale nigdzie nic nie mogła znaleźć. Przypomniała sobie białe zawiniątko, które Sarus trzymał pod pachą. Czemu je zabrał?

Czy by dlatego, by uniemo liwić jej ucieczkę? Chyba nie. Nie słyszała na ten temat adnych poleceń, a nie sądziła, by słu ący zrobił to z własnej inicjatywy. Mo e pomyślał, e to jakieś szmaty? Ich wygląd mógł to sugerować. Musi go spytać, gdy tylko się tu pojawi.

Podejrzliwie popatrzyła na płaszcz kąpielowy księcia le ący w nogach łó ka, ale odwróciła się: nie posunie się do tego, by ubierać się w cudze rzeczy. Owinęła się w prześcieradło i wstała z łó ka. Podeszła do frontowego okna, odsunęła zasłony i wyjrzała.

Na podwórzu stały konie przywiązane do metalowych słupków, osiodłane i niecierpliwie przestępujące z nogi na nogę. Uprzą błyszcząca w słońcu. Słychać było głośne rozmowy. W

głębi domu rozległ się urywany męski śmiech. Gdzieś trzasnęły drzwi. Z domu wyszedł ksią ę, a za nim wysypali się jego ludzie. Dosiedli koni z zadziwiającą wprawą. Rolfe uniósł rękę, a światło zagrało odbite w pierścieniu. Ruszyli galopem. Wkrótce odgłos kopyt umilkł w oddali.

Angeline dłu szą chwilę stała przy oknie z czołem wspartym o zimną szybę i patrzyła w przestrzeń nic nie widzącym wzrokiem. Czuła się zawieszona w pró ni.

W końcu sama. Bez wibrującej obecności Rolfe'a.

Nierzeczywistość ostatnich wydarzeń zdawała się jeszcze narastać. Takie rzeczy nie przydarzają się młodym niewinnym kobietom ze środowiska takiego jak jej. Wiedziała, e będzie musiała ponieść ich konsekwencje, ale nie wiedziała, czy w którymś momencie mogła postąpić inaczej.

Zastanawiała się, czy ciotka zauwa yła jej nieobecność, a jeśli tak - to co o tym pomyślała. Czy pozostał jakiś ślad, który mógłby wskazywać, e ksią ę był w ich domu?

Nie wydawało się to prawdopodobne. Tylne drzwi były zamykane jedynie na klamkę; do domu mo na było się dostać bez wywa ania drzwi. Wszystko wskazywało raczej na to, e nie wróciła, e nie spała w swoim pokoju.

Czy Madame, jej ciotka, brała pod uwagę taką mo liwość, e została na noc w klasztorze? Znając matkę Teresę i jej troskliwość o Angeline, musiała się liczyć z taką ewentualnością. W takim razie nie tak szybko podniesie alarm. O takiej mo liwości, e ciotka w ogóle nie da nikomu znać, wołała raczej nie myśleć.

Na delikatne pukanie do drzwi poderwała się i odwróciła od okna. Podbiegła do łó ka, wsunęła się pod kóldrę i dopiero wtedy powiedziała:

- *Entrez.*

Był to Sarus. Przyniósł gorącą wodę do kąpieli.

Stanąwszy w drzwiach, najpierw się uklonił, a dopiero potem wszedł i postawił naczynia. Z

widoczną łatwością chwycił wannę z zimną wodą i wylał ją do pustych wiader. Wannę ustawił

bli ej kominka, na którym teraz buzował ju wielki ogień. Napełnił ją wodą. Wyszedł i po chwili wrócił z parawanem, który ustawił tak, by osłonić Angeline od przeciągów. Poło ył ręczniki i kostkę pachnącego mydła, uklonił się ponownie, wziął wiadra z zimną wodą i wyszedł z pokoju.

Nie spodziewała się takiej dbałości o jej wygody. To było cudowne uczucie móc wejść do wanny, zanurzyć się w gorącej wodzie. Miała lekkie siniaki pod ebrami, w miejscu gdzie Rolfe ją chwycił, by podnieść na siodło. Miała te trochę obrzmiałe wargi. Sine i czerwone plamy widoczne były na przegubach rąk, a tak e drobne otarcia skóry po wewnętrznej stronie ud. To były ślady po prze yciach nocy i tak naprawdę - innych nie odczuwała. Nie czuła się odmieniona.

Chocia były to bez wątpienia prze ycia bardzo przykre, nie zamierzała się samobiczować. Myśl, e mogą się powtórzyć, nie była przyjemna, ale te nie doprowadzała do rozpacz.

Nienawidziła mę czyny, który ją tu siłą sprowadził i wziął przemocą. Chętnie zobaczyłaby go na szubienicy.

Ale te zdawała sobie sprawę, e nie bardzo mo e na to liczyć. Mogła kopać i krzyczeć, ale na co by się to zdało?

Có mogła zrobić? Z pewnością znajdzie się jakiś sposób, by się na nim zemścić, ale na razie musi postępować bardzo ostro nie. Jej sposobem na najbliższą przyszłość mo e być tylko obrona. Nie mo e się poddać, musi zachować godność. A najłatwiej to osiągnąć kierując się rozumem, nie emocjami.

Na jak długo starczy księciu cierpliwości? Ile czasu upłynie, zanim posunie się do u ycia siły, by uzyskać potrzebne wiadomości? Ostatniej nocy tego nie zrobił, ale nie mogła się łudzić, e tak potrwa długo. A jeśli przejdzie zwycięsko tę próbę i nie zdradzi, to co wtedy? Będzie musiała pozostać tu na stałe? Zostanie kochanką Rolfe'a ze wszystkimi zobowiązaniami z tego tytułu płynącymi?

Widoki na przyszłość były okropne, ale myśl o powrocie te nie była pocieszająca. Przyszłość ksią ę przedstawił jej w ponurych barwach. Straci dobrą opinię – to bezsporne. Powrót do domu ciotki nie wchodził więc w rachubę. Wzięto by ją na języki, roztrząsano problem jej niewinności, opowiadano by o jej uporze i lekkomyślności.

Gdyby jej cnota pozostała nienaruszona, mogłaby wyjść za mą i w ten sposób opuścić dom ciotki. A tak będzie jedynie cię arem dla Madame de Buys.

Do ciotki nie mo e wrócić, chyba e znajdzie się Claire. Co robi Rolfe, jak ją znajdzie?

Sprowadzi tutaj? Potraktuje tak samo jak ją?

Skrzywiła się na samą myśl o tym. Było bardzo wątpliwe, by odnalezienie Claire coś tu pomogło.

Co Claire mogła wiedzieć o śmierci Maximiliana ponad to, co ju powiedziała?

Mogła być jedynie przypadkowym świadkiem, który znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Rolfe pewnie myśli, e Claire w jakiś sposób przyczyniła się do śmierci Maximiliana. Ale tak być nie mogło. Co do tego Angeline była przekonana. Chocia poprzedniego dnia te była święcie przekonana, e to niemo liwe, by Claire była metresą Maximiliana...

W tych rozwa niach jednym z najbardziej niepokojących momentów był strach Claire. Jeśli była tylko przypadkowym świadkiem morderstwa, to dlaczego tak pospiesznie uciekła? Dlaczego nie udała się do władz, by zgłosić zbrodnię i zaoferować swoją pomoc w celu ujęcia mordercy człowieka, o którym mówiła, e go kocha? Formalności mogłyby być nieprzyjemne, mógłby te paść na nią cień podejrzenia, ale nic nie mogło być gorsze od ycia tropionego zwierzęcia, jakie wiodła przez ostatnie tygodnie.

Z tego punktu widzenia usiłowania Rolfe'a, by porozmawiać z Claire, wydawały się całkowicie uzasadnione.

Czemu jednak kuzynka nie chciała się na to zgodzić?

Pewnie, gdyby dowiedziała się, e Angeline nie wróciła do domu, przypomniałaby sobie zwiadowcę na drodze i domyśliła się, kto i dlaczego mógł ją schwytać. Czy w takim wypadku nie powinna z

własnej woli przyjść i przekazać księciu wiadomości, jakie posiadała? Myśląc o Claire takiej, jaką widziała ostatnio, przera onej, a jednocześnie zapatrzonej w siebie, nie miała na to wielkiej nadziei.

Była jeszcze inna ewentualność. Mogło być tak, e przera enie Claire i działanie Rolfe'a miały to samo źródło: wiadomości, które Claire posiada, mogły wskazywać na jego udział w śmierci brata...

Długi czas siedziała, wpatrując się w ogień, a wzdrygnęła się i powróciła do rzeczywistości.

Namydlała się dokładnie, opłukiwała, zanurzała w pachnącej wodzie, ciesząc się ka dym szczegółem tego rytuału; innego zajęcia nie miała. Rozglądała się po pokoju, po zawieszonych draperiami ścianach, po bogatych, choć ju wyblakłych zasłonach łó ka, po podłodze z cyprysowego drzewa z porozkładanymi na niej dywanami. Z całą pewnością te pomieszczenia odpowiadały księciu i jego ludziom bardziej ni główna siedziba de la Chaise, majestatyczna i pełna blasku.

Kiedy woda zaczęła stygnąć, wyszła z wanny i wytarła się ręcznikami. Z ponurą miną owinęła się w prześcieradło, wolny koniec wciskając między piersi. Podeszła do toaletki, wzięła srebrny grzebień i zaczęła doprowadzać do jakiego takiego porządku potargane włosy.

Nie potrafiłaby powiedzieć, czy Sarus podsłuchiwał, kiedy skończy kąpiel, czy był to tylko zwykły przypadek, ale właśnie w tym momencie wszedł. Wniósł jej ubranie i bieliznę oraz świe o upraną, obszerną tunikę, podobną do tej, jaką sam miał na sobie.

Pochylił głowę.

- Obawiam się, mademoiselle, e naprawa ubrania nie zadowoli pani. Przyniosłem to, by ukryć uszkodzenia, jeśli panienka pozwoli...

Mówił beznamiętnie, podając jej najpierw ubranie i bieliznę, a następnie tunikę. Przyglądał się jej dokładnie spod wpółprzymkniętych powiek, starając się zawsze stać między nią i drzwiami.

Tunika okazała się rodzajem obszernej bluzy, nakładanej przez głowę, z dwoma kieszeniami na piersiach, przy czym na jednej z nich widniała wyszywana korona. Bluzę uzupełniała jedwabna jasnoniebieska przepaska.

Sarus pomyślał, e taką bluzą da się zakryć nieumiejętnie przszyty rękaw.

Kiedy chciał wyjść, podała mu tunikę.

- Nie chcę tego.

- Jest nie dość... ładna... modna? - spytał zakłopotany. - Nic innego w tym męskim otoczeniu się nie znajdzie.

- Nie chcę cię tego pozbawiać.

- Ach, o to chodzi - odrzekł weselej. - Proszę ją zatrzymać, mademoiselle. A kiedy się pani ubierze, proszę zejść na dół, ebym mógł posprzątać pokój na powrót księcia.

Powiedział to tonem pełnym uszanowania, ale i zdecydowanym.

Pod tym względem przypominał swego pana.

Tunika okazała się wcale nie najgorsza. Wyglądała trochę jak peleryna, nazywana „kozaczką”, która poprzedniego roku uchodziła za *dernier cri*. Rękawy miała za długie, dłużej niż jej ręce, ale podwinęła je powyżej łokci. Opaskę przewiązała w pasie, co nadało jej wygląd chłopki.

Wraenie to potęgowały włosy spływające swobodnie na ramiona oraz zarumienione po gorącej kąpieli policzki. Nie miała spinek ani grzebieni - zgubiła je w lesie podczas ucieczki. Musiała ułożyć fryzurę bez nich, nie miała innego wyjścia.

Poszukała bucików: jeden znalazła zagubiony w pościeli, drugi - pod łóżkiem. Nałożyła je i podeszła do stołu.

Leżał na nim wisiorek, który dostała od Claire.

Błyszczał w rannym świetle. Podniosła go, ale zaraz położyła na poprzednie miejsce. Rolfe miał rację: zapach konwalii nie pasował do niej. Poza tym flakonik był za ciężki i jak na jej gust o zbyt przeładowanej formie.

Gdy mu się tak przyglądała, zrodziło się w niej jakieś niejasne, ledwo uświadamiane podejrzenie - chociaż nie - przecie Claire nie mogła przewidzieć, że Rolfe ją uwięzi, nie mogła zaplanować, by pomylił je ze sobą...

To niemożliwe. A nawet jeśli taka myśl powstałaby w głowie Claire, to i tak trop byłby fałszywy.

Bez tego wisiorka Rolfe nie miałby takiej pewności, że Angeline wie o miejscu pobytu kuzynki, nie miałby więc powodu jej więzić. Pewna była jednego: nie powinna go nosić.

Nigdy go już nie założyła. Zwinęła wisiorek, położyła na stole i wyszła z pokoju.

Poza wielkim holem na parterze cały dom zbudowany był w stylu georgiańskim. Piętro podzielone było na dwie części długim korytarzem. Angeline nie mogła się powstrzymać, by nie przyjrzeć się pomieszczeniom. Szła korytarzem wyłożonym perskim dywanem. Po obu stronach znajdowały się sypialnie podobne do tej, jaką dopiero co opuściła. Było ich razem sześć. W

przeciwnym końcu korytarza znajdowały się schody kuchenne, których używano przy podawaniu posiłków do pokoi.

Obawiając się, że może tam spotkać Sarusa, zawróciła.

Schody główne zaopatrzone były w poręcze u szczytu i u stóp wychylone na zewnątrz. Stopień po stopniu, zaczęła ostro nie schodzić. Na samym dole rozejrzała się po ogromnym hallu. Nie było nikogo. W kominku palił się ogień, a na stole leżał rozłożony do czyszczenia rewolwer.

Drzwi frontowe były otwarte. Stąd, przez las, prowadziła droga do siedziby pana de la Chaise.

Byłby pewnie bardzo zaskoczony, gdyby się dowiedział, że jest tu przetrzymywana wbrew woli.

Na pewno by jej pomógł, gdyby tylko zdołała tam dotrzeć. Nim jednak zdążyła zrobić krok ku wyjściu, na tyłach domu dały się słyszeć ciężkie kroki i w głębi korytarza ukazał się mężczyzna, z kuflem w jednym, a kawałkiem chleba z serem w drugim ręku. Był to jednooki, siwy weteran, Gustave.

- To by znaczyło, że nasza piękność już wstała - powiedział, a zadudniło w pomieszczeniu, i kiwnął kuflem w jej stronę. - Łyknieś coś i przegryziesz, żeby dotrzeć do obiadu, co?

- Nie, dziękuję.

- To chodź, siadaj, a ja będę jadł. Smutno jeść samemu.

- Nie będę dla pana dobrym towarzyszem – odpowiedziała z rezerwą.

- Patrzenie na twoją ładną buzię, zamiast na tych zarośniętych nieokrzesanych drabów, co mnie tu zostawili, to dla mnie tak miła odmiana, że może nawet milczeć. Chodź, siadaj.

Zachowywał się naturalnie i nic nie wskazywało na to, że jest pod jego strażą, niemniej czuła, że ani na moment nie traci jej z oczu, gdy tak krąży między schodami a otwartymi drzwiami.

Ponieważ na razie nie mogła wrócić do pokoju, nie pozostawało jej nic innego, jak przyjąć to dość obcesowe zaproszenie.

- Tam będzie dobrze, co?

Gdy siadała, przedstawił się. Wymienił wiele nazwisk i tytułów o jakimś ostrym, gardłowym brzmieniu, dodając do tego rodzaje broni i stopnie wojskowe połowy armii europejskich.

Pociągnął z kufła ogromny łyk czegoś tracącego alkoholem.

- Jestem z Rolfe'em ostatnie dziesięć lat, od czasu, jak stał się pełnoletni. Widziałem go, jak gołą ręką chwycił kule muszkietowe, jak zajął na śmierć konie na stepie, bo szło o zakład, jak w teatrze, zaraz po opadnięciu kurtyny, porwał ze sceny do swojej łóżki sławną aktorkę, jak pojedynkował się na sztylety z cygańskim królem o względy półdzikiej dziewczyny, ale niczego nie robił z takim sercem jak wczorajsze polowanie na ciebie.

- Pochlebia mi pan... albo raczej księciu Rolfe'owi - powiedziała chłodno.

- Nie - odrzekł. - Kiedy przed chwilą zszedł, powiedział nam, że nie jesteś ta właściwa.

Będziemy się mogli długo bawić jego kosztem. Nieczęsto zdarzają mu się takie pomyłki.

Angeline złożyła ręce i oparła je o stół.

- Jeśli idzie o mnie, to nie jest mi do śmiechu.

- Nie wątpię, *meine Liebe*, widząc zły humor księcia.

Czuliśmy, e coś jest nie tak, ale gdybyśmy wiedzieli, e jesteś taką... panną, tobyśmy...

- Więc to wam te powiedział?... - spytała ze ściśniętym gardłem.

- Nie, nie! On, nasz ksią ę, zawsze mówi mało. Ale ja domyślam się z tego, czego nie mówi. I ze szczegółowych poleceń, jakie mi zostawił, jak mam się z tobą obchodzić.

- Rozumiem. Przykro mi, e w taki ładny dzień musi mnie pan tu pilnować.

- Taka słu ba jak ka da inna. Na pewno nie chcesz dołączyć do mnie? A mo e fili ankę czekolady? Kieliszek wina?

Potrząsnęła przecząco głową. Patrzyła na ciemny dębowy stół. Nie dbano o niego. Był

porysowany i pocięty. Biesiadnicy musieli bawić się no ami, wycinając misterne wzorki w jego krawędzi. Wyciągnęła rękę i powiodła palcem po niezliczonych śladach kufla i szklanek odcisniętych na blacie.

- Jak pan sądzi, jak długo tu pozostaniecie? - przerwała kłopotliwe milczenie.

- Jak długo będzie trzeba.

Spojrzał na nią spod ciężkich brwi. Zmru ył jedyne oko.

- Martwisz się, co będzie z tobą, gdy stąd odejdziemy? Nie musisz. Rolfe cię odpowiednio wynagrodzi.

- Taki wspaniałomyślny? - uśmiechnęła się gorzko.

- Nie wierzysz? Przysięgam, e skoro wszedł w twoje ycie, nie opuści cię.

- Jeśli pan uwa a, e moim jedynym pragnieniem jest pozostać przy nim, to bardzo się pan myli.

Palce, którymi wodziła po stole, dr ały. Zacisnęła je w pięść.

- Boisz się go?

- Oczywiście, e nie!

Zdawał się prze uwać słowa, które chciał wypowiedzieć.

- Ja tak, ja się bałem. W czasach, kiedy du o pił. Ty jesteś kobietą, niezbyt pokazną, bronić się te nie masz czym. Powinnaś mieć więcej powodów do strachu.

- To miło, e mnie pan tak pociesza.

Uśmiechnął się, odgryzł potę ny kęs i popił winem.

Połknął chleb i otarł usta szorstką dłonią.

- Masz charakter. Z Rolfe'em trzeba wet za wet.

Zacnie myśleć, rozerwie się trochę, a tego mu w tej chwili najbardziej potrzeba.

- To znaczy - mam mu dostarczyć rozrywki? Trochę tańca byłoby mile widziane?

Przyglądał się jej w skupieniu.

- Teraz to artujesz. Ale jeśli mogłabyś na jakiś czas oderwać go od jego myśli, od spraw, które go prześladują, zaskarbiłabyś sobie wdzięczność całej naszej gwardii.

- Oczywiście. Na niczym innym bardziej mi nie zale y.

- Jesteś tak samo zła jak Rolfe - mruknął wkładając do ust resztki chleba i stawiając kufel na poręczy fotela. -Tobie pewnie nie byłoby tak trudno go zrozumieć, zwłaszcza jeśli zapoznasz się trochę z jego przeszłością.

Nastąpił długi wywód z wieloma wątkami ubocznymi i równie licznymi, pełnymi szczegółów uwagami.

Rolfe, drugi syn szóstego z dynastii króla Ruthenii, został osierocony przez matkę przy swoim urodzeniu. Chorowite dziecko oddane zostało pod opiekę nianie, gdy ojciec musiał zająć się wychowaniem dorastającego starszego syna, naturalnego następcy tronu. Wychowanie Maximiliana od samego dzieciństwa powierzono całemu zastępowi nauczycieli, z których ka dy był uznaną sławą w swojej dziedzinie.

Rolfe'a oddano pod opiekę weneckiego nauczyciela, który wykształcił w nim takie dziwactwa, jak skłonności estetyczne, pociąg do poezji klasycznej i nauk ścisłych.

Zajęcia odbywały się na świe ym powietrzu. Do zakresu jego edukacji nale ały liczne ćwiczenia, proste, zdrowe jedzenie i równoległe - bogaty zestaw myśli i idei.

Z chorowitego dziecka wyrósł zdrowy chłopiec – mocny i pełen energii. Lecz chocia był w stanie pokonać starszego brata w ka dej dyskusji, jak równie w pięciu na sześć dyscyplinach sportowych, u ojca króla nie znajdował uznania. Wyglądało to tak, jakby ojciec uwa ał, e Rolfe wygrywa tylko dlatego, e stosuje niedozwolone chwyt.

Maximilian nie miał do niego pretensji. Bracia yli zgodnie. Problemy zaczęły się dopiero wtedy, gdy dorośli. Rolfe był wyłączony z ycia towarzyskiego dworu i wszystkich spraw z tym związanych. Zadawał się więc z Cyganami i ró nymi podejrzanymi typami, mieszając się w zupełnie nie swoje sprawy. Włóczył się po całej Europie ze swoją doborową gwardią, wzniecając burdy i bijatyki,

odwiedzał te swego rosyjskiego dziadka, który darzył go miłością. Jego znaki w kształcie głowy lwa nosił wytatuowane na ramionach. Maxa spotykał od przypadku do przypadku, to w Paryżu, to w Wenecji albo w Rzymie. W Ruthenii przebywał rzadko.

Kilka tygodni przed śmiercią brata dotarły do niego jakieś niepokojące pogłoski. Znaleźli się wśród Ruthenian tacy, którzy chcieli zmienić kolejność w następstwie tronu, a nawet tacy, którzy planowali zabójstwo króla i starszego z księżat i byli gotowi do ostateczności za to zapłacić.

Rolfę natychmiast wrócił do kraju, lecz nie był w stanie wykryć spisku. Wszystko było jak dawniej, z wyjątkiem jednego: u boku Maxa pojawiła się rudowłosa amerykańska piękność -

utrzymanka o manierach księżnej.

Jedynym problemem był jej charakter - tak przynajmniej uważał Gustave. Maximilian też zachowywał się jak dawniej. Jak zwykle pokazywał się w operze, na otwartych przyjęciach i polowaniach, nadskakiwał ojcu, ale powoli odsuwał od siebie rudowłosą piękność, jakby nią zmęczony.

I wtedy to się stało. Maximilian zginął. Kiedy wiadomość dotarła do króla, dostał ataku apopleksji.

Nie był to pierwszy atak; jeden już przeżył poprzedniej wiosny. Ten był jednak znacznie poważniejszy. Przez kilka godzin obawiano się nawet o jego życie. Rolfę, na skutek krążących plotek, został oskarżony przez zło onego niemocą ojca o udział w zabójstwie brata. W chwili gdy opuszczał pałac królewski, zaatakowała go banda zbrojów. Tylko dzięki zręczności, z jaką posługiwał się szpadą, nie został następną ofiarą.

Angeline bacznie przyglądała się poznańskim bliznom twarzy siedzącego naprzeciw niej mężczyzny.

- Chce pan powiedzieć, że istniał jakiś związek...?

- Z początku na to nie wyglądało. Później, kiedy zamach powtórzono - ktoś w ciemności rzucił w Rolfę'a nożem, kiedy zbliżył się do domu, w którym poprzednio mieszkała Mademoiselle de Buys - sprawa zaczęła przybierać inny obrót. A kiedy w Le Havre zerwał się ładunek, cudem nie zabijając Rolfę'a, należało spojrzeć prawdzie w oczy.

- Po śmierci Maximiliana, przy poważnej chorobie ojca, Rolfę stał się najbliższym kandydatem na tron?

- Zgadza się, *meine Liebe*.

- A kto po Rolfę, gdyby zginął, dziedziczyłby tron?

- Takie pytanie narzuca się samo przez się, co? Tym następnym byłby Leopold, królewski siostrzeniec.

- Ten czarnowłosy, który teraz z nim jest?

- Właśnie on - potwierdził Gustave. - I to Leopold, na wieść o zamachach na życie Rolfę'a, zebrał

tę *gardę du corpse**. On nas skaptował, mówiąc, e nikt nie mo e nam odmawiać prawa do pójścia za nim.

(* *Gardę du corpse*, dokładnie: ochrona osobista Rolfe'a)

- Czy mógłby to być chwyt, sposób na odwrócenie od siebie podejrzeń, a co za tym idzie - mo liwości

podejmowania dalszych prób?

- Wszystko jest mo liwe. Próba uderzenia, kiedy czekaliśmy na statek w Le Havre, czyni to jeszcze bardziej prawdopodobnym - powiedział po namyśle, po czym dodał: - W Nowym Orleanie te były kłopoty.

- Jeszcze jedna próba?

- Trudno właściwie powiedzieć. Jeden z koni tam zakupionych o mało nie zatratował Rolfe'a na śmierć. Kiedy go dostarczono, wydawał się bardzo nerwowy, ale nie na tyle, by go nie mo na było ujeździć. Gdyby Rolfe miał mniej doświadczenia, z całą pewnością ju by nie ył. Wkrótce potem koń padł. Mo liwe, e przed sprzeda ą nakarmiono go jakimś trującym zielskiem, by wyglądał na dzikszego, ni był, ale sprzedawca przysięgał, e tak nie jest. Podejrzeń budził

fakt, e zdarzyło się to z koniem, którego wybrał sobie Rolfe, a nie z adnym z pozostałych.

Po zastanowieniu musiała się z tym zgodzić. Zamachy na ycie księcia obalały zasadność jej pierwotnych podejrzeń.

Okoliczności wskazywały, e było mało prawdopodobne, by mógł być odpowiedzialny za śmierć brata. Musiała przyznać, e zarzut, jaki mu postawiła poprzedniego wieczoru po tańcu, był coraz mniej uzasadniony. Zamachy te, jak dotąd, nie udały się, ale te nie wydawało się mo liwe, by to on sam je pozorował w celu odwrócenia od siebie podejrzeń.

- Teraz rozumiem, dlaczego ksią ę chce koniecznie przepytac moją kuzynkę o okoliczności śmierci swego brata.

Ale czy w tym celu nie mo na było wysłać za nią kogoś innego?

- Myślisz o jakimś przedstawicielu prawa? Ktoś taki poza Ruthenią nie mógłby nic zdziałać.

Ponadto z całą pewnością nie jechałby za nią tak wytrwale i szybko jak my. I jeszcze - po znalezieniu Mademoiselle de Buys - nie zale ałoby mu tak bardzo na dotarciu do prawdy o okolicznościach śmierci Maximiliana. Dla Rolfe'a łączenie samobójstwa z imieniem brata jest równie odra ające jak morderstwo. Jest plamą na jego honorze. Jest jeszcze inna rzecz, ale to mogę ju tylko zgadywać: myślę czasem, e Rolfe wbił sobie do głowy, e wyje d ając z Ruthenii, ściągnął na siebie pogoń, odciągając niebezpieczeństwo od ojca...

- Ściągnął pogoń na siebie albo zabrał ze sobą ścigającego?

- Tak właśnie, Mademoiselle.

Jej zielone oczy pociemniały z wra enia.

- Przebywać w jednym miejscu z mordercą, zawierzać swoim umiejętnościom i losowi, e uniknie się ciosu, nie wiedząc, z której strony mo e paść - to przecie straszne ryzyko.

- Zaczynasz poznawać naszego księcia! - zawołał Gustave z grymasem na twarzy, który miał oznaczać uśmiech, i pustym kuflem uderzył w stół, a zadźwięczało.

Potem zaczęli rozmawiać o innych sprawach. Przysunęli kanapę do kominka, gdy wczesny mrok zimowego wieczoru wkradał się ju do środka. Doszedł ich te nikły zapach przyrządzanej kolacji, wydobywający się z za nie domkniętych drzwi kuchni, gdzie Sarus pilnował czarnego kucharza przysłanego tu przez pana de la Chaise.

Na obramowaniu kominka widniały posą ki myśliwych, a na kaflach powy ej paleniska widoczne były postacie jeleni, dzików, królików i wiewiórek w naturalnych kolorach.

Kanapa, na której siedzieli, była z ciemnego dębu, wyło ona matą z końskiego włosia, twarda i niezbyt wygodna.

Gustave zaczynał się niepokoić. Spoglądał na Angeline z niezadowoleniem, jakby ałował, e uległ chęci wygadania się.

Nie było jeszcze na tyle ciemno, by zapalić świece, ale ju nie tak widno, by dojrzeć powrót Rolfe'a i jego świty.

Frontowe drzwi otworzyły się z hałasem i ksią ę wkroczył do środka. Ściągnął rękawice, rzucił je na stół i rozejrzał się wokoło.

- Sentymentalne pogawędki w półmroku? Rumieniec jest dowodem winy, więc ju nie musisz tak chować twarzy. Gdybym wiedział, e tak łatwo cię zbałamuci, zostawiłbym z nią Oswalda i Oscara.

- Nie pozostawiłeś adnych szczegółowych poleceń co do rozmowy - odpowiedział Gustave.

- To przeoczenie - uciął ksią ę. - I błąd z mojej strony, e polegałem na twoim rozsądku.

Weszli pozostali i stanęli za Rolfe'em, z twarzami zmęczonymi, ale i rozbawionymi. Jeden z nich, płowowłosy, z szarymi oczami, z blizną w kąciку ust przyglądał się jej szczególnie bacznie.

Angeline podniosła się.

- Obawiam się, e to moja wina, Wasza Wysokość.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparł, ledwo na nią spojrzawszy; miało to pewnie oznaczać naganę za mieszanie się między niego i jego ludzi.

- Nie - wtrącił się Gustave rozdrażnionym tonem. - Ona nie zrobiła nic, poza słuchaniem paplaniny, którą ja sam zacząłem.

- Bawisz się w obronę niewiniałek, Gustave? Jeśli chciałeś wziąć na siebie całą winę, to nic z tego, na nic twoje starania.

Księżę ruszył w stronę schodów. Angeline dał znak ręką, by poszła przed nim. W pokoju zdjął tunikę i rzucił ją na łóżko. Następnie rozpiął rękawy koszuli, podwinął je, z dzbanka nalał wody do miednicy, umył ręce i z twarzy spłukał kurz, jaki osiadł podczas jazdy. Wziął ręcznik ze stojaka i obrócił się do Angeline.

- Czy było potrzebne to zawracanie głowy Gustave'owi?

- Dziwne pytanie - odpowiedziała i podeszła do okna; przyglądała się ludziom pojącym konie. -

Nie mogę potwierdzić zarzutu, bo jest nieprawdziwy. Ale jeśli powiem, e nie, to przyznam się, e to robiłam.

- Więc mam to przyjąć jako zaprzeczenie?

- Jak pan sobie yczy.

- Będzie mi przyjemnie - rzekł z jedną ręką opartą na biodrze, a drugą na parapecie okna -

dowiedzieć się, dlaczego tak się o mnie wypytyjesz.

Spojrzała na niego ukradkiem, świadoma jego bliskości, ciepła, zapachu zmieszanego z ledwo wyczuwalnym zapachem konia.

- Usiłowałam dowiedzieć się, czyim jestem więźniem.

- Na to był prosty sposób: spytać mnie.

Udała zdziwienie.

- Powiedziałby pan to, co dla pana najwygodniejsze. A ja miałabym temu ufać?

- To ju sprawa twojej umiejętności rozpoznawania prawdy. Ka dy jest czymś obarczony - im szybciej zrzuci z siebie ciężar, tym lepiej.

- Więc sprawa zaufania nie gra tu roli? I odmawia mi pan prawa wyboru źródła wiadomości?

- To ju mój przywilej.

Popatrzyła na niego przez chwilę, a potem się uśmiechnęła.

- Sądząc po pańskim roztargnieniu, Wasza Wysokość, dzisiejsze popołudnie nie było zbyt udane?

Nawet nie zwrócił uwagi na tę uszczypliwość.

- Ju drugi raz okazałaś się nieposłuszna, u ywając mojego tytułu. Widzę, e potrzebujesz mocnej ręki. Od tej chwili ka dą taką niesubordynację będę traktował jako wyzwanie...

Znaczenie tej groźby stało się a nadto jasne, kiedy sprytnie chwycił i rozwiązał opaskę przy jej tunice. Uniosła ręce, oparła o jego pierś. Poczwała ciepło jego skóry przez cieką koszulę.

- Nie... nie powiem... nie teraz...

- Wiem, e nie powinienem teraz, ale... ale twój widok, takiej staromodnej, takiej odwa nej, powoduje, e zapominam o moralności...

- I łamiesz mój opór?

- Nie, nie. Ja go ratuję!

Ujął delikatnie jej ramiona i popatrzył w szarozielone oczy. Wargami poczuł ciepły aksamit jej rozchylonych ust.

Rozdział 5

Jak na zwyczaj St. Martinville, obiad był spóźniony.

Płomienie świec w czarnych elaznych kandelabrach, zawieszonych nisko nad stołem, pełgały w lekkim przewiewie panującym w hallu. Do odległych rogów pomieszczenia światło nie docierało i panował tam mrok. Po suficie tańczyły ró nokształne cienie. W otwartym kominku paliła się ogromna szczapa. Białe płomienie wydobywały z ciemności skupione twarze zgromadzonych wokół stołu mę czyzn, ostro, w kolorze czerwonym, pomarańczowym i niebieskim, rysując ich kontury.

Rolfe, z podświetlonymi na czerwono i złoto włosami, z kieliszkiem brandy przed sobą, siedział

u szczytu stołu. Po jego prawej ręce, w zbluzowanej tunice i perkalowej spódniczce, sztywno i z godnością, siedziała Angeline. Została oficjalnie przedstawiona siedzącym przy stole mę czyznom. Najpierw Leopoldowi, czarnowłosemu, o hardym wyglądzie, siedzącemu po lewej ręce Rolfe'a. Wielkiemu, spokojnemu Meyerowi, siedzącemu za Leopoldem. Równie Oswaldowi, jednemu z bliźniaków o jasnobrązowych włosach, orzechowych oczach i zmysłowych ustach. Tak e Gustave'owi, który siedział naprzeciwko Oswalda: jemu Angeline posłała króciutki uśmiech, gdy siadała przy stole. Skinął jej głową, skrępowany, ale z błyskiem w nie przysłoniętym oku. Na koniec Oscarowi, drugim z bliźniaków, spokojnemu i bardziej opanowanemu ni brat.

Na spóźniony obiad była zupa z ółwia, dwa dania z ryb, comber z sarny oraz zapiekanka z gołębi.

Do tego wytrawna malaga i bordeaux. Na deser - owoce konserwowe w zalewie likierowej, sery, orzechy i świeże jabłka. Brandy podano na sam koniec posiłku.

Chociaż w Luizjanie nie było zwyczaju, by kobiety z chwilą pojawienia się brandy na stole wstawały od obiadu, Angeline, wiedząc, że tak jest w wielu krajach europejskich, chciała odejść.

Rolfe na to nie pozwolił. Siedziała więc przy stole, dłubiąc w miseczce z rodzynkami i bawiąc się kieliszkiem wina.

Głosy mężczyzn stawały się coraz głośniejsze, wyższe były gesty - wynik - jak sądziła, wypitego alkoholu oraz napięcia i zmęczenia ostatnimi wydarzeniami.

By zagłuszyć podświadomy niepokój, często chwytała kieliszki, tak że opowieść o wyścigu dojnej krowy z wielbłądem została tak poplątana, że pewnie sam Leopold, który ją opowiadał, nie wiedział, jak się skończyła.

Oswald odchylił się do tyłu i kolebał na tylnych nogach krzesła, z kolanem opartym o kant stołu.

- Jeśli już mówicie o krowach, to widziałem dzisiaj piękny obrazek, który skojarzył mi się z podążającym do domu stadem. Zakonnica prowadziła grupkę dorastających panienek, wszystkie ubrane na biało, w fartuszkach, z włosami splecionymi w warkocze opuszczone na plecy. Kiedy tak szły, *religieuse* nadawała rytm marszu srebrnym dzwonkiem.

- Zachwycający obrazek. I dorastające dziewczyny, powiadasz? Wiadomo, dlaczego przyciągnął twoją uwagę - rzekł drugi z bliźniaków.

Oscar, ten spokojniejszy, przyniósł do stołu gitarę pokrytą przedziwnymi romańskimi znakami i teraz stroił ją, wybijając cichy rytm w trakcie rozmowy.

Oswald westchnął ostentacyjnie.

- To było bardzo przygnębiające oglądać taki sznur panienek na wydaniu, nietkniętych i pieczołowicie strzeżonych.

Gustave odchrząknął głośno, jakby piła zazgrzytała, i spojrzał w stronę Angeline. Oswald, speszony, zamilkł i tylko rumieniec wystąpił mu na policzki.

Rolfe przerwał obserwowanie swojego kieliszka.

- Jest tu w pobliżu jakiś klasztor?

- Klasztor, jako taki, nie. Istnieje niewielka szkoła przyklasztorna prowadzona przez trzy siostry miłosierdzia.

- Mam nadzieję, że tego nie przeoczyłeś?

Słowa zabrzmiały dość zgryźliwie. Tote łatwo mo na było zauważyć, e Oswald ucieszył się, mogąc odparować zarzut.

- Nie. Sprawdziłem najlepiej, jak mo na było bez wzbudzania podejrzeń. Jest to niewielki konwent z dwudziestoma, mo e trzydziestoma dziewczętami, przy czym większość z nich mieszka tam przez cały okres zimowy. Został zało ony przez którąś z tutejszych dziewczek w wyniku ślubu, jaki zło yła, kiedy zachorowała jej najmłodsza córka. Młoda dama, z którą rozmawiałem, czarująca dziewczyna, która zatrzymała się na drodze, by zawiązać sznurowadło przy buciku, dokładnie w momencie gdy ja musiałem zsiąść z konia i dociągnąć popręg, powiedziała, e jedynymi dorosłymi osobami w konwencie są trzy zakonnice, które jednocześnie są nauczycielkami. Nie ma adnych nowych pensjonarek, a ostatnio adne dorosłe panie, powy ej dwudziestu lat, nie przychodziły w odwiedziny.

- Nie bardzo potrafię sobie wyobrazić pannę de Buys w szkole klasztornej - powiedział Meyer; blizna, jaką miał w kąciku ust, zginęła, gdy to mówił ze śmiechem.

Rolfe nagle odwrócił się do Angeline.

- A co ty byś powiedziała o takiej mo liwości?

Spodziewała się podobnego pytania.

- Co mogę powiedzieć? Jeśli uznasz, e Claire mo e tam być, zbadasz to dokładnie. Jeśli nie, to nie. Powiem ci tylko, e takie uświęcone miejsca raczej nie słu ą za kryjówki.

- Nie mam takich doświadczeń, ale zobaczymy - powiedział, przymykając oczy. - Znasz tę szkołę?

- Uczęszczałam tam od dwunastego roku ycia do ostatniego czasu.

Uśmiechnął się ironicznie na jej rozmyślne uto samienie się z niewinnymi uczennicami szkoły.

Przesłuchanie na tym się nie skończyło. Mę czyźni, jeden po drugim, składali raporty, opisywali teren, który przemierzeli, i ludzi, z którymi rozmawiali: starców na rogach ulic, stare kobiety zbierające mech do wypełniania sienników, chłopca prowadzącego do domu zbłąkaną krowę.

Jeździli w dół zlewiska, rozmawiali z mieszkańcami przedmieścia, ze słu ącymi jadącymi na zakupy do miasta, a nawet z miejscowym proboszczem z kaplicy poświęconej świętemu Marcinowi z Tours.

Gustave, po swojej „słu bie wartowniczej" na miejscu, nie miał nic do relacjonowania. Wziął z koszyka jabłko.

A ponieważ owoce były misternie uło one w piramidkę, jedno spadło i potoczyło się po obrusie.

Jednooki wziął je do ręki, podrzucił do góry, a trzymane w ręku wło ył do ust i zmia d ył w du ych, białych zębach. Po chwili odrzucił ogryzek i wziął następne z koszyka, po czym zaczął

oba przerzucać z ręki do ręki. Latające w powietrzu złotobrazowe owoce, tworzyły błyszczący okrąg w świetle ognia. Spojrzał w stronę koszyka, chwycił trzecie jabłko i puścił je w obieg, podrzucając

wszystkie coraz wyżej. Pochłonięty zabawą nie zwracał uwagi na elazny kandelabr nad głową z półsetką świec. W chwili gdy chwycił podrzucone jabłko, uderzył ręką w obejmę świecy i roztopiony wosk strumieniem polał się na obrus. Gustave zaklął, chwycił spadający ogarek i wytrącone z obiegu jabłko i jedno, i drugie włączył ponownie do zabawy.

Siedzący przy stole nagrodzili to rześzystymi oklaskami, Oswald ze śmiechem skoczył na równe nogi, chwycił jabłko i rzucił pod sufit. Zatoczyło łuk i wpadło do koszyka. Znajdujące się w nim owoce potoczyły się po całym stole. Po chwili pojawiły się w powietrzu nad stołem, rzucone z niebywałą precyzją. elazny kandelabr rozkołysał się uderzany ze wszystkich stron.

Jedna ze świec poleciała w dół. Za nią, z sykiem i ogonami dymu, zaczęły lecieć następne, niczym spadające gwiazdy.

To była niewybredna zabawa, pełna śmiechu i głośnych krzyków, rozgrywająca się na oczach bóstw wymalowanych na suficie.

Tylko Rolfe siedział z boku zapatrzony w ogień.

Oscar bez przekonania protestował przeciwko takiej zabawie, uchylając się odruchowo przed lecącymi w jego kierunku jabłkami. Zdawał się nie dostrzegać rozgardiaszu wokół siebie, starając się wydobyć z gitary jakieś akordy. Angeline z półśmiechem obserwowała całą zabawę.

Zastanawiała się, jak długo to potrwa.

W momencie największego wychylenia się kandelabra Leopold trafił go jabłkiem z ukosa. Pół tuzina palących się świec poleciało na obrus prosto na napełnione brandy kieliszki. Ostry zapach trunku przeniknął powietrze. Jednocześnie na stole zatańczyły bladoniebieskie ogniki płonącego alkoholu. Kłęb dymu z palącego się obrusa i brandy uniósł się nad stołem. W następnej chwili Oscar zauważył płomień między strunami gitary i zaraz potem poczuł je na palcach. Z

przekleństwem zerwał się ze swego miejsca i uderzeniami dłoni zaczął gasić ogień.

Leopold śmiał się. Śmiech miał przyjemne brzmienie, ale można było w nim wyczuć równie fałszywe nuty.

Oswald, drugi z bliźniaków, jabłkami i dopalającymi się świecami zaczął rzucać w czarnowłosego kuzyna księcia. Rozbawienie zniknęło z oczu Leopolda. Uderzenia odbijał w stronę Gustave'a, który z kolei kierował je na Meyera. Ten, broniąc się, rzucał je w stronę obu bliźniaków.

Zabawa niespodziewanie przyjęła zły obrót: zmieniała się w wojnę. W powietrzu coraz ostrzej fruwały jabłka i świece, a ka demu rzutowi towarzyszyła chęć sprawienia bólu trafionemu.

Angeline odsunęła się ze swoim krzesłem tak, że znalazła się poza zasięgiem zabawy. Nie mogła jednak oderwać od niej oczu. Rosnąca zaciętość walki powodowała, że włosy zjeły się jej na głowie.

Wtedy od szczytu stołu dał się słyszeć odgłos odsuwanego krzesła. To Rolfe podniósł się ze swego miejsca. Podszedł w stronę kominka. Kątem oka Angeline zauważyła, że ukląkł przy ogniu, jakby chciał ogrzać ręce. Zaraz jednak wstał, trzymając w gołych rękach płonące główne.

Powietrze napełnił dym i snopy iskier. Rzucił płonące szczapy prosto w bawiących się mężczyzn.

Chwycił je odruchowo pierwszy z brzegu, lecz zaraz, z okrzykiem bólu, odrzucił dalej do następnego. Świece i jabłka padały na podłogę, w miarę jak płonące główne leciały z rąk do rąk i po kolei wracały do księcia. Ten wrzucał je z powrotem do ogniska, a on rozpryskiwał się wokół. Na podłogę leciały rozpalone węgielki, a jeden padł a pod stopy Angeline; błysnął jaśniejszą czerwienią i zgasł, pozostawiając po sobie warkoczek dymu.

Rolfe położył ręce na oparciu krzesła.

- Koniec na dzisiejszy wieczór, dzieciaki - rzekł. - Pojeździliśmy przed południem ostro i teraz musicie odpocząć. Weźcie po ogarku, by sobie oświecić samotną drogę do łóżka.

Stali sztywno, jak posągi, spoglądając wzajemnie po sobie. Wosk kapał na podłogę z leżących na skraju stołu ogarków. Na kominku trzaskał ogień. Nagle ktoś wybuchnął śmiechem. Ktoś mu zawtórował. Zadudnił głos Gustave'a. Potrząsając głowami, klepiąc się wzajemnie po plecach, rozcierając przypalone dłonie, podnosząc poprzewracane, niedopite kieliszki brandy do ust z nadzieją, że coś w nich jeszcze jest, mężczyźni ruszyli w ustalonym porządku do swoich pokoi.

To bezwzględne posłuszeństwo było najbardziej zadziwiającym wydarzeniem tego wieczoru.

Wszystko zaczęło się i skończyło tak szybko, że ostatni niebieskawy płomyk palącej się brandy zgasł razem z zanikiem odgłosu kroków... Przyglądając się pobojuwisku na stole, Angeline poczuła wdzięczność, natychmiast zresztą stłumioną, dla tego człowieka, który jednym gestem zakończył cały ten kram.

- Co za bałagan - powiedziała tylko.

- Sarus sobie z tym poradzi. Zostawmy mu to.

Podszedł do szczytu stołu, wziął swój kieliszek z brandy oraz karafkę stojącą obok. Nawet nie drgnął, kiedy jej ostry kant wbił mu się w przypalone palce.

- Zraniłeś się i nie rób sobie z tego okazji do artów - rzekła podniesionym głosem. - Co cię do tego podkusiło?

- Walczące psy rozdziela się polewając je wodą. Nie miałem jej pod ręką.

Opuścił złociste rzęsy tak, że nie mogła wyczytać z jego oczu.

- To nie były psy. To ludzie - rzekła.

- Jak wolisz. Ale to są ludzie walki, wyszkoleni i przygotowani do działania. Jego cel, nie przedmiot, jest dla nich ważny. Są ludźmi czynu, raz zmuszanymi do bezczynności, raz do wysiłków na skraju ludzkiej wytrzymałości w nie kończących się wędrówkach w celach, które nie są ich celami. Poszukują ujścia dla skrępowanej energii i nie mają, poza sobą wzajemnie, gdzie jej wyładować.

- Na takie zabawy nie możesz pozwalać.

- Nie mogę pozwalać na walkę pomiędzy nimi. Nie czas na to.

- Nie mogłeś im tego po prostu zabronić? - spytała, pewna, że tak byłoby najrozsądniej.

- Z jakim skutkiem? - niecierpliwie wzruszył ramionami.

- Posłuszeństwo kosztem niechęci, tłumionego gniewu i podejrzania o faworyzowanie, bo zareagowałem dopiero w momencie, gdy do całej hecy wciągnięty został Oscar? Musisz się, Angeline, jeszcze długo uczyć, zanim zaczniesz mi udzielać mądrych rad, jak mam postępować z moimi ludźmi.

Uszczypliwość ukryta w ostatnim zdaniu spowodowała, że rumieniec wystąpił jej na twarz.

Zacisnęła usta. Ręce złożyła na piersiach.

- Macie tu jakąś maść, coś, czym można by opatrzyć ci ręce?

- Nie trzeba.

- Trzeba ze względu na zakażenie. W tutejszym klimacie bardzo o to łatwo.

Spojrzał na nią z niebieskim błyskiem w oczach.

- Mówię ci, że to nie jest potrzebne.

- Utwierdzasz mnie w przekonaniu – powiedziała podnosząc wysoko głowę - że wypiełeś tyle, i nie odczuwasz bólu.

- A dasz się równie utwierdzić w przekonaniu, że zrobiłem to rozmyślnie i że ten stan potrwa dłużej?

- Jeśli tak sobie uczynisz? To naprawdę mnie nie interesuje. Jak, gdzie i kiedy umrzesz, to już wyłącznie twoja sprawa.

- A jeśli byłoby to zejście w męczarniach, myślę, że takim przedstawieniem bardzo byś się ubawiła – powiedział z lekkim uśmiechem i ręką, w której trzymał karafkę, dał jej znak, by weszła przed nim na schody.

- Bardzo odkrywczym.

Ruszyła przed nim.

Pomimo tej sprzeczki Angeline jasno zdawała sobie sprawę z tego, e idzie do sypialni, którą będzie z nim dzieliła. Jego równy chód tu za nią, gdy wchodzili po schodach w panujący u góry mrok, przejmował ją dziwnym dreszczem. Głupie wydało się jej wypowiedanie słów takich jak przed chwilą, w perspektywie tego, czego mo e zechcieć od niej, gdy będą przez całą noc zamknięci w sypialni.

Wzdrygnęła się, gdy ją wyprzedził, by otworzyć drzwi, tak samo - gdy je za nimi zatrzaskał.

Łó ko było zasłane. Światło od roznieconego ognia padało na pokój. Kilka świec płonęło na stojącym na środku pokoju stole. W smudze światła le ało kilka lnianych banda y, buteleczka spirytusu kamforowego oraz pudełko maści. Angeline najpierw obejrzała le ące medykamenty, a dopiero potem, zdziwiona, spojrzała na Rolfe'a.

- Sarus wydaje się słu ącym doskonałym: spokojny, sprawny, dobry kucharz, potrafi przewidzieć twoje potrzeby, a zapewne i yczenia...

- Swego czasu dostał dobrą szkołę.

- Gdyby robił coś nie tak, na pewno byś tego nie tolerował. A czy coś cię cieszy?

- W przeszłości nic mnie nie cieszyło. Teraz zaczynam się zastanawiać - rzekł i nie dając jej czasu na zastanowienie się nad znaczeniem tych słów, ciągnął zaraz dalej: - Czy sprawi ci przyjemność opatrzeć mi rany, czy raczej zabawisz się w siostrę miłosierdzia, strzępiącą sobie język nad krnąbrnym chłopcem, który w pojęciu większości kobiet tkwi w ka dym mę czyźnie?

W obu przypadkach jestem do twojej dyspozycji.

Postawił karafkę na stole, kieliszek obok. Siadł swobodnie, oparł się na łokciach i wyciągnął ręce wewnętrzną stroną dłoni do góry. Światło świec pełgało po jego twarzy, wydobywając z cienia układ kości policzkowych, podkreślając zmarszczki, pozostawiając oczy w głębokim cieniu.

Jego całkowita zmiana frontu zbiła ją z tropu.

Przyglądała mu się przez dłu szą chwilę. Jakie miał zamiary? Poznała go ju na tyle, by wiedzieć, e niczego nie robi bez określonego celu.

- Śmiało - zachęcił ją cicho. - Chyba e opatrywanie moich ran straciło ju dla ciebie urok?

Słowa były wystarczająco jasne. Dlaczego wyczuła w nich groźbę, nie mogłaby powiedzieć, ale tak było.

Przebycie kilku kroków, które ich dzieliło, wymagało od niej takiego wysiłku woli, jakiego nigdy dotąd nie musiała podejmować. Podnieść szarpie, zanurzyć je w kamforze, uło yć na jego dłoniach i jeszcze potem delikatnie opuszkami palców wyrównać zagięcia, było jeszcze trudniejsze. Siedział w całkowitej ciszy. Patrzył nie na to, co ona robi, ale w jej twarz. Zanurzyła następny kawałek płótna i poło yła na drugiej dłoni: chłodzące działanie kamfory powinno uśmierzyć ból. Jeśli jednak mimo to go czuł - nie dał tego po sobie poznać.

Pachnącymi kamforą dłońmi ujęła pudełko z maścią i otworzyła je. Zawartość była jasnoró owa, pachniała delikatnie olejkiem ró anym i jakimiś składnikami, których nie potrafiłaby określić.

Dotknęła maści i stwierdziła, e jest ni to oleista, ni to sproszkowana. Wyglądała na masę powstałą z wymieszania ró nych ziól leczniczych.

Unikając jego spojrzenia, koncentrując się na czynności, którą miała wykonać, zanurzyła koniec palca w maści. Spojrzała na jego zastygłe rysy twarzy, na ślady pozostawione przez jej paznokcie. Nie poruszył się, choć pod palcami wyczuła, jak napina mięśnie. Coś ścisnęło ją w piersi. Opadło jej pasemko włosów i końcem przesuwawało się wzdu jego ramienia. Odrzuciła je szybkim ruchem głowy. Dotknęła przy tym kolanem jego uda, co pogłębiło jej zakłopotanie. Nie mogła jednak dłu ej zwlekać. Nabrała ponownie maści i przyjrzała się oparzelinom. Nało yła na nie grubą warstwę.

Na jego dłoni i palcach odkryła odciski i zgrubienia, jak u kogoś, kto często u ywa mięśni do pracy i nie unika ćwiczeń. Odciski na dłoniach były czymś, co kłóciło się z jej wyobra eniami o Rolfie jako o lekkoduchu i hulace.

To te odciski sprawiły, e rany nie były tak groźne, jak z początku myślała. Niemniej w środku dłoni oraz między kciukiem i palcem wskazującym były brzydkie blizny. Z największą ostro nością obwiązała je banda em, a końcem zawiązała w płaski węzeł na wierzchu dłoni.

Z nieruchomą twarzą wzięła pokrywkę pudełka z maścią, zamknęła je, zakorkowała buteleczkę z olejkiem kamforowym, obróciła się i chciała odejść, ale Rolfe stanął i zamknął jej drogę.

Chwycił ją za ramiona.

Uchwyt był silny, ale nie na tyle, by nie mogła się obrócić. Zdała sobie jednak sprawę, e obracając się sprawiłaby mu ból. Stała więc cicho, wstrzymując oddech w piersiach. Wolno uniosła powieki.

- Miałem rację - powiedział powoli. - Nie potrafisz zadać bólu, choćbyś nawet chciała.

Zwalczyłaś pokusę, by sprawić mi cierpienie, mając ku temu doskonałą okazję. Powstaje więc pytanie, czy spotkawszy się z taką delikatnością z twojej strony, będę miał dość siły, by powstrzymać się od jej wykorzystania. Odpowiedź, niestety, brzmi: nie.

Przyciągnął ją bli ej do siebie, zbli ył usta do jej ust.

Pocałunek miał smak brandy i po ądania i jeszcze czegoś - gwałtownej potrzeby zapomnienia bolesnych wspomnień. Jego ramiona były ciepłe i opiekuńcze. To doznanie w połączeniu z bliskością całego jego ciała odbierało jej wolę oporu. Ustami dotknął jej policzków, kaskady kasztanowych włosów, delikatnego kształtu szyi. Z westchnieniem rozchyliła wargi, oparła się o niego, uspokojona, poddająca się jego objęciom.

Zmysły nabierały mocy, rozbudzone delikatnym naporem nieznanym dotąd uczuć. Nawet nie zauwa yła, kiedy podeszli do łó ka. Ju się nie opierała.

Drugiego dnia zmieniono przy Angeline stra nika.

Teraz pilnował jej Oscar. Pozostali penetrowali okolicę w poszukiwaniu Claire. Oscar siedział z gitarą, przebierał palcami po strunach, wydobywając z nich delikatne i tęskne melodie. Pilnował jej znacznie mniej dyskretnie niż Gustave. Kiedy wszyscy wyjechali, siedział pod jej drzwiami na schodach i nie odstępował jej na krok, jeśli opuszczała pokój. Kiedy przemierzała hall, wodził za nią wzrokiem, kiedy podchodziła do okna, zbliżał się i stawał obok. Kiedy słońce rozproszyło poranną mgłę, a Angeline wyraziła chęć wyjścia na spacer, szedł tu obok, czujny, choć nie narzucający się.

Podczas spaceru rozważała możliwość ucieczki. Jeśli spróbuje tego na otwartej przestrzeni -

Oscar zaraz ją dogoni i zatrzyma. Jeśli pod jakimkolwiek pozorem spróbuje odejść na ustronie, pewnie będzie się rumienił, ale pójdzie za nią.

Ze swoim bratem bliźniakiem był jednym z młodszych członków gwardii księcia. Z natury nie był rozmowny i na jej próby nawiązania konwersacji odpowiadał monosylabami. Trwało to do momentu, kiedy podeszli do płataniny winorośli zwisających nad drogą. Zachwycony niezwykłym widokiem, zarzucił Angeline pytaniami: kiedy kwitnie winorośl, kiedy owocuje, jak wyglądają grona, jaki mają smak. Potem poszli dalej, w stronę dębiny podchodzącej pod samą drogę. Zachwycał się zielonością liści mimo zimowej pory, dopytywał się, jaki wiek mają drzewa i do jakiej wysokości dorastają.

W trakcie spaceru Angeline pokazywała mu różowe, czerwone i białe dęby, klony błotne, magnolie i krzewy laurowe. Zwracała uwagę na dzikie azalie z napęcznianymi pąkami, które wkrótce pękną i zakwitną, na zielone pędy dzikiej jagody, na zarośla czarnych jeżyn.

Wszystkiego tego nauczyła ją matka Teresa, zapalona amatorka spacerów, podczas których zapoznawała dziewczęta z bogactwem flory i fauny Nowego Świata, niespotykanej na suchych i jałowych polach Hiszpanii, skąd pochodziła.

Temat rozmowy powoli się wyczerpywał. Szczęśliwie, wzmianką o napojach, jakie ze sfermentowanych owoców przygotowują Akadowie, mieszkańcy przedmieść St. Martinville, skierowała uwagę Oscara w nieco innym kierunku.

Akadowie byli francuskojęzycznymi mieszkańcami Nowej Szkocji, zmuszonymi przez Anglików w połowie ubiegłego stulecia do opuszczenia swoich terenów.

Po wielu latach tułaczki dotarli do Luizjany, gdzie znaleźli się wśród ludzi mówiących tym samym językiem, wyznających tę samą wiarę i mających podobne zwyczaje. Pracując ciężko, a równocześnie z miłością i oddaniem, osiedlali się wzdłuż zlewiska, tworząc warunki życia podobne do tych, jakie mieli na dawnej ziemi. Uprawiali ziemię, hodowali bydło, nie stronili od polowania, traperstwa i rybołówstwa.

St. Martinville stało się centrum Akadów. Byli wieśniakami, więc rzadko obracali się w tych samych kręgach co plantatorzy La Petite Paris, chociaż nie zawsze tak było. Madame Delacroix, na przykład, która przed dwoma dniami wydawała przyjęcie, była z pochodzenia Akadyjką i bardzo się tym chlubiła.

Tłumy Akadów w mieście, podążających na mszę świętą, stojących na rogach ulic, dyskutujących i gestykulujących, jadących całymi wielkimi rodzinami na targ, stanowiły imponujący widok. Na wozach rozsiadały się wymyte, wystrojone dzieciaki, zadziorni, rozgadani, wąsaci ojcowie, pulchne mamy, babcie w odświętnych czarnych spódnicach, w białych zawiązanych pod brodą czepeczkach, w obszernych, białych fartuchach, na których zwykle spoczywały najmłodsze ; czarnookie wnuczeta.

Chocia Oscar chętnie wybrał się na daleki spacer, poczuł się lepiej, kiedy zawrócili w stronę domu: tu nie musiał ju jej tak nieustannie pilnować.

Rolfe wrócił przed innymi i sam. Nie uszło jego uwagi, e Oscar, pochłonięty rozmową z Angeline o polowaniu na bekasy, sprawiał wra enie niezadowolonego, e zostaje zdjęty z posterunku. W głosie Rolfe'a zabrzmiała jakaś ostra nutka, kiedy wydawał Oscarowi nowe polecenie, a gdy zauwa ył, z jakim ociąganiem się oddalił, skrzywił się z niezadowoleniem.

Do Angeline Rolfe nie odezwał się słowem, ale sposób, w jaki prowadził ją w górę schodów, jak zamawiał sherry dla siebie i herbatę dla niej, sprawił, i poczuła wyraźniej ni kiedykolwiek przedtem, e jest tu więźniem.

Napłynęły chmury i zaczęło się ściemniać. Okazało się, e Rolfe wrócił przed pozostałymi z powodu korespondencji, którą musiał pilnie załatwić. Z karafką sherry i świecznikiem siadł przy sekretarzyku i zaczął pisać zaostrzonym gęsim piórem.

Angeline siedziała przy ogniu, popijała herbatę, dłubała widelczykiem w kawałku ciasta i od czasu do czasu spoglądała w kierunku piszącego. Nie było zimno; w powietrzu czuło się wiosenne ciepło.

Wstała i podeszła do okna, zapatrzyła się w bladoniebieski półmrok.

Co robi teraz Claire? - pomyślała.

Pewnie je niewyszukaną kolację składającą się z chleba, sera i mleka, jako e w klasztorze główny posiłek spo ywano w południe. Czy wiedziała, co przydarzyło się kuzynce? Czy się tym przejmowała?

Obróciła się, usłyszawszy jakiś szelest za plecami.

Rolfe siedział oparty na łokciach, czyszcząc czubek gęsiego pióra. Zauwa yła w jego oczach dziwny błysk, który ją zaniepokoił.

Nie zastanawiając się, zapytała:

- Jak długo masz zamiar mnie tu trzymać?

Odpowiedział nie od razu.

- A wyrocznia przemówi.

- Nie mogę ci powiedzieć tego, co byś chciał usłyszeć.

- W takim razie znajdujesz się w matni na własne życzenie. Klucz do wyjścia z niej masz w ręku.

Mo esz go u yć albo nie. Wszystko zale y od ciebie.

Na tę przewrotną odmowę a się w niej zagotowało.

Palce zacisnęła w pięści, paznokcie wbiła w dłonie, byle tylko opanować wzburzenie.

- Jeśli muszę tu pozostawać, to mo e są chociaż jakieś ksią ki, bym miała się czym zająć?

- Na ile znam pana de la Chaise, nie sądzę, aby tu były.

- Ty, rzecz jasna, nie miałeś czasu dorzucić czegoś takiego do swojego бага u.

- Łaciński traktat o kampanii Aleksandra Wielkiego, w języku niemieckim opracowanie gatunków botanicznych występujących w dorzeczu Amazonki i tom poezji w sanskrycie, cudowny, ale dość frywolny. Jeśli znasz któryś z tych trzech języków, mo esz śmiało korzystać z mojej biblioteki.

- Dziękuję - powiedziała oschłym tonem. – Kampania Aleksandra Wielkiego zajmie mi kilka godzin.

Oczy Rolfe'a rozjaśniły się. Gestem wskazał szafę.

Nie skorzystała jednak z tak beztrosko udzielonego pozwolenia.

- Jest jeszcze jedna przyjemna sprawa, na którą muszę ci zwrócić uwagę: nie mogę całymi dniami chodzić w tym samym ubraniu.

- Sarus ci przepierze twoje szatki - odparł bez specjalnego zainteresowania.

- Wiem. I potrafi to robić. Ale moje ubranie się rwie i niedługo będzie w strzępach.

- Rozwiązanie narzuca się samo.

Spojrzała na jego pochyloną głowę.

- Mnie nie.

- Masz wolny dostęp do mojej biblioteki. Teraz rozszerzam to pozwolenie na szafę, z której ju i tak korzystasz. Czego chcesz jeszcze?

- Twoja... - zaczęła i spojrzała na tunikę, którą miała na sobie. - Sarus mi to dał. Myślałam...

myślałam, e to jego.

- Nie, nie. W jego bluzie mogłabyś sprzątać, gdybyś mocno przewięzała ją sznurkiem...

Dr ącymi palcami zaczęła rozwiązywać węzeł przepaski.

- Nie chcę tego. ,

- Nie? - spytał z rozbawieniem. - Proponujesz ciekawe rozwiązanie.

Przestała szarpać się z węzłem, więc mówił dalej:

- Rozwa ałem mo liwość, by na czas mojej nieobecności zostawiać cię tu nago...

- Ty... Co?! - krzyknęła.

- Zarzuciłem tę myśl z powodów praktycznych.

Pierwszym czynnikiem była pogoda. Zdrowy więzień sprawia mniej kłopotów ni chory i przeziębiony.

Drugim czynnikiem byłby wpływ twojego... hm...

wyglądu... na moich ludzi. Ju sam fakt, e tu jesteś, i e ze słodkim uśmiechem i gracją poruszasz się między nimi, choć poza ich zasięgiem, podnieca ich. Dalsze prowokowanie losu mogłoby wywołać bunt. Tak myślałem. Tak zresztą było, zanim zauwa yłem, e chcesz pomóc...

- Wiesz bardzo dobrze - zaczęła, ale zaraz urwała.

Wiedziała: chciał jej uświadomić dwuznaczność jej obecnej sytuacji i stan zagro enia, w jakim się znajduje.

To mu się udało, chocia starała się tego po sobie nie pokazać.

Zwil yła wargi językiem.

- Nie sędę, by któraś z twoich tunik mogła mi słu yć za ubranie. Zauwa yłam, e zmysły mę czynn mogą zostać pobudzone przez znacznie słabsze podniety ni ta...

- Masz zupełną rację - powiedział pospiesznie i zbli ył się do niej. - Czasem jedno małe nagie miejsce - gdzieś w wyobraźni - zupełnie wystarcza...

Nie dowiedziała się, co chciał zrobić, gdy w momencie gdy podszedł do okna, całą jego uwagę pochłonęły dwie postacie wynurzające się zza drzew. Rozpoznał obie natychmiast. Pochwycił

Angeline za ramię, odciągnął ją od okna, zanim miała czas coś zrobić, zanim sama rozpoznała zbli ających się jeźdźców.

Pierwszy jechał Meyer, drugi - Andre Delacroix.

Rozdział 6

Rolfe spojrział na nią uwa nie. Całe jego rozbawienie zniknęło zastąpione trzeźwym opanowaniem.

- Wydasz jeden głośniejszy dźwięk, krzyk, by zwrócić jego uwagę, a umieścisz go na marach, z liliami w zło onych rękach. Rozumiesz?

Patrzyła na niego bystrym, wyzywającym wzrokiem, wytrzymując natarczywe spojrzenie.

Zrozumiała, e dla niego takie pojęcia, jak władza, honor, moralność, jeśli stają na drodze do osiągnięcia celu, nie istnieją. Jej głos był ledwo dosłyszalny, gdy powiedziała:

- Tak.

Popatrzył jeszcze na nią przez moment, potem szybko się obrócił i wyszedł z pokoju. Usłyszała, jak woła Sarusa. Nie wiedziała, czy słu ący miał pilnować jej drzwi, by uniemo liwić ucieczkę, czy mo e miał pomóc w stawieniu oporu intruzowi. Jeśli to drugie - to jakie szanse miał Andre przeciwko księciu, Meyerowi i Sarusowi?

Stała na środku pokoju ze zło onymi na piersi rękami.

Dlaczego Andre przyjechał? Mo e ciotka, domyśliwszy się, gdzie ona jest, przysłała go tutaj? A mo e przyjechał z własnej inicjatywy, jako e jej zniknięcie łatwo mo na było skojarzyć z pobylem księcia w okolicy? Co mogą mu zrobić? Czy mogą go uwięzić, tak jak ją, do czasu, a Rolfe dowie się wszystkiego, czego chce, albo zaprzestanie poszukiwań? A mo e uznają, e jest dla nich zagro eniem i bez względu, jak się zachowa, zabiją go?

Podeszła do drzwi na palcach i zaczęła nasłuchiwać.

Drzwi i ściany były jednak tak grube, e nie przepuszczały adnych dźwięków. Powoli, wstrzymując oddech, nacisnęła kłankę i uchyliła drzwi.

Doszły ją słowa swobodnego powitania, śmiechy i dźwięk szkła, gdy podano napoje. Złudzenia prysły:

Andre nie przyjechał tu po to, by ją ratować. Były to raczej przypadkowe odwiedziny, by pozdrowić królewskiego gościa. Rolfe wylewnie witał go na kawalerskim gospodarstwie.

Odeszła od drzwi. Pięknie wykrojone usta zniekształcił bolesny grymas, a oczy pociemniały.

Jaka była głupia myśląc, e Andre ją wyratuje, e w ogóle ktoś będzie ją ratował. Aby ją oswobodzić, musiałaby przyjechać cała kawalkada z bli szego i dalszego sąsiedztwa. Lecz jeśli Andre, jej adorator, przyje d a tu w odwiedziny, przyjmuje poczęstunek, pije jego wino, mo e to znaczyć tylko jedno: nie wie, e ona tu jest, pewnie nawet nie dopuszcza takiej myśli.

Wniosek był jednoznaczny: jeśli chce uciec z niewoli od Rolfe'a, księcia Ruthenii, musi zrobić to sama.

Nie mogła nara ać Andre na niebezpieczeństwo. Ale gdyby udało jej się samej wyjść z domu, niespostrze enie dotrzeć do określonego miejsca na drodze, a dopiero potem skorzystać z pomocy Andre... Mógłby ją wziąć na swego konia i odjechać, zanim jej nieobecność zostanie zauwa ona.

Teraz, kiedy Rolfe zajęty jest obowiązkami gospodarza, a Sarus obsługuje gości, jest najlepszy czas.

Skoczyła do szafy, gdzie Sarus schował jej płaszcz, wzięła go, przewiesiła przez ramię i wróciła pod drzwi.

Nie namyślając się wiele, zaczęła otwierać je cal po calu. Blask świec, palących się za jej plecami, rozjaśniał mrok w hallu. Nie było nikogo, nikt nie stał tu na straży.

Otworzyła szerzej drzwi. Serce tłukło się jej w piersi.

Ruszyła wolno przed siebie, ale zaraz przystanęła.

W hallu naprzeciwko schodów znajdowała się sypialnia Meyera. Drzwi były otwarte, a w środku panował półmrok. Na tle okna widniała sylwetka mężczyzny, wysoka i barczysta. Stał w rozkroku, z rękami założonymi na plecy. Wyglądał przez okno. Pewnie miał jej pilnować, ale w tym momencie trochę się zaniedbał. Pewnie pozory pogodzenia się z losem, jakie sprawiała, brak skarg czy gróźb, e ucieknie, spowodowały, e nie był dość czujny na posterunku. Mogła sobie pogratulować, e udało się jej uspić jego czujność, chociaż cieszyć będzie się dopiero wtedy, gdy niespostrzeżenie uda się jej wymknąć z domu.

Zrobiła ostro nie krok, potem drugi. Gdy posuwała się po perskim chodniku, któraś z desek zaskrzypiała.

Stała z oczami utkwionymi w plecach stojącego mężczyzny. Zdawał się całkowicie zatopiony w rozmyśleniach.

Nie poruszył się. Wstrzymując oddech, przytrzymując spódnicę, by nie wydawała żadnego szelestu, zrobiła kilka pospiesznych kroków, by jak najszybciej zniknąć mu z pola widzenia. Nie widząc żadnej reakcji z jego strony, posuwała się dalej przez hall w stronę zaplecza domu, tam, gdzie znajdowała się klatka schodowa dla służby. U jej podnóża paliło się światło. Pochodziło, jak zdołała się zorientować, od pojedynczej grubej świecy stojącej w pomieszczeniu przeznaczonym do chwilowego przechowywania potraw, by nie wystygły po przeniesieniu z kuchni, mieszczącej się w oddzielnym budynku. Tu również składano brudne naczynia przed wyniesieniem ich do mycia. Słyszała odgłosy jakiejś rozmowy. Zdawały się dochodzić od strony drzwi wejściowych, jak gdyby Andre, zatrzymany przez księcia, dopijał swój kieliszek i szykował się do wyjścia.

Gdzie mógł być Sarus? Jeśli był w kuchni, zajęty doglądaniem przygotowań do kolacji, a z dochodzących stamtąd zapachów można było tego domyślać, mógł ją zobaczyć, gdy będzie wychodziła z domu. Ale musiała podjąć to ryzyko.

Zeszła ze schodów, okrążyła słupkę przy najniższym stopniu, ominęła stolik z marmurowym blatem. Połą płaszcz dotknęła srebrnej tacy ze stojącymi na niej szklankami. Pierwsza z brzegu zadźwięczała, a w ślad za nią następne. Wszystko jednak po chwili ucichło.

Odetchnęła z ulgą.

Stała przy drzwiach. Nie dochodził tu żaden głos.

Nacisnęła klamkę, przekroczyła próg i bardzo wolno zamknęła za sobą drzwi. Na palcach przemknęła przez galeryjkę trzymając płaszcz dokładnie owinięty wokół siebie. W kuchni paliło się światło, a przez otwarte drzwi widać było Sarusa, jak poruszał się po pomieszczeniu na tle ognia, nad którym wisały garnki. Zrobiła kilka kroków i znalazła się poza zasięgiem jego wzroku.

Opadała lekka mgła, której delikatna wilgoć chłodziła rozpaloną skórę. Otaczała drzewa, powodując, że z gałęzi padały opasłe krople. Płaszcz nasiąkał wodą, gdy przemykała się pod gałęziami.

Po jej prawej ręce, do połowy ukryte wśród drzew, stały stodoła i szopa. Jeśli tam dotrze, będzie mogła wziąć jednego z zapasowych koni. Umiała jeździć konno.

Obie z Claire, jeszcze jako dziewczynki, pobierały lekcje jazdy, gdy tylko jej kuzynka sobie tego zayczyła.

Angeline miała trochę wątpliwości, czy zdoła się utrzymać na koniu na oklep, ale nie miała czasu na zastanawianie się. Na podejściu usłyszała odgłos kroków - znak, że Andre wychodził. Rolfe w każdej chwili mógł zauważyć jej nieobecność i podnieść alarm. Nim to jednak nastąpi, ona musi przebyć las a do zakrętu, gdzie Andre musi przejechać. Musi tam dotrzeć.

- Hej! - zawołał ktoś tu koło niej.

Odwróciła się i zobaczyła biało-niebieski mundur odcinający się na tle otwartych wrót stodoły.

Po głosie domyśliła się, że to Leopold. Musiał tam pójść w czasie, gdy ona pokonywała schody.

Teraz stał i w zapadającym mroku wycierał sierść konia. Rzucił szczotkę i ruszył w jej kierunku.

Angelinę podniosła wysoko spódnicę i rzuciła się do ucieczki.

Instynktownie skierowała się w stronę głównego wejścia i jeźdźca galopującego drogą, już niemal znikającego wśród drzew. Jechał wyprostowany, w kapeluszu przeciwdeszczowym na głowie, w opończy okrywającej go razem z koniem, takiej, jakich kiedyś używali rycerze.

Zapominając o niebezpieczeństwie, zapominając o wszystkim, co stało na drodze do odzyskania wolności, nabrała powietrza w płuca, by krzyknąć.

Coś szarpnęło ją za połę płaszcza. Straciła równowagę, potknęła się o kępę dzikiej róży i jak długa padła na trawę. Leopold już klęczał obok niej. Szarpnęła się, spróbowała usiąść, patrząc na niego w niemej rozpacz.

Usłyszała zbliżające się kroki.

- Niewybredne zalecanki zdają się twoim fatum, słodka Angeline - powiedział ksiądz.

- Nic z tych rzeczy - odparł ponuro Leopold. - Tę przyjemność zostawiam tobie.

- Strasznie się z tego cieszę. Ale w takim razie skąd się tu wzięłaś, baraszkując w trawie z moją... z moim więźniem?

- Ten twój więzień właśnie uciekał, podczas gdy ty zabawiałaś swego gościa. Udaremniłem jej ucieczkę.

- To bardzo ładnie ze strony Mademoiselle Fortin, e stworzyła ci okazję do zrehabilitowania się za to, jak dwa dni temu straciłaś ją z oczu. Zamiast jednak liczyć na moją wdzięczność, mógłbyś się chociaż przedstawić albo zająć się jej... skaleczeniami.

Złość minęła mu natychmiast. Spojrzał na Angeline z wyrazem szczerzej troski.

- Skaleczyła się pani?

- Ale skąd! - burknęła.

- Twoje szczęście! - rzekł z naciskiem ksią ę, podając jednocześnie Angeline rękę i pomagając jej wstać.

Rumieniec gniewu oblał twarz Leopolda.

- Jeśli to ma być groźba...

- Jak mo esz tak myśleć! - zawołał Rolfe, nie patrząc na niego; całą uwagę poświęcał ocieraniu z twarzy Angelinę kropel osiadłej rosy i źdźbeł trawy.

- Łatwo się tego w twoich słowach dopatrzeć!

- Nie wysilaj swojej wyobraźni. Jeśli miałyby to być groźba, wiedziałbyś dokładnie.

Z dłońmi zaciśniętymi w pięści Leopold postąpił krok naprzód.

- Niech cię diabli, Rolfe. Przyjmujesz przysługi z mniejszą wdzięcznością ni ktokolwiek ze znanych mi ludzi.

- Mówisz o tym, e nie proszony dojechałaś a tutaj?

- Mówię o tym, co wydarzyło się w tej chwili!

- Tak? A ja mówię o czym innym.

- W porządku - rzekł zrezygnowanym tonem Leopold.

- Nie chciałaś, eby tu przyje d ał, wiem, ale zaczynają mnie ju męczyć te twoje zgryźliwe przycinki i to w sprawie, która jest równie dobrze twoja jak i moja.

- Czepiałaś się mojej wyprawy jak markietanka swojego sier anta i jeszcze oczekujesz, e będę cię

głaskał?

- Po równo w twoim, jak i moim interesie leży, by dowiedzieć się, kto zabił Maxa. W związku z jego śmiercią oraz chorobą twego ojca mówi się, że ja bym najwięcej skorzystał, gdyby tobie się coś przydarzyło.

Nie wiesz o tym?

- Wiem, człowieku. Ale czy zastanowiłeś się nad tym, że będąc przy mnie w chwili, gdy ulegam nieszczęśliwemu wypadkowi, sam z siebie robisz kozła ofiarnego? Zupełnie co innego, gdybyś był w Ruthenii: ja ginę, a ciebie obwołują królem Leopoldem, ostatnim z naszej dynastii i to bez jakichkolwiek machinacji.

- Nie mam ochoty być królem zamiast ciebie. I zrobię wszystko, by to się nigdy nie stało.

Rolfe zaśmiał się głośno, a echo poniosło w wilgotnym powietrzu.

- Ty i mój anioł stróż! Wzruszające!

- Moesz się śmiać, ile ci się podoba, moesz uważać mnie za głupka, mój książe i kuzynie, ale ja cię nie opuszczę. Sam nie wrócę do Ruthenii.

Leopold obrócił się na pięcie i przez wilgotną trawę ruszył wyprostowany jak na defiladzie. Rolfe patrzył za nim ze ściągniętymi brwiami, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał. Nagle chwycił

Angeline za rękę, położył jej dłoń na swoim ramieniu i z gracją poprowadził do domu.

Szła z nim raz dlatego, że nie miała innego wyjścia, a po wtóre - czuła jakiś przymus, który nie miał nic wspólnego z jego ciepłymi palcami dotykającymi jej ręki, ale było coś w tym człowieku, jakaś moc, jakaś siła przyciągania, która bez trudu przełamywała jej opór.

W całym zamieszaniu zupełnie zapomniała o Andre.

Kolacja upływała w milczeniu. Nie ulegało wątpliwości, że pozostali, chociaż zmęczeni i zziębnięci, zostali po powrocie powiadomieni o jej próbie ucieczki.

Spoglądali to na Rolfe'a, to na nią, ze skrywanym współczuciem dla niej, co było i ujmujące, i denerwujące, bo zapowiadało, że będzie musiała ponieść jakąś karę.

W sposobie zachowania Rolfe'a nic tego nie zapowiadało, kiedy wcześniej odprowadzał ją do sypialni. Siadł do swego pisania. Długo skrobał gęsim piórem po pergaminie, co było wyczerpującym sprawdzianem jej opanowania. Widok Sarusa, od drzwi zapraszającego na kolację, uspokoił ją całkowicie.

Po posiłku Rolfe wstał i podszedł do kominka. Stał w lekkim rozkroku, z rękami założonymi na plecy.

Twarze siedzących przy stole spowa niały. Spoglądali po sobie. Poruszali się niespokojnie, kiedy wzrok ich pana padał kolejno na ka dego. Nawet Angeline wyczuła jakieś napięcie.

Światło świecy załamało się we włosach Rolfe'a, kiedy nagle uniósł głowę.

- Powołuję trybunał.

Z ich reakcji łatwo mo na się było domyślić, e to wyra enie ma dla nich określone znaczenie.

Gustave, z powa ną twarzą, wstał wolno.

- Kogo mamy sądzić?

- Myślę, e chodzi o mnie - powiedział Meyer, równie wstając.

- Jaki zarzut?

- Zaniechanie obowiązków - głos Rolfe'a nie był ani głośny, ani podniesiony, słowa padały w gęstniejącą ciszę.

- Kto będzie świadczył?

- Angeline.

Na dźwięk swego imienia rzuciła mu spłoszone spojrzenie. Patrzył na nią bez zmru enia oka.

Końcem języka zwil yła wargi.

- Ja... ja... nie potrafię nic... o tym powiedzieć.

- Nie doceniasz się - odparł spokojnie. – Potrzebne jest tylko to, ebyś nam opowiedziała, w jaki sposób dzisiaj po południu opuściłaś ten dom.

Spojrzała na Meyera. Stał obserwując ją, po wojskowemu wyprostowany. Tylko po oczach było widać zdenerwowanie, jakby ałował, e uległ chwilowej słabości i pozwolił jej przejść.

Śledztwo, które teraz nastąpiło, było wyczerpujące.

Ka dy z mę czynn, łącznie z oskar onym, miał prawo pytać i odpowiadać. Nie było w całym postępowaniu niczego powierzchownego ani połowicznego, był gruntowny wysiłek, by dojść do pełnej prawdy, by dokładnie ustalić, w jakim stopniu Meyer ponosi winę za jej ucieczkę. Przez cały czas Angeline odpowiadała na wszystkie pytania na tyle zgodnie z prawdą, na ile tylko potrafiła. Ręce trzymała splecione na kolanach, by powstrzymać je od dr enia. Czy to z rzeczywistych wątpliwości, przeciwstawnych zdań i opinii, czy wreszcie nie uświadomianej wdzięczności za to, e umo liwił jej wymknięcie się spod stra y, twardo obstawała przy wersji, e nie mógł jej zauwa yć, gdy opuszczała dom.

Kiedy wydawało się, e wszystko zostało ju powiedziane, Rolfe spojrział na Meyera.

- Wolisz osąd i karę ferowaną przez towarzyszy czy walkę?

Meyer objął rękami głowę i stał z wyrazem głębokiego zamyślenia na szerokiej twarzy. Potem uśmiechnął się i rozło ył ręce.

- Przyznaję się dobrowolnie do zaniedbania, ale protestuję przeciwko posądzeniu, e uśpiono moją czujność. Powiem więcej: nie widzę adnego uzasadnionego powodu do trzymania tutaj tej kobiety. Z drugiej strony - znając poczucie odpowiedzialności i rozsądek moich przyjaciół, nie obawiam się ich osądu. Nawet mogę zgodzić się z tym, e nale y mi się nagana. Poniewa jednak bardziej honorowym, ni publiczna kara, wyjściem z tej sytuacji będzie walka, dająca mi jednocześnie mo liwość odplacenia pięknym za nadobne - wybieram walkę.

Błysk w oczach Rolfe'a był jedyną oznaką jego zadowolenia.

- Do mnie nale y wybór broni. By udowodnić, e nie tylko ty posiadłeś umiejętności rycerskie – wybieram drzewce.

- Drzewce! - zawołał Gustave. - Niczego takiego nie mamy ze sobą.

- Las jest pełen młodych drzew.

Nic więcej nie musiał dodawać. Z wyjątkiem Meyera wszyscy wybiegli w deszczową noc, szukając siekier, sprzecząc się o wymaganą grubość pni. Kiedy ich głosy umilkły, Angeline podniosła się i powiedziała stłumionym głosem:

- Wołałabym pójść na górę.

- Zostaniesz.

To był rozkaz.

- Wołałabym nie być tu widzem.

- Bez ciebie całe to widowisko nie miałoby sensu.

Wiedział, co zrobił Meyer, i w ten sposób zarówno odpowiedzialność, jak i karę chciał podzielić między nich oboje. Meyer dodatkowo zapłaci nie tylko za drobne zaniedbanie, ale przede wszystkim za sprzeciwianie się jego woli, za mieszanie się do jego spraw, za przedkładanie litości ponad cel, w jakim tu są. Wybór walki na drzewce nie był przypadkowy i na pewno nie faworyzował Meyera. Chodziło raczej o to, by nikt nie odniósł jakiejś poważniejszej rany. Jednak lekcja miała być wystarczająco bolesna.

Meyer zrozumiał wszystko dokładnie.

- Mam walczyć z tobą, czy wyznaczysz mi przeciwnika?

- Znasz mój sposób postępowania w tym względzie.

Nigdy nie walczę z nikim spośród mojej gwardii. Nie będę też musiał nikogo wyznaczać. Twoim pierwszym przeciwnikiem będzie Gustave, potem Leopold, następnie Oswald i Oscar.

- Wszyscy?

- Tak. Po kolei oczywiście.

- Oczywiście - powtórzył jak echo Meyer, chociaż minę miał ponurą, a szrama w kącie ust nabrała wyrazistego czerwonego koloru.

Uznanie walki za wyjście honorowe było pomyłką.

Czekało go zdrowe obicie. Chociaż, sądząc po budowie, był z nich najsilniejszy, to jednak nie mógł się spodziewać, że da radę wszystkim. W miarę walki będzie mu ubywało sił, więc pewnie dojdzie do tego, że najsłabszy z nich dopełni dzieła. Wszystko będzie zależało od weterana Gustave'a, na ile on da mu się we znaki.

Walka była tak brutalna, jak Angeline się domyślała, że musi być.

Krzesła odstawiono pod ściany, tworząc wolny plac na środku pomieszczenia. Przeciwnicy rozebrali się do pasa. Zapach świeżo okorowanych drzewc, mocny i wyrazisty, mieszał się z zapachem dymu, jedzenia i potu walczących. Rozlegał się odgłos głuchych uderzeń, szurania butów, gdy walczący krążyli wokół siebie.

Drzewce wydawały specyficzny stłumiony dźwięk, podobny do stuknięcia kijem po szprychach obracającego się koła. Rozlegały się pomruki i przekleństwa. Wnet też obaj, i Gustave, i Meyer, mieli czerwone i sine plamy na rękach i ramionach i krwawili z ran na plecach, dłoniach i czole.

Gustave był sprytny i doświadczony. Dawał Meyerowi dobrą szkołę. Jednak wkrótce zaczął z trudem łapać powietrze. Wtedy Meyer zaatakował, uderzając po obręczach i przeponie, dokładnie mierząc ciosy. Otrzymał jeszcze kilka uderzeń, jeden nawet tuż nad uchem, a mu głowa odskoczyła, ale zaraz zebrał się w sobie, uderzył sam i Gustave podniósł drzewce nad głowę na znak, że się poddaje.

Leopold był wypoczęty i mocny. To przez Meyera na nim skupił się gniew Rolfe'a, więc nie miał

ochoty oszczędzać przeciwnika. To, e Meyerowi udało się szybko z nim wygrać, było nie tyle wynikiem jego umiejętności czy wytrzymałości, ile szczęścia.

W momencie kiedy Leopold poślizgnął się na kropli krwi na podłodze i stracił równowagę, Meyer zaatakował i rzucił go na ziemię. Upadek oznaczał koniec walki.

Oswald, następny w kolejce, choć twardy i bojowy, był ostro ny. Du o czasu poświęcał na markowanie, wybiegi, udawanie, a dopiero potem doskakiwał i pod gardą Meyera - uderzał. Taka taktyka miała na celu osłabienie Meyera tak, jak on uczynił to z Gustave'em.

Obserwując przebieg tej nieustępliwej walki, Angeline pomyślała, e jest w niej coś

niezwykłego. W gronie znajomych nie znalazłaby nikogo, kto chciałby albo potrafił czymś takim się bronić, nie mówiąc ju o atakowaniu. Szybkość i zręczność ka dego z tych mę czyn była wynikiem ciągłego ćwiczenia. Byli maszynami do walki i dlatego sposób, w jaki wyrównywali swoje porachunki, chocia okrutny, wydawał się najodpowiedniejszy.

Meyer miał na policzku sinoczerwony ślad i rozciętą brew, z której cienka stru ka krwi spływała mu prosto do oka. Oswald te nie był bez szwanku.

Miał rozcięte ucho, a na ebrach głęboką ranę. Następne uderzenie zdarło mu skórę wzdłu linii włosów. Ból i wściekłość ściągnęły mu rysy. Rzucił się na Meyera, ale nie trafił w jego drzewce.

Meyer zakleszczył je w swoich ramionach, szarpnął i broń wyleciała z rąk Oswalda.

Drugi z bliźniaków podniósł ją z podłogi. Zdjął tunikę i zbli ał się powoli i z rozwagą. Jego styl walki był zupełnie inny: rozwa ny i wyliczony. Ka dy ruch, choć wykonany nie tak błyskawicznie, jak robił to brat, był dokładny, z mierzoną siłą i kierowany w ściśle określony punkt. Zdawało się, e nigdy nie chybia celu, nigdy nie musi korygować kierunku uderzenia, nigdy nie musi robić dodatkowego kroku, by uniknąć ciosu, nigdy te nie pozwala, by ten go dosięgnął. Meyer zachwiał się po pierwszym uderzeniu i zaraz potem - po następnym. Pewnie gdyby nie był zmęczony, ju samą wagą i wzrostem musiałby osiągnąć przewagę nad Oscarem.

W sytuacji takiej jak teraz - wynik walki wydawał się przesądzony.

- Dość!

Jakby wyzwolony spod uroku tym ostrym rozkazem, Oscar cofnął się natychmiast. Meyer, szykujący się właśnie do uderzenia, usłyszał rozkaz jak przez mgłę.

Nie mógł ju zatrzymać wymierzonego ciosu. Oscar próbował jeszcze unieść drzewce, ale broń Meyera ju go dosięgnęła. Zgrzytnęła kość. Oscar wypuścił drzewce z dłoni, która teraz wykonała jeszcze jakiś niepotrzebny ruch i opadła bezwładnie.

Angeline podniosła się błyskawicznie i chciała podbiec, ale Rolfe był ju przy niej.

- Anioł opiekuńczy byłby pewnie dla Oscara pociechą, ale potrzeby takiej nie ma. Meyer ma du e

doświadczenie w nastawianiu kości i podawaniu środków przeciwbólowych.

Chodź, czas odpocząć.

Chwyił ją za łokieć i skierował w stronę schodów.

- A kto zajmie się Meyerem? - spytała ostro.

- Tyle, ile jemu potrzeba, ka dy z nich potrafi.

Dalszy upór był bezcelowy. Nawet jeśli Rolfe by pozwolił, nie była pewna, czy oni tę pomoc chcieliby przyjąć. Przecie to ona była winna wszystkiemu.

Poczucie winy w stosunku do nich było bolesne, choć w pewnym stopniu łagodziło je podejrzenie, e Rolfe taki właśnie efekt chciał osiągnąć.

Nie wiedziała, czy zale ało mu na ciągłym wyprowadzaniu jej z równowagi myślą, e zostanie tu z nim sam na sam. Ale bez względu na to, czy tego chciał czy nie - tak było.

Drgnęła na odgłos trzaśnięcia, z jakim zamknął drzwi.

Wszystko, na co ją było w tej chwili stać, to nie obracać się gwałtownie, jak robi to zwierzę, gdy zatraskują się za nim drzwiczki klatki.

- Zdejmij ubranie.

- Jak?... Co?... Co masz na myśli?

- Myślę, e zrozumiałaś mnie dobrze.

Zbli ał się do niej w świetle świec pozostawionych na stoliku. Lśniło mu we włosach i odbijało się w złotych guzikach tuniki, gdy nachylał się nad blatem, by wziąć le ące tam gęsie pióro.

Stanął przy niej i jedną rękę wsunął głęboko w wycięcie jej tuniki.

- Jeśli ponownie zmusisz mnie do zdejmowania jej siłą, nie będzie ju co zszywać.

- Dlaczego? - spytała z zaschniętym gardłem.

- Czy byś wątpiła w siłę swego przyciągania? A mo e boisz się o swą perłową skórę?

- A czemu nie jedno i drugie? - spytała, patrząc mu hardo w oczy.

- Taka szczerosc zasługuje na nagrodę.

- Wasza Wysokość... Rolfe... - zaczęła, lecz nie mogła znaleźć słów, które by nie zabrzmiały jak tchórzostwo czy poddanie. Gdy wło ył jej dłoń do stanika, chwyciła go za rękę, by mu przeszkodzić. Spojrzał na jej zbieiałe palce i przymknął oczy.

- Jeśli nie możesz znieść mojego dotyku, to jest łatwy sposób, by tego uniknąć. Powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć, i zaraz zawiozę cię do ciotki.

- Nie mogę ci powiedzieć, czego nie wiem!

- Myślę, że kłamiesz, Angeline. Myślę, że strach i lojalność powodują, że milczysz. A oni o tobie nie pomyślą nawet wtedy, kiedy z ciebie w moim ręku pozostanie już tylko cień.

- Nie boję się ciebie! - rzekła podniesionym głosem.

- Wiem, że nie. Ale mogę ci powiedzieć coś, co cię może przestraszyć.

- To nie zrobi mi żadnej różnicy.

- Może liwe, że nie. Ale może ci starczy, gdy ci powiem, że o twoim porwaniu z domu de Buys nie wie nikt.

Tym, którzy o ciebie pytają, jak na przykład Andre Delacroix, odpowiada się, że leżysz w łóżku w zaciemnionym pokoju z tak silną gorączką, że nikt nie powinien się do ciebie zbliżyć, że zachorowałaś nagle w tę noc, kiedy odbył się bal u Delacroix.

Przerwał na chwilę.

- Nie wydajesz się zaskoczona.

- Nie. W przeciwnym przypadku Andre nie byłby tu taki serdeczny. Gdyby wiedział, że mnie porwano, ciebie pierwszego, jako obcego, by podejrzewał. A szczególnie po tym, jak mnie

„wyrótnieś" na balu.

- To jasne - zgodził się. - Ale wiarygodności takiej bajki długo utrzymać się nie da. Jeszcze dzień, może dwa i ludzie będą chcieli zobaczyć albo ciebie, albo twój kondukt pogrzebowy.

Ratuj samą siebie, Angeline. Nie zmuszaj mnie, bym zrobił coś, co spowoduje, że znajdziesz się poza społecznością, do której należysz.

- Ja do niczego cię nie zmuszam - powiedziała wolno, choć głos jej trochę drżał.

- No, dobrze - rzekł i wolną ręką chwycił węzeł przepaski, którą miała związaną tunikę. - Takie stawianie sprawy czyni ze mnie w równym stopniu głupca jak despotę. Nie chcesz skorzystać z mojej rady, broń się zatem sama najlepiej, jak umiesz.

Rozdział 7

Rozbieranie siłą, bezsilność, wdzieranie się w nią, w jej najgłębszą intymność, wszystko to było nie do zniesienia. Walczyła z nim, obracając się i rzucając na wszystkie strony. Krew uderzyła jej do głowy, a paniczny strach dodawał siły. Uwalniał się od jej chwytów, zdawał się nie czuć wbijanych paznokci ani uderzeń pięściami. Jej włosy rozsypane w nieładzie okrywały ich oboje połyskliwą

kurtyną, płaczącą się pomiędzy nimi.

Z pomrukiem zniecierpliwienia podciągnął jej tunikę i w ten sposób unieruchomił ręce w obszernych fałdach.

Przyciągnął ją mocno do siebie, rozpiął spódnicę, chwycił wpół, zarzucił sobie na ramiona i skierował się w stronę łóżka. Z jedną nogą na stopniu, nachylił się i upuścił ją na materac. Sam położył się obok.

Potem powoli, nie zwracając uwagi na jej opór, naciągnął jej tunikę na głowę. Odrzucił zaplątaną przepaskę. Kiedy się szarpnęła, by złapać powietrza, zdjął jej bieliznę. Wyciągnął jej ręce z rękawów tuniki i zanim zdążyła rzucić się na niego, związał je i umieścił nad głową.

Z przerażenia znieruchomiała. Oczy otworzyła szeroko i wpatrywała się w niego. Piersi jej unosiły się i opadały w podnieceniu, które ją zaczęło ogarniać. Ich miękkie szczyty dotykały jego munduru, gdy pochylał się nad nią, by powstrzymać jej ruchy. Twarz miał nieprzeniknioną, zamkniętą, usta zaciśnięte. W ręku trzymał gęsie pióro. Angeline popatrzyła na nie, potem na jego twarz i gdzieś w brzuchu poczuła skurcz strachu.

- Mówi się, że wyobraźnia sobie, co to będzie, jest najboleśniejszym stadium tortury. Domyślasz się chociaż, moja słodka, niewinna Angeline, co zamierzam?

Coś zaświtało w zakamarkach jej świadomości, ale zaraz to odrzuciła. Nic nie odpowiedziała.

Milcząca, skoncentrowana na tym, by ukryć napięcie, leżała w całkowitym bezruchu.

- Przyjemność to funkcja nerwów. Jeśli się jej nadużyje - sprawia ból. Najczulsze punkty znajdują się tu pod skórą i koncentrują się wokół otworów naszego ciała, o tu, tu, tu i tu.

Bardzo delikatnie przesunął końcem pióra po obrzeżu jej ust, dotknął konchy ucha, samego szczytu piersi i wolno prowadził je w dół po napiętych mięśniach brzucha a do punktu najdelikatniejszego.

Mówił głosem obojętnym, bez śladu złośliwości czy zdenerwowania, jakby sam stał z boku, jakby nie odczuwał przyjemności ani bólu.

Ogromnym wysiłkiem woli spróbowała zebrać myśli.

Bezpośrednia walka z nim nic nie dała - może słowa pomogą?

- Dzisiejszego popołudnia starłeś się z Leopoldem o niezbyt poważną sprawę. Czy groźby i tortury też rezerwujesz wyłącznie dla siebie?

- Na to wygląda.

- Ja nic ci nie zrobiłam. Nic ci te nie mogę powiedzieć.

- Jeślibym ci uwierzył, musiałbym uderzyć się w piersi i odesłać cię do domu. Ale w tej sytuacji

zmuszasz mnie do użycia przemocy, bym mógł dojść prawdy. Ka dy twój złocisty włos na głowie chroniłbym jak skarb, a twoja cnota byłaby nienaruszona jak świętość - gdybyś tylko chciała mówić.

Melodyjne brzmienie jego głosu i wyszukane słowa działały jak narkotyk usypiający czujność, przenikający do głębi.

- Nawet gdybym mogła ci pomóc, to i tak nie masz prawa...

- Oczywiście, adnego. Z jednym wyjątkiem: mam takie, jakie sam sobie nadaję.

- A jeśli się mylisz? W jaki sposób usprawiedliwisz swoją... to, co robisz? Nie masz prawa popełniać przestępstwa dla ratowania własnego imienia...

- Mo e i masz rację, tę plamę na duszy będę musiał znieść nawet za cenę twego potępienia. Ale to tylko wówczas, jeśli rzeczywiście się mylę.

Co mogła na to odpowiedzieć?

Z poczuciem całkowitej bezsilności patrzyła, jak oczy mu się zwię ają, jak obraca w palcach pióro, jak oparty na łokciu powoli przemieszcza je coraz wy ej. Przesunął nim po jej rozchylnych ustach. Uczucie było niesamowite.

Zacisnęła pięści i odwróciła głowę. Pióro wędrowało przez jej policzek, powieki, po linii włosów do nasady ucha. Tu zawróciło i spłynęło delikatnie w dół łukiem szyi i przez obojczyk do wznoszących się piersi.

W delikatnej pieszczocie poruszał tym niezwykłym narzędziem tortur tak, e poczuła, e sutki zaczynają reagować. Westchnęła głośno i zębami zagryzła wargi.

Czuła, jak cała skóra zaczyna jej płonąć ze złości, wstydu i nasilającego się po ądania. Koniec pióra podą ał dalej w dół, dotykając brzucha. Zwinęła się, usiłując zewrzeć nogi, ale przeszkodził

jej swoim kolanem.

Wreszcie po wewnętrznej stronie uda dotarł do trójkąta u samej ich nasady. Przeniknął ją dreszcz, a ciało pokryło się gęsią skórką. Rzeczywistość zniknęła, pozostała jedynie rozkosz, której bezwolnie się poddała.

Doznawała słodkiego i przenikliwego uczucia, któremu nie potrafiła się oprzeć. Gardło miała zaciśnięte, e ledwie mogła oddychać, a łzy zbierały się jej w oczach i spływały spod rzęs słonymi strumykami w dół, ginąc we włosach.

Z maestrią doprowadził ją do punktu, którego ostateczną postać zaczęła sobie ju wyobra ać.

W dreszczu emocji poczuła, przed chwilą nie do pojęcia, więz z mę czynną, który trzymał ją w objęciach, intymny związek, silniejszy ni wszystko, co dotychczas prze ywała.

Spełnienie przyniosło uspokojenie, ale nie zmniejszyło bólu rozkoszy trzymającej niby w potrzasku.

Otworzyła oczy, spojrzała na nachylonego nad nią księcia i spytała cicho:

- Jak mogłeś?

W jego rysach zauważyła jakąś szarość, której tam przedtem nie było, a nad górną wargą - ledwo widoczne kropelki potu. Znieruchomiał. Zaśmiał się gorzko i odchyliwszy się rzucił pióro w kąt.

- Nie mogę... - wykrztusił.

Szybko rozpiął tunikę, zsunął buty z nóg, zrzucił spodnie. Przyciągnął ją do siebie. Chciała się bronić, opierać, ale gwałtowność jego ruchów pozbawiła ją oddechu. Wcisnął się w nią głęboko, napełniając taką rozkoszą, że umysł jej przestał działać. Podniosła związane ręce, przerzuciła mu je nad głowę i zacisnęła na karku. Ich oddechy złączyły się w jeden, usta rozdzielały się i na nowo spotykały. Spirala doznań wciągnęła ich w swój wir.

Mimo ogromnej, porażającej rozkoszy to złączenie się było dla nich wyniszczające. Wzniosło się fale, zacierając wszystko, co ich dzieliło, z bezwzględnością, jak rzeka, gdy przerwie tamę, i opadło – pozostawiając ich wyczerpanych i przerażonych, wyrzuconych razem na mieliznę, pełnych dalej nieprzezwyciężonych sprzeczności.

Ułożył się obok niej, pochylił głowę, by uwolnić się od jej związanych rąk. Ujął je ciepłymi palcami, rozwiązał opaskę i zaczął delikatnie rozcierać. Po chwili ułożył je miękko na jej piersiach, obrócił się i zsunął z łóżka.

Poszukał spodni i ubrał się. Patrzył na nią niebieskimi, wilgotnymi oczami, gdy dopinał pas.

Pochylił się, jedną ręką pochwycił tunikę i buty, drugą przeczesał włosy, podszedł do drzwi i otworzył je gwałtownie. Zatrzymał się jeszcze w progu, spojrzał do tyłu z resztkami furii na twarzy. Z cichym przekleństwem wyszedł z pokoju trzasnąwszy drzwiami.

Angeline obróciła się na brzuch powoli, jak ktoś, kogo przed chwilą zbito, a teraz boi się nawrotu bólu. Ułożyła głowę na rękach. Nie zastanawiając się, czemu i nad kim płacze, pozwoliła płynąć oczyszczającym łzom.

Tej nocy Rolfe nie wrócił do łóżka. Równie rano nikt jej nie przeszkadzał. Wyczerpana, spała, a obudziło ją odległe, ale głośnie i mocne uderzenie drzwiami.

Deszcz przestał padać. Ciepłe, wilgotne powietrze z nad zatoki, które go wcześniej przyniosło, ustąpiło, a dzień za oknem stał się jasny i senny. Było tak przyjemnie, że nie potrzebowała ognia, by się spokojnie ubrać. Marzyła o kąpieli, ale nikt jej nie przygotował, a sama bała się wytknąć głowę z pokoju, by zawołać Sarusa, jak robili to inni. Nigdzie też w zasięgu wzroku nie było tacy ze śniadaniem; byłaby na pewno, gdyby Rolfe był w domu. Dopiero później, gdy już się ubrała i wyszła za drzwi, znalazła tacę z zimną kawą i nieświeżym mlekiem.

Mężczyźni wyjechali. Jedynie Meyer był w hallu głównym, rozparty w rogu kozetki w pobliżu

kominka, na którym niezale nie od pogody palił się ogień. Przed nim, na niskim stoliku, stał

dzbanek świe o zaparzonej kawy oraz talerz z opieczonymi rogalikami.

Wstał, ale poruszał się sztywno. Starał się odwracać do niej lewą stroną. Twarz z prawej strony miał poznanoną sińcami w czerwonej obwódce, jedno oko do połowy zasłonięte, a skroń przewiązaną bandą em.

Pochylając głowę w ukłonie rzekł:

- Ju zaczynałem myśleć, e cały dzień upłynie mi bez pani widoku.

- To tak długo pan tu siedzi? - spytała, starając zachowywać się zupełnie swobodnie; na moment zatrzymała wzrok na tym, co pewnie było jego śniadaniem.

- Wiedząc, e nic pani nie jadła, czekałem tak długo, jak mogłem - zapewnił z miłym uśmiechem, gdy podą ając za jej wzrokiem, zaraz się domyślił, e jest głodna. - Zechciałaby się pani dołączyć?

Odmówić byłoby niegrzecznie. Zapach kawy i świe ych bułeczek jeszcze bardziej zaostrzył jej apetyt. W dodatku jego zaproszenie brzmiało szczerze, jako e na stole przed nim stały dwie fili anki.

Dziękując za zaproszenie, zajęła wskazane miejsce na kozetce obok.

Krzywiąc się z bólu, pochylił się, by podać jej talerz z bułeczkami. Angeline szybko chwyciła jedną, by nie musiał długo trwać w tej pozycji. Gdy się odwrócił, przyjrzała mu się szybko.

- Ja... to znaczy... bardzo mi przykro, e moja próba ucieczki była przyczyną tylu pańskich kłopotów.

- To ja bardzo przepraszam - rzekł z lekkim wzruszeniem ramion - e musiała pani korzystać z takiej drogi, by nas opuścić.

Podnosił się z trudem, by nalać kawy, ale Angeline ubiegła go: położyła mu rękę na ramieniu.

- Mogę ja to zrobić?

- Będę wdzięczny.

Siadł i przyglądał się jej.

Napełniła fili ankę i podała mu. Potem nalała sobie. Podniosła fili ankę do ust, upiła trochę.

- Mo e się myślę, ale wydaje mi się, e pan umyślnie pozwolił mi wyjść.

Spojrzał na nią trochę wystraszony.

- Poprzedniego wieczoru, gdy panią przesłuchiowano, nie wspomniała pani o tym ani słowem.

Serce zabiło jej radośnie: chyba nie wie, co zaszło między nią a Rolfe'em poprzedniej nocy -

wraca do przesłuchań przed trybunałem.

- Kara byłaby chyba surowsza, gdybym coś takiego powiedziała.

- Więc winien jestem pani podziękowanie. Ja ze swej strony natomiast muszę zmienić swoją opinię o pani. W czasie przesłuchania, które Rolfe prowadził, zachowywała się pani wspaniale.

Widywałem ju mę czynn, którzy stojąc przed nim jękali się ze strachu, gotowi przyznać się do wszystkiego. Musi pani być zrobiona z mocniejszego materiału, ni myślałem, albo on - ze słabszego. A nie mogę uwierzyć, by prawdziwa była ta druga mo liwość.

- Pan... wy wszyscy... traktujecie go, jak półboga.

Czemu nie miałby mieć takich samych słabości jak inni?

- Właściwie tak. Ale to pewnie dlatego, e jeszcze nigdy nie zauwa yłem u niego adnego załamania, mo e jedynie jakąś beztroskę w kierowaniu swoim yciem, mo e skłonność do szukania uciezki przed... doskonałością... w picciu... Jest przyszłym królem, wie pani o tym, i dlatego powinien być doskonały w ka dym calu, o sile, o waleczności, o wszechmocy równej bogom.

- Nie są to czasem zbyt wygórowane wymagania?

- Nie mo na tak mówić. Maximilian te się tym odznaczał, a mo e jeszcze czymś więcej. Ale Rolfe zawsze stał w jego cieniu.

- Brzmi to trochę...

- Gorzko? - spytał. - To tylko tak chwilowo, bo mam al do niego za tę moją publiczną karę.

Poza tym, niby dlaczego nie miałbym widzieć jego błędów? Mamy przecie tę samą krew.

Podniosła głowę zaciekawiona.

- Jesteście krewnymi?

- Nikt pani dotychczas nie powiedział? Nie ma to zresztą większego znaczenia i nie warto nawet o tym mówić. Jestem jego przyrodnim bratem. Moją matką była dziewczyna z gospody, sprowadzona na dwór dla zachcianek ojca i wydana za mę za szlachcica z jednego z najznamienitszych rodów Ruthenii.

- Nie, nikt mi o tym nie powiedział.

Jako syn nieślubny nie miał prawa do dziedziczenia tronu i chocia dwa lata starszy od Rolfe'a - pomyślała - musiał słuhać jego rozkazów i uwag.

- Rozumie pani, mam nadzieję, e mam większe ni ktokolwiek inny prawo, by go osądzać.

Kiedy razem dorastaliśmy na dworze: Maximilian, Rolfe, Leopold i ja, trzymałem się bliżej Maxa, pewnie z powodu podobnego wieku i usposobienia. Jedyna rzecz, jaka mi się w tej chwili nie podoba, to sposób, w jaki Rolfe chce zdobyć potrzebne mu wiadomości. Muszę powiedzieć, że jego... nadużycia, przynajmniej w części, są dla mnie niezrozumiałe...

- Więc nie uważa pan, że to głupie, że nie mogę...

Pokręcił przecząco głową.

- Jeśli to sprawi pani jakąś satysfakcję, to powiem pani, że Rolfe zaczyna mówić o tym, co zrobił.

On rzadko popełnia błędy. Ale jeśli już coś źle zrobi, płaci za to wysoką cenę. Do tego stopnia, że traci panowanie nad sobą. Dzisiaj rano był taki pijany, jakim go jeszcze nie widziałem.

- Dlaczego nie chce pozwolić mi odejść? - To pytanie wyrwało się jej samo.

- Tylko on to wie.

Dalsza rozmowa na ten temat nie miała sensu. Zaczęli więc mówić o innych sprawach.

Rozmawiali o kierunkach poszukiwań, o zaangażowaniu każdego z osobna, nawet bliźniaków, którzy musieli się rozdzielić. Aby coś powiedzieć, wspomniała o ich wieku.

- Są młodzi, ale Rolfe'owi służą już dziesięć lat albo i więcej. Posiadł ich ciała i dusze. Są jego własnością i dbają wyłącznie o niego.

- Są jego własnością? Co mam przez to rozumieć?

- Ich ojciec mu ich podarował, kiedy Rolfe obronił go wraz z gospodarstwem przed napadem rozbójników.

Panuje taki zwyczaj w Ruthenii, że zaściankowa szlachta ruteniejska w zamian za wyświadczone przysługi oddaje na służbę do księcia swoich synów. Pierwotnie byli pomyślni jako służący, lecz Rolfe w tym charakterze ich nie chciał. Dla nich było to wielkie wyrzucenie, gdy inaczej całe dni musieliby spędzać na polowaniach albo na pilnowaniu chłopów przy pracach polowych.

- Oscar chyba nie pasuje do wojennego rzemiosła?

- Ale woli to niż grzebanie się w bibliotece Rolfe'a.

Nie można na nich nie doceniać. Pod zewnętrzną powłoką, jak u wszystkich Słowian, kryje się w nich pewna dzikość i wrodzony fatalizm. Uważam, i nie bez powodu, że jeden i drugi odda życie za Rolfe'a, a jeśli to będzie konieczne - zabije. To pamiątka od Oscara - dotknął kącika ust, gdzie widniała blizna w kształcie półksiężyca.

Przyjrzała się miejscu, które pokazał.

- Od Oscara?

- No, miał ku temu powód albo przynajmniej tak uwa ał. Mocowaliśmy się razem z Maxem i Rolfe'em. I wtedy Max uznał za stosowne, by młodszemu bratu dać nauczkę i trochę go upokorzyć. W tym celu posłu ył się mną. Nie chcieliśmy mu zrobić krzywdy, ale Oscar tak tego nie widział. Dla wyrównania szans posłu ył się „rózgą królewską”, elaznym, zaostrzonym prętem, słu ącym zwykle do odganiaania psów i ebraków. Miałem szczęście, e udało mi się uskoczyć. Działo się to bardzo dawno temu, zaraz po tym, jak bliźniacy znaleźli się w posiadaniu Rolfe'a.

- Czasem odnoszę wra enie, e Rolfe nie... nie lubi, gdy go ktoś broni.

- Racja. To on powstrzymał Oscara, zresztą ku niezadowoleniu mojemu i Maxa. Ale takie właśnie postępowanie Rolfe'a sprawia, e jest niekwestionowanym przywódcą, kimś, od kogo przyjmuje się bez szemrania nawet najbardziej ogłupiające polecenia, jak chocia by przetrzasanie lasu w poszukiwaniu pani kuzynki.

- Albo pilnowanie mnie?

Zamiast odpowiedzi uśmiechnął się tylko.

- Co z ręką Oscara? Mam nadzieję, e rana nie była zbyt powa na, skoro rano mógł ju dosiąć konia.

Meyer spowa niał.

- Po ałowania godny wypadek. Nigdy bym tego rozmyślnie nie zrobił. Wyrzucam to sobie. Na szczęście to tylko drobne złamanie, wnet się zagoi. Jak przystało na członka naszej gwardii, Oscar nie uczynił z tego pretekstu do zwolnienia się ze słu by.

- Ale nie będzie chyba poza domem tak długo jak pozostali?

- Jeśli o to idzie, zrobi wszystko, co mu zlecono. Wszyscy wrócą przed zmrokiem.

Spojrzała na niego ukradkiem.

- Po co mi pan to mówi?

- Wcześniej rano mieliśmy tu wizytę pana de la Chaise. Na dzisiaj wieczór przygotował zabawę dla nas, a właściwie - dla siebie.

- Ma pan na myśli jakieś przyjęcie?

- Nie, nic tak powa nego. Myślę, e zaplanował jakieś dobre jedzenie przygotowane we własnej kuchni, a podawane tutaj przez własną słu bę. Zamówił równie dobre wina i trochę mocnych trunków. Poza tym - grupę wędrownych muzyków i tancerzy, którzy, jak nas zapewniał, są najlepsi w całym Teche.

- Domyślam się, dlaczego chce coś takiego urządzić.

Będzie mógł się chwalić, e na jego przyjęciach bywali członkowie monarszych sfer. Przez następne lata będzie się o tym opowiadało przy stołach w okolicy.

- Chyba nie. Na tym przyjęciu mają być kobietki...

- Co?

- eby przyjęciu nadać lekki charakterek, będzie na nim grupa kobiet z Nowego Orleanu.

Spotkała jego pytający wzrok, ale zaraz odwróciła oczy. Podniosła fili ankę, by natychmiast odstawić ją na stół.

- Rozumiem. To pewnie bardzo ładnie ze strony pana de la Chaise, prawda?

- Wygląda to trochę na planowanie małej orgii. Ale, jak powiedziałem, to sam gospodarz będzie się najbardziej cieszył ze swej gościnności. Chyba e Madame, jego ona, zorientuje się, co się tu święci. Nam w ka dym razie surowo zakazano wspominać o tym, gdybyśmy ją przypadkiem spotkali.

Angeline nie była w stanie powstrzymać się od śmiechu.

- Pewnie spotka go zawód. Takich wielkich przygotowań nie sposób ukryć, zwłaszcza e jedzenie będzie przyrządzane pod nosem ony. Madame pewnie ju teraz wie o wszystkim, a zapewne wiedziała ju wcześniej, kiedy tylko zaczął składać zamówienia.

- Nieszczęśnik.

- Tak - zgodziła się, chocia myślami była ju daleko stąd: musiała się przez chwilę spokojnie zastanowić.

- Pan sam pełni tu stra ?

- Nie licząc nieodzownego Sarusa - tak.

Spojrzała na niego błagalnie.

- Jeśli wczoraj wieczorem pozwolił mi pan opuścić dom, czy nie mógłby pan... mo e...

- Zrobić tego jeszcze raz? - dokończył za nią i potrząsnął głową. - Bardzo bym chciał.

- Ja... tak... rozumiem.

- Jeśli sądzi pani, e to z powodu wczorajszego lania, jakie dostałem, to się pani myli. To jest sprawa zasad. Wczoraj, w chwili słabości, mogłem patrzeć w inną stronę i mogło to zostać poczytane za chwilę nieuwagi, coś, czego nie mo na tolerować w *gardę du corps* księcia Ruthenii, ale te nie mo na było uznać tego za zdradę. Dzisiaj sytuacja jest zupełnie inna - jestem osobiście odpowiedzialny. O to dokładnie chodziło. Rolfe jest w tym względzie diablo sprytny.

- Więc to jest sprawdzian dla pana?

- Tak.

- Czy on zawsze tak traktuje swoich ludzi?

Na posiniaczonych wargach Meyera ukazało się coś na kształt uśmiechu, a szrama stała się wyraźniejsza niż zwykle.

- Jesteśmy jego przyjaciółmi. Jednocześnie jednak jesteśmy członkami grupy bojowej, małej wprawdzie, ale tak pomyślanej, a w każdej chwili możemy się stać za pomocą potężnej siły o ogromnej wartości dla każdego kraju, który czegoś takiego potrzebuje. Były już czasy i pewnie jeszcze takie nadejdą, a będziemy musieli polegać na sobie wzajemnie, by przeżyć. Człowiek niesprawny w naszym gronie jest zagrożeniem dla pozostałych.

- Dość nieprzyjemny sposób na życie - powiedziała.

- Zgadza się. Dlatego te ludzie, którzy nie wytrzymują tempa, jakie Rolfe narzuca, nie dochodzą do takiego stopnia samodyscypliny, jakiej wymaga - i odchodzą.

Nikogo nie zatrzymuje się siła. Jedynym magnesem, trzymającym nas tutaj, jest intensywność przeżyć, świadomość, a jesteśmy w stanie wykonać każde zadanie, jakie przed nami postawi.

- Podziwia go pan - powiedziała cicho - pomimo tego, co panu zrobił wczorajszego wieczoru.

- Trudno, aby było inaczej - odpowiedział równie cicho.

Wypił resztę kawy i podał jej filiżankę, by mu naleła.

Wyraz jego twarzy nie zachęcał do dalszych pytań.

Na resztę dnia Meyer znalazł rozrywkę. Pokazał jej szafę z masą połamanych i zniszczonych czasopism, głównie na temat rolnictwa i polowania, ale było też kilka na temat literatury, i to mniej zniszczonych niż pozostałe. Później, pokonawszy wewnętrzne opory, poprosiła o przygotowanie kąpieli. Sarus najpierw przyniósł wodę, potem odchyliwszy gobelin wiszący na ścianie naprzeciw kominka, zniknął, by po chwili pojawić się z miedzianą wanną, którą zaraz ustawił i napełnił.

Po jego wyjściu Angeline sama podeszła do gobelinu i odsunęła go. Pod nim znajdowały się drzwi prowadzące do niewielkiej garderoby, o której istnieniu nie miała pojęcia. Stał tu taboret ze złamaną nogą i wytartym siedzeniem, z którego sterczało końskie włosie. W kącie leżało kilka par zniszczonych butów, pleśniejących w panującej tu wilgoci. Stała kozetka ze zniszczonym materacem, przeznaczona zapewne dla służącego, aby był pod ręką, gdy młodzi paniczek de la Chaise wracali nocą do domu. Przez małe zakurzone okno wpadało niewiele światła.

Pomieszczenie swym wyglądem nie zachęcało do wejścia.

Opuściła gobelin i wróciła do sypialni. Rozwiązała opaskę tuniki, obwiązała nią włosy i weszła do

wanny.

Rozkoszowała się gorącą wodą, zanurzywszy się a po brodę, czując, jak napięcie i jakieś nieznane dotychczas bóle mięśni - pozostałość po nocy - ustępują pomału.

Pomyślała o ciotce. Co mogła teraz myśleć? Czy przejmowała się przedłu ającą się nieobecnością bratanicy?

Zapewne sądziła, e gdy Rolfe odkryje, kim jest Angeline, będzie bezpieczna. Nie miała racji i powinna to wiedzieć, gdyby sprawę dokładnie przemyślała. Rolfe bez trudności domyślił się, e Angeline musi wiedzieć, gdzie ukryła się Claire. I nie mo na mu było brać za złe, e chciał z tych swoich domysłów zrobić u ytek.

A co z Claire? Czy ju wie, e Angeline została porwana? Czy coś robi? Cokolwiek.

Prawdopodobnie nic.

Jak to wszystko się skończy i kiedy? Czy będzie taka sama jak przedtem? Czy będzie mogła o wszystkim zapomnieć? Nie było sensu nad tym rozmyślać. Na razie nie mogła nic zrobić.

Na kominku, rozpraszając nadchodzący wieczorny chłód, palił się mały ogień. Bijące od niego ciepło było miłe i uspokajające. Le ała na plecach z głową opartą o szczyt wanny. Zbierała dłońmi pachnącą pianę. Nikt jej nie niepokoił. Bez obowiązków, bez konieczności podejmowania jakichkolwiek decyzji, w całkowitym, choć pozornym spokoju...

Była tak rozluźniona, e nawet nie usłyszała odgłosu końskich kopyt na podjeździe. e Rolfe wrócił, zauwa yła dopiero w momencie, kiedy z hałasem otworzył drzwi i wszedł do pokoju.

Usiadła. Natychmiast jednak zauwa yła, e jej piersi, mokre i lśniące, unoszą się ponad poziomem wody, więc zaraz ponownie się zanurzyła.

Przez moment stał w progu, potem zatrzasnął za sobą drzwi i wszedł do pokoju. W przeciwieństwie do zwykłej elegancji, w tej chwili wydawał się zaniedbany.

Złoty, nie ogolony zarost pokrywał mu twarz, mundur był wymięty, pod tuniką nie miał koszuli.

Włosy były potargane od wiatru, oczy zaczerwienione i zapadnięte.

Tylko w sposobie bycia nie widać było adnej zmiany:

był władczy i energiczny jak zawsze.

- Oto, czego mi najbardziej potrzeba: kąpieli - powiedział z wesołością w oczach.

- Będziesz musiał zamówić...

Rozglądała się za ręcznikiem: le ał na krześle poza zasięgiem ręki.

- Ale wolałbym razem z tobą - powiedział i zaczął zdejmować tunikę.

- Tu nie ma miejsca! - zawołała, z lękiem obserwując jego ruchy.

Przyjrzał się uwa nie nie tylko wannie, ale równie jej kształtom niezbyt dokładnie ukrytym w na pół przezroczystej wodzie.

- Szkoda. Wygląda jednak na to, e twoją kąpiel będę musiał przyspieszyć. Mogę ci umyć plecy?

- Dam sobie radę - rzuciła pospiesznie, lecz on nie zwróciwszy nawet uwagi na jej protest, ukląkł

na jedno kolano koło wanny, zanurzył rękę w wodzie i udając, e szuka myjki, przesuwał dłonią po zagłębieniach i wypukłościach jej ciała.

- Czy tego szukasz? - spytała lodowatym tonem, podając mu myjkę.

- Gdzie ją schowałaś?

Namydlił ją i ponownie zanurzył w wodzie nacierając jej brzuch. W odpowiedzi na to jedną ręką chwyciła mydło, drugą - jego dłoń i wetknęła mu do niej śliską kostkę.

- No, tak! - zawołał z udawanym niezadowoleniem. - Siadaj i pochyl się do przodu.

- Nie wróciliście zbyt wcześnie? - spytała, nie ruszając się.

- Trochę. Zrobiliśmy, co mieliśmy do zrobienia, i albo mogliśmy pojechać dalej w teren, albo wrócić na naradę z kimś, kto mógłby nam posłużyć... nieocenioną pomocą...

Zmienił pozycję za jej plecami. Zanim zdążyła odgadnąć jego zamiary, objął ją i podniósł, przewiesiwszy sobie przez ramię.

Parsknęła głośno, szarpała się, ale przytrzymał ją mocno i uspokajał jak znarowioną klacz.

- Co ty wyprawiasz?!

- Myję ci plecy. Siedź spokojnie!

Namydlił myjkę i zaczął okrągłymi ruchami myć całą jej górną część ciała, masując i uciskając mocno, czasem nawet za mocno.

- Poczekaj... przestań...

- Nie wierć się! - pouczył ją i wolną ręką szukał na jej mokrym i śliskim od mydła ciele jakiegoś punktu zaczepienia. Znalazł go na jej piersi. Gdy próbowała odsunąć jego rękę, wzmocnił nacisk.

Oddychała z trudem.

- Jeśli to ma być nowa forma tortur, by wydobyć ze mnie zeznanie, gdzie jest Claire...

Puścił ją tak nagle, e odchyliła się gwałtownie, a woda z wanny połała się na podłogę. Podniósł się i stanął nad nią z rękami opartymi na biodrach.

- To nie jest tak - rzekł wymawiając ka de słowo oddzielnie - chocia to nie twoja wina, e tak to odbierasz.

Powiedziała to ze złości i w podnieceniu, bez przekonania, e to posądzenie mo e mieć podstawę.

Nie patrząc na niego, splukała resztki mydła, a potem wzięła ręcznik, rozwinęła, okręciła się nim i z gracją wyszła z wanny. Nie była ju tak zakłopotana swą nagością jak przedtem.

Przyglądał się jej, a jego spojrzenie rejestrowało ka dy szczegół jej ciała, błyszczącego na tle pełgającego ognia. Zało ył ręce za pas i odwrócił się.

Nie odszedł jednak daleko. Nachyliwszy się nad szczytem łó ka obserwował z denerwującą natarczywością ka dy jej ruch, jak się wycierała. Pobiegł wzrokiem za jej spojrzeniem, niechętnym i zrezygnowanym, tam, gdzie na oparciu krzesła le ała jej mocno zniszczona bluzka.

- Martwi cię mizerny stan twojej garderoby? Powiedziałem ci ju , jak temu zaradzić.

Szybko podszedł do szafy. Z głębi półki wyjął coś z białego lnu, równie pięknego i delikatnego jak jedwab. Była to długa nocna koszula z obszernymi rękawami i koroną wyhaftowaną złotą nicią na lewej piersi. Wyciągnął do niej rękę, podając ubiór, lecz ona cofnęła się, kurczowo przytrzymując ręcznik.

- Nie mogę tego wziąć.

- Ale zapewniam cię, e nigdy tego nie u ywam. Sarus to zapakował, bo go nauczono, e coś takiego powinno znajdować się w garderobie gentlemana. Dla mnie nie ma to adnej wartości.

Nie czekając, a weźmie koszulę, sam ją na nią nało ył. Potem wziął jej ubranie, związał w węzełek i poło ył za drzwiami, gdzie Sarus powinien się tym zająć.

Kiedy wrócił do pokoju, ciągle stała tam, gdzie ją zostawił, z wyrazem wściekłości w oczach.

- Tak bezceremonialna taktyka mo e i przynosi jakieś efekty w stosunku do kogoś innego, ale nie w stosunku do mnie! Proszę przynieść moje ubranie!

Nie ruszył się z miejsca. Zamiast tego zaczął zdejmować buty o mosię ny stojak przy kominku i rozpinać spodnie. Nagi wszedł do wanny i z głośnym sapnięciem zanurzył się w wodzie.

- Dlaczego? - zapytał, kiedy odwróciła się gwałtownie.

- Doskonale wiesz, e wcale go nie chcesz. I wiesz równie , chocia nie chcesz się do tego przyznać, e

lubisz mieć związane ręce...

- To dopiero śmieszne! - parsknęła.

Delikatny materiał spływający jej z ramion pachniał rozkoszną świe ością, lecz nie dała się temu oczarować, tak jak nie poddawała się czarowi jego gładkich, słodkich słów. Słyszała, jak opryskał się wodą i nacierał myjką.

- Śmieszne? Jest to coś zastępczego i nie wygląda szykownie. Ale co chciałabyś dostać? Mo e jakiś strój paryski, powiewny i przezroczysty jak dla arabskiej odaliski lub panienki z półświatka?

Zatkało ją.

- Myślisz, e mam ochotę walczyć o lepsze z...?

- Z wesołymi panienkami? Mo e jestem zbyt rozrzutny, nadając spodziewanym tu dzisiaj dziewczętom taką nazwę. Tak mo na by nazwać twoją kuzynkę Claire. Te zamówione na dzisiaj do zabawy pewnie nie będą takie bystre.

- Ani ich zalety, ani sprawa mojego ubioru na dzisiejszy wieczór nie mają tu nic do rzeczy. Ja i tak nie zejdem...

- Nie? - odgłos namydlania umilkł nagle.

- Myślę, e ci na tym nie zale y. Byłoby to zresztą dość ryzykowne.

- Jeśli boisz się rozpoznania - rzekł z lekkim uśmiechem - to widocznie czujesz więcej, ni okazujesz...

Gorący rumieniec okrył całą jej twarz: zrozumiała, e robi aluzję do jej udawanej oziębłości w jego ramionach a do chwili, kiedy pieszczotami przełamywał jej opory w momencie podniecenia. Kiedy wszedł do pokoju w trakcie jej kąpieli, była w stanie zapomnieć, co ostatniej nocy wydarzyło się między nimi. Teraz przypominał jej to rozmyślnie, by ją dotknąć.

- Angeline - zaczął mówić i poruszył się w wannie, jakby chciał wstać, a woda poląła się na podłogę, lecz ona ju się opanowała i wysoko podniosła głowę.

- Nie oczekuję adnego rozpoznania, ale te kobiety zauwa ą mnie i nie omieszkają oplotkować, gdy tylko wrócą do Nowego Orleanu. Do miasta jest wprawdzie dość daleko, ale znowu nie tak bardzo, jeśli się weźmie pod uwagę to, e mieszkańcy St. Martinville mają tam wielu krewnych, starych kobiet i ciekawskich mę czyn, którzy nie mają nic lepszego do roboty, jak siedzieć i dogadywać takie historyjki.

Głośne pluski towarzyszące jego myciu ustały.

- Z tego, co wcześniej mówiliśmy, wynikało, e nie dbasz ju o swoją opinię. Skąd teraz nagle taka troska o nią?

Czy by teraz starał się zatrzeć wra enie, e chciał jej dokuczyć? Przewrotne postępowanie. Jeśli zale ało mu na tym, eby jego słowom nie nadawać podejrzanego znaczenia, powinien w ich u ywaniu być ostro niejszy.

Zignorowawszy jego pytanie, mówiła dalej:

- Rozumiem, e pan de la Chaise będzie tu tak e.

Jest lekkomyślny, kocha dobre jedzenie i picie i inne... przyjemności, ale nie przyjmie mojej obecności przy tobie bez wiarygodnego wyjaśnienia, bez względu na to, co ty o tym myślisz.

- Nie będziemy mieli zaszczytu gościć go tutaj.

Spotkaliśmy jego posłańca na drodze. M'sieur przeprasza, ale kolację musi zjeść z oną.

Jeszcze się chwilę chlapał, ale zaraz usłyszała, jak wychodzi z wanny.

- Mo e mi po yczysz swego ręcznika?

Poczuła silną pokusę, by odmówić prośbie. Przewycię yła się, ale najpierw posłała mu piorunujące spojrzenie, a dopiero potem obciągnęła koszulę, odwinęła z siebie ręcznik i rzuciła mu.

Spokojnie wytrzymał jej wzrok i wolno zaczął wycierać krople wody z opalonej piersi.

- Masz coś przeciwko tym kobietom? Wolałabyś się nie przyłączać do takiego pospolitego towarzystwa, mizdrzącego się do mnie i moich towarzyszy, prawda?

Miał chyba rację, chocia sama nie wiedziała dokładnie, dlaczego nie potrafiłaby się pogodzić z myślą, e miałaby dzisiejszego wieczoru dołączyć do tego grona.

- Czy to coś złego? Nigdy... to jest, nie wiem, jak...

- Nie masz doświadczenia w takich kawalerskich zabawach i nie chcesz go nabywać?

- Tak.

Patrzyła na niego niepewnie, spodziewając się wybuchu gniewu albo... śmiechu.

- Nie sędę - rzekł wolno - eby taka nieugięta i szczerza niewinność, jaką sobie przypisujesz, w sprawie tak niewa nej, jak zalecanki szlachetnie urodzonych do dziewczyn z półświatka, mogła zostać nara ona na szwank.

- Widzę to inaczej: jak mam nie być przeszkodą w takim towarzystwie i takiej zabawie?

Patrzył na nią, jakby ją odkrywał: na znamionujący dumę kształt szczęki, na zmru one oczy, na całą twarz oblaną gorącym rumieńcem. Zgadzał się w duchu z jej odmową, chocia na zewnątrz nie chciał się do tego przyznać. Dopiero kiedy sięgnął po le ące z boku spodnie, skinął głową na znak zgody.

- Niech tak będzie. Zostań tu, z dala od tego pijaństwa i bezceństwa. Odgłosy tej zabawy będą tu pewnie docierały, ale rozmiar rozpusty pozostawiam ju twojej wyobraźni.

* * *

Diablo przenikliwy - tak go nazwał Meyer. I to określenie pasowało do Rolfe'a.

Poniewa nie mogła wpuścić Sarusa z kolacją ubrana jedynie w ręcznik, musiała nałożyć nocną koszulę, którą jej dał. Później nie mogła powstrzymać się od snucia domysłów, co tam na dole się dzieje.

A ponieważ Rolfe zostawił ją samą, schodząc na dół, nie mogła nie zadawać sobie pytania, czy przyczyną tego nie były tamte kobiety. Nie miało to wielkiego, a właściwie adnego znaczenia.

Niemniej było denerwujące, jako e nie potrafiła się nawet domyślić, co Rolfe będzie tam robił, mówił czy myślał.

Odgłosy trącanego szkła o szkło stawały się coraz głośniejsze, w miarę trwania zabawy unosząc się ponad dudnienie męskich głosów, rzępolenie skrzypiec na przemian z rozstrojonym klawesynem. Rozbrzmiewał śmiech kobiet przechodzący w tłumiony chichot.

W powietrzu unosił się zapach alkoholu zmieszany z zapachem tanich perfum.

Angeline nerwowo przemierzała pokój, a boki nocnej koszuli, rozciętej do kolan, plątały się jej wokół kostek, od czasu do czasu odsłaniając zgrabne nogi. Końce niebieskiej jedwabnej przepaski, której użyła, by zebrać obszerne fałdy koszuli, fruwały w powietrzu przy każdym kroku. Podwinęła rękawy do łokcia, skąd zwieszały się w ciężkim zwoju, rozwijającym się przy każdym opuszczeniu ręki. Dekolt, wielki na tyle, by przeszła przez niego męska głowa, opadał na jej szczupłej sylwetce, odsłaniając dość głęboko piersi. Wyszyta z boku korona przypadała akurat na miejsce, gdzie tkwił szaroczerwony szczyt jednej z nich, lekko widoczny przez delikatny materiał.

Do swego wyglądu w tej koszuli nie przywiązywała zbytniego znaczenia, tak samo zresztą, jak do kaskady włosów luźno opadających poniżej pasa i współgrających z szarzielonymi oczami.

Bardziej interesowało ją to, jak wyglądały te kobiety na dole.

Czy te gładzące kokoty były ładne? Czy ze swym krzykliwym wdziękiem i łatwością odpowiadały gustowi Rolfe'a? Był z nimi obyty. Nie dbała o to, czy będzie się z nimi zadawał

czy nie. Czy były to blondynki czy szatynki? Młode czy stare? Wolałaby, eby były starsze.

Takie by go dobrze obsłużyły i przytłumiły jego wybujały temperament.

Stała nasłuchując. Chichoty dochodzące z dołu, wymieszane z basowymi śmiechami, nie wskazywały na to, by były to kobiety stare. Z ich brzmienia można było raczej domyślać, e były to młode, głupie i bez powodu podniecone dziewczyny. Nie potrafiła zrozumieć, jak takie kobiety mogły przyciągać mężczyzn.

Miała nadzieję, że hałasy niedługo ustaną i wszyscy pójdą do łódek.

Co mogło ich tak śmieszyć?

Angeline stała z zaciśniętymi ustami i przysłuchiwała się wybuchom śmiechu, docierającym a tu, do sypialni. Nie wytrzymała. Otworzyła drzwi i wyszła z pokoju. Zatrzymała się na górnym podeście. Nie było stąd widać nikogo. Hall na dole był mocno oświetlony. Położyła rękę na balustradzie i pochyliła się, by spojrzeć w dół. Zobaczyła niewiele. Mężczyźni siedzieli przy stole, więc z tego miejsca widziała jedynie ich nogi. Zobaczyła równie nagie nogi kobiet.

Uklękała, nachyliła się jeszcze bardziej i przysunęła głowę do szczebli poręczy. Grali w karty.

Mężczyźni siedzieli rozparci na krzesłach z kartami w rękach, a przed nimi stał kielich wina. Pili najwyraźniej dużo. Rozmawiali podniesionymi głosami. Twarze mieli zaczerwienione.

Pozdejmowali tuniki i byli tylko w koszulach z krótkimi rękawami. Meyer siedział z przymkniętymi oczami i palcami uderzał po kartach. Oswald odchylił się do tyłu razem z krzesłem i mówił coś do Oscara. Ten patrzył na brata jakimś osowiałym wzrokiem. Leopold był

rozpalony, czarne włosy opadały mu na czoło, co sprawiało, że wyglądał na zagubionego, a to zupełnie nie pasowało do sytuacji. Gustave z przekrzywioną opaską na oku pracowicie liczył

punkty w kartach, dotykając każdego po kolei zniszczonym palcem. Kobiety zebrały się w jednym końcu stołu, za siedzącym tam samotnie graczem. Brały udział w grze w charakterze stawek, co im widocznie odpowiadało. Obejmowały ramionami tego, kto je wygrywał. Niebieskie oczy Rolfe'a były jasne od wypitego wina. Przyjmował ich pieszczoty równie obojętnie jak ich poświęcenie, kiedy los się od niego odwrócił i zaczął przegrywać. Kobiety, młode i atrakcyjne, w przeważającej części brunetki, choć jedna czy dwie jaśniejsze, były rozneglowane. Zdejmowały z siebie po jednej części garderoby, w miarę jak ich partnerzy przegrywali. Zdejmowaną garderobę rzucały na stół. Pas do pończoch obszyty koronkami, teraz zwinięty w jedwabny rulonik, powitały głośne okrzyki zachęty, gdy dziewczyna, która go zdjęła, miała na sobie już tylko krótką koszulkę. Dołączono go do dwu jaskrawych sukien i kilku par pantofli. Jeśli gra potoczy się dalej w tym tempie, nagie kobiety staną się własnością zwycięzcy w ciągu paru minut.

W pierwszej chwili Angeline była przerażona tym, co widzi, ale wkrótce jej to zobojętniało. Całą uwagę skupiła na Rolfie, cieszącym się w tej chwili z przegranej swoich przyjaciół. Nigdy nie widziała go jeszcze tak rozluźnionego, bez śladów napięcia na twarzy. Swobodny uśmiech wyrównywał surowe zmarszczki, w ich miejsce pojawiała się wesoła siateczka wokół oczu. Tak pewnie zachowywał się do momentu śmierci brata - pomyślała - zanim nie oskarżono go o tę śmierć i o usiłowanie objęcia tronu ojca. Tak musiał wyglądać, gdy bił się i włóczył po całej Europie, gdy puszył się przed swymi cygańskimi utrzymankami, gdy podbijał serca rodaków i członków przybocznej gwardii. W tym momencie, zapomniawszy nawet o niej, odrzucił brzemię niechcianej odpowiedzialności i szukał zapomnienia w rozrywkach, nie stroniąc także od alkoholu.

Nie był trzeźwy. Potrzebowała trochę czasu, by to zauważyć. Ręce trzymał spokojnie, wzrok miał czysty, przy licytacji mówił wyraźnie, ale ponosiła go trochę brawura, coś w rodzaju nonszalancji -

skutek wypicia większej ilości wina. Złocisty zarost na twarzy był trochę dłu szy, oczy odrobinę bardziej podkrę one ni zazwyczaj. I jeszcze jedno mogło wskazywać na to, e jest pijany: mimo e poruszała się ukradkiem, powinien ją zauwa yć, a jednak nie spojrział w tym kierunku ani razu. Była jedna osoba w tym towarzystwie, która ani nie brała udziału w zabawie, ani nie występowała w roli stawki w grze. Była to jedna z kobiet, dziewczyna mo e siedemnastoletnia. Stała trochę na uboczu, ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Kiedy w pewnym momencie Leopold zwrócił się z czymś do niej, uśmiechnęła się nieśmiało, jakby prosząc o wybaczenie i zaraz odwróciła się w drugą stronę.

Wyglądała na Akadyjkę, z miękkimi lokami i brązowymi oczami, krępa, ale o delikatnych rękach i subtelnych rysach twarzy, o ruchach nerwowych, lecz nie zdradzających wstydu.

Gdzie byli jej znajomi, jej rodzice? A mo e nie miała nikogo? Mo e była sama?

Rolfe zwrócił uwagę na dziewczynę dopiero wtedy, gdy zaczepił ją Leopold. Uśmiechnął się do niej lekko, ignorując pozostałe kobiety uwieszona u jego ramion, ujął ją za rękę, przyciągnął do siebie i posadził na kolanach. Patrzyła na niego trochę wystraszona. Podniósł kieliszek, upił

trochę wina i podał jej. Bez zastanowienia zaczęła z niego pić i to z tego miejsca, którego przed momentem dotykały jego wargi. Angeline podniosła się bardzo ostro nie. Nogi jej zeszywniały i zdrętwiały. Z trudem zrobiła kilka kroków wstecz, by zniknąć z pola widzenia. Weszła do sypialni. Musiała się bardzo pilnować, by nie trzasnąć drzwiami.

Rozdział 8

Po domu, obijając się od ścian, niósł się odgłos wystrzału. Po chwili rozległ się wibrujący strachem pisk.

Angeline zerwała się i siadła na łó ku. Jeszcze dobrze nie zasnęła, zamknęła na chwilę oczy.

Wsunęła się pod koce, bo było jej zimno w nogi. Przebudzona nagle, w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie się znajduje, jakby gdzieś na skraju sennej mary, która wnet powinna zniknąć.

Następny strzał rozdarł ciszę nocy i odbił się od ścian. To ju nie była senna mara. Ponownie rozległ się pisk przechodzący w kobiecy chichot. Z hallu dochodziły wymieszane głosy.

Nagle wszystko ucichło.

Co się stało?

Angeline zgarnęła włosy do tyłu i wysunęła się z łó ka, obciągając na sobie nocną koszulę. Przez moment pomyślała, e to mo e odsiecz po nią, ale zaraz tę myśl porzuciła. W głosach dochodzących z dołu nie było słycać wołania o pomoc, a jedynym niepokojącym dźwiękiem był

piskliwy krzyk jednej z kobiet.

Angeline podeszła do drzwi. W chwili, gdy je otwierała, padł trzeci strzał. Zaraz potem rozległ

się jęk:

- Nie mogę... ja ju nie mogę...

- Trzymaj spokojnie, na miłość boską! – zawołał Oscar.

Pijani gwardziści kołysali się w tył i w przód i pokrzykiwali w stronę dziewczyny trzymającej w ręku kartę, dodając jej otuchy.

- Wymień kartę - rozkazał Rolfe odkładając na stół trzymany w ręku pistolet.

Oscar, z jedną ręką na temblaku, ruszył przez pokój. W ręku trzymał szóstkę pik. Z palców dziewczyny wyjął szóstkę kier i w to miejsce włożył nową kartę. Dla większego bezpieczeństwa podniósł jej rękę trochę wyżej i odsunął trochę dalej od głowy, po czym wrócił na swoje miejsce.

- Cztery z sześciu! - zawołał z zadowoleniem. - A wszystkie w kartę. Nieźle!

Rolfe uniósł pierwszy pistolet. Akadyjka skurczyła się ze strachu i odwróciła twarz. Wolną ręką zakryła usta. W świetle świec jej skóra nabrała zielonego odcienia, a z oczu wyzierało przerażenie.

Rolfe wycelował i strzelił. W nowej karcie, w miejsce czarnego serca, pojawiła się dziura.

Dziewczyna krzyknęła i zgięła się wpół. Oscar odwrócił od niej pobladłą twarz.

Angeline dłużej nie mogła wytrzymać. Szybko zbiegła ze schodów.

- Co wy tu wyprawiacie? Nie widzicie, dziewczyna ledwie żyje?

Nie czekając na ich reakcję, podeszła do Akadyjki, stając pomiędzy nią a strzelającym. Wyrwała kartę z ręki dziewczyny i trzymając ją sama, ujęła płaczącą za ramię.

- Ej e! - zawołał ktoś. - Zakład jeszcze nie skończony!

Angeline nie zareagowała. Odprowadziła ją na bok i posadziła na krześle.

- O n a ma kartę! - zawołała któraś z kobiet. – Mo e sama chce potrzytać?!

Inna to powtórzyła, a jeszcze inna klasnęła w ręce. Angeline spojrzała na Rolfe'a. Stał z drugim pistoletem w ręku, z wyrazem zakłopotania na twarzy.

Wypity alkohol pozbawił ich możliwości racjonalnego myślenia: chętni, gotowi za wszelką cenę zrobić z czegoś lub kogoś dobrą zabawę. Nie martwili się o to, że dla głupiego zakładu narażali na niebezpieczeństwo czyjeś życie. Strach, jakiego jeszcze nigdy przedtem nie doznała, przeszył

ją na wskroś. Kiedy się zastanawiała, czy poddać się tej próbie, dotarł do niej ich śmiech. Chciała na nich krzyknąć, ale powstrzymała ją jakaś wewnętrzna duma. Nie zniżyła się przecie do ich poziomu. Jedyne, co jej pozostało, to ich głupocie przeciwstawić swoją dumę.

Z podniesioną wysoko głową ruszyła w kierunku świeczników. Podeszła do postrzelanej ściany i z uśmiechem na ustach wyciągnęła rękę z szóstką pik z jednym serduszkem ju przestrzelonym.

Zapadła cisza. Przerwał ją Meyer.

- Skoro zmienia się osoba trzymająca kartę, czy nagroda te się zmienia?

Ciemne brwi Rolfe'a ściągnęły się w jeden łuk rozcięty głęboką zmarszczką. Oscar, z brązowym lokiem na czole, najpierw spojrział na Angeline, potem na Akadyjkę, a jeszcze potem, niepewnie, na księcia.

W tym momencie Angeline w pełni zrozumiała, jaką grę przerwała. Stawką zakładu była dziewczyna: od wyniku strzelania zależało, kto będzie ją miał na tę noc. Przez niedopatrzanie zaproszono tylko pięć kobiet, o jedną za mało, gdy mecz było sześciu: Gustave, Leopold, Meyer, Oswald, Oscar i oczywiście sam książę.

Rolfe, zamiast skorzystać z przysługującego mu prawa decyzji, przyjął takie rozwiązanie. Jak do tego doszło?

Czy Rolfe'a opuściło szczęście i stracił wygraną dziewczynę jedną po drugiej? Czy w tej ostatniej rozgrywce szło mu o to, by trzęsąca się teraz na krześle dziewczyna zdjęła koszulę jako wygraną Oscara i pokazała, zawstydzona, swoją nagość? Czy ten, kto w tych okolicznościach, w migocącym świetle świec i tańczących cieni, wykazuje się większymi umiejętnościami strzeleckimi, dostanie i koszulę, i tę, która ma ją na sobie, a przegrywający nie dostanie nic? Czy ona zajmując miejsce tej dziewczyny, sama, jak to delikatnie określił Meyer, staje się nagrodą w tej grze? Czy w tym momencie ma przestać być dziewczyną tylko księcia, a stać się dziewczyną ich wszystkich?

Zainteresowanie wagą wygranej było jasne. Zrozumiałe też było załamane młodej Akadyjki, gdy stała się ceną w grze i jednocześnie półnagim celem dla nietrzeźwych graczy. No, tak. Tej przedziwnej, wykraczającej poza zdrowy rozsądek sytuacji już nie zmieni. Najlepszym rozwiązaniem będzie szybkie jej zakończenie.

Angeline stała wyprostowana, a światło świec rozplątało się w jej włosach niczym płynna miedź.

Przebijało się przez delikatną tkaninę nocnej koszuli ukazując doskonałą symetrię jej kształtów w otocze półprzezroczystej materii.

Rolfe przyglądał się jej z ponurą miną. Zaciśnął szczęki. Nie zwracając uwagi na pytanie Meyera i napięcie, jakie ogarnęło wszystkich, spojrział na kartę, którą trzymała w ręku. Na niej skoncentrował całą uwagę. Światło odbijało się od pistoletu, kiedy stawał bokiem, jak do pojedynku, i kiedy podnosił broń do wysokości oczu.

Huk wystrzału w pomieszczeniu był ogłuszający. Koło ucha usłyszała coś, jakby bzyk komara, poczuła szarpnięcie karty i uderzenie na policzku okruchów tynku, który kula odłupała od ściany.

Zmrużyła oczy, ale nawet nie miała czasu się cofnąć, kiedy padł drugi strzał, a po nim następne jeden po drugim, oddawane po króciutkim celowaniu, każdy pod trochę innym kątem. Kiedy umilkł huk

szóstej wystrzału, Rolfe zniknął w chmurze szaroniebieskiego dymu.

Opuścił broń, ale dalej stał w poprzedniej pozycji, dopóki Oscar nie podszedł do Angeline i nie wykrzyknął:

- Wszystkie sześć!

Rozległ się ogólny hałas i wołanie o wino, by to uczcić. Wszyscy wypili toast za odwagę Angeline, po czym męczy, odwróciwszy się, rzucili kieliszki w dogasający ogień na kominku. Kobiety śmiały się i pischwały, kiedy męczy z radości zaczęli obejmować ich uległe ciała. Rolfe rzucił swój kieliszek w ciemniejące palenisko, odwrócił się i ruszył w stronę Angeline.

W tym momencie Oscar, uderzając zgiętym palcem w kartę, którą wyjął z ręki Angeline, zawołał zaczepnie:

- Zabierasz obie kobiety, Rolfe, czy pozwolisz, e ze względu na to, e ta, co dla mnie trzymała kartę, była mniej spokojna ni twoja, równie dla mnie potrzyma kartę, a do zwycięzcy będzie nale ał wybór, którą sobie weźmie?

Hałas ucichł. Rolfe podszedł do Angeline i ujął ją za rękę.

- Nie będzie ju adnych pojedynków - powiedział, a głos dr ał mu z hamowanej emocji. -

Dopusciłem do pierwszego, bo tego wymagała uczciwość. aden inny powód nie istniał. Po wygraniu do mnie nale y wybór. Zrzekam się prawa do tamtej dziewczyny i wybieram Angeline.

Nie będę nara ał jej na niebezpieczeństwo. Jest moja.

To był rozkaz do rozejścia się, oznaczał koniec zabawy na dzisiejszy wieczór. Nie czekając na pytania czy protesty, ruszył w kierunku schodów, zabierając ze sobą Angeline. Zabolało ją, e tak bezceremonialnie ka e jej iść, rozgniewał całkowity brak delikatności, nonszalancja, z jaką ogłosił ją swoją kobietą, tupet, z jakim prowadził do sypialni.

Wyrwała mu rękę.

Obrócił się, spojrział na jej rozpalone policzki.

- Masz zamiar zgłaszać pretensje? Bardzo proszę, ale nie teraz.

- Myślę, e to akurat najlepszy czas! – zawołała z błyskiem w oczach.

- Nawet jeśli miałyby to oznaczać ponowny, odmienny sposób podziału kobiet? W tej chwili wszystko się zgadza, a osiągnięto tę równowagę bez przelewu krwi i bez konfliktów. Nie mogę zagwarantować, e ten stan się utrzyma, jeśli masz zamiar zburzyć tę równowagę... znowu zburzyć...

- Znowu?! - zawołała stłumionym głosem. – Co to była za równowaga, kiedy niemal do obłędu

doprowadziłeś tę biedną dziewczynę, walcząc o nią z Oscarem!

- Połowa przerażenia tej biednej dziewczyny brała się ze strachu, a mogę wygrać. Ponieważ była najsmakowszym kąskiem w tym towarzystwie, chciałem ją zostawić Oscarowi, ale w uczciwej walce. Gdybyś się nie pojawiła, przegrałbym zakład i zostawił ją jemu pomimo widoków, a w swoim łoku zastaną chlipiącą i biadolącą...

W piersiach poczuła nagłą ulgę.

- Więc chciałeś... miałeś zamiar... zostawić ją Oscarowi?

- Powinnaś się starać kryć swoje uczucia na tym pokazie litości. A teraz idziesz, czy decydujesz się skorzystać z rozkoszy powszechnego zblżenia? Jeśli masz zamiar dołączyć do tego, będę ci musiał zarezerwować miejsce.

Z wahaniem popatrzyła w kierunku, który jej wskazał.

W jednym końcu pokoju Oscar klęczał przed Akadyjką, coś jej pieszczotliwie tłumaczył i ocierał

łzy końcami palców. W drugim końcu pozostałe pary splecione ramionami siedziały na kozetkach lub stały oparte o stół. Szybko odwróciła wzrok i nie zwracając uwagi na jego teatralny gest ruszyła schodami na górę, jakby popychana niewidoczną siłą.

W pokoju podeszła zaraz do toaletki, wzięła szczotkę i nachyliwszy się, zaczęła wyczesywać z włosów okruchy tynku. W lustrze widziała, jak Rolfe podszedł i stanął tu za nią. Przez moment pomyślała, a jej dotknie.

Zamarła w bezruchu. Obrócił się jednak, zdjął tunikę i rzucił ją na krzesło.

- Duszony w sobie gniew jest wrogiem snu – rzucił przez ramię - trzeba znaleźć środek na jego rozładowanie. Chcesz mi coś powiedzieć?

Jego całkowity brak poczucia winy mógł doprowadzić do szaleń.

- Wiesz to bardzo dobrze.

- Ale oferuję ci radość wylania potoku oskarżycielskich słów na moją biedną głowę. Będzie to furia czy tylko poważne ostrzeżenie?

- Dobrze - powiedziała podniesionym tonem. – Nie jestem twoja!

- Co cię tak denerwuje: publiczne przyznanie się do tego, czy świadomość, że to wnet nastąpi?

- Ani jedno, ani drugie!

Z ręką tak zaciśniętą na uchwycie szczotki, a z białymi jej palcami, obróciła się powoli, by spojrzeć mu w oczy.

- Nie jestem ani zabawką, ani maskotką. Jestem Angeline Fortin. Jestem tu nie z własnej winy, a tym bardziej - nie z własnej woli. Należę jedynie do siebie. To, e zostałam zmuszona do pozostania tutaj, niczego nie zmienia.

- Tak myślisz? Sądzę, e ju dałem ci do zrozumienia, e bez względu na to, co mi powiesz, bez względu na wynik naszych poszukiwań Claire, nie pozwolę ci odejść.

Co czy kto mo e mi cię odebrać?

- Ty nie myślisz... nie mo esz tak myśleć!

- Nie mogę? A jeślibym mógł, to co? Co byś na to odpowiedziała?

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Grozisz mi wiecznym więzieniem?

- Takie określenie nie pieści ucha, ale oddaje istotę rzeczy.

- Nigdy ci się to nie uda i to mnie nie martwi.

Zresztą twoje zainteresowanie mną zniknie, skoro tylko znajdziesz Claire.

- To sprawdzian, moja droga? Niemądry. Domyślasz się zapewne, jak trudno mi się przeciwstawić tak ostrej krytyce.

Wesołe nutki w jego głosie odczuwała jak chłostę.

- Chcesz mnie nastraszyć.

- Nawet jeśli mi się to udaje, to i tak potrzebuję pocieszenia.

- Zraniona duma? - rzuciła ostro. - Spodziewasz się mo e, e rzucę ci się w ramiona z wdzięczności?

- To byłoby coś nowego.

- Jeśli to jest to, czego ci potrzeba, to mo esz spróbować z którąś z tych kobiet na dole. Ich udawana przyjemność, sprzedawana i kupowana, jest pod ręką, jeśli tylko chcesz.

- Nie! - rzekł krótko, a oczy zwęziły mu się w niebezpieczne szparki. - To następna próba?

Musi temu zaprzeczyć - pomyślała - ale nie była w stanie tego zrobić.

- Nie wolno ci traktować mnie, jak ci się tylko podoba. Dlaczego robisz rzeczy, których nie rozumiem? A nie rozumiem chocia by tego, dlaczego mnie tu w ogóle trzymasz.

- Dlaczego? Z takiego powodu, dla którego mnich nosi włosienicę na gołym ciele - jako przypomnienie ślubów składanych z najwy szych pobudek.

- Prawda. Przecie ciebie cieszy to, e cię nikt nie rozumie.

- W tym jest sens, jeśli go tylko poszukasz.

Wróciła do toaletki, odłóżyła szczotkę. Czowała na sobie jego spojrzenie, była jak królik, obserwowany przez wilka. Wiedział, e ma nad nią przewagę. Co więcej, ona te o tym wiedziała. Mógł sobie pozwolić na wszystko. Co było zdumiewające, to jego dotychczasowa cierpliwość. Jeśliby uznała go za gentlemana, człowieka honoru, to musiałaby te uznać, e to poczucie winy w połączeniu z przekonaniem, e odnajdzie Claire, powstrzymywało go dotychczas od użycia brutalnej siły, by wydobyć z niej informacje. Faktem było, e dotychczas próbował jednego sposobu przekonywania, a nie był to sposób salonowy, choć po prawdzie, nie był te zbyt bolesny. Teraz jednak, kiedy przeczesywanie terenu nie dało adnego rezultatu, pewnie gotów jest zastosować inną taktykę, by znaleźć to, czego szukał.

Bo jak inaczej rozumieć znaczenie jego słów?

Lekki skrzyp podłogi ostrzegł ją, e się do niej zbliżył. Jedną ręką chwycił ją delikatnie za ramię, a drugą objął w biodrach i lekko przyciągnął do siebie. Wdychał różny zapach jej włosów, odrastającą brodą łaskotał skronie, kiedy nachylił się, by ustami dotknąć delikatnej skóry na jej szyi tu pod uchem.

- Zostaw! - powiedziała ostro, wciągając powietrze; chciała uwolnić się z jego objęć, ale trzymał ją mocno.

- Dlaczego? Boisz się, mimo wszystko, ulec urokowi szczęścia? - mówił niskim głosem. Na policzku czowała jego oddech.

Kiedy odchyliła się tak, e mogła na niego patrzeć, jej włosy spłynęły w dół i zakryły jego ramię.

- Pochlebiasz sobie. Z prawdą mijasz się z daleka, zwłaszcza gdy myślę o pobudkach, jakimi się kierujesz.

- To znaczy? - spytał ze wzrokiem utkwionym w jej ustach.

- Nie jestem tak naiwna, by myśleć, e po prostu podobam ci się... Wykorzystujesz moje uczucia do tego, eby...

Uśmiech pojawił mu się na twarzy.

- Twój czar pocałunków? Niezła myśl.

- Nie - powiedziała przez zaciśnięte zęby – jeśli mogę tego uniknąć.

- A mo esz? To jest właśnie pytanie.

Patrząc jej prosto w oczy, pochylił się, by dotknąć jej ust. Wargi miał mocne, ciepłe, delikatne i

smakowały winem. Czują, jak wbrew jej woli zaczynają działać zmysły i chociaż starała się budować linię obrony przeciwko niedostrzegalnej osaczającej inwazji, nie mogła przewyciężyć ogarniającej jej bezwładności, która zdawała się łamać w niej wszystko. Poddawała mu się całą sobą. Oczy błyszczały, a usta miała lekko rozchylone.

Przez moment stała cicho. Potem przez ściśnięte, suche gardło zaczęła mówić.

- Uważaj, bo może się stać tak, że rozbudzając zmysły i uczucia, stracisz kontrolę nad swoimi. A ja się nie zawaham, to ci mogę obiecać, że będę twoją własną bronią przeciwko tobie i jeśli to miało się zdarzyć, nakazać ci zaprzestania poszukiwań i powrót tam, skąd przybyłeś.

- To ładnie z twojej strony, że mnie ostrzegasz, ale musisz zdać sobie sprawę z ryzyka.

- O jakim ryzyku mówisz?

Siłę jego ramion odczuwała jako rękojmię bezpieczeństwa i całkowitej pewności, której pragnęłaby się poddać.

- Jeśli na swą duszę nałożę kajdany i stanę się twoim dobrowolnym niewolnikiem, to może się zdarzyć, że będę cię tak bezgranicznie potrzebował, że nie cofnę się przed użyciem siły, by cię zabrać ze sobą.

Takie widoki na przyszłość powinny ją przerazić. To, że tak się nie działo, było bardziej niepokojące niż wszystko, co powiedział. Nie miała jednak czasu głębiej się nad tym zastanowić.

Pochylił się nad nią i pocałował ponownie. Pocałunek był mocny, rozbijający, tak zdecydowany, jak on sam przed chwilą, gdy brał do ręki pistolet na dole w hallu.

Jego pragnienie, kontrolowane rozumem i nieugiętą wolą, przypuszczało ostry szturm, którego nie miała nadziei odeprzeć. Czują, jak zmysły brały górę i pochłaniały resztki jej oporu. W

ostatnim przebłysku świadomości rozumiała, że w tych sprawach natury nie należy poprawiać: odpowiedzią kobiety na męską brutalną siłę zawsze było miękkie poddanie. Walka z nim, przy pełnej świadomości, jest słabsza, jest tylko prowokowaniem przegranej. Jeśli natomiast wyjdzie mu naprzeciw i to z gracją - może go rozbroić, zranić, otworzyć na własne rodzaje broni.

Przesuwał rękę coraz wyżej, a dotarł do jej piersi.

Wielkim palcem, przez delikatny materiał, dotykał samego ich szczytu. Wnet poczuła napięcie i ciarki przenikające całe ciało. Rosła siła nacisku. Nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że przed chwilą broniła się przed nim z taką determinacją, a teraz bezwładnie tkwi w jego ramionach i wcale nie zamierza się bronić.

Opierała mu głowę na ramieniu, a całe ciało było zupełnie bezwolne.

Powoli obrócił ją twarzą do siebie. Potem bez wysiłku wziął ją na ręce, podszedł do brzoju łóżka i ułożył na materacu. Kilкома ruchami zrzucił ubranie i położył się obok niej, szczupły i brązowy w

świetle palących się na bocznym stoliku świec. Niebieski płomień palił mu się w oczach, gdy wyciągał się koło niej. Podciągnął jej koszulę a do bioder. Gdy poczuł przepaskę, cicho zaklął i za moment ju jej tam nie było. Przez głowę zdjął z niej tę obszerną szatę i z zachwytem wpatrywał się w piersi, teraz całkiem odkryte.

Odrzucił koszulę, wyciągnął się obok niej, objął i obrócił tak, e znalazła się na nim. Zanurzył palce w jej włosach, które zaraz opadły i niczym kurtyną okryły ich głowy. Ujął jej twarz w swe twarde ręce szermierza i zbliżył do swoich ust.

Czuła jednostajne podnoszenie się i opadanie jego piersi, uderzenia serca i łaskotanie włosów na piersiach. Jego brzuch był płaski i mocny, uda poznaczone węzłami mięśni. Czuła, jak rozluźnia się wewnętrznie, jak to, co przeżywa, pochłania ją całą. Leżąc w takiej pozycji w jakiś sposób panowała nad nim i nie mógł ją tak łatwo zawładnąć. Mimo jego siły i cięaru nie była mu tak całkowicie poddana. To rodziło w niej poczucie wolności.

Głaskał jej plecy, potem obłe kształty bioder. Czuła wzrastające podniecenie, gdy przechylał się na bok, ciągle trzymając ją mocno przy sobie. Piersiami dotykała jego piersi. Mimo chłodu panującego w pokoju było jej gorąco. Czuła, jak płonie. Palcami wolnej ręki przesunęła po jego twarzy dotykając miejsc, gdzie stykały się ich usta. Stwarzało to uczucie całkowitej bliskości, zbliżenia ponad wszystkimi granicami, a do zupełnego zagubienia się, kiedy rozsunął jej uda i powolnym ruchem bioder wniknął w nią jak pulsujący płomień.

Wstrzymała oddech. Po chwili podniosła się lekko razem z nim. Chciała go mieć bliżej i bliżej.

Nie myślała o niczym innym. Ciało zamieniało się w żywy ogień. Nie wiedziała nic, niczego nie chciała poza tym arcem. Zdawała się w nim rozplątać, nikać. Oczekiwała ju tylko całkowitego zagubienia. Mięśnie jej stężyły, poczuła skurcz. Z sykiem wciągnęła powietrze.

Jego ruchy ustały. Chrapliwym głosem, gdzieś z głębi piersi, powiedział:

- Chodź, kochana, a zabiorę cię tam, gdzie wieczna wiosna...

Oparła się, podniósł i wsunął ją pod siebie. Wtulił się w nią, a ona przystosowała się do jego ruchów. Odpłynęła gdzieś w ponadczasowym zapomnieniu. W przypiływie podniecenia zapomniała, gdzie i kim jest. Słyszała jego świszczący oddech, mocne bicie serca, czuła dreszcz, jaki przez niego przebiegał. I w tym momencie nastąpiła eksplozja.

A potem - bezruch.

Wtuleni w siebie czuli tylko, jak przepływa przez nich fala płynnego ognia.

Minęło trochę czasu. Angeline leżała bez ruchu, z wolna przychodząc do siebie. Rolfe leżał obok niej, z ręką na jej piersiach i twarzą w jej włosach. Oddychali wolno i spokojnie. Wracali z dalekiej podróży, chocia nie minęło więcej jak pół godziny. Poczwała zimno.

Czuła ciepło jego uda na swoim. Jeśli się poruszy, może go obudzić, ale jeśli jeszcze trochę tak pole

y - zmarznie.

Obróciła się delikatnie z nadzieją, e ją uwolni z uścisku albo mo e naciągnie na nich kołdrę, jak to ju nieraz robił przedtem. Nie poruszył się. Pierś unosiła mu się w spokojnym rytmie, a powieki nawet nie drgnęły. Spał spokojnie i głęboko.

Jeśli do tego momentu miała jakiegokolwiek wątpliwości, czy był pijany, to w tym momencie się ich pozbyła. Nie mogła sobie wyobrazić, by w jakichkolwiek innych okolicznościach mógł tak szybko i mocno zapaść w sen. Wcześniej, ilekroć się poruszyła, budził się natychmiast.

A skoro był pijany, to niczego, co mówił, nie powinna brać na serio. Jego delikatność, jego chęć sprawienia jej przyjemności, mówienie o tkliwości nie było niczym innym jak pijackim bełkotem. Stwierdzenie tego faktu było dokuczliwe. Bolesny był zawód, który ją spotkał.

Jaka była niemądra! Nic ju nie mo e zrobić - i z tym musi się pogodzić. Jak płytkie były jej myśli, gdy pochlebiała sobie, e oto została wyró niona, e Rolfe postawił ją ponad tamte kobiety. Zabrał ją na górę, a ona ten fakt poczytała za wyró nienie. Cała jej przekora i mizerny opór nie miały sensu. Jej pró ność została połączona tym, e człowiek, który ją porwał, który stosował wobec niej wymyślne tortury, w jakimś porywie uczucia wybrał ją i kochał z najwyszą tkliwością.

Powinna była zawierzyć instynktowi, który jej podpowiadał, e coś się za tym wszystkim kryje.

Teraz pozostawił ją samą, złą na siebie za to, e zdradziła własne ciało. Pasja, z jaką reagowała na niego, zaskakiwała ją i przera ała. Mało tego. Był taki moment, kiedy trzymał ją w objęciach, e gotowa była obdarzyć go czymś zbli onym do uczucia. Nie to, eby była w nim w jakimkolwiek stopniu zakochana czy coś w tym rodzaju. Ale te nie było mo liwe, eby przy takim zbli eniu z mę czyzną nie czuć niczego.

Znienacka przeszedł ją dreszcz. W poczuciu buntuprzeciwno wszystkiemu, co wydarzyło się na tym ło u, poczuła desperacką potrzebę ucieczki od Rolfe'a, potrzebę znalezienia się sama na sam ze sobą. Cofnęła się, wysuwając się spod jego bezwładnej ręki. Rozejrzała się za swoją nocną koszulą. Była wetknięta pomiędzy dwie poduszki, przy czym jeden jej rękaw tkwił pod tą, na której le ał Rolfe. By go nie obudzić, wzięła swoją poduszkę, podł oyla mu pod głowę i powoli wydostała rękaw. Poruszył się, więc poczekała chwilę, ale obrócił się tylko i objął ręką poduszkę.

Wstrzymując oddech odczekała jeszcze chwilę, a się uspokoi. Dopiero wtedy zsunęła się z łoża z koszulą w rękę. Zał oyla ją dopiero, gdy bosymi stopami dotknęła zimnych desek podłogi.

Krzesła znajdujące się w pokoju nie były wygodne.

Miałaby marną noc, gdyby zechciała na którymś z nich się przespać. Mogła uł oć się na kilimku le ącym przed kominkiem, z plecami w stronę dogasających węgli, ale chodniczek był cienki, a podłoga twarda.

Gdy tak stała, namyślając się, co robić, przypomniała sobie kozetkę w niedawno odkrytej garderobie. Jest tam pewnie zimno - pomyślała - poniewa ciepło nie docierało tam od wielu dni, mo e miesięcy,

a mo e nawet lat. Będzie potrzebowała jakiegoś okrycia.

Niepewnie przyjrzała się skotłowanym okryciom w nogach łó ka; mogła je wziąć, ale ryzykowała obudzenie Rolfe'a. Miała do wyboru: odsunięcie się od niego i niewygodę albo zbli enie i przytulne ciepło. Do diabła z kimś, kto nawet we śnie potrafi stwarzać problemy! Jeśli kiedykolwiek miała szanse wygrać z nim, z tym księciem Ruthenii, to właśnie teraz.

Udało się. Z kołdrą w ręku odwróciła się i popatrzyła na nagą sylwetkę. Stała. W takim stanie, w jakim się znajdował, mógł le eć godzinami, zanim poczuje zimno i przykryje się. W tym wilgotnym, przenikliwym, zimowym subtropikalnym chłodzie jak nic złapie zapalenie płuc.

Z ponurą miną odłó yła kołdrę, wróciła do łó ka, naciągnęła na niego prześcieradło i koc a po ramiona i rękę przytrzymującą poduszkę. Gdy wszystko było ju gotowe, uśmiechnęła się gorzko. Dziwne, ale wyglądało to trochę tak, jakby ktoś ciągle jeszcze z nim spał. Popatrzyła na jego opaloną twarz, odwróciła się szybko i podniosła kołdrę. Zdmuchnęła świece w lichtarzach stojących przy łó ku i ruszyła w stronę ściany, gdzie za zasłoną znajdowały się drzwi do garderoby.

Pomieszczenie było bardzo wilgotne i zimne, tak jak przypuszczała. Bez świecy, w bezksię ycową noc za oknem, było te ciemne. Zastały kurz, poruszony teraz jej wejściem, unosił się w powietrzu razem z zapachem pleśniejącej skóry. Poło yła się na kozetce, zawinęła w kołdrę jak w kokon. Zaczęła nasłuchiwać odgłosów nocy w domu i na dworze. Wiatr hulał po poddaszu i poruszał bezlistnymi gałęziami drzew rosnących tu przy oknach. Od czasu do czasu coś trzeszczało w ścianach i belkach domu. Był to naturalny akompaniament do odgłosu sprę yn materaców, jaki dawał się słyszeć po całym domu. Nie było niczego tajemniczego w tych odgłosach. Gwardziści wzięli kobiety na górę i teraz kotłowali się z nimi, ka dy w swoim pokoju. Przez moment pomyślała, czy równie z pokoju, który ona dzieliła z Rolfe'em, dochodziły takie hałasy i czy te wszyscy je słyszeli. Na samą myśl o tym zarumieniła się.

Wtulając się jeszcze głębiej w kołdrę, zamknęła oczy, starając się nie myśleć ju o niczym i zasnąć.

* * *

W jej niespokojny sen wtargnęły głośnie trzaski, stając się elementem składowym majaków, jakie ją opanowały. Zobaczyła słup ognia unoszący się w niebo. Była zaintrygowana i przera ona, pełna po ądania i rozpacz.

Słyszała trzask ognia i czuła zapach dymu. Oczy szczypały i zachodziły łzami. Drobiniki popiołu drapały w gardle, zaczęła się dusić.

Obudziła się kaszląc, z kwaśnym zapachem dymu w nozdrzach. Oczy ją piekły. Skądś z bliska dochodził mocny i wyraźny odgłos strzelających płomieni. Siadła, nasłuchując trzasków dochodzących z pokoju obok.

Przez szparę pod drzwiami widoczna była smuga tańczącego czerwonepomarańczowego światła.

Wstała ze swego posłania i podeszła do drzwi.

Otworzyła je i odsunęła kotarę. Łóko, na którym tak niedawno temu leała, całe stało w ogniu.

Szkarłatne i złote płomienie obejmowały zasłony, czerniąc dymem sufit. Biegły wzdłuż szczytu łóka, lizały pościel, rzucały światło nawet w najdalsze kąty pokoju. Otaczały złotą aureolą głowę Rolfe'a, leącego pod kocami tak, jak go zostawiła.

- O, Boże! - zawołała i rzuciła się w jego kierunku.

Chwyliła go za rękę i spróbowała odciągnąć od tańczących płomieni. Był ciężki i bezwładny.

Unieść go nie mogła waden sposób. Płonący strzęp materiału oderwał się od baldachimu nad łókiem i padł mu na ramię. Nie zareagował.

Przygryzając wargi podbiegła do toaletki i chwyciła dzbanek do połowy napełniony wodą.

Chlusnęła nią na Rolfe'a i pościel. Trochę ognia z sykiem przygasło, ale płomienie, obejmujące zasłony, szalały dalej. Potrzebowała pomocy.

Teraz.

Natychmiast.

Rzuciła dzbanek i pobiegła do drzwi. Otworzyła je z hałasem i przez hall podbiegła do pokoju Meyera.

- Pali się! - krzyknęła. - Pali się!

W hallu na dole otworzyły się drzwi i ukazał się w nich zaspany Gustave.

- *Gott im Himmel!* - zawołał, gdy zobaczył płomienie w ciemnym hallu. - Właśnie wydawało mi się, że gdzieś czuję dym.

- Tam jest Rolfe! - zawołała w jego stronę. - Nie mogę go dobudzić!

Za chwilę hall wypełniły przekleństwa mężczyzny i piski kobiet. Gwardziści rzucili się w stronę pokoju, gdzie leżał ich przywódca. Nie bacząc na rany i oparzenia, zerwali zasłony z łóka, zgasili je, a potem kocami i poduszkami stłumili resztę płomieni. Leopold i Oscar przenieśli Rolfe'a w odległy kąt pokoju i położyli go na podłodze. Kiedy się cofnęli, ocknął się i z wyraźnym wysiłkiem otworzył oczy.

Żrenicami pomniejszonymi do wielkości główki od szpilki wpatrywał się w Gustave'a i Meyera stojących na materacu, otoczonych kłębamii dymu i popiołu, jak dogaszali uparte resztki płomieni na baldachimie. Nie wiadomo, czy rozumiał, co się przed chwilą stało, ale zareagował w charakterystyczny dla siebie sposób.

- Co za bałagan! - wycedził przez zęby. - Do diabła!

Nie mniejszy ni na całej tej przedziwnej ziemi.

Wszyscy poczuli ulgę. Sarus przyklęknął obok swego pana, blady jak ściana. Oscar patrzył na Leopolda i brata, którzy ze ścian zrywali resztki spalonych materiałów.

- Dzięki Bogu! - rzekł Meyer, a Gustave zeskoczył z łóżka i stanął nad leżącym.

- O co ci właściwie chodziło? - spytał siwy weteran. - Miałeś zamiar spalić ten dom razem z nami, czy chciałeś się tylko trochę ogrzać?

Rolfe zamknął oczy.

- Nie ma co podnosić hałasu. Będę musiał wyrównać szkody panu de la Chaise, ale z tego, co pamiętam, ta zabawa nie jest moim dziełem.

- Widywałem cię, jak piłeś co najmniej tyle, ile dzisiaj, albo i więcej, bez widocznych skutków.

Jak więc się stało, że o mało się nie upiekłeś?

- Zawiodłeś się na mnie? Nic na to nie poradzę.

Zagadki tej te ci nie wyjaśnię.

Gustave zamyślił się, a potem nagle przyklęknął na jedno kolano, uniósł Rolfe'owi jedną powiekę i przyjrzał się zwię onej źrenicy.

- Działają niezależnie od siebie, ale razem – rzekł. Księżę, z trudem trzymając oczy otwarte; uniósł jedną brew, jakby o coś pytał.

- Narkotyk - rzekł Gustave. - Domyślam się, że to turkmeriski mak.

Leżącym wstrząsnął bezgłośny śmiech.

- Podtruty i bezsilny.

- Jak to się stało...? - zaczął Gustave, ale nie dokończył.

- Jeśli ju musisz pytać - rzekł Rolfe zamykając oczy - to ci powiem: po prostu za duży wypięłem.

Sarus wstał i wyszedł z pokoju. Angeline popatrzyła na drzwi, za którymi zniknął, a w których teraz pojawiły się poblądłe kobiety.

Należało znaleźć odpowiedzi na wiele pytań. Kto dodał narkotyku do jedzenia czy napoju Rolfe'a? Czemu podał narkotyk, a nie truciznę? Czy miał nadzieję, że narkotyk zmieszany z winem wystarczy, by zabić? Widząc, że nie - zastosował dodatkowy sposób. A może zależało mu na tym, by to po prostu spowodował śmierć, a narkotyk miał pozostać tajemnicą, którą Rolfe miał

zabrać do grobu?

Oswald podszedł bliżej i jedną nogą oparł się o ścianę.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś wszedł do domu, dodał opium do jedzenia Rolfe'a, ukrył się na czas, a on zaśnie, potem przyszedł i podłożył ogień pod łóżko? To chyba niemożliwe.

Przyznaję, że w przeszłości było kilka podejrzanych wydarzeń, ale trudno uwierzyć, by ktoś, obojętnie kto, wchodził do naszych kwater. Poza tym, czy zauważyliście, że lichtarze stały na samym skraju stołu? Myślę, że to jednak wypadek.

- A co z narkotykiem? - spytał Gustave.

- Na razie to tylko twoje podejrzenie. Nie można na tego wytłumaczyć kilkudniowym przemęczeniem i zwiększoną podatnością na złe działanie wina?

- Tylko moje podejrzenie?! - wrzasnął Gustave i zerwał się na nogi.

Rolfe uniósł rękę i nie otwierając oczu, powiedział:

- Pytanie całkiem uzasadnione.

Teraz głos zabrał Meyer.

- Nie widzę uzasadnienia, by twierdzić, że ktoś, kto to zrobił, przyszedł z zewnątrz. W domu wieczorem było pięć obcych osób, a właściwie sześć, jeśli liczyć Angeline. Poza tym, słuchamy pana de la Chaise, który wciąż jeszcze leży w kuchni. Ich też trzeba liczyć. Do tego dostawców...

- I nas samych - powiedział Oscar na wpół do siebie.

Jakby zmówieni, wszyscy spojrzeli na Leopolda, który się podniósł z zaciśniętymi pięściami.

- To popatrzcie...

- Nie można liczyć Angeline - powiedział szybko Gustave, jakby chciał zaognić kłótnię. - To ona nas zaalarmowała. Inaczej moglibyśmy nie zdążyć na czas. A poza tym, będąc z Rolfe'em, była narażona na takie samo niebezpieczeństwo.

- Racja - powiedział Meyer zwracając się w jej stronę. - Może pani coś... może pani kogoś widziała?

- Ja nie... nic... ja nikogo. Kiedy się przebudziłam, wszystko wokół już się paliło.

Ze zrozumiałych względów nie chciała wchodzić w szczegóły, dlaczego nie była w tym samym pokoju, co Rolfe, a tym bardziej - w tym samym, co on, łóżku.

Któraś ze stojących w drzwiach kobiet zaśmiała się.

- Musiała mocno spać. Ciekawe dlaczego?

Meyer ostro spojrzał w jej stronę, a potem powiedział do pozostałych:

- To prowadzi nas donikąd. Odłó my do jutra sekcję zwłok.

Wszedł Sarus niosąc na srebrnej tacy wielki kielich.

Ukląkł obok Rolfe'a i podtrzymywał go, kiedy ten pił.

Oparty na jednym łokciu ksią ę rzekł:

- Chyba za wcześnie na sekcję zwłok, Meyer.

Meyer obrócił się i ze śmiechem w oczach odparł:

- Na szczęście masz rację. A teraz co by tu z tobą zrobić?

Prześcielono dla księcia łó ko w pokoju Meyera. On sam zszedł na dół, by resztę nocy spędzić na jednej z kozetek. Kobietę, którą miał ze sobą, a która zaczęła głośno protestować, uspokoił, wciskając jej w rękę złotą monetę. Rolfe, nie podtrzymywany przez nikogo, podszedł do łó ka, położył się i z rozbawieniem w oczach przyglądał się Angeline, zdenerwowanej i zarumienionej, unikającej zblżenia się do niego, zanim wszyscy, jeden po drugim, nie wyjdą z pokoju i nie zostawią ich samych.

- Wiem, e zawdzięczam ci ycie - powiedział, gdy wreszcie przysiadła na skraju łó ka obok niego.

- To nic takiego.

- Mo e dla ciebie, ale ja tę przysługę cenię wysoko.

- Nie miałam na myśli... - zaczęła z wahaniem.

- Wiem, co miałaś na myśli - przerwał jej. – Muszę się zastanowić nad nagrodą.

- Nie rób sobie kłopotów. Moje uwolnienie wystarczy za wszystko - powiedziała cierpko.

Popatrzył na nią błyszczącymi od narkotyków oczami i powiedział:

- Wszystko, tylko nie to.

Rozdział 9

Angeline była pewna, e Rolfe pości długo. Ale nie spał. W niecałe cztery godziny od powrotu do łó ka był znowu na nogach, ogolony, ubrany, jakby gotowy do drogi. Wydawało się, e ostatnie wypadki odbiły się niekorzystnie jedynie na jego opanowaniu. Najpierw obszedł się ostro z Sarusem, którego znalazł śpiącego na progu sypialni. Podobnie zachował się w stosunku do Angeline, gdy nie

odpowiedziała natychmiast, co by chciała na śniadanie. Zbeształ Gustave'a, który chciał mu dać jakiś środek na ból głowy. Schodząc do głównego, hallu zawołał na wszystkich, by za pół godziny, w mundurach, zebrali się na dole.

Kiedy męczyźni, kryjąc ziewanie, w wymiętoszonych tunikach, zasiedli w charakterze doraźnego sądu, Rolfe nakazał sprowadzenie wszystkich kobiet na przesłuchanie.

Było ono tak wyczerpujące, e kobiety po nim albo milczały z zaciśniętymi zębami, albo głośno płakały.

Młoda Akadyjka była tak zdruzgotana, e Oscar musiał jej pomóc wyjść z pokoju, a ona sama ledwie powstrzymywała łkanie. Kiedy nadszedł czas odjazdu, nie mo na było jej uprosić, by jeszcze trochę została, chocia Oscar bardzo na to nalegał. Odjechała z pozostałymi krótko przed południem, wgramoliwszy się do bryczki, którą pan de la Chaise podesał, eby je odwieźć.

Nawet się nie obejrzała, gdy pojazd odje d ał.

Popołudnie poświęcono na naradę, z której Angeline wyłączono. Zaprowadzono ją do pokoju, który dzieliła z Rolfe'em, gdy wybuchł po ar. Wprawdzie był ju doprowadzony do porządku, ale ciągle jeszcze czuć było przykry zapach dymu, pomieszany teraz z zapachem mydła i olejku cytrynowego, którym przetarto meble.

Po zakończeniu pracy Sarus wyszedł z ukłonem, zostawiając ją samą. Poszedł przygotowywać obiad.

Kilka razy słyszała odgłos kopyt końskich na podjeździe, widziała tego i owego z gwardzistów, jak wyje d ał i wracał z wyprawy, której celu mogła się jedynie domyślać. Wyglądało na to, e Rolfe'a zmęczyło długotrwałe przeczesywanie terenu i postanowił przyspieszyć poszukiwania Claire. Powodu nietrudno było się domyślić: wypadki ostatniej nocy musiały nim wstrząsnąć -

przypominały okoliczności, w jakich zginął jego brat. Nienaturalna śmierć kolejnego następcy tronu Ruthenii we własnym łó ku - to za wiele.

Wbrew temu, co mówił Oswald, po ar nie wyglądał na przypadek.

Tego była niemal pewna. Zanim przeszła do garderoby, osobiście zdmuchnęła świece palące się na stoliku przy łó ku. Myśl więc, e złoczyńca mógł pochodzić z zewnątrz, miała cechy prawdopodobieństwa. Tylko e w takim wypadku musiałby otrzymać jakieś informacje od wewnątrz albo sam musiałby dokładnie wszystko obserwować. To byłoby bardzo ryzykowne.

Bardziej logicznym wyjaśnieniem było to, co Gustave powiedział kilka dni temu: osoba, której zale ało na śmierci Rolfe'a, nale ała do jego *gardę du corpse*.

Ale czemu ona się tym martwi? Powinna raczej zająć się samą sobą i dwuznaczną sytuacją, w jakiej Rolfe ją postawił. Powinna pomyśleć o swojej przyszłości i o tym, co zrobić, jeśli jego groźba zatrzymania jej przy sobie zostanie spełniona. Będzie musiała od niego uciec.

Jeszcze nie miała pojęcia, jak to zrobi, ale nie mo e pozostać bierna i pozwolić mu na traktowanie jej

wedle własnego widzimisię. Zgoda na to oznaczałaby na przyszłość ycie takie, jakie wiodą kobiety dowiedzione tu poprzedniego wieczoru, ycie od przypadku do przypadku, bez honoru i poszanowania, z koniecznością uznawania mę czyzny za swego pana, ale bez przynale ności do niego, bez przynale ności nawet do samej siebie.

Ściemniało się wcześniej, niebo pokryło się chmurami, a mgła spowiła drzewa. Zbierało się na deszcz. Angeline wykapała się i umyła włosy. Rozczesawszy ich płataninę w długie, wilgotne, jedwabiste pasma, nała yła swą kretonową bluzkę oraz tunikę, którą Sarus przyniósł świe o upraną i uprasowaną. Siedziała przed kominkiem i suszyła warkocze, gdy nagle otworzyły się drzwi i wszedł ksią ę. Staął, przyjrzał się jej uwa nie, a potem zamknął je za sobą. Podszedł

bli ej. Mówił tak, jakby chciał powiedzieć akurat nie to, jakby myśli miał zaprzątnięte czymś innym.

- Mo e w nagrodę za ostatnią noc chciałabyś dostać coś nowego do ubrania?

- Dziękuję, nie.

- Bardzo niedawno uskar ałaś się, e nie masz nic na zmianę.

Przyjrzała mu się, nie patrząc w oczy.

- Mam dość ubiorów w domu ciotki.

- Ale nie masz do nich dostępu. Jeśli te szmatki, które masz na sobie, są przykładem tego, co tam jest, nie masz za czym tęsknić.

- Co masz do zarzucenia tej bluzce?

- Nie mówiąc ju o tym, e jest z najtańszego kretonu i pewnie drze się jak papier - odparł, jakby chciał sprowokować jej gniew - to jeszcze wygląda tak, jakby wyszła z mody pięć lat temu. A poza tym, zupełnie ci w niej nie do twarzy. Mo e była dobra dla Claire jako *jeune filie*.

Słowa były uszczypliwe, bardziej zjadliwe ni wszystko, co jej dotychczas powiedział, od chwili gdy się spotkali po raz pierwszy, gdy wziął ją za Claire. Opuściła szarozielone oczy, przyćmione gniewem i czymś jeszcze, do czego nawet sama przed sobą nie chciała się przyznać.

- To jest wszystko, co mam.

- Proponuję ci, jak temu zaradzić.

- Nie jest to ani twoim obowiązkiem, ani prawem.

- Mylisz się - powiedział ju miękko. - Jeśli zapragnę okryć cię diamentami i perłami, to mogę to zrobić. Jeśli sprawi mi przyjemność widzieć cię ubraną w kwiaty, z nogami owiniętymi w futra i z rubinem w pępku – to tak musi być. ebyś nie mówiła, e nie wiesz. Wszystko, czego chcę od ciebie...

- Wiem! Stosowania się do twoich poleceń. Wybacz, jeśli stan mojej garderoby nie odpowiada

twoim oczekiwaniom. Wysłałam źle przygotowana do długiego pobytu poza domem i zupełnie bez pojęcia, jaką rolę przyjdzie mi pełnić. Musisz się pogodzić z tym, e jestem, jaka jestem.

Stał nad nią wyprostowany, z oczami jak ciemne szafiry.

- Rozważam powrót do myśli, by cię utrzymać w ryzach, rozkazując ci, byś chodziła nago.

Będzie to nie tylko wygodne, ale te powstrzyma cię od zbytowego spoufalania się z moją gwardią, od grania na ich uczuciach, eby pozwalali ci na wszystko, czego będziesz chciała.

- Chyba... przesadzasz.

- Z trzymaniem cię nago, czy z reakcjami moich ludzi? Zapewniam cię, e jedno i drugie jest całkowicie mo liwe i prawdziwe.

Ukląkł na jedno kolano przy krześle, na którym siedziała, i wyciągnąwszy rękę, przesuwając palcami po jej policzku i w dół po szczęce, dołku poni ej szyi a po zagłębienie między piersiami.

Jego słowa, łącznie z obietnicą zapłaty, uderzały w nią jak bolesne razy. Nie były wprawdzie niczym nowym - tego przecie mogła się po nim spodziewać, niemniej gdzieś w głębi wzbierała w niej wściekłość jak nigdy dotąd. Odtrąciła jego rękę i wstała.

- Bardzo to miło z twojej strony - zaczęła łamiącym się głosem. - Ale...

W tym momencie rozległo się ciche pukanie do drzwi.

Rolfe podniósł się, prostując na całą wysokość. Zrobił krok w stronę drzwi i zatrzymał się, jakby się wahał. Ich spojrzenia skrzy owały się i zdało się jej, e w jego ywych oczach zauwa yła jakiś błysk, jakby alu. Odwrócił się jednak gwałtownie, ruszył do drzwi i otworzył je.

W progu stał Sarus. Naradzali się po cichu przez chwilę i słu ący zaraz odszedł. Z ręką na klamce Rolfe zwrócił się w stronę Angeline.

- Sarus powiedział mi, e obiad jest podany. Ale wynikła sprawa wymagająca mojej obecności.

Wnet dołączę do ciebie w hallu na dole.

Ju miał się odwrócić, ale spojrzał na nią, jakby się rozmyślił.

- To tak dla twojej informacji: odkryto miejsce ukrycia Claire. Rano będziemy ją mieli.

Angeline przez długi czas wpatrywała się w drzwi, które zamknęły się za Rolfe'em. Zrobiła długi, głęboki, uspokajający wdech, przyciskając obie ręce do piersi.

Nic w tej chwili nie mogła zrobić. Chciałaby być sama, chciałaby zapomnieć o jedzeniu, o wszystkim, co ją teraz czekało. Jeśli się jednak nie pojawi przy stole, Rolfe mo e zaraz po powrocie

wprowadzić w czyn swoją groźbę. Nie chciała go do tego prowokować. Na razie musi robić, co jej ka e, ale tak nie będzie zawsze.

Włosy niemal wyschły. Przeczesała je jeszcze raz, odrzuciła na plecy i wyszła z pokoju.

Schodząc po schodach zastanawiała się nad tym, co jej Rolfe powiedział. Przyglądała się dębowym stopniom i wykładzinom na ścianie z *faux bois* pomalowanym na marmur. Z ręką na poręczy rozejrzała się dokoła. Drzwi frontowe były otwarte na oście , jakby ktoś przed chwilą wszedł w pośpiechu do domu. Napływało stamtąd wilgotne zimno. Nie namyślając się ruszyła w ich stronę, by je zamknąć. Chwyciła za klamkę, ale wstrzymała się - zapatrzyła się w mglistą noc.

Przed schodami, uwiązany do metalowego słupka, stał osiodłany koń. Szarpał się nerwowo.

Popatrzyła na niego płonącymi oczami. Poczwała nagłą pokusę, by wybiec przez drzwi, wskoczyć na siodło i odjechać. Obróciwszy wolno głowę, spojrzała w stronę hallu głównego, gdzie na stole stało ju wszystko przygotowane do kolacji, lśniąc porcelaną, kryształami i srebrem. Przy stole nie było nikogo, nikt te nie siedział na kozetkach przed kominkiem, w którym płonął ogień. Pewnie wszyscy byli na naradzie z Rolfe'em, o której mówił wcześniej.

Sarus pewnie na zapleczu przygotowuje pierwsze danie.

Wsluchiwała się intensywnie i wychwyciła odgłosy jakichś rozmów. Zza hallu dochodził ledwie dosłyszalny brzęk naczyń. Niewiarygodne, ale tutaj była sama.

Przemknęła się przez drzwi, zamknęła je bardzo cicho za sobą, na palcach zesła po schodach.

Palce jej się trzęsły, więc potrzebowała dobrej chwili, by odwiązać lejce od słupka. Stojący tu koń to był wałach o jedwabistej, białej sierści i mądrych oczach. Pogłaskała go po karku i cofnęła pod blok do wsiadania. Włó yła nogę w strzemię, podniosła się i wskoczyła na siodło.

Koń parsknął, odwrócił głowę, jakby chciał o coś spytać, ale nie wykonał adnego nerwowego ruchu, by ją zrzucić z grzbietu. Cmoknęła cicho, wparła pięty w jego boki i skierowała w dół

podjazdu.

Oparła się pokusie, by ruszyć galopem. Im dłu ej nie zauwa a jej ucieczki, tym większą będzie miała szansę. Udało się jej wyjść z domu, wsiąść na konia, ale nie łudziła się: jeszcze w ka dej chwili mogą ją dopaść. Obejrzała się za siebie, tam, gdzie stał dom, z którego dopiero co wyszła.

Przez okna widoczne były palące się świece, stwarzające atmosferę pełnej czujności. Przy domu jednak nie było widać adnego ruchu. Przygryzając wargi, jechała wolno naprzód.

Ogromną ulgę poczuła dopiero wtedy, gdy puściła konia kłusem. Jej szanse rosły z ka dym metrem, jaki dzielił ją od ludzi księcia. Będą musieli siodłać konie, a to pochłania trochę czasu.

Jeśli nawet byli lepszymi jeźdźcami, to konie pod nimi będą się męczyły szybciej.

Kłus to było tempo, którym wałach będzie mógł pokonać wiele kilometrów. A taką odległość musi pokonać.

Gdy zbliżała się do plantacji de la Chaise, poczuła silną pokusę, by w tym kierunku jechać dalej.

Im szybciej dotrze do ludzi, których będzie mogła zawiadomić, co ją spotkało, do kogoś, kto będzie mógł jej pomóc, tym lepiej dla niej. Pomyślała o Claire w konwencie u sióstr, szykującej się do snu, pewnej, że jest bezpieczna. Musi ją ostrzec.

Ominęła z daleka dom de la Chaise i wjechała na główną drogę.

Teraz tylko skierowała konia we właściwym kierunku i zdała się na instynkt zwierzęcia. W

ciemności pochmurnej nocy i we mgle ciągnącej nad rzeki trudno było wypatrzeć drogę i koleiny wyjeżdżone kołami wozów.

Koń sam wyczuwał wszystko najlepiej. Sylwetki drzew migały coraz szybciej: nie wiedziała, czy rumak wyczuwa jej niepokój, czy może coraz mocniej ścisnęła go kolanami, opuszczając przy tym swobodnie wodze. Przez chwilę pomyślała o domu myśliwskim de la Chaise, zastanawiając się, czy już odkryli jej nieobecność, czy Rolfe sam uda się w pościg za nią, czy tylko wysła ludzi.

Nagle wydało się jej, że słyszy tętent koński, ale przy odgłosie, jaki wydawały kopyta jej konia, przy szumie wiatru w uszach i łoskocie uderzeń jej serca nie była tego pewna. A ponieważ tętent się nie powtórzył, uznała, że to pewnie echo odbite od zwartej ściany lasu.

Była wolna, wolna od Rolfe'a, wolna - i wracała do ciotki. To był bieg jej życia. Uciekła, wystrychnęła na dudków całą tę gwardię i tego, który nią dowodził, wymykając się im spod nosa z zadziwiającą łatwością.

Czuła radość zwycięstwa! Zwiodła ich tym, że nie histeryzowała, że była potulna, uprzejmie z nimi rozmawiała. Pewnie nawet myśleli, że jest zadowolona z tego, że jest utrzymanką Rolfe'a.

Mogli pomyśleć, że po tym, co zrobiła ostatniej nocy, nie trzeba jej już tak czujnie pilnować. I taki jest rezultat.

Ale w miarę jak ubywało drogi, zaczęło ogarniać ją jakieś nieprzyjemne uczucie. Rolfe wcale nie myślał, że się poddała: ubliżające słowa, jego nastawienie, sposób, w jaki na nią patrzył, mówiły zupełnie coś innego. Jego ludzie mogli pozwolić sobie na zmniejszenie czujności - w jego charakterze to nie leżało. Przywódca nie mógł sobie na taką nieuwagę pozwolić. A jednak kazał

jej zejść na dół, mimo że wiedział, że nie będzie tam nikogo z jego ludzi, a Sarus będzie zajęty przygotowaniami do kolacji.

Tak. Jej ucieczka była śmiesznie łatwa. Pusty hall, otwarte drzwi, osiodłany i gotowy do drogi koń.

Uciekła - zrozumiała to nagle z gorzką pewnością - bo Rolfe chciał, by to zrobiła. Docinkami i groźbami spowodował, że miała dość powodów, by się na to zdecydować. Była już niemal do tego

zmusić – powiedział jej o odnalezieniu kryjówki Claire, wiedząc, e jeśli tylko będzie miała mo liwość, postara się ją zawiadomić, e miejsce ukrycia nie jest ju bezpieczne.

Z podniecenia ucieczką do wolności i jazdą nie odczuwała dotychczas adnego chłodu, przenikającego przez cienki kreton bluzki, którą miała na sobie. Teraz zaczęła się trząść, czując, jak mgła wnika jej we włosy, jak wilgotne ubranie klei się do ciała, jak kryształki lodu docierają a do serca.

Dlaczego? Dlaczego pozwolono jej uciec z domu?

Nietrudno było na to pytanie odpowiedzieć. Rolfe i jego ludzie nie wiedzieli, gdzie jest Claire.

Całą rzecz, dokładnie przemyślaną na popołudniowej naradzie, uło ono tak, by ona, Angeline, zaprowadziła ich do niej.

Była tak pochłonięta swoimi myślami, e o mało nie przeoczyła słabo widocznej, wiodącej do klasztoru ście ki.

Ściągnęła wodze i przystanęła na moment, rozpaczliwie zastanawiając się, co robić. Jeśli ma rację, to Rolfe i pozostali muszą być tu gdzieś w pobli u. Mo e nawet wysłali kogoś naprzód, kto teraz ją obserwuje. Zaprowadzić ich do Claire było ostatnią rzeczą, którą chciałaby zrobić. W tej sytuacji jedyny wybór, jaki jej pozostał, to dom de Buys i ciotka.

Decyzję podjęła błyskawicznie. Ścisnęła konia udami i puściła go galopem ledwo widoczną wąską ście ką przez las. Wzdłu niej pło yło się dzikie wino, wysoko wystawały korzenie, a zwisające gałęzie mogły w ka dej chwili wyrzucić ją z siodła. Będzie miała szczęście, jeśli koń nie złamie nogi albo ona karku. Wydarzyć się te mo e i jedno, i drugie naraz. Popędzała ją świadomość, e dobrowolnie weszła w pułapkę zastawioną przez Rolfe'a, e zrobiła dokładnie to, co zaplanował, e jeszcze raz wywiódł ją w pole, a ona cały czas myślała, e to jej udała się ucieczka. Mo liwości, e mo e się mylić, nawet nie brała pod uwagę. Wszystko było tak misternie przygotowane, e tylko on mógł to zrobić.

Jakby na potwierdzenie jej rozmyślań w tym momencie usłyszała tętent koni, wygłuszony miękką nawierzchnią drogi. Dochodził wyraźnie i zbli ał się szybko. To nie było echo.

Przytuliła się do końskiego karku. Jedną ręką uchwyciła się grzywy i zmusiła konia do dalszego galopu.

Przemawiała do niego pieszczotliwie, nie wiedząc, co mówi, z oczami utkwionymi w sylwetki drzew, które wybiegały jej naprzeciw. Drogę znała dobrze. Pokonać by ją mogła z zawiązanymi oczami. To była jej przewaga nad pościgiem. Oni musieli jechać znacznie wolniej i ostro niej.

Nie mogli się te rozproszyć, by ją okra yć.

Mogli jechać tylko jeden za drugim. Gdyby zdołała dojechać do domu przed nimi, obudzić ciotkę czy chocia by słu ących, to mo liwe, e ksią ę poniechałby pościgu. Wolałaby dojechać spokojnie, bez obecności słu by, jeśli byłoby to w ogóle mo liwe. A e nie było, musi zrobić wszystko, co w jej

mocy, by pokrzy ować plany człowiekowi, który ją więził.

Gałęzie biły ją po twarzy. Pasemko włosów zaczepiło o konar i niewiele brakowało, a wypadłaby z siodła. Na szczęście pękła gałąź i została jej we włosach. Koń ju mocno robił bokami i płyty piany leciały mu z pyska.

Przemawiała do niego dalej, więc rwał do przodu, jakby płynął w powietrzu.

Skroś drzew zobaczyła błysk światła. To był czworokąt domu de Buys ukryty w ogrodzie. Przed frontem stał lekki powozik. Światło padające z okien odbijało się od jego niebieskiej, lśniącej farby. Ściągnęła lejce i koń zarył kopytami w warstwie skorupki ostryg pokrywających podjazd.

Przerzuciła nogę nad końskim karkiem, zsunęła się z siodła i wylądowała na ziemi. Od strony lasu w milczeniu, nie kryjąc się, nadje d ała grupka jeźdźców.

Z zaciśniętymi ustami spojrzała na moment w tamtym kierunku, potem zgarnęła ręką długą spódnicę i pobiegła w stronę schodów i jasno oświetlonych drzwi wejściowych.

Był tu taki zwyczaj, e zamykano je dopiero wtedy, gdy cała rodzina udawała się na spoczynek.

Pod naciskiem dłoni klamka uchyliła się i jedno skrzydło drzwi się otworzyło. Doszły ją głosy z salonu po lewej stronie, więc pobiegła w ich kierunku. Usłyszała równie krótkie rozkazy, które wydawał Rolfe. Z głębi domu dało się słyszeć szuranie nóg starego czarnego słu ącego.

Popatrzył na nią zaskoczony i przera ony, gdy zobaczył jej ubranie: poszarpaną spódnicę i o wiele za du ą męską tunikę, na dodatek rozwichrzone włosy.

- Panienska Angeline!

- Ciotka! Gdzie jest ciotka?

- Jest w salonie, panienko. Ale nie mo esz... tak nie mo esz tam wejść. Jest z...

Nie czekała, a dokończy. Podbiegła do drzwi salonu, pchnęła je i wpadła do środka.

Salon, przeznaczony przede wszystkim do przyjmowania gości, urządzony był luksusowo.

Wyposa enie stanowił komplet stylowych francuskich mebli z pluszowymi obiciami.

Zawieszony był cię kimi, brokatowymi zasłonami. Na ścianach wisiały lustra w połączonych ramach rzeźbionych w złote kwiaty i obrazy o tematyce pasterskiej w stylu Fragonarda.

Wszędzie le ały drobiazgi z chińskiej porcelany i polerowanego srebra. Na stolikach pod ścianami połyskiwały ozdobne kryształy. Ciotka siedziała na kanapce, ubrana do kolacji w suknię z surowego płótna i kapelusik z tego samego materiału, ozdobiony czarną wstą eczką. Pogrą ona była w rozmowie z Andre Delacroix, który w wieczorowym stroju, z zalotnie podkreślonym wąsikiem i uprzejmym uśmiechem na twarzy, stał przy kominku. Jedną ręką opierał się o marmurową obudowę, a

w drugiej trzymał kieliszek rubinowoczerwonego burgunda.

Madame najpierw się zdenerwowała i dopiero po chwili, gdy poznała bratanicę, zbladła jak trup.

- Angeline - powiedziała ledwo dosłyszalnie.

- Angeline! - zawołał Andre tak gwałtownie, że a wino chlusnęło z kieliszka na marmurową obudowę, zabarwiając ją na kolor krwi.

Na nic więcej nie było czasu. Księżę i jego ludzie stali już u frontowych drzwi, które wyważyli z zawiasów.

Słychać było, jak stary odźwierny głośno protestuje, ale w chwilę potem Rolfe na czele swoich ludzi wszedł do salonu. Ka dy trzymał w ręku pistolet gotowy do strzału.

Księżę jednym spojrzeniem ocenił sytuację. Podszedł do Angeline i objął ją takim gestem, jakby była jego własnością. Obejmowanie mogło wyglądać dość niewinnie - w rzeczywistości była to elazna obręcz.

- Przeszukać dom! - wydał krótki rozkaz i spojrzał na Leopolda i Oswalda. Dopiero teraz zwrócił uwagę na panią domu i bez przesadnej uniemożliwości skłonił się w jej stronę.

- Pani de Buys, jak sądzę? Dobry wieczór pani.

- Co... co to wszystko ma znaczyć? - spytała starsza pani, wolno wstając z kanapy.

- Drobne zamieszanie, które wnet się skończy. Proszę się nie denerwować.

- Nie denerwować się?! - matka Claire starała się opanować strach i już wyniosłym tonem spytała: - Chcę wiedzieć, czemu zawdzięczam tę wizytę?

- Myślę, że domyśla się pani jej celu, choćby z uwagi na czas, jaki pani bratanica spędziła ze mną...

Andre nie spuszczał wzroku z Angeline aż do tej chwili. Ale teraz zwrócił się do ciotki z wyrazem niedowierzania w oczach.

- Mówiła pani, że Angeline jest chora. Powtarzała to pani za każdym razem, ilekroć...

- To było takie niewinne kłamstwo dla jej dobra.

Chciałam chronić jej opinię, ale widzę, że niepotrzebnie.

- Czy to ma znaczyć - spytał Andre z wypiekami na oliwkowej twarzy, kierując wzrok na Rolfe'a

- że przez cały czas ona była z tym człowiekiem?

Rolfe uśmiechnął się. Jego odpowiedź skierowana była do Andre, chociaż cały czas patrzył na starszą

panią.

- O, zapewniam państwa, e całkowicie wbrew jej woli.

Andre zwrócił się gwałtownie w stronę Madame.

- I nic pani nie zrobiła?

- Nic pan nie rozumie - odparła ostro Madame.

- Proszę mu wyjaśnić - rzekł ksią ę. - Proszę mu powiedzieć, jak opuściła pani młodą delikatną dziewczynę, pozostawiając jej przekonanie mnie o swej niewinności lub... ucieczkę. To drugie zrobiła dzisiejszego wieczoru. I stąd nasze niespodziewane najście.

Gdy Angeline wolną ręką spróbowała zrobić jakiś drobny ruch, chwycił ją za przegub i przyciągnął do siebie.

Piersi Madame podnosiły się i opadały od tłumionego gniewu. Nie odezwała się.

Przez sufit słychać było odgłos ciężkiego stąpania: przeszukiwanie trwało.

Andre ruszył w stronę księcia.

- Muszę prosić, by puścił pan Angeline.

- Nawet gdybym chciał, a nie chcę, byłbym zmuszony odmówić - odrzekł Rolfe.

- Ale ja nalegam!

Rolfe spojrzał mu prosto w oczy.

- Jest pan rozsądnym człowiekiem, Delacroix, i spokojnym. Rozumiem, e poczuwa się pan do obowiązku ratowania niewinnej dziewczyny, ale nie wie pan, w co się pan wdaje. Uczciwie panu radzę nie mieszać się do tego.

Te niby to uprzejme słowa Rolfe poparł argumentem nie do odparcia: w rękę trzymał nabity pistolet. Rysy mu stę ały, jakby coś postanowił. Ale w tej chwili rozległy się głośne kroki i Leopold wszedł do salonu.

- Nic - zameldował. - Poza słu ącym i słu ącą tej pani nie ma w domu nikogo.

- Gdzie są? - spytał Rolfe.

- W hallu. Oswald ich pilnuje.

- Zwią ich! - rozkazał ksią ę.

- Jak pan śmie?! - krzyknęła Madame. - To mój dom i moi słu ący! Nie mo e pan!...

- Mogę.

Książę Ruthenii zwrócił się do Andre.

- Proszę wybaczyć, M'sieur Delacroix, ale pana te muszę kazać związać. Przykro mi, ale przez następne kilka godzin nie może się pan stąd ruszyć.

Nim książę skończył, Gustave podszedł do zasłon i przy akompaniamencie krzyków Madame zerwał sznury służące do ich przesuwania. Razem z Meyerem podeszli do młodego kreolskiego gentlemiana. Po krótkiej, ostrej walce, której wynik nietrudno było przewidzieć, Andre stał ze związanymi na plecach rękami.

- To okropne, barbarzyńskie! - krzyczała Madame de Buys coraz głośniej, grojąc pięściami i tupiąc nogami.

- Jesteś zwierzęciem, ty nędzne książętko, podłą świnia!

- Madame! - rzekł groźnie Rolfe - by uciszyć kwiczącą świnie, przecina się jej gardło. Perlica, która skrzeczy najgłośniej, pierwsza idzie pod no. Czy wyraża się dość jasno?

Starsza pani umilkła natychmiast. Nie odezwała się nawet wtedy, kiedy Gustave chwycił ją za ramię i wyprowadził do hallu.

Parter domu de Buys, jak w wielu innych domach w okolicy, służył jako podwyszona suterena.

Wszystkie ważniejsze pomieszczenia, z obawy przed powodzią, znajdowały się na pierwszym piętrze. Część sutereny służyła jako skład żywności i różnych innych potrzebnych rzeczy, inna część - jako loch dla niewolników dopiero przywiezionych z Afryki czy Karaibów, a także jako miejsce oczekiwania służby na karę za drobniejsze przewinienia. Stary służący, pod groźbą pistoletu, przyniósł klucze do tych pomieszczeń i pokazał je.

Wolał siedzieć w wilgotnym lochu niż na zewnątrz, ale w towarzystwie ludzi księcia. Maria, służąca Madame, i Andre woleliby odwrotnie, ale nie mieli wyboru: związani, powędrowali pod klucz. Drzwi za nimi zostały zamknięte i zaryglowane.

Rolfe zastanawiał się, czy nie zrobić użytku z powozu Andre, ale zrezygnował z tego. Nakazał, by Madame umieścić na koniu, którym tu przyjechała Angeline.

- Co?! Chyba nie myślicie mnie stąd zabierać?! - krzyczała Madame, a oczy wychodziły jej z orbit.

- A co? To takie straszne? Chyba nie...

- Nie będziecie mieli ze mnie adnego po użytku.

- To się dopiero okaże. Wsiądzie pani sama, czy woli pani, by ją związano i jak worek kartofli wieziony na targ, przerzucono przez siodło?

W końcu siadła w siodle, wyprostowana, związana linką przeciągniętą pod końskim brzuchem.

Lejce trzymał Gustave. Angeline wziął na swego konia Rolfe.

Posadził ją przed sobą, objął rękami i grzał ciepłem swego ciała. Poczuł, e jeszcze się trzęsie, więc szybko zdjął bluzę munduru i mimo jej słabych protestów, zarzucił jej na ramiona.

Jadąc tak, jakby najazdy na obce domy i porywanie ludzi było dla nich codziennością, spokojnie skierowali konie na drogę prowadzącą do domu myśliwskiego de la Chaise.

Kapelusik Madame de Buys przekrzywił się i opadł jej na oczy, gdy wprowadzono ją do głównego hallu.

Skoro tylko uwolniono jej ręce, zaraz go poprawiła.

Kazano jej stanąć razem z Angeline na środku pokoju przed stołem. Rolfe i jego ludzie siedli za nim. Miało to wyraźnie znaczyć, e tu i teraz nie działają zwykłe reguły zachowań. Krzesła skrzypiały i słychać było przytłumione głosy. Za wysokim oparciem krzesła Rolfe'a stanął Sarus i coś z nim szybko omawiał.

Madame de Buys z wyrzutem spojrzała na Angeline.

- To ty jesteś wszystkiemu winna, niewdzięcznico.

Ty ich naprowadziłaś na mój dom.

- Uciekłam im. Dokąd miałam się udać, jeśli nie do domu. Chyba e do konwentu...

Głos Angeline był spokojny, ale spojrzenie szarozielonych oczu ostre. Starsza pani ukradkiem spojrzała na Rolfe'a i syknęła:

- Cicho bądź, *grisettel*. Nie wa się wspominać tego miejsca, bo nigdy więcej nie przekroczysz progu mego domu!

- Dotrzymałam tajemnicy przez cały ten czas.

- *Oui*. Kiedy myślę o tobie, tu, między tymi mę czyznami, ogarnia mnie przera enie. Dobrze się stało, e nie zaręczyliście się z Andre Delacroix, bo nie jesteś godna nawet jego spojrzenia.

- Mo e podać paniom po kieliszku wina do przepłukania gardła? - to odezwanie Rolfe'a przerwało ich sprzeczkę jak no em uciał. - Nie? A nie będziecie miały nam za złe, jeśli my wypijemy? Jazda konno nocą zaostrza apetyt. Przynajmniej w moim wypadku.

Nie przerywając potoku słów, wskazał krzesło po swojej prawej stronie.

- Angeline, moja droga, tu jest twoje miejsce.

Podniósł się, przytrzymał jej krzesło, gdy siadała sztywna i opanowana. Dopiero gdy siadła, zauważyła, że nogi jej drżą: wzięła sobie, że to skutek długiej jazdy do domu de Buys i z powrotem.

Rolfe zajął swoje miejsce przy stole i zaraz chwycił jej dłoń w swoje ciepłe palce. Gdy zauważyła, że się trzęsie, wyraz zaniepokojenia pojawił się na jego twarzy.

Sarusa, który wszedł z zupą, najpierw skierował w jej stronę i nie ruszył się ani nie zaczął rozmowy, dopóki nie zobaczył, jak przełknęła pierwsze łyki gorącego rosółu.

Angeline pomyślała, że dobrze będzie się w ten sposób wzmocnić, chociaż płyn w aden sposób nie chciał jej przejść przez ściśnięte gardło. Tak samo, jak Rolfe po krótkim dotyku zorientował

się w stanie jej ducha, tak i ona zauważyła napięcie, jakie w nim pulsowało. Nie miała pojęcia, co zamierzał, i to nie dawało jej spokoju. Był zdolny do wszystkiego, dokładnie do wszystkiego.

Teraz, kiedy porwanie jej ciotki wyszło na jaw, czas, by coś zrobić, miał ograniczony.

Rozdrażniona lekceważącym potraktowaniem Madame de Buys nie wytrzymała.

- Chcę wiedzieć, co to wszystko ma znaczyć. Domagam się, by mi powiedziano, dlaczego w tak uwłaczający mojej godności sposób porwano mnie z domu i sprowadzono w to miejsce.

Rolfe wziął łykę zupy do ust, przełknął i popił winem.

- Sądzę, Madame, że dobrze pani wie, dlaczego znalazła się pani tutaj. Niemniej - powiem pani.

My - ja i moi ludzie - chcemy wiedzieć, gdzie jest pani córka, Claire de Buys.

- Mogę na to odpowiedzieć i to bez trudności, Wasza Wysokość - głosem, w którym pobrzmiwała nutka szyderstwa, zupełnie nie pasująca do wypowiedzianych słów, odrzekła Madame. - W tej chwili spędza czas w gościnie u krewnych we Francji.

- Nie. Proszę powtórzyć.

- Ale, zapewniam pana...

- Proszę przestać! Próba osłaniania córki jest dla mnie zrozumiała, ale całkowicie niepotrzebna.

Nie chcę od niej nic poza kilkoma minutami rozmowy. Nie rozumiem, dlaczego ona uważa, że to za takie straszne - takie przynajmniej sprawia wrażenie. W tym celu dotarłem z Europy pod drzwi pani domu i nie mogę pozwolić na to, by mnie stąd odprawiono z kwitkiem.

Madame zmieniła ton.

- Daję panu sympatię, Wasza Wysokość, ale nawet dla pana nie jestem w stanie sprowadzić jej z Francji.

Rolfe nachylił się w jej stronę.

- Mo e mnie pani uwa ać za łajdaka, ale niech pani nie próbuje robić ze mnie głupca. Wie pani równie dobrze jak ja, e Claire nie jest we Francji. Pani wie, gdzie ona jest, i jeśli szanuje pani swoją godność i spokojne ycie, powie to pani. Teraz.

Madame de Buys przyglądała mu się z niepokojem.

- Nic mi pan nie zrobi. Andre Delacroix wie, kto mnie porwał z domu, wie, e pan od szeregu dni więzi moją bratanicę. Poruszy całą okolicę, by przyjść nam z pomocą.

- Jest pani tego pewna? Na jego miejscu co by pani zrobiła? A nawet, gdyby chciał to zrobić, najpierw musi sam się wyzwolić. A to zajmie mu więcej czasu, ni nam go potrzeba.

Angeline odłó yła ły kę i z uwagą obserwowała całą scenę. Wiedziała, e to on ma rację. Mo e minąć kilka godzin, zanim kucharz i słu ąca w kuchni zaczną się zastanawiać, czemu kamerdyner nie przychodzi i nie ka e podawać do stołu. Jeszcze więcej czasu mo e upłynąć, zanim znajdą Andre, Marię i czarnego słu ącego.

Kiedys to nastąpi i wtedy mo e się zdarzyć to, o czym mówi ciotka Berthe, ale na tym nie powinna opierać swej nadziei na uwolnienie.

Angeline usiłowała ściągnąć na siebie uwagę ciotki, by ją ostrzec, lecz ta nie poświęcała jej adnej uwagi.

Jej czarne oczy rzucały złowrogie błyski, gdy mówiła:

- Andre wnet się tu pojawi, a wtedy będzie pan miał niemałe kłopoty. Tu nie jest Ruthenia, nawet Europa, gdzie ktoś szlachetnie urodzony mo e robić, co mu się podoba. Doświadczy pan tego, e tu jest Luizjana, gdzie nikt bezkarnie nie mo e podnosić ręki na kobietę. Nawet jeśli nie ma mę a ani adnego mę czynny w najbli szej rodzinie, przyjaciele i sąsiedzi pomszczą jej krzywdę.

Ksia ęcy tytuł te pana nie obroni.

- Mo liwe. Ale przedtem zostanie pani rozebrana do naga i będzie pani paradowała przed nami, trzęsąc się ze strachu. Kłuta szpada, zacznie pani tańczyć ku naszej uciezce: makabryczna, ale podniecająca zabawa. I co pani robi, jeśli tak się na pani koszt zechcemy zabawić?

- Pan... ty tego... nie mo esz zrobić. Angeline jest z panem od kilku dni i nie widać po niej, eby przez coś takiego przechodziła.

- Proszę nie mieszać spraw - powiedział ksią ę spokojnym głosem; oczy miał zmru one i błyszczące.
- Jej stała się nieodwracalna krzywda, najgorsza, jaka mo e się przydarzyć młodej kobiecie. W tym czasie pani, Madame, nie zrobiła nic, by przyjść jej z pomocą, nawet nie próbowała pani się z nią zobaczyć, chocia musiała się pani domyślać, gdzie jest. I nie przysła pani prosić, by ją, nietkniętą, oddać w pani kochające ramiona. Pozostawiła ją pani na mojej łasce, a sama siedziała w domu owinięta w jedwabne, wyperfumowane koronki i zbywała pytających o nią tym, e le y bezpiecznie w

swoim łokciu, gdy tymczasem leżała zagrożona - w moim.

Puder na twarzy starszej pani wydał się ceglasty na tle pobladłej nagle skóry. Wstrząsnęła ramionami.

- Jak na kogoś, kogo tak źle traktowano, wygląda całkiem nieźle.

Na tę uwagę od stołu, przy którym siedzieli pozostali mężczyźni, dał się słyszeć groźny pomruk, ale Rolfe uciszył go jednym gestem.

- Bo ma mężczyźni serce - ponad pani wyobraźnię, i jest uparta bardziej niż ja.

- Niemniej nie widać po niej żadnych śladów złego traktowania - powiedziała Madame, przyglądając się bratanicy.

- I to uspokaja pani sumienie? Blizny ma na duszy.

Myślałem, że są mniej bolesne, ale to błąd z mojej strony. Jednak na pani życzenie mogę go naprawić i zrobić z niej kalekę. Tego pani chce?

Angeline poczuła, jak oblewa ją gorący rumieniec.

Przy stole panowała cisza. Mężczyźni spoglądali niepewnie raz na Rolfe'a, raz na Madame de Buys. Sarus zebrał talerze po zupie i zaczął podawać pieczeń. Gustave chwycił widelec, ale tkwił nieruchomo, obserwując Rolfe'a. Oscar siedział zamyślony, opierając pięść na kancie stołu.

- Jest pan chyba szalony! Nie idzie mi o to, by zrobić jej krzywdę, ale ja teraz nie mogę temu zapobiec, tak i przedtem tego nie mogłam. Nawet gdybym przyszła tu wcześniej.

- I jak nikt nie może zapobiec temu, co panią spotka za kilka minut. Proszę to dokładnie przemyśleć. Angeline, młoda i piękna, obdarzona powabem niewinności dziewczyna, wymaga innego traktowania niż pani, Madame, która nie może pochwalić się żadnym z tych przymiotów.

Pani de Buys potrząsnęła głową i złożyła ręce na kolanach.

- Niech się pan nie spodziewa, że ja, rodzona matka Claire, wydam ją panu. Może pan robić, co pan chce.

Ja nie powiem nic.

- Z pani słów wynika, że wie pani, gdzie ona jest - rzucił Rolfe.

- Niczego nie wiem i niczego nie powiem!

Angeline była pod wrażeniem odwagi, z jaką ciotka odpowiadała na pytania księcia. Bała się, ale starała się tego po sobie nie pokazać. Jak na dłoni widać było, że zupełnie nie dba o bratanicę i że dla

Claire poświęci wszystko. Angeline zauważyła, że Rolfe jej się przygląda.

Dwie pionowe bruzdy przecinały mu czoło. Wargi miał zaciśnięte.

Uważał i pomalutku uniósł kieliszek z winem i upił trochę, zanim zwrócił się do pani de Buys.

- Ma pani całkowitą rację, Madame. Było błędem oczekiwać, że wyjawimy pani miejsce ukrycia córki. Obawiam się, że traktowałem panią zbyt poważnie. Od tej chwili staje się pani pionkiem, czymś, co przesuwa się z jednego miejsca w drugie, co jest bez wartości i czego bez celu nie ma się wyżyć. Od tej chwili nie będzie pani w stanie przeciwdziałać niczemu, co ma panią spotkać, niezależnie od tego, co pani powie, o co będzie prosić. Na nic jej nie będę zwracał

uwagi, choćby mnie pani błagała, by panią wysłuchać, i przysięgała na Najświętszą Panią i duszę zmarłego męża, że będzie mówiła prawdę...

- Ma pan... myśli pan, że mogę iść - pani de Buys zrobiła niepewny krok w stronę stołu.

- Czy coś takiego powiedziałem? Proszę tak tego nie rozumieć. Nie. Informację, której potrzebuję, otrzymam od kogoś innego, kogoś, kto będzie siedział i patrzył na pani upokorzenie i ból, wiedząc, że tylko on może to powstrzymać.

Angeline, obserwując Rolfe'a, domyślała się, co ma nastąpić, gdy tylko zaczął mówić. Zerwała się na nogi tak gwałtownie, że zaczęła o stół, a wszystkie naczynia zadźwięczały.

- Nie!

- Tak - chwycił ją za rękę i posadził na krześle.

- Nie wolno ci tego robić! Nie w ten sposób!

Spojrzał na nią bez niechęci.

- Angeline nie powie panu tego, czego pan chce.

Nie powie! - Ciotka Berthe powiedziała to ze wzrokiem utkwionym w twarzy bratanicy. - Nie ma żadnego znaczenia, co mnie spotka.

- Czy mamy się przekonać?

Pytanie było zupełnie niewinne, ale wypowiedziane zostało takim tonem, że zmroziło Angeline do szpiku kości. Obliznęła spierzchnięte wargi, a w myślach nerwowo poszukiwała wyjścia z sytuacji. Mogła ocalić albo ciotkę, albo kuzynkę. Obu nie mogła.

Bezdzwięcznym głosem poprosiła:

- Rolfe, proszę, nie rób tego.

- Znajdź mi inne wyjście, a będę ci nogi całował, a moja *gardę du corpse* zaśpiewa „Hosanna”.

Nie potrafiła znaleźć. W głowie miała chaos, rozdarta przez dwie przeciwstawne racje, bez możliwości wyjścia.

Z jej oczu wyzierał ból i przerażenie: wszystkiemu winien był stojący obok niej mąż czyżna.

Nagle puścił jej rękę, jakby chciał z nią zerwać, by zająć swoje naturalne miejsce przywódcy.

Odsunął talerz i rzekł:

- Oswald, Leopold i Meyer - wy to zrobicie.

Wezwani popatrzyli po sobie i wstali. Obeszli stół i stanęli obok starszej pani. Madame de Buys patrzyła na nich, jak do niej podchodzili, wpatrywała się w ich nieruchome twarze - nic z nich nie mogła wyczytać.

Oblizując spieczone wargi, spojrzała na Angeline. Drżała nieznacznie, kiedy ustawiali się po jej bokach. Między nimi wyglądała znacznie mniej groźnie, mniej apodyktycznie, a przede wszystkim mniej pewna siebie. Takiej ciotki Angeline nigdy jeszcze nie widziała.

Na znak Rolfe'a Oswald ze sztucznym uśmiechem na twarzy, którym starał się pokryć obrzydzenie, stanął przed Madame, wyciągnął rękę i chwycił kapelusik okrywający jej siwiejącą głowę. Błyskawicznym ruchem odtrąciła jego dłoń. Mężczyźni chwycili ją za ręce i przytrzymali.

Wyjęli długą szpilę mocującą kapelusik - i nakrycie głowy znalazło się na podłodze. Z

bezwładnych rąk zdjęli bransolety i - z niejakimi kłopotami - wszystkie pierścienie.

Leopold przyklęknął i, jeden po drugim, zdjął jej z nóg buty. Zaraz potem pończochy. Podniósł

się, spojrzał na Rolfe'a i na jego skinienie stanął za jej plecami i zaczął rozpinać długi szereg guziczków podtrzymujących suknię na jej ramionach.

Madame de Buys zaczerpnęła głęboko powietrza, jakby do tej chwili wstrzymywała oddech, jakby dopiero w tym momencie zauważyła, co się z nią dzieje. Ogień na kominku trząsał, syjąc pomarańczowymi iskrami.

Gustave odłożył nóż i widelec takim gestem, jakby nagle zupełnie stracił apetyt. Oscar, z oczami utkwionymi w talerz, uł kęs chleba.

Angeline pomyślała o Claire, o takiej, jak ją widziała ostatni raz: z wyrazem dumy i goryczy na pięknej twarzy; jaka była niezadowolona z przygotowanego dla niej lokum i jak godziła się na nie ze strachu przed Rolfe'em. Bała się nie bezpodstawnie. Doświadczenia, które sama przeszła, jak również to, co działo się tutaj, uzasadniały ten strach.

Odwróciła się do Rolfe'a.

- Jak... jak mo esz oczekiwać, e zaprowadzę cię do Claire, skoro wszystko, co spotkało mnie, mo e równie spotkać ją?

Madame szarpnęła się, jakby próbowała uwolnić się z rąk trzymającego.

- Nie, *chere*, nie wolno ci się załamować! – zawołała ochryple.

Rolfe spojrział na Angeline.

- To co? Mam przysięgać, e tak nie będzie? Ale na co? Co cię zadowoli?

Góra sukni Madame w miarę rozpinania guzików opadała coraz ni ej. Leopold ściągnął z ramion szerokie rękawy i przez nadgarstki - suknia, nie napotykając ju oporu, opadła na podłogę.

Madame stała w obszernej halce sięgającej jej do kolan, mocno zesnurowanej na wysokości eber i wypychającej w górę przekwitłe piersi. Serce waliło jej jak młotem.

- Mo e... mo e przysięgniesz na Pismo Święte - powiedziała pospiesznie Angeline - ale myślę, e są równie inne wartości, które cenisz równie wysoko, a mo e jeszcze wy ej. Przysięgnij na honor twej *gardę du corpse*, e nie skrzywdzisz mojej kuzynki, e nie zrobisz nic ponad to, e ją przesłuchasz w związku ze śmiercią brata, tak jak powiedziałeś.

- Nie! - zawołała Madame rzucając się do przodu. - Ty durna dziewczyno, nie wolno ci frymarczyć bezpieczeństwem Claire! Nie mo esz tego zrobić, nie mo esz!

Angeline zawahała się. Rolfe uspokoił się, ale tylko na moment, bo po chwili chwycił le ący na talerzu z pieczenia nó , wytarł go starannie, błysnął nim w powietrzu i... rzucił w kierunku Madame de Buys. Nó był źle wywa ony, z rączką z kości słoniowej, więc obracał się w powietrzu i łukiem leciał prosto w szyję Madame. Angeline krzyknęła przeraźliwie, bo wydawało się jej, e za moment wbije się w ciało ciotki.

Oswald wychylił się nieznacznie przed Madame i chwycił nó w powietrzu. Przez chwilę potrzymał go przed jej przera onymi oczami, po czym stając ponownie za nią, wolno dotknął

nim sznurów gorsetu. Puściły z przytłumionym wybuchem, jak pęka kukurydza pieczona na gorącej blasze. Madame de Buys krzyknęła i padła na kolana, gdy halka ze sznurówką opadły na podłogę ukazując fałdy tłuszczu na całym ciele. Gdy ponownie postawiono ją na nogi, twarz miała zupełnie szarą. Wargi dr ały jej konwulsyjnie. Angeline uchwyciła się brzegu stołu z taką siłą, e straciła czucie w palcach. Z przera eniem obserwowała, jak Oswald stanął przed ciotką, chwycił za koszulę z półprzezroczystej tkaniny i rozerwał ją z głośnym trzaskiem.

- Zaczekaj - szepnęła Angeline i zaraz mocniejszym głosem dodała: - Zaczekaj.

Rolfe odwrócił się do niej i popatrzył jej w oczy.

- Oświadczam, e Claire de Buys nie dozna ode mnie adnej krzywdy, e, bez względu na moją chęć zemsty, pozostanie nietknięta w swej mocno nadszarpniętej niewinności i podejrzanych pretensjach.

Pozostanie bezpieczna, ale z jednym zastrzeżeniem: w swej obronie nie będzie się posługiwała oszustwem. Przysięgam na mój honor, który jest jednocześnie honorem mojej gwardii.

- I dotrzymasz tego? - spytała dla pewności Angeline, uwaając, że cena tego szczegółu może być bardzo wysoka. - Nawet wtedy, jeśli to, co powie, nie będzie po twojej myśli?

- Nawet wtedy.

Czy miała inny wybór poza tym, by mu uwierzyć, by zawierzyć pierwotnemu instynktowi, by ulec hipnotycznemu i spokojnemu błyskowi niebieskich oczu? Nabrała głęboko powietrza.

- Jest w konwencie u sióstr.

Rozdział 10

- Nie! Tam nie ma mojej córki! Nie wolno wam o tej godzinie niepokoić sióstr! To będzie świętokradztwo! I na nic! Mówię wam!

Madame de Buys mogła równie dobrze nie mówić nic, gdy Rolfe i tak jej nie słuchał. Jak jej wcześniej powiedział, nie zwracał uwagi na jej protesty. Zdawał się nie słyszeć nawet tego, gdy wołała, że Angeline chce ich wyprowadzić w pole. W kilka minut po tym, jak Angeline powiedziała im o kryjówce Claire, cała gwardia siedziała na koniach gotowa do drogi.

Rolfe w ostatniej chwili pomyślał, że będą mogli potrzebować zakładników, więc zarządził, że Angeline i starsza pani pojedą z nimi. Podczas gdy Sarus szukał płaszczy dla obu kobiet, ktoś inny osiodłał konie i przyprowadził pod drzwi. Rolfe nie wierzył, że Angeline pojedzie z nimi dobrowolnie. Podał lejce konia Madame Gustave'owi, a sam zajął się koniem Angeline.

Nad wierzchołkami drzew rozpościerał się niebieskoszary świt, kiedy podjechali pod bramę frontową prowadzącą do konwentu. Wszystko pogrąone było w głębokim śnie. Rolfe po cichu wydał rozkaz Oswaldowi i Gustave'owi, by stanęli na straży przy tylnej bramie.

Leopold, zsiadłszy z konia, zapukał do bramy głownią szpady. Po chwili, która wydawała się wiecznością, zobaczyli zbliżający się mizerny płomyk latarni. Zza bramy odezwał się zniecierpliwiony głos, pytający, kto i po co przychodzi.

- Jego Wysokość Księżę Ruthenii chce się widzieć z siostrą przełożoną.

- Siostra Teresa jest na modlitwie i nie wolno jej przeszkadzać - padła odpowiedź.

- Ale to bardzo pilna sprawa.

- Nikogo teraz nie przyjmie. Proszę przyjść rano o stosownej porze, po wschodzie słońca.

- Sprawa nie może czekać tak długo! - zawołał Leopold. - Ostrzegam cię, kobieto, jeśli nie chcesz narazić się na poważny wydatek na nową bramę w tym walącym się płocie...

- Siostró Marto, pozwól siostrze, to ja, Angeline Fortin - zawołała szybko Angeline, starając się zagłuszyć groźbę Leopolda. - Czy mogę wejść? Zapewniam, że sprawa jest naprawdę bardzo ważna i musimy porozmawiać z siostrą Teresą.

Zapadło dość długie milczenie, podczas którego Angeline miała dość czasu, by się zastanowić, dlaczego stara się pomóc tym ludziom wejść do konwentu. Nie chodziło jej o to, by im ułatwić wejście. Gdyby tego chciała, zaprowadziłaby ich do tylnej bramy, gdzie mogliby się spotkać bezpośrednio z siostrą przełożoną.

Nie. Chciała jedynie obronić przed przemocą to miejsce i kobiety, które tam mieszkały.

- Angeline, to naprawdę ty?

Gdy Angeline potwierdziła, stara zakonnica pilnująca bramy, mruczając coś pod nosem, odsunęła wielki rygiel.

- Co ty robisz z tymi ludźmi? Mo esz za nich ręczyć?

Rolf zeskoczył z konia i wyciągnął ręce, by pomóc zejść Angeline. Meyer zrobił to samo z Madame, pogrążył ją w ponurym milczeniu, a Oscar uwiązał konie do słupka.

Ruszyli w stronę bramy. Rolfe pchnął uchylone skrzydło tak, że zakonnica musiała cofnąć się o krok.

- Proszę wybaczyć, siostró Marto - rzekł z ukłonem.

Uśmiechnął się do niej tak ciepło, a starą kobietę zatkało. Zeszła mu z drogi bez słowa.

Skierowali się do otwartych drzwi wejściowych.

Od tego chwili była to już operacja czysto wojskowa.

Zarekwirowali latarnię siostry Marty, drugą przyniesiono skądinąd. Od tylnego wejścia odwołano Gustave'a i Oswalda i podczas gdy Angeline i Madame de Buys, razem z Rolfe'em i siostrą Martą, stali w hallu głównym, gwardia, podzielona na dwie grupy, systematycznie przeszukiwała pokój po pokoju. Nie pominięto żadnego schowka, każda szafa otwarta, zaglądnięto za każdą zasłonę. Obejrzelik dokładnie mały, surowy salon, gdzie uczennice mogły przyjmować odwiedziny rodziców i przyjaciół. Przeszukali jadalnię z długim stołem z surowego drewna i ławkami bez oparcia. Nie pominięli klas pachnących papierem, węglem drzewnym i oprawnymi w skórę foliami. Zajrzeli do komórek zawieszonych pęczkami schnących ziół, pełnych kamiennych garnków wytopionego tłuszczu, a także bel materiału na habity i stroje dla dziewcząt. Weszli nawet do niewielkiego pomieszczenia służącego za kaplicę, z prowizorycznym ołtarzem i przepięknie rzeźbionym krzyżem z bawarskiego dębu. Dotarli również do sypialni –

długiego pomieszczenia zastawionego wąskimi łóżkami, w których spały uczennice. Jedne leżały bez ruchu, jakby pora one strachem, inne podniosły się z łóżek i stojąc w półprzezroczystych nocnych koszulach pisały i płakały. Nie wiadomo, czy wejście przystojnych mężczyzn w eleganckich mundurach do tych dziewiczych pomieszczeń było najbardziej przerażającym czy najbardziej

podniecającym wydarzeniem w ich życiu.

- Co to ma znaczyć?

Pytanie, wypowiedziane władczy, suchym tonem, zadała siostra Teresa, która właśnie w tym momencie nadeszła z pomieszczeń w głębi. W prostym habicie, w kornecie tak sztywnym, a wpijała się w czoło, szła prosto w stronę Rolfe'a.

- Proszę wybaczyć najście - rzekł z ukłonem. - Wiem, a to godne ubolewania. Ale konieczne.

- W to nie wierzę - rzekła krótko matka Teresa.

W tym momencie obie grupy, skończywszy przeszukiwanie, pojawiły się w sieni. Brak zatrzymanej i niepewne spojrzenia świadczyły, a cała akcja była bezcelowa. Matka przeło ona popatrzyła na nich i odesławszy przera one dziewczęta do łódek, w milczeniu oczekiwała na wyjaśnienia.

- Moi ludzie i ja szukamy kobiety, Claire de Buys, która mogłaby nam udzielić informacji o śmierci mojego brata. Mieliśmy powody, by podejrzewać, a jest tutaj.

- I było konieczne nachodzenie nas w środku nocy, by sprawdzić, czy słuszność miał wasz informator? - rzekła siostra Teresa, kładąc szczególny nacisk na ostatnie słowo.

Angeline bardzo rzadko spotykała się z niechęcią ze strony zakonnic, tote teraz odczuła ją boleśnie. Chciała wyjaśnić, jak doszło do tego, a ich tu sprowadziła, chciała się usprawiedliwić, ale nie było na to czasu.

- Istniało niebezpieczeństwo, a przejęta strachem, podejmie próbę ucieczki - spój, z jakim Rolfe to mówił, wydał się nienaturalny.

- Jestem w stanie zrozumieć pański pośpiech, ale nie mogę zgodzić się z metodami poszukiwań.

Jedno pytanie mogło wszystko wyjaśnić.

- Mogło? - spytał zaraz Rolfe.

- Tak - odrzekła matka Teresa, pochylając głowę. - Ju jej tu nie ma.

- Mówiłam wam, a jej tu nie ma! - zawołała z gorzkim tryumfem Madame de Buys.

Śmiała się chrapliwym głosem, ale przestała natychmiast, gdy tylko Oswald stanął u jej boku.

- Była tu? - spytał księżę ciągle jeszcze spokojnym głosem.

- Spędziła tu trzy dni. Wczoraj rano Maria, służąca jej matki, przyniosła jej jakąś wiadomość. Nie wiedziałam, o co chodziło, ale wczoraj, gdy tylko się ściemniło, po Mademoiselle de Buys przyjechał powóz. Wsiadła i odjechała bez słowa po egnienia czy podziękowania.

- W którym kierunku? - spytał ksią ę.

- Nie wiem. Ale mo e siostra Marta wie?

- Na północ, siostrzo Tereso - odparła zakonnica.

Teraz było zupełnie jasne, dlaczego Madame de Buys starała się opóźnić przyjazd do konwentu, wiedząc, e jej córki ju tu nie ma. Jadąc powozem na północ i nie wiedząc, e miejsce jej ukrycia i fakt ucieczki ju się wydały, nie pokonywała drogi tak szybko, jak mogła to robić gwardia księcia konno. Przez swój upór i głębokie upokorzenie zmusiła Rolfe'a do kilkugodzinnych, bezowocnych poszukiwań. Miała nadzieję, e ten czas pozwoli Claire uciec na bezpieczną odległość.

- Wygląda na to - powiedział wolno Rolfe – e będziemy musieli na nowo podjąć pościg.

Mówiąc to, pochwycił Angeline za rękę.

- Chwileczkę - rzekła matka przeło ona.

Wzrok miała utkwiony w rozchylony wyłóg płaszcza Angeline, przez który widać było porwany i wygnieciony kreton bluzki, tej samej, którą miała na sobie, kiedy przyproceedziła Claire do konwentu. Popatrzyła na jej potargane włosy, które kasztanową kaskadą opadały na ramiona.

Gdy zakonnica napotkała spojrzenie szarozielonych oczu, w jej wzroku odbiło się przera enie.

- Muszę pana prosić - powiedziała do księcia – eby pan zostawił ze mną tę dziewczynę.

Gwardziści zbierający się ju do wyjścia stanęli jak wryci, spoglądając to na matkę Teresę, to na Rolfe'a. Siostra Marta wstrzymała oddech, a Madame de Buys podniosła głowę z takim wyrazem twarzy, jakby całe zajście było dla niej obraźliwe. Rolfe patrzył na Angeline, zatrzymując na moment wzrok na jej rozchylonych wargach.

- Jest mi bardzo nieprzyjemnie, e muszę sprawić siostrze zawód, ale do przeciwności losu jest pewnie siostra przyzwyczajona, prawda? Skorzystam jednak z prośby siostry i zostawię tu tę drugą panią, która jest ze mną - Madame de Buys, z nadzieją, e tej zmiany nie weźmie mi siostra za złe.

Wyszli z konwentu. Dobiegło ich jeszcze tylko wołanie Madame:

- Niech idzie! Ona tego chce! Niech leci za tym swoim parszywym ksią ątkiem! yczę ci dobrej zabawy z nim, ty mała ladacznico!

Ostatnie słowa biegły za Angeline i dźwięczały jej w uszach nawet wtedy, gdy ju jechała z całą gwardią. Zdawały się zapadać w głąb jej duszy, przypominając gorzką prawdę. Nie zrobiła adnego gestu, nie protestowała, nie stawiała oporu, gdy wyprowadzali ją z konwentu i sadzali na konia. Mo e więc słowa ciotki były uzasadnione? Mo e naprawdę jest niemoralna?

Ale choć była z Rolfe'em nie z własnej woli, nigdzie nie czuła się tak akceptowana jak tu.

Wydawało się jej, zwłaszcza po tym, co jej ciotka powiedziała, e w pewnym stopniu zasłużyła sobie na nienawiść krewnej. Jej udział w naprowadzeniu Rolfe'a na trop Claire miał tu te swoje znaczenie. Potępienie ze strony zakonnic za dwuznaczną rolę, jaką odegrała, było nie do zniesienia nawet wtedy, gdyby mogła tu zostać.

Matka Teresa darzyła ją sympatią, ale trudno było wymagać zrozumienia. Pozostałe siostry pewnie nawet by się o to nie starały. Z całą pewnością nie chciałyby mieć w konwencie kogoś, kto zszedł na złą drogę, a teraz miałby się na co dzień stykać z niewinnymi uczennicami. Ich nastawienie miałyby oczywiście wpływ na nastawienie całej lokalnej społeczności. Nie mogłoby zresztą być inaczej, gdyby tylko fama rozniosła się po okolicy. Otoczona ze wszystkich stron pogardą i fałszywą litością, dlaczego nie miałyby odczuwać ulgi, a nawet czegoś w rodzaju wdzięczności, e Rolfe chce ją mieć przy sobie?

To jednak adna przyszłość dla niej. Cała sprawa się skończy, Claire zostanie pochwycona, wszystkie wiadomości przekazane. Nie będzie ju adnego powodu, by pozostać z gwardią w Luizjanie, nic, co mogłoby ich powstrzymać przed powrotem do pełnej przepychu i zepsucia Europy. Nie mogła spodziewać się, eby Rolfe chciał zabrać ją ze sobą. Ona sama zresztą te tego nie chciała. Chciała znaleźć własną drogę. Bo chyba istnieje taka, którą mo na podążyć, nie tracąc dobrego imienia, nie gubiąc własnej duszy? Musi istnieć.

* * *

Angeline poznała ich od razu: byli to przyjaciele i sąsiedzi jej ciotki. Na ich czele jechał - z gołą głową - Andre.

- Są! To oni!

Rozległ się szcęk wydobywanych z pochew szpad.

Z olster wyciągnięto pistolety. Rozległ się strzał i zaraz potem okrzyk bólu i strachu. Obie grupy jeźdźców wpadły na siebie z impetem. Rozległ się brzęk stali uderzającej o stal, posypały się iskry. Walczący pokrzykiwali i klęli. Konie parskwały, szarpiąc się na wszystkie strony.

Liczebność obu grup była zbliżona, gdy Andre nie zdążył dotrzeć do St. Martinville, by zebrać więcej ludzi.

- *Sacre bleu!* - krzyknął któryś z sąsiadów ciotki – ci przybysze walczą niczym diabły.

Andre, ze szpadą wyciągniętą przed siebie, ruszył w stronę Angeline. Na drodze stanął mu jednak ksiądz.

- O, Wasza Wysokość! - zawołał Andre, nacierając na Rolfe'a. - Myślę, e nie spodziewał się pan nas tak szybko.

- Kto wypuścił was z lochu?

- Syn kucharza, bystry chłopak, przyszedł zapytać, dlaczego opóźniają się z kolacją. Usłyszał

nasze stukanie.

- No, to miał pan szczęście - rzekł Rolfe, broniąc się dość niedbale.

- Pan za to go nie miał, prawda? A co pan zrobił z Madame do Buys?

- Co zrobiłem? Nie widać jej tu nigdzie w błocie, chociaż na to zasłużyła. Zostawiliśmy ją w konwencie, gdzie przeklina nas na cały głos. Nie wiem tylko, czy dlatego, że ją tam zawieźliśmy, czy dlatego, że przedtem trochę pocierpiała.

Angeline wydawało się, że gdy stawali w strzemionach, gdy nacierali na siebie i cofali się, było kilka takich momentów, że przy odrobinie większym wysiłku, przy odrobinie dłuższym pchnięciu Rolfe mógł zranić Andre i skończyć walkę. Wyglądało na to, że raczej szuka okazji, by wytrącić mu broń z ręki, nie czyniąc mu krzywdy. Podobnie walczyli gwardziści: stanęli w zwartym szyku i bez trudności odpierali ataki.

W pewnej chwili szyki się przemieszały i Rolfe został zaatakowany z trzech stron. Andre wycofał się z bezpośredniej walki i wyrwał z rąk Rolfe'a wodze konia Angeline. Na szarpnięcie jej koń przysiadł na zadzie, podniósł się i nagle cofnął. Angeline, nie mając w ręku cugli ani lęku przy siodle, którego mogłaby się przytrzymać, ścisnęła konia kolanami i wpiła palce w jego srebrzystą grzywę. W tym momencie poczuła straszliwy ból w nodze. Jej koń starł się z koniem jednego z gwardzistów i nie znajdując wolnej przestrzeni, zachwiał się. Angeline poczuła, że wypada z siodła i leci wprost pomiędzy końskie kopyta. Chciała zawołać, lecz krzyk utkwiał jej w gardle. Poczuła jeszcze przejmujący ból w skroniach, a potem ogarnęła ją ciemność.

Pomału wracała jej świadomość: czuła, jak się kołysze.

Ból pulsował przy każdym poruszeniu. Mdłości podchodziły do gardła. Z trudem przełykała ślinę. W skroniach czuła bolesne pulsowanie. Jakaś ciepła i mocna ręka odgarniała włosy z twarzy i z rany na głowie. W tym miejscu bolało ją najmocniej. Zmarszczyła czoło i odwróciła głowę z głuchym westchnieniem.

- Twoja uroda nie doznała szwanku – usłyszała znajomy głos - chociaż nie mogę tego powiedzieć o zdrowiu.

Spostrzegła, że Rolfe trzyma ją w ramionach. Było jej wygodnie. Uniosła powieki i od razu napotkała spojrzenie jego niebieskich oczu. Leżała na jego kolanach nakryta futrem. Rolfe siedział wciśnięty w kąt powozu.

Wnętrze wybite było ciemnobrązowym aksamitem. Na ile mogła się zorientować po mijanych drzewach - wehikuł poruszał się dość szybko.

Zamknęła oczy.

- Co się stało? Jak się tu znalazłam?

- Szczęśliwa dziewczyna. Przespała cały ten obrzydliwy kram. Naprawdę nie pamiętasz?

- Nie.

- Podniosłem cię, jak spadłaś z konia – powiedział Rolfe z nutką wesołości w głosie. - Oddałem cię pod opiekę Gustave'owi i Oscarowi. Zostaliście wysłani naprzód, a reszta pozostała ze mną jako strażnica przeciwko tym, co nas nieporadnie, z zapalem i niepotrzebną brawurą atakowali.

Walka z farmerami i ich synami, rozsierdzonymi, a nie mającymi pojęcia o szermierce, to nie jest sport, który mi najbardziej odpowiada.

- ałujecie, e nie natknęliście się na godnych siebie przeciwników? I co? Zostawiliście ich tam w polu, eby się wykrwawili?

- Tylko kilka przeszytych ramion i mo e jakieś drobne rany, po których pozostaną piękne blizny, będą się nimi chwalić na najbliższym balu. Ale w sumie nic powa nego. Starsi uczestnicy wyprawy przeciwko nam zastanowili się i, dla dobra swych wnuków, sami otworzyli nam drogę i pozwolili zupełnie spokojnie odjechać.

Brak jakiegokolwiek lekceważenia czy oznak drwiny, których tak się bała, sprawił, e zaraz poczuła się lepiej.

- To było... to ładnie z twojej strony, e znalazłeś czas i zająłeś się mną.

- To nie było ładnie - to było bezwzględnie konieczne. Jak bez ciebie mógłbym dalej prowadzić swoje poszukiwania?

- Jak? Ju byś dalej prowadził pościg za Claire...

- Nie przejmuj się, nie myśl, e opóźnisz nasz marsz. Gustave wybrał dobry powóz. Jest wygodny i lekki i mo na nim jechać niemal tak szybko jak konno.

- Miałam na myśli, e gdybyście nie mieli kłopotów ze mną na samym początku...

- Droga Angeline - przerwał jej miękkim głosem Rolfe - to naprawdę nie był aden kłopot, zapewniam cię.

Zacisnęła wargi. Oczy te miała zamknięte.

- Widzę, e potyczka z sąsiadami pani de Buys nie nauczyła cię ani odrobiny pokory, nawet zwyczajnej uprzejmości...

- A miała nauczyć? To oni napadli na nas na ądanie twego adoratora Andre Delacroix. A jeśli myślisz, e chodziło mu o przekwitłe wdzięki twojej ciotki, to nie kto inny, tylko ty potrzebujesz lekcji, i to nie pokory, ale jak pokorę przewycię ać.

- A Andre, czy on...?

- Rozwścieczony, szarpał się z pół tuzinem trochę mądrzejszych od siebie, którzy w końcu odwiedli go od zamiaru pościgu. Takim go ostatni raz widziałem. Nie odniósł adnej rany.

Bezwiednie odetchnęła z ulgą.

- To dobrze.

- Tak myślę. Ale gdybym wiedział,

e jego niemądre działanie narazi cię na takie

niebezpieczeństwo, wziąłbym go za kark i przyprowadził tu, byś mogła się nim nacieszyć. Nigdy nie byłem wplątany w adne *menage a trois*, ale widzę, e to mo e być nawet zabawne.

Odkryła, e najłatwiej obra ał innych, gdy sam był zakłopotany.

- Zabawne? A ja sądziłam, e to, co lubisz najbardziej, to obra anie innych i - brandy. Dziwię się, e siłą nie wlałeś mi do gardła czegoś mocnego.

- Nieprzytomne kobiety nie potrafią się delektować dobrymi trunkami, ale miałem ju zamiar posłać po sole trzeźwiące, by cię obudzić z omdlenia.

- Z omdlenia? - jęknęła tak, jakby brzydziła się tym słowem. - Myślę, e to było coś powa niejszego.

- Tak sądzisz?

- Dobrze wiesz, e było.

Nie miała pojęcia, dlaczego tak lekko traktował całe wydarzenie. Mo e, eby ją zniechęcić do odgrywania roli kogoś, kto nie jest w pełni sił? Ale takiego zamiaru nie miała.

- Chcesz podwa yć moje umiejętności lekarskie?

- Jedynie twoją diagnozę, e byłam tylko osłabiona, podczas gdy tak naprawdę otrzymałam cios w głowę.

Wzrok miała mętny. Na widok migających w oknie powozu drzew poczuła nowy przypływ mdłości. Szybko zamknęła oczy i podniosła dłoń do ust.

- Zatrzymać powóz? - spytał szybko.

Potrząsnęła energicznie głową, ale zaraz tego po ałowała: ból wzmógł się natychmiast.

- To pewnie był błąd, e ju cię obudziłem. Miałaś lekki wstrząs mózgu. Nie powinien być niebezpieczny, ale jazda powozem nie jest w takim wypadku najlepszym lekarstwem.

Zmusiła się, by rozewrzeć powieki. Zauwa yła, e Rolfe coś głęboko rozwa a. Przebiegło jej przez

myśl, e mo e zastanawia się, czy nie odesłać jej do ciotki.

- Ja zaraz... zaraz mi przejdzie...

- Myślisz? - spytał i lekko się uśmiechnął.

- Tak. Myślę, e tak.

- W swoich jukach miałem proszki nasenne działające szybko i skutecznie, ale nie było czasu, by zawiadomić Sarusa, eby się spakował i zabrał z nami. Wszystko zostało więc w domu myśliwskim pana de la Chaise. Będzie tam musiał pozostać do czasu, a otrzyma wiadomość, eby się spakował i dołączył do nas. Nie przewiduję, ebyśmy tędy mieli wracać. Mo e zdarzy się sposobność, by przygotować coś podobnego na następnym postoju, kiedy postaramy się zdobyć świe e konie.

- To mo e być trudne - szepnęła Angeline.

- Tak, to ju wcześniej zauwa yłem. W tej dzikiej okolicy nie ma adnej porządnej stacji, gdzie mo na by to zrobić. Co zwykle robią ludzie, kiedy tędy przeje d ają?

- Przede wszystkim je d ą wolno, a nie tak na złamanie karku - powiedziała z jękiem, bo właśnie koło powozu trafiło na dziurę na drodze i Angeline poleciała do przodu, nim Rolfe zdą ył ją chwycić; kiedy jazda się trochę uspokoiła, mówiła dalej:

- Przeje d ający tędy otrzymują świe e konie zale nie od tego, jak się umówią z gospodarzami: właścicielami folwarków i plantacji, którzy te przyjmują ich na nocleg.

- Myślę, e tylko ci, co mają plantacje w tej dzikiej okolicy, je d ą w tym kierunku co my.

Większość podró uje raczej w przeciwną stronę, do St. Martinville czy Nowego Orleanu.

- W dzikiej okolicy? Ju drugi raz o tym mówisz...

- Tak ona mi się jawi - odrzekł i spojrział w okno, za którym cały czas migały bezlistne gałęzie drzew. - Jedziemy w stronę osady, której nazwa pewnie pochodzi z jakiegoś indiańskiego narzecza: Natchitoches...

- To nazwa szczepu indiańskiego. To stare miasto, kiedyś nawet fort francuski, zupełnie dobrze zorganizowane.

- To bardzo dobrze.

- Ale dlaczego jedziemy właśnie do Natchitoches?

- Ktoś słyszał, jak woźnica twojej kuzynki pytał o tę miejscowość.

Samo miasto, w otoczeniu ogromnych plantacji, odznaczało się du ymi walorami, ale droga prowadząca w jego stronę, jak równie tereny, przez które trzeba było przeje d ać, były niemal

całkowicie bezludne.

W ciągu jego ponad stuletniego istnienia jedyną drogą do miasta i z miasta była rzeka. Jechało się w górę Missisipi a do Rzeki Czerwonej, nad którą le ało.

Dopiero w ostatnim dziesięcioleciu wytyczono drogę lądową, tę, którą w tej chwili jechali.

Madame de Buys miała tu krewnych, ale to, e Claire zdecydowała się u nich ukryć, mogło świadczyć o desperackim szukaniu ratunku. Je eli St. Martinville uwa ała za zapadłą dziurę, to Natchitoches musiałaby uznać za deskami zabity koniec świata.

Jazda w tamtym kierunku kryła w sobie pewne niebezpieczeństwo. Te okolice stały się ostatnimi czasy terenami przygranicznymi. Osadnicy z południowego wschodu traktowali je jako tereny wypadowe w stronę otwartych przestrzeni hiszpańskiego Teksasu. Roiło się od ludzi wyjętych spod prawa - rzecz zwyczajna w przypadku ekspansji na kolonizowane tereny. Ziemia ta nosiła miano Ziemi Niczyjej. Zajmowała powierzchnię około pięciuset tysięcy mil kwadratowych.

Ciągnęła się wzdłu Sabine River w południowo-zachodniej części stanu. Od 1806 roku, to znaczy od czternastu lat, prawa do tego terytorium zgłaszały tak Stany Zjednoczone, jak i Hiszpania. Aby uniknąć starć, które mogłyby się przerodzić w prawdziwą wojnę, wydzielono z obu stron neutralne pasy ziemi, których nie patrolowała ani amerykańska, ani hiszpańska armia.

W rezultacie te wydzielone tereny stały się rajem dla złodziei i morderców, ludzi ściganych przez prawo, napadających na pogranicza obu krajów, jak równie na osadników zdą ających na zachód. Tu bez ograniczeń prowadzono zabronione gdzie indziej rodzaje działalności, jak handel niewolnikami i kontrabandę, kontrolowaną, jak się mówiło, przez pirata, a zarazem bohatera bitwy o Nowy Orlean, Jeana Lafitte. Mówiło się te du o o tym, e zbierają się całe oddziały, mające podjąć walkę o to, by Teksas oderwać od Hiszpanii i przyłączyć do Stanów Zjednoczonych.

Tak więc nie była to bezpieczna okolica. Ka dy, kto zdecydował się na przejazd przez nią, podejmował powa ne ryzyko. Po wielu takich śmiałkach słuch zaginał raz na zawsze. Ka da kobieta, jaka przez ten teren przeje d ała, nawet stara i brzydka, potrzebowała zbrojnej ochrony.

Dla Claire przejazd tą drogą samotnie był w najwy szym stopniu niebezpieczny. Mo na było jedynie mieć nadzieję, e ludzie Rolfe'a dogonią ją odpowiednio wcześniej.

Angeline miała ochotę opowiedzieć o tym Rolfe'owi, ale jego ponure milczenie zdawało się wskazywać, e wszystko to wie. Nie było więc o czym mówić. Zresztą trudno by jej było zdobyć się w tej chwili na taki wysiłek.

Le ała spokojnie z policzkiem na jego piersi, czując jego miarowy oddech, regularne bicie serca, a tak e ruchy, jakie wykonywał, by przeciwdziałać wstrząsom i chybotaniom powozu. Z ka dym obrotem kół, z ka dą przebytą milą oddalała się od wszystkiego, co dotychczas było jej bliskie: krewnych, przyjaciół, społeczności, kościoła. Była sama z opanowanym chęcią zemsty księciem.

Nie wiedziała, jak się to skończy ani co się z nią stanie, kiedy zakończy się ta cała przygoda.

Bynajmniej nie cieszyła jej sytuacja, w jakiej się znajdowała. Ale te nie za bardzo ją martwiła.

CZEŚĆ II

Rozdział 11

Minęły dwa koszmarne dni ostrej, wyczerpującej jazdy: wciąż dalej i dalej. Zatrzymywali się tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne, aby napoić lub wymienić konie, przelknąć coś naprędce, spytać o drogę na nie oznakowanych traktach. Angeline większą część drogi przesypiała dzięki wspaniałym proszkom nasennym, które sporządził Rolfe. On i jego ludzie drzemali w siodłach. Pilnie śledzili wszelkie ślady swej ofiary i robili wszystko, by im się po nocy gdzieś nie wymknęła.

Wielkich trudności nie napotykali. Drogę mościli sobie osobistym, egzotycznym czarem i błyszczącym strumykiem złota. Zestaw tych argumentów pokonywał wszelkie opory, sprawiał, że zamknięte drzwi otwierały się niezależnie od tego, czy to była stajnia, kuchnia czy apteka.

Powodował, że nawet po ich odjeździe ludzie trwali w pokłonie z wyrazem miłego zaskoczenia na twarzach. Te same argumenty otworzyły Rolfe'owi równie drzwi szafy z damską garderobą.

Wyszukawszy wśród napotkanych młodych kobiet jedną w zaawansowanej ciąży, tak jej się przyglądał, że spłonęła rumieńcem mimo swego stanu. Z nią dobił targu, by odstąpiła część swoich fatalaszków, których, póki co, i tak nie mogła zakładać. Wybrał więc szarą suknię z surowej wełny w rówe cećki, dużą chustę z jedwabnymi frędzlami, nocną koszulę i sztywną halkę oraz strój do jazdy konnej z zielonego aksamitu, tak ciemnego, że wydawał się czarny.

Zestaw uzupełniał wysoko upięty kapelusik z niewielką białą woalką.

W stanie ducha, w jakim się znajdowała, nie zwróciła zbytniej uwagi na te ubiory. Rolfe przyniósł jej i ułożył na jednej gromadzie na siedzeniu w powozie.

Zwinięta w kłębek, z ręką pod głową, nawet nie podniosła się, by mu podziękować. Ale za chwilę przybudzeniem czuła się coraz mniej chora, choć jeszcze nie na tyle dobrze, by móc zaryzykować wyjście z powozu.

Drugiego dnia po południu siadła na chwilę, by popatrzeć przez okno. Po zapadnięciu zmroku mogła już trochę zjeść: kubek rosółu i sucharki. Rolfe, siedząc z nią w powozie, zjadł pieczonego kurczaka, świeży chleb na drożdżach i ciasto z jabłkami. Na czas posiłku nie przerwali jazdy.

Powóz posuwał się drogą, nad którą nagie gałęzie drzew tworzyły sklepienie. Nie zareagował, gdy mu powiedziała, aby choć na chwilę zdjął buty i zdrzemnął się. Przyglądał się jej w świetle latarni powozu: jej wilgotnym od rosy, potarganym włosom, piersiom wyraźnie rysującym się pod tuniką, którą ciągle jeszcze miała na sobie. Uśmiechnął się nieznacznie, gdy spostrzegł, że w ręku trzyma nie ruszone jeszcze kurcze udko. Po chwili przeprosił ją i wysiadł z powozu.

Niemal natychmiast gwardia zaczęła śpiewać wesołą, nieprzyzwoitą piosenkę o dziewczynie z Pragi, której dziwaczne skłonności do śpiących towarzyszy, ubrane w dwuznaczne słowa, powodowały, że uszy Angeline zaczęły płonąć. Głos Rolfe'a wybijał się ponad pozostałe; wesołe i lubieżne francuskie

słowa zmieniał na rutheńskie.

Wymawiane z głębokim, gardłowym brzmieniem zdawały się przyjmować jeszcze bardziej zmysłowe znaczenie.

Piosenka jako antidotum na przygnębienie okazała się doskonała. Na zmianę chwaleni i przeklinani, pocieszani i przynaglani, utrzymywali ogromne tempo, które narzucał Rolfe.

Niezmordowanie pędzili w ciemną noc.

Nad ranem stwierdzili, e Claire musi być tu przed nimi. Porzuciła wóz, pozostawiając go w polu niedaleko przygodnej zagrody, kupiła konie dla siebie i swego woźnicy i pojechali dalej konno. Gwardziści nie wiedzieli, w jaki sposób tak ich wyprzedziła, jakimi metodami przynaglała swoją eskortę i przewodnika.

Niemniej byli niemal pewni, e przed wieczorem powinni ją dogonić.

Niebo było zupełnie czyste. Z upływem czasu dzień stawał się coraz cieplejszy, jak to czasem bywa w Luizjanie w styczniu. Angeline była zmęczona ciągłym kołysaniem i rzucaniem z jednego kąta powozu w drugi. Była zmęczona cię kim zapachem obić, kurzem, który dostawał

się do środka przez szpary przy zawiasach drzwi i okien, monotonnym skrzypieniem obudowy gdzieś nad tylnym kołem. Chciała znaleźć się na świe ym powietrzu, poczuć na twarzy ciepło promieni słonecznych.

Wyciągnęła nogi i rozwinęła swój strój do konnej jazdy. Wiedziała, e jest przynajmniej jeden zapasowy wierzchowiec, a pewnie było ich więcej. Były uwiązane do tyłu powozu, tak e mo na je było zmieniać bez konieczności zatrzymywania się i dawać im w ten sposób odetchnąć.

Pojawiła się jeszcze pewna trudność - jak zmienić ubranie. Poradziła sobie w ten sposób, e okna zasłoniła spódnicą i suknią utykając je między oprawę i ramię. Za taką zasłoną szybko zdjęła z siebie kretonową bluzkę i mocno przybrudzoną tunikę i nało yła strój do konnej jazdy. Był

trochę za luźny w talii, a trochę za ciasny w biuście, ale nie na tyle, by nie mogła go nosić.

Nało yła marynarkę skrojoną trochę jak krótki męski płaszcz, pod nią bluzkę z abotem i kamizelkę zapinaną pod szyją, przykrywającą wytarty na biodrach aksamit.

Po raz pierwszy od dłu szego czasu poczuła się dobrze ubrana. Bardzo przydałaby się kąpiel, ale o tym nie miała odwagi nawet wspomnieć.

Wolałaby mieć silną wolę i być w stanie odrzucić pokusę ubrania się w te fatalaszki, które Rolfe jej kupił. Ale temu nie potrafiła się oprzeć. Zdjęła z okien ubrania, zło yła je starannie, po czym otworzyła okno, by zawołać na Gustave'a, który powoził, by się zatrzymał.

Dosiąść konia w długiej i powłóczystej spódnicy bez potknięcia i pokazywania całej długości nóg nie było sprawą łatwą. Pilnowanie i konia, i stroju, trzymanie kapelusza z woalką, w której płatały

się rozwiane włosy, te było trudne. A wszystkiemu starała się podołać z gracją, na jaką tylko było ją stać. Z długimi kasztanowymi włosami niesionymi wiatrem podjechała do gwardzistów. Powitali ją gromkimi okrzykami aprobaty. Rolfe uśmiechnął się, nie kryjąc zadowolenia, i podjechał do niej tak, e dalej jechali pierś w pierś.

Przyjrzał się jej dokładnie, nie omijając adnego szczegółu stroju.

- Czujesz się równie dobrze, jak wyglądasz?

- Znacznie lepiej. Przynajmniej tak myślę. Podziwiam twój gust, jeśli idzie o strój, i dziękuję za troskliwość, z jaką go dobrałeś.

- Nie ma o czym mówić, a tym bardziej dziękować za u ywane ubranie, które mo e dobrze pasowałoby do jakiejś guwernantki czy słu ącej, ale nie do kobiety, którą ja...

- Tak? - chciała, by dokończył rozpoczęte zdanie. -

Do kobiety, z której zrobiłeś swoją utrzymankę? Czy to miałeś na myśli?

- Czy ta myśl tak cię nęka? Pozwól, e nazwiemy to inaczej: do kobiety, która jest wielką pomocą w moich poszukiwaniach. A w ogóle to jestem ci wdzięczny, e nie pozwalasz obdarzać się bez podejrzliwości.

- Wiesz bardzo dobrze, e nie zrobiłam niczego, do czego nie zostałam zmuszona.

Spojrzał na nią z błyskiem w oczach.

- To wiem. Ale w pewnych sprawach pomogłaś nam dobrowolnie.

Nie chciała się z nim kłócić. Nie widziała w tym sensu. Nic w ten sposób nie zyskiwała, a stracić mogła du o. Zaraz te zmieniła temat - zaczęła przekomarzać się z Gustave'em i Oscarem.

Pozostali te dołączyli do nich i droga mijala szybko. Wczesnym przedpołudniem zatrzymali się nad niewielkim strumieniem, by napoić konie. Angeline odeszła kawałek w las, a Rolfe stał na stra y. Kiedy wróciła, stanęła obok niego pod rozło ystym, wiecznie zielonym krzewem wawrzynu. Pilnie obserwował skrawek widocznego stąd nieba. Słońce straciło promienną jasność, zakrywane stopniowo szarocynowymi kłębami chmur, nadciągających z południowego zachodu.

- Ranek był wiosenny - powiedziała - a teraz wygląda na to, e zaraz zacnie lać.

- Dla moich ludzi i dla mnie samego, przyzwyczajonych do ostrzejszej zimy, wygląda to na lato.

Ale to nie znaczy, e lubimy deszcz.

- Lubiany czy nie - wygląda na to, e zaraz będzie.

Jak myślisz, czy ma to jakieś znaczenie? Zła pogoda mo e wam przeszkodzić w dogonieniu Claire?

- Ją deszcz dotknie tak samo jak nas. Jeśli nie bardziej. Sam deszcz nie jest problemem, chyba e zmieni się w burzę.

- Tutaj burze o tej porze roku raczej się nie zdarzają. Kłopotem mogą stać się roztopy.

- Myślę, e dogonimy Claire, zanim to nastąpi.

- Co... jak myślisz, co zrobisz, gdy ją znajdziesz?

Spojrzał na nią kpiąco.

- Czego się obawiasz? Dałem ci słowo, prawda?

- Powiedziałeś, e nie zrobisz jej krzywdy. Przy twojej inwencji pozostawia to dość du e pole manewru...

- Chłosta biczami czy różgami? Chciałbym więcej. Chciałbym wykorzystać z niej jej zaufanie w sobie. Chciałbym ją za włosy powiesić na którejś z wie pałacu mego ojca. Ale nie zrobię tego, bo ci przysięgłem. Nie potrafisz zawierzyć tej przysiędze? I mnie?

- Wierzę. To znaczy - wierzyłam, dopóki nie zdałam sobie sprawy, jak bardzo nieodpowiedzialna potrafi być Claire. Poza tym, ona mo e nie wiedzieć nic, co byłoby ci przydatne. Czy kiedykolwiek rozwa ałeś taką sytuację, jak się czujesz, co zrobisz, jeśli po takiej pogoni cała ta podró oka e się bezcelowa?

- Czy chcesz przez to powiedzieć, e nie potrafię opanować swoich odruchów? - spytał bardzo spokojnie.

- Tego nie powiedziałam.

- A więc?

- Musisz przyznać, e dawałeś mi powody, aby tak myśleć.

- Niczego takiego nie mogę ci przyznać. A odruchy w tym, co robię, odgrywają bardzo niewielką rolę.

- Nie mówisz tego powa nie! - zawołała. – Jak inaczej wytłumaczysz, e zabrałeś mnie z domu ciotki, to, e muszę... e jestem z tobą, e zabrałeś mnie z konwentu, kiedy okazało się, e Claire uciekła? Chyba nie chcesz mi wmówić, e to wszystko wcześniej obmyśliłeś?

- A czemu pytasz?

- Takie działanie z zimną krwią byłoby przera ające.

- No, nigdy nie powiedziałem, e wszystko to zrobiłem z premedytacją - mówił z uśmiechem. –

Jeśli mówisz o tym, co zaszło między nami... prywatnie... to pozwól sobie powiedzieć, e chciałem cię i byłem zdecydowany mieć cię od chwili, kiedy na moment miałem cię w ramionach na przyjęciu u Madame Delacroix. Twoja niewinność mnie zaskoczyła. Ale szczerze mówiąc, nie wiem, czy postąpiłbym inaczej, gdybym wiedział...

Czy wszystko to, co się stało, to było wyłącznie jego działanie? Czy ona sama, przez słowa, gesty, spojrzenia nie prowokowała, nie brała czynnego udziału?

Tak czy inaczej - nie widziała powodu do dumy.

Patrzyła gdzieś w bok, milcząca, głęboko wewnątrz rozdartą.

- Nie musisz popadać w rozpacz i winić siebie. To nie była twoja wina.

Podniosła wysoko głowę.

- Nigdy tego tak nie rozumiałam.

- To co cię tak gnębi? Mo e przeceniłaś swoje siły?

Wróć do powozu.

- Bardzo pan dzisiaj uprzejmy! - zawołała buńczucznie, mimo e rzeczywiście zaczynała odczuwać jakąś słabość w całym ciele, co by znaczyło, e nie był daleki od prawdy. Jej niechęć, by przyznać mu rację, brała się po części stąd, e nie wiedziała, jak się zachować, a po części stąd, e pod jego spojrzeniem w całym ciele odczuwała dziwne mrowie.

- Bardziej, ni sądzisz - odpowiedział. - I nie chcę cię tam posyłać samej.

- Masz na myśli... chcesz jechać powozem razem ze mną...

- Dodaje ci to ycia czy mo e... budzi strach?

Poczuła, jak gorący rumieniec zabarwia jej policzki, ale starała się nie zwracać na to uwagi.

- Nie jestem pewna, czy jazda powozem dobrze mi robi.

- A jeśli będę nalegał? Oczywiście, jedynie ze względu na twoją ranę...

- Będziesz nalegał? A to czemu? Zapewniam cię, e moja chwilowa niedyspozycja nie będzie opóźniała jazdy.

- Tak, ale ja myślę równie o sobie.

Roześmiał się widząc, jak uparcie stara się nie rozumieć tego, co tak wyraźnie jej mówił.

- Jesteś ju tak blisko pochycenia Claire. Pewnie ty i twoi ludzie chcecie pozostawić powóz i mnie,

eby przyspieszyć... A my was później dogonimy.

- I pozwolić ci jechać przez Ziemię Niczyją jedynie pod opieką Gustave'a?

- To ju znajdujemy się na Ziemi Niczyjej?

- Od dziesięciu, a mo e i więcej mil.

- Nie miałam pojęcia.

- Bo to nie było wa ne. Ale teraz wiesz, dlaczego chcę ci osobiście zapewniać ochronę?

- Nie - odpowiedziała szybko.

- Bo jesteśmy na niebezpiecznym terenie, a tak e dlatego, e bardzo mi zale y na tym, by robić to osobiście.

- Jestem pewna, e aden z tych motywów nie ma nic wspólnego z tym, e chcesz jechać ze mną w powozie.

- Mądra i odwa na! - zawołał ze śmiechem.

Pochwyił kapelusz z woalką, jaki miała na głowie, i rzucił go w krzaki. Zgarnął ręką jej opadające włosy i zarzucił jej na piersi.

- Gdybyś jeszcze była uległa...

Nie miała adnych szans, by nie być. Chwyił ją i poprowadził do powozu, który ju czekał z Gustave'em siedzącym na koźle. Otworzył przed nią drzwi. Był moment, e mogła odmówić, gdy stała i patrzyła na niego. On czekał, nie ruszając się z miejsca. Gdy zaczął mówić, głos miał tak cichy, e nikt prócz niej nie mógł go usłyszeć.

- Zróbmy próbę - zaproponował - czy natrafię na jakąś przeszkodę, na przykład: czy ktoś z mojej gwardii przybędzie ci na pomoc, gdy zawołasz, czy raczej, choć będą mi zazdrościli, staną po mojej stronie? Czy pomogą swemu księciu czy zaakceptowanej i niekwestionowanej ich pani?

Czy wreszcie ty, gdy oni dokonają wyboru, poddasz się ich werdyktowi?

To było szyte grubymi nićmi. Nie wiedziała, jak na to wpadł, ale interes tak przedstawiony wydawał się zbyt niepewny, by mo na było ryzykować. Podczas gdy się zastanawiała, co zrobić, padły pierwsze grube krople deszczu, jakby nawet pogoda zastosowała się do jego yczenia.

Sztywna, poło yła dłoń na jego ramieniu i pozwoliła się wprowadzić do powozu.

Coś w niej kipiało, ale nie bardzo wiedziała co.

Dopiero gdy znalazła się w zamkniętym wnętrzu, zauwa yła, e się ściemniło. Gdy tylko weszli do

środką, deszcz zaczął lać na dobre, uderzając w dach, bijąc po oknach i ścianach.

Jechali dalej. Koleiny na drodze rozmiękły i pełne wody zmieniły się pod kołami w płynną maź.

Dziury w drodze groziły zapadnięciem się powozu po same piasty. Gwardziści, z pochylonymi głowami, owinięci w nieprzemakalne płachty, jechali przed powozem. Rolfe trzymał Angeline na kolanach i głaskał jej włosy opadające mu na ramiona. Na palcu ręki, którą ją obejmował, lśnił pierścień ze starego złota z wygrawerowaną głową wilka. Byli bezpieczni, nie mokli na deszczu, ukryci w swym odosobnieniu. Pochylił głowę, by na nią popatrzeć. Uśmiechał się nieśmiało.

Palcem spróbował zebrać kropelkę rosy, która tkwiła na jej rzęsach. Podniosła powieki i napotkała spojrzenie jego niebieskich oczu. Z głębokim westchnieniem pochylił się nad nią jeszcze głębiej i dotknął wargami jej warg.

Dotknął palcami jej policzka, a potem całą dłonią objął jej pierś.

Angeline poczuła, jak ogarnia ją podniecenie. Z nagłą siłą, która ją samą przerażała, zapragnęła, by mocno przytulił ją do siebie. Z trudem chwytając powietrze obróciła głowę i oderwała usta od jego ust.

- Nie rób tego. Zobaczą nas.

- Nie zobaczą. A nawet jak zobaczą, to zaraz odwrócą wzrok.

- Ale jest jasny dzień... nie mo esz...

- Czego nie mogę?...

Jego palce szybko uwijały się przy guzikach jej akietu, wysupłując je z dziurek z dużą wprawą.

- Rolfe, nie! To jest nieprzyzwoite!

- A co ma tu do rzeczy przyzwoitość?

Rzeczywiście, co?, pomyślała Angeline z nagłą goryczą.

Ale jego usta pochłonęły cały jej opór zagubiony w przypiływie namiętności. Deszcz bił o dach powozu jak przytłumione *obbligato*, a jego uderzenia zdawały się współbrzmieć z pulsowaniem krwi. Chłodne, mokre powietrze wciskało się do wnętrza tak, e ich skóry, przez wilgotne ubranie, przywierały do siebie. Rozpiął jej abot, odsunął na bok koronki, odpiął guziki od koszuli i odsłonił ró owe, pełne piersi. Najpierw pieścił je ciepłymi rękami, potem wargami, wzbudzając fale po ądania. Przywarła do niego. Słyszała tylko, jak schrypniętym głosem powtarzał jej imię: Angeline... Angeline...

Rozsunął poły jej akietu. Podciągnął okrycie siedzeń powozu w jeden kąt, a potem nakrył nim ich oboje.

Pod nim jego ręce objęły jej plecy, głaskały delikatnie zaokrąglenia bioder, przyciągały ją coraz ciaśniej do siebie. Poczwała, jak jego dłoń przesuwaa się wzdłu jej uda a do kolana, a potem podciąga w górę aksamit spódnicy. Jednym ruchem zsunął spodnie i obróciwszy ją w swoją stronę, przeło ył jej nogę ponad sobą i przytulił do siebie.

Powóz podskakiwał na wybojach i zdawało się jej, e słyszy jego zduszony śmiech, gdy trzęsła się oparta jedynie na jego ramionach. Ruchy powozu powodowały, e opadała na niego coraz mocniej, a osunęła się zupełnie. Trzymał ją na sobie, gdy koło powozu zapadło się w dziurę.

Poczwała, jak leci gdzieś w przód i jak natychmiast przeciwdziała temu Rolfe, jak obraca ją i ściąga z powrotem pod siebie i potem, jak nie chcąc zdusić jej swoim cię arem, zwisa nad nią na rękach.

W tym momencie koło ze zgrzytem osiadło na dnie, a oni oboje polecieci na podłogę. On padł

pierwszy, a Angeline wylądowała mu na piersi. Wypuścił z sykiem powietrze z płuc i zaczął się trząść. Poczwała, jak przenika ją dreszcz przera enia. I dopiero wtedy spostrzegła, e Rolfe się śmieje. Ją te opanowała niespodziewana wesołość i le ać na płataninie tego, co z siebie zdjęli: spódnicy i spodni, koszuli i sukni, razem z miękkim, błyszczącym futrem - dali na cały głos upust swemu rozradowaniu.

- Uprawianie miłości na kozacką modłę: w drewnianym siodle, na galopującym koniu, jest pewnie większym prze yciem, ni myślałem - powiedział.

Ciągle się uśmiechając, podniósł się z podłogi, objął ją i powoli uło ył pod sobą. Wpatrując się w jej oczy, szarozielone i ogromne, wniknął w nią ponownie.

To było coś jak cudowne zakwitanie, magiczne odprę enie, które pozwoliło im wznieść się na nieznane wy yny, zadziwiające i ulotne. To było dzielenie się szczęściem, całkowite zjednoczenie dwojga rozpalonych ciał, zaspokojenie a do bólu, samo dla siebie, nie potrzebujące nikogo więcej, pełny sens istnienia, któremu niczego ju nie trzeba...

Jeszcze le ała w jego objęciach, gdy rozległ się pierwszy strzał z pistoletu.

Rolfe zaklął siarczyście i poderwał się na nogi. Bez wysiłku podniósł Angeline i posadził w kącie. Potem szybko naciągnął spodnie, zapiał guziki, pchnął drzwi pędzącego pojazdu i wychylił

się, by zobaczyć, co się dzieje. Strzelanina nasilała się. Słysać było głośne krzyki i ochryple wrzaski, kiedy gwardziści otworzyli ogień. W sufit powozu coś uderzyło głucho, jakby jakiś cię ar spadł na dach z gałęzi nad powozem. Rolfe cofnął się natychmiast, wziął zamach i kopniakiem wybił szybę w drzwiach. Postawił nogę w tak zrobionym wyjściu, odbił się i wskoczył na dach.

Powóz zwiększał szybkość. Przechylał się z jednego boku na drugi, jakby nikt ju nim nie powoził.

Angeline, rzucana od ściany do ściany, w pośpiechu zapinała guziki. Dolatywały ją przekleństwa i odgłosy walki. Wiedziała, e to Gustave i Rolfe walczą z którymś z napastników. Przez okno zobaczyła jeźdźców pędzących obok powozu i usiłujących pochwycić konie za uzdy i starających się wskoczyć na ich grzbiety.

- Bierzcie ywych tych sukinsynów! Za ka dego ściągniemy dobry okup!

Rozległ się strzał, ktoś na dachu zawył z bólu, i zaraz potem walka ucichła. Kiedy po kilku szarpnięciach powóz się zatrzymał, z dachu poleciało na ziemię jakieś bezwładne ciało.

- Rolfe! - krzyknęła Angeline i otworzyła szeroko drzwi. Wskoczyła, pobiegła na miejsce, gdzie upadł, i przyklękła przy nim. Le ał twarzą do ziemi, więc szybko go odwróciła. Oczy miał

zamknięte, twarz spokojną i śmiertelnie bladą i tylko krople deszczu zbierały się na zaciśniętych wargach. Nad uchem we włosach ukazała się duża plama krwi. Na twarzy miał brudną ranę -

zapewne ślad po upadku na ziemię.

Nie było to jednak wszystko: na białej tunice pod mundurem, tu ponad pasem widniała ogromna plama krwi.

Walka była skończona. Ktoś nadszedł na koniu rozbryzgując przed sobą brudną wodę.

Ochryłym głosem kłął męczyzn gramolących się z dachu powozu.

Zsiadłszy z konia, podeszedł do tego, który jeszcze trzymał w ręku dymiący pistolet i jednym uderzeniem potęnej jak młot pięści rzucił go w błoto.

- Cholerny, zasmarkany głupcze! Je eliś go zabił, to z twoich ślepi zrobię sobie kości do gry, a ze skóry na gardle - kapciuch na tytoń!

Najwidoczniej był to przywódca napastników. Obrócił się i stanął nad klęczącą nad Rolfe'em Angeline.

- I co, nie dycha?

Wymowę miał tak czysto szkocką, e minęła chwila, zanim go zrozumiała. Cofnęła rękę z miejsca na piersiach, gdzie pod tuniką starała się wyczuć bicie serca.

- Nie... Tak. Jeszcze tak. Mo e by go poło yć do powozu...

Stał z rękami opartymi na biodrach, ogromny i kanciasty, z włosami jak brunatna kopa siana, rudą brodą i brązowymi jak liść tytoniu oczami. Przyjrzał się jej, zmarszczył czoło, potem ściągnął brwi w zagadkowy łuk, jakby się głęboko zastanawiał nad jej poprawnym akcentem.

Wzruszył ramionami.

- No przecie, mo na.

Odwrócił głowę i coś wrzasnął. Natychmiast podeszło kilku męczyzn. Angeline cofnęła się, by mogli podnieść Rolfe'a i uło yć go w powozie. Popatrzyła na drogę, wszędzie byli ranni.

Rozbrojeni gwardziści le eli na ziemi, a nad ka dym stało co najmniej trzech napastników z pistoletem lub wielką strzelbą w rękach. Gustave był ranny w czoło - stru ka krwi zalewała mu zdrowe oko. Meyer krzywił się z bólu od rany w ramię.

Oscarowi krwawił nadgarstek. Byli ranni, ale yli.

Nie mo na było tego powiedzieć o napastnikach.

Wokół miejsca, gdzie gwardziści zajęli pozycje, le ały trupy. Le ało te kilku rannych, którzy wołanie o pomoc przeplatali głośnymi przekleństwami. Okazało się, e napastników było ponad czterdziestu, a więc, w porównaniu z gwardzistami Rolfe'a - siedem razy więcej.

W otwartym polu, zaskoczeni, nie mieli adnych szans.

Jeśli mieliby jakąś osłonę, coś, za czym mogliby się skryć, wynik walki mógł być zupełnie inny.

- To co, chcesz wejść z nim?

Angeline odwróciła się, bo do niej skierowane było to pytanie. Zobaczyła, e przywódca stał przy drzwiach powozu, czekając, by weszła do środka. Rolfe le ał na przednim siedzeniu. Ciemna, krwawa plama wyglądała tak, jakby ktoś rozlał czerwone wino, które spływało z jego boku na brązowe obicie. Ju chciała zapytać, dokąd ich zabierają i co mają zamiar z nimi zrobić, ale zmilczała. Są rzeczy, których lepiej nie wiedzieć naprzód.

Gdy przywódca napastników chwycił ją za ramię, by szybciej wsiadła, wyszarpnęła rękę i spojrzawszy na niego z niechęcią, bez pomocy weszła do środka.

Powóz ruszył. Uspokoila się. Przyklęknęła na jedno kolano. W ponurym milczeniu chwyciła le ącą na siedzeniu koszulę, którą tak niedawno z siebie zdjęła, i zaczęła odrywać dolne falbany, by zrobić z nich banda e. Gdy mijali miejsce, na którym przedtem le eli gwardziści, zauwa yła, e pomagano im stanąć na nogi i wsiąść na konie. Pozostali napastnicy zbierali ciała zabitych towarzyszy i zarzucali je na puste siodła.

Odwróciła się jeszcze raz i zobaczyła, jak Leopold szarpie się z jednym z napastników, który przystawił mu pistolet do pleców, i jak Meyer kładzie rękę na ramieniu ksią ęcego kuzyna, by go uspokoić. Na nic więcej nie miała ju czasu. Nachyliła się nad Rolfe'em i zaczęła odpinać guziki jego tuniki.

Po jakimś czasie wjechali na błotnisty trakt, tak wąski, e gałęzie drzew ocierały się o boki powozu i wpadały do środka przez dziurę w drzwiach. Kiedy wlekli się po wybojach, zapadając się i wydostając z nich, Rolfe zaczął się poruszać. Z ust wydobył się cichy jęk i otworzył oczy.

Wpatrywał się w Angeline.

Poznał ją, bo po chwili bardzo cicho powiedział:

- „Duma przed klęską”, a tak chciałem cię obronić...

- Było ich za du o i wypadliśmy w zasadzkę.

- Tak. Ale jak myślisz, kto mógł ich uprzedzić?

Mogła to być tylko jedna osoba, ale myśl o niej była tak nieprawdopodobna, e nie chciała jej nawet wypowiedzieć.

- Jak się czujesz? - spytała, zamiast odpowiedzieć na jego pytanie.

Na moment dziwny błysk zmieszał się z wyrazem bólu w jego oczach.

- Jak wiązka siana albo bezwolny dzieciak, ale z młotem bijącym gdzieś pod czaszką. Jeśli to jest to samo, co było z tobą po uderzeniu w głowę trzy dni temu, to mogę cię tylko przeprosić za jazdę powozem w takim stanie.

- Straciłeś du o krwi. Ktoś cię postrzelił na dachu powozu i spadłeś...

- Tchórze! Ciekawe tylko, dlaczego nie znalazł się nikt, kto dokończyłby dzieła.

Jego lekcewa ące potraktowanie całej sytuacji było denerwujące.

- Myślę, e im idzie o okup, którego się spodziewają za ciebie i pozostałych.

- No to w porządku - rzekł i zamknął powieki. - Będziemy niewątpliwie mieli dobrą zabawę.

Krótko potem powóz zatrzymał się przed długim budynkiem z bali cyprysowych, z dachem krytym gontem, z glinianymi kominami w obu szczytach, wyrzucającymi w tej chwili grube warkocze dymu.

Dwie podobne budowle stały po bokach pierwszej, a w głębi znajdowały się jeszcze stodoły i stajnie dla zwierząt. Poło one były w pewnej odległości od budynku, który wyglądał na fortecę nadgranicznych rabusiów.

Miejsce to robiło wra enie zbrojnego obozu: na portyku domu stali wartownicy, trzymając w rękach długie strzelby. Wra enie to potęgowała jeszcze sfora sparszywiałych psów, które wybiegły zza budynku. Ogromne kundły nieznanego pochodzenia, brązowe, brudno ólte i bure, ujadały wściekle. Niebezpiecznie byłoby w tej chwili wysiąść w powozu.

Uspokojono je głośnymi wrzaskami i kilkoma dobrze wymierzonymi kopniakami. Wciąż jeszcze kręciły się wokół powozu, obwąchując go i chwytając zębami za koła, ale ju znacznie spokojniej. Gwardziści, których zdjęto z koni, pomaszerowali po schodach w stronę pierwszego domu. Rolfe uniósł się i usiadł z dłonią przyciśniętą do boku. Nie zwa ając na protesty Angeline, poczekał, a wysiadła, a potem sam wyszedł z powozu.

Sądząc po tym, jak zbladł - du o musiał go ten wysiłek kosztować.

- Nie wyglądasz mi dobrze, Wasza Wysokość.

Przykro mi za to, co cię spotkało, ale gdybyś się nie pchał do bitki, nie byłbyś potłuczony, jak jesteś.

Kilku opryszków prowadziło konie z ciałami zabitych towarzyszy w stronę miejsca oznaczonego drewnianymi krzyżami. Klęli głośno, ale ich przywódca zdawał się tego w ogóle nie słyszeć.

- Myślę - rzekł dość obcesowo ksiądz - e mógłby się pan przedstawić.

- Czemu nie? Jestem McCullough, przywódca tej bandy opryszków. Wejdiesz pan do środka z tego deszczu i odpoczniesz?

Rolfe skinął głową, a Szkot, chcąc pójść w jego ślady, te niezgrabnie się uklonił. Wyczenia księcia Ruthenii traktowano jak ądania, gdy pomimo opłakanego stanu, w jakim się znajdował, budził ogromny respekt.

- Pańska gościnność jest zniewalająca - rzekł Rolfe.

Z Angeline u boku, wchodził powoli po schodach, unikając strumienia lejącego się z dachu.

Powiał przenikliwy, wilgotny wiatr. Przyniósł zapach dymu oraz zgniły odór skór zwierzęcych rozciągniętych na ramach i rozwieszonych na ścianach jako ozdoby razem z jelenim porożem, łapami niedźwiedzi i sznurem krowich dzwoneczków.

Wspaniale prezentowały się futra niedźwiedzi, lisów, wilków, norek, szopów, oposów i gdzieś tam bobrów.

Gdy przystanęli, McCullough wyprzedził ich i poprowadził do prawego skrzydła domu, w ślad za gwardzistami. Gdy podeszli bliżej, drzwi prowadzące do lewego skrzydła otworzyły się i wyszła z nich młoda Indianka odziana w samodzielną spódnicę i kwiecistą perkalową bluzkę, z jedwabnymi, czarnymi jak skrzydło kruka warkoczami. Za nią ukazała się kobieta ubrana w ółtą jedwabną suknię lamowaną czarnymi koronkami i szal z indyjskiego kaszmiru, wyszywany we wszystkie kolory tęczy. Na szyi i na rękach miała mnóstwo bransolet i pierścionków. Na nogach - satynowe pantofelki z kolorowymi sprzączkami błyskającymi spod kraju sukni.

- Claire! - zawołała Angeline.

Kuzynka popatrzyła gdzieś ponad nią, ponad Rolfe'em, tam gdzie po przeciwnej stronie domu stali zebrani gwardziści. Twarz miała bardzo bladą i gdy odwróciła się do niej, wyglądała, jakby z trudem zbierała myśli.

- Droga Angeline! - zawołała zdziwiona - nie przypuszczałam, że może być z nim, chociaż *Maman* mi mówiła, że cię porwał...

Angeline zauważyła, jak Claire spojrzała na stojącego przy niej Rolfe'a i jak skłoniła mu się lekko i trochę jakby lekceważąco.

- To ty nasłatałaś na nas tych ludzi, prawda? - odważyła się w końcu powiedzieć Angeline. - Skąd jednak wiedziałaś...

- Skąd wiedziałam, e mnie gonicie? Zgadłam, *chere*. *Maman* mi powiedziała, e nie mo esz - e nie będziesz w stanie wytrzymać przesłuchań, którym zostaniesz poddana, więc muszę uciekać.

Znając trochę księcia - zgodziłam się z nią. Szczerze jednak mówiąc, nie spodziewałam się, e jesteście a tak blisko...

- A mnie eś powiedziała, e są za tobą o kilka godzin - wtrącił się ostro McCullough.

Claire tylko wzruszyła ramionami.

- Bo tak się rwaliście... Myślałam...

- Ju chciałaś się mnie pozbyć, by stąd prysnąć i ebym w tym czasie złapał Jego Wysokość, eby zgubił twój ślad, bo tak to mi się widzi. I nie wyszło, co?

Spojrzała na niego wściekła.

- Nie wiedziałam, e będzie mnie tu pilnowała twoja kochanka dzikuska i to z no em na gardle.

Wiedziałaś, jaka potrafi być okrutna. Jestem cała posiniaczona od jej ciągłego poszturchiwania.

Ale przysięgłam sobie - zapłaci mi za to.

- Nie radzę ci z nią zadzierać - rzekł McCullough. - To dzika kocica.

- Nie mam zamiaru się z nią bić. Istnieją inne sposoby.

- To się jeszcze zobaczy. A jeszcze te się zastanowię, po co eś mnie posłała jak po błędny ogień. Wygląda mi na to, e to wcale nie jest prawdziwy ksią ę. A ty sprawiłaś, e straciłem sześciu dobrych ludzi. I na nic.

W tym momencie Angeline poczuła rękę Rolfe'a na swoich ramionach. Dotyk był bardzo lekki, jakby się chciał tylko trochę oprzeć, by nie stracić równowagi.

Znaczyło to, e czuje się bardzo słaby.

- Czy moglibyśmy ju wejść? - spytała cichym głosem.

- No, jak e.

Rolfe przeszedł przez pomieszczenie ogólne z palącym się w piecu ogniem, pochylił głowę, by wejść przez niskie drzwi do sypialni. Podszedł od razu do prostej pryczy, która, obok stołka i prymitywnej umywalki, stanowiła jedyne umeblowanie pomieszczenia. Siadł na podniszczonym kocu okrywającym siennik i... stracił przytomność.

McCullough chciał pomóc Angeline ułożyć go na pryczy, ale odmówiła. Próbowwała unikać wszelkich nieostrożnych ruchów, by nie spowodować na nowo krwawienia, które tak niedawno udało się jej

zatomować.

Wyszedł więc popatrzeć na swoich nowych jeńców, którzy zgromadzili się w jednym końcu wielkiej ogólnej izby, a do pomocy Angeline posłał indiańską dziewczynę, która, choć milcząca, okazała się bardzo pomocna.

Wspólnie ściągnęły z Rolfe'a oblepiony błotem mokry mundur i wydostawszy spod niego koc, okryły go nim a pod brodę. Angeline poprosiła, eby z powozu przyniesiono wszystkie ich rzeczy, między nimi - drewniane pudełko, w którym były proszki nasenne, które Rolfe przygotował dla niej. Wyjęła kilka i wymieszała z wodą, by podać, gdy tylko wróci mu przytomność.

Potem siadła na skraju pryczy i czekała. Indianka wzięła mundur, by go uprać i usunąć krwawe plamy.

Czas mijał. Po jakiejś godzinie Rolfe poruszył głową i otworzył oczy. Angeline podniosła się natychmiast i wzięła do ręki lekarstwo.

- Masz - powiedziała i podniosła mu głowę. - Wypij.

- Co to?

Wyjaśniła mu; zdziwiła się tylko, jak mocno zabrzmiał jego głos. Napotkał jej wzrok.

- Będę po nich ospały i bezwolny, otumaniony, nieporadny jak dopiero co od piersi odstawiony dzieciak. Nie, zabierz to.

- Mnie to dawałeś...

- Tobie świadomość i siły nie były potrzebne.

- No tak. Byłam więźniem.

- Teraz ja mam nim być?

- Nie. A przynajmniej nie tak, jak ty to rozumiesz.

- Droga Angeline, nigdy nie używaj dwuznacznych wyrażení. Powiedz otwarcie, e jestem bezradny, całkowicie zdany na łaskę twoją i naszych szkockich przyjaciół.

- Tak, masz rację! I pewnie tak pozostanie, jeśli będziesz odmawiał przyjęcia pomocy, której potrzebujesz, by wyzdrowieć! - powiedziała odrobinę podniesionym głosem, pochylając się nad nim.

- Dobrze. Widzę, e nie tracisz ducha - rzekł nieco ironicznie. - A mo e za yczysz sobie jeszcze, ebym wysłał do ojca wiadomość z prośbą o prawo do korzystania z jego skarbcza, by się wykupić? Nie podziękowałby ci za to i nie mogłabyś oczekiwać od niego, e będzie cię traktował

lepiej ni ja.

- Czego się boisz? e z przytępioną świadomością nie będziesz w stanie wydawać rozkazów i dowodzić? Teraz tego te nie mo esz robić. e stracisz kontrolę nad swą gwardią? Ju i tak jej nie masz. e gdy będziesz spał, wypadki potoczą się nie tak, jak byś sobie tego yczył? Nic nie mo esz na to poradzić.

- Chcesz powiedzieć, e to wszystko prawda i e mam przyjąć warunki, które mi proponujesz?

- Tak, dlaczego nie?

Wargi wykrzywił mu dziwny uśmiech, który nie obejmował oczu.

- Czy myśl, e jesteś moim więźniem, jest ci a tak przykra, e chcesz, bym ja stał się twoim?

Na taki zarzut, a jej dech zaparło. Wpatrywała się w niego, usiłując z całą uczciwością dojść, jak jest naprawdę.

- A nie mo e być tak, e wolę cię w pełni sił ni rannego, w nadziei, e twój powrót do zdrowia jest równie dla mnie najpewniejszą drogą wyjścia z tej matni?

- Bardzo to rozsądne, ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

- A co to ma teraz do rzeczy? Jesteśmy tu oboje i tu jest Claire. Nie mo e ci uciec, bo jest równie dobrze strze ona jak my. Mo e pojawi się jakaś mo liwość wydostania się stąd, ale na razie niczego takiego nie widzę.

Błądził po niej niezupełnie przytomnym wzrokiem.

- Nieustraszona, bojowa czarownica, podająca balsamy i leki, w rozchełstanym odzieniu. Wydaje mi się, e wolę taką ni pora oną dziewicę. I dziwne – takiej łatwiej mi zaufać.

Wyjął kubek z jej rąk, wypił do dna proszki wymieszane z wodą, po czym poło ył się ze wzrokiem utkwionym w jej twarzy, bład jak banda , którym miał obwiązane czoło. Po chwili zamknął oczy. Rzęsy z rozjaśnionymi koniuszkami nawet nie drgnęły.

Zasnął głęboko.

Angeline przez chwilę wpatrywała się w jego twarz.

Westchnęła z uczuciem, jakby przed chwilą stoczyła długą i cię ką walkę, którą, mimo ogromnych trudności - wygrała.

Obróciła się i siadła na krześle przy łożu. Ubranie miała poszarpane i nie podopinane. Co musieli o niej myśleć ci, którzy ją widzieli: McCollough, Claire, gwardziści, cała reszta?

Niedbaluch - to byłoby delikatne określenie; ladacznica - tak nazwała ją ciotka. W tej chwili nie miało to ju wielkiego znaczenia, ale szybko zapinała akiet i koszulę pod nim. Bardzo by chciała zatrzeć pierwsze wra enie i wszystko zacząć od nowa.

To Rolfe doprowadził ją do takiego stanu, ale nie mogła go winić za wszystko. Nie stawiała wystarczająco mocnego oporu. Mało tego – przygoda w powozie nawet ją bawiła, chociaż z początku do tej zabawy została zmuszona. Przez ostatnie kilka dni nie poznawała siebie.

Wyrwana z ustabilizowanego życia u ciotki, rzucona w wir wydarzeń, nagle zaczęła w sobie odkrywać nieznane jej samej skłonności i słabości.

Zaczął już zapadać wczesny zimowy zmrok, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Na sztywnych nogach podeszła do wyjścia. Na zewnątrz, z niepewną miną, stał Leopold. Na jego pytanie o stan księcia Angeline mogła odpowiedzieć tylko tyle, że Rolfe śpi i że krwawienie ustało.

- Naradziliśmy się między sobą - powiedział bardzo cicho. - Widzimy możliwość wydostania się stąd mimo podwójnych strażnic przy drzwiach i oknach. Ale w ten sposób nie zrobimy tego, dopóki nie będziemy mogli zabrać Rolfe'a. I jest jeszcze druga sprawa: Mademoiselle de Buys jest tutaj. Jej odnalezienie było głównym celem naszej podróży. Teraz nie możemy jej stracić z oczu.

- Tak, rozumiem. Znam się trochę na ranach, gdy często pomagałam ciotce, gdy trzeba było opatrywać je niewolnikom. Wiem, że kula ześlizgnęła się po ramię i wyszła bokiem. Rana jest rozległa i byłoby najlepiej nie ruszać go przez co najmniej kilka dni. A jeśli idzie o Claire, skoro nie możemy na zorganizować ucieczki tak, by ją zabrać ze sobą, to myślę, że Rolfe wolalby zostać tam, gdzie jest ona, przynajmniej tak długo, jak długo nikomu z nas nie grozi żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Leopold pokiwał głową.

- Z tego, co zdążyłem się zorientować, to ten oprych sądzi, że wszyscy pochodzimy ze znakomitych rodów, które będzie mu na drodze jak mleczne krowy. Sądzi, że za okup za nas urządzi się tu jak dziedzic. Będzie bardzo zawiedziony, ale zanim to nastąpi – upłynie sporo czasu.

- A właśnie czasu teraz bardzo potrzebujemy – rzekła Angeline.

Leopold przyjrzał się jej uważnie.

- Wygląda pani, Mademoiselle, na bardzo zmęczoną.

Chętnie go popilnuję, a pani niech trochę odpocznie.

- Moje trochę później - odrzekła. - Na razie dam radę sama.

To instynkt podsunął jej takie rozwiązanie - pomyślała, gdy zamknęła za nim drzwi. W chwili gdy proponował jej pomoc, nie pomyślała o niebezpieczeństwie grożącym życiu Rolfe'a. Dopiero teraz, gdy popatrzyła na leżącego na pryczy postać, uświadomiła sobie, że taka właśnie myśl kołatała się jej po głowie.

W stanie, w jakim się znajdował, był łatwą ofiarą dla zabójcy, jeśli ktoś taki naprawdę jest pomiędzy nimi.

Rolfe nie wspomniał o tym, gdy odmawiał przyjęcia środków nasennych, które mu chciała podać; teraz zastanawiała się, czy nie to właśnie było główną przyczyną jego nieufności.

Człowiek nieprzytomny jest bezbronny. A ponieważ to ona podała mu środek nasenny, musi teraz stać na straży. Jak długo jest przy nim, tak długo jest bezpieczny.

Nadszedł wieczór. Twardy taboret nie był najwygodniejszym siedzeniem. Podniosła się więc i rozejrzała po pustych ścianach pokoju. Dwie miały okna, w trzeciej były drzwi prowadzące do pomieszczenia ogólnego, a w czwartej - drzwi prowadzące na tyły domu. Chodziła po pokoju, zatrzymywała się, by poprawić rozrzucone koce, które Rolfe ściągnął z siebie w niespokojnym śnie, sprawdzała bandaż, by się upewnić, czy nie pojawiają się jakieś świeże plamy krwi. Kładła mu dłoń na czole, by sprawdzić temperaturę - wiedziała, że pod wieczór gorączka rośnie.

Kilka razy majaczył przez sen. Próbował zrzucić z siebie okrycia, zsunąć się z łóżka i stanąć na nogi. Powstrzymywała go siłą, szeptała mu coś do ucha i zmuszała do położenia się na sienniku.

Nie było to łatwe.

Gdy zrobiło się zupełnie ciemno, przyniesiono jej jakąś zupę i chleb oraz wysoką zapaloną świecę.

Spróbowała obudzić Rolfe'a, by zmusić go do jedzenia, ale to było niemożliwe. Majaczył cały czas i rzucał się przez sen tak, że wytrącił jej łokcie z rąk. Sama przełknęła trochę i odstawiła tacę.

W chwilę później zauważyła, że koc okrywający mu piersi drży. Jego ciało było gorące jak rozpalony piec. Biło od niego gorąco i jednocześnie wstrząsały nim dreszcze. Powietrze w nie ogrzewanym pomieszczeniu było wilgotne i przenikliwie zimne. Angeline czuła to na sobie.

Próbowała ogrzać kostniejące ręce świecą, ale jej kopcący płomyk zaraz gasł.

Poza ich pokojem cały dom spał. Bolały ją plecy, a ćmiący ból pod czaszką stawał się coraz bardziej dokuczliwy - to było przypomnienie, że całkiem niedawno czuła się podobnie jak Rolfe w tej chwili.

Coś trzeba było zrobić. Temperatura niebezpiecznie rosła. Znała sposoby na jej obniżenie: zimne kompresy, zawijanie w chłodne, mokre prześcieradła. Wahała się jednak. Może stan Rolfe'a jeszcze nie wymaga takich zabiegów. Bała się wziąć na siebie odpowiedzialność.

Potrzebowała czyjejś rady.

W tym momencie przypomniała sobie, że Meyer potrafi nastawiać połamane kości. Stała wpatrując się w nierówną ścianę z bali, zastanawiając się, czy Meyer śpi, co sobie pomyśli, gdy go poprosi o radę, czy jego własna rana nie będzie mu przeszkadzała w udzieleniu pomocy, wreszcie - czy ma pójść szukać go teraz czy może poczekać do rana. Podeszła do łóżka i końcami palców dotknęła policzka Rolfe'a. Tego dotyku, ostro nego i delikatnego, musiał się chyba przestraszyć, bo natychmiast otworzył oczy.

Błyszczące od wysokiej gorączki skierował prosto na nią, gdy stała pochylona nad nim w pełgającym świetle świecy.

- Angeline - szepnął - nie przejmuj się. Nic nie możesz zrobić.

- Moje zawołałam Meyera? Moje on...

- Gdybym tego chciał, poprosiłbym go już wcześniej.

- Ale twoja gorączka...

- Opadnie, gdy tylko wyzdrowieję. Nie przejmuj się. Jeśli potrafiłabyś potraktować to raczej jak męczeństwo niż molestowanie, to połóż się przy mnie.

- Mogłabym ci zrobić krzywdę.

- Moje i tak, ale nic innego nie możesz zrobić. Chodź.

Odsunął koc i czekał. Chęć, by zrobić to, o co prosił, i w ten sposób całą odpowiedzialność za jego zdrowie złożyć w jego ręce, była, nie do odparcia. Mimo to jednak du o ją kosztowało, by go posłuchać.

- Potrzebujesz doktora.

- Nie zabrałem cię ze sobą, byś pełniła rolę mojej niańki.

- Nigdy nią być nie chciałam - powiedziała leciutko podniesionym głosem - ale ktoś musi się tobą zajmować.

- Pozwól, ja sam zdecyduję, co mi jest potrzebne, a co nie. Teraz potrzebuję ciepła twojego ciała, a nie mądrego i zimnego anioła, który nade mną czuwa.

Mówił cichym, niespokojnym głosem. Sprzeczenie się z nim nie miało w tej chwili sensu. Mogło jedynie wyczerpać resztki jego sił. Zdecydowanymi ruchami zdjęła akiet, bluzkę, ciemną, aksamitną spódnicę i ułożyła wszystko na kocu jako dodatkowe nakrycie. W samej koszuli weszła do łóżka. Objął ją ramieniem i mocno przytulił do siebie. Z początku drżał trochę, bo jej zziębnięte kończyny zbyt kontrastowały z jego rozpalonym ciałem, ale po chwili zaczął się uspokajać, jakby sama jej obecność uśmierzała ból. Po jakimś czasie zapadł w głęboki sen.

Angeline leżała bez ruchu. Czuliła, jak jego ciepło przenika ją na wskroś. Był dla niej obcy. Był

księciem Ruthenii. Wybijał się ponad przeciętność: nieprzeciętnie inteligentny, o elastycznej woli, przekonujący, prostoliniowy, nie bał się niczego, ani ludzi, ani przeciwności losu, które mógłby mu zesłać zniecierpliwiony Bóg.

Nie istniały dla niego rzeczy święte, z wyjątkiem mojego, choć nie na pewno - akceptacji ze strony ojca oraz przekonania o własnej wartości. Tymi cechami osobowości zdobywał, jak to powiedział

Gustave, uwielbienie współziomków, lojalność tych, co poszli za nim i... miłość kobiet.

Oczywiście miłość tylko niektórych kobiet. Nie wszystkich. Jej to, z łaski *le bon Dieu*, nie dotyczyło.

Poruszenie zmysłów, które odczuwała, gdy znajdowała się w jego pobliżu, powodowane było strachem, brakiem zaufania i niezrozumiałym niepokojem wobec człowieka, który rozbudził w niej drżące do tej pory namiętności.

Fakt, że chwilowo uznał ją za atrakcyjną czy nawet godną poślubienia, wprowadzał tylko dalsze zamieszanie.

Byłoby zupełną głupotą z jej strony mylić naturalne reakcje na bieżące wydarzenia z czymś, co może mieć jakieś trwałe znaczenie na przyszłość. Nie jest taka naiwna.

Nie może być.

Rolf nie długo wyzdrowieje, dowie się od Claire wszystkiego, co chce wiedzieć, i będzie wolny.

Wsiądzie na statek i odpłynie... z jej życia. Nic tego nie może zmienić, nic go tu nie zatrzyma.

Nie, żeby tego chciała, skądże. Pałace, gorzkie łzy, spływające jej po policzkach, świadczyły wyłącznie o tym, że cięko przeżyła kilka ostatnich dni. Niemądrze byłoby uznać je za znaczące.

Rozdział 12

Po męczącej nocy nadszedł ranek. Kilka razy z niespokojnego snu budziły ją odległe krzyki i hałasy, szczekanie psów, pochrząkiwanie dzikich świń gdzieś niedaleko chaty. W drewnianych ścianach poświstywał wiatr, który zerwał się zaraz, gdy tylko przestało padać. Czuła się gorzej niż wieczorem, gdy się kładła. Stan Rolfe'a nie zmienił się. Gorączka nie opadała, wargi miał

suche i popękane. Bez protestów połknął proszki rozmieszane w wodzie, co już samo w sobie wzbudziło jej niepokój.

Kiedy zasnął na nowo, Angeline nałożyła suknię, którą Rolfe jej kupił, i wyszła z sypialni.

Weszła do

ogólnej izby, gdzie po kątach leżeli zawinięci w derki ludzie, i zaczęła szukać przywódcy.

Dostrzegła go przy stole. Siedział, jedząc posmarowane masłem i obłożone wędzonym boczkiem suchary. Obok niego siedziała Claire - dłużyła w kawałku czegoś, co pewnie było jakimś ciastem.

Dalej Meyer i Leopold, a także kilku ludzi McCullougha. Patrzyli na Angeline, jak podchodziła do zwalistego Szkota.

- Witam cię! - zawołał jowialnie. - A jak się czuje tego ranka Jego Wysokość?

- O tym właśnie chciałam z panem pomówić - odrzekła Angeline. Mruknął coś, co miało znaczyć, e słucho, i zabrał się z ochotą do ucia kawałka mięsa. Widać jednak było, e obserwuje ją, tak samo zresztą jak cała reszta zebranych przy stole.

- Jest z nim źle. Czy nie mo na by sprowadzić chirurga?

- Miła dziewczyno - powiedział Szkot, gdy tylko przełknął to, co miał w ustach. - W odległości pięćdziesięciu mil nie ma tu nikogo takiego, a nawet gdyby był, toby nie wszedł na tę Ziemię Niczyją, gdzie tylko diabeł zbiera swoje opłaty.

- To co robicie, gdy kogoś postrzelą?! – zawołała Angeline.

- Zdrowieje sam albo przy pomocy Gwiazdy Porannej, jeśli mu zechce pomóc.

Kiwnął głową w stronę Indianki, która właśnie podnosiła z paleniska wielki eliwny garnek i jego zawartość rozlewała do drewnianych talerzy. Angeline spojrzała na dziewczynę i spotkała jej obojętny wzrok.

- Mo e ją posłać do tego twojego księcia, co? - spytał ze złośliwym uśmiechem.

Rozmowę przerwał Meyer.

- Myślę, e będzie lepiej, jak księciem zajmą się gwardziści. Ja sam mógłbym zająć się jego ranami.

Angeline zwróciła się w jego stronę i popatrzyła mu w oczy.

- Jeśli o mnie idzie, bardzo chętnie skorzystam z pańskiej pomocy, ale nie jestem pewna, czy on się na to zgodzi.

- Jeśli ma dość sił, by się opierać - zaśmiał się Meyer - to lekarz jest mu niepotrzebny.

Nie chciała, by Rolfe'owi udzielano pomocy, której on sam nie chciał, ale coś trzeba było robić.

Musiała się zgodzić na propozycję Meyera.

- Dobra! - zawołał McCullough i otwartą dłonią uderzył w stół. - A jak mamy to z głowy, to co – siadaj z nami do śniadania. Ta twoja kuzynka pewnie się ucieszy z twojego towarzystwa, nie?

Angeline spojrzała na Claire. Rudowłosa piękność usiłowała ukradkiem cofnąć dłoń spod ogromnej łapy Szkota.

- Dziwi cię, e znam wasze pokrewieństwo, co? - zaśmiał się. - Przecie to proste. Mam oczy w głowie i zaraz widzę, jak jesteście do siebie podobne. I Claire mi powiedziała to i owo przez noc.

Angeline przypomniwała sobie głośne rozmowy i krzyki, jakie słyszała przez niespokojny sen. Z

ponurego wyrazu twarzy Claire mogła się domyślić, e kuzynka kłóciła się ze Szkotem. Co poza tym mogło zajść między nimi?

Niczego nie chciała się domyślać, ale z głupkowatej, zadowolonej miny przywódcy opryszków mo na było du o wyczytać.

- Dziękuję, ale wolałabym zjeść w sypialni – odparła chłodno Angeline.

- To se sama musisz przygotować - warknął Szkot. - Gwiazda Polarna ma za du o do roboty na głowie, eby jeszcze latać z arciem do tych, co sami mogą zrobić.

- Oczywiście.

Angeline odwróciła się od stołu. Meyer wstał. Leopold zrobił to samo. We troje wyszli z pomieszczenia. Meyer zaczął dokładnie wypytywać o rozległość i umiejscowienie ran.

Rana na głowie była brzydka, ale nie wydawała się zbyt groźna. Bardziej niebezpieczna była druga: kula weszła z boku i wyszła na plecach. Problem polegał na tym, e razem z kulą do rany dostały się strzępy koszuli oraz błoto i brudna woda. Wysoka temperatura przy takiej ranie była objawem, e zaczął się proces gojenia i z tego względu nie była groźna. Groźne było to, e gorączka mogła podnieść się za wysoko lub trwać zbyt długo. Pytania, które stawiał Meyer, jak równie jego objaśnienia były dla Angeline pokrzepiające, gdy świadczyły o dość rozległej wiedzy medycznej.

Kiedy we troje przechodzili przez izbę ogólną, Oscar i Oswald unieśli głowy znad zatłuszczonych kart.

Podnieśli się, zbudzili chrapiącego Gustave'a i gdy ten naciągał buty, stanęli pod drzwiami, za którymi zniknęła Angeline z Meyerem.

- Czy to przymusowa opieka? - zapytał ksią ę, który pod nieobecność Angeline podniósł się na pryczy i siedział z błyszczącymi oczami. - Zupełnie niepotrzebna. Lepiej zająłbyś się rozpoznaniem tej wiejskiej fortecy i jej załogi.

- Chciałem się tylko dowiedzieć, czy z tobą wszystko w porządku - odpowiedział Meyer, zatrzymując się w progu.

- Przyjrzyj się, naciesz oczy i egnaj - rzekł ksią ę mocnym głosem.

- Zrobię to, jeśli tylko pozwolisz mi obejrzeć twoje rany.

- Nie lubię odmawiać, ale teraz wolę zachować je w tajemnicy.

Meyer zbladł.

- Jesteśmy od ciebie zale ni, Rolfe. Jeśli cokolwiek miałoby się wydarzyć...

- Nie napieraj się, bo to i tak nic nie pomo e.

- Bądź rozsądny. Twoje rany...

- ... są kłopotliwe, ale nie niebezpieczne.

- A rozsądek?

- Po co mi? I tak jestem przyszłym królem Ruthenii.

Powiedział to z ironią, ale i z wyraźną goryczą. Był osamotniony jak ka dy król. I nie ufał nikomu, bez względu na to, jak bardzo chciałby komuś zaufać.

Angeline podeszła bli ej i oparła ręce na biodrach.

- Meyer mo e ci pomóc. Powinieneś mu pozwolić.

- Nie potrzebuję adnej pomocy - odpowiedział, patrząc na nią szeroko otwartymi, niebieskimi oczami.

- Niczego nie wymagam, od nikogo niczego nie potrzebuję, a ju najmniej - udawanego zatroskania i płaczliwych prósb. Mo esz stąd wyjść razem z pozostałymi.

To było wyproszenie jej, ich wszystkich, nawet Gustave'a, który z zało onymi rękami stał w drzwiach. Jak długo miał dość siły, by im się przeciwstawiać, tak długo nie pozostawało im nic innego, jak słuchać jego rozkazów.

Angeline wyszła do wielkiej izby i stanęła przy piecu.

Wyciągnęła zziębnięte ręce w stronę ognia. Meyer podszedł do niej. Po chwili, zamknąwszy drzwi sypialni, zrobił to równie Leopold.

- To było do przewidzenia - rzekł kuzyn Rolfe'a - e nie pozwoli nikomu zająć się sobą. Zawsze taki był.

- Uparty jak muł - dodał Meyer.

- Lubi myśleć o sobie, e jest niezwycię ony i mo e nawet nie jest daleki od prawdy - powiedział w zamyśleniu Leopold.

- Jest człowiekiem jak wszyscy - mówił Meyer. - Nie sędzę, eby się bał oczyszczania ran, które tego wymagają, by uchronić go przed zaka eniem. To duma jest jego grzechem głównym, duma zbyt wielka, by przyjąć pomoc, która jest mu konieczna.

Leopold spojrział na Angeline, która westchnęła głośno.

W jej oczach widoczny był strach, który ogarnął ją na myśl, e Rolfe'owi trzeba będzie dwa razy

rozpalonym do białości elazem oczyszczać rany. Potem zwrócił się do Meyera.

- Nie sądzę, e to tylko duma. To raczej jego sposób bycia i wrodzona godność osobista. Bez względu jednak na powody, widać, e utknęliśmy w martwym punkcie. Idę zobaczyć, co z końmi, jeśli uda mi się przekonać mego strażnika, by mi pozwolił wyjść poza pomieszczenie, gdzie jedzą śniadanie.

- A co? Jest jakieś śniadanie? Idę te ! – zawołał Oswald.

- Ja z wami - rzekł Oscar.

- Te czymś na ząb nie pogardzę – powiedział Gustave, chocia było widać, e ociągał się z odejściem.

Odeszli pozostawiając Angeline z Meyerem. Zaraz dołączyli do nich strażnicy. Rozmawiali chwilę, a potem było słycać, jak się oddalali. Ogień trzaskał w palenisku.

Meyer podszedł do miejsca, gdzie leżała jego derka, podniósł ją, zawinął w koc i umieścił w schowku pod ławą.- Przykro mi z powodu pani kuzynki – powiedział po chwili. - Bez względu na to, jaką rolę odegrała przy śmierci Maximiliana, nie yczyłbym adnej kobiecie sytuacji, w jakiej się znalazła.

- Jakiej sytuacji?

- Kochanki, jeśli tak to mo na określić, naszego przyjaciela McCullougha.

- Myśli pan, e jest...

- Wiem. Ten człowiek pokazał to dobitnie przy stole podczas śniadania, zanim pani weszła.

Miało to być ostrzeżenie, by nikt nie odważył się wchodzić mu w paradę. Tak to dokładnie wyglądało.

Angeline miała pewne wątpliwości co do tego, czy miał rację, ale nie potrafiłaby na taki temat dyskutować z mężem czyzną.

- Biedna Claire - powiedziała tylko zrezygnowana.

- To chyba zły los pani kuzynki, e spotyka wyłącznie męża czyzn, którzy, poza tym, niczego więcej od niej nie chcą. Maximilian miał więcej ogłady ni ten tu, ale efekt końcowy był

podobny. W takich okolicznościach jak tamte nie mogła spodziewać się niczego innego.

Jeśli się tylko nad tym zastanawiała, wiedziała, e on nie mo e jej zaoferować niczego ponad to.

- Claire była znana z tego, e nigdy nie zastanawiała się nad konsekwencjami swego postępowania.

- Czego się mogła spodziewać? Nawet głupsza od niej dziewczyna powinna zrozumieć, e ony Maximilian musiał szukać na którymś z europejskich dworów królewskich. Tego wymagała jego

pozycja, nie wspominając ju o poglądzie ojca na tę sprawę.

- Tak, to zupełnie jasne.

Było równie jasne, e Meyer mówi o tym, by jej uświadomić sytuację, w jakiej znalazła się wobec Rolfe'a.

To było poczciwe z jego strony, e martwi się o nią, ale w jej przypadku trudność sprowadzała się do tego, e w tej chwili nie miała adnego wyboru – musiała pozostać przy księciu.

- Szkoda mi Mademoiselle de Buys. Chciałbym w tej sprawie móc coś zrobić, ale nie widzę możliwości. Nasz gospodarz nie wygląda na kogoś, kto posłuchałby prośby, nawet bardzo elegancko sformułowanej, by zaprzestał jej nagabywania. A broni, by taką prośbę odpowiednio poprzeć, nie mam.

- Nie sądzę, eby Claire czegoś takiego oczekiwała - odrzekła Angeline i odwróciła się do ognia.

Myliła się. W niecałe pół godziny kuzynka ją odszukała.

Meyer został odwołany do McCullougha, zapewne, by omówić warunki okupu. Angeline siedziała sama w wielkiej izbie, walcząc z pokusą, by nie podkraść się pod drzwi sypialni i nie zajrzeć do środka. Bała się jednak obraźliwych słów, które mógłby rzucić pod jej adresem, gdyby ją zauważył. Claire zaskoczyła ją swoim przyjściem.

- Musisz coś zrobić! - zawołała od progu. - Jeśli ten potwór dotknie mnie jeszcze raz, wścieknę się z obrzydzenia!

- Ty... to znaczy, masz na myśli McCullougha?

- A kogó by innego?! Obejmuje mnie swymi łapskami jak niedźwiedź plaster miodu, całuje, e tracę oddech. To brutalny buhaj, który nigdy nie ma dość, i co najgorsze - jestem tego niemal pewna – ostatniej nocy prosto ode mnie poszedł do tej swojej złodziejskiej kochanki, Gwiazdy Porannej!

- Wyobra am sobie, jakie to musi być straszne dla ciebie - powiedziała cicho Angeline - ale nie wiem...

- Straszne? Nawet sobie nie mo esz tego wyobrazić.

Ale pewnie myślisz, e dobrze mi tak za to, e z *Maman* zostawiłyśmy cię Rolfe'owi. Mogę się domyślać, e tak właśnie uwa asz.

- Tego nie powiedziałam.

- Nie musiałaś. Widzę to w twoich oczach. Nigdy nie potrafiłaś kryć swoich uczuć - powiedziała Claire i potrząsnęła rudą, wysoko upiętą fryzurą z taką miną, jakby oczekiwała zaprzeczenia.

- Mo esz myśleć, co chcesz - odparła Angeline – ale ja jestem bardzo zmartwiona, e taki właśnie jest

efekt twojej ucieczki.

- Innymi słowy, to wszystko moja wina – rzuciła gorzkim tonem Claire. - Moja wina, e mój woźnica został zabity, moja wina, e zostałam ujęta...

- Trudno temu zaprzeczyć. Ale to nie pomniejsza moich zmartwień.

- Szlachetne! - zawołała Claire ze śmiechem i zaczęła szybko chodzić po izbie. - Mogę cię zapewnić, e chocia Rolfe jest bardzo szorstki, byłaś ostatniej nocy w o tysiąc razy lepszej sytuacji ni ja. Zostałam zgwałcona - tylko tak mogę określić to, co mnie spotkało. Porwał na mnie ubranie, a ja musiałam bezwolna le eć pod tym obskurnym opryszkim. Sprawię, e jeszcze tego po ałuje, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką w yciu zrobię. Ale najpierw muszę się stąd wydostać.

- Wszyscy tego chcemy.

- Tak? A ja gotowa byłam pomyśleć, e Rolfe jest zadowolony. Przecie w końcu mnie dostał, prawda?

Obróciła się gwałtownie i spojrzała na Angeline swoimi zielonymi oczami.

- Jest w takim stanie, e nie mo e się z tego cieszyć.

- Myślisz, e jest naprawdę chory? To niedobrze.

A byłam pewna, e pomo e mi się stąd wydostać, za odpowiednią cenę, oczywiście.

- Co masz na myśli?

- Za informacje, jakich potrzebuje – powiedziała Claire niecierpliwie, choć ju mniej agresywnie.

- A więc wiesz coś na temat śmierci Maximiliana?

- Czy to takie dziwne? Przecie byłam tam wtedy - przypomniała Claire z zagadkowym uśmiechem na ślicznych wargach.

- Tamtego wieczoru, po przyjęciu, nie wspomniałaś o tym ani słowem.

- W pokoju była *Maman*, moja kochana matka. Nie ma sensu niepotrzebnie rozczarowywać kobiety, która cię urodziła.

Cynizm tej uwagi zmroził Angeline. Chocia miała tylko mgliste pojęcie o sprawie, o której mówiła kuzynka - o sytuacji, w jakiej się znalazła jako utrzymanka Maximiliana - tak nie powinna o tym mówić.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- A czy to ma teraz jakieś znaczenie? – Claire wzruszyła ramionami. - Wszystko to wydarzyło się tak dawno temu... Pomyślmy raczej, co teraz...

- Powiedziała ci ju ...

- Tak, tak! Wiem. Ale przecie musi być jakieś wyjście. Jeśli będę zmuszona działać sama, to znajdę jakiś słaby punkt tego Szkota. Myślę, e boi się swoich ludzi. Boi się te o swoją pozycję w tej przez Boga przeklętej dziczy. Dowodzi zbrojnym obozem – chyba to zauwa yłaś? - czymś, czego nie tworzy się ze strachu przed prawem. Z tego, co słyszałam, jak mówił do jednego ze swych kompanów, jest uwikłany w jakieś kłopoty z inną, taką samą jak ta, bandą. Byłoby dobrze, gdyby ta druga banda na nich tu napadła. Kto to będzie - nie ma znaczenia.

- W jakiej sytuacji znajdziemy się my? – spytała szorstko Angeline.

- To nie ma nic do rzeczy, byleby McCullough dostał porządnie w kość. Mo e udałoby nam się uciec w zamieszaniu.

- Ale nie ma adnej pewności, e jeśli nam się nie uda, ci inni zbóje nie potraktują nas znacznie gorzej.

- Musimy wykorzystać szansę...

- To niemo liwe, gdy ma się ze sobą rannego, który nie tylko, e sam nie mo e się bronić, ale jeszcze...

- Nie mo e się bronić? To musi być upokarzające dla niego, co? Ale myślę, e jest dość twardy, by prze yć. Zresztą widać, e nie musisz przy nim siedzieć.

- Tak naprawdę, Claire - powiedziała Angeline z naciskiem - to absolutnie nie twoja sprawa. I powiem ci otwarcie: nie będę brała udziału w adnym z twoich spisków, nawet jeśli w jakikolwiek sposób udałoby ci się doprowadzić do napaści na ten obóz. Sama zresztą uznasz to za śmieszne, gdy się trochę zastanowisz.

- Ja osobiście nie muszę maczać w tym palców.

Z tego co wiem, takiego napadu oczekują tu od kilku dni. Moje działanie sprowadza się to tego, eby w odpowiednim momencie zmylić ich czujność i wyrwać się z gościny u McCullougha. A poza tym, co mam do stracenia?

- Ale to szalone! - zawołała Angeline, ale Claire przemierzając izbę w tę i z powrotem, nie zwracała na nią uwagi.

Przez resztę dnia z pokoju, gdzie le ał Rolfe, nie dochodziły adne odgłosy. Angeline siedziała w izbie ogólnej. Odmówiła nawet południowego posiłku, mówiąc, e nie jest głodna. Później zastanawiała się, czy nie powinna przygotować jakiejs zupy czy rosółu dla Rolfe'a - tak długo nie mo na go przecie pozostawiać bez jedzenia. Pod wieczór Gustave zdecydował się wejść do jego sypialni. Rolfe spał, więc gwardzista zaproponował jej, e razem z Leopoldem będą go pilnowali, a ona eby poszła w drugi koniec domu i zjadła kolację.

Kolacja jeszcze nie była gotowa. Angeline stojąc w drzwiach zastanawiała się, co zrobić: siąść przy stole razem z McCulloughem i kilkoma jego ludźmi, czy wrócić do izby ogólnej, gdzie gwardziści grali w karty lub współzawodniczyli ze swymi strażnikami w pluciu na odległość.

Miała jeszcze inną mo liwość: pomóc Gwieździe Porannej. Poniewa Claire nie było w pomieszczeniu, Indianka sama zajmowała się przygotowywaniem jedzenia. Podnosiła pokrywy garnków, by w nich zamieszać, polewała tłuszczem piekące się na ro nie mięso, wykładała na wielką drewnianą misę nieodłączne suchary. Nie zwracając uwagi na powitalny ukłon McCullougha, stanęła obok Gwiazdy Porannej i z uśmiechem, wyjmując jej chochlę z ręki, zaoferowała swą pomoc. Indianka popatrzyła na nią z niedowierzaniem, ale widząc, jak zgrabnie obraca ro en i polewa mięso, uznała, e gotowanie jest w dobrych rękach, i odeszła.

Mę czyźni zgromadzili się wokół Angeline z krzykiem, niewybrednymi dowcipami i wilczymi apetytami. Gwardziści niemal po przyjacielsku rywalizowali z nimi w takim zachowaniu. Widać było, e zgodnie starali się zdobywać przychylność swoich stra ników i zarazem usypiać ich czujność. Nie mieli w tym zbytnich osiągnięć, ale byli na dobrej drodze.

Samotni mę czyźni nale ący do bandy jedli razem ze swoim przywódcą. Ci, co mieli ony lub inne kobiety, które mogły się nimi zająć, udali się do oddzielnych domków stojących obok budynku głównego. Podczas dnia Angeline słyszała hałas bawiących się dzieci, płacz niemowląt i inne charakterystyczne odgłosy normalnej osady ludzkiej. Co się z nimi stanie, jeśli obóz zostanie zaatakowany? - pomyślała. Jacy naiwni i głupi musieli być ci mę czyźni, jeśli z rozmysłem nara ali swe rodziny na takie niebezpieczeństwo!

Pojawiła się Claire. Wyglądała jak paw: starała się ściągnąć spojrzenia wszystkich mę czyzn siedzących przy stole. Miała na sobie długą spódnicę z aksamitu i akiet z pomarańczowej satyny. Włosy upięła wysoko – wyglądało na to, e całe popołudnie poświęciła na przygotowanie toalety na wieczorny występ.

Minęło trochę czasu, zanim Angeline spostrzegła, e jest równie obiektem obserwacji. Tylko e ją badawcze spojrzenia mę czyzn, zatrzymujące się na jej włosach, twarzy zaczerwienionej od ognia i palcach bez pierścieni, przyprawiały o brak apetytu. Nawet sam McCullough, ładując do ust fasolę, na niej koncentrował spojrzenia swoich brązowych, po ądliwych oczu.

Napiętej sytuacji przy stole nie rozładowywali Meyer i Oscar siedzący po obu jej bokach, gotowi w ka dej chwili wystąpić w jej obronie. Meyer, by podkreślić, e w tym celu tu siedzi, często odkładał co smaczniejsze kęsy na jej talerz, nisko nachylał się w jej stronę, mówił coś do niej po cichu, od czasu do czasu dotykał jej ramienia, by zwrócić na siebie jej uwagę, zaglądał w szarozielone oczy.

Claire obserwowała całą tę grę z drwiącym grymasem na twarzy. Rozkruszając suchar w długich białych palcach, spojrzała w stronę brodatego opryszka, bez jednego ucha. Ten po chwili z sobie tylko znanego powodu napadł na siedzącego obok towarzysza. Kiedy obaj padli na podłogę, okładając się pięściami, szarpiąc i kopiąc, Claire obserwowała ich z pogardą, chocia pod opuszczonymi powiekami oczy błyszczały jej ywym podnieceniem.

Nikt nie zwracał na nich szczególnej uwagi, dopóki w świetle lampy nie błysnęło ostrze no a.

McCullough wykrzyknął jakiś rozkaz i jednocześnie z dezaprobatą popatrzył na Claire.

Uśmiechnęła się tylko, gdy zauwa yła, e drugi nóg przeciął powietrze i z brzękiem utkwiał w podłodze

w zasięgu ręki jednouchego bandyty.

Męczyźni krążyli wokół siebie. Doskakiwali, popychali się, obrzucali wyzwiskami i przekleństwami, nie czyniąc sobie zbytnej krzywdy. Pot strumykami spływał im po twarzach, zwilżał samodzielne koszule, napełniał kwaśnym odorem ciężkie od dymu powietrze. Znowu błysnął nóż i w rozciętym rękawie jednouchego opryszka pojawiła się krew. Twarz wykrzywił mu grymas bólu.

Podskoczył do przeciwnika i zaciskając zęby, zadał cios. Uderzony wrzasnął, jego nóż z brzękiem upadł na podłogę, a on stał, trzymając się za krwawiącą rękę - krew lała się z obciętego palca.

- Okrutne i chamskie - powiedziała głucho Claire. - Ka dy z ludzi księcia zrobiłby to o połowę szybciej i z większą finezją. Sam księżę, jestem tego pewna, w stanie, w jakim jest, w banda ach, wysłałby ich obu naraz na tamten świat. Jeśli to są twoi najlepsi ludzie, to nie dziwię się, e nawet na kobiety musisz robić zasadzki.

- Tak myślisz? - burknął McCullough.

- Ja to wiem.

- A co, mo e zrobić próbę? - spytał Szkot.

- Mnie pytasz? Ty musisz wiedzieć, co ci pasuje i co cię bawi.

- Tu się nie rozchodzi tylko o zabawę - odrzekł i chytrymi brązowymi oczkami wpatrywał się w siedzącą przy nim kobietę. - Te bym chciał wiedzieć, co to za chłopcy z tych poprzebieranych modnisiów, co tu przyszli z dalekich krajów.

Gwardziści przysłuchujący się tej rozmowie popatrzyli po sobie. W ich spojrzeniach nie było niechęci, raczej - niemiłe zaskoczenie, e sprawy przybierają niewłaściwy obrót: chcieli być jedynie biernymi, a nie czynnymi więźniami.

- Prawdziwa próba powinna się składać co najmniej z szermierki i strzelania, prawda? - spytała niewinnie Claire.

Słyszając to Angeline nagle zrozumiała, e Claire idzie o to, by gwardziści zostali uzbrojeni. To był konieczny warunek ucieczki. Równie jej ucieczki. Mademoiselle de Buys nie wzięła pod uwagę jednego: e przywiązanie gwardzistów do księcia nie pozwoli im na opuszczenie go.

Patrząc na McCullougha pomyślała, e Szkot chyba nie da się otumanić Claire. Uśmiechał się kwaśno, spoglądając raz na nową kochankę, raz na swoich ludzi przy stole, głośnymi okrzykami wyrażających swoją gotowość udowodnienia, e Claire nie ma racji. Nie był do końca pewny, czy potrafi zapanować nad sytuacją i nad ludźmi księcia w momencie, gdy otrzymają broń do ręki.

Nagle ogromną dłonią uderzył w blat stołu.

- Tu w środku nie ma dość miejsca. Zabrać lampy i idziemy na dwór.

Zebrawali się na zamkniętym podwórzu, przekrzykując się i śmiejąc, z ręki do ręki podając sobie butle z samogonem. Przepędzane psy ujadają, kobiety plotkowały, męczyźni zakładali się.

Rozwieszane na ścianach skóry śmierdziały. Ostry zaduch dawno nie mytych ciał unosił się nad całym tłumem. Wiatr rozwiewał dym z pochodni i sprawiał, że płomienie tańczyły chybotliwie, rzucając niepewne cienie na drewniane ściany domów.

Blask lamp oświetlał łopaty i kilofy, lemieszce i obręcze kół, plecione kosze i worki ze zbożem i suszonymi owocami, podwieszane pod wysunięte okapy. Światło wydobywało z ciemności ruchliwe i podniecone twarze tych, co mieli stanąć do walki. Odbijało się też w szmaragdowych oczach Claire.

Zawody miały rozpocząć się od strzelania. Jako cel ustawiono cyprysowy gont z wymalowanym niewielkim punktem w samym środku.

Angeline uderzyła panująca tu atmosfera, do złudzenia przypominająca tę, jaka panowała pamiętnej nocy, kiedy trzymała kartę do gry, a Rolfe do tej karty strzelał.

Na podwórze wkroczyła grupa strażników, w sumie ponad tuzin, i zajęła miejsca po jednej stronie podwórza.

Każdy uzbrojony był w długą strzelbę, nabitą i gotową do strzału.

Angeline przeszedł dreszcz. Nie miała już siły stać tu ściśnięta w tłumie. Zaczęła przepychać się w stronę domu, gdzie leżał Rolfe. Przy wejściu spostrzegła Gustave'a i Leopolda pogrążonych w cichej rozmowie.

A więc Rolfe musi być sam - pomyślała. Przemknęła obok nich, kierując się do izby ogólnej, pchnęła drzwi i wpadła do środka.

Drzwi do sypialni Rolfe'a były otwarte. Światło jedynej świecy, którą pozostawiono na obramowaniu kominka w izbie ogólnej, wpadało do ciemnego pokoju.

Oświetlało stojącą bez ruchu tu przy wejściu męską postać. Angeline podeszła bliżej.

Był to Oswald. Spojrzał na nią z roztargnieniem.

- Chciałem sprawdzić, czy hałas z zewnątrz nie obudził go.

Angeline skinęła głową, chociaż takie wyjaśnienie wcale jej nie zadowoliło.

- Nie wiem, jak to będzie, gdy zaczną strzelać.

- Niedobrze.

- A myślisz, że on jeszcze śpi?

Zanim Oswald zdążył odpowiedzieć, z ciemnego pokoju doszedł ich zachrypnięty głos:

- Nie. I nie chcę spać, gdy banda opryszków w cię kich buciorach łązi po całym obejściu i rozgrywa jakieś hałaśliwe zawody, a reszta, jak spiskowcy, szepcze coś po kątach. Albo idź i uspokój ich, albo chodź tu i wyjaśnij, co się dzieje. I nie rób takiej miny, jakbym ju stał nad grobem.

Angeline szybko weszła do sypialni. Oswald zatrzymał się na moment, udając, że coś robi przy świecy. Gdy wszedł, ustawił świecznik tak, by światło nie raziło Rolfe'a w oczy i zaczął fachowy i dokładny opis sytuacji.

Rolfe leżał, wpatrując się w niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy, co znaczyło, że nad czymś głęboko się zastanawia.

- Jakie są szanse? - spytał po chwili.

- Minimalne, eby nie powiedzieć - adne.

- Co proponujesz?

- Poczekać na lepszy układ, a sam będziesz mógł dowodzić - rzekł szybko Oswald.

- Mam nadzieję, że mój stan nie miał wpływu na twoją ocenę sytuacji.

Pięciu uzbrojonych ludzi to znacznie cenniejszy nabytek dla oblężonego dowódcy niż ta sama piątka, nawet lojalna, ale bez broni.

- To jasne, że McCullough boi się jakiegoś spisku czy zamachu. Obawiam się, że musimy się tak zachowywać, eby się nas nie bał i eby na nas musiał liczyć.

- Więc co? Chcecie uśpić jego czujność i pokazać mu swoje umiejętności?

- Tak, jedno i drugie.

Nie chodziło o obustronne zaufanie, chodziło jedynie o wzajemne uznanie. Angeline nie mogła się powstrzymać, by nie przyjrzeć się dokładnie Oswaldowi, gdy egnał się i wychodził, by dołączyć do pozostałych gwardzistów. Powodem jego tutaj obecności mogło być dokładnie to, co powiedział, ale równie dobrze coś innego. Nikt w tej chwili nie był wolny od podejrzeń.

Kiedy się odwróciła, Rolfe leżał z zamkniętymi oczami. Oddech miał szybki i płytki, jakby ta rozmowa stanowiła dla niego poważny wysiłek. Temperatura nie opadała. Widać to było po popękanych wargach i napiętych rysach twarzy. Wystające, słowiańskie kości policzkowe nadawały jej wyraz kruchości i bezradności.

Ręce leżały spokojnie na kocu. Mocne, spiczaste palce wydawały się rozluźnione. Tylko złocisty pierścień z wilczą głową błyskał w blasku świecy.

Nie wiedziała, czy zdawał sobie sprawę z jej obecności w pokoju; nie dawał po temu żadnego znaku

nawet wówczas, gdy podeszła i stanęła tu przy samym łóżku. Domyślała się, że zapadł w stan półomdlenia. Upewnił ją w tym jego brak reakcji nawet na pukanie do drzwi.

To była Gwiazda Poranna. W jednym ręku niosła parujący, przyjemnie pachnący garnek; w drugim - cienki, długi nóż.

- Ty jesteś kobieta z sercem, nie - jak tamta druga. Pomogę ci z twoim mężem czyżną.

Angeline zawahała się. Meyer, mimo całej swojej biegłości, nie zrobił niczego, co mogłoby poprawić stan księcia i to chyba nie dlatego, że brakowało po temu czasu. Co pozostawało?

Oczyszczenie ran przez wypalanie, które sugerował. Ale to ją samą przerażało.

- Nie jestem pewna, czy na to pozwoli - rzekła Angeline.

- Tobie nie odmówi - odparła Indianka.

Angeline nie była taka pewna.

Nie drgnęło mu żadne ścięgno, a nie mięsień, kiedy ściągnęła z niego koc. Nie podniosły się złocisto obramowane powieki, spokojnie spoczywające na oczach, kiedy ostrzem noża dotknęła płaskiego brzucha, zanim wsunęła go pod mocno napiętą bandaż na biodrach, które teraz musiała przeciąć. Materiał przysechł do brzegów rany, tej na boku i tej na plecach. Zwiłała je wywarem z ziół z garnka, który przyniosła Gwiazda Poranna, i powoli, oszczędzając mu bólu, zdjęła opatrunek.

Indianka powiedziała jej, jak przyrządzone przez nią zioła należy użyć na rany. Angeline nabrała pełną łyżkę, ostudziła trochę, by nie parzyły, i ułożyła rudzieloną masę na ranie w boku.

Przez całe ciało Rolfe'a przebiegł dreszcz, ale zaraz się uspokoił. Z pomocą Gwiazdy Porannej odwróciła go, by dostać się do drugiej rany. Ta była bardziej zaogniona i wyglądała źle.

Czystymi bandażami umocowały na niej opatrunek z ziół i przykryły księcia. Teraz zajęły się jego raną na głowie. Zdjęły z niej zabrudzony opatrunek, wymyły ją ciepłym jeszcze wywarem, usunęły z włosów zakrzepłą krew.

Podczas tych czynności Angeline słyszała jakieś strzały, później - szum spadającej broni gwardzistów. Była jednak tak pochłonięta tym, co robi, że nie zwróciła na to szczególnej uwagi.

W końcu Indianka zabrała swój garnek i obiecawszy, że wróci rano sprawdzić działanie leków, wyszła.

Angeline wzięła szary czysty ręcznik i zaczęła wycierać księciu zmoczone podczas zakładania opatrunku włosy.

- Zostałem nafaszerowany i przybrany ziołami, upieczony we własnej gorączce jak prosiaczek.

Jaki będzie ciąg dalszy?

Angeline poderwała się z miejsca. Była pewna, e ksią ę jest nieprzytomny. To, e się odezwał tak niespodziewanie, było dla niej szokiem.

- Więc nie śpisz?! - zawołała nedorzecznie.

- No, nie.

- Ale... przecie ... pozwoliłeś mi opatrywać rany...

Otworzył błyszczące gorączką oczy.

- Tak bardzo zale ało ci na tym, eby coś zrobić, była to taka nieszkodliwa uległość...

- To bardzo uprzejmie z twojej strony! – zawołała ze ściśniętym gardłem.

- Czy bym ci sprawił przykrość? - spytał niezupełnie pewnym głosem. - Ale czemu? Nigdy nie miałem adnych zastrze eń do tego, co... co... dla mnie robiłaś.

- Nic dla ciebie nie robiłam!

- Ale teraz robisz i nie mo esz mnie potępiac za to, e się cieszę.

- Majaczysz.

- Z radości.

Nie zwa ając na to, co powiedział, zawołała:

- A gdybym tak chciała poder nać ci gardło?!

- To byłoby okrutne, bardzo okrutne. Ale jeśli miałaby to być zemsta, to wolałbym inną: delikatniejszą, miłszą, pachnącą i taką, przed którą nie ma się chęci bronić.

Udobruchana wbrew woli, chocia zdecydowana nie okazać mu tego, wzięła proszki nasenne, rozmieszała w wodzie i podała mu.

- Proszę. Wypij i śpij.

Nie wyciągnął po nie ręki.

- Unieszkodliwiający sen, który otępia zmysły i rozładowuje napięcie. Myślisz, e mogę tak bez obaw...?

- Twoje gardło jest bezpieczne. Zrób to.

Zamknął oczy.

- Hałasy na dworze ustały. Zawody się skończyły?

- Chciałbyś wiedzieć, kto wygrał?

- Moja gwardia. Ćwiczyłem ich i znam. Ale jeśli nie wygrali - to taka wiadomość niech poczeka.

Ostatnie zdanie wypowiedział ju tylko szeptem.

To nie ogarniający go sen pozbawiał go sił, lecz choroba. Nawet nie wyciągnął ręki po lekarstwo, które trzymała. Pochyliła się więc, wsunęła mu rękę pod głowę. Uniósł powieki i wpatrując się w jej oczy, wypił wszystko.

Po kilku minutach pierś zaczęła się rytmicznie unosić i opadać. Zapadał w uśmierający wszystko sen. Tym razem był to sen głęboki i spokojny. Nie poruszył się, gdy po jakimś czasie zgasła świeca, gdy Angeline wsuwała się do niego pod koc, nie reagował, gdy dłonią dotykała czoła. Wydawało się jej, e le y ju całe godziny, bez ruchu, szeroko otwartymi oczami wpatrując się w ciemność. W końcu zasnęła z palcami w jego włosach.

Szary świt rozjaśniał pokój, gdy się obudziła. Rolfe ciągle jeszcze pogrą ony był w głębokim śnie. Nic nie wskazywało na to, by udawał. Pomyślała, czyby nie wytrzeć go trochę wilgotną gąbką, ale w wyszczerbionym kamiennym garnku pozostała jedynie odrobina wody na samym dnie. Wzięła go i wyszła z sypialni. Przez izbę ogólną poszła na drugą stronę domu.

McCullough siedział na krześle opartym o ścianę, tak e tylko dwie nogi stały na podłodze; na jej widok wyprostował się.

- No, jesteś. A myślałem, gdzieś się podziewała całą noc.

- Mam chorego, którym musiałam się zajmować.

- Jak się ma? Czy dziś by napisał list?

- Nie wydaje mi się - odrzekła ostro.

- A mnie się wydaje. Mówiłem ju , e przedstawicielstwo Francji w Nowym Orleanie pilnuje interesów Ruthenii w Stanach, tak bez grzeczność. Pomyślałem, e by było dobrze taki list, co napisze ten twój Wasza Wysokość, tam zanieść. Tak bym szybciej dostał swoje pienią ki, nie?

- Nie znam się na tym.

- Ale ten ksią ę się zna.

- O to musi pan spytać jego samego – odpowiedziała i chciała odejść.

Chwycił ją za rękę.

- Zapytam. I z radością bede czekał, co będzie. Oni, ci jego ludzie, mówią, e jest szybki na pistolety.

A na szpady, mówią, jeszcze lepszy od nich...

- I co? Są lepsi od pana i pańskich ludzi?

- Lepsi od tych baranów, co są ze mną. Sam em się nie próbował, ale nie jestem zły w pistoletach albo no ach. Parę lat pływałem z Lafitem, a była tam zdrowa awantura. Jak się skończyła, to powiedziałem pardon i zszedłem na ląd.

- Skoro tylko wyzdrowieje, a myślę, e nastąpi to niedługo, będzie pan miał mo liwość przekonać się, co on umie.

- Tak, tak. Chciałbym. Byłoby dobrze zobaczyć jego styl. Bardzo dobrze.

- Tak, myślę, e tak - przytaknęła mu Angeline, usiłując wyzwolić się z jego ręki. - Mo e mnie pan puścić? Muszę się nim zająć.

- Dobra by była z ciebie pielęgniarka! Chłop by cały dzień z tobą mógł le eć w łó ku. To by było całkiem co innego ni ta Claire, ta czarownica, co to drapie i bije, gryzie i wrzeszczy i wszystko przewraca do góry nogami. Ty byś była spokojna, ducha byś w chłopie uspiła, a obudziła krew.

Ma dobrze z tobą Jego Wysokość, nie?

- Prosiłam, by mnie pan puścił - powiedziała Angeline i zaparła się nogami o podłogę, by nie dać się przyciągnąć bli ej. - Ma pan ju dwie kobiety. Jeszcze panu nie dość?

- Mam dwie i to dość. Ale teraz jest ju tylko jedna.

- Co?! - zawołała przera ona; pomyślała, e ten człowiek mógł zabić Claire albo sama odebrała sobie ycie.

- Gwiazdy Porannej ju nie ma. Musiałem ją puścić, bo tak chciała ta czarownica. To był taki zakład na oczach ludzi księcia. I ona wygrała. I moja Gwiazda Poranna musiała iść. Chciała mnie przebić no em ta indiańska diablica i musiałem jej dać w dziób. A jeszcze mnie kopała i drapała, jak em ją wrzucał na konia.

- A teraz nie ma kto ugotować panu śniadania? A to pech!

- Bo Claire nie gotuje.

- O tym trzeba było myśleć, gdy się pan zakładał.

- Ale wtedy byłem pewny, e wygram. A to, co miałem do wygrania, było warte ryzyka.

Ju otworzyła usta, by spytać, co to miało być, ale widząc obleśny błysk w jego oczach, nie odezwała się.

- Musi się pan postarać o inną kobietę.

- No, niby tak, ale bym musiał czekać, a ona sama sobie nagotuje.

- Otó to - rzekła i wyrwała rękę.

Ju podchodziła do drzwi, gdy McCullough zerwał się z miejsca tak szybko i z taką siłą, że krzesło za nim przewróciło się z hałasem. Ponownie chwycił ją za rękę i obrócił do siebie.

- Puść ją! - to Meyer w tym momencie pojawił się u jej boku. Właśnie wchodził z podwórza. Za nim szli jeszcze Gustave i Oswald. Potę nie zbudowani, chociaż bez broni, byli zbyt groźni, by odważyć się im przeciwstawić.

Puścił jej rękę.

- Nie chciałem jej zrobić adnej krzywdy - rzekł, wycierając dłoń o siedzenie samodziiałowych spodni. - Bo ona jest jak miód, co przyciąga pszczoły. Nie mogłem się nijak oprzeć. A teraz słuchajcie, co chcę powiedzieć.

- Słuchamy - odrzekł Meyer i spojrzał w stronę Angeline, dając jej głową znak, by wyszła. Nie potrzebowała dalszej zachęty. Szybko wyminęła Szkota i przeszła na drugą stronę domu, gdzie na ławie przy palenisku stało wiadro ze świeżą wodą ze studni.

Napełniła garnek i wracała drogą, którą przyszła. Przez niedomknięte drzwi usłyszała McCullougha, jak rozmawiał z gwardzistami o szkoleniu jego ludzi.

- Jakbym miał pięćdziesiąt takich jak wy, tobym mógł zająć całą Ziemię Niczyją. Zrobić przeprawy, stacje dyliżansów i co tam trzeba. Byłbym tak bogaty, że ju nie musiałbym napadać.

I co najwłaśniejsze: mój mijowaty Hiszpan, co jest przeciw mnie, takie szanse by miał jak kurwa przeciw kaznodziei.

Pierwszą rzeczą, jaką Angeline spostrzegła po powrocie do sypialni, były krople potu na górnej wardze i na czole Rolfe'a. Zbierały się w drobniutkie strugi, spływały powoli wzdłuż linii włosów i wsiąkały w poduszkę.

Włosy miał mokre. Koce, którymi był okryty, były wilgotne. Pot błyszczał w zagłębieniach mięśni ramion i na piersiach, z których zrzucił nakrycie w niespokojnym śnie.

Stała nad nim i czuła, jak łzy napływają jej do oczu.

Ręką zakryła usta, by nie krzyknąć. Gdy pierwszy szok minął, odwróciła się i zaczęła zastanawiać się, co zrobić.

Największym niebezpieczeństwem w tej chwili było to, że tak spocony leżał w porannym chłodzie. Trzeba, i to zaraz, obmyć go i dokładnie wytrzeć, zmienić mu pościel i podać coś po ywnego do zjedzenia, jakiś rosół lub zupę: gdyby sam nie chciał zjeść, należałoby by to w niego wmusić. Potrzebowała jednak pomocy. A że Gwiazda Poranna odeszła - musiał to być któryś z gwardzistów. Wszystko jedno który.

Cała ich piątka siedziała z McCulloughem. Dyskutowali głośno, gestykulując i przerywając sobie nawzajem. Spojrzeli na nią pytająco, gdy z impetem wpadła do ogólnej izby.

Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, od frontu domu doszedł ich odgłos końskich kopyt i w kręgu światła ukazało się dwóch jeźdźców. Pomiędzy sobą prowadzili konia, na którym siedział ktoś z pochyloną, opuszczoną na piersi głową. Na policzku miał ogromnego siniaka.

Ręce związane na plecach. Był bez kapelusza.

Długie czarne włosy powiewały na wietrze. Pierwsze poranne promienie słońca oświetliły jego twarz, ukazując oliwkową śniadą cerę i mały czarny wąsik. Czarnymi oczami wpatrywał się w stojącą w sieni grupę osób. Po chwili spojrzał w stronę stojącej samotnie Angeline.

Niemal bezgłośnie wymówił jej imię i - roześmiał się.

To był Andre.

Rozdział 13

Przez następne dni Rolfe spał, budził się, by zjeść trochę rosołu, popić burgundem, i zasypiał na nowo.

Częściowo opiekę nad nim przejęli gwardziści, którzy siadywali przy nim parami nie tylko dla jego obrony, ale również jako zadośćuczynienie za dotychczasowe zaniedbania w tym względzie.

W ciągu dnia rzucał się niespokojnie, ale gdy tylko zapadał zmrok leżał cicho i nawet huk strzałów pistoletowych - sygnały nie kończącego się współzawodnictwa z gwardzistami -

dźwięki harfy, skrzypiec czy gitary, a nawet hałas spędzanego do fortecy pod osłoną nocy stada bydła nie były w stanie go obudzić.

Angeline zwalniana z obowiązków w ciągu dnia, miała możliwość porozmawiać z Andre. Swoją obecność tutaj wyjaśnił bardzo prosto. Ruszył śladami jej porywaczy i wpadł w tę samą zasadzkę. Siniak na twarzy powoli zniknął, ale cios zadany jego dumie wymagał dłużej leczenia. Chciał ją ratować, ale jego wysiłki były dość nieporadne. Na razie upierał się, że nie zdradzi swego nazwiska ani miejsca zamieszkania najbliższej rodziny, chociaż zdawał sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu: wiedział, że zostanie zmuszony do poddania się. Nie miał

nadziei, że uda mu się wydostać stąd Angeline, nawet gdyby udało mu się uwolnić ją od ludzi księcia.

- Angeline - odezwał się do niej któregoś dnia, gdy spotkał ją przy moczeniu wołowiny w solance i przyprawianiu czerwonym pieprzem.

- Proszę? - odpowiedziała mu z uśmiechem.

- Jesteś pewna, że chciałabyś się stąd wydostać?

- Te pytanie! - trzymając wysoko w powietrzu nóg, spojrzała na niego zaskoczona na tyle, e nawet nie potrafiłaby się na niego obrazić.

- Bardzo cię przepraszam - powiedział cicho – ale myślę, e nasza... nasza dawna... przyjaźń upoważnia mnie... Jesteś kochanką Rolfe'a prawda?

- Oczywiście, e nie!

- Nie próbuj zaprzeczać. Jesteś mu oddana jak najlepsza ona, a poza tym - śpierz z nim...

Pochyliła głowę i z uwagą zaczęła wykrawać kawałki tłuszczu z wołowiny.

- Był bardzo chory...

Machnął niecierpliwie ręką, jakby stan Rolfe'a nie miał adnego znaczenia.

- Zdaję sobie sprawę, e na początku byłaś do tego zmuszana, ale teraz, gdybym cię poprosił, ebyś ze mną stąd odeszła, zrobiłabyś to?

- Wiesz, e nam na to nie pozwolą.

- Ale gdybyśmy mogli? - nalegał.

- To nie byłoby uczciwe w stosunku do ciebie wciągać cię w niebezpieczną grę, obarczać odpowiedzialnością za moje dalsze losy...

- To ju moje zmartwienie.

Podniosła głowę.

- Nie mogę go opuścić, przynajmniej tak długo, jak długo jestem mu potrzebna - powiedziała z wysiłkiem i nutą przerażenia w głosie.

Siniak na jego twarzy zrobił się ółty; skóra wokół miała kolor zbliżony do jego śniadej cery.

- Rozumiem. Masz więc zamiar pozostać z nim na stałe?

- Chcesz wiedzieć, czy mamy zamiar się pobrać? Odpowiedź brzmi: nie. Nie mamy takiego zamiaru. Ostrze ono mnie, e to niemożliwe, a ja się z tym zgodziłam.

- Ostrze ono?! - wykrzyknął. - Chcesz powiedzieć, e to ksiątko ośmieliło się...

- To nie ksiątko - powiedziała szybko.

- Więc kto?

- Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

Jej podniesiony głos spowodował, e przerwał rozmowę, choć dalej patrzył na nią pytająco, gdy po jakimś czasie zaczęli rozmawiać na inne tematy. Z ulgą przyjęła pojawienie się Oscara, który zabrał go na próbę strzelania za stodołą.

Kiedy spotkali się następnym razem, na początku oboje czuli się dość niezręcznie, ale po jakimś czasie wyzbyli się skrępowania. Stopniowo wracała ich dawna za yłość.

Andre, bardziej ni gwardziści, starał się jej pomagać, szczególnie przy cięższych pracach - przy noszeniu wody i drzewa na opał. Szybciej ni inni zauwa ał jej zmęczenie. Czula, e cały czas pilnie ją obserwuje, a szczególnie pod koniec dnia, kiedy szła do pokoju, który dzieliła z Rolfe'em. W takich chwilach jego twarz nabierała jakiegoś twardego wyrazu, przez co wyglądał

du o starzej, ni był w rzeczywistości. Oczy błyszczały mu ledwo skrywaną wściekłością.

Jednak mimo złości do księcia, w miarę upływu czasu sam wciągał się w niebezpieczną grę, jaką gwardziści prowadzili z pilnującymi ich opryszkami.

Ucząc się strzelać, władać szpadą w innych celach ni tylko jej prezentowanie w trakcie symulowanych pojedynków, stawał się pod jego okiem lepszym szermierzem ni inni. Robił tak szybkie postępy, e z łatwością mógł pokonać większość z opryszków McCullougha i nieznacznie tylko ustępował członkom *gardę du corpse* księcia. Kiedy osiągnął te umiejętności i kiedy zdał sobie sprawę, komu to zawdzięcza, zaczął podświadomie nabierać szacunku dla człowieka, który to sprawił.

Jednak kiedy to tylko było mo liwe, unikał bezpośredniej styczności z Rolfe'em.

Na pobycie tutaj skorzystał nie tylko Andre. Gwardziści, anga ując się w ciągłe ćwiczenia, znajdowali ujście dla nagromadzonej energii. Pozwalało im to zapominać, e oto znaleźli się w martwym punkcie swej yciowej drogi.

Mieli te okazję rozwinąć zakres swych umiejętności. Dotychczas walka na szerokie no e myśliwskie, chaotyczna i bez określonych reguł, która zwykle kończyła się wybiciem oka czy obcięciem ucha, była im zupełnie obca.

Byli silni, posiadali umiejętności błyskawicznego działania i podejmowania natychmiastowych decyzji i dlatego wnet opanowali jej technikę i śmiało mogli posługiwać się tą bronią. Celował w tym zwłaszcza Meyer.

Wkrótce nadarzyła im się okazja u ycia no y - zorganizowano wyprawę na półdzikie świnię.

Zwierzęta te, pozostawione samopas w lesie, ywiły się korzonkami, orzechami, nasionami roślin i jagodami. Wytropić mo na je było jedynie z pomocą psów. Bezpośrednio po ustrzeleniu trzeba było koniecznie no em przeciąć gardło lub przebić serce takiego zwierzęcia, by się całkowicie wykrwawiło. Inaczej mięso nie nadawało się do jedzenia.

Wieprzowina w ten sposób zdobywana stanowiła liczący się składnik wy ywienia ludzi McCullougha i jego więźniów. Do Angeline nale ało ćwiartowanie i solenie mięsa przed jego

umieszczeniem w wędzarni. Pomagali jej w tym Andre i Oscar, a czasem tak e Meyer. Było to bardzo pracochłonne i brudne zajęcie, ale plasterki pachnącej wędzonki, podawane z chlebem na kolację, sprawiały, e chętnie te prace podejmowano. Stopniowo równie całe gotowanie przeszło w jej ręce. Starła się przygotowywać dla Rolfe'a dania czyste i zdrowe. A skoro robiła to dla niego, to przygotowanie większych porcji, tak by starczyło równie dla innych, nie stanowiło wielkiego problemu.

Z sobie tylko znanych powodów McCullough przyjął takie rozwiązanie jako osobisty ukłon Angeline w jego stronę. Kiedy patrzył na nią ółtymi jak liść tytoniu oczami, pojawiało się w nich zadowolenie, co jej działało na nerwy. Niejednokrotnie musiała robić gwałtowne uniki, gdy próbował jej dotknąć przy nadarżającej się okazji. Któregoś jednak razu nie udało się jej usunąć w porę. Ale za to zrobił bład - chwycił ją w momencie, kiedy w ręku trzymała kubek z gorącą kawą. Obróciła się gwałtownie, a wrzątek brunatną plamą wylał mu się na spodnie. Wrzasnął z bólu i chwycił za materiał, by go odciągnąć od skóry. Wściekły spojrział na Angeline, ale nie odwa ył się zrobić nic więcej, gdy cała scena rozegrała się na oczach Oscara i Claire.

Angeline zdawała sobie sprawę, e po większej części właśnie kuzynce zawdzięcza to, e McCullough nie przesładuje jej zbyt często. Claire, mimo e go nienawidziła, coraz wyraźniej stawiała się kobietą przywódcy.

Oznaczało to dla niej większą pewność siebie, wolność od napastliwości ze strony pozostałych członków bandy, którzy i tak kręcili się wokół niej jak stado zgłodniałych wilków o wściekłych, ale ujarzmiionych, ciągle niebezpiecznych oczach.

Któregoś dnia Angeline zobaczyła Claire, jak stała oparta plecami o ścianę, otoczona półkolem przez pięciu czy sześciu opryszków, niczym łania w matni. Z prowokującym uśmieszkiem wymknęła się im, ale nie wyglądało to na ucieczkę - raczej na zaproszenie do dalszej zabawy.

Zatrzymały się przed drzwiami kuchni. Claire chwyciła Angeline za rękę.

- Angeline, *chere*, czy kiedykolwiek czujesz się tak...

no... ebyś a musiała prosić mę czyznę, jakiegokolwiek, eby się z tobą... poło ył? Czy taka chęć, taka potrzeba narasta w tobie i to do tego stopnia, e nie jesteś w stanie myśleć o niczym innym? e wydaje ci się, e tylko w ramionach mę czyzny mo esz o tym zapomnieć, znaleźć ukojenie w bólu, jaki tkwi w twoim wnętrzu, a który jest zarazem i cierpieniem, i rozkoszą?

Padało. Szare strumyki leciały z cyprysowych gontów dachu. Przenikliwa wilgoć wisiała w powietrzu. Uderzenia wody o dach zagłuszały wszystkie inne dźwięki.

Angeline wpatrywała się w kuzynkę, zaskoczona jej nienawiścią do samej siebie wyraźnie wyczuwalną w jej głosie i oczach.

- Ja... Ja... To znaczy pragnę... tylko jednego mę czyzny...

- Ty pragniesz? I do tego twego księcia, co? – rzekła z drwiącym uśmieszem. - To nie to, o czym ja

mówię. Chocia myślę, e mę czyżni, nawet ksią ęta, są, jacy są. Więc te do tego dojdiesz.

- Claire...

- Oszczędź mi swojej litości, bo mogę ją przyjąć tylko jako zniewagę. Dobrze wiem, e swoim postępowaniem zniszczyłam sobie ycie. I tobie przy okazji. Kobiety te są, jakie są. Wiedziałaś chyba o tym. Czemu mnie nie nienawidzisz? Łatwiej bym to wszystko zniosła.

- Nienawidzić bym cię mogła tylko wówczas, gdybym była przekonana, e to ty jesteś winna wszystkiemu.

Claire zaśmiała się sztucznie.

- A skąd wiesz, e tak nie jest?

- Nie mo esz być. To byłoby zbyt potworne – odparła Angeline natychmiast, chocia bez pełnego przekonania.

- Tak? Wszystko bym zrobiła, by sama być pewna, jak rozró niać co dobre, a co złe.

- Co się stało z Maximilianem? Mo esz mi powiedzieć? - pod wpływem niespodziewanego impulsu spytała Angeline.

- Max? - Claire wymówiła to imię tak, jakby samo jego brzmienie było dla niej gorzkie. -

Kochałam go i to jest najwa niejsze. Cała reszta jest... niemiła i nie warto o niej mówić.

Po drugiej stronie sieni otworzyły się drzwi i wyszedł z nich Oscar. Claire poderwała się natychmiast i udała się do kuchni.

Oscar uchodził za najspokojniejszego z gwardzistów.

- Wygląda pani na zmartwioną. Czy coś nie w porządku? - spytał, stając obok niej.

- Wszystko i nic - odparła z wymuszoną wesołością.

Brak widomych oznak powrotu do zdrowia po odniesionych ranach, potulność przy połykaniu kleików i mlecznych zupek, które dla niego przygotowywała, otępienie - wszystko to było u Rolfe'a nienaturalne i stanowiło źródło ciągłego niepokoju Angeline. To prawda, e stracił du o krwi i spustoszenia, jakich dokonała gorączka, mogły powalić nawet najmocniejszego, ale Angeline, z sobie tylko znanych powodów, była przekonana, e tak mo e być u wszystkich innych ludzi, ale nie u niego. Śmieszne, ale tak myślała.

Rana na głowie zmieniła się w długi ściągnięty strup i była chyba powa niejsza, ni pierwotnie myśleli.

A mo e załamanie psychiczne związane z uwięzieniem powodowało, e nie starał się wyzdrowieć?

Myślała, e powinno być odwrotnie: powinien starać się wyzdrowieć, by się stąd wydostać. A ponieważ był przykuty do łóżka, a wątpliwości, czy wyzdrowieje, wisiały nad obozem jak czarna chmura, McCullough nie naciskał na pisanie listu o okupie do króla Ruthenii.

Któregoś dnia Angeline zatrzymała się pod uchylonymi drzwiami sypialni, by uporządkować jedzenie, jakie niosła na tacy. Wydało się jej, e słyszy mocny, podniesiony głos Rolfe'a, jak beztrudko zwraca się do Gustave'a i Leopolda, którzy byli u niego. Tak ją to zaskoczyło, e ręce jej zdrętwiały, a naczynia na tacy zadźwięczały, uderzając o siebie. Ale gdy weszła do środka, leżał

spokojnie i bez ruchu, z rękami złożonymi na kocu i tylko Gustave, trochę jakby zawstydzony, pozdrowił ją skinieniem jednej ręki - drugą skrzętnie chował za siebie. W pomieszczeniu unosił się mocny zapach pieczenia.

- Co pan tam ma? - spytała patrząc na Gustave.

- Ale , Angeline, *meine Liebe* - jąkał się zapytany.

- Co pan tam chowa?

- To tylko kawałek indyka, jaki został z obiadu - odpowiedział w końcu jednooki gwardzista.

Była to ćwiartka jednego z dzikich indyków upolowanych poprzedniego dnia.

- To pewnie coś, co pozwoli panu wytrzymać do następnego posiłku, prawda?

- Mo e... tak mo e to pani nazwać - mruknął Gustave i ukradkiem spojrzał w stronę Leopolda.

- Sądziście zapewne, e na wasz widok, ujętych ze smakiem to mięsiwo, Rolfe nabierze apetytu? - spytała z wyraźną ironią w głosie.

-Tak... jak by tu rzec... to głupie - jąkał się gwardzista i spojrzał błagalnie na Rolfe'a, ale ten odwrócił wzrok i tylko w samych kąciakach ust błąkał mu się jakby cień uśmiechu.

- W takim razie mo ecie się stąd zabierać razem z waszym jedzeniem.

Posłuchali z nigdy dotychczas niespotykaną skwapliwością.

Po ich wyjściu zaczęła się zastanawiać, co mogło być przyczyną wesołości, jaką zauważyła w oczach Leopolda, oraz porozumiewawczych spojrzeń między Rolfe'em a Gustave'em wychodzącym z pokoju z ćwiartką pieczonego indyka w ręku.

Później wydarzyło się jeszcze coś.

W dniu gdy gwardziści wybrali się na polowanie, Angeline rozpałała wielki ogień w ogólnej izbie, ustawiła na nim wannę, nalała pełno wody i zagrzała. Przygotowała sobie długą, dawno oczekiwaną kąpiel łącznie z myciem włosów. Wymyta, wspaniale odświeżona, zarówno owioną od gorącej wody,

owinęła się w cienki, szary ręcznik i weszła do sypialni, by się uczesać.

Wzięła z umywalki drewniany, ręcznie robiony grzebień, stanęła przed małym lustrem z polerowanej stali i próbowała uporządkować mokre, potargane przy myciu włosy. Gdy się nachyliła, by szybkim ruchem głowy odrzucić je na plecy, ręcznik rozwiązał się i upadł na podłogę, odsłaniając zarówno owione, jędrne kształty jej ciała.

Od strony łóżka, na którym leżał Rolfe, doszedł ją wyraźny syk jakby ostro wciąganego powietrza. Zorientowała się, co oznaczał. Ale gdy się obróciła, by spojrzeć w jego stronę - leżał z zamkniętymi oczami.

Tej nocy leżał na pryczy pod ścianą, sztywny i niedostępny. Nie zrobił najmniejszego ruchu, by jej dotknąć czy przyciągnąć do siebie, jak to często robił nawet w malignie. Gdy obracała się niespokojnie, ich nogi ocierały się o siebie i napięcie stawało się wyraźnie wyczuwalne. Przy każdym, nawet najkrótszym dotyku odnosiła wrażenie,

jego mięśnie są napięte do

ostateczności. Chciała ju spytać dlaczego, ale przerwanie milczenia uznała za niewłaściwe.

Nie był chory.

Oddech miał głęboki i równy, jakby dokładnie kontrolowany. To nie ból z powodu ran był teraz jego problemem – ostatnio ju nawet spokojnie mógł leżeć na zranionym boku.

Po głowie błędziła jej pewna myśl, ale ją od siebie odpędzała. Dlaczego tylko wzdychał, a nie wyciągał ręki i nie brał tego, czego bardzo chciał? Kiedy zmęczona całodzienną pracą zasypiała, wiedziała, że Rolfe jeszcze ciągle leżał spięty. Otwartymi oczami wpatrywał się w ciemność.

W jakieś cztery dni później cała gwardia, łącznie z Andre, wybrała się na całonocne polowanie.

Do kur, które na noc zaganiano na grzędy do prowizorycznego kurnika, zamiast pozwalać im nocować gdzieś w koronach drzew, gdzie były względnie bezpieczne, ostatnimi czasy zaczęły

zakradać się lisy.

Mężczyźni ukryli się w pobliżu i czekali, dopóki nie zaalarmuje ich głośnie gdakanie, świadczące o tym, że lis jest w środku.

Angeline wiedziała, że z tego polowania szybko nie wróci, jako że dodatkową jego atrakcją było rozpalanie wielkiego ogniska i... picie. W ten sposób czekali, a kury podniosą harmider. Wtedy wsiadali na konie, brali w ręce pochodnie i butle z samogonem i podążyli za goniącymi lisami psami. Gonitwa trwała do skutku.

Chociaż była to doskonała zabawa, nie wszyscy mogli w niej uczestniczyć: forteca musiała mieć załogę. Na warcie pozostał sam McCullough, a tak że wszyscy ci, którym dzisiaj wypadła służyba na drogach prowadzących do osady. Pozostali również ci, którzy mieli rodziny.

McCullough zachęcał gwardzistów do udziału w polowaniu.

Zrobiło się późno. Angeline siedziała w izbie ogólnej, wciśnięta w kąt starej kozetki, i wpatrywała się w ogień.

Tęskniła za ksiąką, za jakąś robótką ręczną, za czymś, czym mogłaby zająć ręce i myśli. Miała wrazenie, e jej myśli wytyczyły sobie jeden tor, którego nic nie było w stanie zmienić. Ciągle na nowo analizowała swoją sytuację i nie dostrzegała niczego, co mogłaby zmienić przedtem i teraz, niczego, co mogłaby zrobić w przyszłości, aby naprawić swoje ycie.

Za jej plecami skrzypnęły drzwi prowadzące do sieni.

Uniosła głowę - to wchodził McCullough. Ruszył prosto w jej kierunku, pewny siebie, z zadowolonym uśmiechem ukrytym w rozczochranej brodzie.

- Tu eś, dziewczyno. Na tako chwile, eby być z tobo sam, czekałem długo. Teraz, kiedy ta czarownica Claire śpi, a wszystkich poniosło na cztery wiatry, mo em zrobić dobry u ytek z czasu, co go mamy.

Angeline poderwała się na równe nogi.

- O czym pan mówi?!

- Niby nie wiesz, e cie mocno chce, co? Kobity to zawsze wiedzo - z jego brunatnych oczu przebijała pewność siebie i jawne po ądanie.

- Ale ja nie chcę pana!

- Chcesz się ze mno podroczyć, co? Wiesz dobrze, e ze mno lepiej wyjdiesz. Ja cie mogę chronić, on nie - z podniecenia mówił coraz niewyraźniej.

Angeline cofnęła się, okrą ając kozetkę tak, eby ich oddzielała.

- Co... co jest z Claire?

- Ano, aden kłopot, bo ja wiem, jak takie dziwki traktować. eby sie nie dać, chłop nie mo e sie do nich plecami odwrócić, i musi mieć bat w ręce. Jak tylko widzo, kto tu rządzi - ju po kłopocie.

- Ma ją pan. Więc czego chce pan ode mnie?

- A, bo ty jesteś mała i słodka, i ładna, i milutka, i panujesz nad chłopem, jak jaka kobita z marzeń albo nawet jak anioł*, co się od niego nazywasz. Nie odpychaj mnie.

(*Gra słów: Angeline - anielska (przyp. tłum.))

Przymiłał się, a mo e naprawdę tak myślał, chocia chytry wyraz twarzy, gdy odsuwał kozetkę, przeczył jego słowom. Zbli ał się do niej z wyciągniętymi rękami, a wypchnięte z przodu spodnie dobitnie świadczyły o jego zamiarach.

- To głupie, całkiem głupie - Angeline starała się mówić zupełnie naturalnym głosem. - Muszę pana prosić o pozostawienie mnie w spokoju, bo inaczej zmuszona będę zawołać...

- Niby kogo? Jego Wysokość, co? A wołaj se, jak chcesz. Dla mnie to taki kłopot jak komar. I tobie taka sama pomoc.

Rozejrzała się szybko w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby się bronić. Znalazła: przy kominku le ał cię ki, elazny pogrzebacz.

- A inni, jego ludzie, myśli pan, e pozwolą?

- Ich tu ni ma.

Wyciągnął po nią rękę. Uskoczyła w bok i unikając jego dłoni, chwyciła pogrzebacz. Z taką bronią w rękę obróciła się i bez namysłu uderzyła. Wrzasnęła z bólu, gdy elazo ugodziło w wydatny brzuch. Ale zaraz z głuchym przekleństwem chwycił za wysmarowany sadzami koniec, wyrwał go z jej rąk i rzucił pod ścianę. Sadze, które miał na rękę, zostały na rękawie jej sukni, gdy ją chwycił i przyciągnął do siebie. Kopała, próbowała mu się wyrwać, ale jej opór zdawał się go jedynie bardziej podniecać.

Z ogromną siłą pociągnął ją w kąt, gdzie le ała rozpostarta mata, taka, jakiej u ywali gwardziści.

- Nie! - krzyknęła, z trudem łapiąc powietrze. - Nie!

- Nie wyprawiaj takich brewerii - wymamrotał, gdy udało mu się uło yć ją na macie. Sam ukląkł obok niej i ze śmiechem zdjął szelki z ramion. - Poczekaj chwile, zara zacznie ci sie to podobać.

Poło ył się na niej. Brodą drapał jej twarz, gdy wargami usiłował natrafić na jej usta. Sadzą wysmarował jej stanik, pozostawiając czarne plamy na bieliźnie i na wydobytej z ukrycia piersi.

Poczuła taki przyptyw furii, e paznokciami usiłowała dostać się do jego oczu.

Odchylił głowę, chwycił ją za przeguby rąk, przeło ył kolano nad jej udami, by nie mogła go kopać ani zrzucić z siebie. Ręce jej zdrętwiały w elaznym uchwycie. Poczuła mdłości podchodzące do gardła, gdy jego gorące wargi przesuwwały się po jej policzku.

Nagle wydał głuchy jęk i zastygł w bezruchu.

Angeline, ledwo chwytając oddech, wysunęła się z jego objęć, które się całkowicie rozluźniły.

Dopiero w tej chwili otworzyła oczy.

Na skraju maty klęczał na jednym kolanie Rolfe.

Miał na sobie jedynie w pośpiechu zało one spodnie i szeroki, biały opatrunek wokół bioder. W

ręku trzymał nó myśliwski, czubkiem wpijający się w byczy kark McCullougha. Kropelka krwi błyszczała w powstałym zagłębieniu. Był blady, ale ręka nawet mu nie drgnęła.

Twarz miał kamienną.

- I co teraz? - spytał cicho. - Śmierć, litościwa i bez krzyku, czy bydlęce, niezasłu one dalsze ycie?

Pytanie to skierowane było do niej. McCullough zrozumiał to szybciej ni ona sama.

- Angeline - jęknął. - Na miłość boską...

- Zwracaj się do niej - rzekł ostro Rolfe – panno Fortin.

- Wszystko! - zawołał szybko Szkot, czując zwiększający się nacisk ostrza no a na karku. -

Panno... Fortin!

- Nie rób tego! - zawołała Angeline, przera ona wyrazem twarzy księcia. - Nie zabijaj go!

Spojrzał na nią z wyrzutem.

- Czemu nie krzyczałaś? Nie wołałaś pomocy?

- Zabrakło mi tchu... i nie... nie wiedziałam, e ty... e to coś pomo e.

Moment grozy jeszcze nie minął.

McCullough zamknął oczy, a wielkie krople potu wystąpiły mu na czoło i wolno spływały po nosie. Stawy palców Rolfe'a, zaciśnięte na rękojeści no a, ciągle jeszcze były białe z napięcia.

Angeline wstrzymała oddech. Dopiero gdy uniósł nó , odetchnęła z ulgą.

Rolfe bez wysiłku podniósł się z klęczek, przeło ył nó do lewej ręki, a prawą podał Angeline i z nieoczekiwaną siłą pomógł jej powstać. Spojrzał na przywódcę opryszków i rzekł krótko:

- Wstawaj!

McCullough poczuł, e bezpośrednio niebezpieczeństwo minęło.

- Durniaś ze mnie robił, co? Tylko eś udawał chorego i umarlaka? Ale to ci nic nie pomo e.

Nachylił się, sięgnął do cholewy buta i wyszarpnął z niej nó .

Rolfe natychmiast odepchnął Angeline za siebie i stanął gotowy do walki. Na ten widok McCullough roześmiał się radośnie.

- Nie! - jęknęła Angeline; poczuła, jak coś twardego podchodzi jej z oładka do gardła. Nakryła dłońmi usta, by powstrzymać cisnące się słowa. Krą ący wokół siebie mę czyźni i tak nie zwracali na

nią uwagi.

- Pewnie jest dobry - syknął Szkot - ale ze mno nie wygrasz. To je moja wielka gra.

- W Ruthenii Cyganie uczą rzeźbiarzy, jak trzymać nó i nim władać. W młodości miałem cygańskiego parobka, który nauczył mnie jazdy konnej, przywoływania konia niesłyszalną dla człowieka piszczałką i kilku innych sztuczek, dzięki którym udawało mi się wyjść z niejednej opresji. Nie sądzisz, e w walce na no e znam sztuczki, którymi cię zaskoczę?

- Nie masz siły, bo z ciebie uszła dziurom, co jo masz w boku. Chcesz dostać jeszcze jedno za te kilka minut, co chce mieć z twojo kobito? A nic ji przecie nie ubendzie.

- Względy tej pani, za jej zgodą, nale ą do mnie, i jak kutwa, strzegący swego złota, nie oddam z tego nic.

- Ładnieś to powiedział - zachrypiał Szkot – ale zobaczym, czy dasz se rade.

No e błysnęły w świetle padającym od ogniska. Obaj trzymali je ostrzami do góry, tak eby w przypadku trafienia przebić mięśnie, dotrzeć do wnętrzości i narobić jak największego spustoszenia. Z twarzy McCuUougha biło nieukrywane zadowolenie, jakby ta walka sprawiała mu wielką przyjemność. Czujnie wpatrzony w przeciwnika, pozorował gwałtowne pchnięcia, sprawdzając siłę jego gardy. Rolfe bez trudności unikał ciosów. Całą uwagę koncentrował na ostrzu no a Szkota. Był ostro ny, ale osłabienia nie było po nim widać.

Był wy szy od McCullougha i miał większy zasięg ramion. Z bryłowatej postaci Szkota emanowała siła. Grube nogi i potę ne ramiona musiały budzić respekt. Rolfe tę siłę równowa ył

rozważą i zwinnością. W miarę jak Rolfe, zamiast atakować, ograniczał się do obrony, na twarzy McCullougha pojawiał się coraz szerszy uśmiech. Co chwila zdawał się przełamywać obronę księcia, a błysk jego no a tylko o włos omijał obanda owaną pierś przeciwnika. Rolfe cofał się nietknięty. Uniki wykonywał bez wysiłku, w przeciwieństwie do Szkota, który w ka dy atak wkładał ogromnie du o sił. Na efekt nie trzeba było długo czekać. Na czoło McCullougha wystąpiły ogromne krople potu, zalewały mu oczy, błyszczały na brodzie i pojawiały się w postaci ciemnych plam na koszuli.

Ze wstrzymywanym a do bólu tchem w piersiach Angeline pomyślała, e Szkot raczej nie zamierza zabić księcia. Zechce go pewnie tylko unieszkodliwić na tyle, by bez przeszkód mieć ją i jednocześnie zachować mo liwość uzyskania okupu. Jeśli idzie o Rolfe'a, nie wiedziała, czy zamierza coś więcej ni ujść z yciem z tej walki. Póki co, cofał się jedynie, robił sprytne uniki i pilnie obserwował przeciwnika.

Przywódca opryszków był coraz pewniejszy siebie.

Z piersi wydobywał mu się jakiś charkot, który zapewne miał być śmiechem. Cię ki nó przerzucał z ręki do ręki, jakby kusił Rolfe'a do ataku, w chwili gdy nó zdawał się wisieć w powietrzu. Krą yli po obwodzie niewidzialnego koła, ich oczy błyszczały, oddychali coraz cię ej. Tupot nóg na glinianej,

ubitej podłodze przybierał jakiś magiczny rytm. Blask ognia odbijał się pomarańczowo w kropelkach potu, jakie pojawiły się nad brwiami Rolfe'a.

Nagle nóż w lewym ręku Szkota zatoczył ostry łuk i skierował się w najłabsze miejsce księcia: pokieroszowany, zabanda owany bok.

Angeline wydało się, że nie ma żadnej szansy na powstrzymanie ciosu, żadnego sposobu, by go uniknąć.

A jednak Rolfe zrobił unik, zupełnie jakby się go spodziewał. McCullough zamarkował

przerzucenie noża do drugiej ręki i ponowił atak. Pomruk zadowolenia wydobył się z jego gardła.

I natychmiast ucichł. Rolfe sparował uderzenie. Ostrze jego noża ześlizgnęło się po ostrzu noża przeciwnika, dotarło do palców zaciśniętych na rękojeści. Jednym błyskawicznym szarpnięciem Rolfe obciął mu czubki palców. Szkot wrzasnął, zaklął, cofnął się i zasłonił.

Przerzucił nóż do prawej ręki, a krwawiącą lewą dłoń próbował przycisnąć do szorstkiego materiału spodni.

Uśmiech zniknął mu z twarzy.

- Odsłoniłeś się - rzekł Rolfe spokojnie. - Cygan w takiej sytuacji wypatroszyłby cię jak rybę.

Pilnuj się!

- Przypilnuję, ale ciebie!

Ze zmrużonymi chytrymi oczkami rzucił się na Rolfe'a, starając się go dosięgnąć na różne sposoby.

Przestał już myśleć, w które miejsce uderzyć, chciał się jedynie zemścić. Rolfe, czujny i opanowany, parował jego uderzenia, starając się zachować jak najwięcej siły na ostateczną rozgrywkę. Po każdym nieudanym ataku Szkota tłumaczył mu, jaki popełnił błąd. Tylko jednego mu nie mówił: że robi jeden, z całą pewnością nieświadomy - tu przed atakiem wzrokiem wybierał miejsce uderzenia.

Po każdym nieudanej próbie dosięgnięcia przeciwnika, którego zresztą uważał za chorego, na oczach kobiety, o którą walczył, coraz bardziej tracił panowanie nad sobą. Ze złości zgrzytał

zębami, z trudem utrzymywał nóż w śliskiej od potu dłoni. Zaczął wykonywać jakieś dzikie i niezrozumiałe ruchy, byleby tylko dosięgnąć księcia. Przestawał myśleć - chęć zemsty przesłoniła mu wszystko. I to był jego największy błąd.

Zebrał się w sobie i z całej siły rzucił do przodu.

Chybił celem, zaklął, obrócił się i z potężnym zamachem próbował zadać cios, który, gdyby był

celny, przeciąłby przeciwnika na pół. Ale nie trafił. W chwili, kiedy po próbie uderzenia miał

szeroko rozpostarte ręce, Rolfe błyskawicznie chwycił go za ramię, wykręcił je i jednocześnie podciął mu nogę. Szkot z hałasem upadł na podłogę. Zaczął wrzeszczeć, ale gdy tylko poczuł, e ostrze no a Rolfe'a dotknęło jego pulsującej na karku aorty, ucichł natychmiast. Wystarczyło mu rozumu, eby się poddać. Wstrzymując oddech i rozluźniając palce, pozwolił, by nóg wysunął

mu się i z hałasem padł na podłogę.

- Teraz mo emy pogadać - rzekł spokojnie Rolfe.

Szkot natychmiast się opanował.

- Jak krzyknę, to zara dwadzieścia ludzi tu wpadnie, obłupio cie ze skóry, a resztę rzucę psom.

- Ale najpierw zobacz, jak umierasz.

- Nie rób se artów, oni zara tu bendo.

- Mam wątpliwości, czy zechcą ryzykować yciem za coś, co na pewno uznają za twoją prywatną sprawę - rzekł Rolfe. Miało to być przypomnienie, e nie zapomniał nachalnych umizgów, z jakimi narzucał się Angeline le ący teraz na ziemi opryszek. - Ale nawet gdyby tu zaraz wpadli, gdyby mnie ujęli, adna to korzyść dla ciebie. Przypomnij sobie, jak to jest wśród wilków, kiedy ginie ich przewodnik - rozszarpują go, zaspokajając swój głód.

- Cholera! Chyba to racja. Jak mnie moje ludzie zobaczo w takim stanie, to moje ycie dolara Doego nie bendzie warte.

Angeline słyszała ju gdzieś, e dolar Doego to była fałszywa moneta produkowana przez człowieka o takim nazwisku. Wielkością zbli ona do rzadko spotykanego srebrnego dolara meksykańskiego, ale bardziej ozdobna i powleczone cieniutką warstewką srebra. Była w obiegu tu, na Ziemi Niczyjej. Poza nią nie miała adnej wartości.

- Cieszę się, e się ze mną zgadzasz.

- Sie zgadzam - mruknął McCullough - ale gdybym tu zginol i tak byście stąd nie wysli z samym no em w ręku. Moi ludzie by was zastrzelili, zanimbyscie zrobili trzy kroki.

- Pewnie masz rację albo raczej miałbyś rację, gdyby mnie tu zobaczyli. Ale tak się nie stanie, bo ty mi dasz słowo honoru, i to słowo honoru nie kogoś, kim jesteś w tej chwili, ale kogoś, kim zwykłeś być, e od tej chwili ju nigdy nie będziesz naprzykrzać się Angeline.

Po twarzy Szkota widać było, e walczy z samym sobą.

- Niby e uznasz moje słowo?

- Uznam.

- Ale jeśli je pan złamie - wmieszała się do rozmowy Angeline - spojrzeniem, słowem lub czynem, ja

ju postaram się o to, eby wszyscy pańscy ludzie natychmiast się dowiedzieli, jak łatwo ksią ę sobie z panem poradził.

- Ale wciąż chce okupu - ostrzegł Szkot.

- O tym porozmawiamy później - odparł Rolfe.

- Ale z was dobrana para. Cieszę się, e z cało skóro z tego wychodzę. Mogę ju wstać?

Rolfe podniósł się i cofnął o krok, pozwalając Szkotowi stanąć na nogi. Opryszek otrzepał spodnie i odetchnął z ulgą, jakby przez cały czas powstrzymywał powietrze w płucach.

Ukradkiem spojrzął w oczy Rolfe'a; mo e chciał się przekonać, czy nie wyczyta w nich szyderstwa.

- yczę dobrej nocy - rzekł Rolfe z ukłonem.

Szkot lekko sinął głową.

- Nie zapomnę tego ...szej Wysokości.

- Chcę w to wierzyć.

- Bo gdyby nie, to gotowys pan lekcje powtórzyć.

- Źle mnie oceniasz - mruknął Rolfe. - Nigdy nie tracę czasu na robienie doświadczeń, które w przeszłości okazały się nieskuteczne.

- No, tak - mruknął Szkot i skierował się do drzwi.

Odwrócił się jeszcze na chwilę ze spojrzeniem człowieka, który w swoim domu udzielił schronienia grzechotnikowi, pochylił głowę i wyszedł.

Angeline natychmiast zwróciła się do Rolfe'a:

- Mogłeś go zatrzymać jako zakładnika, u yć jako tarczy, gdybyś chciał bezpiecznie przejść przez strażnicę obozu...

- Nie ma adnej pewności, e jako tarcza przedstawiałby jakąkolwiek wartość. Poza tym nie wiem, gdzie w tej chwili są moi ludzie. Nie miałbym adnej mo liwości ostrzec ich, by tu nie wje d ali. Naraziłbym ich na zemstę tych, którym bym uciekł. I jest jeszcze jeden powód: nie mogę odejść stąd bez Claire. A w sytuacji, jaka jest w tej chwili, nie mogę liczyć na jej pomoc. I jesteś ty, moja Angeline. Nie mogłem pozwolić, by nara ać cię na jeszcze większe nieszczęścia ni te, jakich ju doświadczyłaś. Pozostawienie cię tutaj w ogóle nie wchodziło w rachubę.

- Przykro mi, e jestem cię arem... – powiedziała cicho i odwróciła się, by ukryć zmieszanie i łzy,

wymykające się spod powiek; nie chciała, by je zobaczył.

- Źle mnie rozumiesz.

Spokój jego głosu sprawił, e zaczynała się gubić we własnych myślach.

- A co tu jest do rozumienia? - spytała niepewnie.

- Nic nie jest dla mnie ważniejsze od twojego bezpieczeństwa.

Wstrzymując oddech, odwróciła się twarzą w jego stronę. Pragnęła, by ta jego wypowiedź była dokładniejsza, bardziej jednoznaczna, eby nie kryła w sobie wątpliwości.

Zdawała sobie sprawę, e nie była mu zupełnie obojętna, ale wątpiła, by było to coś więcej ni tylko po ądanie, ni pociąg fizyczny, pogłębiony współczuciem, mo e nawet wyrzutami sumienia. Chcąc zwalczyć przemo ną chęć, by spytać go o to wszystko, i w instynktownej obronie przed samą sobą - zaczęła mu robi wyrzuty.

- Je eli tak się o mnie martwisz, to czemu ukrywałeś przede mną swój powrót do zdrowia?

Dlaczego pozwalałeś mi tkwić przy sobie, gotować nie kończące się zupki i rosółki, które pewnie zaraz po moim wyjściu wylewałeś do kubła?

- Ale nie! - przerwał jej z iskierkami rozbawienia w oczach. - Zjadałem wszystko do ostatniej ły ki.

- A Gustave przemycił ci mięso z kuchni, jak wtedy tę ćwiartkę indyka, z którą go złapałam.

- To była wielka ofiara, e pozwoliłem mu z nią odejść.

- Jemu zaufałeś, Leopoldowi te , bo i on w tym uczestniczył. Pewnie wszyscy twoi ludzie o tym wiedzieli i po cichu podśmiewali się ze mnie, e jestem taka głupia i martwię się o ciebie, gdy niebezpieczeństwo dawno ju minęło. Dlaczego?

Wsunął nóg za pas, podszedł do niej i bardzo delikatnie ujął ją za ramiona.

- Poniewa ty byłaś jedyną osobą, którą dokładnie obserwował McCullough, którą obserwowali wszyscy.

Nie byłem pewny, czy wiedząc, e taka potrzeba ju nie istnieje, dalej będziesz mi gotowała zupki i kleiki. Czy potrafisz udawać głębokie zatroskanie moim stanem zdrowia i w ten sposób trzymać z dala ode mnie ewentualną strażnicę.

- A co to miało za znaczenie, skoro i tak byłeś więźniem?

- Jeśli wracałem do sił, a oni o tym nie wiedzieli, to ka dy podstęp prowadzący do ucieczki stąd dawał większe szanse powodzenia.

- Ale tyle straconego czasu! Myślałam, e będziesz chociaż próbował wypytać Claire o okoliczności śmierci brata.

- Czy sądzisz, e twoja kuzynka opowiedziałaby mi to, co chcę wiedzieć, gdybym próbował ją do tego zmusić? Nie wydaje mi się. A w obecnej sytuacji, pod przymusną opieką McCullougha, nie widzę nawet sposobu, by ją do tego namówić. Prosiłem swoich ludzi, by starali się wybadać, w jaki sposób mo na do niej najlepiej dotrzeć.

- I odkryliście - powiedziała wolno Angeline, przypominając sobie swoją wcześniejszą rozmowę z kuzynką - e najlepszy sposób to brzęknąć złotem?

- Dobrze znasz swoją kuzynkę.

- Tak. Tak myślę.

Przyglądała się jego brodzie z odrastającą złocistą szczecina.

- A teraz McCullough odkrył twój podstęp i wszystko na nic?

- Misterna akcja nie przyniosła spodziewanego efektu - zgodził się ksią ę. - Ale nie ałuję.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Nie ałujesz?

- Tak bardzo się cieszyłem, gdy pochylałaś się nade mną - mówił ciepło, a krew poczyniała szybciej krą yć jej w yłach. - Przykucie do łó ka miało swoje złe strony, z których wcale nieostatnią była konieczność przekonania cię, e wymuszając na tobie zbli enie, stałem u wrót śmierci. Nigdy - na to masz moje słowo - moja samokontrola nie przechodziła takich prób.

Mę czyzna mo e spać tylko tak długo, jak długo pomaga mu to zwalczać nudę, znieść towarzystwo mę czyzn tak długo, jak długo ma w pobli u kochaną kobietę. Gotowy byłem udawać delirium, byle cię mieć blisko siebie.

- Obawiam się, e byłabym zbyt przera ona, by ci się poddać - powiedziała cicho i opuściła powieki; nikły uśmiech pojawił się w kącikach jej ust.

- A teraz? - spytał i nie czekając na odpowiedź, dotknął ustami jej ust.

Ten dotyk płomieniem przebiegł po jej yłach. al, wątpliwości, pretensje za wyłączenie z tajemnego spisku, wszystko to poszło natychmiast w zapomnienie. Otwartymi dłońmi oparła się o jego pierś, przesunęła je wy ej, ponad ramiona i w końcu zacisnęła na karku, przyciągając do siebie jego głowę. Ich wargi chciwie wpijały się w siebie. Jego dłonie wolno wędrowały w dół

wzdłu jej boków, odnajdowały kształty jej bioder, jakby palcami chciał zapamiętać ka de ich wgłębienie i ka dą wypukłość.

Mata, zmiętoszona, ale mimo to bardziej miękka niż podłoga, ciągle jeszcze leżała w kącie pomieszczenia. Podprowadził ją do niej z podniecającym pośpiechem. Ukląkł na jedno kolano, poczekał, a ona uklęknie obok niego. Potem ujął ją delikatnie i położył na macie. Pochylił się i ustami zaczął pieścić jej wargi. Rękami obejmował przęcając się piersi. Powoli obrócił ją na brzuch i zaczął szybko rozpinąć guziki sukni. Czynność tę przerywał jedynie po to, by ustami próbować ciepła skóry coraz szerzej obnażanych pleców. Zsunął jej bluzkę i stanik najpierw z ramion, potem przez biodra aż do dołu. Ułożył się obok niej. Przyciągnął ją do siebie, tak że jej plecy dotykały jego rozpalonych piersi. To było nigdy dotąd nieprzeżywane uczucie. Wdychał

głęboko intensywny zapach jej włosów, z ustami tuż przy jej skroniach powtarzał jej imię. Wolno przesuwając wargi wzdłuż obłego kształtu szyi. Czuli, jak zębami ostro nie wyszukuje poszczególne mięśnie ramion. Obróciła się twarzą do niego, tłumiąc gdzieś głęboko w krtani rodzący się śmiech radości. Nie pamiętała, by coś tak zmysłowego przeżywała kiedykolwiek przedtem. Nigdy wcześniej nie odczuwała w ten sposób dotyku włosów na piersiach, mocnego i jednocześnie delikatnego nacisku warg na swoich ustach, twardości napiętych mięśni. Nigdy tak nie przeżywała siły pożądanego. Jej piersi unosiły się i opadały w rytm płytkich oddechów.

Poddawała się z całkowitym oddaniem, umożliwiając mu nieograniczony i nieskrępowany dostęp do swego ciała. Z zamkniętymi oczami obracała głowę raz w jedną, raz w drugą stronę.

Trzymając ją jak najbliżej siebie, znowu wchłonął ustami jej usta. Wolną ręką zaczął rozpinąć guziki spodni...

I wtedy, jak odległy grzmot, doszedł ich odgłos strzałów. Zaraz po nich dał się słyszeć tętent szybko zbliżającego się konia. Jeździec krzyczał coś piskliwym z podniecenia głosem. Kiedy wpadł na podwórze, zahaczył o linkę z dzwonkami i podniósł ogólny alarm.

Dopiero wtedy Angeline zrozumiała, co krzyczy jeździec:

- Napad! To jest napad!

Rolfe zerwał się na równe nogi, jeszcze zanim usłyszał krzyki. Szybko pozapinał guziki.

- To już zaczyna wchodzić w zwyczaj! - zawołał.

Pomógł Angeline wstać, nałożyć bieliznę i ubranie, szybko ją pocałował i wybiegł z pomieszczenia. Angeline, najstaranniej jak mogła, rozprostowała ubranie, sięgnęła rękami za plecy i drącymi z pośpiechu i zdenerwowania palcami pozapinała guziki. Właśnie kończyła tę czynność, gdy zupełnie niespodziewanie do pomieszczenia weszła Claire. Zbliżyła się do Angeline, jej oczy błyszczały, a długie włosy były rozpuszczone.

Najwyraźniej dopiero co zerwała się z łóżka. Miała na sobie jedynie przezroczysty kusi szlafrok, który raczej uwydatniał, niż krył, kształt jej wydatnych piersi.

- To nasza szansa, Angeline. Jeśli się postaramy, to uda nam się uciec!

- Uciec? Masz na myśli przedzianie się przez coś takiego? - gestem ręki pokazała w stronę frontu domu, skąd dochodziła narastająca kanonada, wskazująca na to, że to nie potyczka, a bitwa.

- Tak! - zawołała Claire, pochodząc bliżej. – Jeśli wyjdziemy na tyły domu, nawet tego nie spostrzegą. Są zajęci czymś innym. Moemy dotrzeć do dowodzącego tym atakiem. Kto wie, czy nie uda nam się go przekonać, żeby dał nam eskortę do domu.

- Na jakiej podstawie tak sądzisz? - spytała Angeline.

- Przecie to może być ktoś jeszcze gorszy niż McCullough.

- To niemożliwe. Zresztą wiem, dlaczego się wahasz.

Widziałam, jak Rolfe, zaskakująco sprawny, zerwał się z łóżka. Widziałas go całego i zdrowego i teraz, jak zakochana w zakonnym bracišku mniszka, nie chcesz się z nim rozstać! - krzyczała podniecona Claire.

- To nieprawda! Myślę, że to szaleństwo rzucać się dobrowolnie w wir, o którym nic się nie wie.

Z tego, co słyszałam, to łotr i bandyta spod ciemnej gwiazdy.

- Kto ci to powiedział?! Pewnie McCullough. A niby czemu miałby dobrze mówić o swoim wrogu?! – zawołała Claire, odrzucając w tył głowę. - Ja nie zostanę tu jak szczer w pułapce i nie będę czekała, a ta nieokrzesana banda zdecyduje za mnie o moim losie. Uciekam, a ty, jak chcesz. Zostań albo chodź.

W chwili gdy Claire skierowała się w stronę drzwi, te nagle się otworzyły i stanęło w nich czterech opryszków z McCulloughem na czele. Ten skinął głową w stronę drzwi prowadzących do sypialni, a następnie popchnął w tym kierunku obie kobiety. Zaraz potem podszedł do zasłoniętych okien. Jego ludzie porobili mu sobie w nich otwory i strzelali w ciemność. Robili to jak na strzelnicy: oddawali strzał, cofali się, ładowali broń i ponownie strzelali.

Krzusząc się dymem, który już zaczął wypełniać pokój niebieską chmurą, Angeline, popychając przed sobą Claire, skierowała się do sypialni. Zamknęła za sobą drzwi i obróciła się do kuzynki.

Z jej twarzy widać było wyraźnie, jak się cieszy, że bieg wypadków wymknął im się z rąk.

Ale trwało to krótko. Claire stanęła na środku pokoju z rękami wspartymi na biodrach, z ustami zaciśniętymi w prostą, wąską linię. Rozejrzała się szybko po pokoju.

Całą uwagę skoncentrowała na prowadzącym na tyły domu oknie. Jeszcze raz spojrzała na Angeline, a potem ruszyła w jego kierunku. Szybko odsunęła zasuwkę i otworzyła je szeroko.

- Claire, nie! - zawołała Angeline, podbiegła do kuzynki i chwyciła ją za ramię. Claire odwróciła się. Z jej oczu biła ledwo hamowana złość.

- Zdecydowałam się uciekać, czy tego nie rozumiesz?! - Angeline, ja... ja się... boję tu zostać.

Boję się.

- Rolfe'a? Przyrzekł mi, e nie zrobi ci krzywdy.

- Rolfe'a? Nie, to znaczy, tak. Nie wiesz, dlaczego się boję. A nie ma teraz czasu na wyjaśnienia.

Uciekaj ze mną. Teraz.

- To szaleństwo! Nie mogę!

- To puszczaj mnie.

Claire wyrwała rękę kuzynce, podeszła do parapetu i przerzuciła przezeń nogi.

- Nie! Poczekaj! - Angeline próbowała ją chwycić, ale Claire zniknęła ju w ciemności. - Wracaj!

- zawołała, ale nie otrzymała ju adnej odpowiedzi.

Nie zastanawiała się dłu ej. Wysokość od okna do ziemi była większa, ni się spodziewała.

Upadła na kolana, ale zaraz się podniosła i ruszyła przed siebie w ciemność na poszukiwanie kuzynki. Nie słyszała jej kroków, pewnie zagłuszyły je odgłosy walki, musiała pobiec w stronę, gdzie się toczyła, chocia Angeline nie była tego pewna.

Ciemność nocy rozdarł ostry, wibrujący krzyk.

Angeline, nie namyślając się ani chwili, ruszyła w tamtym kierunku. Wychyliwszy się zza węgła domu, zobaczyła blady zarys postaci Claire, walczącej z dwoma opryszkami.

Usłyszała jeszcze odgłos rozrywanego jedwabiu, a potem ponownie przeraźliwy krzyk.

Angeline nie dotarła do kuzynki. Jakieś twarde ręce pochwyciły ją od tyłu, złapały za włosy i zdusiły krzyk.

Próbowała walczyć, kopała, drapała, wściekła w swej bezsilności. Słyszała stłumione przekleństwa mę czynn, którzy ją trzymali, czuła na twarzy ich oddechy i odór spoconych ciał.

Kątem oka dojrzała wzniesioną do uderzenia pięść i zaraz potem poczuła w skroniach przejmujący ból. Ogarnęła ją ciemność nocy, miękka i uspokajająca.

* * *

Jęki. Pochlipywanie. Nie kończące się dźwięki o nasilającym się i słabnącym natę eniu, któremu towarzyszył jeszcze jakiś inny odgłos, skowyczący i przeciągły.

Zapach dymu i butwiejących liści. Zimno. Jedna strona ciała, wystawiona na przejmujący wiatr,

marzła, podczas gdy druga, osłonięta, chłoneła nikle ciepło. W powietrzu czuć było wilgoć i ostrą woń końskiego potu. Instynkt samozachowawczy podpowiedział jej, by się nie ruszać.

Stopniowo powracała jej świadomość. Spostrzegła, e le y na końskiej derce rozpostartej na ziemi. Pod derką wyczuła twarde patyki i gałązki. Tu obok płonęło niewielkie ognisko. Głośno płakała jakaś kobieta. Mogła to być jedynie Claire.

Bardzo powoli zaczęła obracać głowę i ostro nie rozchyliła powieki. Le ała na polanie, w przejmującej, nocnej ciszy lasu oświetlanego jedynie nikłymi płomieniami ogniska. Warkocz dymu znad ognia przedzierał się przez sklezione nad polaną korony drzew.

Niedaleko od niej pięciu mę czyzn stało wokół rozło onego na ziemi koca. Le ała na nim szarpiąca się i wijąca kobieta. Suknię miała zadartą powy ej bioder, widać było nagie uda błyszczące w blasku ognia. Jeden z mę czyzn ze spodniami opuszczonymi do kostek le ał na niej i poruszał się rytmicznie. Trzej inni stali z boku i dzielili się uwagami. Piąty, z rozpiętymi spodniami, przykucnął przy jej głowie i trzymał ją za ręce.

- Pospiesz się, Hoss, bo ja ju jestem twardy jak skała i zaraz strzelę, niczym z armaty.

Claire ju się nawet nie opierała. Widać było, e poddała się całkowicie. Jej jęki były coraz cichsze, słychać w nich było jedynie tępy ból i coś, co mo na by nazwać pogardą dla samej siebie.

Jeden z mę czyzn spojrział w stronę, gdzie le ała Angeline.

- Mo emy się złapać za tamtą drugą. Te ma to samo do wykorzystania.

- Jeszcze jest nieprzytomna. I nie musisz tak ostro szarpać, Charlie. Mo esz porozrywać taką ładną...

Angeline starała się nie słyszeć i nie widzieć dalszego ciągu, kiedy czwarty z mę czyzn odsunął się od Claire, a piąty, sapiąc niczym pies, zajął jego miejsce. Zacisnęła powieki i z trudem hamowała wymioty.

Co mogła zrobić? Nie była zdolna do adnej myśli.

Nie miała broni i chocia z całej siły chciała pomóc kuzynce, jej siły w takiej sytuacji nie znaczyły nic. Tak naprawdę jej sytuacja wcale nie była lepsza. W ka dej chwili mogli się zorientować, w jakim jest stanie, i zrobić z nią to samo co z Claire - niezale nie od tego, czy będzie przytomna czy nie.

Rozległ się głośny tętent. Ten dźwięk przywrócił jej pełną świadomość. Gdzieś blisko zar ały konie. Odpowiedziały im te stojące blisko ogniska. Usłyszała jakieś krzyki. Spod przymkniętych powiek obserwowała grupkę jeźdźców podje d ających i zatrzymujących się w kręgu światła.

Spośród nich wyszedł jeden, wysoki, chudy, ze zmru onymi oczami i opadającymi cienkimi - na modłę hiszpańską - wąsami, nadającymi jego twarzy wyraz okrutny i odpychający. Miał długie czarne włosy związane z tyłu rzemieniem, w sposób, który ju dawno wyszedł z mody. Nosił

kurtkę z ciemnozielonego zamszu z długimi frędzlami opadającymi na skórzane spodnie, powycierane od ciągłego u ywania do tego stopnia, e powy ej wysokich butów wyzierały z nich gołe kolana.

Na biodrach zwisał skórzany pas z pochwą, z której wystawała inkrustowana srebrem i złotem rękojeść sztyletu. Klnąc w mieszanym angielsko-hiszpańskim argonie, podszedł do ogniska i zaczął je rozwalać butami.

- *Bastardos!* Świńskie bękarty! Mogłem się domyślić, e poszło o babę! Przez waszą parszywą chuć ten pyszałek McCullough nas pobił! A na dodatek palicie tu latarnię morską, by temu szkockiemu synowi samego diabła dokładnie wskazać drogę!

- Potrzebowaliśmy kobiety - burknął jeden z nich; cofnęli się ju od Claire. Piąty z nich właśnie gramolił się z niej zapinając spodnie. Ona le ała jeszcze, ale ju starała się ściągnąć zadartą suknię i zakryć bielejące podbrzusze.

- Nie mogliście poczekać? Jeszcze kilka minut i mielibyśmy wszystkie kobiety, a nawet cały obóz: arcie, konie, zrabowane złoto i na dodatek samego McCullougha, dyndającego, ku naszej uciezce, na końcu sznura.

- Ale te dwie same wpadły w nasze ręce.

- Nie mieliście prawa opuszczać nas w samym środku walki po to, by je rozło yć na ziemi.

Głupcy! Zdrajcy! Powinienem was rozstrzelać!

Opryszek nazwany Charliem podniósł wysoko pięści i postąpił krok naprzód.

- A idź do diabła! Dostaliśmy to, po cośmy tu przyszli!

- Do diabła, idź ty, *mi compadre* - odrzekł spokojnie herszt. Płynnym ruchem wyszarpnął sztylet z pochwy i w mgnieniu oka chwycił go za czubek. Rzucił niemal bez zamachu. Charlie wydał

zduszony jęk, padając na wznak i próbując chwycić ręką za rękojeść wystającą mu z piersi tu powy ej serca. Upadł, rozrzuciwszy szeroko ręce, w poprzek nóg le ącej Claire. Dziewczyna szarpnęła się, zrzuciła go z siebie i próbowała usiąść.

Martwa cisza zapanowała na leśnej polanie. Ludzie otaczający dogasające ognisko z przera eniem w oczach czekali na dalsze ruchy przywódcy. Ten, zupełnie niespodziewanie, zaśmiał się przeciągle. Podszedł do trupa i wyrwał z niego sztylet. Wytarł go starannie o nogawkę spodni i wło ył do pochwy. Potem, jakby dopiero teraz zauwa ył le ącą Angeline, ruszył w jej kierunku. Zacisnęła powieki. Kroki, powolne i jakby odmierzone, zbli ały się. Staął

nad nią. Świadomość, e patrzy, jak le y, bezbronna i bezsilna, była nie do zniesienia.

Najchętniej skoczyłaby na równe nogi, spojrzała mu w oczy, wykrzyczała swą bezsilność, a mo e i uderzyła. Ale dobrze wiedziała, e jeśli da się ponieść nerwom, przepadnie. Zaciskając zęby, zmusiła się, by le eć spokojnie, udawać nieprzytomną, nawet wtedy kiedy Hiszpan, z chrzęstem skórzanych

spodni, pochylił się nad nią. Ujął ją za bezwładną rękę.

- Zdaje się, e porywając ją, dopiekliscie temu sukinsynowi McCulloughowi bardziej, ni mogliście się spodziewać, *amigos*. Co z nią?

Z wyjaśnieniami pospieszyła cała czwórka.

- Byłby kłopot... byłoby bardzo niedobrze, gdyby to było coś powa nego...

W spokojnym głosie przywódcy czaiła się groźba.

Czterej mę czyźni pospieszyli z zapewnieniami, e uderzenie, jakie otrzymała, to była jedynie próba jej uspokojenia. Chcąc odwrócić jego uwagę, jeden z nich podsunął mu nową myśl.

- Mo liwe, Don Pedro, e ona tylko markuje trupa, zwinięta w kłębek, eby ją zostawić w spokoju.

- A, śpiąca królewna? - odrzekł wesoło Hiszpan. - Ciekawe, czy zbudzi się dla mnie?

Podniósł ją z ziemi i objął bezceremonialnie. Jego wargi, cienkie, mocne i ciepłe, o smaku tytoniu, obrze one kłującymi wąsami, dotknęły jej ust. Przez chwilę była jeszcze w stanie udawać, ale gdy językiem spróbował rozchylić jej wargi, poczuła, jak coś jej rośnie w oładku i podchodzi do gardła. Szarpnęła się z jękiem, podniosła ręce, by go odepchnąć i uwolnić się z jego objęć.

Rozległy się wesołe śmiechy.

- Obudziłeś ją, stary! Teraz powinienes ją mieć!

Hiszpan popatrzył twardo w jej szarozielone oczy. Tak jak nagle ją pochwycił, tak równie nagle puścił. Padła na wznak.

- Niech poczeka, a będzie trochę bezpieczniejszej - i przyjemniejszej. Z niektórymi sprawami nie nale y się spieszyć.

Rozdział 14

- Wsiadać, *amigos*! Jedziemy.

To nie była jazda, którą Angeline chciałaby zachować w pamięci. Jechała na siodle z tyłu za Hiszpanem.

Ręce, którymi musiała obejmować go w pasie, miała związane w nadgarstkach. Całkowicie rozstrojona nerwowo, siedziała za nim sztywno, starając się dotykać go jedynie na tyle, na ile to było absolutnie konieczne.

Plecy i ręce miała cały czas napięte. Rzucalo nią w tył i w przód i od czasu do czasu musiała opierać się o jego plecy. Wtedy raczej czuła, ni słyszała jego zadowolony śmiech. Kusiło ją, by się szarpać i w ten sposób utrudnić mu trochę prowadzenie konia, ale uznała, e byłaby to jedynie niepotrzebna

utrata resztek sił.

Ciało zabitego pozostawili przy resztkach ogniska, na po arcie lisom i wilkom. Taka brutalność w postępowaniu ze zmarłym pozbawiała ją resztek nadziei.

Marzła. Ubranie było wilgotne od mokrej końskiej derki, na której le ała przy ognisku. Nie miała płaszcza. Zimne, nocne powietrze przenikało ją do szpiku kości, tak e w końcu była mu w jakiś sposób wdzięczna za odrobinę ciepła promieniującego z jego ciała. Ale jeśli jej było zimno, to jak musiała czuć się Claire, owinięta jedynie w resztki swej jedwabnej sukni? Widziała kuzynkę jako niewyraźną plamę, za plecami jednego z opryszków. Od czasu do czasu zdawało się jej, e poprzez dźwięk końskich kopyt słyszy jej cichy płacz.

Angeline pozwoliła swobodnie biec myślom. Zastanawiała się, co w tej chwili robią Rolfe i McCullough, czy gwardia wróciła ju z polowania, czy mo e wyruszyła w ślad za bandą? W to ostatnie nie bardzo wierzyła. Sądziła, e McCullough wiedział, gdzie obozuje Hiszpan ze swoimi ludźmi, ale nie miała adnej pewności, czy pomoc nadejdzie na czas. Na razie mogła zdać się jedynie na siebie.

W porównaniu z obozem Hiszpana forteca McCullougha była pałacem. Angeline i Claire wepchnięto do obszernego pomieszczenia z rozło onymi na brudnej podłodze matami, z drzwiami od frontu i od tyłu, ze ścianami z nierównych, gdzieniegdzie nawet nie okorowanych bali. W takim pomieszczeniu trzy ło a z polerowanego drewna, z rzeźbionymi nogami i inkrustowanymi szczytami, zdawały się całkowitym nieporozumieniem.

Na nich le ały ręcznie tkane kołdry, piękne koce gęsto zdobione haftem, a tak e prześcieradła z widocznymi monogramami - wszystko w stanie skrajnego zaniedbania. Piękne dywany wały się na brudnej podłodze, a w pobli u byle jak zbudowanego paleniska le ały posrebrzane i mosię ne narzędzia kominkowe oraz poszczerbione i nadtłuczone fili anki, talerzyki i talerze, które kiedyś zapewne stanowiły wielki porcelanowy serwis.

Angeline przyszło natychmiast na myśl, e musiały to być trofea rozbójnicze - sprzęty domowe zrabowane napadniętym i pomordowanym osadnikom, gdy przemierzali Ziemię Niczyją. Poczowała mdłości. A kiedy jej wzrok padł na pieczołowicie rzeźbioną kołyskę, musiała mocno zacisnąć zęby, by nie wymiotować.

Ona i Claire nie były jedynymi kobietami w tym pomieszczeniu. W najdalszym kącie ło ka, z dala od paleniska, siedziała jakaś kobieta, niechlujna, z szarą twarzą i niedbale zwisającymi pasmami tłustych włosów.

W przytłumionym świetle pełgającego ognia widać było jej szeroko otwarte, dzikie oczy. Ciało zniekształcała zaawansowana cią a. Poruszała wargami, lecz nie wychodził z nich aden dźwięk.

Wierzchem dłoni bez przerwy wycierała zbierającą się w kącikach ust ślinę.

- O, Bo e! - szepnęła przera ona Claire i bez zastanowienia rzuciła się twarzą w dół na najbli sze ło e.

Angeline, sztywna jak manekin, zbliżyła się do niej i położyła jej dłoń na ramieniu. Przeraził je spazmy przebiegały ciało dziewczyny, a łe e od nich dr ąło.

Angeline przeraziła się, gdy zobaczyła, jak chuda jest kuzynka. Ostre kości zdawały się przebijać skórę. Nachyliła się, chwyciła brzeg kołdry i starannie naciągnęła ją na Claire.

Do pokoju wszedł Hiszpan i zaraz zaczął wykrzykiwać przez ramię jakieś rozkazy. Za nim weszło kilku jego ludzi. Podeszli do ogniska, rozcierali zmarznięte ręce i zdjawszy pokrywki z garnków, zaczęli z nich pić niesfermentowany jeszcze dobrze samogon. Któryś warknął coś do siedzącej na łó ku kobiety, a ta zwlekła się zaraz ze swego miejsca. Trzęsąc się, w pośpiechu, zaczęła nabierać warząchwią jakąś nieokreśloną masę z wiszącego nad paleniskiem gara i podawać stojącym.

Mę czyźni łapczywie pochłaniali podane jedzenie, kawałkami chleba wycierając resztki z misek.

Angeline siedziała przy kuzynce i rozcierała jej nogi i ręce, by w ten sposób wlać choć trochę ciepła w jej zziębnięte ciało. Cały czas czuła na sobie spojrzenia, jakie znajdujący się tu mę czyźni rzucali w jej stronę.

Chocia ze strachu przechodziły ją ciarki, robiła wszystko, by tego nie dać poznać po sobie.

Mijały minuty. Claire ciągle dr ąła konwulsyjnie. Trwania w beczynności i oczekiwaniu, a mę czyźni podejmą decyzję, co z nią zrobić, Angeline nie uznała za najlepsze rozwiązanie.

Podniosła się i ze wzrokiem utkwionym w jednym z gąsiorków z samogonem zsunęła się z wysokiego ło a na podłogę i podeszła do stojących przy palenisku.

- Mogę dostać trochę tego? - spytała i ręką wskazała na butlę z alkoholem.

Hiszpan spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Ale , oczywiście, *señ orita*.

Angeline rozejrzała się dokoła, wzięła cynową miseczkę i trzymając ją w wyciągniętej ręce czekała, a jeden z opryszków, łysiejący, bez dwóch przednich zębów, naleje jej samogonu.

- Dziękuję.

Odwróciła się i podeszła do łó ka. Pomogła Claire usiąść i podała jej miseczkę. Claire przełknęła łyk i zakrztusiła się mocnym trunkiem, ale Angeline z ulgą zauwa yła, jak na jej białych policzkach wykwitają nikiłe kolory.

- A dla siebie nie chcesz trochę, *señ orita*?

Angeline spojrzała na Hiszpana ze strachem.

- Tego, co mam, wystarczy i dla mnie.

- Powinnaś wziąć więcej. Ja, Don Pedro Alvarez y Cazrola, nalegam.

- Dziękuję, nie.

- Kobieta z charakterem? Ale uwa aj. Zaczynasz mnie intrygować.

Hiszpan odchylił się na fotelu i wyciągnął przed siebie długie nogi. Mężczyźni zebrani przy palenisku parsknęli, przyglądając się jej z zaciekawieniem.

To jest zabawa w kotkę i myszkę, pomyślała Angeline.

Z nią jako ofiarą. Bez słowa odstawiła miseczkę, udając, że jest całkowicie pochłonięta układaniem Claire i jej okrywaniem. Kuzynka wpatrywała się w nią z przerażeniem w zielonych oczach.

- Zostaw wreszcie tę swoją przyjaciółkę, *señ orita*, i podejdź do mnie.

Angelina spojrzała na niego bez strachu.

- To jest moja kuzynka.

- Więc zostaw kuzynkę i chodź. Natychmiast.

Mogła nie posłuchać i zmusić go, by sam przyszedł do niej i wymusił na niej posłuszeństwo.

Albo mogła go posłuchać. Wołała nie dawać mu pretekstu do stosowania przemocy wobec niej, więc podniosła się i podeszła z całą swobodą. Zatrzymała się tu przy jego fotelu i wyzywająco uniosła brodę.

- Chce pan czegoś ode mnie?

- Oczywiście. Chcę ci się lepiej przyjrzeć. Jak na ciebie wołają?

Oczy miał jasnobrązowe, niemal ólte, z czerwonym obrzeżem, jak u drapieżnego ptaka.

- Angeline.

Odpowiedziała mu najobojętniej, jak tylko potrafiła.

Popatrzyła na innych, potem przyjrzała się narzędziom przy kominku, naczyniom i sztuccom, jakimi posługiwali się jedzący, szukała jakiejś broni, noża, czegoś do obrony. Niczego takiego nie było w zasięgu ręki. A mo e?

Hiszpan ciągle jeszcze miał przy pasie pochwę z ozdobnym sztyletem.

Don Pedro zwrócił się do łysiejącego opryszka:

- Gdzie twoje maniery, Sanchez? Podaj pani coś do picia.

Ten, którego nazwano Sanchezem, chwycił z uśmiechem porcelanową filiżankę bez uszka, wytarł palcem jej wnętrze i nalał samogonu. Don Pedro wziął z jego rąk filiżankę i dał swój kubek do napełnienia, po czym odwrócił się do niej, podając jej filiżankę.

- Napijesz się ze mną, Angeline?

To nie było pytanie, chociaż tak zabrzmiało. Angeline wzięła do ręki podsunięte naczynie.

- Dlaczego ja? Nie ma tu dość męczyzn, aby dotrzymani panu towarzystwa?

- Masz na myśli moich ludzi? Jest ich dość, ale na ciebie patrzy mi się znacznie przyjemniej niż na nich.

- Pijana kobieta nie będzie z pewnością miłym towarzystwem...

- Mylisz się. Może być całkiem wesoło. Tylko jesteś zimna, a chciałbym, abyś... tego... abyś miała trochę cieplejszą krew.

- To nie zależy od picia. Od picia jestem tylko chora.

Nikły, zimny uśmiech pojawił się na jego ustach.

- Chcesz mnie zniechęcić przez takie gadanie? To może przynieść odwrotny skutek.

Podjęła jeszcze jedną próbę.

- Byłoby lepiej użyć tego - wskazała trunek w filiżance - do przemycenia ran twoich ludzi. Mam w tym zakresie trochę doświadczenia. Mogę je obejrzeć?

- To całkiem szlachetne z twojej strony, zważywszy na sytuację, w jakiej się znajdujesz.

- Nie wiem, w jakiej jestem sytuacji.

Obiema rękami obejmowała filiżankę; resztki obtłuczonego uszka boleśnie wpijały się jej w dłoń.

- Nie udawaj. Dobrze wiesz.

Patrzyła mu w oczy, nie zwracając uwagi na ból w palcach i uderzenia krwi do głowy.

- Chodzi o McCullougha? Nie jestem i nigdy nie byłam jego kobietą, nie ma więc powodu, abym to ja była waszą zemstą na nim. Do chwili porwania przez pańskich ludzi byłam raczej jego więźniem.

- I ja mam w to wierzyć? Przecież przebywałaś z nim pod jednym dachem.

- On miał kobietę, z którą... którą był bardziej zainteresowany...

Nie było sensu zagłębiać się w dalsze szczegóły. Siłą woli powstrzymała się, by nie spojrzeć w stronę Claire.

Hiszpan ruchem głowy wskazał na łóko.

- Tamtą? A to dureń.

Nie stłumił głosu ani nie starał się ukryć pogardy.

Claire otworzyła oczy, zmarszczyła czoło i uniosła się na jednym łokciu. Wzięła cynową miseczkę, którą Angeline zostawiła przy łoku. Jednym haustem przełknęła jej zawartość.

Pociemniałymi z przerażenia oczami Angeline patrzyła to na kuzynkę, to na Hiszpana.

- Nie sędzę.

- Ale ja tak. To znaczy, e jesteś dziewicą?

- To ju zupełnie nie pański interes!

Gorący rumieniec oblał jej twarz. Nie wiedziała, co ją bardziej zdenerwowało: pytanie czy obcesowość, z jaką zostało zadane.

- Przeciwnie. Bardzo mnie to interesuje.

- Mo e pan sobie dać z tym spokój. Skorzysta pan z moich usług - jako pielęgniarki dla pańskich ludzi?

Uniósł brwi, nie wiedział, jak ma się zachować.

Wyjął ciemne meksykańskie cygaro, przypalił od węglika z paleniska, zaciągnął się, wypuścił z ust obłoczek dymu.

- Jestem pewny, e będą ci bardzo wdzięczni.

Zaczęła przygotowania. Nagrzała wody i zaczęła przemywać rany od kul. Były dość czyste i na ogół niezbyt groźne. Ci z powa niejszymi ranami, którzy nie byli w stanie sami dosiąść koni i wrócić, zostali zdani na łaskę McCullougha.

Gdy krzątała się po pokoju, była świadoma, e Hiszpan ani na chwilę nie spuszcza jej z oka.

Wiedziała, e jego cierpliwości ju nie na długo starczy. Groźba rzucona pod jej adresem na leśnej polanie, e będzie ją miał, przerażała ją bardziej ni jawne poądanie McCullougha.

Pomyślała, e otwarte przeciwstawienie się mo e być błędem i e pewnie przyjdzie jej drogo zapłacić za ka dą minutę zwlekania.

Któremuś z rannych musiała wyjąć kulę. Rannym był młody, mo e dwudziestoletni chłopiec, ale kłął z niewiarygodnym urozmaiceniem, gdy Angeline niezbyt ostrym no em próbowała wydostać ołów.

- Proszę, *señ orita*. Mo e ten będzie lepszy?

To Don Pedro nachylał się nad ławą, na której le ał ranny, i na wyciągniętej dłoni podawał jej swój sztylet. Uśmiechał się przy tym zachęcająco. Głos miał spokojny, zupełnie naturalny, nie zwracał uwagi na nikogo z otoczenia. Zaciągnął się po raz ostatni cygarem i ogarek wrzucił do ognia. Wyciągnęła dłoń i ujęła smukłą rękojeść. Pokusa, by uderzyć stojącego nad nią mę czynę, była tak wielka, e a w głowie jej się zakreśliło. Jedyne świadomość, e zrobił to celowo, by ją wypróbować, a na ewentualny atak jest doskonale przygotowany, pozwoliła jej się opanować. U ycie sztyletu przeciwko Hiszpanowi byłoby samobójstwem. Nie mogła mieć adnej nadziei, e uda się jej wymknąć tuzinowi mę czyn, znajdujących się w pomieszczeniu, nawet jeśli udałoby się jej z Don Pedrem. Pewnie wszystko dobrze obmyślił – jego uśmiezek zdawał się potwierdzać jej przypuszczenia.

Gdy wydostała kulę, poło yła sztylet na ławce i zaczęła oczyszczać głęboką ranę. Hiszpan nie sięgnął po nó .

Czekał, dopóki nie zawiązała ostatniego węzła na banda ach i dopiero wówczas wyciągnął rękę.

- Moja broń, *señ orita*.

- Pozwoli pan, e ją obmyję? - zapytała spokojnie.

Wiedziała z doświadczenia z Rolf'e'em, e grę nerwów trzeba umieć prowadzić. Kolejnymi czynnościami: zanurzeniem sztyletu w wodzie, dokładnym myciem z krwi, wycieraniem, oglądaniem zyskiwała jedno - czas. Zdawała sobie równie sprawę z tego, e mę czyni, którym opatrzyła rany, poczują się zobowiązani do czegoś w rodzaju wdzięczności. Nie miała adnej pewności, czy podjęte działania miały jakikolwiek sens, ale nic innego teraz i w tych okolicznościach zrobić nie mogła.

- Proszę - powiedziała i delikatnie poło yła nó na dłoni Hiszpana. Spojrzała mu spokojnie w oczy, bez poczucia winy, bez strachu.

Gdzieś na zewnątrz zaszczekał pies. Don Pedro wstał, podszedł do drzwi, otworzył je, wyjrzał.

Claire patrzyła za nim niewidzącym wzrokiem, jak w transie, nieświadoma zupełnie tego, co się wokół niej dzieje.

Wpatrywała się w otwarte drzwi, a potem w zamknięte, gdy ju Hiszpan je zatrzasnął.

- Nie ma nic - powiedział jakby sam do siebie.

Cię arna kobieta wróciła na łó ko. Spod koca wyciągnęła cytrę i zaczęła na niej brzdąkać. Grała jakąś zdumiewająco delikatną i kojącą melodię. Jej dźwięki rozplywały się w mroku. Trzej spośród rannych, którzy rozło yli się na matach, chrapali w pijanym śnie. Inni, zawinięci w koce, le eli z plecami zwróconymi w stronę ognia. Jeszcze inni siedzieli spokojnie przy palenisku, czekając na swoją kolej do pełnienia warty.

- Zrobiłaś to bardzo dobrze, *mil gracias* – podziękował jej Hiszpan.

Odwróciła się, zanurzyła ręce w miednicy, a potem wytarła je w kawałek materiału, który kiedyś był prawdopodobnie męską koszulą.

- Ka dy mógłby to zrobić, nawet pan.

Wzruszył ramionami.

- Jeśliby mi się chciało. Nie spodziewam się, by o mnie ktoś tak się zatroszczył, gdybym został ranny.

Czemu innym ma być lepiej?

- To taki swoisty stoicyzm, czy te dotychczas udawało się panu uchodzić bez ran?

- Współczujesz moim ludziom? - odpowiedział pytaniem na pytanie. - Mnie mogłabyś te włączyć do tego kręgu?

Spojrzała na niego pytająco.

- Ukrywa pan jakąś ranę?

- Coś ukrywam, ale to nie jest rana - powiedział bez radości w głosie, ale w jego oczach tańczyły jakieś wesołe ogniki.

Jego bliskość ją poraża, inaczej nie potrafiłaby tego określić. Nie wiedziała, z jakiego powodu –

zabójstwa na polanie, beztroski, z jaką na pastwę losu pozostawił rannych, zbójckiego zajęcia czy wreszcie okrutnej gry, jaką z nią prowadził, ale bała się go tak jak nikogo dotąd. To, e dotychczas nie u ył w stosunku do niej przemocy, nie zmniejszało jej obaw. Jeśli to cokolwiek zmieniało, to tylko na gorsze, bo w aden sposób nie mogła się domyślić, jakie ma wobec niej plany, co zamierza z nią zrobić.

Patrzyła na niego jak zahipnotyzowany przez wę a ptak, gdy wyjmował z jej rąk ścierkę.

Następnie zacisnął palce na jej nadgarstku i ruchem głowy wskazując jedyne wolne łó ko, powiedział krótko:

- Chodź!

Więc chciał ją mieć tu, w tym przepelnionym pomieszczeniu, na oczach mę czyzn stojących przy ogniu. Chciał ją rozebrać do naga i zrobić z t e g o widowisko dla swoich ludzi, chce zniszczyć to, co w niej najdelikatniejsze. Ta myśl ją przeraziła. Cofnęła się, zdecydowana stawiać mu opór z całych sił. I wtedy spostrzegła, e był z tego zadowolony, wręcz podniecony jej zdecydowanym oporem.

Dźwięki cytry umilkły, ginąc w mętnych akordach. Wiązania łó a, na którym le ała Claire, zaskrzypiały, gdy dziewczyna uniosła się, obserwując poczynania Angeline. Po chwili

niespodziewanie stanęła na materacu.

Jej cień w mizernym świetle ognia, groteskowy i upiorny, rzucony na ścianę, poruszał się niezdarnie. Zaczęła się śmiać głębokim gardłowym śmiechem, który zdawał się wydobywać z głębi jej trzewi, nabierał mocy i ycia, przechodził w histerię. Z przymkniętymi oczami zaczęła rozsuwać naderwany dekolt sukni, pozwalając szerokim rękawom ześlizgnąć się z ramion i odsłonić pełną krągłość wypukłych piersi. Poruszając się jak w powolnym tańcu, pozwoliła, by kolorowy jedwab osuwał się coraz niżej, odsłaniając biodra, obły kształt brzucha, uda, na których przez chwilę się zatrzymał, skrywając ciemny trójkąt włosów, a upadł w fałdach u jej stóp.

Wtedy zanurzyła ręce we włosach, rozgarnęła ich rudą masę i okryła się nimi jak peleryną. Z

błyszczącymi oczami, wyginając się i prostując, zaczęła wykonywać ruchy parodiujące akt miłosny. Hiszpan, z dłonią zaciśniętą na nadgarstku Angeline, zatrzymał się. Słyszała, jak ktoś za jej plecami głośno przełknął ślinę, ktoś inny zaklął szeptem. Ogień zaskwierczał, rzucając na wszystkich czerwono-niebieskie i pomarańczowe światło. Na zewnątrz zawył wiatr i ponownie zaszczekał pies. Potem wszystko ucichło.

W nagłej furii Don Pedro skoczył w stronę cię arnej kobiety, trzymającej w rękach cytrę. Coś zazgrzytało, jakby ktoś nagle nożem przeciął struny. Claire uniosła oczy w górę. Usta wykrzywił

jej grymas, który zapewne miał być uśmiechem. Odsunęła nogą suknię, podeszła na skraj łóżka i lekko zeskoczyła na podłogę. Z wyciągniętymi rękami podeszła do Hiszpana i objęła go delikatnie za szyję.

- Weź mnie - powiedziała niskim, łamiącym się głosem, z oczami pełnymi łez. - Weź mnie.

Teraz.

- Claire, nie! - zduszonym głosem szepnęła Angeline.

Uderzył ją jakiś przedziwny dźwięk w głosie kuzynki.

Nie wiedziała, czy to perwersyjne pożądanie, czy zazdrość, e to na Angeline, a nie na niej Don Pedro skupił swą uwagę, czy wreszcie chęć, by ją oszczędzić, by odciągnąć od niej Hiszpana.

- Czy byś była zazdrosna, kuzyneczko? – zachrypiała cicho. - Nie musisz. Twój czas jeszcze nadejdzie.

Don Pedro puścił Angeline. Chwycił za ramię Claire z taką gwałtownością, e cała krew odpłynęła jej z twarzy i szarpnął tak, a głowa poleciała jej do tyłu.

- Wracaj do łóżka!

- Co? Nie chcesz mnie?

- Nie!

Gdy Claire się ociągała, oderwał jej rękę, jakby ich dotyk napełniał go odrazą. W oczach pojawiło się jakieś drapieżne rozbawienie. Chwytał Angeline za rękę, a Claire popchnął przed siebie.

- Ju wiem, ujemy tego ło a we troje.

Zanim Angeline pojęła znaczenie tych słów, Claire prychnęła jak kocica i rzuciła się na niego.

Rękę zacisnęła na jego karku, nogami oplótła uda i z siłą szaleńca wpiła się w niego paznokciami.

- Nó , nó ! - wrzasnęła i nagle zatopiła zęby w jego szyi.

Nie było czasu na zastanawianie się. Angeline poderwała się i z pochwy u pasa Don Pedra wyrwała sztylet. Odskoczyła w chwili, gdy Hiszpan mocnym uderzeniem powalił Claire na ziemię. Schowała się za kołyskę w rogu i tylko kątem oka zauważyła, jak Claire podciąga pod siebie nogi i włosami niczym płaszczem okrywa swoją nagość. Jej pięknie wykrojone usta były czerwone od krwi. Z nienawiścią patrzyła na Hiszpana, który stał z boku, trzymając się za szyję.

- Czemu go nie zabiłaś?

- Bo... - zaczęła Angeline, ale Hiszpan zaraz jej przerwał.

- Bo, w odróżnieniu od ciebie, dziwki, co to myśli tylko tym, co ma między nogami, wiedziała, e to na nic.

Odwrocił się do Angeline i powoli zbliżył się do niej z wyciągniętą otwartą dłonią.

- Oddaj mi to. Oddaj mój nó , a będziesz tylko moja. Jeśli mnie zmusisz, bym ci go odebrał, jeszcze tej nocy weźmie cię ka dy, kto będzie tego chciał. Będziesz jak ta w kącie, Alice, której mogą u ywać wszyscy. To ci obiecuję.

- O, Angeline - szepnęła przeraona Claire, patrząc na podnoszących się ze swoich miejsc opryszków.

Zdawała sobie sprawę, o co tu idzie gra. Angeline ju wcześniej to rozumiała. Teraz patrzyła, jak się zbliżył wolno i pewny siebie. Ważyła w dłoni ciężką, inkrustowaną rękojeść; wiedziała, e nie może się poddać, e drugi raz broni oddać nie może. Czuła, e cała w środku sztywnieje, ciemność wchłania jej poczucie rzeczywistości.

Wciągnęła głęboko powietrze. Patrzyła na niego z całkowitym spokojem.

Był pewny swego. Bo czemu nie? Czy poprzednio bez słowa nie zrezygnowała z okazji, jaką miała? Podszedł jeszcze bliżej, dotknął jej niemal, z wyrazem tryumfu w drapieżnych, poślizgniętych oczach.

Uderzyła, trzymając ostrze tak, jak to widziała zaledwie kilka godzin wcześniej u Rolfe'a, całą siłą kierując ostrze w wąski, odsłonięty brzuch.

Przyjął uderzenie na przedramię, podbijając jej rękę, ale o ułamek sekundy za późno. Ostrze rozorało

mięśnie do samej kości i przecięło żyły. Wściekłość wykrzywiła mu twarz, podniósł rękę i z rozmachem uderzył ją w policzek otwartą dłonią. Padła na ścianę. Nóg wyleciał jej z ręki. Hiszpan podniósł sztylet zakrwawioną ręką i z wyszczerzonymi zębami i śmiercią w oczach zbliżył się do niej.

Angeline odskoczyła, usiłując tak się ustawić, by kolebiąca się kołyska odgradzała go od niej.

Don Pedro odrzucił ją na bok. W tej samej chwili Alice jęknęła i podniosła się z łóżka, padła na kolana i w pośpiechu zaczęła przerzucać delikatną, błękitną zawartość kołyski, która wypadła na podłogę.

Angeline odskoczyła do tyłu. Któryś z siedzących przy palenisku opryszków wyciągnął rękę, by ją chwycić.

Hiszpan wrzasnął i tamten natychmiast się cofnął.

- Zostaw, durniu! Jest moja i tylko do mnie będzie należała zemsta!

Mimo tego rozkazu ustawili się tak, a odcięli jej drogę do drzwi, do których próbowała się przedostać.

Musiała więc uciekać w stronę łóżka, na którym leżała Alice. Tu przy nim stał stolik, a na nim dzbanek i kilka filiżanek. Zaczęła rzucać nimi w Hiszpana z taką szybkością, na jaką tylko było ją stać. Jedna rozcięła mu policzek, pozostawiając krwawy ślad, ale nawet tego nie zauważył.

Przed następnymi uchylił się. Zbyt długo jednak zatrzymała się w jednym miejscu – długim sussem odciął jej drogę i zapędził w róg. Kiedy już wyciągnął po nią rękę, rzuciła mu w twarz poduszkę, a zaraz potem – kołdrę, zyskując znowu chwilę. Szarpnęła poduszkę z taką siłą, a powłoczka pękła, a pióra zawirowały w powietrzu. Przeskoczyła przez szczyt łóżka, zaplątała się w fałdach spódnicy, padła na podłogę, kalecząc dłonie o skorupy rozbitych filiżanek. Zerwała się i przebiegła pod przeciwległą ścianę.

- Angeline, Angeline, Angeline - jęczała Claire, pochylając się raz w tył, raz przód, z przerażeniem w oczach. Jej jęki zmieszane z głośnym pochlipywaniem Alice i chrapliwymi okrzykami mężczyzny tworzyły niesamowity zgiełk. Angeline podbiegła do kuzynki, starając się nie patrzeć w stronę tylnych drzwi. Ale Don Pedro zorientował się w jej zamiarach i pierwszy do nich dopadł. Chciała zmienić kierunek ucieczki, ale w tej samej chwili Claire uniosła się i wpadły na siebie.

Zanim zdążyła się podnieść, poczuła mocne, twarde palce we włosach, a zaraz potem silne ramiona oplatające ją elastycznym uściskiem. Poczowała mdły zapach krwi.

- A teraz - rzekł zduszonym głosem Don Pedro - pokażę ci, jak jest traktowana *puta*, która odważyła się podnieść na mnie rękę.

Czerwone pląty zatańczyły jej z bólu przed oczami, gdy pociągnął ją w stronę najbliższego łóżka i

przerzucił twarzą w dół przez jego szczyt. Rzeźbiona deska wpiła się jej w biodra. Poczowała ostre ukłucie u nasady karku.

Uniósł jej nogi w górę, a twarz wdusił w materac. Jakiś ciężar zawisł na jej udach i zaraz potem rozległ się chrzęst rozdzieranego materiału.

Rozcinał na niej suknię. Skurczyła się pod dotykiem ostrza i wtedy poczuła, jak opada z niej stanik, a gołe plecy ogarnia chłodny powiew. Dłonie obejmujące ją w pasie zamykały się i otwierały. Przesunął nożem w dół i rozciął na niej resztki ubrania. Za chwilę stanie naga, bezradna wobec gwałtu. Spełni swą groźbę. Ale nie podda się bez walki. Szarpała się, kopała, wykręcała głowę, by złapać trochę powietrza, cały czas słysząc chrapliwy, przyspieszony podnieceniem oddech Hiszpana...

Ostry trzask rozdarł ciszę. Tylne drzwi pomieszczenia wyrwane z jednego zawiasu rozwarły się z hukiem i uderzyły o ścianę. Gdy Don Pedro, z soczystym, hiszpańskim przekleństwem puścił

Angeline, ta obróciła się, zerwała z materaca i rozejrzała wkoło. Jacyś mężczyźni, z pistoletami w ręku, tłoczyli się u wejścia.

Na ich czele stał wysoki blondyn o błękitnych oczach.

- Rolfe! - zawołała z ulgą.

Stojący przy palenisku mężczyźni, pokrzykując coś beładnie, rzucili się na poszukiwanie broni.

Claire kołysała się na boki i nagle, jakby dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że jest naga, skrzyżowała ramiona na łonie. Gdzieś poza domem słychać było odgłosy strzałów, rozdzierających ciszę nocy.

Rolfe stał u progu. Ogarnął spojrzeniem całe wnętrze i dopiero wtedy zatrzymał wzrok na Angeline. Poczowała ogromną ulgę. Dało jej to taką siłę, że wyrwała się Hiszpanowi, przeskoczyła na niego, padła na podłogę i potoczyła się tu pod nogi Rolfe'a. Poderwała się zaraz i stanęła przy nim. Objął ją opiekuńczym gestem. Rozległy się strzały. Claire z przerażeniem w oczach rzuciła się w stronę Angeline i Rolfe'a.

Don Pedro, straciwszy jedną ofiarę, zwrócił się ku drugiej. Rzucił się w stronę Claire, pochwycił ją od tyłu i jej nagim, ciepłym ciałem osłonił się jak tarczą.

Dziewczyna krzyknęła rozpaczliwie, łzy rozpacz napłynęły jej do oczu.

- Stój tam, gdzie stoisz, *amigo* - powiedział spokojnie, ale złowrogo Hiszpan do Rolfe'a, rozpoznając w nim beładnie przywódcę. - Ta dziewczyna nic dla mnie nie znaczy, zupełnie nic. Dotknij mnie, a przetnę jej gardło, jak kucharz ucina łeb kurczakowi.

Gwardziści, poza kilkoma strzałami, nie włączali się dotychczas do walki. Dopiero teraz Andre z Meyerem wpadli do izby z takim impetem, jakby mieli zamiar zaatakować. Palce Don Pedra

zaczisnęły się na rękojęści no a, a ostrze przyło one do obna onej szyi dziewczyny błyszczało groźnie.

- Stać! - rzucił ostro Rolfe.

Zapadła cisza. Ludzie Hiszpana, znajdujący się w środku, ju się poddali. Dochodziły jedynie odgłosy walki toczonej gdzieś na zewnątrz. Andre i gwardziści stali nieporuszeni, obserwując, jak Don Pedro, krok po kroku, popychając przed sobą Claire, przesuwa się w stronę drzwi frontowych.

Nie mo na było nic zrobić. Angeline czuła, jak w otaczającym ją ramieniu Rolfe'a dr ą wszystkie mięśnie, bezsilnie i z wściekłością przyglądał się, jak Claire po raz kolejny wymyka mu się z rąk.

Hiszpan kopniakiem otworzył drzwi i z drwiącym uśmiechem, który zdawał się unosić końce jego opadających wąsów, zawołał:

- Spróbujcie mnie gonić, *amigos*, a znajdziecie tę kobietę martwą w przydro nym rowie.

Przestąpił próg. Słyszeli tupot jego ciężkich, oddalających się kroków i odgłos bosych stóp Claire.

Strzały nasiliły się na chwilę, ale zaraz wszystko ucichło w oddali.

Podbiegli do drzwi i dołączyli się do strzelaniny, jaką prowadzili, bez przekonania, ludzie McCullougha i on sam. Ich włączenie się do walki sprawiło, e ludzie Hiszpana rzucili się do koni i pognali drogą w kierunku, gdzie przed chwilą zniknął ich przywódca.

* * *

- Tylko głupiec chwali się zwycięstwem w walce, w której miał przewagę nad przeciwnikiem w ludziach i sprzęcie - powiedział sentencjonalnie Rolfe, stając nad le ącym na końskiej derce McCulloughem.

- Mo esz mi gadać, em głupi i sie tego nie bać, bo wiesz, e ci du o zawdzięczam - mruknął

McCullough.

- Juzem ci mówił, e sie wyrzeknę okupu za ciebie i twoich, a nawet tego Andre, boś uratował mi głowę. Ale nie myśl, e twoje obelgi bede znosił na spokojnie.

- A jak? - spytał Rolfe, unosząc brwi i spoglądając z uśmiechem na le ącego Szkota.

W odpowiedzi McCullough popatrzył tylko z wściekłością na stojącego nad nim księcia. Jęczał i stękał, gdy Angeline zakładała mu opatrunek na kolano – oberwał w ostatniej fazie walki. Kula rozerwała mięsień i lekko naruszyła kość.

- Wszystko jedno, ale uciekali, jak parszywe kundle z podwiniętymi ogonami.

- Tak, ale z Claire w siodle najbardziej wściekłego kundla.

- Taka szkoda - powiedział McCullough bez cienia alu w głosie, spoglądając niby to z troską w stronę Angeline.

- Trochę więcej ni tylko szkoda, bo znaczy to tyle, e całą operację trzeba będzie podjąć na nowo. Musimy wreszcie dosięgnąć tego drania Hiszpana.

- Ze względu na te kobitę?

- Właśnie - potwierdził Rolfe i dodał: - I dla twego własnego spokoju. Wiesz równie dobrze jak ja, e choć puściłeś jego chałupy z dymem, zapasy ywności zamieniłeś w popiół, to on w miesiąc postawi te budy na nowo, a arcie zdobędzie na tobie podczas pierwszego napadu.

- To prawda. eby ślepie stracił!

- A ty co na tym zyskałeś?

- Poznałem się na tobie, diable wcielony! – rzucił McCullough. - Ty tylko po toś moich ludzi chciał, eby ci pomogli to twojo babę dostać. A i tak nie wiem, na co ci ona, kiedy masz Angeline.

- Nie wiesz? To ci powiem, bo dobra z niej gospodyni - odrzekł Rolfe z niewinną miną.

Szkot tylko parsknął i odwrócił się ze złością.

Kilka kilometrów dalej musieli koniecznie zatrzymać się na popas. Nie tylko, by opatrzeć rannych. Wszyscy byli wyczerpani. Wymęczone były te konie – jechali przecie całą noc.

Meyer, Oscar i Andre pomogli opatrzeć rannych i teraz opryszki McCullougha i gwardziści, ci prawdziwi i ten nowo przyjęty do ich grona, zawinięci w koce, le eli wokół ogniska. Szkot domagał się, by opatrzono go na końcu i by zrobiła to wyłącznie Angeline. Nikomu innemu nie pozwalał dotknąć swego kolana. Jej nie robiło to adnej ró nicy. Wołała być zajęta, by nie mieć czasu na myślenie, na zastanawianie się.

W chwili gdy skończyła opatrywać ranę, stanął obok niej Rolfe i pomógł jej wstać.

- Dałabyś mi jeszcze trochę wody, co? – poprosił Szkot.

Nim zdą yła odpowiedzieć, Rolfe ją wyręczył:

- A sam nie mógłbyś sobie wziąć? Angeline ju dość się narobiła.

- Dość dla innych, tylko nie dla ciebie? Mogę się zało yć.

Rolfe zacisnął szczęki, ale nic nie odpowiedział. Odprowadził ją kawałek od ogniska, do niewielkiej kotlinki, w której rozło ono koce. Ktoś jęknął półgłosem, gdy mijali le ące postacie.

Alice jeszcze teraz wzdychała nad pustą kołyską.

Męski płaszcz, jaki znaleziono dla Angeline, by ochronić ją przed przenikliwym zimnem, włókł

się za nią po ziemi, zahaczając o kamienie i korzenie. Owijając się nim szczelnie myślała, czy Claire te dostała coś do okrycia, czy w ogóle yje, czy jeszcze jest z Don Pedrem, czy mo e porzucono ją gdzieś po drodze.

Oswald i Gustave zostali wysłani, by obserwować uciekających ludzi Don Pedra i uratować Claire, jeśli coś takiego by się wydarzyło. Dostali jednak te rozkaz, by trzymać się dość daleko z tyłu, aby nie wpaść w zasadzkę i nie podejmować adnych akcji, które mogłyby zagrozić yciu Claire.

Nie było to wiele, ale Angeline nie potrafiła wymyślić niczego, co mo na by zrobić w tej sprawie. Czowała się tak, jakby opuściła kuzynkę w nieszczęściu. Jazda w przeciwnym ni Don Pedro kierunku zakrawała na zdradę. Ale przecie nie mogła zostać tu sama, nie mogła te za to winić Rolfe'a i innych. Wiedziała, e im wszystkim zale y na Claire, ale Hiszpan będzie się teraz miał na baczności, by drugi raz nie dać się zaskoczyć. Musi upłynąć trochę czasu, nim zacznie myśleć, e McCloughowi i pozostałym nie zale y na dziewczynie i e nikogo nie obchodzi, czy on sam wróci do wypalonych domów, czy ukryje się w jakimś innym zakazanym miejscu. Ale nikt nie był w stanie przewidzieć, kiedy to mo e nastąpić.

Choć była szczelnie okryta kocami, poczuła zimne dreszcze. Wiedziała, e to nie z zimna. Było jej dość ciepło, zwłaszcza e Rolfe le ał blisko, choć nie na tyle, by jej dotykać. Była to reakcja na wypadki nocy, fizyczna odpowiedź na strach i poni enie, jakiego doznała. Dopóki miała zajęcie, nie myślała o tym - dopiero teraz. Sądziła, e to zaraz minie, ale nie przechodziło.

Dreszcze były tak gwałtowne, a szczękała zębami, a całe ciało napinało się jak łuk.

- Angeline - szepnął Rolfe, wsuwając się pod jej koce i kładąc rękę na jej biodrach. - Co ci jest?

Nie miała odwagi, by odwrócić się do niego. Przecie nie wiedziała, co myślał o porwaniu jej przez Hiszpana, o scenie, którą, na jej szczęście, przerwał. Nie mogła się jednak poddać: musiała przewycię yć strach.

- Obejmij mnie - szepnęła ledwo dosłyszalnie. - Proszę cię, obejmij mnie.

Zamknął ją w ramionach. Jego objęcia, bez po ądania, były schronieniem, a dotyk warg na brwiach i powiekach rozbrajającą pieszczotą. Mówił cicho i uspokajająco.

- Spokojnie, dziecino. Zapomnij o strachu i zmorach nocy. Jesteś ze mną, bezpieczna, i nie pozwolę ci odejść choćby na krok. I nie będę prosił o nic, czego nie mogłabyś dać. Zaufaj mi i wybacz wszystko, co zrobiłem w przeszłości, a co chciałbym ci wynagrodzić dzisiejszej nocy.

Przyjmij moją miłość, niech będzie ci tarczą i pancerzem, wypędź złe zjawy z pamięci, a zatrzymaj jedynie pojednanie...

Słowa płynęły do niej powoli, ale gdy w pełni dotarły do jej świadomości, ogarnął ją spokój.

Odetchnęła głęboko raz, drugi, czując równomierne uderzenia jego serca tu przy policzku.

Kiedy się odezwała, głos jej ju nie drął. To słowo wypowiedziała bardzo wyraźnie:

- Miłość?

- Gdybym mógł ci ją dać świetlistą i jaśniejącą, opatrzoną pieczęciami i przewiazaną wstęgami.

Ale nie mogę tego zrobić, więc przyjmij taką, jaka jest: ciernistą i nieromantyczną, ofiarowaną ci tak nieporadnie.

- Och, Rolfe - szepnęła poprzez łzy - byłoby nieuczciwe, gdybyś mówił to jedynie dlatego, by zagłuszyć wyrzuty sumienia albo złagodzić ból poprzednich doświadczeń...

- Nie! - przerwał jej zdecydowanie.

- Ale ja i tak nie mogę... nie mogę ich... przyjąć, chyba e... w zamian przyjmiesz... moją miłość?

Nie wiedziała, skąd wzięły się te słowa. Zupełnie jakby nagle wydostały się skądś z jej wnętrza, gdzie czekały na ten właśnie moment, dobrze ukryte, od szeregu dni, mo e miesięcy, lat, a mo e od samego początku jej ycia?

- Lepszej wymiany nie mógłbym sobie wymarzyć - powiedział miękko.

Jego ramiona pozostawały spokojne, bez dr enia, znamionującego podniecenie. Trochę ją to zaniepokoiło, zwłaszcza e sama poczuła mrowienie.

Odchyliła głowę, usiłując przyjrzeć się jego twarzy. Wiedziała, e patrzy na nią, chocia widziała ledwie zarys jego głowy, słaby błysk oczu, odbijających rodzące się światło wstającego poranka.

Zebrała całą odwagę, podniosła rękę i końcami palców dotknęła jego policzka, ostro zarysowanej szczęki i ni ej - napiętych ścięgien szyi. Przyciągnęła do siebie jego głowę i rozchylone usta zbli yła do jego warg. Przyjął jej pocałunek, odwzajemnił, przedłu ył, a poczuła przyspieszone bicie serca. Zapadło milczenie, w którym słyszała jego spokojny, jakby celowo kontrolowany oddech.

- Odpocznijemy tu do rana. Śpij teraz.

ywość, z jaką to powiedział, wskazywała, wbrew pozorom, e wcale nie potrzebował odpoczynku.

- A jeśli nie mogę?

- Musisz.

Opuściła powieki; jednym palcem sunąc wzdłu konturów jego ucha, wyszeptała:

- Muszę?

- To pomo e mi wytrwać w postanowieniu...

- Nie prosić... nie prosić o więcej, ni mogę ci dać?

Ale co... jeśli to ja jestem tą, która... prosi?

- Angeline, jestem tylko mę czynną...

- Jesteś księciem, który pewnego dnia zostanie królem, a co się z tym wią e - chyba e w Ruthenii jest inaczej? - *noblesse oblige*?...

Zaśmiał się cichutko i śmiech jeszcze trwał w jego głosie, gdy mówił:

- Angeline, kochanie, ja cię... to znaczy, jeśli to nie uszczupli twoich sił...

- Tym nie musisz się martwić.

- Jak mam się nie martwić? Wszystko, co tobie szkodzi, boli i mnie.

- Równie to, e chcę, byś mnie objął, kochał?

- Jesteś uparta i bezpośrednia, prawda? – spytał szeptem tu nad jej uchem.

- Tak myślisz?

- To mnie raduje. Le spokojnie, zbieraj siły i pozwól się kochać po królewsku, nawet jeśli nie będzie to całkiem nobliwe.

Jego umiejętnościom, królewskim czy nie, dorównywało jedynie jego skupienie. Rozebrał ją z wymyślnymi pieścotami, a ka dej z nich towarzyszyły słowa zachwyty nad kształtem ciała, nad perłową karnacją skóry, nad zapachem włosów, zachwyty okazywanego, odczuwanego, radośnie z nią dzielonego. Odpowiadała na jego pieścoty, nie kryjąc, co sprawia jej największą przyjemność. Zdawał się szukać dojścia do głębi jej duszy, ale nie robił nic bez jej woli.

Stwardniałe dłonie zamknął na jej odsłoniętych piersiach. Ustami muskał skórę płaskiego brzucha i ni ej, i jeszcze ni ej. Rozsunął powoli jej uda, odsłaniając ich miękkie wnętrze.

Otwartą dłonią przykrył najdelikatniejszy punkt jej ciała.

Nie była ju bierna, odgradzona wewnętrznymi oporami, od tego, co się z nią działo. Ogarniał ją ogień, płonęła skóra, umysł tracił punkty zaczepienia. Kiedy rękę zastąpiły gorące wargi, westchnęła głęboko i głośno, objęła dłońmi jego głowę z oddaniem i wdzięcznością, przeniesiona w sferę zupełnie nowych dla niej doznań.

Jej zmysły nabierały mocy, ostre po ądanie napinało wszystkie mięśnie. Oddech stawał się coraz krótszy, zmęczenie przemieniało się w uniesienie, torując drogę odprę ającej błogości. Ujęła jego twarz w dłonie, przesunęła palce wzdłu szyi a do ramion. Cichym, stłumionym głosem powtarzała: -

Rolfe... Rolfe... Rolfe...

- Wytrzymasz to jeszcze?

Ręce zacisnął na jej piersiach; otwartą dłonią szukał miejsca, gdzie biło jej serce.

- Wytrzymać nie potrafiłabym tylko odmowy...

To jej nie groziło. Znowu przygarnął ją do siebie, nowa fala po ądania przyniosła mu nowe siły.

Ich ciała zwały się w konwulsyjnym uścisku. Nie istniało nic, nie istniał świat, nie było przeszłości ani przyszłości.

Wstający poranek niósł ze sobą smugi światła, które zmuszały cienie do odwrotu. A w ich oczach zapalały się srebrne i złote błyski, gdy tak le eli zatopieni w sobie. W ich spojrzeniach nie było nic z ciemności.

Tylko jasność i nadmiar szczęścia.

Rozdział 15

- Jestem długoogoniastym, kociookim synem bagnisk! Mój ojciec to miś grizzly, a moja matka to w połowie pantera, a w połowie orlica. Na aligatorze potrafię jeździć jak na kucyku, potrafię pięścią powalić bawołu, a Missisipi u ywać jako spluwaczki. Chodź tu! U, ha!

Okrzyk przerwał ciszę poranka.

Angeline podniosła oczy znad łataney koszuli, jednej z wielu podartych przez Rolfa i jego ludzi podczas pogoni za Hiszpanem i w drodze powrotnej. W garnku zawieszonym nad ogniem gotowała się kolacja. Mężczyźni pałętali się po fortecy McCullougha pijąc, grając w karty i ziewając z nudów.

Ciszę przerwało wołanie.

- Ki diabeł? - zawołał McCullough, zrywając się z krzesła; zaklął głośno, uderzywszy chorym kolanem o nogę stołu. - To mi wygląda...

Rolfe, z błyskiem w niebieskich oczach, natychmiast przerwał czyszczenie pistoletu. Inni zamilkli.

- Wyleziesz sam, ty sparszywiały, z arty przez pchły, łysy Szkocie, czy mam tam po ciebie przyjść?!

- O, diabli! - szeroki uśmiech pojawił się na twarzy McCullougha. Ruszył w stronę drzwi. Kilku innych równie powstało z miejsc i pospieszyło za nim. Angeline odło yła na bok szycie i z Rolfe'em poszła za nimi.

Ogromny jeździec stał przy schodach wiodących na podwórze. Ubrany był dość starannie, w kurtkę z szarej wełny, kremową kamizelkę zdobioną czarnym jedwabnym haftem, obszerne spodnie miał wpuszczone w błyszczące wysokie buty z cielecej skóry. Gdy zobaczył Angeline, uchylił kapelusza,

ukazując jasnorude włosy nad szeroką twarzą, o regularnych rysach, w której dominowały ciemnoszare oczy.

- Mademoiselle Fortin! - zawołał z niedowierzaniem w głosie.

- Pan Bowie - odrzekła z uśmiechem Angeline.

- Kiedyś mówiła pani do mnie: Jim - odparł, przyglądając się jej uwa nie; dopiero po chwili popatrzył z niechęcią na McCullougha. - Czy mo e mi pani powiedzieć, jak się pani tu znalazła?

Wszystkich uderzyła zmiana tonu, gdy zwracał się do Angeline; do McCullougha mówił jak marynarz z rzecznego statku do swego kumpla.

- Mo e byś tak zlął z tej swojej szkapy, co? - przerwał mu Szkot. - Ja ci to wyjaśnię.

- W porządku, mo esz to zrobić ty. Znam się z Mademoiselle Fortin od jakiegoś czasu. Nasze rodziny, mo na powiedzieć, mieszkały po sąsiedzku w pobli u St. Martinville, dopóki ostatniego roku mój ojciec nie wbił sobie do głowy, e trzeba się przenieść w jakieś mniej zaludnione strony. Wydaje mi się dziwne, e spotykam ją w tym przez Boga zapomnianym miejscu z kimś takim jak ty i twoi kumple.

To ostatnie zdanie przyjął McCullough bez oznak niezadowolenia.

- Opowiem ci wszystko w domu, kiedy zleziesz z konia i wejdiesz. Ty tam, Jack, weź jego konia!

Jim Bowie, mimo ogromnej tuszy, zręcznie zeskoczył z siodła. Z kapeluszem w ręku ruszył w stronę Angeline, ujął jej dłoń i pochylił się nad nią. Spojrzenie, jakim obrzucił Rolfe'a, obejmującego ją w talii, było jeszcze mniej przyjazne ni to, którym na początku obdarzył

Szkota.

Obaj byli mniej więcej tej samej postury i budowy, chocia Bowie wyglądał na trochę ni szego i l ejszego. Rolfe, chyba z racji wieku, wydawał się bardziej władczy - był o jakieś cztery, pięć lat starszy od dwudziestoczteroletniego Bowie. Widoczna, choć trudna do określenia, była te jego przewaga w sposobie bycia, wynikająca z większego doświadczenia yciowego. Spokojnie, z przymru onymi oczami, poddawał się taksującemu spojrzeniu przybyłego, a gdy McCullough zaczął ich sobie przedstawiać, skłonił się lekko.

- Książę - mruknął Jim - jest pan daleko od domu.

Zastanawiam się, co pana sprowadza do naszego kraju?

- Prywatna sprawa.

- Musi to być coś powa nego, skoro sprowadziło pana a na takie odludzie.

- Tak - głos Rolfe'a był spokojny, ale niezbyt zachęcający do dalszych pytań.

- Mam nadzieję, e chętnie pan stąd odejdzie?

- Niezupełnie. Jak dotąd, jest to fascynująca przygoda i bardzo niechętnie bym z niej zrezygnował.

- Ufam, e będzie pan czuł to samo, gdy będzie nas pan opuszczał.

Rolfe uklonił się ponownie.

- Na to wygląda.

Ta wymiana uprzejmości między nimi jakoś podświadomie niepokoiła Angeline. Nie uspokoiło jej równie pojawienie się Andre, który podszedł do Jima, jako do dobrego znajomego z St.

Martinville.

- To miło zobaczyć cię tutaj - rzekł Andre z uśmiechem i wyraźnym zadowoleniem w głosie.

- Ja te się cieszę - odparł Jim z niemal niedostrzegalnym ukłonem w stronę Angeline.

Andre trochę się skrzywił.

- Przebywanie tutaj to średnia przyjemność. Czasem jednak wszystko, co mo na zrobić, to czekać.

McCullough, zniecierpliwiony, e nikt nie zwraca na niego uwagi, przerwał im dalszą rozmowę.

- Dość tego gadania na schodach. Właż, Jim, zara tu znajdziem coś do picia.

Ruszyli w kierunku domu, przy czym nowo przybyły gość zatrzymał się u wejścia, by przepuścić przed sobą Angeline. Na progu obejrzała się i zauważyła, e Rolfe stał nadal w tym samym miejscu, obserwując Jima Bowie i Andre. Widać było, e głęboko nad czymś rozmyśla.

Kiedy mę czyźni zaczęli rozmowę, Angeline oddaliła się, by podać coś do jedzenia.

Jim znalazł się tu, na Ziemi Niczyjej, jak sam powiedział, by kupić większe połacie ziemi. On sam, jak równie jego bracia, Rezin i John, spekulowali działkami. Mówiło się głośno o traktacie, który miał być wkrótce podpisany między Stanami Zjednoczonymi a kimś, kto sprawował nadzór nad terenami położonymi w dorzeczu Sabine River, to znaczy - Hiszpanią lub władzami rewolucji meksykańskiej, które zmieniały się tu z dnia na dzień. Rzeka stanowiłaby wtedy granicę państwa. Na podstawie tego traktatu armia amerykańska zostałaby upoważniona do wkroczenia na ten neutralny pas ziemi i oczyszczenia go ze zbrojnych band. Skoro tylko tereny te staną się bezpieczne, cena ziemi znacznie wzrośnie, a jej właściciele zrobią na tym niezłe fortuny.

- Człowieku - zawołał McCullough - takie bzdury gada sie ju osiem lat, a mo e i więcej, odkąd generał Hampton posłał swoich poruczników McGee i Zabulona Pika w dwunastym roku. Spalili mi chałupy chyba ze trzy razy, ale, jak do dzisiaj, nic mi nie zrobili. Takie tam pierdoły. A wy straciecie tylko cię ko zarobione pieniądze, chłopaki. Ja sie na to nie pisze.

- Ja tak nie uważam - przerwał mu Jim. – Gdybym był tobą, McCullough, to albo bym się zaczął

zastanawiać, jak przekonać ołnierzy z Fort Claiborne, a jestem uczciwym obywatelem, albo ruszyłbym do Teksasu.

- Co, do Teksasu? Juście próbowali to w zeszłym roku, ty i ten dureń Long. Coście to chcieli zrobić. Przyłączyć Teksas do Stanów? A tego pirata Lafitte zrobić admirałem teksańskiej marynarki wojennej. I głównie wam z tego wyszło!

- Wymłócili nas wtedy, to prawda. Ale była to uczciwa wojna i cel ten był dobry. Teksas powinien należeć do Stanów i, z naszą pomocą, jeśli tylko nadarzy się okazja, znowu będę o to walczył.

- To mi wygląda, jakbyś szukał samobójstwa - mruknął pod nosem McCullough - ale jak tego chcesz, to pewno znajdziesz.

Jim zawsze był skłonny do rycerskości. Kiedy usłyszał o uprowadzeniu Claire, zgłosił

natychmiastową pomoc w uwolnieniu jej. Z Claire nigdy się nie spotkał. Była we Francji w czasie gdy rodzina Bowie osiedlała się w St. Martinville. Znał jednak złą sławę Don Pedra i na myśl, a szlachetnie urodzona dziewczyna znajduje się w jego rękach, złe błyski pojawiły się w jego szarych oczach. Nie dowierzał opowieściom Szkota i nie wyzbył się podejrzeń co do Rolfe'a. Późnym wieczorem, kiedy Angeline sprzątała ze stołu, wziął wielki ciężki garnek ze stołu i zaniósł go na miejsce, gdzie zmywała naczynia.

- Powiedz mi szybko, czy jesteś tu z własnej woli - powiedział, nachylając się nad stawianym na ławie garnkiem.

Nie było dziwne, a o to spytał, skoro McCullough, pod bystrym okiem Rolfe'a, rozmyślnie pomijał jej udział w całej historii Claire. Sama też się zawahała, co odpowiedzieć, gdy pomyślała o uprowadzeniu ciotki, o tym, a sama nie miała wyboru, a równie o tym, co podpowiadało jej...

serce.

- Tak - powiedziała po chwili.

- Mam co do tego wątpliwości. Wydaje się nieprawdopodobne, aby taka kobieta, jak pani, podróżowała z nim, była z nim.

Jego zainteresowanie było dla niej i przyjemne, i bolesne. Jim kiedyś lubił z nią przebywać.

Często towarzyszył jej na leśnych ścieżkach wiodących z konwentu sióstr do domu ciotki.

Wiedziała, a kłamał, kiedy mówił, a niby przypadkiem spotykał ją na drodze. Zdarzało się to zbyt często. Potem wyprowadził się z całą rodziną. Krążyły plotki, a zajmował się handlem niewolnikami w Galvez Town z Lafitte, który dostarczał ich ze statków stojących daleko w morzu przez nie kontrolowany port na teren hiszpańskiej części Teksasu. Stąd przetrzucał „towar”

przez Ziemię Niczyją do Stanów Zjednoczonych. Nigdy w to nie wierzyła - a do tej chwili. Bo jak wytłumaczyć jego za złe stosunki z człowiekiem, który w oczywisty sposób kontrolował ten pas ziemi?

- Nic na to nie poradzę. ycie ludzi się zmienia. Ludzie zresztą te .

- Ale nie pani, Angeline. Chciałbym z panią porozmawiać.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Nie ma o czym. Niech pan spyta Andre. On panu opowie, co jest ze mną. Mo e wtedy pan zrozumie...

- Zrobię to, oczywiście - powiedział i po chwili milczenia dodał: - Ale chciałbym pani pomóc.

Jeśli mógłbym cokolwiek zrobić, jestem do dyspozycji.

- Nie ma takiej potrzeby - chciała to powiedzieć zdecydowanie, ale głos jej się załamał.

- Mieszkała pani z ciotką w St. Martinville, prawda?

Mo e mógłbym tam panią zawieźć? Byłbym szczęśliwy... - ponieważ potrząsnęła głową, przerwał, ale za chwilę ciągnął dalej: - Mo e przekazać jakąś wiadomość?

Dostarczę, jeśli zechce pani cokolwiek napisać. Mogę równie przekazać ustnie...

Czy powinna przesłać ciotce jakąś wiadomość o Claire?

Mo e lepiej powstrzymać się do czasu, a ona sama się odezwie albo gdy będzie ju bezpieczna?

- Dziękuję panu, Jim. Doceniam pańską chęć pomocy, ale nie.

Na dalszą rozmowę nie było ju czasu. Ze stosem brudnych naczyń podeszli do nich Oscar i Andre: to było zupełnie coś nowego - zdumiona popatrzyła w stronę stołu, gdzie Rolfe organizował całą brygadę sprzątaczy, którzy posłusznie, choć niechętnie odnosili brudne naczynia na miejsce, gdzie Angeline je myła.

Spotkali się wzrokiem ponad stołem. Rolfe był wyraźnie zadowolony z wyniku swoich działań - oddzielił ją od Jima.

Wzajemna niechęć obu mę czyzn, choć starannie skrywana, nie umknęła uwagi McCullougha.

Było mu to na rękę. Obserwował ich bardzo uwa nie, starał się wciągać w ostre dyskusje, jak chocia by na temat polowania w Europie i Stanach, o ró nym podejściu do niego, o zwierzynie, o stosowanej broni.

- Poka księciu swój nóż, Jim - rzekł, pokazując w uśmiechu ółte zęby.

- Mój nóż ?

Jim wydobyl go z ukrytej pod połą marynarki pochwy. Obracał nim tak, e srebrna i złota inkrustacja rękojeści oraz samo ostrze połyskiwało na jego dłoni.

- Pozwoli pan? - spytał Rolfe ze wzrokiem utkwionym w nóż .

- Oczywiście - odparł Jim i podał mu.

Był to z całą pewnością unikalny egzemplarz. Do jego śmiercionośnego, długiego na osiemnaście cali ostrza dopasowana była niewielka garda osłaniająca dłoń. Samo ostrze miało niewielkie zwię enie od środka do czubka, a zaostrome było jedynie na długości kilku centymetrów.

Rolfe wa ył w dłoni nóż , starając się wyczuć jego środek cię kości.

- Pierwszorzędna broń, podobna do *ciną uedea*, krótkiej szpady z półokrągłą lub krzy ową osłoną na dłoń. Musiał ją robić niezły majster, chocia nie jest tak finezyjna jak klasyczna szpada.

- Zrobił ją dla mnie ze starej raszpli murzyński kowal, który był u ojca na plantacji - wycedził

przez zęby Jim. - Dałbym z tego zrobić kopie, gdybym spotkał kogoś, kto by się tego podjął.

McCullough skinął głową i chytrymi oczkami spoglądał to na jednego, to na drugiego.

- A jak przyjdzie go u yć, nie ma lepszego od Jima.

Ty, Wasza Wysokość, jesteś dobry w no u, ale ten tu jest lepszy od ciebie.

Angeline wcierała gęsi tłuszcz w popękane od szarego mydła dłonie. Na dźwięk ostatnich słów Szkota zamarła. To było wyzwanie, rzucone lekkim tonem, ale Rolfe, ura ony w swej dumie, mógł się poczuć zobowiązany do podjęcia go. A taki krok był bardziej niebezpieczny, ni sądził.

Wiadomo było powszechnie w tych stronach, e Jim, mimo młodego wieku, w walce na no e ju niejednego posłał na tamten świat. Ale uchylenie się od walki byłoby jednoznaczne z utratą autorytetu w oczach tych wszystkich opryszków, a mo e nawet w oczach jego własnych ludzi.

Rolfe spojrział na Bowiego, który z kolei przyglądał się uwa nie Szkotowi.

- Niewątpliwie bardzo przydatna umiejętność, zwłaszcza tu i teraz.

- Uwa asz się pewnikiem za mistrza, a mo e to tylko twoje ludzie tak cie nazywajo. Mo e byś się spróbował z Jimem, tutejszym mistrzem, co?

- eby ci zrobić przyjemność? - spytał Rolfe. - Wprawdzie nie le y w moim zwyczaju sprawianie zawodu gospodarzowi, ale tym razem nie widzę rozsądnego powodu, by w coś takiego się zabawiać.

Albo raczej stać się ofiarą tej zabawy.

- Boisz się, e przegrasz? - zawołał z ceglastymi wypiekami na twarzy Szkot, zdradzając swoje rzeczywiste zamiary. W ten sposób szukał zemsty za swoją przegraną.

- Tego nigdy nie da się wykluczyć.

- To by była walka! Jesteś to winien sam sobie, eby pokazać, kto jest lepszy!

Rolfe z nikłym śmiechem popatrzył na Jima.

- Mamy się pociąć bez powodu? Bezmyślnie rozlewać własną krew? I to za zwiędły wianek z wątpliwych laurów?

- Nie chcę i nie szukam z panem zwady - rzekł Jim, opuszczając wzrok. Spojrzał przy tym ostrzegawczo na McCullougha. - Jedyna walka, jaką jestem naprawdę zainteresowany, to ta z Hiszpanem, z Don Pedrem.

Wypowiedź Jima przyjęto głośnymi okrzykami, gwizdami i wzajemnym poklepywaniu się po plecach. Wszyscy wiedzieli, e będzie doskonałym sprzymierzeńcem. Zaraz te zasiedli do stołu, by się wspólnie naradzić. Zaczęli oglądać mapy i opracowywać plany: brakowało tylko jednego -

nie znali miejsca, gdzie ukrył się Hiszpan ze swymi ludźmi. Angeline nie wykluczono z narady, ale te nikt nie pytał jej o zdanie. Powróciła więc do szycia, ale nie bardzo jej szło. Niespokojna, chodziła po pokoju, dokładała drewna na ogień, podmiatała wióry rozrzucone przy ogniu, sięgała do wiadra z wodą, by się napić.

Powietrze było ciężkie od zapachu jedzenia, dymu z paleniska, oparów samogonu podawanego w wielkich butlach z ręki do ręki, przepelnionych spluwaczek i nie domytych ciał. Od rozpalających się polan na ogniu rosła temperatura w izbie i jeszcze bardziej gęstniało powietrze.

Angeline podeszła do drzwi i uchyliła je. Napływające powietrze było tak czyste, e otworzyła drzwi szerzej, a potem wyszła na zewnątrz i zamknęła je za sobą. Chłód nocy orzeźwiał. Złota ręce na piersiach i ruszyła na wewnętrzne podwórze, i dalej, a do stopni wiodących w dół. Tu stanęła na chwilę, wpatrując się w ciemność. Podniosła wzrok i zapatrzyła się w samotną gwiazdę, błyszczącą niczym latarnia, skroś splecione, bezlistne gałęzie drzew.

Wtedy usłyszała, jak ktoś zakasłał. Pewnie któryś ze strażników, pomyślała. Nastrój prysnął.

Wciągnęła głęboko w płuca czyste powietrze i ruszyła w stronę, skąd przyszła.

Nagle drzwi się otworzyły i, przy akompaniamencie podniesionych głosów, gęsto przeplatanych niewyszukanymi przekleństwami, ktoś wyszedł na podwórze. Był to Meyer. Jego potę ne bary na chwilę przesłoniły wydobywające się z wnętrza światło.

- Przeziębi się pani - powiedział z wyraźną troską w głosie.

- Nie jest mi zimno - odpowiedziała.

- Nie chcemy, eby nam pani zachorowała. Ju i tak dość pani przeszła - rzekł i zanim się spostrzegła, zdjął bluzę i narzucił jej na ramiona. Otuliło ją ciepło i zapachy wnętrza, które przed chwilą opuściła. Nie pozwolił, kiedy chciała mu oddać okrycie.

- To mo e lepiej wejdę do środka? - spytała.

- Mo e za chwilę? Od kilku dni czekałem na okazję, by z panią porozmawiać, Angeline. Ale przy Rolfie i innych, stale kręcących się przy pani, nie było to mo liwe.

- O co chodzi? - spytała, gdy zauważyła, e się zawahał.

Poprawił na niej bluzę, oparł jedną rękę o mur i pochylił się nad nią.

- Obserwuję panią od chwili, gdy Rolfe sprowadził panią do nas. Podziwiam sposób, w jaki się pani zachowuje, umiejętność, z jaką przystosowuje się pani do zmieniającej się sytuacji. Często współczułem pani. Trudno mi to wyrazić...

- To bardzo miło z pana strony, ale...

- Nie. Proszę mi pozwolić skończyć. Jest pani wewnętrznie taka silna, chocia zewnętrznie wydaje się być krucha. Chciałbym pani strzec. Mo e nawet coś więcej - chciałbym mieć prawo troszczyć się o pani bezpieczeństwo. Teraz i później. Wie pani, kim jestem: nieślubnym dzieckiem królewskim. Niemniej jednak coś w Ruthenii znaczę. Jako moja ona miałyby pani określone miejsce na dworze, cieszyła się powa aniem..

- Pańska ona? - spytała podnosząc wy ej głowę. - Proponuje mi pan mał eństwo?

- Właśnie. Czy pani sądzi, e mógłbym proponować pani to, co robi teraz Rolfe? Na taką zniewagę nigdy bym sobie nie pozwolił.

- Ja... przykro mi... nie dał mi pan adnego powodu, bym mogła myśleć inaczej... spodziewać się czegokolwiek od pana.

- Okoliczności są trochę niezwykle. Rolfe z pewnością nie podziękuje mi za mieszanie się w jego sprawy osobiste: jest moim dowódcą i jednocześnie przyrodnim bratem. Ale głęboka troska o panią te nie pozwala mi milczeć.

- Mówił pan o współczuciu i podziwie, o niczym więcej?

- Znam wiele szczęśliwych mał eństw opartych na znacznie słabszych podstawach. Ale jeśli myśli pani o miłości - mogę ją pani dać.

Patrzyła na niego, pochylonego nad nią w ciemności, pełna własnych myśli i doznań.

Proponował jej bezpieczeństwo, szacunek, dostatek. Czy mogła to odrzucić? Ale w porównaniu z

pasją i radością doznań, jakie przeżywała z Rolfe'em, takie sprawy nie miały znaczenia. Były nie do przyjęcia.

- Panie Meyer, nie mogę... proszę zrozumieć. Pan mnie przecie nie zna, tak zresztą jak ja pana...

- Wiem wszystko, co trzeba, i nie spodziewam się, by się pani natychmiast zgodziła. Nie oczekuję, e pani od razu opuści Rolfe'a i przyjmie mnie. Wiem, e on te by się z tym nie pogodził. Ale później, gdy cała ta przygoda się skończy... Będę czekał cierpliwie i ponowię prośbę.

Było jasne, e liczył, i kiedyś, w określonych okolicznościach, Rolfe ją zostawi, a wtedy on gotów jest ją przyjąć. Powinna być mu wdzięczna, ale zamiast tego czuła jedynie dojmujący gniew.

Na odgłos otwieranych drzwi podniosła głowę i zobaczyła, e z domu wyszedł Rolfe. Zbli ał się do nich krokiem czającego się wilka, z włosami połyskującymi złotem od światła stojących z tyłu lamp.

- Twoja kolej na wartę - powiedział do Meyera cicho, ale bardzo wyraźnie.

- Tak, oczywiście - odpowiedział i natychmiast odwrócił się, by odejść.

- Poczekaj! - zawołał Rolfe. - A bluza?

Zdjął bluzę z ramion Angeline i rzucił Meyerowi. Ten pochwycił ją w locie. Spojrzenia obu męczyzn skrzy owały się, po czym Meyer skłonił się nieznacznie, odwrócił na pięcie i zniknął

w ciemnościach. Rolfe ujął dłoń Angeline i poprowadził ją w stronę tej części domu, gdzie znajdowała się sypialnia.

- Idziemy spać?

Z zimnym dreszczem, zupełnie bez związku z tym, e nie miała ju na sobie bluzy Meyera, pozwoliła się poprowadzić przez pustą teraz wspólną izbę do sypialni, którą z nim dzieliła.

Otworzył przed nią drzwi i poczekał, by weszła pierwsza. Pod jego badawczym spojrzeniem poczuła się nieswojo. Podeszła do łó ka i zaczęła niezdarnie zdejmować okrywający je koc.

- Pełno tu wokół zdrajców - powiedział jakby do siebie. - Rosną niczym posiew ze smoczych zębów, oferując... No, właśnie, co? Oparcie w potrzebie, powa anie, coś takiego, za czym tęskni twoja dusza...

Przestała na chwilę otrząpywać poduszkę. Nie patrząc na niego, spytała:

- Martwi cię to?

- Ale skąd! To takie *fort amusant* w dziecinnym i tragicznym zarazem stylu.

- Rada jestem, e cię to bawi - odpowiedziała i bez mrugnienia popatrzyła mu w oczy.

- To o to ci chodziło? Powinnaś mnie była ostrzec.

A tak nie mam cię czym rozbawić. Wybaczysz mi?

- Nie!

To słowo zawisło między nimi, jak ostrze przecinające wszelkie wątpliwości: zamiast obojętności wolałaby scenę zazdrości, chociaż powodem wcale nie musiał być ktoś, z kim on ją łączył.

Wybuchnął głośnym śmiechem. Głęboka zmarszczka między oczami zniknęła mu całkowicie. I nagle znowu spowaśniał.

- A mo e jest ich więcej?

- Kogo? Zdrajców? Nie mogę powiedzieć.

- Zapewne miałabyś ochotę wyjechać stąd z którymś z nich.

Zacisnęła wargi, spojrzała na niego spod półprzymkniętych powiek, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Tak myślisz? - spytała.

- Ja to wiem - odpowiedział, idąc w jej stronę. – Ale gdyby któryś próbował cię do czegoś zmusić, to z jego kości zrobię ci spinki do włosów, a z zębów paciorki do różańca, ebyś się mogła za niego modlić. Tylko w takiej postaci będzie się mógł do ciebie zbliżyć.

Gdyby to była deklaracja, mogłaby sprawić jej dużą radość, ale to nie było adne zobowiązanie, adna obietnica szczęśliwego ycia ani propozycja mał eństwa.

Mogłaby mu powiedzieć o rozmowie z Jimem Bowie, który chciał ją odwiedzić do domu ciotki, albo o zdumiewającej ofercie Meyera, e poślubi ją, gdy on sam ją porzuci. Ale nie chciała niczego na nim wymuszać. Wyglądałoby na to, e ma teraz nad nim przewagę i oczekuje od niego jasnego stanowiska. Chciała tego, ale nie tą drogą. Co mogły oznaczać słowa, które jej powiedział, e chce jej dać miłość „światlistą i jaśniejącą, opatrzoną pieczęciami i przewiazaną wstęgami”, gdyby tylko mógł? Czy to znaczy, e chciałby ją poślubić uroczyście, z wszelkimi ceremoniami? Czy mówiąc to wszystko chciał powiedzieć w sobie właściwy sposób, e pragnie, by została jego oną, jeśli tylko okoliczności na to pozwolą? Ale jakie okoliczności?

Sankcjonowane tradycjami mał eństwa wyłącznie pomiędzy rodami królewskimi w celu zachowania czystości „błękitnej krwi”? Choć te sprawy w Nowym Świecie nie odgrywały ju zbyt wielkiej roli, to w Europie nadal miały du e znaczenie. Niewątpliwie jego ojciec, a obecny król, spodziewa się, e Rolfe weźmie za onę którąś z europejskich księ niczek. Takie zapewne było mał eństwo, którego owocem byli Maximilian i Rolfe. Matka Meyera to był tylko królewski kaprys... Nie, nie mogła się spodziewać, e przyszły król Ruthenii ją poślubi. Co więc ją czeka?

Le ała wpatrzona w ciemność, pogrą ona w myślach. Obok niej Rolfe le ał bez ruchu.

Instyktownie wyczuwała, e nie śpi. Wydawało się, e zamknął się w sobie, a w niej - czuła to -

narastał jakiś chłód, połączenie gniewu i strachu. Jeśli chce być szczerą wobec siebie samej, to musi przyznać, e istniał inny powód, dla którego nie przyjęła składanych jej za plecami Rolfe'a ofert: gdyby się o nich dowiedział, mógłby ją, dla jej własnego dobra, odesłać do ciotki albo zmusić do przyjęcia oświadczyn Meyera, by w ten sposób uwolnić się od wszelkiej za nią odpowiedzialności. Wielce prawdopodobne, e takie rozwiązanie mogło mu odpowiadać, jak odpowiadało jego ojcu: mieć pod ręką kochankę wydaną za mąż za innego. Raczej wątpliwe, by Meyer próbował się temu przeciwstawić. Nie, tak nie wolno myśleć! To prowadzi do cynizmu i rozpacz, do stanu, jaki przeżywa Claire, do obrzydzenia, jakie w stosunku do siebie samej odczuwa kuzynka. To jest pułapka, której musi i której chce uniknąć, bo nikt nie odbierze jej poczucia godności, dopóki sama na to nie pozwoli. A ona tego nie robi.

Claire. Co się z nią dzieje? Co robi w tę zimną, moką noc? Jaki ból i ponienie przeżywa, podczas gdy męczyń, którzy zamierzali ją uwolnić, siedzą tu teraz beczynn, tracąc na próżno czas, gadają, nic nie robią? Posłano wprawdzie zwiadowców, by sprawdzili, co się z nią dzieje, ale nie wolno im podejmować działań, które mogłyby zagrozić jej życiu. Między nimi byli gwardziści, zwłaszcza Gustave i Oswald, których Hiszpan z łatwością wyprowadził w pole zaraz pierwszej nocy, znikając w dziewiczym gąszczu wraz z Claire i swoimi ludźmi. Wysiłki, by ich odnaleźć, były mizerne. Angeline uważa, e kuzynka nie była winna wszystkiemu, co działo się z nią po jej pierwszym porwaniu. Jak długo mogła wytrzymać takie traktowanie? Ile czasu potrzeba, by stała się podobna do Alice, żyjącej w ciągłym przerażeniu?

Po powrocie do obozu McCullougha Angeline wielokrotnie rozmyślała o tamtej nocy, gdy razem z Claire została uprowadzona. Czy niebezpieczeństwo, w jakim kuzynka znajduje się teraz, jest większe czy mniejsze od tego, przed którym uciekła? Uznała, e Claire najbardziej bała się Rolfe'a, jego sił - chocia nie mówiła tego wyraźnie. Angeline nie mogła oprzeć się wrażeń, e dziewczyna zrobiła to z rozmysłem. Co lub kto ją tak nastraszył, e zrezygnowała ze względnego bezpieczeństwa pod osłoną przywódcy opryszków? Całą noc przewracała się z boku na bok, poszukując odpowiedzi na swoje pytania, ale rankiem nadal ich nie znała.

W piątym dniu po ich powrocie do obozu McCullougha przed bramą pojawiła się Gwiazda Poranna. Nie zsiadła z konia, czekając na deszcz i wiatr, dopóki strażnicy nie doniosą Szkotowi o jej przybyciu. Ten, usłyszawszy nowinę, mruknął coś pod nosem, podrapał się po głowie, ale w końcu pozwolił jej wejść, a nawet sam wyszedł na spotkanie. Nikt nie wiedział, co sobie powiedzieli, bo rozmawiali szybko w chrapliwym indiańskim narzeczu, ale efekt był taki, e Indianka zsunęła się z konia i z nieruchomą twarzą, ale lekkim krokiem, weszła do domu. Udała się prosto do kuchni urządzonej wokół paleniska, gdzie spróbowała wszystkich potraw, które przygotowała Angeline, z każdym razem obwąchując podejrzliwie chochlę, zanim dotknęła jej ustami. Niczego nie odmówiła, ale Angeline odniosła wrażeń, i powodem było raczej poszanowanie, jakim Indianie darzą kucharzenie, ni uznanie dla jej umiejętności kulinarnych.

Gwiazda Poranna ulokowała się w miejscach, które uznała za swoje: w łóżku u McCullougha i w kuchni.

Niedługo po przybyciu Indianki do obozu zaczęły napływać różne wiadomości o Hiszpanie: e

przekroczył Sabine River promem pod Camino Real, cudem uniknąwszy wojskowego patrolu z Sabine Camp, e pod Arroyo Hondo porwał kobietę i e jego ludzie zabili jej mę a, e sam Hiszpan miał u swego boku półnągą kobietę o rudych, długich włosach, e pod Grand Ecore zabrali jakiejś kobiecie dwa najlepsze konie i ukradli bydło, e wreszcie napadł na Los Aidas, starą misję niedaleko Nachitoches, zało oną przez hiszpańskich zakonników.

W końcu dotarła wiadomość, na którą wszyscy czekali: odnaleziono Hiszpana. Zało ył obóz na skraju rozlewiska Pierre, zajmąwszy jakieś porzucone zabudowania. Zrobił z nich dość solidną siedzibę, co świadczyło, e nie miał zamiaru tak szybko się stamtąd ruszać.

To, e w końcu osiadł w jednym miejscu, stwarzało du ą szansę na jego ujęcie. Gustave zmienił

mundur na zwykłe ubranie, by nie rzuć się w oczy, i z jednym z ludzi McCullougha, jako przewodnikiem, przeczesywał lasy. Zatrzymali się któregoś dnia w małej miejscowości na skraju rozlewiska Pierre, by napić konie i zakupić trochę ywności, i wtedy zobaczyli człowieka, który wydał im się znajomy: zapamiętywanie raz widzianych ludzi było częścią specjalistycznych ćwiczeń, jakie przechodzili gwardziści. Idąc za nim, dotarli do obozu Hiszpana. Zbadali, ilu ludzi jest w obozie, ile domostw liczy osada, dojścia do niej, gdzie i jakie są drzwi i okna. Ze zdobytymi informacjami ruszyli pospiesznie w stronę fortecy McCullougha.

Wiadomości te spowodowały, e mę czyźni klęli głośniejsz ni przedtem, staranniejsz czyścili broń, w podnieceni klepali się wzajemnie po plecach. Minęła jednak pełna doba, zanim udało się wcześniej ju przygotowane plany wcielić w czyn. Tylko nieliczni orientowali się w szczegółach wyprawy, ale wszyscy - od Rolfe'a a po kobiety i dzieci w obozie – odczuwali jej gorączkę.

Jednym z widomych oznak zbli ającej się wyprawy było zwiększone pijaństwo. Poza tym mę czyźni stali się opryskliwi i głośni, robili sobie nawzajem głupie dowcipy, nawet podczas czyszczenia strzelb. Z kątów wyciągano ogromne płachty, mające chronić przed deszczem, który zwiastowało ciemniejsze niebo.

Rolfe na zewnątrz wydawał się zupełnie spokojny, ale ka dy, kto nie przygotowywał się starannie do wyprawy i nie odpowiadał szybko i trafnie na pytania, doświadczał na sobie ostrości jego języka. Angeline wzięła płaszcz i wyszła z domu, by choć na chwilę побыć w ciszy i uwolnić się od przyprawiającego o nudności zapachu jedzenia, samogonu i nie domytych ciał.

Przez podwórze udała się na zewnątrz obejścia. Jakiś kundel warknął na nią groźnie, ale usłyszawszy jej głos i począwszy znajomy zapach, ucichł. Zbli ał się wieczór. W zapadającym zmroku w pewnej odległości od domu spostrzegła na drodze jasny mundur. Odetchnęła głęboko świe ym powietrzem i ruszyła w jego kierunku. To Oscar, ze strzelbą w skrzy owanych na piersiach rękach, stał pod drzewem na warcie. Na jej widok uśmiechnął się pogodnie.

- Mademoiselle Angeline, przyszła mi pani umilić to nudne zajęcie? Jedyłą rozrywką tutaj jest oglądanie psich polowań na dzikie króliki. Nie mam gitary, bo gry zabraniają jakieś regulaminy i rozkaz samego Rolfe'a.

- A nasza flora i fauna ju pana zmęczyły?

Podeszła do drzewa, pod którym stał, i oparła się o jego chropowaty pień.

- Przyjrzałem się dokładniej ka dej gałązce, ale o tej porze roku niewiele mo na zaobserwować.

A poza tym zapada noc.

- Pewnie będzie pan tutaj, gdy nadejdzie wiosna. To ju za kilka tygodni. W ogrodach krzewy okrywają się kwieciami, zakwitną te śliwy i wiśnie.

- Zauwa yłem, jak nabrzmiewają pąki. Dzieje się to na moich oczach. Jak na luty to przedziwne.

Jeśli jednak jutro wszystko pójdzie dobrze, wyjedziemy stąd, zanim przyroda stanie w pełnej krasie.

- Wyje d acie do Ruthenii? Cieszy się pan?

- Czy tu, czy tam - mnie jest wszystko jedno. Ja i mój brat idziemy za Rolfe'em. Jego radości są naszymi radościami, a jego kłopoty naszymi kłopotami. Gdzie on się zatrzymuje, tam jest nasz dom.

Prostota i szczerłość tej wypowiedzi poruszyła ją do tego stopnia, e gdy się odezwała, dr ał jej głos.

- W Ruthenii czekają was jakieś kłopoty?

- Zgadza się. Mo e nawet większe ni tutaj. Tam jest król... - urwał, jakby się przestraszył i chciał cofnąć ostatnie zdanie.

- Gustave wspominał mi o napiętych stosunkach Rolfe'a z ojcem - powiedziała.

- A czy wspominał równie o tym, e to właśnie król najbardziej yczyłby sobie śmierci naszego księcia?

Angeline spojrzała na niego zaskoczona.

- Och nie, na pewno pan się myli. Jeśli nawet podejrzewa, e to Rolfe był przyczyną śmierci Maximiliana, z pewnością nie chce jego śmierci.

- Nie jestem tego pewien. Zawsze bardziej kochał starszego syna. Po jego śmierci oszalał. I to pod wpływem plotek, które zaczęły obiegać dwór, a które sugerowały, e Rolfe jest w tę śmierć zamieszany. Nie zdziwiłoby mnie, gdybym się dowiedział, e zamachowiec, który idzie za nami krok w krok, jest na ołdzie króla.

- Ale to barbarzyństwo! Jeśli Rolfe jest winien, to mo na było go oskar yć, wtrącić do więzienia...

- Ale wtedy wszyscy by się o tym dowiedzieli. Nie, nie, królowi bardziej by odpowiadało załatwienie tej sprawy po cichu i najlepiej poza granicami kraju.

Słowa, chocia wypowiedane zupełnie spokojnie, były w swej wymowie przera ające.

- Ale kto podjąłby się takiego zadania?

- Zawsze znajdują się tacy, gdy w grę wchodzi tron.

Pokusa jest wielka - bogactwo, a mo e raczej zaszczyty, którymi król mo e obsypywać. Zawsze się znajdzie ktoś wystarczająco przebiegły, kto zdobędzie broń i zabije - dla króla.

- Ale , Oscar, niech pan pomyśli: jeśli zginie Rolfe, nie pozostanie aden następcą tronu w prostej linii.

- I co z tego? Stary król zawsze utrzymywał, e w porównaniu z Maximilianem Rolfe wypadł gorzej, co nie było prawdą. Ale nie mo na go było o tym przekonać. Król zapewne byłby w pełni zadowolony, gdyby tron objął jego bratanek Leopold. Odsunięcie Rolfe'a od sukcesji byłoby dla niego źródłem przewrotnej radości. I byłoby wbrew woli narodu.

Milczała przez chwilę, zastanawiając się, co powiedzieć.

- Jeśli to nie zamachowiec, który idzie krok w krok za Rolfe'em i czyha na jego ycie, zabił

Maximiliana, to w takim razie kto to zrobił?

- Kto to mo e wiedzieć? Mogło to być samobójstwo, mógł to być zazdrosny mąż , porzucona kochanka, choćby nawet sama Claire.

- Nie mówi pan tego powa nie?!

- Dziwniejsze rzeczy się zdarzały. Ona nie umarła.

I wydaje się śmiertelnie przera ona.

W tym względzie miał rację, niemniej jednak Angeline nie mogła się z tym pogodzić. Istniała jeszcze inna mo liwość: król miał rację, e to Rolfe, w przyływie wściekłości, zamordował

brata, ale zaraz tę myśl odrzuciła. Nie wierzyła w to, nie chciała wierzyć.

Zaczęli rozmawiać o innych sprawach, ale myśl o tym, e to król ojciec posyła płatnego mordercę za swym synem, tkwiła w niej niczym arzący się w popiele węgielek.

Nawet nie chciała myśleć, e mo e to być prawda, ale czy nie tak było podczas pierwszego napadu pod zamkiem, kiedy to bezskutecznie usiłował spotkać się z ojcem?

Jeśli idzie o płatne morderstwo, to teoretycznie największe mo liwości w tym względzie mieli jego ludzie. Lojalność, przyjaźń, wierność często da się złamać obietnicą bogactwa, godności i zaszczytów.

Wiedząc o tym, a przecie musiał wiedzieć, jak mógł komukolwiek ufać? Jak mógł się spodziewać, e

sytuacja się zmieni, gdy wykryje mordercę brata? Czy naprawdę wierzył, e wtedy ojciec zacznie go doceniać, a mo e nawet kochać? Ten wielki wysiłek, związany z tyloma niebezpieczeństwami, mo e okazać się daremny.

Rozdział 16

Wyruszyli następnego dnia tu po południu. Rolfe i McCullough jechali na czele z gwardią i Andre, który trzymał się bardzo blisko Oscara i Oswalda. Pozostali uformowali się w luźny szyk za ich plecami. Męczyli pokrzykiwali i pogwizdywali, wyjeżdżając z obozowiska.

Nawet gwardziści wydawali się zadowoleni, e znowu coś się dzieje, i przekrzykiwali się z pozostałymi. Tylko Rolfe miał skupioną minę i zapatrzony przed siebie, bez radości myślał o czekającym ich spotkaniu. Pocałował Angeline na powitanie, krótko i bez słów. Wpatrywała się w niego z gardłem zbyt ściśniętym, by móc się odezwać, zagubiona w jego błękitnych oczach.

Odwrócił się, wskoczył na konia i tylko w jego włosach, mimo szarości dnia, zagrały złote ogniki. Wyjechali z podwórza, wzbijając w powietrze tumany kurzu. Tętent kopyt końskich oddalał się stopniowo i wkrótce umilkł w oddali.

W godzinę po ich wyjeździe zaczęły padać na ziemię krople deszczu, wielkie jak łzy głębokiego smutku. Zapaliła lampę, by rozproszyc mrok. Nadchodził wieczór. Nie było przyjemnie zostać samej, bez nieustannego wchodzenia i wychodzenia ludzi, bez śladów zabłoconych butów na podłodze, bez krzyków i gwaru. Siedziała przed kominkiem, zapatrzona w płomienie, starając się zebrać rozbiegane myśli. Czowała się, jakby była zawieszona w próżni, przejęta strachem i rodzającym się gdzieś w okolicy serca bólem. Jak to się stało, e tak przeżywa się

bezpieczeństwem tego człowieka? Nie sądziła, e mo e dojść do czegoś takiego. Mijały dni i noce, a ona była ciągle w niewoli. Co z tego wyniknie?

Był czas, by zastanowić się poważnie nad tym, co powinna zrobić. Unikanie decyzji, odkładanie jej na później niczego nie rozwiązywało. Nawet jeśli teraz odnajdą i uratują Claire, to wcale nie była pewna, czy ciotka zechce ją ponownie przyjąć do swego domu. A jeśli nawet ją przyjmie, to jej życie i tak stanie się jednym pasmem powolnego umierania: przez swą eskapadę straciła dobre imię. W takim stanie rzeczy propozycja Jima Bowie warta była rozważenia. Była jeszcze propozycja Meyera. Obraz życia, jaki przedstawił, gdyby została jego żoną, nie był zachęcający.

Czy potrafiłaby żyć według reguł i protokołów, bez miłości, w pobliżu Rolfe'a, ale oddzielona od niego? Czy potrafiłaby żyć w Ruthenii, z dala od wszystkiego, co było jej bliskie od urodzenia?

A czy wiadomość o tym, e jest utrzymanką Rolfe'a, nie dotrze wraz z nią, kładąc się cieniem na jej przyszłość, choćby nawet nie miała zamienić z Rolfe'em jednego słowa od chwili gdy stracą z oczu brzegi Luizjany? Chyba lepiej dla niej będzie, jeśli zamiast tego porozumie się z Andre.

Ostatniego tygodnia kilkakrotnie próbował porozmawiać z nią na osobności, ale zawsze coś im przeszkadzało. Skoro wie, e nie ze swej winy znalazła się w obecnej sytuacji, mo e zdoła pokochać ją na nowo? Tylko czy ona sama tego chce? Czy zasłużył sobie na to, by wiązać się z kobietą, która w

zamian mo e mu zaoferować jedynie to, e go lubi? Czy będzie szczęśliwy, je eli nie potrafi zapomnieć o tym, e nale ała do innego? Chciałaby yć w Luizjanie, wśród ludzi, którzy mówią jej językiem, pielęgnują te same obyczaje, ale czym będzie dla niej to wszystko, jeśli szczęście się od niej odwróci?

Były jeszcze inne mo liwości. Matka Teresa, nawet gdy sama nie będzie mogła przyjąć jej do swego konwentu w obawie przed niezadowoleniem rodziców uczennic, potrafi na pewno wskazać jej jakiś inny klasztor, który by ją przyjął. Gdyby to zawiodło, poszuka jakiejś posady, szwaczki czy guwernantki. Tylko co będzie robiła do tego czasu? Jak zdobyć posadę bez adnego doświadczenia, bez listów polecających, bez świadectwa moralności? To były pytania, na które w tej chwili nie potrafiła sobie odpowiedzieć.

Trzeba koniecznie coś zrobić, a przynajmniej - zaplanować. Z Rolfe'em nie mo e wiązać całej swojej przyszłości: uzmysłowiła to sobie w ostatnich dniach zimnej poprawności między nimi.

Jej dobre samopoczucie opierało się na kruchej podstawie - jego po ądania. Jeśli mu ono minie, zostanie sama, bez znajomych i przyjaciół, w obcym kraju. Nie mogła ufać zapewnieniom Gustave'a - czy mo e Meyera? - e Rolfe zapewni jej dostatnie utrzymanie, nawet gdy odsunie ją od siebie. Zdawała sobie sprawę, e takie obietnice nic nie znaczą, a zresztą i tak niczego od niego nie chciała. Duma była luksusem w takiej chwili, ale to była ostatnia wartościowa karta, jaką posiadała, nie zamierzała wyzbywać się godności, zdając się całkowicie na jego łaskę.

Jakiś stukot przerwał te rozmyślenia. Zaczęła nasłuchiwać. Wydało się jej, e słyszy Gwiazdę Poranną, krzątającą się po drugiej stronie domu, przy kuchni. Odgłos upadku czegoś ciężkiego na podłogę potwierdził jej przypuszczenia. Czy by Indianka ju przygotowywała jedzenie dla powracających? Niemo liwe, by mogli wrócić tak szybko. Na pewno minie jeszcze sporo czasu, zanim się tu pojawią. Mo e by jej tak zaoferować pomoc w robocie, zamiast siedzieć i bić się z myślami, które i tak prowadzą donikąd? Indianka stała plecami do drzwi, gdy Angeline je otworzyła. Zbierała z półki miski i garnki i pakowała je do worka le ącego obok niej na podłodze. Wielka drewniana misa z hałasem uderzyła w ścianę.

- Co robisz? - spytała ostrym tonem Angeline.

Gwiazda Poranna odwróciła się gwałtownie z elazną chochlą w rękę i błyskiem w brązowych oczach.

- Zabieram co moje!

- Twoje? To wszystko twoje? - Angeline wskazała na cynowe talerze poukładane na półkach, na worki mąki i kaszy, kawy i fasoli stojące pod ścianą.

- Moje. Mam do tego prawo. Gdy przyszedłam tu ze swego szczepu, miałam ze sobą stado bydła, a tak e futra i wyprawione skóry, które McCullough wkrótce sprzedał. A potem odesłał mnie z niczym. Więc teraz zabieram te wszystkie rzeczy.

- Nie mogę ci na to pozwolić. Kiedy mę czyźni wrócą, muszą mieć co jeść! - zawołała Angeline.

- Tobie te radzę: weź, co ci się przyda, i uciekaj.

Nie widzę powodu, by dłużej czekać. Uśmiech, jaki pojawił się w oczach Indianki, nie zachęcał do stawiania oporu. Angeline poczuła nerwowe dreszcze.

- Co masz na myśli? Przecie nic się nie zmieniło. Nie mogę stąd odejść.

- To zostań. Będiesz sama, jak te kobiety tutaj, wykorzystywana do końca. Mówię ci to dlatego, e potrafiłaś uśmiechnąć się do mnie i pomagać mi jak siostra tej samej krwi. Najlepiej dla ciebie będzie, jeśli odejdziesz. Zaraz.

- Co ty knujesz?! - spytała ostro Angeline i postąpiła krok w stronę dziewczyny. Ta cofnęła się bez strachu i dalej pakowała naczynia do worka.

- Ja? Nic takiego. Po prostu zaniósłam wiadomość do Hiszpanów. To nic wielkiego, ale sprawiło mi dużą radość. A teraz jeden z nich, zwany Don Pedro, czeka na McCullougha, jadącego na jego spotkanie.

- A co... co z innymi? - spytała Angeline, chocia pytanie było zbyt częstą sama domyślała się odpowiedzi.

- Pułapka ma szerokie wejście - odparła Indianka. - Ale czemu ty masz się o to martwić? Przecie ci, co mają zginąć, porwali cię od twoich bliskich, prawda?

Angeline podeszła jeszcze bliżej do Indianki, a dziewczyna ze strachem cofnęła się pod ścianę.

- Kto, kto prosił cię o przekazanie wiadomości?!

Gwiazda Poranna wbiła wzrok w podłogę.

- Ten, który zrozumiał moją nienawiść, widział ją...

- Jak się nazywa?

- Czy to ważne? Wskazał mi, jak mogę się zemścić.

- To powiedz mi przynajmniej, czy to ktoś z ludzi księcia?

Indianka cofała się w stronę drzwi, a Angeline postępowała za nią.

- Różni się tu kręć. Nie znam ich wszystkich i nawet tego nie chcę, bo nie wypada kobiecie patrzeć im wszystkim w twarz. egnaj, Angeline. Ja odchodzę.

Odeszła jak widmo. Rozpłynęła się w gęstniejącym mroku. Jeszcze tylko przez chwilę słyhać było odgłos końskich kopyt i nastała cisza. Angeline stała bez ruchu, z zamyślonymi rękami, i gryzła wargi. Nie mogła zebrać myśli. Czowała jedynie ogromny strach. Dobrze zastawiona pułapka, a Hiszpan trzyma

w ręku jej sprę yny... Rolfe i pozostali spieszyli się, by w nią wpaść.

Ile czasu minęło od ich odjazdu? Godzina? Mo e. Mo e trochę więcej. Chcieli dotrzeć do kryjówki Hiszpana przed zapadnięciem nocy. Padający deszcz pogłębiał ciemności. Nabrała w płuca powietrza - poczuła, jak dojrzewa w niej decyzja. Tak, ju wiedziała. Ruszyła w stronę drzwi, po drodze zdjęła płaszcz z kołka, owinęła się nim i przez podwórze pobiegła w stronę stajni. Ciemnobrązowa klacz na jej widok nastawiła uszu. Nie miała kłopotów z jej osiodłaniem.

Wyprowadziła konia na deszcz, wskoczyła na jego grzbiet, przymierzyła się do hiszpańskiego siodła i nogami ścisnęła końskie boki. Klacz zar ała cicho, podrzuciła łeb i ruszyła w stronę traktu prowadzącego w głąb Ziemi Niczyjej. Angeline wiedziała, dokąd i jakimi drogami jechać, bo słyszała, jak Gustave wyjaśniał wszystko Rolfe'owi. Ale nie wiedziała, e główny trakt przecinają dziesiątki pomniejszych dróg i ście ek, u ywanych przez wojsko lub znanych tylko Indianom albo po prostu wydeptanych przez zwierzęta. Zapadający stopniowo zmrok nie ułatwiał

rozeznania. Wzdłu traktu nie było adnych znaków ani domów. Nie było podró nych. Nie spotkała nikogo, kogo mogłaby zapytać o grupę mę czynn.

Droga uciekała pod końskimi kopytami. Ich głuchy odgłos niknął wśród bezlistnych gałęzi drzew i w spletanym leśnym poszyciu. Omijała głębokie kału e tworzące się w koleinach, przeprowiała przez strumienie i rozlewiska powstałe po ostatnich deszczach. Od czasu do czasu zatrzymywała się, by odszukać ślady tych, którzy nie tak dawno tędy przeje d ali, ale deszcz szybko je rozmywał, tak e tylko czasem udało jej się coś dostrzec.

Zaczęła odczuwać zmęczenie, nogi jej drętwiały i z trudem utrzymywała wodze w palcach. Ale nie rezygnowała z dalszej jazdy. Koń oddychał ciężko i czuła, e słabnie. Musiała na chwilę stanąć, by go choć napić w mijanym strumieniu, zaraz jednak, mimo piany, pokrywającej jego boki, mimo pary unoszącej się nad nimi w zimnym powietrzu, ruszyła przed siebie. Nie mogła ani sobie, ani klaczy pozwolić na odpoczynek. W tym wyścigu kara za spóźnienie mogła być zbyt wysoka. Zmru onymi oczami starała się przebić zapadające ciemności, powstrzymać nadchodzącą noc. Modliła się, by Rolfe, McCullough i pozostali nie posuwali się zbyt szybko.

Nie czuła ani wiatru, ani deszczu na twarzy. Płaszcz przesiąkł wodą i cią ył jej na ramionach.

Gdzieś pod czaszką czuła głuche uderzenia końskich kopyt, wypierające wszystkie inne dźwięki.

Do jej świadomości dotarły dopiero huk wystrzałów, przytłumionych odległością. Pochyliwszy się nad karkiem konia, przynagliła go i prosiła o ostatni wysiłek. Zwierzę ruszyło do przodu, niosąc Angeline coraz bli ej miejsca, skąd dochodziły strzały. Gdzieś niedaleko jęknęła odbita rykoszetem kula - i wszystko ucichło.

Szaleństwem byłoby podje d ać do zabudowań. Po kilku krokach Angeline zatrzymała konia, zsiadła i wprowadziła go w las. Przeciskała się przez gąszcz poszycia. Czuła coraz mocniejszy zapach butwiejącego drewna, gnijących liści i zastalej wody. Gdy znalazła się na tyle daleko, e od strony drogi była zupełnie niewidoczna, przywiązała konia do pnia i ruszyła w stronę światła lampy, widocznego wśród drzew. Światło padało z prostokątnych okien wielkiej izby. Oświetlało ganek,

podwórze i le ąca ciała mę czyn. Ramiona mieli wyciągnięte w jakimś śmiertelnym geście. Postacie były jasno ółte, spłowiałoczerwone, szare i ciemnoniebieskie, niemal czarne.

Trochę z boku, jak jasna plama, le ał ktoś w czystym białym mundurze. Z tego miejsca nie mogła dostrzec, kto to był.

Z niewielkiego, ciemnego wawozu, znajdującego się w bok od okna, rozległ się strzał. Zaraz po nim drugi, ale ju z bliska, z miejsca, gdzie rosła kępa wiecznie zielonych cyprysów. Ktoś przyskoczył do okna w izbie i oddał w tamtym kierunku pojedynczy strzał. Angeline była niemal pewna, e Hiszpan pozostawił na przynętę kilku swoich ludzi w oświetlonej izbie, a główne siły zgromadził w wawozie niedaleko budynku. Gdy Rolfe i pozostali ruszyli w stronę domu i znaleźli się w kręgu światła, zostali ostrzelani niczym dzikie kaczki na tle zachodzącego słońca.

Ci, których nie dosięgły kule, szukali schronienia w gaju cyprysowym. Angeline miała nadzieję, modliła się, by Rolfe znalazł się wśród tych ostatnich. Postać w białym mundurze le ąca w błocie na podwórzu wydawała się jej zbyt szczupła jak na księcia Ruthenii. Jednak równie dobrze światło mogło zniekształcać obraz.

Ciemność rozdarł błysk wystrzału z wawozu w stronę gaju. Odpowiedział mu głośny okrzyk bólu

- znak, e cyprysy nie stanowiły pewnej osłony. Ludzie McCullougha i gwardziści nie mogli się nawet poruszyć z obawy, by nie zdradziło ich światło padające przez bezlistne gałęzie drzew, bo wtedy ludzie Don Pedra, sami dobrze ukryci, łatwo mogli ich dosięgnąć.

Gdzie w tym zamieszaniu i śmiertelnej strzelaninie mo e znajdować się Claire? Czy jest w izbie, pozostawiona na wabia, by skusić Rolfe'a do podejścia?

A mo e le y w błotnistym wawozie z Don Pedrem, jako zakładniczka, na wypadek gdyby coś poszło nie po jego myśli. Jedno było niemal pewne: nie było jej z tymi, którzy zebrali się w gaju.

Co ma zamiar zrobić Rolfe? Bo nie spodziewała się, by jakieś zdecydowane akcje podjął

McCullough czy Jim Bowie. Z zaciśniętymi rękami rozwa ała ró ne mo liwości: wszystkie były ryzykowne i niebezpieczne, ale - były. Mógł frontalnie zaatakować wawóz, licząc na du ą skuteczność ognia gwardzistów i tych, których sam niedawno ćwiczył, by w ten sposób przełamać pozycje Hiszpana. Ale podejmując taką decyzję, musiałby się liczyć z powa nymi stratami. Mógł wycofać się kilkadziesiąt metrów w stronę pozostawionych koni, ale w tym przypadku nale ało się liczyć z rzezią. I była jeszcze jedna mo liwość: mógł sprowokować Don Pedra do wyjścia na otwartą przestrzeń i do zaatakowania gaju.

I wtedy od strony cyprysów rozległ się niski, drwiący głos:

- Mój hiszpański przyjacielu, wyra am uznanie dla waszej bystrości, ale skuteczności strzeleckiej pochwalić nie mogę.

- Jest wystarczająca, by cię ubić, *amigo* – rozległa się natychmiast odpowiedź.

- Nadzieja to rzecz dobra, a nawet konieczna, kiedy się leży z brzuchem w błocie, w deszczu kapiącym za kołnierz i z wodą w butach. Nie masz ochoty na piękny, pachnący cedrem parasol, trochę ciernisty, ale za to doskonale chroniący naboje przed zamoknięciem? Radzę ci, nie zwlekaj, bo inaczej deszcz cię rozbroi. A to może być przykre.

Na dźwięk tych słów, płynnych, wypowiedzianych z lekkością, Angeline poczuła dziwną błogość.

- Rolfe - szepnęła do siebie i osunęła się na kolana: nogi odmówiły jej posłuszeństwa, a łzy zakręciły się w oczach. Grzbietem dłoni roztarła je po całej twarzy, by lepiej widzieć.

Płynące z gaju obelgi, rzucane z celowym i umiejętnym opanowaniem, spotykały się z coraz gwałtowniejszą reakcją. Od czasu do czasu padał te strzał, ale nigdy nie pozostawał bez odpowiedzi. W krótkich chwilach ciszy Angeline słyszała dochodzące a tutaj porykiwania krów, jakby ktoś je niepokoił. Należały zapewne do jakiegoś osadnika, który teraz przeklina opryszków za kradzie.

Naszła ją nowa myśl. Hiszpan nie wiedział, że ona tu jest. Jeśli udałoby się jej narobić trochę hałasu, mogłaby na chwilę ściągnąć na siebie jego uwagę i w ten sposób umolić Rolfe'owi błyskawiczny atak. Nie miała żadnej broni. W pośpiechu nie pomyślała o pistolecie czy strzelbie, zresztą nie miała pojęcia, czy coś z tych rzeczy pozostało w domu. Mogła krzyczeć, ale to nie na wiele by się zdało. Co innego, gdyby zdołała pogasić światła w izbie, ale zbliżyć się na taką odległość, by kamieniem rozbić lampę, to zbyt ryzykowne. Poza tym, gdyby Hiszpan ją pochwycił, tylko by wszystko pogorszyła, bo Rolfe zostałby zmuszony do natychmiastowego działania, by ją uwolnić.

Co więc mogła zrobić? Najlepiej byłoby wypłoszyć Don Pedra z wąwozu. Ale jeden jeździec nic nie zdziałał. Trzeba by całej grupy jeźdźców, którzy zaatakowałiby go od tyłu. Rozmyślenia przerwał jej ryk krowy. Popatrzyła w tamtym kierunku i uśmiechnęła się. Z westchnieniem ulgi wstała i spieszenie zaczęła przekradać się do miejsca, gdzie zostawiła konia. Prowadząc wierzchowca za uzdę, szła okrężną drogą, przedzierała się przez krzaki i nisko zwisające gałęzie. Kierowała się tam, gdzie zaczynał się wąwóz, w którym zgromadzili się ludzie Hiszpana.

Oświetlone okna domu, widoczne pomiędzy drzewami, były doskonałym drogowskazem.

Trzymając się go dotarła na zaplecze domostwa.

Bydło trzymano w ogrodzeniu z pali wbitych w ziemię i połączonych liną. Kopyta zamieniły cały teren w grzęzawisko. Ryki i odgłosy uderzeń rogów o rogi czyniły niesamowity tumult. Brama zrobiona była z łąki zbitych w prostokąt, którego jedna strona przymocowana była sznurem do słupa w płocie. Angeline, starając się robić jak najmniej hałasu, pochyliła się i rozwiązała sznur.

Brama ze skrzypieniem otworzyła się na całą szerokość. Bydła nie trzeba było popędzać.

Angeline musiała jedynie szybko usunąć się z koniem z drogi, gdy krowy zaczęły wychodzić przez otwartą bramę. Na wolnej przestrzeni ruszyły za Angeline. Teraz trzeba je było skierować we właściwą stronę. Klacz, jakby wyczuła intencję swej pani, dogoniła krowę biegnącą na czele stada i zepchnęła ją na prawo od zabudowań. Tu stado rozbiegło się trochę i zmierzało wprost na wąwóz, gdzie ukryty był Don Pedro ze swymi ludźmi. Radość rozpieierała jej piersi. Wolałaby znaleźć sposób,

by o wszystkim zawiadomić Rolfe'a, ale wiedziała, że i tak potrafi skorzystać z takiego obrotu sprawy.

Tu obok wąwozu skierowała konia w bok, pozwalając stadu przegalopować przed sobą.

Dopiero teraz zauważyła, jak ciężko oddycha koń i jak drży. Zeskoczyła, przerzuciła wodze nad łbem zwierzęcia i pogłaskała go czule po pochylonym karku. Zajęta koniem nie zwróciła uwagi na panikę, jaką wśród ludzi Don Pedra wywołało pędzące stado, chociaż krzyki przerażenia docierały a tutaj. Gdy przyjrzała się dokładnie, zobaczyła, jak krowy staczają się po ścianie wąwozu, inne próbują go przeskoczyć, a te, które wpadły, próbowały się z niego wydostać.

Hiszpan i jego ludzie z głośnymi przekleństwami i w panicznym strachu biegli w stronę ukrytych w gaju ludzi Rolfe'a i McCullougha.

Obie grupy zwały się ze sobą z krzykiem, wyzwiskami i przekleństwami, walcząc na pięści, bo nie było czasu na ładowanie pistoletów. Walczyli w padającym przez okna świetle lamp, błyskającym i odbijającym się od luf strzelb i ostrzy noży. Walka była krwawa, ale krótka.

W ciągu kilku minut krowy rycząc rozbiegły się w ciemności; niektóre z połamanymi nogami pozostały na dnie wąwozu, razem z rannymi ludźmi. Pokonany Hiszpan i ci z jego ludzi, którzy wyszli cało, zostali związani i ułożeni na podłodze ganku. Rolfe, z mokrą gołą głową, szedł w świetle lampy w stronę leżącej na podwórzu postaci w białym mundurze. Przyklęknął na jedno kolano, dotknął ramienia leżącego i obrócił go naznak. Oscar patrzył w górę niewidzącymi oczami. Włosy koloru piasku rozsypały się wokół twarzy. Banda, którym miał owinięty przegub, był brudny od błota, a ręce, jakby stworzone do strun gitary, bezwładne, tak że nawet pistolet wysunął mu się z palców. Przód i bok munduru były mokre i czerwone od krwi.

- Chwała tym młodym olnierzom - szepnął niemal niedosłyszalnie Rolfe. - Ginęli za honor i w obronie byle jakich spraw, za ojczyznę, a czasem za niegodnych tego ludzi, nie - za miłość.

Wyniszczyli swe ciała i umysły, przewyciężyli wszystko, co można nazwać strachem - nie dla miłości.

- On cię kochał - powiedziała Angeline, wolno podchodząc i stając u boku Rolfe'a.

Obrócił głowę w jej stronę.

- Powinienem był powiedzieć: nie dla miłości kobiety.

Chwała tak i naszemu aniołowi stróżowi, mokremu teraz, obdartemu i utaplanemu w błocie, ale z radością witanemu. Tylko co, u diabła, ty tutaj robisz?

- Przybyłam, by was ostrzec. Niestety, za późno.

Chociaż oczy miała pełne łez, chociaż czuła się przygnębiona śmiercią Oscara, była zadowolona.

W pewnej chwili na twarzy Rolfe'a zauważyła dziwny grymas, który mógł świadczyć o tym, że czuje się winny śmierci gwardzisty. A tak i jej obecności tutaj.

- Czy to były twoje te słodkie wołania, które słyszeliśmy, a które powiodły trzody Zeusa, by wymierzyły sprawiedliwość w iście zeusowy sposób?

- Zrobiłam, co mogłam.

Rozejrzała się dokoła. Spozstrzegła Jima Bowie, jak stał oparty o słup kru ganku, ze strzelbą w skrzy owanych rękach, pilnującego pojmanych opryszków. Z boku zauwa yła brata Oscara, jak z twarzą ściągniętą gniewem, z pistoletem w ręku, zmierzał w stronę Don Pedra. Widziała, jak podbiegli do niego Gustave i Leopold i powstrzymywali go, tłumacząc mu coś spokojnie. Meyer na stopniach kru ganku opatrywał komuś krwawiącą ranę. Dopiero po dokładniejszym przyjrzeniu się poznała, e to Andre - był trupio blady.

- Mogli cię zabić - rzekł do niej bez ogródek Rolfe.

Angeline odwróciła się i spojrzała na niego przelękniona.

- Ciebie te .

- Ja potrafię się bronić, a ty...

- A mnie chroni mój spryt i... szczęśliwa gwiazda. Zresztą co za ró nica? Jestem tu cała i zdrowa.

Bardzo zapragnęła, by ją objął, przytulił, ogrzał sobą, by poczuła, e jest bezpieczna. Rozumiała jego poczucie winy i odpowiedzialności, tak e to, e jest zdenerwowany, ale to nie poprawiło jej samopoczucia.

- Nie bądź niegrzeczna w stosunku do swego nauczyciela - powiedział łagodnie. - Poza tym, e się bałem o twoje bezpieczeństwo, chciałbym jeszcze wiedzieć, co ci strzeliło do głowy, e uznałaś za konieczne, by tu przybyć?

Ju otwierała usta, by mu odpowiedzieć, ale wtedy właśnie ujął ją za ramię i poprowadził do izby. Gdy znaleźli się w środku, podszedł do pieca i umiejętnie rozniecił du y ogień. Kiedy płomienie ogarnęły polana, zdjął jej z ramion przemoknięty płaszcz, wziął z łó ka koc, otulił ją i usadowił na krześle tu przy piecu. Dopiero wtedy pozwolił jej mówić.

Kiedy ciepło przeniknęło jej przemoczone ubranie i dotarło a do zziębniętej skóry, poczuła lekkie dreszcze, ale nie chciała, by wyczuł to w jej głosie. Kosztowało ją to sporo wysiłku, tote opowieść nie była długa.

- Jesteś pewna, e Gwiazda Poranna nie powiedziała nic, co pomogłoby nam ustalić, kto ją do tego namówił? - spytał i nachylił się do ognia, nie zwa ając na gorąc buchający z pieca.

- Jestem pewna. Zresztą miałam du o czasu, by się nad tym zastanawiać, gdy tu jechałam.

Minęła chwila, zanim znów się odezwał, ale jego słowa nie miały ju nic wspólnego z tym, o czym dotychczas rozmawiali.

- Oscar został ranny w bok, z prawej strony, trochę z przodu.

Spojrzała na niego pytająco. Zaskoczenie z wolna zniknęło z jej twarzy; w to miejsce pojawiała się przerażenie.

Hiszpan i jego ludzie znajdowali się na lewo od izby, gdy gwardziści się do nich zbliżyli. Ludzie Rolfe'a, dobrze wyszkoleni, nigdy nie podchodzili do takiego miejsca w zwartym szyku - robili to zawsze w małych grupkach i z różnych stron. Oscar, sądząc po miejscu, w którym leżał, był w grupce atakującej od frontu. Znaczyło to tyle, że w trakcie ataku strzelił do niego ktoś z tyłu.

Po namyśle, z ociąganiem, musiała pogodzić się z myślą, że nie był to przypadek. Czy Rolfe kogoś podejrzewał? Ból w głębi jego oczu był niejako odpowiedzią na to pytanie: domyślał się, ale pewnie nie wiedział, co zrobić. Może w ciemności pomyłono go z Oscarem? A może było to działanie celowe, może Oscar coś wiedział, zobaczył albo się domyślał?

Angeline spojrzała na Rolfe'a: przypuszczenia Oscara, że król mógł wynająć mordercę, stawały się coraz bardziej prawdopodobne. Ale na widok jego stęplonych rysów nie miała odwagi się odezwać. Miał teraz dość kłopotów i podsuwanie mu dodatkowo myśli, że ojciec ucieszyłby się na wieść o jego śmierci, uznała za zbyt bolesne. Martwił się o nią w chwili desperackiego ataku, ogrzał ją i troskliwie okrył, wyjawiał jej swoje najskrytsze myśli. Nie mogła mu za to odpłacić tak strasznym podejrzeniem.

Zamiast tego spytała:

- A co z Claire?

- No, właśnie. Zobaczymy, co do powiedzenia na ten temat ma nasz hiszpański przyjaciel.

Jeśli Don Pedro sądził, że o swoje życie będzie się mógł potargować, rzucając na szalę posiadane informacje, to się mylił. Rolfe od razu wybił mu to z głowy. O jego życiu czy śmierci miał

zdecydować McCullough. Don Pedro, klnąc i złorzecząc, szybko się załamał. Powiedział, że Claire w krótkim czasie stała mu się ciężar. Za konia z siodłem sprzedał ją komuś na ulicy w Los Adais. Nabywca, zawodowy szuler, nie miał stałego miejsca pobytu. Wyglądało na to, że jest w drodze do Natchitoches, ale tylko jeden Bóg wie, czy mówił prawdę.

Potem wypadki potoczyły się już bardzo szybko. Oscar został pochowany przy świetle latarni.

Grób oznaczono naprędce zbitym krzyżem. Rolfe i gwardziści zarekwirowali zapasy Hiszpana i załadowali je do sakw. Jim Bowie zaraz po skończonej walce musiał podjąć dalszą podróż, a on i tak miał jechać do Natchitoches, ofiarował się być przewodnikiem, co przez wszystkich zostało przyjęte z radością. Andre z Angeline wracali do fortecy Szkota. McCullough miał tam ruszyć trochę później. Powodu opóźnienia nie wyjawiono, ale przyczyna była jasna: trzeba było coś zrobić z ciągle jeszcze związanymi ludźmi Don Pedra i z nim samym.

Angeline, na polecenie Rolfe'a, wyłączono z ceremonii pogrzebowych Oscara: pozostała przy ognisku i wysuszyła sobie dokładnie ubranie. Gdy mężczyźni byli gotowi do drogi, zrzuciła z siebie koc, którym była dotychczas okryta, i założyła suchy płaszcz. Rolfe podszedł do niej i narzucił jej na ramiona podgumowaną pelerynę.

- Nie dawaj mi tego - powiedziała dość obcesowo i zdjęła okrycie. - Sam zmokniesz.

- To nie moje. To Oscara. Już jej nie będzie potrzebował, więc nie masz co marudzić. A zdjął ją z siebie, nim zaczęła się strzelanina.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Ja... to znaczy... chciałabym, ebyś mi pozwolił... jechać z tobą do Natchitoches.

- Obecność Claire jest tam co najmniej wątpliwa i bardzo mo liwe, e będziemy musieli pojechać dalej. I co wtedy?

- Ale Don Pedro przysiągł...

- To taka przysięga nieboszczyka i w dodatku, jak twierdzi McCullough, takiego, który nie dostanie się do raju. Poza tym to bardzo długa i męcząca droga, jazda przez całą noc, bez odpoczynku.

- Je eli ty dasz radę, to ja te .

- Naprawdę tego chcesz, szczerze?

W jego oczach dostrzegła ciepło, a dziwna błogość ogarnęła jej skołowane serce.

- Chciałabym spróbować...

- Wiem, ale nie mogę na to pozwolić. Jedź z Andre. Tak będzie najlepiej.

W jego spojrzeniu nie było ju śladu ciepła. Pochyliła głowę. Patrzył na nią przez kilka denerwujących sekund, a tymczasem inni zaczęli się ju zbierać przy piecu, szukając jedzenia i czegoś do picia.

Nagle podszedł do niej, przygarnął do siebie i pocałował prosto w usta. Mundur miał mokry, ale ta wilgoć pachniała świe ością nocy i ciepłem bliskiego mę czyzny. Pocałunek był dziwnie zaborczy, miał posmak traconej nadziei. Kiedy ją puszczał, wyglądało to tak, jakby się wahał, co zrobić. Dopiero po chwili odwrócił się i cofnął o krok.

Kilkoma słowami rozkazu zebrał swych ludzi wokół siebie. Wyszli z izby razem z Angeline i Andre. Konie były ju okulbaczone. Gustave pomógł jej wskoczyć na siodło. Z lejcami w ręku czekała, a Andre, z ręką na temblaku, dosiadł swego konia. Potem otoczyli ją gwardziści. Nie widziała, czy dał im jakiś znak. To nie miało teraz znaczenia. Jej niedawny wielbiciel podjął

wodze i wyprowadził konia z podwórza, spośród egnających ją gwardzistów, jęczących i klnących ludzi Don Pedra, siłą stawianych teraz na nogi i prowadzonych w stronę wielkiego dębu, przez którego konary ludzie McCullougha ju przerzucali powrozy.

Przez ramię popatrzyła w stronę, gdzie stał Rolfe - on te na nią patrzył. A do chwili, kiedy podszedł Meyer i ujął go za ramię. Obrócił się gwałtownie i szarpnął, wodze. *Gardę du corpse*, teraz ju tylko czteroosobowa, oraz Jim Bowie, ruszyła przed siebie. Rozciągnęli się jak klucz dzikich gęsi, jadąc w kierunku przeciwnym ni ona.

Jeszcze przez chwilę widziała ich błyszczące od wody kapelusze, a straciła ich z oczu.

Odwróciła twarz. Z każdą minutą zwiększała się odległość między nią i księciem Ruthenii. Była bardzo nieszczęśliwa, bolały ją niewypłakane łzy. W piersiach czuła nieznośny ciężar. Zupełnie jakby z oddalającym się mężem czyżną łączyła ją niewidzialna nić, która z każdym krokiem napinała się coraz bardziej i która wreszcie pęknie, bo pęknąć musi.

Ta chwila nadeszła: Pozwoliła łzom swobodnie spływać po twarzy i mieszać się z padającym deszczem.

Andre jechał obok niej jak cień. Słyszała, jak o rondo jej kapelusza biły krople deszczu. Słyszała, jak kopyta ich koni miesiły błoto rozmiękłego traktu. Była zadowolona, że jest noc, że pada - nie musiała rozmawiać. W myślach jeszcze raz przeżywała po egnanie z Rolfe'em i gwardią i usiłowała przekonać samą siebie, że nie było to po egnanie ostateczne.

Rozdział 17

Dym unosił się w powietrze ciemną smugą, mieszając się z szarością wstającego poranka.

Kobiety z twarzami czerwonymi od płaczu i gorączki krzątały się tu i tam, starając się ocalić, co ocalić było można. Dzieci siedziały zbite w gromadkę pod osmolonymi drzewami. Jakaś dziewczyna z czarnymi warkoczami i wybitym przednim zębem nabierała wodę ze studni: wiadro, którym czerpała wodę, zdawało się jedynym całym naczyniem w obejściu.

Angeline i Andre, nie schodząc z koni, przyglądali się temu, co do niedawna było fortem McCullougha. Nie ocalał ani jeden z domów ani budynków gospodarczych.

Wszystko było wypalone do fundamentów. W zasięgu wzroku nie widać było adnego żywego inwentarza, z wyjątkiem obskubanego koguta z ubłoconym, rdzawym i zielonkawym upierzeniem, grzebiącego w miejscu, gdzie stała stajnia. Andre podjechał do stojącego samotnie blondynka.

- Zrobili to złodzieje Indianie - odpowiedział na pytanie Andre. - Napadli na nas o północy pod wodzą kobiety McCullougha. Czego nie zabrali ze sobą, to spalili lub potłukli. Mama mówi, że musimy się stąd wynieść gdzie indziej, przynajmniej do czasu, a zbuduje się nowe domy.

Chłopiec w locie chwycił centa, którego rzucił mu Andre.

- I co, Angeline?

Zdobyła się na nikły uśmiech.

- Jeśli pytasz, co mam zamiar zrobić, to muszę ci odpowiedzieć, że nie wiem.

- Myślę, że McCullough znajdzie jakieś schronienie, chociaż by to, które opuściliśmy. Tylko że musi tam zabrać te kobiety i dzieci. A na dębie, jak zgniłe owoce, wiszą ludzie Don Pedra. Wcale nie jest pewne, czy wyjeżdżając, nie podłożą pochodni pod dachy.

Angeline zamyśliła się. Obraz przedstawiony przez Andre wydawał się bardzo prawdopodobny.

- A czy jest inne wyjście?

- Mo esz pojechać ze mną do Nowego Orleanu, do mojej matki.

Madame Delacroix spędzała zimę w tym mieście nad rzeką. Zawsze na koniec stycznia zamykała dom w St. Martinville i przeprowadzała się do miasta, zabierając ze sobą pełne wozy sreber, porcelany, kryształów, a tak e kufry z ubraniami i pościelą, puchowe materace i poduchy, beczki wołowiny i wieprzowiny, marynowane figi, jabłka, gruszki i morele. Do tego cały zestaw galaretek i powideł. Zupełnie, jakby jej dom przy Rue St. Anne nie był doskonale zaopatrzony w ywność i sprzęty, przewietrzony i wysprzątany, a błyszczało.

- To... to bardzo ładnie... z twojej strony, ale niemo liwe. Niepotrzebne.

- Komu niepotrzebne? Mnie bardzo potrzebne.

Kocham cię, Angeline, i chciałbym się tobą opiekować. Cierpię, widząc, e nie masz nikogo, do kogo mogłabyś pójść, ani miejsca, gdzie mogłabyś się zatrzymać. Gdzie mogłabyś się przyzwoicie ubrać. Jedź ze mną, błagam.

- Nie chcę być nikomu cię arem – odpowiedziała zgnębiona.

Patrzyła na kobietę, która otrzepywała z popiołu kawałek szynki, wydobyty spod gruzów. Jej okrzyki radości ściągnęły uwagę pozostałych kobiet, które teraz biegły w jej stronę.

- To nie byłby aden cię ar. Moja matka zajęłaby się tobą i zrobiłaby to z radością, wiedząc, e będziesz jej synową.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Chciałbyś się ze mną o enić? Po tym wszystkim?

- To moje największe pragnienie.

Jeszcze jedna propozycja. Musiała chyba wyglądać bardzo mizernie, skoro budziła w mę czynach takie opiekuńcze uczucia. Ale wcale tak się nie czuła. Czuła się pełna ycia i mocy.

Choć mo e akurat teraz nic na to nie wskazywało. Tylko Rolfe wzbraniał się przed daniem jej swego nazwiska. Tylko on.

- Pomyśl, Angeline, *ma chere* - mówił dalej, gdy mu nie odpowiedziała. - Co się stanie, jeśli ksią ę po ciebie nie wróci? A co będzie, jeśli... jeśli będzie... dziecko?

Podniosła głowę; na policzki wystąpiły jej rumieńce.

- No właśnie. Co wtedy?

- Będzie nosiło moje nazwisko i będę je kochał z miłości do ciebie. I nigdy - przysięgam! - nie będę

ci tego wypominał ani do tego wracał.

- Jesteś a nazbyt dobry, Andre. Ale i tak nie mogę...

- Dobry?! - zawołał. - Proszę cię, błagam, zgódź się. Zawsze ceniłem sobie twoją przyjaźń i podziwiałem twoją odwagę, twoją szlachetność i urodę. Ale nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jak jesteś mi droga, dopóki nie zobaczyłem, jak podczas tych ostatnich tygodni potrafiłaś wznieść się ponad zło...

Ledwo słuchała tego, co mówił. Podejrzewała, e mo e być w cią y. Straciła rachubę dni i tygodni. Wiedziała, e ostatni okres miała jakieś dwa tygodnie przed przyjęciem u Madame Delacroix. Była zadowolona, e teraz nic się jej nie zdarzyło, bo w tych warunkach byłoby dość trudno sobie poradzić. Ale gdzieś w głębi duszy czuła strach - ciągły i nękający. Ostatnio zaczęły jej dokuczać zapachy, czasem czuła mdłości, były te inne, mniej wyraźne oznaki. Co w tej sytuacji powinna zrobić? Pójść nie wiadomo dokąd z McCulloughem, kiedy tu powróci, wierząc, e Rolfe ją odnajdzie, zanim Szkot nabierze odwagi i spróbuje wziąć ją siłą, w czym tylko Rolfe mógł mu przeszkodzić? Rolfe wierzył, e Szkot będzie się bał odwetu, dlatego nie złamie danego słowa w obecności Andre. Ale jeśli ona odrzuci propozycję Andre, to co go tu zatrzyma?

Zsunęła z głowy kaptur i palcami odgarnęła włosy.

- Czy moglibyśmy zsiąść z koni? Czuję, e muszę się trochę przejść. Mo e przejdzie mi ból głowy...

- Czemu mi wcześniej nie powiedziałaś?! - zawołał i zeskoczył z konia; podbiegł, by jej pomóc zsiąść.

- Konie zresztą te potrzebują odpoczynku, trzeba je napoić i nakarmić. Obawiam się, e oprócz wody, niczego tu nie dostaniemy. Tobie te przyniosę.

Angeline podeszła do grupki kobiet i zaczęła rozmawiać z tymi, które ju tu wcześniej poznała.

Wydawały się dość nieufne i ura one tym, e zniknęła na tę tragiczną noc, a one pozostały same.

Opowiedziała im, co się wydarzyło, a widząc nadchodzącego Andre ze srebrnym kubeczkiem w ręku, przerwała opowieść i ruszyła na jego spotkanie.

Podał jej kubek. Ze zmarszczonym czołem popatrzyła na mętny płyn.

- To proszek na ból głowy. Wypij. Zaraz przyniosę ci wody do popicia.

Wstrzymując oddech, przełknęła pierwszy łyk: płyn był bardzo gorzki.

- Nie jest zbyt mocny?

- Mo liwe, bo jest to dawka zalecana dla mnie, na moją ranę.

Poklepał po karku stojącego obok konia.

- To Rolfe dał go Meyerowi z przeznaczeniem dla mnie, więc na pewno jest dobry.

- Te tak myślę - odrzekła, choć odczuła przy tym dziwny niepokój.

Wypiła resztę lekarstwa i oddała kubek. Biorąc go od niej, ukradkiem spojrzął na drogę w kierunku, skąd przybyli.

- Ty te powinieneś je zażyć - powiedziała.

- Oczywiście, za chwilę.

Odwrócił się i szybko poszedł w stronę studni. Widziała, jak przyglądał się wiadru, którym czarnowłosa dziewczyna czerpała wodę, potem zanurzył kubek i wrócił. Kiedy wypijał wodę, wziął naczynko i wypłukał je dokładnie. Następnie wyciągnął ze studni jeszcze jedno wiadro wody i napił się sam. Angeline nie zauważyła, by wziął lekarstwo: pomyślała, że może e podał jej ostatnią dawkę, jaka mu została. Te wszystkie poświęcenia dla niej zaczynały ją irytować: Meyer dał jej swoją kurtkę, Andre - lekarstwo, Oscar - pelerynę. No właśnie, miły, spokojny Oscar, który tak cudownie wygrywał cygańskie melodie na gitarze, już nie potrzebował peleryny....

Myśli zaczynały się jej plątać. Nogi stawały się ciężkie, jak z ołowiu, a musiała się oprzeć o resztki płotu, do którego przywiązali konie. Andre kręcił się wśród dzieciaków, rozdając im jakieś drobniaki. Nie - teraz zbliżył się do niej, kołysząc się jakoś dziwnie; dwaj chłopcy, idący za nim, też się kołysali. Kołysały się drzewa gdzieś w głębi za nimi. Zrobiła niepewny krok w ich stronę... Pochwycił ją w pół podtrzymując, pół niosąc, oparł znowu o płot. Chłopcy szybko podeszli z końmi.

- Bardzo mi przykro, Angeline - szepnął - ale nie widziałem innego sposobu...

Uniósł ją i nie zważając na ból w zranionym ramieniu, zarzucił sobie na plecy, stanął na środkowej części płotu i uchwytując jej jako stopnia razem ze swoim ciężarem dosiadł konia.

Umieścił ją w siodle przed sobą. Siedziała bez ruchu, z policzkiem wspartym o jego pierś.

Ścisnął udami konia. W chwili gdy ten ruszył, ciężkie powieki opadły jej na oczy i zasnęła.

* * *

Poranne słońce wlewało się złotą strugą do pokoju. Jego ciepło wypierało z wolna chłód nocy.

Niewielki ogień na marmurowym kominku przydawał wnętrzu przytulności. Angeline leżała w łóżku z baldachimem, ozdobionym rzeźbionymi liśćmi akantu. Opierała się o zagłówek, obłożony białą powłóczką z koronkami, otoczona pękatymi poduchami w satynowych poszewkach, obrzeżonych szydełkiem i pokrytych haftem. Po jednej stronie łóżka, na niskim mahoniowym stoliku leżała błyszcząca, srebrna taca. Na niej stał dzbanek z cieniutkiej porcelany z aromatyczną czekoladą, kubek, talerz z gorącymi bułeczkami, nakryty lnianą ściereczką, oraz niewielki bukietik narcyzów w srebrnym wazoniku.

Zapach kwiatów mieszał się z zapachem czekolady i wypełniał cały pokój. Mieszanię zapachów

uzupełniała delikatna woń ziół, wydobywająca się ze szklanej czary stojącej na kominku i podgrzewanej jego ciepłem.

Wyciągnęła rękę po dzbanek z czekoladą i naląła sobie do kubka. Nigdy w życiu tak jej nie rozpieszczano, nawet gdy była chora. Z troskliwości, jaką ją tu otoczono, mo na by wywnioskować, e jest co najmniej obło nie chora. Od trzech dni, jakie minęły od jej przybycia, nie pozwalano jej wstawać z łó ka. Dostała najnowsze pisma z Pary a, zestaw powieści i co rusz podsuwano jej jakieś smakołyki, aby tylko nabrała apetytu. Pani domu od czasu do czasu wpadała do niej na chwilę, ale większość czasu spędzała sama - miała odpoczywać i nabierać sił.

Z początku była zbyt wyczerpana, by robić cokolwiek innego, ni pozwolić, by otoczono ją luksusem. Była tak słaba, e nawet nie sprzeciwiała się, kiedy słu ąca Heleny Delacroix ją kąpała, myła jej włosy jak dziecku i czesała. Otumanienie spowodowane nie tylko przemęczeniem było dla niej w jakimś sensie zbawienne.

Niewiele pamiętała z drogi do Nowego Orleanu. Zanim się przebudziła po za życiu prosków od bólu głowy, byli ju jakieś dwanaście godzin drogi od granic Ziemi Niczyjej. Le ała w łó ku ustawionym na wozie, który Andre skądś wypo yczył. Stanowczo odmówił zawrócenia z drogi, a ona sama była zbyt słaba, by to na nim wymóc. Gdy spróbowała stanąć na nogi, upadłaby, gdyby jej nie podtrzymał.

Jechali całą noc i cały następny dzień. Andre miał zapadnięte i podkrą one z przemęczenia oczy i wymizerowaną twarz. W końcu zatrzymali się na jakiejś plantacji. Andre nie znał właścicieli, niemniej dostali jedzenie i posłanie w pokoju na zapleczu domu, przeznaczonym specjalnie na takie okazje. Tacy goście na tym szlaku nie nale eli do rzadkości. Andre spał na zewnątrz pod wozem, zawinięty w derkę. Angeline zajęła jedyne łó ko w pokoju. Nie dowiedzieli się, co o tym myśleli gospodarze, gdy o pierwszym brzasku ruszyli w dalszą drogę. Po spokojnie przespanej nocy Angeline poczuła się lepiej, ale odurzenie jeszcze nie minęło i było jej wszystko jedno, z kim i dokąd jedzie.

W pełni odzyskała świadomość dopiero, wtedy, gdy po iluś dniach podró y dotarli do domu Delacroix w mieście i stanęła przed obliczem Madame Helene, matki Andre. Na jej wypielęgnowanej twarzy odbiło się wyraźne przera enie. Najwyraźniej poraził ją oplakany wygląd Angeline w niechlujnej sukience, obszarpanym płaszczu, z potarganymi włosami. Andre wyglądał podobnie. Co by to było, gdyby świadkiem ich przyjazdu był ktoś z przyjaciół? Gdyby zobaczył wehikuł, którym przyjechali? *Tiens!* Lepiej o tym nie myśleć! Dopiero później zauwa yła, e syn ma rękę na temblaku, i zaczęła się dopytywać, jak to się stało i kiedy.

Angeline popijała czekoladę, przyglądała się tapetom w misterne wzory, zasłonom z ró owego jedwabiu, podwiązanym plecionym sznurem, firankom tak delikatnym jak pajęczyna, wypolerowanej podłodze, wyściełonej kilimami w odcieniu ró u, ólci i zieleni. Dom był

przykładem doskonałej mieszaniny hiszpańskiego stylu budownictwa i francuskiej ornamentyki.

Frontem zwrócony był do ulicy Vieux Carre, „starego skweru”, w samym centrum najstarszej dzielnicy miasta. Miał osiem pokoi, wszystkie na piętrze, tak e nie docierał do nich hałas i kurz uliczny. Parter przeznaczony był na mieszkania dla słu by, a tak e na magazyny i komórki.

Na tyłach domu znajdowało się piękne podwórze w stylu mauretańskim, z fontanną pośrodku, z ywopłotami z rododendronów wzdłuż ścieżki wyłożonych ceglami. Wnętrze urządzone było w stylu paryskim. W pokoju, w którym leżała Angeline, znajdowała się toaletka, z jednej strony ozdobiona mosiężnym lichterzem, z drugiej - obrazkiem pasterek z trzódką kóz. Szafy ukryto za koronkowymi zasłonami, a w witrynach stały kolekcje kufli ze srebrnymi pokrywkami oraz leżały szczotki i grzebienie o srebrnych rączkach. Obok na ścianie, w srebrnej ramce, wisiał

miniaturowy portret Andre.

Andre.

W czasie podróży był uosobieniem uprzejmości i troskliwości. Nie było rzeczy, której by nie zrobił, by zapewnić jej wygodę i spokój. Z jednym wyjątkiem: powrotu do McCullougha.

Przepraszał za to, ale w swym postanowieniu był niewzruszony. Ani łzy, ani groźby nie zdołały zmienić jego decyzji. Martwiła go jej apatia po dwóch dniach i nocach nieustannej podróży, ale sam udawał radość i zadowolenie, chociaż ramię z pewnością sprawiało mu straszny ból przy powrocie.

Ale chwilami była mu niemal wdzięczna za wymuszenie na niej tej podróży. Nie znaczy to, iż wybaczyła mu, że ją odurzył, ale jej niezdolność do podjęcia jakiejkolwiek decyzji paraliżowała ją. Jej krok. Pójście za Andre było obraniem drogi z nakazu rozsądku i wcale nie miała pewności, czy sama zdecydowałaby się na taki krok, na odejście od Rolfe'a. To przecie on sam odesłał ją, bez jednego słowa, czy i kiedy po nią wróci. Choć nie powiedział tego, że tego nie zrobi.

Delikatne pukanie do drzwi sprawiło jej ulgę: pozwoli choć na chwilę oderwać się od zakłętego kręgu myśli.

- *Entrez!* - zawołała w stronę ozdobnych drzwi z chińską klamką.

Helene Delacroix wkroczyła do pokoju w eleganckiej aksamitnej sukni, lamowanej falbanką z morelowego jedwabiu, z fryzurą okrytą frymuśnym stroikiem ze wstążek i koronek. Za nią postępowała jej osobista służąca, z miną i manierami pielęgniarki na pierwszym dyżurze, niosąc cały stos przewieszonych przez ramię sukien.

- *Bonjour, ma chere!* Mam nadzieję, że dobrze spałaś.

- O tak, cudownie!

Do północy przewracała się w łóżku, niespokojna gonitwą myśli i... brakiem ruchu na powietrzu.

Ale o tym nie wypadało przecie mówić.

- To dobrze. Skoro czujesz się dość wypoczęta, może przymierzylabyś coś?

- Nie wiem...

- Tylko musisz mi wybaczyć, *chere*. Moja córka absolutnie nie miała gustu w tym zakresie, a nie

pozwalała sobie doradzać. A ja zawsze tak pragnęłam ubierać kogoś według własnej wizji!

- Mam ubranie... - odrzekła Angeline.

- Tę szarą sukienczynę? Nadaje się do spalenia i tak właśnie zrobiłam - powiedziała to jakby z poczuciem winy.

- Spaliła pani moją jedyną suknię? - spytała Angeline z niedowierzaniem.

- Zapewniam cię, e to najlepsze, co mo na było z nią zrobić. Ka dy, kto by cię w niej zobaczył, wziąłby cię za pokutnicę. Do tego nie mogę dopuścić. Powinnaś wyraźnie pokazać, e nic cię nie obchodzą jakieś pokątne poszeptywania. To jedyny sposób na ludzi...

- Zupełnie mo liwe, ale jedynie w przypadku, gdybym miała zamiar pokazywać się w jakimś towarzystwie.

A nie chcę tego robić...

- Nie pokazywać się?! Fatalnie, *ma chere*, fatalnie! Wszyscy będą zaraz mówili, e pewnie masz coś do ukrycia.

Gdy tylko Madame spojrzała na twarz Angeline, powstrzymała się od dalszej tyrady. Dopiero po chwili zaczęła mówić, ju spokojnie.

- Nie myślę ci czegokolwiek narzucać. Ale musisz, *chere*, wiedzieć, e tu wszyscy dowiedzieli się o twoim porwaniu przez księcia. Jak długo jestem w mieście, tylko o tym się mówi. W tym sezonie jest to główny temat spotkań towarzyskich.

- W takim razie tym bardziej nie będę się nigdzie pokazywała - powiedziała Angeline, odstawiając z hałasem kubek z czekoladą i odsuwając tacę.

- Będiesz musiała. Nie mo esz się wiecznie ukrywać. Ale ja będę cię osłaniać. Szepnę kilku, ale naprawdę tylko kilku zaufanym osobom, e wszystko, co się na ten temat mówi, to gruba przesada, e Andre, twój prawie narzeczony, ruszył ci na ratunek i zdą ył na czas. Potem ogłosi się zapowiedzi i wszyscy w to uwierzą, bo nie przyjdzie im nawet do głowy, e mój syn mógłby sobie wziąć za onę dziewczynę o podejrzaney reputacji. To wszystko głupstwa. Dlaczego Andre miałby się z tobą nie o enić, skoro cię kocha? A ludzie zawsze potrzebują trochę sensacji.

Angeline spojrzała jej w oczy.

- O nie, Madame! To trochę za szybko. Jak dotychczas, między nami nie było adnej rozmowy na temat ślubu czy mał eństwa.

Przez chwilę na twarzy Madame dał się zauwa yć wyraz zadowolenia. Ale zaraz zastąpiło go współczucie i zatroskanie.

- Andre powiedział mi, e tak będzie. A poniewa opowiedział mi pokrótce całą historię -

wydaje mi się, e tak byłoby najlepiej.

- Wziąłby na siebie zbyt wiele.

- Nie powinnaś mieć mu za złe, e zwierzył mi się z miłości do ciebie i poprosił o pomoc i radę.

Zawsze wiedział, czego chce, i zawsze to osiągał.

- Nie wątpię - odpowiedziała Angeline i sztuczny uśmiech wykrzywił jej wargi. - Ale nie mogę pozwolić, by moje życie układał według swego uznania.

Twarz Madame Delacroix była śmiertelnie powa na, gdy zwróciła się w stronę Angeline.

- Co innego mo esz zrobić, *chere*? Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak potoczą się wydarzenia, jeśli nie postąpimy tak, jak mówię. Zrobię wszystko, co mogę, ale obawiam się, e bez ślubu, i to mo liwie szybko, twoje życie stanie się jednym pasmem udręki.

- Na to nie mo na nic poradzić.

Matka Andre przez chwilę patrzyła na Angeline. W końcu wzruszyła ramionami.

- Pozostawiam tę sprawę tobie i Andre, ale ostrzegam cię, jego niełatwo jest odwieść od raz podjętej decyzji. A póki co, nie mo esz nago chodzić po domu, bez względu na to, czy będziesz się udzielała towarzysko czy nie. Zechciałabyś popatrzeć, co ci przyniosłam?

Mówiła to tak zdecydowanym tonem i tak rozsądnie, e skrajną głupotą byłoby się z tym nie zgodzić.

Słuchając, Murzynka, o miłych kształtach, szczerym uśmiechu, w niewiele mniej ozdobnym stroiku ni ten, jaki miała na głowie jej pani, podeszła do łóżka i ułożyła na nim kolorowy niczym tęcza stos jedwabi i aksamitów, satyn i batystów. Widząc taką obfitość strojów, Angeline zawołała zachwycona:

- Czy to nie za dużo?!

- No có - odezwała się Helene smutnym głosem. - Przytyłam trochę w tym sezonie, a wszystko to szyto w Paryżu na moje zeszłoroczne wymiary. Chocia bym chciała, nie mogę się w nie teraz wcisnąć. A Ceci nawet nie chce na nie patrzeć. Więc mo e ty...

Ceci to była siostra Andre, dobra przyjaciółka Angeline, chocia trochę od niej młodsza.

- Czy Ceci jest tutaj?

- Nie. Znałaś mo e kiedykolwiek bardziej irytującą dziewczynę? Na dwa tygodnie przed naszym tu przyjazdem nabawiła się ospy wietrznej. Ale nas wystraszyła! To przecie mogła być ospa zakaźna, rozumiesz? Pozostanie z ojcem na plantacji, a zginą jej krosty. Obawiam się, e na przyszły rok musi mieć własną rolę w teatrze. Ale dość tego. Przymierz tę sukienkę. Myślę, e po drobnej przeróbce będzie dla ciebie dobra.

Stroje wymagały wprawdzie gruntowniejszych zmian, niemniej jednak po dniu pracy Angeline pokazała się ubrana z wyszukaną prostotą w brązowy akiecik narzucony na jedwabną, zieloną suknię z podniesioną talią i dużym dekoltem na plecach, zwężającym się tu przy eleganckiej stójce wokół szyi, z bufiastymi rękawami lamowanymi koronką. Obcięła włosy nad czołem, jedynie modne w tym sezonie spiralne loki opadały z boku, okalając twarz. Na nogi założyła eleganckie buciki z delikatnej skórki, na wysokości kostki lamowane aksamitem w tym samym kolorze co suknia. W sypialni na piętrze pracowała specjalnie zatrudniona szwaczka, która przerabiała jeszcze trzy dalsze zestawy, na które należała matka Andre: jeden w ciemnym granacie, jeden różowy z czepkiem z piórami i jeden czerwonozłoty w ółte prążki, z koronkowym kołnierzykiem w stylu van Dycka.

Madame Helene była w swoim gabinecie. Tu zazwyczaj załatwiała korespondencję i przeglądała rachunki związane z prowadzeniem domu. Angeline zapukała do drzwi i z cichym szelestem sukni weszła do środka.

Madame Delacroix uniosła wzrok znad biurka, odłożyła pióro na podstawkę z onyksu. Andre, stojący u jej boku, odwrócił głowę. Twarz rozjaśnił mu radosny uśmiech.

- Zachwycające! - zawołała Madame. - Czy nie, Andre?

- Rozkoszne - odparł Andre i chrząknął, próbując pozbyć się niespodziewanej chryпки.

- Dziękuję wam obojgu - rzekła Angeline wesoło, jakby wraz ze strojem odzyskała dawną radość życia. - Nad czym tak wspólnie pracujecie?

- Dobrze, e pytasz - Helene szybko spojrzała na syna. - Dotyczy to ciebie, *chere*. Zapytałabym cię naturalnie o zdanie, zanimbym to wysłała. Przedtem jednak chciałabym z Andre uzgodnić formę. Widzisz, piszę do twojej ciotki, by ją zawiadomić o twoim szczęśliwym powrocie.

- Ach tak. To miłe, ale myślę, e niepotrzebne.

- Tak samo mówił Andre, ale moje sumienie nie pozwoliłoby mi utrzymywać ją w niewiedzy.

Czy by Madame Delacroix liczyła na to, e ciotka natychmiast tu przyjedzie i zabierze ją, zanim jej syn postawi na swoim? Nie mo na jej za to winić. Ale myśl o tym była bolesna. Przecie nie tak dawno ten związek cieszył się jej pełną aprobatą.

- Postąpi pani, jak uzna za stosowne.

- Ale , kochanie, nie patrz na to w ten sposób! - zawołała starsza pani. - Wcale się nie zdziwię, jeśli w ciągu tygodnia Berthe de Buys ściągnie do miasta.

- Zobaczysz.

Tak się nie stało. Chcąc odwrócić uwagę Angeline od tego, e ciotka nie dawała adnej odpowiedzi, Madame zorganizowała wyprawę do sklepów, znajdujących się na parterach domów hiszpańskich i francuskich przy Vieux Carre. Kupiły chusteczki i pachnidła, rękawiczki, weloniki przeciw coraz mocniej przygrzewającemu słońcu, bieliznę i korzenie palczatki, której zapach odstraszał mole.

Madame wynajęła dorożkę i pojechały do dzielnicy zwanej Farbourg St. Mary, zamieszkaanej w przeważającej części przez ludność angielskojęzyczną. Przeszły się wzdłuż grobli, wokół placu Broni i skwerem przed kościołem Świętego Ludwika. Tu i tam wymieniały ukłony ze spotykanymi znajomymi, od czasu do czasu przystawały, a Madame przedstawiała im swoją młodą przyjaciółkę z chłodnym spokojem, zupełnie nie reagując na zdziwione spojrzenia i uszczypliwe niekiedy uwagi.

W niedzielę wieczorem wybrały się do Theatre d'Orleans, gdzie paryska śpiewaczka, ze skalą głosu niemal tak bogatą jak jej biały i niemal w całości odsłonięty biust, grała rolę Rosiny w operze Rossiniego *Cyrulik Sewilski*. Podczas antraktu ich odwiedziły dwie starsze matrony o rzucających się w oczy arystokratycznych manierach, które więcej czasu poświęcały Angeline, niż prezentującej się na scenie aktorce.

Rozmawiały z Madame, od czasu do czasu rzucając Angeline jakieś mało znaczące pytanie, lustrując uważnie jej ubiór, zachowanie, wyraz twarzy. Z wdzięcznością przyjęły zaproszenie do złożenia wizyty swojej drogiej przyjaciółce Helene zaraz następnego dnia. I wyszły.

- Ach, *chere* - westchnęła z ulgą Madame, odchylając się do tyłu w swym fotelu - jutro zobaczymy. W całym Nowym Orleanie nie ma nikogo znacniejszego niż te dwie damy, niegdyś należące do dworu samej Marii Antoniny. Je eli one cię zaakceptują, reszta pójdzie już gładko.

Jeśli nie - jesteśmy zgubione.

Angeline wcale nie była pewna, czy ma ochotę, by oceniano ją niczym konia na aukcji czy niewolnika na targu. Ale następnego rana założyła suknię z róbowego jedwabiu i sztywna udała się do salonu, w którym Madame już od jakiegoś czasu rozmawiała ze starszymi paniami.

W starczych, wypielęgnowanych twarzach ich czarne oczka wyglądały jak paciorki. Helene nalewała im sok pomarańczowy ze srebrnej karafki i jednocześnie pokazywała słuchającym, jak i kiedy ma podawać drobne ciasteczka z nugatami i prążkami migdałami oraz kandyzowane fiołki skrzęcające się kryształkami cukru.

Ręką wskazała Angeline krzesło obok dam.

Spięta i zdenerwowana, Angeline z trudem odpowiadała na ich ostre pytania. Podpowiadanie i zachęty ze strony Madame jeszcze bardziej wytręcały ją z równowagi.

Pani domu próbowała choć na chwilę odwrócić ich uwagę, opowiadając o zderzeniu barki i parowca na Missisipi, ale wysłuchały jej bez słowa i zaraz przystąpiły do dalszego ataku. Pytania były proste, niezbyt wścibskie, budzące nawet zaufanie. Pewnie wie, jak wygląda katedra w stolicy Ruthenii - ksiądz chyba o niej wspominał?

Matka księcia była piękną kobietą, spokrewnioną z rodem Wittelsbachów bawarskich. Mówiło się, że którąś z księżniczek z tego rodu przeznaczono na onę Maximiliana. Czy teraz planowano tę samą dziewczynę wydać za Rolfe'a? Czy coś o tym wie? Dziwne. Byłoby interesujące dowiedzieć się, na jakie tematy rozmawiała z księciem. Gusta i zainteresowania osób z królewskich rodów bywają nieprzeciętne, nie takie jak zwyczajnych ludzi, prawda?

W myśli ju formułowała jakieś niegrzeczne odpowiedzi, ale w obawie, by nie wprowadzić w zakłopotanie Madame, powstrzymywała się z ich wypowiedzianiem.

Ale były granice cierpliwości i opanowania, bez względu na to, jak bardzo potrzebowała akceptacji ze strony tych dam.

- Powiedz mi, Mademoiselle Fortin, jak oceniasz sposób prowadzenia rozmowy przez księcia. A mo e nie spędzałaś z nim zbyt wiele czasu na rozmowach?

Przez chwilę w jej uszach zabrzmiało echo wyszukanych słów i zdań przez niego wypowiedzianych.

- Jego sposób konwersacji - odpowiedziała wolno - bardzo rzadko był pospolity czy złośliwy.

Nigdy z normalnej rozmowy nie robił pułapki, w którą chciałby złapać kogoś nieostro nego. Jeśli chciał coś wiedzieć, pytał o to wprost, a kiedy nie otrzymywał jasnej odpowiedzi, to albo pytał inaczej, albo - milczał.

Aluzja była zupełnie przejrzysta. Zapadła denerwująca cisza. Po takim afrontie stara dama zbladła. Jej siostra zaniemówiła z wra enia.

W tym momencie otworzyły się drzwi. Kamerdyner, zabrany z St. Martinville, ten sam, który anonsował księcia na wieczornym przyjęciu, wszedł do salonu i ukłonił się.

- Bardzo przepraszam, Madame, ale jest tu ksią ę.

- Oh! - jęknęła Madame; nie musiała pytać, o jakiego księcia chodzi. - Myślę... tak, trzeba go było zaraz wprowadzić.

- Nie ma potrzeby - zawołał wesoło Rolfe, wchodząc do salonu. - Pomyślałem, e zostanę przyjęty, i wierzę, e panie mi wybaczą najście i zarozumiałość.

Jednym spojrzeniem ogarnął cały salon, z Angeline włącznie. Przyjrzał się Madame i starym kobietom. Potem podniósł do ust dłoń gospodyni. Stał przed nią w nienagannym białym mundurze, z peleryną spiętą na jednym ramieniu złotą spinką. Angeline czuła, jak bije jej serce, a cała krew odpływa z twarzy i zaraz wraca gorącym rumieńcem. Zło yła ręce na piersiach -

wiedziała, e Rolfe na nią patrzy.

- Czy mogę prosić o przedstawienie dostojnym paniom? - przerwał ksią ę ciszę, która nagle zapadła.

Helene łamiącym się głosem zaczęła pospiesznie spełniać jego yczenie. Przedstawiła stare kobiety jako byłe członkinie dworu królewskiego, którym ledwo udało się umknąć z pogromu.

- No tak! - rzekł Rolfe i z szerokim uśmiechem pochylił się najpierw nad ręką jednej, potem drugiej damy. - To widać po twarzy. Strach mo na przewycię yć, prawda? Ale poczucia bezpieczeństwa i wiary w ludzi nie da się ju tak łatwo odzyskać. Takie straty pozostają widoczne na zawsze.

- Twierdzą dokładnie to samo! - zawołała starsza z sióstr; z zadowolenia a się trochę zarumieniła. - Emigrant zawsze pozna innego emigranta. Mają coś w oczach.

- Albo na twarzach, na których utrwała się i przez ty strach, i przez ty radość?

Gdyby miała w rękę wachlarz, ta wiekowa dworka królewska zasłoniłaby się nim teraz tak, jak robiła to pięćdziesiąt lat temu. Angeline z niedowierzaniem przyglądała się, jak Rolfe swobodnie rozsiada się między siostrami. Wkrótce osiągnął to, e obie szczebiotały i śmiały się niczym dziewczęta, opowiadając, jak ukryte w farze śmieci opuściły Pary. Od czasu do czasu chwytaly go za rękaw, jakby chciały się upewnić, e rzeczywiście siedzi między nimi. Niepostrzeżenie do tej błyskotliwej, pełnej zaskakujących pytań i celnych odpowiedzi rozmowy Rolfe wciągnął

Helene i Angeline. Stare damy zaakceptowały to bez protestu.

W pewnej chwili Rolfe zwrócił się do Helene.

- Sądziłem, e spotkam tu równie pani syna.

- Andre tu przed pańskim przybyciem udał się do krawca, by uzupełnić swoją garderobę. Mo e posłać po niego?

- Dziękuję. Nie trzeba. Zobaczą się z nim kiedy indziej. Mo e panna Fortin będzie mogła mi udzielić informacji, jakich potrzebuję. Czy mógłbym porozmawiać z nią na osobności?

- Tak... nie, ale ... Wasza Wysokość, ja... – Madame Delacroix zaczęła się jąkać, wyraźnie walcząc z chęcią wyrażenia na to zgody, a jednocześnie z koniecznością zachowania etykiety, zgodnie z którą dziewczyna, pozostająca pod jej pieczęcią, nie mo e się znaleźć sam na sam z męczyzną.

- Musi pan wiedzieć - odezwała się starsza z sióstr - e Madame Delacroix nie mo e spełnić pańskiego życzenia, Wasza Wysokość. To byłoby niewłaściwe.

- Więc muszę się powołać na moją wcześniejszą znajomość z tą młodą damą, by zrobiono w tym względzie wyjątek...

- *Mais out* - odparła dama wzruszając kościstymi ramionami, okrytymi koronkami z czarnego jedwabiu - wiemy o niej. Ale reguły towarzyskie niestety na to nie pozwalają. Pan to chyba rozumie, prawda?

- Mo e więc w tym szczególnym przypadku – rzekł lekkim tonem, choć z pogłębiającą się zmarszczką między brwiami - dałoby się zastosować królewską dyspensę?

- O, Wasza Wysokość! Był pan jeszcze małym dzieckiem, kiedy ja ju chodziłam po ogrodach Tuileries razem z księżętami i tam nic takiego by mnie nie zdziwiło ani tym bardziej zaszokowało. Ale tutaj, muszę to z przykrością powiedzieć, to nie Francja ani Ruthenia.

Angeline zdała sobie sprawę, e pytanie o Andre było tylko pretekstem - chciał jedynie wiedzieć, czy jest w domu.

Nie pragnęła rozmawiać z Rolfe'em, a ju zwłaszcza sam na sam. Nie ufała jego ogładzie i jego manierom.

- Mo e przejdziemy w drugi koniec salonu i tam porozmawiamy? - zaproponowała.

Takie rozwiązanie nie odpowiadało Rolfe'owi, ale w zaistniałej sytuacji nie mógł zrobić nic więcej, jak tylko podejść z Angeline do okiennej niszy, udrapowanej aksamitnymi storami, z marmurową nimfą na smukłej kolumnie, z widokiem na podwórze.

- Porwanie, zdrada, dokuczliwe plotki - nie masz łatwego ycia, odkąd mnie poznałaś.

To nie było zdanie, którego oczekiwała.

- To bez znaczenia. Czy uwa asz?...

- Oczywiście, e ma! - przerwał jej z hamowaną gwałtownością. - Zostałaś pozbawiona wolnego wyboru, sprowadzona do roli bezwolnego pariasa. I to bez winy z twojej strony. Przebaczysz mi, teraz, kiedy nie jesteś w moich rękach? Mo esz mnie nawet potępić, bylebyś zechciała być ze mną.

- Jak to sobie wyobra asz? - spytała. - Nie odpowiada mi rola markietanki czekającej na twoje powroty po ciągłych wyprawach, która nie wie, komu przypadnie, je eli ty przypadkowo zapomnisz, gdzie mnie zostawiłeś, albo w ogóle nie wrócisz.

Jaśniej sprawy postawić nie mogła. W jego ciemniejących źrenicach wyczytała, e doskonale ją zrozmiał.

- Masz moją obietnicę.

- Słowną?

- A jaka jeszcze mo e być? Prawo i kościół nadają jej uroczysty charakter, ale teraz jest to przecie niemo liwe.

Patrzyła, jak słu ąca wyszła z domu na podwórze, wdrapała się na wysoki stopień, by nabrać wody z olbrzymiej glinianej beczki stojącej tu obok kru ganku, otaczającego kuchenne skrzydło domu. Z pełnym wiadrem weszła do środka.

- Andre poprosił mnie o rękę - powiedziała wreszcie.

Na chwilę zaległa cisza.

- To szlachetnie z jego strony - rzekł dopiero po chwili.

- Nie musisz z tego drwić.

- Jeśli to nawet tak zabrzmiało, nie miałem takiego zamiaru. To niewielkie poświęcenie. I przyjął go?

- Nie... To znaczy, nie dałam mu adnej odpowiedzi - zająknęła się trochę, ale słowa wypowiedziała wyraźnie.

- To dla ciebie bardzo dobre rozwiązanie. Andre jest z twego środowiska, twego kraju, posiada wystarczające środki, by ci zapewnić dostatnie życie. Jest rozumny, inteligentny, godny zaufania, będzie dbał o ciebie...

- Jednym słowem: doskonałość - dokończyła za niego bez radości w głosie.

- A gdybym ja ci teraz powiedział: Chodź ze mną?

Głos miał spokojny, głęboki, z odrobiną obcego akcentu. Ten głos zdawał się bardziej niż słowa wprawiać ją w drzenie, poruszać jakąś jej wewnętrzną strunę.

Poczuła w sobie nieznany ból i siłę, która pchała ją, by rzucić się w jego objęcia, by zapomnieć o cichej przystani na przyszłość i iść za nim, gdzie poniosą go wichry przeznaczenia. Ale rozsądek i strach o przyszłość nakazywał ostro ność.

- Dokąd? Wiesz chociaż dokąd?

- W tej chwili do ambasady francuskiej, potem – do Ruthenii.

- Znaleźliście Claire?

Odwróciła się, ale dalej stała wyprostowana, z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

- Straciliśmy jej trop w Natchitoches, ale zdobyliśmy wiarygodne informacje, e razem ze swoim aktualnym kochankiem wsiadła na pokład parowca z zamiarem dotarcia tutaj, do Nowego Orleanu.

- Więc wsiedliście na najbliższy statek i ruszyliście za nią? Nic dziwnego, e moja obecność tutaj tak cię zaskoczyła.

W jej szarzielonych oczach czaiło się rozbawienie, e nie potrafił opanować swego podziwu dla jej wyglądu.

- Przyznaję, e zbiło mnie z tropu, gdy cię zobaczyłem owiniętą w jedwabie i otoczoną troskliwością, jakbyś była rodzoną córką Madame Helene. Ale nic poza tym. Bo w pobliżu spalonej osady McCullougha, dokąd skierowałem swoje kroki, powiedziano mi, e byłaś tam, ale porwał cię jakiś plantator. Nieprzytomną.

- Podał mi jakiś z twoich prosków - to będzie oddzielna sprawa do wyjaśnienia między nim i mną, jeśli miałabym zostać jegooną.

Nawet się nie poruszył, wydawał się bardzo spokojny.

- Rozumiem. Więc to nie był ratunek, a jeszcze jedno porwanie.

- Nie wiem, czy tak to mo na nazwać. Ale miał dobre intencje...

- ...których skutki skrupiły się na tobie? Zastanawiam się, czy to by pokrzy owało twoje plany, gdyby Delacroix otrzymał nominację na dowódcę *gardę du corpse* jako jej honorowy członek.

Kiedy zrozumiała, o co mu idzie, cała krew odpłynęła jej z twarzy.

- Chyba nie chcesz... - zaczęła, ale wiedziała, e tak, e będzie chciał i to bez jakichkolwiek wyrzutów sumienia. Raz i drugi próbowała przełknąć ślinę.

- Czy to nie obłuda? - spytała w końcu.

- Tak - odparł z lekkim uśmiechem - ale to pokuta...

- Nie jesteś moim opiekunem!

- Niestety dobierasz słowa i mieszasz ich znaczenie.

Wyciągnęła rękę i chłodnymi palcami dotknęła jego gorącej skóry.

- Obiecuj mi, e nie zrobisz mu krzywdy. To tylko nadałoby rozgłos sprawie.

- To twoje osobiste rozważania, jak sądzę? – spytał ju bez wesołości w głosie.

- Muszę o tym myśleć, skoro ty nie myślisz – odparła cofając rękę.

- Do takich samych wniosków sam doszedłem dzisiaj rano. Teraz pozostaje jeszcze pytanie, w jaki sposób zapewnić ci nieskazitelną opinię: czy zignorować wszelkie plotki, czy szukać uznania w twoim środowisku. Byłoby dla mnie ogromnie pomocne, gdybyś zechciała wyrazić swoje yczenie w tej sprawie. Ale mo e te być przeszkodą, chyba więc będzie lepiej, jeśli sam wybiorę najlepszy sposób, przynajmniej dla jednego z nas dwojga.

Groźny błysk oczu księcia nie zachęcał do dalszej dyskusji. Nie miała zresztą mo liwości, by postawić mu dalsze pytania, bo Madame Helene ju zbli ała się do nich, szczebiocąc coś o przedłu ającej się naradzie i e pozostali goście zaczynają jej zazdrościć.

- Proszę mi wybaczyć, Madame - rzekł na to ksią ę - ale obawiam się, e nie będę mógł dłu ej zostać. Kiedy wczorajszego wieczoru znalazłem się w ambasadzie francuskiej, przekazano mi kilkanaście depesz, których nie doręczono mi wcześniej, bo nie miałem tu stałego miejsca pobytu. Teraz muszę się z nimi uporać.

- Proszę nie czynić nam takiego zawodu! – zawołała Madame. - Tak liczyłyśmy na dłu szą wizytę.

- Myślę, e będę to mógł naprawić. Obowiązki następcy tronu, jakie na mnie cią ą, są dość liczne i absorbujące, między innymi - reprezentowanie mojego kraju. Przez przybycie do ambasady nadałem swemu tu pobytowi niejako oficjalny charakter, a to pociąga za sobą określone zobowiązania towarzyskie. Jeśli pani i pozostale obecne tu panie pozwolą, to w najbliższych dniach zostaną im

doręczone zaproszenia na bal organizowany w ambasadzie. Ale na dzisiaj chciałbym ju uwolnić panie od swego nu ącego towarzystwa.

Z okrzykami zadowolenia i łaskawym ukłonem ze strony starszych pań zaproszenie zostało przyjęte. Po kilku dalszych komplementach i grzecznościach Rolfe opuścił salon. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, wybuchła gorąca dyskusja o jego wyglądzie, sposobie bycia, manierach, mądrości. Angeline nie brała w niej udziału. Jej myśli były tak rozbiegane, e nawet nie zauwa yła promiennych spojrzeń, jakimi obdarzały ją niegdysiejsze dworki Marii Antoniny.

Madame Helene musiała zwrócić jej uwagę, e czas się po egnąć.

W trzy dni później przed domem Delacroix zatrzymał się przedpotopowy powóz Madame de Buys. Matka Claire bardzo zeszcupiała, twarz miała ziemistą i wynędzniałą.

Cierpienie nie poprawiło jej manier. Nie tracąc czasu na grzecznościowe, puste frazesy ani słowem nie podziękowawszy Madame Helene za to, e przyjęła Angeline, zabrała dziewczynę do domu nad rzeką, do swej owdowiałej siostry.

Niezbyt reprezentacyjne mieszkanie, usytuowane nad składem win, wynajmowanym kolorowym handlarzom, nieustannie przenikała wilgoć i... zapach alkoholu.

Składało się ono z pięciu pomieszczeń: salonu, dwu sypialni, jednej od frontu i jednej od podwórza, jadalni oraz oddzielnego pomieszczenia wyposa onego w półki i szafy, gdzie przechowywano ywność i inne zapasy. Tylny pokój miał wyjście na werandę i na maleńkie podwórze. Kiedyś z części werandy zrobiono niewielki pokoik dla słu ącej. Ze względu na to, e wdowa nie była ju w stanie pozwolić sobie na taki luksus, pomieszczenie to przydzielono Angeline. Madame de Buys przywiozła ze sobą swoją garderobianą Marię i wolała dzielić pokój z nią ni z Angeline.

Angeline odpowiadało takie rozlokowanie. Jej ciotka nie podejmowała zbytnich wysiłków, by pokazać się Madame Helene z jak najlepszej strony. Nie robiła te tego w stosunku do niej. Jej sposób bycia był tak ostry, e dziewczyna zastanawiała się, po co ciotka tu w ogóle przyjechała.

Powa nie rozwa ała mo liwość odmowy przeprowadzenia się do domu nad rzeką, ale w końcu uznała, e nie mo e nadu ywać gościnności Madame Delacroix.

Poza tym Andre, dowiedziawszy się, e Rolfe jest w mieście, zaczął się robić natrętny, podejrzliwy i pilnował jej na ka dym kroku, gdziekolwiek się ruszyła, jakby swą ciągłą obecnością chciał złamać jej opór. A jej, przynajmniej na jakiś czas, potrzebna była samotność, by móc rozwa yć, co zrobić.

Na szczęście Madame de Buys, a mo e Maria spakowała i przywiozła jej ubrania. Angeline usiłowała oddać Madame Helene stroje od niej, ale matka Andre powiedziała, e to wszystko jest jej i obrazi się, jeśli Angeline ich nie przyjmie.

Angeline rozwieszała je właśnie w staromodnej szafie, gdy do jej pokoiku weszła ciotka.

- Chcę z tobą mówić - rzekła bez jakiegokolwiek wstępu.

- Tak? Proszę - odpowiedziała Angeline nie przerywając zajęcia.

- Chcę, ebyś wiedziała, e nie przyjechałam do Nowego Orleanu z twego powodu. Mam do załatwienia sprawy, które wymagają mojej tu obecności. Pomyślałam, e dobrze będzie zabrać cię z domu Delacroix, zanim wybuchnie skandal. Andre zrobił ju z siebie głupca, lecąc za tobą, by niczym błędny rycerz ratować cię od...

- Ksią ę Rolfe całkowicie zgodziłby się z ciocią.

- Proszę, ebyś w mojej obecności nigdy więcej nie wymawiała tego imienia. Czuję do niego odrazę i ałuję, e je kiedykolwiek usłyszałam. Upokorzenie, jakiego doznałam od księcia, jest mi raną, z której ju nigdy się nie wyleczę. To piętno hańby na mojej duszy. Wszystko, czego od ciebie chcę, to milczenie o tych sprawach, milczenie i poszanowanie dobrych obyczajów, jeśli jeszcze wiesz, co to znaczy. Nie będziesz stąd wychodziła, nie będziesz tu nikogo gościła, nie będziesz przyjmowała adnych zaproszeń. Zrozumiałe samo przez się, e nie opuścisz tego pokoju bez mojej wyraźnej zgody.

W nadchodzących dniach znajdziesz dość czasu, by wszystko dobrze przemyśleć. Ja chcę ci tylko podpowiedzieć, byś rozwa yła mo liwość wło enia szat zakonnych i to w mo liwie najbli szym czasie. To wszystko, co miałam ci do powiedzenia.

Gdy ciotka ju się odwracała, by wyjść, Angeline odwa yła się spytać:

- Czy przyjazd cioci do miasta ma coś wspólnego z tym, e Claire mo e tu być?

- Co takiego? - spytała stara kobieta ostro, ale bez zdziwienia.

- Nie spytała ciocia o nią, nawet o to, czy yje, czy ją widziałam, czy coś o niej wiem.

- Jeśli idzie o moją córkę, to to, co robi, gdzie jest, co o niej wiem, to ju nie twoja sprawa. Dla nas ju nie istniejesz. Jesteś poza rodziną. Dobrze zrobisz, jeśli sobie to zapamiętasz.

Angeline uniosła brwi zaskoczona: dziwne, ale słowa starej kobiety wcale jej nie dotknęły.

- Jeśli chce ciocia zerwać wszelkie łączące nas więzi, musi się ciocia wyrzec równie kontroli nad moim postępowaniem. Nie mo e się ciocia spodziewać, e bezwolnie poddam się jej rozkazom.

Madame de Buys obróciła się na pięcie.

- To się oka e.

- Oczywiście - zgodziła się Angeline.

Ale w następnych dniach nie wychodziła ze swego pokoiku. Po co zresztą miałyby wychodzić, skoro nie miała dokąd pójść ani odezwać się do kogoś, kto byłby jej choć odrobinę przyjazny.

Siostra ciotki Berthe była zahukanym stworzeniem, z której bieda zrobiła rozgoryczoną nieszczęśnicę. Nawet nie przyjrzała się dobrze Angeline, gotowa zgodzić się ze wszystkim, co jej powie siostra,

nawet nią pogardzać, wyłącznie dlatego, e siostra zapewniała jej chwilowo lepsze jedzenie.

Maria sprzątała i gotowała w kuchni, prała i codziennie chodziła na rynek po zakupy. To Maria, kiedy ju wszyscy się najedli, przynosiła Angeline tacę z tym, co zostało.

Późnym rankiem, trzeciego dnia swego pobytu w domu nad rzeką, Angeline le ała na łó ku wpatrzona w popękany sufit, którego jedyną ozdobą były plamy po zabitych komarach. Nie czuła się ani dobrze, ani źle, zupełnie jakby dotknęła ją jakaś choroba, z której nawet nie zdawała sobie sprawy. Bezwolna, obwiniła samą siebie za wszystko. Nie potrafiła skupić się na tym, co powinna zrobić. Była jak ryba złowiona w sieć: im bardziej się szarpała, tym bardziej czuła się zaplątana i wyczerpana. Podświadomie wiedziała, gdzie le y przyczyna tego stanu, co powoduje jej chorobę, zmęczenie, ospałość.

Ale nie chciała o tym myśleć, bo wtedy kłopoty otoczyłyby ją ze zdwojoną siłą.

Usłyszała trzaśnięcie drzwiami. W domu panował taki bezruch, e nawet ten dźwięk

spowodował, i zerwała się na równe nogi i podeszła do jedyne go w pokoju okna. W dole zobaczyła Marię, jak wyłania się spod schodów prowadzących na podwórze. Miała na sobie kapelusz i pelerynę. Szła w stronę kuchni.

Pokręciła się po jej zaciemnionym wnętrzu i za chwilę pojawiła się na podwórzu z koszykiem w rękę. Angeline pomyślała, e idzie na rynek, ale wtedy Maria poprawiła serwetkę okrywającą zawartość koszyka. Jeśli miała zamiar iść na rynek, koszyk powinien być pusty.

Wyglądało na to, e dziewczyna niesie dokądś jedzenie.

Nie było czasu na pytania dokąd, komu i dlaczego.

Angeline domyśliła się i w mgnieniu oka odwróciła się, chwyciła le ący na łó ku szal, którym zwykle okrywała sobie nogi, spod krzesła wyciągnęła buciki i wciągnęła je ju w drodze do drzwi. Wyszła cicho na galerię i na palcach zeszła po schodach. Nie bała się spotkania z ciotką, która pewnie usiłowałaby ją zatrzymać, ale hałasu, który mogłoby to wywołać. Stanęła na chwilę, by się upewnić, czy Maria minęła ju furtkę z boku domu. Przeszła przez podwórze, uchyliła elazną kratę, wyszła i bezgłośnie zamknęła ją za sobą.

Zobaczyła dziewczynę, jak pospiesznie podą ała w dół ulicy, wyminęła kobietę, sprzedającą bezpośrednio z tacy ry owe ciasteczka zwane *tout chaud calas*, i wysokiego Kreola opartego na srebrnej laseczce. Angeline wyminęła parę sióstr zakonnych w powiewnych habitach i podą yła za Marią.

Rynek był wąskim, zadaszonym placem. Jego bliskości mo na się było domyślać po natę ającym się hałasie rozmów prowadzonych w najró niejszych językach: francuskim, hiszpańskim, angielskim, celtyckim, narzeczach indiańskich, greckim, włoskim, maltańskim i pół tuzina innych, którymi posługiwali się marynarze z całego świata, targujący się o ceny wyło onych na sprzeda towarów. Do rynku nale ały te łodzie przycumowane na rzece, a docierające tu ze świe ymi rybami, krabami,

dziczyzną, królikami, wiewiórkami, szopami, oposami, wędzonymi drozdami, gołębiami i małymi siewkami, zwanymi te *papabottes*, cenionymi między Kreolami za ich afrodyzjakowe właściwości.

Były te warzywa powiązane w pęczki lub poukładane w koszach, a tak e egzotyczne owoce z Indii Zachodnich.

Indianie oferowali skóry, wyplatane kosze, orzeszki ziemne i korzenie sasafrasu. Gdziegdzie stali egzotyczni marynarze handlujący papugami i małpkami. Handlem na rynku zajmowali się przede wszystkim męczyźni. Uwa ano powszechnie, e dla kobiet jest to zajęcie zbyt prostackie. Byłyby nara one na upokarzające targowanie się z niezbyt grzecznymi sprzedawcami, musiałyby często znosić zaczepne spojrzenia nieokrzesanych, ró nokolorowych typów, którym za całe ubranie słu ył szeroki, owinięty dokoła ciała koc.

Kobiety, które się na rynku pojawiały, przychodziły zawsze w towarzystwie słu ących, które miały ich strzec i nosić za nimi to, co kupiły. Odnosiło się to zwłaszcza do białych, elegancko ubranych kobiet, u których widoczne były domieszki krwi innych ras, a które często były utrzymankami miejskich notabli. Takie damy miewały te słu ące, których jedynym zadaniem było trzymanie wachlarza i odpędzanie wszędobylskich much.

Do Angeline nie docierał cały ten kalejdoskop barw i odgłosów, odór rzeki i psujących się warzyw, zieleniny i nie wyprawionych skór, cebuli, czosnku, pieprzu i ró nych korzeni.

Wpatrywała się w idącą przed nią dziewczynę, która zatrzymała się właśnie przy grubej, czerstwej Niemce, sprzedającej złociste gomółki sera.

Zauwa yła, jak inna kobieta, ubrana w czarny, obszerny płaszcz wzięła od Marii koszyk.

Angeline była tak pochłonięta obserwowaniem tego, co się przed nią rozgrywało, e nie zauwa yła czarnego kocura tu pod nogami. Nadepnęła mu na łapy. Kot zapiszczał przeraźliwie.

Angeline odskoczyła i łokciem zahaczyła o piramidę misternie uło onych pomarańczy. Owoce rozsypały się na wszystkie strony. Dwaj chłopcy natychmiast rzucili się na nie. Sprzedawca podniósł wrzask. Zanim przywrócono jaki taki spokój, Maria i Claire zniknęły.

Czy Claire ją zauwa yła? A mo e tylko zlekła się zamieszania i uciekła? Czemu się ukrywała?

Czy wiedziała, e Rolfe ze swoją gwardią jest w Nowym Orleanie? A mo e miała inne powody, by się ukrywać?

Czy powodem był strach, czy wstyd? Gdzie szukać odpowiedzi?

Poczuła tak przemo ną chęć powiadomienia o wszystkim Rolfe'a, e stanęła jak wryta, sama zaskoczona nagłością tego impulsu. Od kiedy to tak mu ufa? Jeśli tak chce mu zawierzyć w tej sprawie, to czemu nie w innej - chocia by w sprawie swej przyszłości?

Na zdziwione spojrzenie zakonnicy, prowadzącej utykającego chłopczyka, ruszyła przed siebie, nie zdając sobie dokładnie sprawy, dokąd idzie. Przeszła obok kościoła św. Ludwika i przez poło one za

nim ogrody św. Antoniego. Przepęłniała ją uczucie wolności, ale ta świadomość własnej naiwności, dla której nie widziała usprawiedliwienia. To, co uznała za zaproszenie do małżeństwa, było tylko pustym frazesem. Była sama i opuszczona. Ale polegać mogła wyłącznie na sobie. Na swej wewnętrznej sile. Z niej, niczym z fortecy, mogła robić śmiało wypadki na spotkania z innymi w przyjaźni i miłości. Słabi wewnętrznie, ci, co poddają się przy pierwszym wyzwaniu i potrzebują ciągłego podpierania, nigdy nie doznają radości, jaką daje samodzielność...

Nagle przerwała dalsze rozmyślenia i ze zdziwieniem spostrzegła, że stoi przed ambasadą francuską, solidną budowlą z szarego kamienia i cegły. Odbywało się właśnie jakieś przyjęcie.

Ubrani w liberie służący stali wzdłuż schodów, a słońce odbijało się w złotych guzikach ich stroju. Sznur pojazdów podjechał pod bramę. Inni goście, mniej dbający o swój prestiż, pieszko podchodzili do frontowych drzwi. Damy w najelegantszych strojach, panowie w dopasowanych akietach i w bogato haftowanych kamizelkach wstępowali na schody wiodące do otwartych drzwi. Wewnątrz widać było skrzące się kandelabry, połysk jedwabnych kotar, blask biuterii i orderów. W głębi stali przyjmujący gości gospodarze, ale z zewnątrz nie mogło być dostrzeżone, kogo honorowano. Widać było jedynie, że wchodzący mężczyźni kłaniali się w pas, a panie nisko pochylały głowy. Komu mogli się tak kłaniać, jeśli nie komuś z królewskiego rodu? Na czyją cześć, jeśli nie Rolfe'a, wydano takie przyjęcie?

Czy ona w stosunku do niego zachowywała się kiedykolwiek tak unięmie? Nie. Nawet podczas ich pierwszego spotkania. Był to zapewne błąd. Ale duma nie pozwalała jej na to. A może to tylko upór, ignorancja? Często, zbyt często nie myślała o nim jak o księciu.

Chociaż nie zwracał na to uwagi, miało to chyba dla niego znaczenie. Ona tu nie pasowała.

Niezależnie od tego, jak bardzo chciała powiedzieć temu następcy tronu Ruthenii, że zmieniła swe nastawienie, że chciałaby być z nim, nie mogła tego zrobić.

Nie stając się jego częścią, usytuowana gdzieś na obrzeżu jego świata, nigdy nie znalazłaby radości. Byłaby zbyt uzależniona od niego: za bardzo jego utrzymanką, za mało samą sobą.

A co, gdyby się to skończyło? Skoro już teraz, zaledwie po kilku tygodniach znajomości czuje taki ból, co by było, gdyby przyszło jej zostać samej po miesiącach, może latach za łożości?

Nie, lepiej skończyć z tym teraz. Lepiej, by sama wybrała najlepszą - dla niego i dla niej - drogę, niż pozwolić, by później ktoś za nią dokonywał wyboru.

Odwróciła się i pospiesznie odeszła. Nic dziwnego, że w takiej trudnej chwili nawet nie pomyślała o Claire.

Rozdział 18

Uchyliły się drzwi i do pokoiku Angeline weszła Maria, niosąc tacę nakrytą wybrzuszoną serwetą.

Madame de Buys i jej owdowiała siostra zachowywały zwyczaje dawnego kraju i kolację jadały tu po zapadnięciu zmroku. Następnie Maria najpierw sprzątała po kolacji, a dopiero potem przynosiła

jedzenie Angeline.

- Do licha! - sarknęła słu ąca. - Czemu nie zapalisz świecy? Mogę sobie skręcić kark, wchodząc tu po ciemku.

- Nie ma tu nic do oglądania.

- Masz chandrę, co? Pewnie myślisz, e powinny ci pozwolić, byś poszła na bal?

- Na jaki bal? - spytała Angeline. - Dzisiaj wieczorem?

- Oczywiście. Tylko mi nie mów, e nic o tym nie wiesz. O niczym więcej się tu nie mówi od dnia, kiedy Madame odesłała doręczone zaproszenia dla niej i dla ciebie. Teraz z siostrą poszły oglądać przybywających gości. Madame wprawdzie nie chciała, bo im mniej widzi tego księcia, tym dla niej lepiej. Ale jej siostra pali się do takich imprez i tak napierała na Madame, a poszły się pogapić.

Angeline patrzyła, jak Maria niezgrabnie stawia tacę na stoliku.

- Więc dla mnie te przyszło zaproszenie?

- Widziałam je na własne oczy i jeszcze inne jakieś oficjalne papiery z twoim nazwiskiem, które nadeszły tu w ostatnich dniach. Listy, niemal wszystkie, poszły zaraz do ognia. A zaproszenie Madame wło yła posłańcowi do kosza, by odniósł je z powrotem. Miało to znaczyć, e nie chcesz tam iść.

- Bo rzeczywiście bym nie poszła.

- Myślę, e to najmądrzejsze, co mogłabyś zrobić - rzekła drwiąco Maria. - Damy z całego Nowego Orleanu będą się tam prześcigać, która ma najmodniejszy i najkosztowniejszy strój. Bal na cześć księcia to pewnikiem gwóźdz sezonu, o którym będzie się opowiadało przez najbliższe kilka lat. Przyjdą tam damy z pogranicza śmietanki towarzyskiej, szczególnie te *Ameñ caines*, które gotowe są zabić albo się sprzedać za kartę wstępu.

Wyglądało na to, e Rolfe zrobił w ciągu minionego tygodnia dobre wrażenie w mieście.

Zastanawiała się, jak spędza czas, poza herbatkami i obiadami, przyjęciami i bankietami, które masowo organizowano na jego cześć. Czy poszukuje Claire tak samo usilnie, ale bardziej skutecznie jak wtedy, gdy mieszkał w domu myśliwskim.

Nie była pewna, czy informacje, jakie zdobyła, przydałyby mu się na coś. Z całą pewnością ma tu swoich ludzi, bo jak e mógłby zaniedbać tak elementarną sprawę, jak obserwacja domu matki Claire? Dlatego właśnie sądziła, e to, co wie, nie jest dla niego zbyt ważne.

Patrzyła, jak Maria uderza w krzesiwo, by zapalić świecę. Czy słu ącą obserwowano? Jej spotkanie z Claire było bardzo krótkie i w rozgardiaszu na rynku mogło zostać niezauważone, nawet jeśli któryś z gwardzistów za nią szedł. Była niemal pewna, e tak było; w przeciwnym razie ju by odnaleziono Claire, a gdyby tak się stało, tu, w domu siostry wdowy musiałyby być widome tego

oznaki. Chciałaby znaleźć jakiś sposób, by się o tym upewnić, mo e wysłać wiadomość do Rolfe'a i uzyskać potwierdzenie, e ją otrzymał.

Słu ąca wyszła z pokoju zawiedziona, e Angeline nie zareagowała na jej rewelacje. Po jej wyjściu Angeline wstała z łó ka. Jedzenie pod serwetą: kawałek kurczaka i szparagi w zsiadłym mleku - nie wyglądało apetycznie. Czowała, e gdyby to zjadła, niechybnie by się rozchorowała.

Wypiła jedynie szklaneczkę wina, którą znalazła na tacy, a resztę wystawiła za drzwi. Podeszła do maleńkiego lusterka wiszącego nad stolikiem, który słu ył jej równie za umywalkę. W

migotliwym blasku świecy wyglądała lepiej, ni się czowała. Miała kwitnącą cerę i srebrnomiedziane błyski w oczach. Włosy aureolą wiły się wokół głowy i kaskadą opadały na ramiona. Tego popołudnia, przełamując zwykłą apatię, wzięła gorącej wody z kuchni, wyszorowała schody na kru ganku i przy okazji umyła sobie włosy. Mimo e ju wyschły, nie upięła ich jeszcze, a jedynie nakryła podniszczoną chustką.

Rozległ się dzwonek przy bramie wiodącej na tył podwórza, czyli przy jedynym wejściu, jakiego u ywała wdowa, jako e brama od ulicy wiodła do składu win. Angeline nie zareagowała na to: tym powinna zająć się Maria. Jej uwagę zwróciły dopiero głośne, ciężkie kroki. Zbli ały się, były pewne i mocne, a ich odgłos na nierównych deskach podłogi kru ganku świadczył o tym, e idzie więcej osób.

Maria głośno protestowała, wykrzykując coś podniesionym głosem. Na pewno powiedziała im, e starszych dam nie ma w domu, a więc chodziło o nią. Gdyby w mizernych drzwiach jej pokoiku był jakiś zamek, powinna zrobić z niego u ytek.

Ale nie zrobiła. Zawiązała jedynie szczelniej chustkę na włosach i czekała.

Drzwi otworzyły się z hałasem. Do pokoiku wkroczyli Gustave, Meyer i Oswald. Przed sobą popychali Marię. Stanęli w progu, stuknęli obcasami i ukłonili się, przy czym Gustave przytrzymał słu ącą, a Oswald - wielkie pudło przewiązane wstęgą.

- Proszę wybaczyć nam najście, Mademoiselle - odezwał się Meyer. - Nie przyszliśmy tu we trzech jako matki chrzestne, ale po to, by zabrać panią na bal.

Uśmiechnęła się, uradowana swobodą, z jaką się zachowywali.

- To bardzo miło z waszej strony, ale...

- Jeśli zamierza pani odmówić - przerwał jej Gustave - to radziłbym tego nie robić. Jeśli nie pojedzie pani z nami, to Rolfe opuści wszystkich notabli miasta i ich wystrojone ony, polityków i generałów, którzy na siłę opowiadają mu, jak to przed sześcioma laty pognębili Anglików, i zaraz sam zjawi się tutaj, by panią zabrać.

- Ma trochę gwałtowny charakter - dodał Oswald powoli, jakby przyjął sposób zachowania po niedawno pochowanym bracie bliźniaku.

- Niewiele jest koronowanych głów, które z takim wdziękiem traktowałyby swoje zobowiązania

towarzyskie, a z pewnością adna nie robiłaby tego z taką ochotą - wyjaśnił Meyer. - Jest to sprawa, która sprowadza go do Nowego Orleanu, ale nie za dobrze mu idzie. A tu, na dodatek, odrzuca się jego zaproszenie.

- Nie mam z tym nic wspólnego. Ale to i tak nie zmienia faktu, e nie mogę z wami pójść...

- Musi pani.

- Nie mam niczego, co mogłabym wło yć na taką okazję.

Oswald wystąpił do przodu i poło ył na łó ku pudło, które dotychczas trzymał w ręku.

- Ksią ę przewidział taką przeszkodę. To zostało kilka dni temu zamówione na pani miarę.

Poniewa Angeline nie ruszyła się, by rozpakować pudło, Oswald sam rozwiązał wstą kę i zdjął

wieko. W środku le ała suknia z najdelikatniejszego jedwabiu: wyglądała jak zwiewny, gęsi puch rozwieszony na pajęczynie. Górną część sukni zdobiły hafty, które nadawały odpowiednią sztywność kołnierzowi zamykajacemu dyskretny dekolt.

- Co... ja nie... ja nie mogę czegoś takiego... przyjąć...

- Jeśli to zrobisz, to ju Madame się postara, ebyś tego po ałowała - syknęła Maria.

- Zaraz ty po ałujesz, jeśli się jeszcze choć raz odezwiesz - huknął na nią Gustave.

- Jest pani w areszcie? - spytał Meyer. - Mo emy zaraz porozmawiać z ka dym, kto się odwa ył panią zamknąć.

- Nie... to znaczy, niezupełnie... tak.

- To czemu się pani zastanawia? Mogę panią zapewnić, e bardzo mu pani pomo e, pojawiając się na balu.

Mówi się, e porwał panią z domu ciotki i bardzo panią skrzywdził. Jeśli zobaczą, e jest pani z nim na przyjacielskiej stopie, będą musieli uznać, e to czeze wymysły.

Angeline popatrzyła w oczy Meyera. Dostrzegła w nich yczliwość i coś na kształt alu, e musi przekazać jej zaproszenie w takim kontekście.

- Stracił panią z oczu i jest zdecydowany, by panią przynajmniej zobaczyć, skoro na razie nie mo e zrobić nic więcej - dodał Gustave.

- Ta kobieta tutaj uczesze pani włosy. Przedstawia się jako pokojówka Madame - rzekł Oswald. -

Na dole mamy powóz, który zawiezie panią na miejsce.

- Proszę, nie - rzekła i uniosła dłonie do oczu, ale wiedziała, że to nic nie pomoże.

- Pod groźbą najśrodszych kar przykazano nam nie używać siły. Ale ten zakaz nie obejmuje księcia - powiedział cicho Meyer.

- Zgoda. Ale musicie poczekać, a Maria zrobi mi włosy.

- Już my dopilnujemy, by wykorzystała wszystkie swoje umiejętności - przyobiegał Gustave. - W przeciwnym razie obejrzy, jak wygląda dno Missisipi.

Groźba była wystarczającą zachętą. Maria kunsztownie ułożyła włosy w koronę, kilka loków opuściła na ramiona.

Pomogła jej założyć suknię, jedwabne pończochy i na koniec - wyszywane srebrem buciki, które znalazła na dnie pudła. Na podziękowanie za pomoc nie zareagowała, ale podała Angeline parę długich rękawiczek, poczekała, aż je założy, i zapięła guziczki. Gdy skończyła, wyszła z pokoju i powiedziała czekającym na zewnątrz gwardzistom, że wszystko gotowe.

Angeline przytrzymując ręką kraj sukni, wyszła z nimi z domu. Pomogli jej wsiąść do rozłożonego, utrzymanego w stylu paryskim powozu - własności ambasady. Meyer, Gustave i Oswald wskoczyli na siodła, a kiedy powóz ruszył - otoczyli go niczym honorowa eskorta.

Szybko zajęli pod budynek ambasady.

Po obu stronach bramy paliły się wielkie lampy oliwne w mosiężnych uchwytych, oświetlając przybywającym gościom wejście na schody. Okna wyglądały jak prostokąty złotego światła wylewającego się w ciemność nocy.

Wesołe dźwięki skrzypiec, waltorni, harfy i klawesynu rozbrzmiewały w powietrzu, a po sali prawie w rytm tej muzyki przesuwali się dwaj czarni chłopcy, roznosząc napoje.

Kiedy Angeline wysiadła z powozu, szmer podziwu przebiegł przez zebranych za bramą gapiów.

Przez chwilę pomyślała, czy ciocia znajduje się w tym tłumie, ale zaraz odpędziła od siebie tę myśl jako nieprzyzwoitą. Puściła trzymany dotąd w rękę kraj sukni i pozwoliła mu swobodnie sunąć po schodach, gdy szła w stronę otwartych drzwi oparta na ramieniu Meyera.

Weszła i uśmiechnęła się, gdy została przedstawiona konsulowi Francji oraz jego małonce, z uśmiechem i niewystudiowanym wdziękiem skłoniła się Rolfe'owi, który ujął ją pod rękę.

Uśmiechała się nawet wtedy, gdy napotkała powąsany wzrok Leopolda. Dopiero teraz mogła swobodnie odetchnąć po tych wszystkich powitaniach.

Mimo że Rolfe zwracał się do niej po imieniu, ścisnął jej rękę, nie odważyła się podnieść wzroku ponad błękitną wstęgę na jego piersiach, na której widniało jakieś wysokie odznaczenie.

Była niemądra: przecie on zaraz się domyśli, e coś jest nie w porządku.

Ale spróbuje u yć wszelkich kobiecych sztuczek, by nie zdradzić mu prawdy. Po co ma wiedzieć, jak bardzo pragnęła znaleźć się przy nim? Co dobrego mo e wyniknąć z tego, e dowie się, i spodziewa się jego dziecka? Ani jedno, ani drugie nie sprawiłoby mu radości. Zresztą ta druga sprawa to był jej problem, wyłącznie jej.

- Wygląda pani trochę spłoszona - odezwał się do niej Meyer. - Obawiam się, e zbyt pnia przynaglaliśmy. Mo e by się pani czegoś napiła? Jest grzane wino, mro ony szampan, jest napój z kwiatu pomarańczy, który zdaje się cieszyć największym uznaniem nowoorleańskich dam.

- Proszę o ten napój - odparła i gdy Meyer odszedł, zaczęła się rozglądać po sali.

Nie było adnej przesady w stwierdzeniu, e obecne tu panie przysły w swoich najelegantszych toaletach. Były stroje z dalekowschodniego jedwabiu i lionńskiego aksamitu, ozdobione koronkami i bi uterią, laminowane futrem i podszyte atłasem. Były brokaty i lamy.

W świetle dwóch tysięcy świec błyszcząły diamenty na szyjach, rękach i w uszach. Wielobarwny odbłask szmaragdów, rubinów i szafirów igrał na ścianach, a w powietrzu mieszały się zapachy najdro szych perfum, niczym woń kadzidła pod sklepieniem katedry.

- Proszę bardzo - rzekł Meyer, stając ponownie u jej boku.

Ostro nie wzięła szklankę do rąk, podziękowała i uniosła do ust. W nozdrza uderzył ją zapach kwiatu pomarańczy. Nudności, jakie nagle poczuła, zdawały się ścinać z nóg, zupełnie jak proszki od bólu głowy, które zaaplikował jej Andre. Napój ten, podobnie jak narkotyki, robiono z wyciągu maku pakistańskiego.

Powinna to była wiedzieć: ciotka u ywała go często na uspokojenie nerwów.

- Co się stało? - spytał Meyer, odgradzając ją sobą od reszty gości; wyjął szklankę z jej dr ącej ręki, drugą zasłaniała sobie usta.

- Nie, nic - powiedziała cicho i potrząsnęła głową. - To zaraz przejdzie.

- Jest pani pewna?

Skinęła głową, zmusiła się do bladego uśmiechu i opuściła rękę, gdy atak zaczął mijać. Nie była pewna, czy Meyer uwierzył. Przyglądał się jej skórze, która, mimo chwilowej niedyspozycji, wyglądała jak skórka moreli. Patrzył te na biel jej piersi, które dyskretnie wyłaniały się ze stanika. Rozglądała się za czymś, czym mogłaby odwrócić jego uwagę od siebie. Zauwa yła, e szpaler witających ju się rozprasza, a Rolfe, razem z oną konsula, obchodzi salon. Na jego piersi, na błękitnej wstędze, wisiał krzy maltański z emalii i złota, wysadzany diamentami, szafirami i rubinami.

- Proszę powiedzieć mi coś o odznaczeniu, które nosi Rolfe. Co to takiego?

Meyer spojrział na księcia i jego order.

- Jest to odznaczenie ustanowione przez dziada obecnego króla w 1726 roku, nadawane za zasługi tym, którzy dowodzili wojskami w obronie ziemi Ruthenii. Rolfe otrzymał je kilka lat temu za udział w niewielkiej wyprawie przeciwko naszym sąsiadom z północy - przerwał na chwilę, ale zaraz zaczął mówić dalej: - To Max należał na tę dekorację. Ich ojciec - to znaczy, nasz ojciec - chciał tego uniknąć, zwłaszcza że Max nie brał czynnego udziału w wyprawie i nie mógł go otrzymać.

- Jest pewnie dumny, że je nosi?

- O ile wiem, niczego nie ceni wyżej - zgodził się z nią Meyer.

Podczas ich rozmowy Rolfe niepostrzeżenie wymknął się pani konsulowej i zniknął.

Angeline pochłonęło oglądanie gęstniejącego tłumu, lśniącego bielą i złotem.

- Władca i czarująca zjawo, oszłamiająca umysł i wzrok, niedościgniona w tym domu, w tym mieście, na tym kontynencie i na całym świecie, piękna Angeline, zatańczysz ze mną w pierwszej parze? - zapytał, stając za nią.

Nie była to dla niej najlepsza chwila do podjęcia wyzwania, jakim był on sam, ale musiała to zrobić. Obróciła się w jego stronę, zmusiła do uśmiechu, a słowom starała się nadać lekkość, by dostroić się do lekkości jego tonu.

- Chętnie. Ale sądzę, że twoim obowiązkiem jest poprowadzić w tym tańcu gospodynię przyjęcia.

- Ma sterczące zęby, a suknię, którą ma na sobie, nosiła już wtedy, kiedy tu było gorąco. Wolę, skoro już muszę, te taneczne podrygi robić z tobą.

Jego błękitne oczy były trochę za jasne. Pewnie pił. Nastrój miał tak radosny i beztrudny jak wtedy w nocy, w domku myśliwskim, kiedy przegrywał i wygrywał panie dostarczone przez M'sieur de la Chaise i jak strzelaniem współzawodniczył o względy młodej Akadyjki. Pamiętała jednak, że picie w najmniejszym nawet stopniu nie przyciemniało jego umysłu.

- Będzie to potwierdzeniem, że godzę się na wszystko, nie sądzisz? Równie dobrze można by wywiesić afisz z informacją, że jestem twoją utrzymanką.

- Czemu nie? Tylko że to byłoby nieprawdą.

- Co to ma za znaczenie dla tych ludzi, skoro i tak wolą myśleć, jak myślą.

- Jesteś rozgoryczona, słodka Angeline? Nie chciałem tego. Ale podaj mi rękę, a ja postaram się dać im powody do myślenia, a jeśli były jakieś chmury i burze, to teraz robię wszystko, by uczciwie zło naprawić.

Pozwoliła się wyprowadzić na parkiet i rzeczywiście jego manierom nie można było nic zarzucić.

Spoglądał na tłum otaczający salę i czekający, a zacznie taniec.

Uklonił się najpierw w jedną, a potem w drugą stronę, ze wzrokiem ponad głowami, a kiedy rozpoczął walca, zachowywał się tak, jakby była jego o dziesięć lat młodszą siostrą.

To było przygnębiające doświadczenie. Ale przyjrzała się jego nieruchomym rysom, jej usta mimowolnie zło żyły się do uśmiechu. Tak szeroki wachlarz emocji był dla niej samej zaskoczeniem. Bezwiednie pokręciła głową.

- Co? Nie podobają ci się moje starania? - spytał, usiłując zajrzeć jej w oczy.

- Nie, bo w nich nie uczestniczę. Skoro ty jesteś znudzony, to jak ja powinnam się czuć?

- Przestraszona? - spytał z niewinną miną.

- Nie sędzę.

- To mo e wdzięczna?

- Nie - odparła ju trochę niechętnie.

- Czy doprawdy nie ma tu nic, co mogłoby cię zabawić? Nic, czym mo na by ci zawrócić w głowie?

- Mo e to dziwne, ale nic mi tutaj nie odpowiada - odparła ju zupełnie cierpko.

- Za to mnie odpowiada. Ale jedno jest tu zabronione: patrzeć na mnie wilkiem.

- Wcale tego nie robię!

- Robisz. I to mnie niepokoi. A mo e mam plamę na kołnierzu?

- Wiesz dobrze, e nie.

- Wiem tylko tyle, e zapłaciłem du o pieniędzy Sarusowi, eby wszystko było w porządku. Tak na marginesie - Sarus jest znowu ze mną.

- Jest na pewno zadowolony.

- Wniebowzięty! Przez cały dzień wysłuchuję jego utyskiwań, e podczas wyprawy do Ziemi Niczyjej zniszczyłem mundur. Myślę, e brakuje mu damskich strojów do prania, bo ciągle dopytuje się o ciebie.

Przyciągnął ją bli ej. Spojrzała na niego niespokojnie.

- Całodzienne pilnowanie nie wchodzi ju w grę,

niemniej przeka mu moje pozdrowienia i powiedz, e czuję się dobrze. A jeśli idzie o stroje, to dziękuję ci za suknię, jest zachwycająca.

- Drobiazg - powiedział jakby mimochodem, ale zaraz dodał odrobinę ostrzej: - Od Andre Delacroix dostawałaś przecie podobne rzeczy. Więc co to za prezent.

Odchyliła się, a w jej szarzielonych oczach dostrzegł groźny błysk.

- Od jego matki, która mnie zna od dzieciństwa. To zupełnie co innego!

- Ale nie możesz zaprzeczyć, zrobiła to za jego namową?

- Mo e i tak, ale nie masz prawa robić mi wyrzutów...

- Miałem zawsze najlepsze intencje. Przyjmij to jako moje epitafium.

- O czym ty mówisz?

Uśmiechnął się rozbijająco.

- Wszystko, co było między nami, było powa ne.

Zaczynał się niepewny grunt. Zmobilizowała wszystkie swoje umiejętności, by zmienić temat.

- Wiem chyba coś, co muszę ci powiedzieć. Widziałam Claire.

- Gdzie?

Jego spojrzenie pozostało ciepłe.

Opowiedziała mu, teraz bardziej pewna, e nie ma to dla niego większego znaczenia, bo z całą pewnością ma swoje własne źródła informacji.

- Szkoda, e straciłaś ją z oczu. Była sama?

- O ile widziałam - tak.

Skinął głową, choć bez przekonania.

- Wolałbym, ebyś ju nie śledziła słu ącej ciotki.

To nie są arty. ycie Claire mo e stać się stawką w grze, jeśli odnajdzie ją jako pierwsza osoba niewłaściwa. To samo mo e dotyczyć ciebie. Boję się, e trzymanie cię przy sobie mo e być powa nym zagrożeniem dla ciebie, ale z drugiej strony męką mi jest myśl, e sama mo esz ściągnąć na siebie niebezpieczeństwo, kiedy mnie przy tobie nie będzie.

A więc nie miała racji: jej informacje były wa ne.

Ale najwa niejsze było to, co pośrednio dał jej do zrozumienia: ani Claire, ani informacje o niej nie były tak wa ne jak ona sama.

Zanim jednak zdążyła o cokolwiek zapytać, orkiestra przestała grać. Rolfe spojrzął jej w oczy, a potem ujął pod ramię i poprowadził do miejsca, gdzie stała Madame Delacroix z dwiema starymi damami, z którymi Angeline ju się spotkała. Uniósł jej dłoń do ust, ukłonił się damom i odszedł.

- Cudownie dzisiaj wyglądasz - powiedziała Helene dość zimno. - I co najmniej jeden męczyzna myśli tak samo jak ja. Ale księżę był zniewalający.

Młodsza z dam z westchnieniem złożyła na piersiach kościste ręce.

- To było wzruszające, jak cię poerał wzrokiem.

- Ja nie... niczego takiego nie dostrzegłam – zaprzeczyła Angeline.

- Nie wszyscy są tak spostrzegawczy jak my dwie, zresztą ju wcześniej widziałyśmy was razem – starsza siostra poparła młodszą. - Ale nie musisz się denerwować.

- Panie nie rozumieją...

- Z niczego nie musisz się tłumaczyć, *ma chere* - rzekła starsza z dam, dotykając jej ramienia wachlarzem o uchwycie z poółkłej kości słoniowej. - Od lat ju się tak nie bawiłam i tak chętnie nie wracałam myślą do swej młodości. Zgrzeszyć z kimś takim to *bagatelle*, bez znaczenia, chyba e dla samej grzesznicy. Takie sprawy trzeba wybaczać tym królewskim hultajom, ale tak e kobietom, na których spoczął ich wzrok.

Coś, jakby wspomnienie młodości, rozjaśniło jej twarz; zaraz jednak zaczęła mówić dalej.

- I w ten sposób będę mówiła ka demu, kto by się odważył powiedzieć o tobie coś złego w mojej obecności. Zresztą, gdyby ktoś powiedział o tobie coś złego, byłaby to wyłącznie czysta zazdrość.

Podszedł do nich Andre. Damy wymieniły między sobą spojrzenia i zmieniły temat. Gdy orkiestra zaczęła grać, Andre pospiesznie poprosił Angeline do tańca.

Nie potrafiła znaleźć adnego rozsądnego powodu, by mu odmówić.

- Odeszłaś od nas bez poegnania - powiedział, gdy ju dostatecznie oddalili się od dam i matki.

- Wiem i bardzo mi z tego powodu przykro, ale moja ciotka przyjechała po mnie.

- Pewnie wini cię za zniknięcie Claire? Dobrze cię traktuje?

- Znośnie.

Nie uznała za konieczne, by wtajemniczać go w swoje problemy, zwłaszcza e nie yczyła sobie, by cokolwiek w tej sprawie robił.

- Mam co do tego pewne wątpliwości. Powtarzała mi za ka dym razem, gdy o ciebie pytałem, e nie

ma cię w domu, chociaż wiedziałem, że to nieprawda. Ale dajmy temu spokój. - Z wielką powagą popatrzył jej w oczy. - Muszę z tobą porozmawiać. Nie zakończyliśmy jeszcze pewnej sprawy, dotyczącej nas obojga. A jest pilna, przynajmniej dla mnie.

- Nie wiedziałam, że próbowałeś się ze mną kontaktować.

- Na moje listy te nie odpowiadałaś.

- Nigdy do mnie nie dotarły.

- Gdybyś dała mi jakikolwiek znak, że chcesz się ze mną widzieć, nawet siłą wdarłbym się do środka. Ciotka nie ma prawa cię więzić.

Źle zrozumiał brak zachęty z jej strony.

- Nie o to chodzi, Andre. Twoja troskliwość jest zadziwiająca. Ale nie jestem pewna, czy mogę dać ci odpowiedź, o jaką ci chodzi.

- Proszę cię o niewiele.

- Wiem - odparła i popatrzyła w jego szczerą, śniadą twarz, z wąsikami nad śmiejącymi się ustami – ale zasługujesz na więcej.

Rozdzielili ich gwardziści. Po kolei zapraszali ją do tańca. Rolfe w tym czasie musiał tańczyć z onami zgromadzonych tu dygnitarzy. Zastanawiała się, czy gwardziści tańczyli z nią z własnej inicjatywy, czy taki dostali rozkaz. Gustave, czerwony na twarzy, zatańczył z nią dziarsko jakiś taniec ludowy. Z Meyerem tańczyła walca. Leopold, z ruchliwością ywego srebra, z gracją w najlepszym stylu, był jej partnerem do kadryla.

Oswald kłaniał się przed nią w dworskim menuecie, który wszedł w modę, gdy na tron francuski powrócili Burbonowie. Maniery miał bardzo dystyngowane. Tak jak pozostali, na rękawie białego munduru nosił czarną opaskę. Był pełen kurtuazji, troskliwy, z ciepłym uśmiechem na twarzy, co bardzo upodobało go do Oscara. Angeline, obserwując go kątem oka, miała dziwne uczucie, że Oswald zginął, a ona tańczy z Oscarem.

Rozważania pochłonęły ją na tyle, że nie ściagała już wzrokiem księcia, a nawet zapomniała o swojej niedyspozycji. Postanowiła tylko, że do końca wieczoru nic już nie będzie piła.

Rolfe za to pił do o.

- Robi tak - rzekł Meyer, stając obok niej – od czasu, gdy dotarliśmy do Nowego Orleanu, od kiedy zaczął przeglądać czekające tu na niego depesze. Pewnie ma powody ku temu. Nie znam ich treści, ale wiem, że kilka było od ojca, z zarzutami, że zaniedbuje swoje obowiązki. Inne pochodziły od ministra finansów na temat jego wydatków, wreszcie - od ministra spraw zagranicznych o mojej liwości zaręczyn z jakąś bawarską księżniczką.

- To wystarczająco do o, by ją dego wyprowadzić z równowagi - powiedziała z wysiłkiem - a już

zwłaszcza kogoś, kto ma tu do spełnienia takie zadanie.

- Zgadzam się. Ale jego energia jest niewyczerpana.

Śpi bardzo niewiele, bo nadal poszukuje pani kuzynki, uczestniczy w ciągłych zabawach, ma czas dla drobnych handlarzy i cyrulików, którzy mogliby mu udzielić informacji. Oprócz tego udało mu się umocnić związki między waszym krajem a Ruthenią i jakby jeszcze tego było mało, sam odpowiada na całą otrzymywaną korespondencję.

- Wygląda na to, e potrafi genialnie organizować swój...

- I robi wszystko bez odkładania spraw na później.

Martwi to tych, którzy są z nim, szczególnie teraz, kiedy niemal widać koniec naszej wyprawy.

- Ma jakieś wiadomości o Claire? - przerwała mu.

- W tej sprawie jest bardzo ostro ny i nie mo na mu tego brać za złe. Ale to bardzo mo liwe.

- Jeśli tak jest, to czemu nic nie robi?

- Kto to mo e wiedzieć. Mo e tym razem chce mieć absolutną pewność, e ofiara mu się nie wymknie?

Mo e być te tak, pomyślała Angeline, e nie dowierzając nikomu, utrzymuje ich wszystkich w niepewności.

Gdy zapowiedziano ostatni taniec przed kolacją pojawił się Rolfe, ujął jej dłoń, poprowadził na parkiet i wśród tuzinów innych roześmianych, rozgadanych par otoczył ją ramieniem i rozpoczął taniec. Obejmował ją bez słowa, ale teraz nie było w tym obojętności jak w pierwszym tańcu.

Tulił ją, nie zwracając uwagi na całe otoczenie. Twarz miał powa ną, całą uwagę skupioną na niej, nikogo więcej zdawał się nie widzieć.

Mo na było odnieść wra enie, e to milczące po egnanie.

Jego ramiona były jak bezpieczna przystań, gdy prowadził ją w tańcu po sali. Czowała się bezpieczna, zamknięta w maleńkim kręgu intymności. Ka dym nerwem wyczuwała jego bliskość, obecność jego mocnego męskiego ciała, siłę, nad którą doskonale panował.

Słyszała bicie własnego serca. Na całym ciele czuła podniecające mrowie i tylko gdzieś głęboko w krtani dusiła ból rodzący łzy. Uświadomiła sobie, e myśli o nocy, kiedy się po raz pierwszy spotkali, o jego bezceremonialnym nagabywaniu na środku salonu. Jak inaczej traktował ją teraz i jak bardzo by chciała, eby było jak przedtem i - na zawsze.

Zrozumiała, e zaprosił ją tu dzisiaj, aby jak powiedział u Heleny w domu, przywrócić ją tutejszej społeczności, naprawić to, co niechcący zniszczył. Była mu za to wdzięczna, ale bała się, e jego

wysiłki nie na wiele się zdadzą.

- Nie znudziło cię to całe bractwo? Te podrygi i jazgotanie? Ja muszę tu zostać do końca, gapić się, kręcić w koło i dopijać letni szampan. Je eli zechcesz wracać do domu, mo esz to zrobić w ka dej chwili.

Czuła się trochę zmęczona. Chyba będzie najlepiej, jeśli teraz, w szczytowym punkcie zabawy, wyjdzie stąd wesółą i z podniesioną głową, zamiast tkwić tu i przyglądać mu się płonącymi oczami a do chwili, gdy i tak będzie musiała wyjść.

- Masz rację. Na dzisiaj wystarczy.

Odwoził ją Meyer. Siedział cicho w głębi powozu i przez pierwszy odcinek drogi nawet nie próbował nawiązać rozmowy. Dopiero po jakimś czasie odwrócił się do niej, obserwując jej profil, rysujący się wyraźnie na tle okna, za którym paliła się oświetlająca drogę lampa.

- Zastanawiam się, czy mo e pani... myślała o mojej propozycji... sprzed paru tygodni? - spytał niskim, cichym głosem.

- Myślałam o czymś innym: czy pan sam o niej nie zapomniał albo ałował, e ją wypowiedział – odparła wówczas cicho.

- Co te pani mówi! Tyle e tymczasem pojawiły się inne problemy, inne okoliczności, jak chocia by ucieczka, jeśli tak to mo na nazwać, z młodym Delacroix...

- Tak. I nie stawiam panu zarzutu, jak by to powiedzieć, opieszałości. Trudno pana winić za to, e ma pan wątpliwości. Powinnam była od razu zastanowić się nad pańską propozycją i odpowiedzieć, e z niej nie skorzystam.

Poniewa przez jakiś czas się nie odzywał, spytała:

- Mo e pana obraziłam? Zapewniam pana, e nie miałam takiego zamiaru. Zawsze będę panu wdzięczna za pańską troskliwość, za ratowanie mnie w tak szczególnych okolicznościach. Ale nie wydaje mi się, by całkowite zdanie się na pańską dobrą wolę było dobrym rozwiązaniem.

adne z nas nie byłoby szczęśliwe.

Przysunął się bli ej, jakby chciał jej dotknąć, wziąć w ramiona, ale ponieważ wtedy właśnie powóz zaczął zwalniać, a Leopold na koniu zrównał się z oknem pojazdu - cofnął się na poprzednie miejsce.

- Przykro mi, e pani odpowiedź jest odmowna.

Wolałbym, eby wypadki potoczyły się inaczej...

- Gdyby wypadki potoczyły się inaczej i my zapewne bylibyśmy inni - szepnęła.

- Tak - potwierdził suchym tonem i otworzył przed nią drzwiczki pojazdu.

Nikt nie pomagał jej w zdejmowaniu ozdób, rękawiczek, ciężkiego trenu, rozpinaniu długiego rzędu perłowych guziczków na plecach. Madame de Buys z siostrą były w domu - widać było światło w salonie, ale drzwi do niego były zamknięte, jakby się bały jej najścia.

Zdjęcie sukni zajęło jej dość dużo czasu, ale w końcu udało się i piękny strój znalazł się w szafie.

Narzuciła na siebie znoszony szlafrok i wyjęła szpilki z włosów, pozwalając im opaść swobodnie na plecy. Wzięła szczotkę, zaczęła je wolno rozczesywać. Potem zdmuchnęła świecę i położyła się na wąskim łóżku.

Nie miała nadziei na szybkie zaśnięcie, była zbyt przejęta. Leżała wpatrując się w ciemność: po jakimś czasie zapomniała, gdzie jest. Zapadła w półsen.

Wzdrygnęła się. Leżała bez ruchu, usiłowała rozejrzeć się dokoła. Była noc, zupełnie ciemno, bez śladu brzasku, bez gwiazd.

Nie potrafiła powiedzieć, co ją zbudziło - tylko napięte nerwy zdawały się o czymś ostrzegać.

Powoli zaczęła nabierać pewności, że nie jest w pokoju sama.

Oddech stawał się urywany, zmysły wyczulone na najmniejszy ruch, na najcichszy szelest.

Mięśnie chwycił kurcz. Czas przestał istnieć. Gdzieś zapiał kogut.

Podmuch wiatru poruszył gałązki winorośli, tak że otarły się o cegły muru.

Zwilżyła wargi.

- Ciociu Berthe?

- adna stara baba, aden nocny złodziej. To ja.

Głos dochodził od strony drzwi. Obróciła się w tę stronę.

- Rolfe?!

- Jeśli możesz, powstrzymaj się od zbyt głośnych powitań.

- Ale jak... skąd się tu wzięłeś? Po co?

Przeraził ją ledwo hamowany śmiech w jego głosie.

Zaskrzybiał materac, gdy siadała na łóżku. Szybkim ruchem głowy odrzuciła włosy na plecy.

- Po to samo, po co ebrak zbliżył się do cennego relikwiarza: by otrzymać błogosławieństwo.

- Powinieneś być chociaż zapukać.

- eby mnie wyproszone? Ryzyko było zbyt wielkie.

Tylko po zmieniającym się kierunku, z jakiego dochodził głos, domyślała się, e się zbli a –

poruszał się bezgłośnie. Dreszcz przeniknął jej ciało. Ale zaraz te ogarnęła ją złość. Jak to mo e być, e tak łatwo udaje mu się ją podniecić, grać na jej zmysłach? Najpierw ją odsyła, potem chce z nią być, włamując się do jej pokoju.

- Wyjdź - powiedziała zdecydowanie. – Wypraszam to sobie. Nie ma znaczenia, kim jesteś, takich rzeczy robić nie wolno.

- Wszedłem tu forsując bramę, wspinając się po niebezpiecznych schodach pod okiem smoka i teraz miałbym odejść bez nagrody?

Był bezczelny - śmiał się z niej. Był na pewno pijany i dla artu, dla kaprysu gotów narazić ją...

Nieważne na co. Sam fakt, e chciał ją potraktować jak zabawkę, doprowadzał ją do białej gorączki.

- Będziesz musiał - powiedziała dobitnie.

- Nie przywitasz mnie, Angeline? Nie pocałujesz? Bez targowania się. Jak mam być? Snem?

Wspomnieniami?

Na ramieniu poczuła ciepły dotyk. Cofnęła się.

- Snem jest twoja obecność tutaj. Wyjdź, a wszystko będzie tak, jakby cię tu nigdy nie było.

- Wyjść stąd, zostawić cię śpiącą, zwiniętą w kłębek, bezbronną i nieutuloną w tę zimną noc?

Jestem męczyzną, a nie duchem, który pojawia się i znika na życzenie. Moje pragnienie posiadania ciebie jest jak płomień spalający wolę i serce. To ono doprowadziło mnie tutaj.

Czuła, jak w miarę mówienia jego głos nabierał ostrzejszych tonów. Cofnęła się, gdy wyciągnął

w jej stronę rękę. Z kocią zwinnością przerzuciła nogi na drugą stronę stojącego niemal przy samej ścianie łóżka. Stopami dotknęła podłogi i przykucnęła, słysząc jego kroki na dywanie, podchodził do drzwi, by odciąć jej drogę ucieczki. Nachyliła się i wsunęła pod wysoką ramę łóżka. Na ramionach poczuła delikatne łaskotanie pajęczyny.

Zastygła w bezruchu, starając się wychwycić uchem nawet najcichszy szmer. Szeroko otwartymi oczami usiłowała przebić czerń nocy, by w porę zauważyć jego biały mundur, gdyby się zbliżył.

Nie było jej tu wygodnie. W miarę mijających sekund coraz mocniej musiała zaciskać zęby, by się nie poddać.

Trudno było przez tak długi czas powstrzymać oddech. Drżała z gniewu, napięcia i jakiegoś szczególnego rodzaju podniecenia. Jemu nie pozostało nic innego, jak stać na miejscu i pilnować, by nie uciekła z pokoju. Jeśli chce wyjść, musi usunąć go z drogi. Z największą ostrością wzięła poduszkę z łóżka i rzuciła w odległy kąt pokoju, możliwie najdalej od drzwi. Skrzypnęła deska w podłodze, gdy skoczył w stronę, skąd doszedł go odgłos uderzającej o ścianę poduszki.

Jeszcze zanim ta upadła na podłogę, Angeline wysunęła się spod łóżka i dopadła klamki.

- To stary chwyt i mnie na niego nie nabierzesz - rzekł stając przy niej i z trudem hamując śmiech.

- A to? - zawołała zduszonym głosem i zaciśniętą pięścią uderzyła w ciemność, kierując cios w stronę, skąd dochodził głos.

Tego się nie spodziewał, ale zdążył cofnąć głowę na tyle, a jej pięść tylko otarła się o jego wargi. W to uderzenie włożyła cały swój gniew. Wyczuł to i po raz pierwszy od dawna nie wiedział, co zrobić. Ta chwila jego zawahania wystarczyła jej, by nacisnąć klamkę i wymknąć się z pokoju. Rzuciła się w stronę schodów wiodących na podwórze.

Usłyszała ciche przekleństwo, gdy ruszył za nią.

Chwyła ręką krawędź nocnej koszuli, by na nią nie nadeprnąć, i z rozwianymi włosami zbiegła w dół. Schody, niezbyt mocne, zatrzęsły się pod jego nogami. Czuli ją dogania, ale nie oglądała się za siebie, dudniąc bosymi stopami po stopniach. Było tylko dopaść podwórze - tam mogła na siebie ukryć.

Poczuła dłoń na ramionach. Rzuciła się do przodu. Już chciała krzyknąć, gdy elastyczna ręka chwyciła ją w pasie, a ona się zgięła w pół. Szarpnęła się jeszcze raz i razem stracili równowagę.

Zanim zdążył chwycić się chwiejnej poręczy, już poleciała w dół. Wylądowała na nim jak na poduszce. Leżała bez ruchu, z głową na jego barkach, dysząc ciężko, czując tylko mocne uderzenia jego serca.

- Nic ci nie jest? - spytał lekko przerażonym głosem, przesuwał dłonie wzdłuż jej ciała.

Z zamkniętymi oczami czekała, a poczuje jakiś ból, ale nic takiego nie następowało.

- Myślę, że nie.

Jego uchwyt zelżał. Miała wrażenie, że ustami dotyka jej włosów.

- Jesteś zwinna i niebezpieczna. Wygląda na to, że o siebie przy mnie nauczyłaś.

- Nie tyle, by cię pokonać.

- Jeśli to moje zwycięstwo, to wcale się nim nie cieszę.

- Zraniłam cię? - nie mogła się powstrzymać od zadania tego pytania.

- Na zawsze pozostanie mi blizna. Zobaczę.

Puścił ją, ale zamiast swej twarzy, dotknął jej bioder, przesunął dłonie w górę, objął pełne piersi.

Obróciła się trochę, odchyliła głowę do tyłu, usiłując popatrzeć mu w twarz, ale zobaczyła nad sobą tylko niewyraźną plamę. Jej gniew gdzieś się rozplątał, pozostawiając po sobie niepokojącą pustkę. Uniosła rękę, by dotknąć jego warg. Natknęła się na wilgotną, maleńką strukę krwi w kącie ust.

- Bardzo niewielka.

- To bez znaczenia. Idzie o ranę na duszy, której nie da się wyleczyć. Jest bardziej bolesna niż nienawiść mego ojca, niż nagła, niepotrzebna śmierć mojego młodego druha. Śmiertelna nie jest, chociaż gdy pomyślę, ile bólu mi przysporzy, pewnie wolałbym, by taka była.

Królewskie więzy krwi - to nie była jego wina. Nie było jego winą, a nieprzekraczalny mur pozycji i obowiązków oddzielał ich od siebie. Starał się nią opiekować i pomagać jej tam, gdzie ka dy inny o jego pozycji i randze dawno by ją zostawił, by cierpiała w samotności. Jeśli przyszedł tutaj, nie zważając, jakie to może mieć skutki dla niej, to nie zastanawiał się również nad konsekwencjami dla siebie samego. I jeśli z początku wydawał się rozbawiony, teraz ten wesoły nastrój minął mu całkowicie. Pozostała udręka.

- Pozwolisz mi ją wyleczyć? - spytała.

- Jak? Przecierając ją wyrzutami niczym szorstką szmatką? A może narzekaniem?

- Nagrodą, jakiej szukałeś. Miłością, radością.

Dech mu zaparło. Leżał bez ruchu. W końcu, jakby słowa wydostawały się z niego wbrew jego woli, zapytał:

- Za jaką cenę?

- Nie będę liczyła. Tego nie można policzyć. Nigdy.

- Dar przez łzy? - spytał cicho, niepewnie.

Angeline nawet nie zauważyła, że płacze.

- Mówi się, że ból bywa błogosławieństwem - szepnęła niemal niedosłyszalnie.

- Sakramentalnym - powiedział bardzo wyraźnie.

Potem końcami palców dotknął jej łez i przebiegnął się dotykając nimi czoła, piersi i obu ramion.

- Lecz jeśli to leczenie ma być sposobem na zapomnienie, nie przyjmuję go.

- Nie, nie - przerwała mu. - Pozwól, bym zachowała cię w pamięci, jeśli inaczej być nie może.

- Na zawsze ślubuję ci wiarę, bez końca, bez kresu.

Przesunął palcami wzdłuż delikatnej linii jej podbródka, uniósł go ostro nie. Ich usta się spotkały.

Smak krwi i łez zmieszał się na językach, tworząc nierozłączną jedność. Pocałunek się pogłębiał, nabierał mocy. Angeline przyłgnęła do niego, uniosła ręce i objęła go mocno za kark. Piersią przywarła do jego piersi.

Pełna rozpaczyczuła, jak rozpała się w niej ar.

Zapagnęła stać się jego częścią i by on stał się częścią jej. Z bolesnym westchnieniem zanurzyła palce w jego złotych włosach.

Jego usta łapczywie chłoneły jej usta, ramiona obejmowały coraz mocniej, jakby chciał skruszyć jej ciało i tym bólem wyprzeć wewnętrzne, intensywniejsze cierpienie. Zagubieni w rosnącym po ądaniu nie zdawali sobie sprawy, gdzie się znajdują, nie czuli, e le ą na twardych schodach.

Pochłoneci sobą, stracili rachubę czasu i poczucie miejsca - wa na była jedynie ta chwila.

Zdjęła ręce z jego karku i dr ącymi palcami zaczęła rozpinać guziki jego płaszcza, wsunęła dłonie pod kurtkę munduru i pod koszulę. Potem sięgnęła ni ej i rozpięła guziki spodni. Szybko zdjął z siebie błękitną wstęgę z krzy em maltańskim. Kilkoma ruchami zrzucił z siebie koszulę i spodnie. Potem jednym płynnym ruchem zdjął z niej nocną koszulę. Uniósł się nad nią, rozsunął

jej uda i zanurzył się w niej. Wstrzymała oddech, otwartymi dłońmi oparła się o jego pierś, by zaraz potem chwycić go za barki i przydusić do siebie. Jęknęła głośno, z ulgą.

- Ciesz się ze mną, moja ty miłości - rzekł chrapliwym głosem, z ustami zatopionymi w jej włosach. – Przystani ty moja i moje niebo. To wszystko, co nam teraz wolno.

Zanurzył się w niej po raz ostatni. Potem przygarnął ją do siebie. Zwarci ze sobą nagimi ciałami, jeszcze chwilę oddychali cię ko.

Napięcie zaczęło opadać. Skóra, gorąca i błyszcząca kroplami potu, zaczęła stygnąć. Uniesienie, które na tę chwilę zagłuszyło wszystko - mijało.

Angeline poczuła, jak ostry kant stopnia wpija się w jej biodro, bolała ją kostka zakleszczona między szczablami poręczy. Ramiona owiał zimny powiew. Zadr ała.

Rolfe wydał z siebie jakiś dziwny dźwięk, coś między jękiem a zduszonym śmiechem. Ukląkł na jedno kolano, zebrał ich rozrzucone ubrania i poło ył je na jej łonie.

Nachylił się, wziął ją na ręce, uniósł na wysokość piersi i powoli ruszył w górę po schodach.

Byli ju prawie u szczytu, gdy z wychodzącego na podwórze okna sypialni padło na nich ólte światło świecy. Zaraz potem z hałasem otworzyły się drzwi i ciotka Berthe, z turbanem z brązowego i niebieskiego muślinu na siwych włosach, zagroziła im drogę.

- No, ładnie! - syknęła spojrzawszy na Angeline, leżą nago w ramionach Rolfe'a. Nie dała po sobie poznać, czy to, że Rolfe był równie nagi, robi na niej jakiegokolwiek wrażenie. Patrzyła na nich z tryumfem, jakby to, że jest ubrana, stanowiło jej przewagę nad nimi.

- Dobry wieczór pani - rzekł spokojnie Rolfe.

Zignorowała jego pozdrowienie; szyderczo wyduła usta, patrząc na Angeline.

- Zdawało mi się, że słyszałam jęczącą dziwkę.

Rolfe, pewny siebie, ubrany czy nagi, uniósł jedynie brwi, jakby się zdziwił.

- To wymysł pani chorej wyobraźni.

Ta odpowiedź sprawiła, że Madame de Buys przeniosła wzrok z Angeline na Rolfe'a.

Wyprostowała się i z nienawiścią w oczach wycedziła przez zęby:

- Ładnie, byście się stąd wynieśli!

- Egnaj - powiedział cicho i krótko - i niech cię diabli wezmą!

- Za wiele sobie pozwalasz! Nie ścierpię takiego zachowania w domu mojej siostry!

- A kto mnie powstrzyma? Może mam posłać po Meyera czy Leopolda, a może tak i Oswalda?

Zrobimy powtórkę...

Domyśliła się od razu, że idzie o tych, którzy pamiętnej nocy rozebrali ją do naga. Cofnęła się natychmiast.

- Tego nie zrobisz!

- Miła kobieto, droga krewno Angeline, któraś z takim oddaniem troszczyła się o nią, powiedz mi, czemu miałbym tego nie zrobić?

Angeline przeraziła się. Poczowała litość dla tej starej kobiety. Madame de Buys zadrżała z gniewu i... strachu. Odwróciła się i trzasnąwszy drzwiami zniknęła w sypialni.

Rolfe wszedł do pokoiku Angeline i delikatnie ułożył ją na łóżku. Potem spokojnie zamknął

drzwi i wrócił do niej. Ubranie rzucił na podłogę, a sam położył się obok dziewczyny. Podciągnął

kołdrę i szczelnie okrył jej plecy. Z policzkiem na jego ramieniu, całym ciałem wtulona w jego ciepło, powoli uspokajała się i rozgrzewała. Rozłożyła ręce na jego piersi, twarzą dotknęła miejsca, w którym obojczyk styka się z szyją i wsłuchiwała się w tętniącą w tym miejscu krew.

Czas uciekał. Do rana było niedaleko. Obrócił się, przytulił ją do siebie. Końcami palców

przesuwiała wzdłuż twardej linii jego podbródka. Zapraszająco rozchyliła usta - natychmiast przyjął jej pocałunek. I tak, szepcząc słodkie słowa, delikatnie, ale i zachłannie wnikali w siebie, poszukując się i odkrywając się ciągle na nowo. A nasyceni sobą, ze splecionymi rękami, przytuleni, pograżyli się we śnie.

Światło wstającego dnia sączyło się do pokoiku. Gdy Angeline się obudziła, był jasny dzień.

Słońce złotą strugą wlewało się do środka. Odbijało się od królewskiego orderu Ruthenii, który razem z błękitną szarfą leżał, starannie ułożony, na poduszce obok niej. Była sama.

Rozdział 19

W kuchni, stanowiącej oddzielne skrzydło domu wdowy, czuć było wilgoć i pleśń. Tynk odpadał od rozmiękłych cegieł wewnętrznych ścian. W powietrzu unosiła się woń zmywania oraz gotowanych wcześniej potraw.

Do południa Angeline nie czuła głodu, walcząc z nudnościami, ale teraz, pod wieczór, chętnie by coś zjadła.

Uniosła pokrywkę garnka z zupą rybną, zimną i z kołuchem tłuszczu na wierzchu. Wzdrygnęła się i zakryła naczynie. Nie była w stanie przełknąć kawałka węgorka, leżącego obok. Do jedzenia nadawał się jedynie kawałek chleba, ser i kilka gotowanych krewetek. Wzięła to wszystko, wyszła z kuchni i ruszyła na górę. Była już w połowie schodów, gdy z pokoju wyszła ciotka, ubrana jak do wyjścia. Na ramionach miała krótką pelerynę, kosz na ramieniu i czepiec mocno naciągnięty na oczy. Pewnie kryza tego czepca zasłoniła jej widok, bo zauważyła Angeline dopiero gdy znalazły się obok siebie. Ale mogło to być tak, szczególnie zaczęła schodzić w tej właśnie chwili. Zajęła niemal całą szerokość schodów. Z zaciętą twarzą, mijając Angeline, omal nie zepchnęła jej na poręcz. Nie oglądając się za siebie, poszła w stronę furtki prowadzącej na ulicę. Dziewczyna popatrzyła za nią z ponurym błyskiem w oczach. Z jednej strony bolało ją, że ta stara kobieta tak ją traktowała - przecie to nie ona była winna nieszczęść Claire. Z drugiej strony była jednak zadowolona, że ciotka ją całkowicie ignoruje. Wyglądało na to, że pamiętając o groźbie Rolfe'a boi się zrobić jej jakkolwiek krzywdę.

Ale coś jeszcze zaskoczyło Angeline w ciotce. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, co to było.

Ciotka nie miała na sobie zwykłego wyjściowego stroju. Ubrana była w pelerynę i czepiec Marii.

W ręku miała też jej koszyk.

Ciotka udawała się na spotkanie z Claire. Wiedziała, gdzie ją znaleźć - to było jasne. Z

pewnością chciała wyjść z domu niepostrzeżenie. Nie spodziewała się, że może natknąć się na Angeline, która zazwyczaj przez cały dzień nie opuszczała swego pokoju. Może w swym zaślepieniu myślała, że w przebraniu słuchającej nikt jej nie rozpozna? Z pozoru było to niedorzeczne, bo różnica była widoczna z daleka - ciotka jest korpulentna, a Maria wyjątkowo chuda. Ale kto się przejmował kręcącymi się tu i tam słuchającymi? Chyba żeby ktoś specjalnie ją obserwował.

Czy Rolfe miał tu swoich ludzi? Chciałaby to wiedzieć. I to, jakie kroki podejmuje, by odnaleźć Claire. Powiedział jej, eby ju nie śledziła Marii. Dlaczego? Mo e znał miejsce ukrycia kuzynki? A mo e nie chciał jej w tę sprawę mieszać? Nie wspomniał jednak, eby nie śledziła ciotki.

Zawahała się na chwilę, ale zaraz zbiegła ze schodów i ruszyła do furtki. Jeśli się dowie czegoś o Claire, nie musi tego zaraz opowiadać Rolfe'owi. Chciałaby ją zobaczyć, przekonać się, jak yje, czy jest zdrowa.

Miała du o pytań, na które brakowało jej odpowiedzi.

To było straszne, tak ją zostawić na łasce losu. Przed oczami wciąż miała jej obraz: naga w rękach Hiszpana, z szeroko rozwartymi przera eniem oczami...

Nagle rzuciła wszystko, co trzymała w ręku, i wybiegła za furtkę.

Ulice były niemal puste. W Vieux Carre hołdowano staremu hiszpańskiemu zwyczajowi południowej drzemki. Na czas jej trwania zamykano sklepy na godzinę czy dwie. Potem ponownie je otwierano i handlowano do późnych godzin wieczornych.

Zobaczyła ciotkę dość daleko przed sobą: szła szybko w stronę rzeki.

Dzień był ciepły. W powietrzu wisiał odór kału zajmujących środek ulicy. Potrzebny był du y deszcz, by spłukać śmiecie i brudy, resztki jedzenia i końskie odchody. Na deszcz się zresztą zanosilo. Z o ywczym podmuchem z północnego zachodu napływały kłęby ciemnych chmur.

Angeline nie traciła czasu na szukanie okrycia - miała nadzieję, e nie będzie go potrzebowała.

Ubrana była w dość ciepłą suknię w szare i kremowe paski z długimi rękawami i wysokim kołnierzem. W razie deszczu zawsze mogła skryć się gdzieś pod galeryjkę, otaczającą ka dy niemal dom.

Ciotka Berthe ominęła rynek i poszła w stronę szeregu domów tyłem zwróconych do tamy, która w czasie wzbierania wód Missisipi chroniła miasto przed kaprysami rzeki. Kiedyś mieszkała tu śmietanka towarzyska, z czasem jednak, na skutek wilgoci i ciągłych zagro eń powodzią, domy podupadły. Właściciele przeprowadzili się do wy ej położonych części miasta, pozostawiając powykrzywiane podłogi i liszaje na ścianach. Domy te wnet zamieniono na kawiarnie, winiarnie i spelunki, nierzadko na domy płatnej miłości. Tu gromadzili się marynarze z zawijających do portu statków z całego świata i flotylli rzecznej, często z całosezonowym zarobkiem w kieszeniach, szukający miejsca, gdzie by go wydać. Tutaj te zjawiali się młodzi Kreole -

rzejimieszki, którzy tylko czekali na chwilę nieuwagi, by pieniądze zmieniły właściciela.

Niemal codziennie znajdowano tu martwe ciała.

Równie często opowiadano o tajemniczych zawirowaniach wody i nieznanym obiektach spływających w dół rzeki. Nie dalej jak rok temu młody człowiek, syn właściciela trzech plantacji,

na których pracowało cztery tysiące niewolników, zginął tu bez śladu. Niektórzy opowiadali, e podano mu narkotyki zmieszane z winem i załadowano na statek udający się do Chin. Inni mówili, e złodzieje najpierw go ograbili, a potem utopili.

Jedno było pewne: nie była to dzielnica, w której kobieta, nawet taka jak Madame de Buys, powinna poruszać się sama. To, e szła coraz dalej w głąb niebezpiecznego terytorium, świadczyło, jak bardzo kocha córkę. Było te jasne, dlaczego zało yła ubranie swojej słu ącej: ju samo nara anie się na zaczepki było dokuczliwe, ale rozpoznanie przez kogoś ze znajomych oznaczało ostracyzm towarzyski.

Stara kobieta skręciła w alejkę między budynkami. Angeline poszła za nią. Minęła otwarte drzwi kawiarni. Usłyszała za sobą jakiś pijacki bełkot. Nie zwracając uwagi na nic, ruszyła alejką, w którą przed chwilą weszła ciotka. Nagle poczuła, jak ktoś chwyta ją za ramię. Zanim się spostrzegła, ju znalazła się w mrocznym pomieszczeniu z brudną podłogą i odorem lichego wina, wiszącym w powietrzu. Szarpnęła się, wyrwała rękę i stanęła oko w oko z kimś, kogo nigdy w yciu nie chciałyby spotkać.

- No, patrzcie! Jak to nigdy nie wiadomo, kogo mo na spotkać na ulicach Nowego Orleanu! –

zar ał McCullough. - To jest dopiero coś, znowu cie spotkać, Mademoiselle Fortin, moja laleczko!

- Co pan tu robi? - spytała z niesmakiem, ale i przera eniem.

- O to samo i ciebie pytam. Przecie tu nie miejsce dla kogoś takiego jak ty. A ten twój Wasza Wysokość to gdzie jest? Nie powiesz chyba, e cie nie dostał, tak jak chciał.

Przez chwilę podejrzewała, e to Rolfe go tu ściągnął.

- Nie mam pojęcia.

- A, tak. To cie pytam drugi raz: co robisz tu blisko rzeki i dokąd cie tak niesie?

- Mam tu coś do załatwienia - rzekła ostro. – Pan te nie powiedział, co pan tu robi.

- Ja chce tu pomieszkać trochę po miejsku – odparł wymijająco. - Ta Ziemia Niczyja staje się trochę za ciasna i coraz mniejsza. I młody Bowie miał racje o armii, co to wszędzie włazi.

ołnierze sie tam wszędzie kręco, a to mi sie nie widzi.

Nie wierzyła, eby to była cała prawda.

- Jeśli szuka pan Rolfe'a, mo e go pan znaleźć w ambasadzie francuskiej.

- Nie, nie! Po co mi ta Wasza Wysokość? Ty mnie interesujesz. I dawno cie szukam. Wiesz o tym.

- Musi mi pan wybaczyć. Nie mogę dłu ej tracić czasu. Moje spotkanie jest bardzo wa ne.

Bardzo się spieszę.

Gdy usiłowała przejść obok niego, chwycił ją za rękę.

- To chyba ni ma nic wspólnego z łó kami tam na górze. Bo jak tak, to te tam chętnie zagładnę.

- Nie, nie ma! - krzyknęła i odepchnęła jego rękę; krwisty rumieniec oblał jej policzki.

- To o co chodzi? Jesteś z tym Francuzikiem Delacroix, tak? To on tam na ciebie czeka?

- Nie pański interes, z kim jestem. I nie mam czasu na dyskusję - schyliła się i pod jego ramieniem dała nurka wprost w stronę drzwi. Znalazła się na ulicy.

Biegła przez chwilę, bojąc się, e McCullough mo e ją gonić. Obejrzała się i z ulgą stwierdziła, e nawet nie wyszedł za nią na ulicę.

Przeszła alejkę, w którą weszła ciotka. Od czasu do czasu oglądała się za siebie. Doszła do wąskiego zaułka i minęła go szybko. McCullough mógł nie zauważyć, e tu skręciła, ale skoro nie podjął pogoni za nią, to nie miało to większego znaczenia. Gdy znalazła się na otwartym placu, za domami, spostrzegła, e dr y. Stała na chwilę, odetchnęła kilka razy głęboko, by opanować rozdygotane nerwy. To na pewno był czysty przypadek, e McCullough się tu napatoczył, nic więcej. Nie mogło to mieć nic wspólnego z Claire. A mo e miało?

Mo e to nie przypadek, e spotkała się z nim w tym miejscu?

Rozejrzała się dokoła. Zobaczyła grzbiet tamy pokrytej zeszłoroczną trawą. Na szczycie rosły bezlistne, cierniste krzaki dzikiej pomarańczy. Na tyłach niektórych domów znajdowały się maleńkie ogródki, otoczone ceglanyimi murkami. Przed innymi były tylko placyki, w poprzek których wisiały sznury suszącej się bielizny. Wszystkie stały obok siebie, ściana w ścianę.

Wyglądało to tak, jakby się wzajemnie podpierały. Tylne ich galeryjki, zwrócone w stronę rzeki, pochylały się pod niebezpiecznym kątem. Na tle ogólnego zaniedbania dobrym stanem odznaczały się biegnące wzdłu dachów rynny, odprowadzające wodę do drewnianych beczek, stojących na solidnych elaznych postumentach. Porządne były te schody prowadzące z górnych pięter na ziemię.

Ciotki nigdzie nie było widać. Jedyłą w zasięgu wzroku osobą była półczarna dziewczyna, która właśnie wyszła na schody wytrzepać ścierkę. Machnęła nią w powietrzu kilka razy, wzbijając tuman kurzu, po czym rozejrzała się dokoła i zniknęła w domu, trzaskając za sobą drzwiami.

Madame de Buys mogła wejść do ka dego ze stojących tu rzędem domów. Angeline, nie mając pojęcia, który z nich ciotka wybrała, nie mogła iść dalej. Stała więc w cieniu jakiejś cysterny nieopodal i czekała.

Czy była nierozsądna, przychodząc a tutaj, by zobaczyć kuzynkę, która mało przecie o nią dbała, która sama nie podjęła najmniejszego wysiłku, by się z nią widzieć, nie pomogła jej wtedy, gdy potrzebowała pomocy, gdy wbrew swej woli wpadła w ręce obcego mę czyzny? Teraz Claire sama znalazła się w takiej sytuacji. Ale jeśli tak jest, to czy jej matka ju wcześniej nie powinna czegoś

zrobić, by ją stąd zabrać? Dlaczego nie przewiozła jej do domu siostry? Mo e sądziła, e tam byłoby zbyt łatwo ją wykryć? Mo e siostra miała jakieś opory? Mo e, znalazłszy kryjówkę, to Claire nie chciała jej opuszczać?

Niewykluczone, e i ona będzie niebawem potrzebowała jakiejś kryjówki. Nie mogła liczyć na to, e ciotka pozwoli jej pozostać pod swoim dachem, gdy spostrze e, e ona jest w cią y. Jej myśli znowu pobiegły tym samym torem co kiedyś, gdy rozmyślała o swojej przyszłości. Pokusa, by wszystko opowiedzieć Rolfe'owi, by na jego szerokie barki zrzucić cały ciężar i przyjąć ka dą decyzję, jaką podejmie, była ogromna. Tylko myśl o rozwiązaniu, jakie w podobnej sytuacji zastosował jego ojciec, to znaczy wydał swą kochankę za mąż za kogoś, kto był pod ręką, powstrzymywała ją od podjęcia takiego kroku.

Gdzieś skrzypnęły drzwi. Jakieś trzy domy dalej na schody wyszła stara kobieta w czepcu i czarnej pelerynie. Angeline cofnęła się jeszcze bardziej w cień, gdy zobaczyła, e ciotka schodzi po stopniach, zapina rękawiczki i rusza alejką, którą tu przyszła. Jej wizyta nie trwała długo, niewiele ponad pół godziny. Angeline poczekała, a zniknie za najbliższym zakrętem. Wtedy wyszła z ukrycia i podeszła do schodów, którymi zeszła ciotka. Szybko wbiegła na górę.

Zatrzymała się przed drzwiami, nabrała powietrza w płuca, nacisnęła kłamek, pchnęła drzwi i weszła do środka.

Znalazła się na mrocznej antresoli. Na wprost miała schody z ozdobną balustradą, prowadzące na niższe piętro. Po ich obu stronach znajdowały się drzwi, otwarte w tej chwili. Z dołu dochodziły męskie głosy, brzęk szklanek i odgłos rzucania kośćmi. Podeszedłszy krok dalej, zobaczyła stół

nakryty zielonym suknem, przy nim kilku męczyzn z dużą wprawą zbierających rozdawane karty. Przy łokciu ka dego z nich leżał stosik złotych monet.

Zasłony z zielonego jedwabiu nosiły ślady zacieków, a dywan leżący na środku pokoju był

bardzo wydeptany i zapewne od bardzo dawna nie trzepany. Wnętrze było połączeniem krzykliwej elegancji i czegoś, co powszechnie nazywano hazardowym piekielkiem. Nazwę tę uzasadniał panujący tu zapach: mieszanina alkoholu i tytoniu, kurzu i kwiatów, które zbyt długo przetrzymywano w nie zmienianej wodzie.

Angeline słyszała o takich miejscach, ale jeszcze nigdy nie widziała adnego z nich na własne oczy. Zamknęła za sobą drzwi wejściowe.

Teraz, kiedy była już w środku, nie miała pojęcia, co powinna robić dalej. Nie wiedziała, czy zajrzeć do pokoju na górze, czy zejść na dół i zapytać grających o Claire. Na pewno nie mogła stać tu i czekać, a kuzynka pojawi się sama. Drąc ze strachu podeszła do najbliższych drzwi i zajrzała do środka. Była to sypialnia.

Zasłony z granatowego aksamitu poszarzały od kurzu. Na prostym sosnowym stoliku stał

wyszczerbiony dzbanek i miednica, pod stolikiem - wiadro i nocnik. Jeden róg zajmowało metalowe

Łó ko, drugi – szafa z okresu dyrektoriatu, ustawiona na tkanym w biało-czarne kwadraty kilimie. Łó e, nad którym na cienkich prętach rozwieszono moskitierę, było puste.

- *Bonjour*, panienko. A mo e - pani?

Angeline odwróciła się gwałtownie i stanęła twarzą w twarz z wysokim, chudym Francuzem.

Miał wąsy, spiczastą bródkę i tak zimne oczy, jakich Angeline jeszcze nigdy w yciu nie widziała. Stał w drzwiach po przeciwnej stronie hallu.

- *Bonjour* - odpowiedziała machinalnie, zastanawiając się, jakie będzie następne pytanie.

- Szuka pani posady? A mo e czegoś na popołudnie, bardziej podniecającego ni nocne mę owskie nudy?

Na to nie była przygotowana.

- Nie, nie. Przyszłam tu w odwiedziny do mojej kuzynki, Claire de Buys.

- Do naszej kochanej Claire?

Zmru ył oczy i wszedł do pokoju. Obejrzał ją uwa nie od czubka głowy a po palce nóg, które wystawały spod niemodnej długiej spódnicy.

- Tak, widać wyraźne podobieństwo.

- Czy mogę się z nią zobaczyć?

Wzruszył ramionami.

- Mnie tam jest wszystko jedno, z kim się zabawia: z mę czyznami, kobietami czy kundlami, bylebym dostał swoje pieniądze. Zaraz!

Niemal równocześnie z jego zawołaniem coś poruszyło się w głębi hallu. W drzwiach ukazała się kobieta.

Ubrana była w suknię z muślinu i jedwabnych koronek, przewiazaną w pasie błękitną szarfą. Z

przodu miała przecięcie, przez które widać było szczupłe, białe ciało, wychudzone chyba do ostateczności.

- Etienne - powiedziała. - To przecie Angeline.

- Claire, ja... -Angeline chciała podejść do kuzynki, ale drogę zagroził jej Etienne; był to zapewne ten karciarz, który kupił Claire od Hiszpana. Pchnął Angeline tak, e znalazła się w pokoju. Zatrzasnął jej drzwi przed nosem. Kiedy chwyciła za klamkę, z przera eniem usłyszała chrobot przekręcanego w zamku klucza.

- Claire! - krzyknęła i zaczęła bić pięściami w drzwi i szarpać za klamkę. - Claire!

Za drzwi doszedł ją odgłos szarpaniny i podniesiony kobiecy krzyk. Zaraz potem usłyszała odgłos uderzenia i płacz. Trzasnęły gdzieś drzwi, dały się słyszeć kroki, jakby ktoś biegł po schodach i wszystko ucichło.

Głupia, głupia i jeszcze raz głupia - wchodzić na ślepo, nic nie wiedząc o tym miejscu!

Przemierzała pokój wzdłu i wszerz, robiąc sobie wyrzuty. Powinna przewidzieć, e to nie mogło pójść tak łatwo, chocia równocześnie nie mogła pojąć, w jaki sposób ciotce udało się wyjść stąd bez szwanku.

Co mo e ją teraz czekać? Przypomniała sobie opowieści o porwaniach młodych kobiet, bezmyślnie opuszczających dom, o dziewczynach uciekających z pensji i konwentów, o takich, które za złe zachowanie wypędzono z domu. Ciotka celowała w opowieściach o niedobrych dziewczynach i o tym, co je za to czeka. Z lubością opowiadała o biciu, głodzeniu, o środkach odurzających, za pomocą których zmuszano je do sprzedawania swego ciała. Wtedy były to tylko opowieści - teraz groziło jej to naprawdę.

Claire, choć wymizerowana, nie sprawiała wra enia, e ją źle traktowano. Obraz kuzynki stojącej na łó ku i kołyszącej się w świetle padającym od ogniska, wtedy, w fortecy Hiszpana, bezmyślnie i lubie nie kuszącej Don Pedra, powrócił jak ywy. Potrząsnęła głową, jakby chciała go odpędzić.

Rozgarniając pajęczyny wiszące między zasłonami, dotarła do okna. Z przera eniem stwierdziła, e zostało starannie zabite gwoździami. Nie było w tej chwili wa ne dlaczego: czy dlatego, eby kobiety nie mogły stąd uciekać, czy eby mę czyźni nie mogli z zewnątrz wchodzić do pokoju.

Zresztą, z takiej wysokości i tak by nie skoczyła, a spleśniałe prześcieradła, podarte na pasy i skręcone w linę, pewnie by nie utrzymały jej cięż aru. Mogła dzbanem wybić szybę, ale okno wychodziło na rzekę i pewnie nikt nie usłyszałby hałasu, a nawet gdyby usłyszał, to wątpliwe, czy przyszedłby jej z pomocą. Na stoliku stała świeca, ale nie było jej czym zapalić, by ogniem zwrócić na siebie uwagę.

Co mogła zrobić poza nerwowym przemierzaniem pokoju? Przypomniała sobie kilka soczystych przekleństw, których czasem u ywał Rolfe. Wypowiedziała je półgłosem i zaraz raźniej zrobiło się jej na duszy.

Czas mijał. Podchodziła do drzwi, waliła w nie pięściami, wołała, ale nic nie wskazywało, by ktoś ją słyszał. Zapadał zmrok. W pokoju robiło się ciemno. Zaczęło padać. Krople deszczu dzwoniły o dach i szyby. Siedziała na brzegu łó ka zrezygnowana. Maria zauwa y jej nieobecność za jakieś dwie godziny, kiedy zanieśie do pokoju tacę z jedzeniem. Mało prawdopodobne, by wszczęła alarm. Najwy ej powie o tym ciotce.

A to niewiele zmieni. Pomyślą, e poszła do Rolfe'a, a jeśli nie do niego, to mo e do Madame Delacroix.

Minie pewnie kilka dni, zanim spostrzegą, że się pomyliły, ale nawet w takim przypadku nie zrobią zbyt wiele. Rolfe może będzie jej szukał usilnie i dokładnie, ale czy może na się spodziewać, że trafi tu, do tego zakazanego miejsca?

W ciemności, w szumie dudniącego o dach deszczu, wsłuchiwała się w uderzenia własnego serca i rozmyślała o yciu, które od niedawna nosiła w sobie. Groźba, jaka zawisała nad nią, zawisała również nad nim. Zrobi wszystko, by je obronić. Wszystko. Nie pozwoli na nic, co mogłoby je ruszyć z delikatnego, ciepłego schronienia.

Wkrótce zapewne stanie się ono wszystkim, co ma, wszystkim, co będzie w ogóle mogła mieć.

W szparach między futryną a drzwiami pojawiło się światło. Kto przychodzi? Klucz zazgrzytał w zamku.

Drzwi otworzyły się na oścież. Ktoś wysoko uniósł lampę i w jej świetle Angeline zobaczyła dwóch mężczyzn. Jeden był wysoki i chudy, z wąsikami i spiczastą bródką, drugi - wysoki i barczysty, z włosami koloru piasku.

- Tak, to ona - powiedział Meyer. - Jestem twoim dłużnikiem.

Mężczyźni coś między sobą poszeptali; usłyszała dźwięk monet.

- Dziękuję, M'sieur - powiedział karcjarz, podał lampę Meyerowi, skłonił się i wyszedł.

Angeline wstała z łóżka i z uśmiechem ruszyła w stronę drzwi.

- Tak się cieszę, że pana widzę. Czy Rolfe też tu jest?

Nieślubny syn króla Ruthenii wszedł do pokoju, zamknął za sobą drzwi i postawił lampę na stole.

- Tak, tak. Niedługo tu będzie.

Złośliwe zadowolenie, które było z jego słów, było jak uderzenie w twarz.

- Czy on wie, gdzie... gdzie jestem... tutaj?

- Wnet będzie wiedział.

- Ten człowiek przekazał mi wiadomość, tak jak przekazał panu?

- Bardzo rozsądnie pomyślane. Rozsądek to jedna z pani cudownych zalet.

Spojrzała mu w twarz, nie reagując na komplement.

Poczuła się tak, jakby ktoś przycisnął jej na piersi, utrudniając oddychanie, a jeszcze bardziej

- mówienie.

Wątpliwości się potęgowały.

- Nie rozumiem, czemu mnie tu zatrzymano, skąd ten człowiek się domyślił, eby pana powiadomić, a w ogóle - skąd pana zna?

- Nie widzę powodu, by nie zaspokoić pani ciekawości. Znał mnie, bo gdy wczoraj przyszedłem tu za Claire, uznałem za stosowne zawrzeć z nim znajomość. Powiadomił mnie, bo mu obiecałem odpowiednią nagrodę za zawiadomienie mnie, jak tylko pani się tu pojawi. Jeśli idzie o zatrzymanie pani tutaj, to wykazał się du ą przytomnością umysłu, która zresztą nie jest rzadka u ludzi jego pokroju. To, e pani tu trafiła, było jedynie szczęśliwym trafem. Myślałem, e będę musiał tu panią zwabić przez kogoś wysłanego przez Claire.

Jedyną trudnością w porozumieniu się z tym tu człowiekiem jest to, e nie chce się pozbawić rozkosznych usług Claire. Ale myślę, e za odpowiednią cenę da się przekonać.

- Myśli pan, e...

- Pani kuzynka stanowi pewne zagro enie - do czasu.

Angeline popatrzyła na niego, na złośliwy uśmiech tryumfu na szerokiej twarzy.

- Więc to pan jest tym, kogo kuzynka tak się bała, to przed panem uciekała od chwili kiedy opuściła Ruthenię.

- Mo liwe. Ale co z panią, moja droga? Pani te się boi? Nie chce pani wiedzieć, dlaczego tak panią tropiłem?

Patrzyła na niego przera ona. Oblizwała wargi.

- To wydaje się jasne. Jeśli to pan jest tym, przed którym Claire tak ucieka, znaczy, e to pan zamordował Maximiliana i usiłował zabić ją. Z tego wynika równie , e to pan nastawał na ycie Rolfe'a. Ja dla pana nic nie znaczę, ale...

- Tego bym nie powiedział - przerwał jej z dziwnym błyskiem w szarych oczach.

Mówiła dalej, jakby go nie słyszała:

- Ale... myśli pan, e dlatego, e byłam... kobietą Rolfe'a w czasie naszego pobytu na Ziemi Niczyjej, teraz go tu zwabię?

- Ja tak nie myślę. Ja to wiem.

Zmusiła się do głośnego śmiechu i a sama się zdziwiła, jak łatwo jej to poszło.

- Ale to nonsens! Nie darzył mnie większym uczuciem ni Claire, za którą zresztą nie przepadał.

- Co pani mówi?! - zawołał. - Obserwowałem was tam, na tym pustkowiu, a tak e tamtej nocy na balu

w ambasadzie, jego stosunek do pani na oczach całej *creme de la creme* Nowego Orleanu. I później, gdy poszedłem za nim z ambasady. I widziałem, nie, raczej słyszałem, jak panią niósł po schodach na górę, w domu, gdzie zatrzymała się pani z ciotką.

- Jak pan śmie! - krzyknęła.

Powinna czuć palący wstyd, słuchając tego, co mówił, ale zamiast tego narastała w niej gwałtowna wściekłość, gdy brukał to, co jako świętość chciała zachować w pamięci.

Zaśmiał się.

- Nigdy się jeszcze tak nie ubawiłem! I co? Myśli pani, że po takowych przeżyciach księżniczki Ruthenii nie przyjdzie tu sam i bez broni, jak tego zażąda, gdy się dowie, że to ma uratować? On by to zrobił dla każdego ze swoich ludzi, nawet dla mnie. Czemu nie miałby podjąć takiego ryzyka dla swojej słodkiej dziewczyny?

- Pułapka? Jak ta, zastawiona na Maxa, w której przynętą była Claire? Jak ta, gdy gwardziści razem z ludźmi McCullougha zaatakowali obóz Don Pedra?

- Obie były dobrze obmyślane, ale zabrakło mi trochę szczęścia. Tym razem będzie inaczej.

Był pewny siebie, spokojny, przekonany o swojej sile. Chciała w nim ten spokój zachwiać.

- Próbował pan kilka razy i nie udało się panu zabić Rolfe'a. Tak było w Ruthenii, w Le Havre, w Nowym Orleanie, w domku myśliwskim. Nie udało się to panu nawet w zмовie z Don Pedrem, który miał pana w tym wyręczyć. A kiedy w końcu, przerażony, strzelał pan w ciemności, zabił

pan nie tego człowieka.

- Kiedyś pani powiedziałem, że on jest bardzo czujny. Zupełnie jakby miał szósty zmysł

ostrzegający go przed niebezpieczeństwem. I to biorę pod uwagę. Tu przed zasadzką zastawioną przez Hiszpana wyczuł, że coś jest nie w porządku i nakazał odwrót, sam go osłaniając, i udało im się ukryć. Czy mogłem go zabić sam? Nie. Byłem za blisko i pozostali gwardziści też.

- Ale Oscara nie zabił Don Pedro ani nikt z jego ludzi.

- Smutna konieczność, która nie sprawiła mi żadnej przyjemności. Ale Oscar widział mnie z Gwiazdą Poranną i gdyby przeżył, mógłby sobie to przypomnieć, gdyby zaczęto analizować okoliczności...

Odwróciła się, nie mogąc znieść jego spokoju, precyzyjnych określeń, jakby wszystko to, co zrobił, i to, co jeszcze zamierzał zrobić, było całkowicie normalne.

- Jeśli zabił pan Oscara tylko dlatego, że coś widział...

- Na swój sposób jest pani równie szybka jak księżniczka. Czemu nie przyjęła pani mojej oferty małżeństwa? Zrobiłbym wszystko, aby pani tego nie ałowała. Opływałaby pani w dostatki, cieszyła się

poważaniem. Nie próbowałbym się bynajmniej odegrać na pani za to, że ściągnęła go pani ze śmiertelnego stosu, jaki dla niego zbudowałam, ani że wypędziła pani tych hiszpańskich tchórzów z błotnistej wąwozu. Z jednym wyjątkiem - dziecko, które pani w sobie nosi, bękart Rolfe'a, musi umrzeć zaraz po urodzeniu. Tragiczne, ale nie ma się co martwić - będą następne.

Twarz jej skamieniała z przerażenia.

- Pan wie...

Nawet te dwa słowa było jej trudno wymówić.

- Jak miałbym nie wiedzieć? Wypatrywałem oznak jak akuszerka. Oglądałem pani bieliznę, gdy Sarus ją prał i później, gdy rozwieszała ją pani do suszenia. Do balu w ambasadzie nie byłem pewny. Nie trzeba się znać na medycynie, by rozpoznać chwilowe słabości, jakie kobiety miewają w takim stanie. Reakcja na zapach...

- A teraz? - wydusiła z siebie pytanie.

- Teraz? Teraz będę miał przyjemność, której mi dotąd odmawiałaś - przeszedł nagle na ty. - Coś, o czym od dawna marzyłem, może być pewna. Zawsze marzyłem o zdobyciu rzeczy, które należały do moich braci, nawet tych, które oni odrzucali.

Jasność słów i widoczna przyjemność, z jaką je wypowiadał, przyprawiały ją o gwałtowne bicie serca.

Z przerażeniem pomyślała, że nie może pozostawić jej przy życiu - za dużo wie.

- Kiedy Rolfe już tu przyjdzie, i gdy pan z nim skończy, co będzie ze mną? Zniknę?

- Takie rozwiązanie mi nie odpowiada, ale jest konieczne. Nie mogę pozwolić, byś komukolwiek opowiedziała o dzisiejszej nocy. Gdy wrócę do kraju, będę potrzebował oddania i pomocy gwardii.

Odwróciła się gwałtownie.

- I naprawdę myśli pan, że gwardziści pozwolą Rolfe'owi przyjść tu bez broni, bez ich ochrony?

- Jeśli tego od nich żąda - zrobią to. A żąda.

- Ze względu na mnie?

Skinął głową.

- W tej chwili właśnie mu mówią, że z chwilą kiedy tu się zjawi, ty zostaniesz uwolniona.

Jedynym, czego nie będzie wiedział, to to, kto cię porwał.

- Nie! - powiedziała zduszonym głosem, kiedy znaczenie tych słów w pełni dotarło do jej

świadomości.

- Nie, nie!

Skoczyła w stronę drzwi. Chwycił ją jednak za ramię, szarpnął, odwrócił gwałtownie do siebie, a kiedy uderzyła go w twarz, pchnął tak, e padła na podłogę. Ale natychmiast się poderwała.

- Tak! - powiedział przez zaciśnięte zęby. - I postaram się o to, eby, zanim umrze, dowiedział się, e umiera bez sensu.

- Nie docenia go pan. Tak bezmyślnie nie wpadnie w pana pułapkę. Da sobie z panem radę.

Szedł wolno w jej stronę.

- Mo liwe. Ale to ci nie pomo e. Nic ci ju nie pomo e.

Zatrzymała się przy kolumnie podtrzymującej moskitierę nad łó kiem. Nie spuszczała oka z jego szyderczo wykrzywionej twarzy. Stolik z dzbankiem na wodę i miednicą był ju w zasięgu jej ręki. Błyskawicznie chwyciła dzbanek za ucho i z całej siły rzuciła nim w Meyera. Uchylił się, naczynie padło na podłogę.

Odlamki porcelany, a tak e zdechłe muchy i pająki ze środka rozsypały się na wszystkie strony.

Zaraz za dzbankiem poleciała miednica. Trafiła go w ramię. Wrzasnął z bólu, oczy pociemniały mu z gniewu. Wywróciła stolik i odgrodziła się nim od jego wyciągniętych rąk. Nie była jednak dość szybka. Pochwycił ją za suknię, szarpnął i przewrócił. Padając na podłogę, dłonią natrafiła na kawałek porcelany. Nie zwa ając na ból w dłoni i całym ramieniu, chwyciła skorupę i bez namysłu uderzyła go w twarz. Na policzku pojawiła się głęboka szrama. Rzucił

jakieś przekleństwo, jedną ręką zakrył ranę, a drugą uderzył ją na odlew, a głowa odskoczyła jej do tyłu. Chwycił ją za rękę, wykręcił, skorupa wypadła jej ze zdrtwiałych palców. Z rozmachem rzucił ją na łó ko. Upadła na materac z głośnym jękiem sprę yn. Le ała bez ruchu.

- Myślę, e czas nauczyć cię kilku chwytów, których Rolfe cię nie nauczył. Ale będzie to upokarzająca lekcja.

Obrócił ją na brzuch i przytrzymał za biodra.

Zaśmiał się krótko i padł obok niej. Materace rozsunęły się pod nim. Rama łó ka zaskrzypiała.

Wszystkie cztery kolumnienki podtrzymujące moskitierę załamały się do wewnątrz. Angeline poczuła, e stacza się na podłogę.

Widząc, e pada na niego, instynktownie podciągnęła kolana. Jednym trafiła go dokładnie w pachwinę.

Krzyknął coś wściekle i zrzucił ją z siebie. Wykorzystała ten moment, chwyciła się brzegu materaca, poderwała na nogi, rzuciła w stronę drzwi, szarpnęła za klamkę.

Nie zdążyła wybiec - odciął jej drogę. Odepchnął ją tak gwałtownie, że odbiła się od ściany i padła na podłogę.

On padł na nią. Wcisnął rękę w wycięcie sukni pod szyję i szarpnął. Spod stanika wydobył jej pełne, białe piersi. Lewą ręką chwycił ją za włosy i odchylił głowę do tyłu. Otwartymi, gorącymi ustami poszukał jej ust. Językiem usiłował rozchylić jej zaciśnięte wargi. Zadrżała na całym ciele, z oczu popłynęły łzy.

Klnąc pod nosem, cofnął się i pociągnął ją za sobą w stronę łóżka. Chwycił materac, przyciągnął go bliżej i umieścił ją na nim.

Jej opór nie stanowił żadnej przeszkody dla jego dzikiej siły. Zrozumiała to z rozpaczliwą jasnością, kiedy sięgnął po zapięcia jej sukni. Przemknęło jej przez myśl, że jej pierwsza noc z Rolfe była delikatną, uwodzicielską pieśczęcią w porównaniu z tym brutalnym gwałtem. Nawet to, co robił Don Pedro, nie było tak bolesne.

Rolfe, Rolfe! - wołała bezgłośnie, gdy na gołych plecach poczuła zimny powiew.

Rozpiął jej mankiety, a potem ściągnął rękawy sukni, odsłaniając górną część ciała. Potem chwycił kraj sukni i zaczął podciągać ją w górę, odsłaniając nogi i uda.

Szarpała się i rzucała pod nim jak zwierzę w potrzasku. Zaciśnęła wargi, by nie krzyknąć.

Oddychała chrapliwie, a przed oczyma zaczęły tańczyć czerwone pląty.

Próbował uporać się ze swoim ubraniem. Resztką sił szarpnęła się pod nim. Upadł w poprzek niej, ale zaraz chwycił ją za ręce i unieruchomił. Kolano wcisnął jej między uda. Nie mogła się poruszyć. Nie mogła nawet oddychać. Słyszała dzwonienie w uszach, a ponad nim - głośnie, nierówne uderzenia serca. Wydało się jej, że światło lampy ciemnieje, duszone szarą chmurą kurzu.

Rozległ się trzask i drzwi otworzyły się z łoskotem.

Poczuła nagle, że może swobodnie oddychać – Meyer zwolnił uścisk. Błysnęło coś białego i w tej samej chwili gwardzista poleciał w drugi kąt pokoju. Rolfe skoczył za nim ze zręcznością dzikiego kota. Nie miał żadnej broni. Gołymi rękami pochwycił przyrodniego brata.

Coś poruszyło się w drzwiach. Angeline odwróciła się, by zobaczyć, kto to jest. Był to Etienne, a za nim stał łysawy, krępy bandyta z pałką w ręku.

Uniosła się na łokciu i zduszonym głosem zawołała:

- Rolfe, z tyłu...!

Za późno. W chwili gdy się odwracał, pałka łysego trafiła go w skroń tu przy uchu. Padł na podłogę jak raony gromem.

- Dołó mu jeszcze raz - rozkazał Meyer, jedną ręką powstrzymując kapiącą z nosa krew. -

Jeszcze raz.

Po uderzeniu w złotych włosach Rolfe'a ukazała się krwawa plama. Meyer podszedł do niego i raz i drugi kopnął go w brzuch. Popatrzył na leżącego z nieskrywanym tryumfem. Potem spojrział

na Angeline naciągając na siebie suknię i klękając przy leżącym Rolfie.

- Tobą zajmę się trochę później - rzekł stłumionym głosem. - Gdy tylko zatamuję krew, a on będzie mógł wziąć udział w przedstawieniu. To znaczy, jeśli odzyska przytomność na tyle, by wiedzieć, o co chodzi. Jeśli ją zresztą w ogóle odzyska.

Etienne otworzył drzwi Meyerowi, przepuścił przed sobą również łysego zbira, a potem sam wyszedł. Zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Angeline ściągnęła prześcieradło z materaca, uniosła głowę Rolfe'a, ułożyła ją sobie na kolanach.

Nad uchem miał ogromnego guza, ale w miejscu drugiego uderzenia skóra nie była przecięta.

Krew spływała jedynie z jednej rany, kapała na jej suknię i kilim na podłodze. Urwała pasek z prześcieradła, złożyła go w tampon i drugim paskiem owiniętym wokół głowy umocowała go na ranie.

Rolfe był przeraźliwie blady, niemal jak opaska wokół głowy. Powieki mu nawet nie drgnęły, mocna linia ust była rozluźniona - wyglądał młodo i bezbrinnie. Na wardze, tam gdzie go kiedyś uderzyła, widoczna była mała blizna. Jej widok zabolął ją bardziej niż wszystkie pozostałe rany. Ułożyła jego głowę na kolanach, ocierała krew i siedziała nieporuszona.

Mijały długie minuty.

Zatańczył płomień oliwnej lampy. Uniosła głowę i wpatrzyła się w górę. Doszły ją jakieś szmery, choć wydawało się, że cały dom jest pusty. Ale nie. Gdzieś w głębi rozległy się głosy. W

napięciu czekała, czy zbliżą się do drzwi. Gdy się nie zbliżyły, gdy zamarły w oddali -

odetchnęła z ulgą.

Kiedy Meyer wróci? Starła się nie myśleć, co się wtedy może stać. Nic nie mogła zrobić. Nikt tu nie mógł nic zrobić. To, że Rolfe przyszedł, że poświęcił się dla niej, przepełniało ją miłością i rozpaczą.

To był szlachetny gest, choć bezsensowny. Ale zważywszy na jego prostolinijność i poczucie odpowiedzialności za innych - czy mógł tego nie zrobić?

Szkoda, straszna szkoda. To nie do pojęcia, e ma zginąć, umrzeć w tak mało chwalebny sposób, w takim podejrzanym miejscu, z dala od dworu ojca, na którym nale ało mu się poczesne miejsce. A to wszystko przez nią. Na myśl o tym poczuła w piersi przejmujący ból, jakby ostrze no a zagłębiało się w jej ciało. Gorzkie łzy spływały jej z oczu i padały na jego twarz. Nawet tego nie zauwa yła.

- Płaczący anioł - usłyszała jego szept – rozplływający się w alach i lamentach, pieszczący moją pró ność, ale... nie na czasie.

Wstrzymała oddech, uśmiechnęła się przez spływające łzy.

- Wiem, przepraszam.

- To ja przepraszam. Nie mam wprawy w ratowaniu uwieczonych panienek. Nie udało mi się z Claire, nie udało się z tobą.

- Przecie powstrzymałeś go - rzekła bardzo cicho.

- Na jak długo?

Grymas na jego twarzy świadczył o tym, e domyślał się, jak potoczyły się sprawy, gdy le ał

nieprzytomny. Patrzyła mu prosto w twarz, chocia oczy miała pełne łez, a na policzku zaczął się pojawiać ogromny siniak.

- Na niedługo.

- O Bo e! - westchnął z wykrzywioną bólem twarzą. - Za wciągnięcie cię w to bagno nale ałoby pociąć mnie na kawałki i rzucić psom na po arcie!

Niepewną ręką sięgnął do kosmyka włosów, który opadał jej na ramię.

- Stałaś się ofiarą i jednocześnie celem nas wszystkich, nawet Meyera. Jego mo e nawet szczególnie. Widzieć cię w takim stanie...

- Nic mi nie jest - przerwała mu, nie mogąc znieść jego spokojnej oceny sytuacji, rozczulania się nad nią, czego zresztą nigdy nie lubiła. - Jak się czujesz? Dasz radę wstać?

W jego oczach dostrzegła coś na kształt rozbawienia.

- Nie dość, e anioł, to jeszcze praktyczny. Przede wszystkim postawić mnie na nogi, a dopiero potem...

- Mam zwyczaj myśleć najpierw o rzeczach najpilniejszych.

- Nie pozostaje mi nic innego, jak podjąć wyzwanie.

Brzęk tłuczonej szyby przerwał jego dalsze słowa. Poderwał się, chwycił do ręki jedną z le ących na

podłódze kolumnienek od moskitiery - nie miał zamiaru poddać się bez walki. Ale nic się ju więcej nie działo. Jedynie na dywan padła końska podkowa i potoczyła się pod nogi Angeline.

Podniosła ją i podeszła do okna. Ktoś stał na dole. W pierwszej chwili nie poznała, kto to, ale kiedy znalazł się w kręgu światła padającego z okna, ju wiedziała, e to McCullough.

- Dobrze, e trafiłem w dobre okno. Bobym nie chciał robić więcej hałasu.

Rolfe ju stał koło niej.

- McCullough! Masz broń?

- Ano pomyślałem, e mo esz czegoś takiego potrzebować.

Zza pasa wydobyl pistolet i kiedy Rolfe wysunął ręce przez rozbitą szybę, rzucił. W ślad za pistoletem poleciał nó .

- Dziękuję, przyjacielu! - zawołał Rolfe.

- Tyś mi te darował ycie. Chce sie odwdzieczyć.

A słyszałem, jak twoje ludzie chcieli moim zapłacić za twojo głowę. Musiałem sie w to wtrącić.

- Mo esz uznać nasze rachunki za wyrównane.

- Pilnuj sie, my te tu będziemy. Pewno trza zawołać twoich ludzi, bo moich nie. Nie teraz. Nie będziemy czekać, a cie zabijo.

Rolfe skinął głową i zaczął ładować pistolet. Nó zatknął za pas.

- Powiedz Gustave'owi i pozostałym, e są zwolnieni z przysięgi, bo umowa ze mną została zerwana. Są tu twoi ludzie jako najemni mordercy, więc gwardziści...

Na nic więcej nie było ju czasu. W hallu dały się słyszeć kroki. Zazgrzytał klucz w zamku i drzwi otworzyły się z impetem. Do pokoju wkroczył Meyer, a za nim Etienne.

Przeraził się, ujrawszy Rolfe'a na nogach z uniesionym pistoletem w ręku. Stanął jak wryty.

Przymknął oczy, by ukryć strach. Odskoczył w bok, odsłaniając Etienne z gotowym do strzału pistoletem w ręku. Szuler uniósł wy ej broń.

Śmierć zawisła w powietrzu. Angeline stała bez ruchu, wstrzymując oddech. Patrzyła raz na Rolfe'a, raz na Meyera i po raz pierwszy dostrzegła podobieństwo między nimi.

- Co teraz, drogi bracie? - rzekł Rolfe. – Wyszedłeś z królewskich łędźwi, ale ojciec tobą gardzi.

Co teraz zrobisz?

Meyer zbladł.

- Odsuń się od okna - odpowiedział po chwili. – Za chwilę pochłonie cię ogień. Nie chcę, ebyś wyskoczył i znalazł lekką śmierć.

Rolfe zacisnął palce na kolbie pistoletu, a pobielały mu stawy. Łeb wilka na jego pierścieniu załśnił złościście.

- A co z Angeline? Zniszczyć tak piękne ciało byłoby głupotą.

- Oddajesz mi ją? A przecie nie tak dawno wrywałeś ją wszystkim. Ju nie uwa asz, e pohańbienie jest gorsze ni śmierć? Bo myślę, e ją zhańbię, i to bardzo...

- Nie! - krzyknęła Angeline, instynktownie zbliając się do Rolfe'a.

- Nie kwapi się do tego - drwiąco powiedział Meyer.

- Nie zechciałbyś jej zalecić, eby się z tym pogodziła? eby zaczęła stosować się do moich yceń, zgadywać moje pragnienia z nadzieją, e zechcę ją przy sobie zatrzymać? Muszę ją trzymać pod kluczem, bo zna twój los. To taka trochę nudnawa przyjemność, o której ty ju co nieco wiesz, prawda? Mogę to zrobić, by ci umo liwić poniesienie tej najwy szej ofiary, chocia wielu mę czynn wolałoby widzieć kobiety, które kochają, raczej na stosie.

- Nie! - zawołała znowu Angeline. - Nie chcę! On i tak mnie zabije!

Meyer zaśmiał się pogardliwie.

- Mogę to zrobić.

Rolfe nie odzywał się, jakby słowa Meyera do niego nie docierały.

Wtem na korytarzu dał się słyszeć stukot damskich obcasów i szelest ubrania. W drzwiach ukazała się Claire w długiej sukni z białej tafty.

- Co się tu dzieje, Etienne? Słyszałam jakieś hałasy, czuć te zapach dymu...

Przerwała - gdzieś w dole, na ulicy rozległy się strzały. Angeline napotkała wzrok kuzynki i zauważyła, jak ta zbladła. Popatrzyła na Rolfe'a i na Etienne'a.

- Powiedziałeś, e sobie poszła! - zawołała podniesionym głosem. - Powiedziałeś, e jej tu nie ma!

Etienne wzruszył tylko ramionami i spojrzął na Meyera. Claire te patrzyła na niego.

- Nie powtarzaj tego co z Maxem, Meyer! Ja nie chcę w tym uczestniczyć! Drugi raz ju nie!

- Myślę - rzekł z szyderczą galanterią Meyer – e nasze panie powinny stąd wyjść. Co ty na to, mój ksią ę?

- Wyjdź z nią - rzekł cicho Rolfe, nie patrząc w stronę Angeline.

- Nie pójdę! - zawołała i wysoko uniosła głowę.

Rolfe dopiero teraz na nią spojrzał.

- Bardzo cenię twoje zdecydowanie i niczego bym sobie bardziej nie życzył niż śmierci w twoich ramionach, jednak teraz tak kojącej i słodkiej poduszki przyjąć nie mogę.

Lewą ręką ujął ją za ramię, odwrócił, otwartą dłonią pchnął w plecy. Zgadła, czego chciał. Nadał jej rozpęd, ale to w niej zrodziła się siła wywołana wściekłością, nienawiścią i strachem. Biegła prosto na Etienne'a z nadzieją, że ten się nie spostrze i nie będzie myślał, i wybiega z pokoju, na wolność... Zderzyła się z nim, już o niczym nie myśląc. Wytrąciła mu pistolet z ręki i niczym samiczka w obronie gniazda, rzuciła się do jego oczu.

Etienne wrzasnął. Pistolet upadł na podłogę. Meyer nachylił się, by go podnieść. Angeline odwróciła się i zobaczyła, że Claire z zaciśniętymi ustami i dzikim wzrokiem rzuca się na Meyera. Rozległ się huk wystrzału.

Z jej otwartych ust wydobył się cichy jęk, a szeroko rozwarte oczy zdawały się czemuś dziwić.

Zgięła się w pół i padła. Na sukni ukazała się czerwona plama.

Rolfe nie mógł zrobić użycia z pistoletu w obawie, że może trafić Angeline. Szedł w jej kierunku. Był tu przy niej, gdy poczuła, jak silne ramię oplata jej szyję i ciągnie do tyłu. To Meyer dopadł ją i nosem wyciągniętym z cholewy dotknął jej gardła tu pod brodą.

- Stój!

Wydawało się, że Rolfe już nie zdąży powstrzymać uderzenia. Błady, dysząc ciężko, zatrzymał się kilka cali przed Meyerem.

- Etienne - rzekł zmienionym głosem Meyer – zabierz mu pistolet.

Rolfe nawet nie spojrzał na Francuza.

- Na twoim miejscu bym tego nie próbował. Mam cię na muszce i on cię nie zasłoni, jeśli ja zdecyduję się na użycie broni.

Etienne zawahał się. Rolfe wydobył nóż z pasa i trzymał go swobodnie w ręku.

- Ty durniu! - zawołał Meyer i splunął w stronę Francuza; ścisnął Angeline tak, że ledwo mogła złapać powietrze.

Rolfe, wpatrując się w ramię opasujące szyję Angeline, rzekł już opanowanym głosem:

- Co teraz, drogi bracie, tak szybki i sprawny w usuwaniu innych ze swojej drogi? Spróbuj rozlać jedną kroplę krwi Angeline, a na plecach wytnę ci swoje inicjały i z twoich kości zrobię piszczalki. A jeśli odważysz się na coś więcej - na tej małej, świętej ziemi nie ma niczego, co mogłoby cię ocalić. Niczego!

Jeśli nawet styl tej groźby był trochę napuszony, była to groźba ostateczna. Meyer to wiedział i jego uchwyt zelżał. Oddychał coraz szybciej. Nie odzywał się. Angeline pomyślała, że tak niedawno Hiszpan trzymał Claire w taki sam sposób, nie mogła nic zrobić.

A teraz Claire leży u jej nóg. Od chwili gdy padła, nie poruszyła się, nie wydała adnego dźwięku. Angeline cierpiała, nie mogąc jej pomóc. Przecie mogła wykrwawić się na śmierć.

Etienne nawet nie spojrzał w jej stronę - cofał się powoli, nie odwracając wzroku od rozgrywającej się sceny.

- Twój pomocnik ucieka - powiedział z drwiną w głosie Rolfe, kiedy kroki Francuza zadudniły na schodach, prowadzących na tylną galerię. - Teraz jesteś tylko ty, ja i Angeline. Mam propozycję: odrzucę pistolet, a ty ją puścisz. A potem, jeśli nadal będziesz chciał wypróbować swój nóż, dam ci szansę w otwartej walce ze mną.

- Obejdzie się bez łaski.

- Przecie zawsze chciałeś mnie pobić, a zwłaszcza ostatnio. Nikomu innemu z mojej gwardii tak na tym nie zależało. Jak myślisz, czemu nigdy nie chciałem walczyć z adnym z was? ebyście nie musieli przeżywać goryczy przegranej. Chodź, masz teraz szansę.

- Gorycz przegranej będzie tym razem twoim udziałem.

- Tego musisz dowieść - odrzekł Rolfe. - Czujesz przemożną ochotę wygrania, prawda? Chciałeś zdobyć pozycję Maxa, a moją sławę. Za wszelką cenę. I nasze kobiety. Teraz, jeśli mnie pokonasz, możesz to mieć.

- Odłóż pistolet.

Rolfe zaśmiał się.

- A może jeszcze obnażyć pierś i nadstawić na uderzenie, co? Puść Angeline, wtedy zrobię to, co powiedziałem.

- Przysięgasz?

- Na co? Na święte relikwie? Na ojcowski tron? Na co chcesz? Ja zawsze dotrzymuję słowa.

Wielki bunt narastał w Angeline, a się nim dusiła.

Nie wolno jej jednak rozpraszać teraz Rolfe'a, nie wolno jej teraz zrobić niczego, co mogłoby zachwiać jego pewność siebie. Czuła, jak Meyer zwalnia uścisk. Nóż cofał się, w miarę jak otwierał

ramiona. Zrobiła głęboki uspokajający wdech, na gest Rolfe'a odsunęła się od Meyera i podeszła do drzwi. Rolfe bardzo powoli podszedł do stojącego obok lampy stolika i położył na nim pistolet. Ponieważ Meyer cofnął się do hallu, Rolfe przeszedł obok Angeline, ominął leżąącą Claire i wyszedł za nią. Patrząc na niego, trudno się było zorientować, czy uderzenia w głowę pozostawiły jakiś ślad. Był całkowicie opanowany i tylko między brwiami widniała pionowa zmarszczka, która była albo wynikiem jego całkowitej koncentracji albo pulsującego w głowie bólu. Poza tym dopiero nie tak dawno zaleczył ranę odniesioną na Ziemi Niczyjej, która musiała podkopać jego siły.

Natomiast Meyer był w pełni sił. Wiedział, że pod tym względem miał przewagę nad księciem.

Uśmiechał się, zdejmując kurtkę munduru. Stanęli na środku hallu. Angeline uklękła przy Claire.

Położyła rękę na jej piersiach. Nie wyczuła najmniejszego ruchu, śladu oddechu. Oczy kuzynki były szeroko otwarte, a ich zielonkawe źrenice wyglądały jak powierzchnia spokojnej wody ściętej mrozem.

Angeline spojrzała na Rolfe'a przez łzy. Gdy spotkali się wzrokiem, potrząsnęła tylko głową i podniosła się z klęczek. Rolfe przełożył nogę z lewej do prawej ręki.

- To twoja następna ofiara, drogi bracie, piękna i bezbronna. Pewnie jesteś dumny, co?

Meyer rzucił kurtkę na poręcz schodów i kciukiem sprawdził ostrze noża.

- Mówisz o Claire? Nie musisz nad nią wylewać łez.

Wiesz, że to ona zabiła Maxa, przykładając mu pistolet do skroni.

- Z powodu odrzuconej miłości?

- Z nienawiści i z chęci zemsty, że odrzucił jej miłość. Odsunął ją od siebie, płacąc błyskotkami.

Ale głupotą z jej strony było spodziewać się czegoś więcej. Nie dostała tego, czego chciała, więc się zemściła.

Meyer rzucił się bez ostrzeżenia do przodu, próbując zadać cios. Ostrze jego noża o włos minęło pierś Rolfe'a. Ten się tylko zaśmiał. Meyer z ponurą twarzą stanął w rozkroku i szykował się do nowego ataku.

- Z treści listów, jakie od Maxa dostawałem, wynikało, że jest nią zauroczony - powiedział Rolfe; krążył po hallu w taki sposób, by nie dać się zapędzić na schody.

- Tak było, dopóki nie zaczęły krążyć plotki. Max był wybredny i dumny. Musiał mieć pewność, że jeszcze nikt nie jeździł na koniu, którego wybrał dla siebie.

Ich kroki dudniły głucho na podłodze pokrytej brudnym dywanem.

- Ta dama - odpowiedział Rolfe - nie wydała mi się na tyle głupia, by łatwo dać na siebie wsiąść.

- Nie. Ale były ciche szepty, subtelne uwagi, pewne spostrzeżenia...

- Twoje? - spytał Rolfe.

Błyskawicznie cofnął się o pół kroku, jakby niechętnie, niedbale, ale wystarczająco daleko i szybko, by uniknąć śmiertelnego ciosu.

Meyer skrzywił się. Sarkazm przebijał z jego słów, gdy znowu się odezwał.

- Tak. I stały się dość prawdopodobne trochę później, w czasie między odsunięciem Claire a śmiercią Maxa.

- To ty doprowadziłeś do ich skłócenia, a kiedy to ci się udało, uwiodłeś ją. Potem rozпалиłeś w niej nienawiść, wytłumaczyłeś, że powinna się zemścić i podpowiedziałeś, jak to zrobić.

Następnie, kiedy już znalazła się w jego łoku, nakryłeś ich, zastrześliłeś Maxa i chciałeś zabić Claire - to miała być zemsta i jednocześnie samobójstwo mordercy.

Światło w hallu było przyćmione. Na wysięgniku stała tylko jedna lampa. No e, które przeciwnicy trzymali w ręku, odbijały jej nikły płomień. Obaj byli niemal tego samego wzrostu, mieli podobny zasięg rąk, ale Meyer wydawał się bardziej ociężały. Nie miał tak wymierzonych, oszczędnych ruchów jak Rolfe. W tym pojedynku to stanowiło jego przewagę. Angeline patrzyła na nich z sercem podchodzącym do gardła i z bolesnym pulsowaniem krwi w skroniach. Nie mogła oderwać od nich wzroku, choć słyszała strzelaninę dochodzącą z dołu i dalekie krzyki:

- Ogień! Ogień!

Ponieważ Meyer nie odpowiedział, Rolfe mówił dalej:

- Nie omieszkałeś te szeptać do królewskich uszu - w intrygach zawsze byłeś dobry! - kłamstw o zazdrości i ambicjach drugiego syna. To ci jednak nie wyszło. Ale za to tak się szczęśliwie dla ciebie złożyło, że ty odkryłeś samobójstwo i ogłosiłeś to publicznie. Dla siebie, ku zadowoleniu króla, zachowałeś drugą część prawdy, licząc na to, że rychliwa królewska sprawiedliwość sama usunie mnie z twojej drogi.

Nagłym rzutem Rolfe skoczył do przodu. No e, celował dokładnie w miejsce, gdzie znajdowało się serce Meyera. Gwardzista zdążył zrobić unik, ale odrobinę za mały. W koszuli na jego piersi pojawiło się rozdarcie, a zaraz potem - krwawa plama. Jakby nie czując bólu, warknął coś i zaraz dodał spokojnie:

- Dobrześ to wszystko przemyślał. Nie łudziłem się zbytnio, że uda mi się wyprowadzić cię w pole...

- Claire nie zginęła - nie pozwolił sobie przerwać Rolfe i mówił dalej: - I trzeba ją było uciszyć.

Zrozumiała to, gdy się zorientowała, że stała się ofiarą twojego podstępu. Uciekała do matki, a ja ją goniłem razem z tobą. I nie mam już żadnych wątpliwości: ojciec wyznaczył cię na mojego kata.

- Tak. Nie mylisz się. Ale miłość, jaką darzył cię naród, nakazywała, by zrobić to bardzo ostro nie.

Trzeba było upozorować jakiś nieszczęśliwy wypadek i dopiero - gdyby to się udało - pozbawić cię dobrego imienia.

- Pozostawała jeszcze gwardia.

- Tak, to te się liczyło. Szło o to, by ka dy z jej członków był gotów, w odwecie za twoją śmierć, uderzyć bez oglądania się na racje, bez dociekania, kto zawinił czy kto do niej doprowadził.

Próby zdobycia mo liwie najlepszej pozycji, markowanie uderzenia i błyskawiczne uniki przywodziły Angeline na pamięć walkę Rolfe'a z McCulloughem.

Ale przeciwnik, przed którym teraz stał ksią ę, był o wiele bardziej niebezpieczny: miał jeden, jedyny cel - zabić następcę tronu Ruthenii.

Co się stało ze Szkotem? Czy to on i jego ludzie strzelali na zewnątrz? W tej chwili nie miało to większego znaczenia, liczyły się bowiem tylko błyski no y, chrapliwe oddechy mę czyzn, ich słowa - jadowite i ostre, jak trzymana w rękach broń.

- Intrygi, kłamstwa o skandalach i nocnych awanturach, w połączeniu ze śmiercią trojga ludzi, miały podwa yć moją reputację. Tylko po co to wszystko?

- Po co? Przecie doskonale wiesz: chciałem tego, co mieliście ty i Max. I w dalszym ciągu mam zamiar to osiągnąć.

Na twarzach walczących pojawił się pot. Złote włosy Rolfe'a pociemniały, twarz lśniła. Kiedy znowu zaczął mówić, widać było, e z trudem hamuje wściekłość.

- W jaki sposób? Jesteś nieślubnym dzieckiem, nie zostałeś formalnie uznany za królewskiego syna, a jest to jedyny, ale bezwzględny warunek do sukcesji.

- Wpływy zrównowa ą ten brak. Na początek stanę się niezbędnym doradcą, zastępcą, wyznaczonym...

- ...ale nie namaszczonym! Nigdy! Co się stanie, gdy stary król umrze? A musi to nastąpić ju niedługo, bo...

Czy by Rolfe, pochłonięty dociekaniem prawdy o ojcu i przyrodnim bracie, zapomniał o schodach? Były tu za jego plecami. Wyglądały jak studnia, z której unosiły się kłęby dymu, od spodu obrze one językami ognia, bił od nich ar jak z piekła. Strzelanina ustała i trzask ognia był

teraz zupełnie wyraźny.

- Leopold jest następny w kolejności, zaraz po tobie - odezwał się Meyer.

- Nie ma ochoty być królem. Nie chce korony.

- Nie sądzisz, e mo e być inaczej? Jego troska o ciebie była wzruszająca. Zmartwi się, e nie ty będziesz królem, ale ze mną za plecami mo e być całkiem niezłym zarządcą kraju.

Schody były blisko, bardzo blisko. Kilka gwałtownych ataków Meyera zmusiło Rolfe'a do cofnięcia się w ich stronę. Teraz ju nie mógł się wycofać.

Angeline patrzyła z przerażeniem, e Rolfe nie robi nic, by umknąć niebezpieczeństwu. Ju chciała krzyknąć, by go ostrzec, ale zdała sobie sprawę, e jeśli odwróci jego uwagę choćby na ułamek sekundy, mo e to oznaczać jego śmierć. Meyer jak gdyby wyczuł, e Rolfe słabnie, natarł jeszcze mocniej. Jego ciosy stawały się coraz mocniejsze, celniejsze, coraz trudniejsze do parowania. Zdawał się nabierać siły i wiary w siebie, mimo niewielkiej rany na piersi. Walczył

jak rozwścieczony byk.

Jeszcze raz zebrał wszystkie siły i zaatakował z furją. Rolfe usunął mu się z drogi. Zrobił dwa kroki w tył tak, e zatrzymał się zaledwie kilka centymetrów od najwyższego stopnia schodów.

Angeline nie wytrzymała i skoczyła mu na pomoc. Za późno. Rolfe zachwiał się, poślizgnął i poleciał w dół. Meyer wydał radosny okrzyk i z nożem wyciągniętym do zadania ostatecznego ciosu skoczył za nim. I raptem jego radosny krzyk zmienił się w chrapliwy jęk. Wpadł w zasadzkę.

Rolfe, kilka stopni niżej, z kocią zręcznością poderwał się na nogi. Usunął się tylko z bezpośredniej linii ataku Meyera.

Zanim ten zdążył się zatrzymać, zataczające niewielki łuk ostrze noża Rolfe'a trafiło go w brzuch. Księżę wyszarpnął nóż i Meyer poleciał w dół, zatrzymując się dopiero na poręczy. Nóż wypadł mu z bezsilnych palców. Rolfe podszedł, podniósł go i stanął nad gwardzistą z bronią w obu rękach.

Od strony tylnej galerii przez hall powiało chłodem i przed Angeline pojawił się McCullough, a obok niego Leopold. Ubrania obu mężczyzn były lekko osmalone, jakby przedzierali się przez ogień. Biały mundur gwardzisty był dodatkowo powalany błotem i sadzą.

Angeline nie potrafiłaby powiedzieć, od jak dawna tu byli, ale z ponurej miny Leopolda mogła wyczytać, e dość długo, na tyle długo, by być świadkiem walki.

McCullough splunął z rozmachem na podłogę i ruszył w stronę tylnych drzwi. Po chwili usłyszała, jak woła Gustave'a, Oswalda i swoich ludzi.

- Jedne marzenia się spełniają, inne - nie. Jedne są wspaniałe i piękne, inne - złe i niszczycielskie, cuchną zgnilizną jak padlina.

Meyer usiłował podejść schodami w górę. Jedną ręką trzymał się poręczy, a drugą przyciskał do brzucha. Spod palców płynęła krew. Twarz wykrzywił mu ból. Całą postać podświetlały tańczące w dole płomienie.

- Chciałem tego wszystkiego dla ciebie, nawet jeśli ty tego nie chciałeś - powiedział do Leopolda.

Leopold podszedł do skraju schodów i popatrzył na niego z odrazą.

- Dla ciebie na moim dworze nie byłoby miejsca. Nie byłoby miejsca dla kogoś, kto w chwili ataku na obóz Hiszpana chował się na tyłach, w bezpiecznej odległości, albo w czasie kiedy Rolfe leżał ranny, postrzelony przez ludzi McCullougha, stał beczynnym i obojętnym, nie robiąc nic. Nie wiem, czy jesteś bydlęciem, tchórzem czy jeszcze czymś gorszym. W każdym razie nigdy bym cię nie zaakceptował jako doradcy.

- Głupi - zachrypiał Meyer. - Ciągłe jeszcze możesz być królem. Wystarczy, że w tej chwili dokonasz wyboru... Musisz tylko zabić jednego, jedynego człowieka... Broń masz. Użyj jej szybko, a... później już nigdy nie będzie się o tym... mówiło...

- Jednego i jedną - uzupełnił Leopold.

- No, tak. Ich oboje. Co za różnica. A może ja... może ja ci pomogę... ja to zrobię, mój... mój przyszły królu? Ty weź jedno, ja - drugie.

Umazane własną krwią ręce wsunął za pas i wy dobył ukryty tam pistolet. Jego pozłacana kolba błysnęła przez dym napływający z dołu. Angeline z biciem serca wpatrywała się w tę broń.

Bardziej czuła, niż widziała, jak Leopold unosi broń. Z takiej odległości nie można było chybić.

Huk wystrzału rozległ się w pomieszczeniu niczym grzmot. Błysk rozdarł mrok ółtym światłem spalonego prochu. Kula zawyła, zaśpiewała, poleciała dokładnie i pewnie, z wyćwiczoną w gwardii dokładnością.

Bez błędnie znalazła swój cel. Meyer poleciał w dół. Padł jak dąb trafiony piorunem podczas wiosennej burzy. Leopold dokonał wyboru.

Rozdział 20

- Mademoiselle Fortin, posłaniec do pani.

Maria stała w drzwiach małego salonu. Mówiła uniżonym, pełnym szacunku tonem. Angeline uniosła głowę ponad biurko, przy którym pisała zawiadomienia o śmierci kuzynki. To było jej zadanie na dzisiejszy dzień, które ciotka jej zleciła. Ciotka Berthe leżała pod opieką siostry odrętwiała, od chwili gdy trzy dni temu dotarła do niej wieść o śmierci córki.

Angeline postarała się o sprowadzenie ze spalonego domu zwęglonych włosów Claire, by jej wyprawic zwyczajny pogrzeb, z mszą świętą za spokój duszy.

Zarządziła, by zatrzymano wszystkie zegary w domu do czasu pogrzebu, odwrócono lustra do ściany, a w drzwiach zawieszono czarne wstęgi. To ona przygotowała poczęstunek dla tych, którzy uczestniczyli w ceremonii. Ona również przyjmowała w salonie kondolencje, tłumaczyła niedyspozycję ciotki, odpowiadała na pytania, nie reagując na dwuznaczne spojrzenia gości.

Teraz wstała i rozprostowała fałdy specjalnie na pogrzeb przefarbowanej na czarno sukni.

- Czy zechciałabyś go wprowadzić, Mario?

Czarny posłaniec miał na sobie niebiesko-złotą liberię ambasady francuskiej. W ręku trzymał niewielki koszyk wyłożony wzorzystym kretonem. Podał go Angeline.

Na samym wierzchu leżała wizytówka z jej nazwiskiem.

Z uśmiechem poprosiła Marię, by podała posłańcowi coś odświeżającego do picia, a sama drącymi palcami wzięła do ręki karteczkę.

Uprasza się o zaszczyt swojej obecności...

Litery zatańczyły jej przed oczami.

Czy by po równy obiad Rolfe'a, księcia Ruthenii?

Chrząknęła z trudem.

- Czy księżę niedługo wyjeżdża?

- Tak, Mademoiselle. Powiedziano mi, bym przekazał pani, że będzie to spotkanie ałobne w ścisłym gronie, wydane przez księcia w związku ze śmiercią przyrodniego brata.

Z cię kim sercem odłożyła kartkę do koszyka.

- Jak widzisz - rzekła wskazując na swój czarny strój - sama noszę ałobę. Więc nie wypada, bym brała udział w tym spotkaniu.

Posłaniec chwycił list i położył go na skraju biurka.

- Powiedziano mi również, że to osobiste polecenie księcia, że nie wolno mi przyjąć odmowy od pani, Mademoiselle.

- Ale musisz.

- Nie mogę.

Posłaniec skłonił się, odwrócił i szybko wyszedł z pokoju. Usłyszała, że Maria rozmawia z nim za drzwiami: pewnie namawia go na szklaneczkę *biere Creole*.

Siadła wpatrzona w biały arkusik.

Usiłowała zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło tamtego wieczoru. Pomogły jej w tym nowe obowiązki, które przejęła w domu ciotki. Dom gry z jego drewnianymi wysuszonymi ścianami spłonął jak rulonik papieru. Ledwo zdążyli zbiec z piętra, które zawaliło się w chwilę potem.

Zanim spadł deszcz i przybyli strażacy, spłonęły trzy dalsze domy. Rolfe i gwardziści oraz ludzie

McCullougha pomogli gasić po ar. Później ksią ę odwiózł Angeline do domu wdowy i przekazał ją w ręce Marii z jednoznacznym poleceniem, jak ma się nią zająć, a sam na osobności przekazał ciotce wiadomość o śmierci Claire.

Od tamtego czasu odwiedzali ją Gustave i Oswald, przyglądali się jej uwa nie, jakby po powrocie do ambasady mieli zdawać dokładny raport z tego, co widzieli. Andre te wpadał na kilka minut, rozmawiał o bie ących sprawach, o plotkach i najnowszych wydarzeniach, o wszystkim, z wyjątkiem jednego: o okresie, jaki spędził z gwardią.

O Rolfie nie wiedziała nic.

Zdawała sobie sprawę, e jest zajęty czynnościami związanymi ze śmiercią i pogrzebem Meyera.

Poza tym, miał na głowie inne, znacznie powa niejsze sprawy.

Słyszała, e specjalna delegacja władz miasta wybrała się do niego, by podziękować za skuteczną pomoc w walce z po arem, który zagra ał, nie po raz pierwszy, Nowemu Orleanowi.

Domyślała się, e kończy się znajomość z księciem.

W jakimś sensie czuła ulgę, e będzie to miała za sobą, chocia dokuczliwy ból dniem i nocą wyciskał jej łzy z oczu.

Próbowała odciąć się od innych wspomnień, od wydarzeń, jakie prze yła w ciągu ostatnich tygodni, ale napływały falami, znaczone strachem i po ądaniem, rozkoszą i rozpaczą. Za wszelką cenę starała się nie myśleć o nocy, kiedy to Rolfe ją uwiódł, i o wszystkich tego konsekwencjach.

Raczej usiłowała skupić się na wypadkach tamtego popołudnia, gdy Meyer pozwolił jej uciec z domku myśliwskiego. Wtedy myślała, e zrobił to w odruchu szlachetności, ale teraz wiedziała, e był to jedynie sposób, by odsunąć ją od Rolfe'a, zanim powie mu to, czego Meyer bardzo nie chciał, a mianowicie, e zna miejsce, gdzie ukryła się Claire.

To Meyer odurzył Rolfe'a tej nocy, gdy w domku myśliwskim wybuchł po ar. Tylko on, jako medyk gwardii, miał w swojej dyspozycji narkotyki i dodał go do jedzenia Rolfe'a. Ktoś o słabszej konstrukcji fizycznej zapewne ju wtedy po egnąłby się z tym światem.

I chyba na to liczył Meyer. To dlatego nie spieszył się z pomocą, chocia jego pokój znajdował się najbli ej ich sypialni.

Później, podczas potyczki z ludźmi z St. Martinville, po nocnym najeździe na konwent, była pewna, e ktoś uderzył jej konia i musiał poluzować popręg, a spadła razem z siodłem. To Meyer jechał tu przy niej i tylko on mógł to zrobić. Ale przecie nie była wtedy dla niego adnym zagro eniem. Chyba e sądził, i zna krewnych z Natchitoches, do których uciekła Claire.

A mo e domyślał się ju jej sympatii dla Rolfe'a?

Mogła te być jego zemstą za to, e przyczyniła się do upokorzenia go wobec gwardzistów, albo za to, e prowadziła Rolfe'a do kryjówki Claire.

Teraz było dla niej jasne, dlaczego starał się zbliżyć do niej w czasie pobytu w fortecy McCullougha. Poniewa Rolfe okazywał jej coraz większe zainteresowanie, w nim te zrodziło się pragnienie, by ją osiąść. Miał nadzieję, e ją zdobędzie. W ten sposób chciał uzyskać kontrolę nad dzieckiem, które, jak podejrzewał, nosiła w łonie. Teraz, z perspektywy czasu, wszystko wydawało się jasne. Czemu wtedy nie mogła się tego domyślić?

Odpowiedź była bardzo prosta: trudno dostrzec wroga w kimś, kto jawi się jako przyjaciel. O ile więc trudniejsze musiało to być dla Rolfe'a, który z Meyerem spędzał dzieciństwo, dzielił z nim ojcowską pogardę i zapomnienie, z nim dorastał i walczył obok niego w tej samej elitarnej jednostce.

Z tego co słyszała, wywnioskowała, e Rolfe i jego gwardia, z Meyerem włącznie, w czasie znajomości Claire z Maximilianem, często opuszczali Ruthenię. Rolfe sam wspominał, e zaledwie kilka razy widział Claire, i to z daleka. W tym czasie włóczyli się po Europie dla przyjemności. Tak to przynajmniej rozumiała. Jeśli Meyer w tym okresie sam wrócił do Ruthenii, musiał to trzymać w tajemnicy. By wykonać swój plan usunięcia Maxa, musiał mieć pewność, e Rolfe będzie w pobliżu. To był istotny czynnik całego spisku: Meyer winą za tę śmierć musiał

obarczyć Rolfe'a.

I to mu się udało. Król uwolnił Meyera od wszelkich podejrzeń i tym samym wydał wyrok na Rolfe'a. Czy istniało jakieś polecenie na piśmie? Mo e ktoś je znalazł i zniszczył? A mo e ciągle jeszcze gdzieś się znajdowało, by w odpowiednim momencie zrobić z niego uytę? Wyciągnęła rękę, by dotknąć wizytówki z wypisanym jej nazwiskiem. Rolfe odchodził, wracał do swojej ojczyzny. Czy i kiedy tam dotrze? Czy będzie musiał stanąć przed ojcem, by się wytłumaczyć ze śmierci Meyera? Czy król zechce przyjąć prawdę, jaką przedstawi młodszy syn, nawet potwierdzoną przez Leopolda?

A co będzie potem? Dalsze włóczenie się po Europie? Ciągłe szukanie przygód? A mo e zostanie przyjęty jako następca tronu, skoro tylko pojmie za onę bawarską księżniczkę?

Nie pójdzie tam. Nie pójdzie tam, by egnąć się na oczach zebranych tam ludzi, z uśmiechem przyklejonym do twarzy i z dręcącymi kolanami. Nie chce oglądać Gustave'a, rozluźnionego i uśmiechniętego, w galowym mundurze, Leopolda, stojącego sztywno i dumnie, ani Oswalda, spokojnie obserwującego wszystko, jak zwykł to być robić jego brat bliźniak. Woli ich zapamiętać takimi, jakimi widziała ich po raz ostatni: wyczerpanych walką z szalejącym ogniem, brudnych od potu i sadzy, ale z rozradowaniem w oczach, e dali radę ywiółowi i e znowu, bezpieczni, są razem z Rolfe'em. Woliała ten sposób poegnania, jaki wybrał Rolfe w tamtą noc, noc pełną pocałunków, pieszczot i cudownych słów o miłości, które będą jej dźwięczały w uszach, dopóki sama śmierć ich nie uciszy.

Nie, nie mo e tam pójść.

A jednak poszła. Złękła się, e Rolfe mo e przysłać po nią gwardzistów, jak to ju raz zrobił.

Mo e nawet przyjechać sam. Wydobyła z kufra suknię z szarego jedwabiu, nigdy dotąd nie noszoną z powodu jej rzucającej się w oczy powagi. Dostała ją kiedyś Claire na pogrzeb któregoś z wanych wujów, tu przed jej wyjazdem do Francji. Maria układała jej włosy, a ona siedziała apatycznie wpatrzona w lustro, w odbicie szarego jedwabiu, na lamówkę wokół karku i lekko bufiaste rękawy zakończone koronką podobną do szronu na szybie. Rozmyślała o losach kuzynki. Claire kochała Maximiliana, chocia pewnie nie zdawała sobie sprawy z tego jak bardzo. Uświadomiła to sobie dopiero w chwili jego śmierci. Uczucia, jakie do niego ywiła, krępowała duma, pró ność i arogancka pewność, e gdy tylko wyjdzie za niego za mą, zajmie najbardziej eksponowaną pozycję na dworze. Ale została odsunięta i jej pró ność domagała się odwetu. Pozostawiona samej sobie, całą złość wyładowałaby zapewne na dworskiej porcelanie, gdyby Meyer nie skierował jej wściekłości w złym kierunku. Konsekwencje takiego postępowania przerosły jej zdolność pojmowania. Niebezpieczeństwa i ponienia, które nastąpiły później, doprowadziły ją do szaleństwa, chocia na koniec usiłowała pomóc Angelinę i przeszkodzić Meyerowi w osiągnięciu celu, do którego posłu ył się nią na samym początku w Ruthenii. Innym powodem, dla którego zdecydowała się przyjąć zaproszenie, był list Helene Delacroix, w którym zawiadamiała ją, e otrzymała zaproszenie do ambasady i razem z Andre z przyjemnością zabiorą ją swoim powozem.

Budynek ambasady wyglądał dość ponuro. Okna głównej sali były ciemne. Nie było widać słujących, zwykle pomagających wysiadającym z powozów. Dopiero drzwi wejściowe otworzył

im lokaj, odebrał od nich wierzchnie okrycia i poprowadził do sali.

W długim pokoju, zdobionym lustrami, rokokową sztukaterią i lśniącymi brokatowymi zasłonami, zebrało się około dwudziestu osób. Gości witał gubernator, konsul z oną i jeszcze dwóch innych dygnitarzy. Jim Bowie stał w kącie i rozmawiał z Gustave'em, a kiedy Angeline weszła do sali, uniósł lekko kieliszek w jej stronę. Na kozetce, w sukni całej w falbanach z koronek, siedziała śpiewaczka, która od jakiegoś czasu czarowała Nowy Orlean swą grą w *Cyruliku Sewilskim*, a tutaj została zaproszona, by zaśpiewać im po kolacji.

Stał za nią Leopold i zabawiał ją dowcipami, co rusz nachylając się i zaglądając za luźny dekolt, z którego niemal w całości wyłaniały się kształtne piersi. Oswald, trochę onieśmielony, pełnił

rolę towarzysza pani konsulowej. Rolfe stał w towarzystwie konsula i gubernatora.

W nowym mundurze, z kilkoma orderami na piersiach, wyglądał wspaniale. Pochwycił jej spojrzenie, uśmiechnął się i zaraz znowu całą uwagę poświęcił obu męczyznom, zwłaszcza e gubernator chwycił go za ramię i coś mu usilnie tłumaczył. Wydał się Angeline zmęczony, pomyślała, e czegoś mu brakuje: dopiero po chwili uświadomiła sobie, e nie ma na piersiach błękitnej wstęgi z krzy em maltańskim. Zacisnęła palce na swojej torebce. W tym momencie podeszli do niej Oswald i Helene. Śpiewaczka, ony gubernatora i konsula, Helene i Angeline były jedynymi kobietami na przyjęciu. Stąd, kiedy wkrótce zaproszono gości do jadalni, nie udało się usadzić gości parami. Posiłek okazał się bardzo urozmaicony i bogaty. Była zupa cebulowa, po niej *oysters en brochette*, *daube glace*, pieczony dziki indyk nadziewany ostrygami i orzeszkami oraz opiekane rolady wołowe. Na deser podano *tarte aux peches* i cały zestaw serów, pra onych orzechów i suszonych fig.

Chocia wszystko było doskonale przygotowane i pięknie serwowane, Angeline odsuwała od siebie niemal wszystko. Du o za to rozmawiała z Andre i konsulem, między którymi siedziała przy stole. Starła się nie patrzeć na Rolfe'a, kierując spojrzenia raczej na *piece de montee* z nugatów, stojące na środku stołu, uformowane w kształcie krzyża a maltańskiego, które ju nieznacznie, pewnie pod wpływem ciepła świec, zaczęło się topić, tak e poszczególne owoce wyłaniały się z cukrowego lukru.

Po zakończonym posiłku poproszono panie do salonu, gdzie śpiewaczka przygotowywała się do występu. Angeline stała z Oswaldem, gdy Andre poszedł po szal matki, pozostawiony w jadalni.

Oglądała się za krzesłem niezbyt blisko śpiewaczki i z dala od dygnitarzy, a tak e niezbyt blisko Helene, która miała denerwujący zwyczaj rozmawiania podczas takich występów. Oswald wskazał jej stojący z boku fotel i - szybko się cofnął. Angeline odwróciła się - Rolfe ju stanął u jej boku.

- Gołębiu o szarych piórach, smutny, ale bardzo drogi! Jak ci minęły ostatnie dni?

- Całkiem nieźle. A tobie? - starała się odpowiadać zupełnie swobodnie, przyglądając się jego złotym lokom, pod którymi - wiedziała - kryła się du a blizna.

- Popołudniami czeszę ostro nie włosy, kładę się do łóka w zaciemnionym pokoju i marzę o nadejściu driady. Biegałbym za nią po mieście, ale ci z gwardii, którzy mi jeszcze pozostali, siłą zatrzymali mnie w łoku. Nie ze względu na moje zdrowie, ma się rozumieć, ale...

- Chorowałeś?

Potrząsnął głową niecierpliwie.

- Gustave mo e potwierdzić, e głowę mam twardszą ni inni. Nie o to idzie.

- Nie słuchaj go, *meine Liebe* - rzekł Gustave, który właśnie do nich podszedł. - To było odnowienie wstrząsu mózgu, jakiego niegdyś doznał podczas walki z ludźmi McCullougha.

Uderzenie otrzymane w domu gry nasiliło dolegliwości.

- Dziękuję, Gustave - rzekł Rolfe cicho, ale takim tonem, e gwardzista natychmiast zrozumiał, i ma odejść; uklonił się nieznacznie i pozostawił ich samych. Wtedy Rolfe powiedział: - Muszę z tobą pomówić, Angeline.

Z tonu, jakim to powiedział, domyśliła się, e to coś wa nego. Przypomniała sobie nagle rozmowę z Gustave'em, kiedy spotkała się z nim po raz pierwszy.

Zapewniał ją wtedy, e nie straci na znajomości z księciem - przed zerwaniem zostanie sownie obdarowana.

- Ja... to znaczy... nie ma takiej potrzeby - jąkała się. - Znalazłeś to, po co tu przyjechałeś, a teraz musisz wracać... Ja to wszystko rozumiem.

Przyglądał się rumieńcom, jakie wykwitły na jej policzkach. Widział ból w oczach, choć starała się na niego nie patrzeć.

- Naprawdę rozumiesz? A mo e oczekujesz jakiegoś drobiazgu z moimi inicjałami, jak choćby to?

Z kieszeni wyjął naszyjnik. Na jego widok Angeline zeszywniała.

Poznała go - był to mały flakonik perfum na złotym łańcuszku, który Max podarował Claire, a który z kolei kuzynka dała jej owej pamiętnej nocy, gdy odprowadziła ją do konwentu.

- Skąd go masz?

- Był wśród rzeczy, które Sarus przywiózł z domku myśliwskiego M'sieur de la Chaise. Dla mnie bez wartości, przywodzący na pamięć wydarzenia bardziej ni smutne. Ale mo e dla ciebie ma jakieś znaczenie?

- Tak - szepnęła i wyciągnęła dłoń, by mógł na niej poło yć wisiorek, jeszcze ciepły od zetknięcia z jego ciałem.

Otworzyła torebkę i wło yła go do środka. Potem sięgnęła głębiej i wydobyła błękitną szarfę.

- I ja coś przyniosłam, by ci oddać. To cudowny drobiazg, ale nie mogę go przyjąć.

Na dłoni, którą wyciągnęła w jego stronę, le ało najwy sze odznaczenie Ruthenii, które tamtej nocy, po przyjęciu w ambasadzie, pozostawił na poduszce przy jej głowie.

Ponuro spojrział jej w twarz.

- Dlaczego?

- To zbyt wartościowe.

- Nic nie jest zbyt wartościowe - powiedział zdecydowanie.

- Przyjmuję komplement - powiedziała cicho – ale musisz wziąć to, co nale y wyłącznie do ciebie z racji siły, odwagi i czynów...

- Ty jesteś moją odwagą, moją siłą... Angeline, posłuchaj mnie...

Przy wejściu do sali powstało jakieś poruszenie.

Kamerdyner pospiesznie wszedł do środka i podszedł do konsula. W chwilę później konsul zwrócił się do Rolfe'a.

- Wasza Wysokość, w tej chwili specjalnym statkiem przybyła delegacja z Ruthenii, by się z panem widzieć.

W drzwiach stało trzech mężczyzn. Wszyscy ubrani byli na czarno i wszyscy mieli poważne miny. Podeszli do Rolfe'a i ukłonili się głęboko. Angeline przez mgnienie pomyślała, że przyszli go aresztować, by doprowadzić go przed oblicze ojca króla jako winnego śmierci Maxa. Ale gdy tylko spojrzała na księcia, gdy zobaczyła jego twarz, ostre spojrzenie, białą linię wokół zaciśniętych warg, wyprostowane po wojskowemu plecy - zrozumiała.

Najstarszy z przybyłych odezwał się:

- Z głębokim ale przynoszę złobną wieść, księżniczko.

Jest moim smutnym obowiązkiem poinformować cię, że twój ojciec, nasz król - zmarł. Jesteśmy na pańskie rozkazy, Wasza Królewska Mość.

Wasza Królewska Mość, a nie Wasza Wysokość. A więc od tej chwili Rolfe jest królem!

Wszyscy trzej jeszcze raz ukłonili się nisko, a potem uklękli na jedno kolano.

Podniosły się okrzyki, wołania i głośne westchnienia, a potem wszyscy: gwardziści, konsul z oną i pozostali goście stanęli kołem i pochyłili głowy.

Angeline, pochylona w ukłonie, poczuła, jak ktoś dotyka jej ramienia. Podniosła głowę i napotkała spojrzenie nowego króla Ruthenii, w którym, zamiast radości, zauważyła przejmujący ból.

- Wasza Królewska Mość - odezwał się konsul - myślę, że zechce pan udać się z delegatami do oddzielnego pomieszczenia na rozmowę...

- Tak - potwierdził z roztargnieniem Rolfe.

I gdy konsul położył mu rękę na ramieniu, wskazując, że powinien iść pierwszy, odwrócił się i powtórzył:

- Tak.

Andre podszedł do Angeline, która ciągle jeszcze trzymała w ręku krzyż maltański, wziął odznak i włożył do jej torebki. Podprowadził ją do krzesła i posadził na nim, w chwili gdy na znak ony konsula śpiewaczka pełnym, dźwięcznym głosem rozpoczęła arię.

Audytorium było niespokojne, co rusz ktoś spoglądał w stronę drzwi, za którymi zniknął Rolfe z delegatami.

Nawet największa śpiewaczka świata nie byłaby w stanie w takiej chwili skupić na sobie uwagi słuchaczy. Po zaledwie trzech ariach gospodyni przyjęcia poprosiła gości na kawę i koniak.

Artystka, z obraoną miną, opuściła salę. Goście rozpoczęli ożywioną dyskusję na temat rozgrywającego się na ich oczach historycznego wydarzenia w dziejach Ruthenii. Angeline miała wra

enie, e zgrupowani tu oczekiwali, by jedna z centralnych postaci rozgrywającego się dramatu, czyli właśnie ona, równie opuściła tę salę. Ale kiedy powiedziała o tym Andre, ten wziął ją pod rękę, odprowadził do bocznej niszy i posadził na kozetce.

- W adnym przypadku nie wolno ci uciekać - powiedział, siadając przed nią na krześle. - To byłoby zmarnowanie całego dotychczasowego dorobku...

Uśmiechnęła się niepewnie i przerwała mu.

- Jestem ci wdzięczna za twoją troskliwość, ale te sprawy mało mnie ju obchodzą.

- To są wa ne rzeczy. Rolfe wróci do swego kraju, niczym ju teraz nieskrępowany, a ty będziesz musiała pozostać tutaj. Zapewne krą yć będą plotki, ale nikt nie będzie śmiał odwrócić się do ciebie plecami na ulicy czy odrzucić twoje zaproszenie.

- W tej chwili mo e tak, ale co będzie za kilka miesięcy?

- Mo e jakieś inne wydarzenia odwrócą uwagę od ciebie?

- To niemo liwe... nie da się ukryć... e będę miała dziecko...

- Je eli tak... - jego oliwkowa twarz nabrała ciemniejszej barwy. Siadł na kozetce obok niej, wziął jej dłonie w swoje ręce i zaczął mówić jakimś nowym, zdecydowanym tonem, najpierw wolno, potem coraz szybciej. - Zanim twoja cią a stanie się widoczna, nikt nie będzie miał nic do powiedzenia, bo od kilku miesięcy będziesz ju moją oną. Pojedziemy na wieś, na plantację.

Jest tam doskonała akuszerka. Ostatnie tygodnie spędzimy, zgodnie ze zwyczajem, na odludziu, a jeśli to będzie konieczne, mo emy przecie opóźnić wiadomość o urodzeniu dziecka i jego chrzcie...

- O, Andre, nie myślałam...

- Wiem - przerwał jej. - Wiele razy odrzucałaś moją propozycję. Tym razem na to nie pozwolę.

Wyjdiesz za mnie za mą najszybciej, jak tylko da się to zrobić.

Wszystko mogło być takie proste. Andre byłby dobrym mę em. Nigdy, tego była pewna, nie wypominałby jej przeszłości. Po jakimś czasie na pewno przywiązałaby się do niego, ju choćby za jego dobroć i troskliwość.

- Na taką ofiarę nie mogę ci pozwolić – powiedziała cicho.

- To nie będzie ofiara. To będzie zaszczyt dla mnie.

Jego brązowe oczy były łagodne, tak ró ne od niebieskich oczu Rolfe'a. Jego uczucia i postępowanie bardzo proste. U jego boku nie byłoby szalonych prze yć, ale byłaby wygoda; nie byłoby wielkich pasji, ale spokojna radość.

- Chciałabym... będę się starała, ebyś był szczęśliwy.

- Ju to zrobiłaś! - zawołał i uniósł końce jej palców do ust. Pomógł jej wstać z kozetki i poprowadził do salonu.

- Słuchajcie, przyjaciele, i ty mamó! - zawołał od drzwi. - Jestem najszczęśliwszym człowiekiem w Nowym Orleanie. Angeline zgodziła się zostać moją oną!

Helene Delacroix odwróciła się w ich stronę. Na jej twarzy widać było toczącą się walkę między niemiłym zaskoczeniem a smutnym zadowoleniem z widocznej radości syna. Ale nie reakcja przyszłej teściowej uderzyła Angeline. Patrzyła na Rolfe'a, który właśnie wszedł do salonu.

Rolfe stanął jak wryty, gdy usłyszał to, co powiedział Andre. Po chwili jednak opanował się i z elegancją pogratulował wybrańcowi.

- Odpływamy w ciągu tygodnia, ja i moja gwardia - powiedział. - Ale zanim odjadę, chciałbym zobaczyć, jak mój towarzysz w nieszczęściu staje na ślubnym kobiercu.

Słowa te skierował do Andre, ściskając jego dłonie, ale gdy na mgnienie spotkała jego wzrok, wiedziała dokładnie, e przeznaczone były dla niej.

* * *

Dlaczego? Dlaczego to robił? Czy by miała to być jakaś wyrafinowana kara? A mo e chciał ją widzieć bezpiecznie urządzoną, zanim stąd wyjedzie? Czemu tak koniecznie chce brać udział w jej ślubie.

Pytania te nurtowały ją, gdy przygotowywała się do ceremonii w kościele Świętego Ludwika.

Zaraz po obiedzie wykąpała się, umyła włosy i teraz siedziała w ciepłe wiosenne słońca, by je wysuszyć.

Chciała się wyciszyć, wyłączyć z rozmyślań. Ale z upływem czasu, wraz ze zbliżaniem się godziny ceremonii, rozbiegane myśli budziły w niej coraz większy niepokój.

Spojrzała na leżącą na łóżku suknię w kolorze kości słoniowej, podarunek od matki Andre, którego nie mogła nie przyjąć. Doskonale skrojona, z poszerzonymi rękawami do łokcia, z podniesionym stanem i mocno rozkloszowana u dołu, była niezwykle wykwintna.

Jeszcze nigdy nie miała czegoś równie pięknego. Nie zamierzała robić przykrości Andre i bez oporu zgodziła się ją założyć.

Sama wolałaby cichą ceremonię gdzieś na wsi, w małym kościółku, jedynie w obecności Helene, księdza oraz - bo bardzo na to nalegał - Rolfe'a jako świadka.

Ale było to niewykonalne.

Były całe tuziny krewnych Delacroix: dziadków i babek, ciotek i wujów z dwóch pokoleń, niezliczona liczba kuzynek i kuzynów o najprzeró niejszym stopniu pokrewieństwa i wszystkich trzeba było zaprosić. Andre uparł się, by ceremonia odbyła się w kościele przy głównym placu miasta. Nie mówił tego, ale Angeline wiedziała, e w ten sposób chce pokazać, i w tym ślubie nie ma nic, co chciałby ukryć.

Ławki przeznaczone dla jej rodziny będą przeraźliwie puste. Miała bardzo niewielu krewnych, a tu, w Nowym Orleanie, poza ciotką Berthe i jej siostrą - nikogo.

Owdowiała siostra ciotki zapewne chętnie wzięłaby udział w ceremonii, ale nie miała odwagi nawet wspomnieć o tym. Sama ciotka Berthe, która w końcu wstała z łó ka, szykowała się do powrotu do St. Martinville. Powiedziała bez ogródek, e ani myśli tracić czas, asystując przy ślubie Angeline, której w dalszym ciągu nienawidzi. Obarczała ją winą za śmierć córki i gdyby nie bała się potępienia ze strony otoczenia, najchętniej wyrzuciłaby Angeline na ulicę.

Tak więc Angeline drogę z domu do kościoła w powozie Delacroix musi odbyć sama. Przez cały kościół przejdzie oparta na ramieniu Andre. Ksiądz udzieli im ślubu. Zło ą podpisy w księgach kościelnych. Swój bukiet ślubny poło y na rodzinnym grobowcu Delacroix. Powrócą do miejskiej rezydencji na przyjęcie weselne i przez pięć dni, jak wymaga tego obyczaj, pozostaną tam w odosobnieniu. Dopiero wtedy będą mogli pojechać na plantację do St. Marthwille i rozpocząć ycie tak, jakby drogi księcia Ruthenii nigdy nie skrzy owały się z ich drogami.

Podniosła się z westchnieniem, zrzuciła prześcieradło, którym się po kąpieli owinęła, i zało yła bieliznę. Przez głowę wciągnęła suknię, pozwalając, by zimny atlas swobodnie okrył jej ciało.

Siadła ponownie, na smukłe łydki nało yła białe pończochy i umocowała je ozdobnymi podwiązkami powy ej kolan. Stopy wsunęła w buciki i obciągnęła suknię na biodrach. Nadal była bardzo szczupła i taka pozostanie pewnie przez najbliż sze tygodnie. Nie widać jeszcze adnych wypukłości, które by mogły wywołać plotki na jej temat. Mimo to czuła się tak, jakby jej stan wycisnął ju swe piętno na jej twarzy.

Jakby odpędzając złe myśli, machnęła rękami i podeszła do stolika, na którym stał *corbeille de noce*, ślubny koszyczek, jaki zwyczajowo przysłył mą przysyła przyszłej onie. Zrobiony z białej plecionej słomki, obszyty batystem i obwiązany kokardkami i koronkami, sam w sobie stanowił wykwinny prezent. Nie taki jak dość prosta, złota, wysadzana rubinami bransoleta, którą jej podarował, kiedy się poznali.

Koszyczek dzisiejszego rana dostarczył nieznan y posłaniec; trochę późno, ale tak po prawdzie, to w ogóle się go nie spodziewała. Dopiero kiedy zajrzała do środka, przestała się dziwić, e dotarł dopiero teraz.

Znajdowały się w nim wspaniałe rękawiczki z białej gienzy, szal z puchowej przędzy, lamowany i wyszywany jedwabiem, wachlarz ze złotą konstrukcją i scenką rodzajową Watteau, widoczną, gdy był rozło ony, komplet bi uterii z diamentów i topazów w tak misternej oprawie ze szczerego złota, e w blasku słońca wyglądała jak utkana z promieni słonecznych. Wreszcie był

welon z ręcznie robionych koronek walenckich, lekkich i zwiewnych jak pajęczyna, sprowadzanych z Europy za niewyobrażalne pieniądze. Andre musiał chyba odwiedzić wszystkie sklepy w Nowym Orleanie, by skompletować taki koszyczek.

Welon, udrapowany na włosach, będzie spływał z ramion i opadał poniżej pasa - piękniejszego uzupełnienia do sukni nie można było wymyślić.

Pozostałe rzeczy zapakowała do kufra. Teraz czekała na Marię, która miała ją uczesać i zasznurować suknię, gdy tylko wyrwie się od Madame de Buys.

Wreszcie była gotowa.

Podjechał powóz. Angeline zeszła schodami na podwórze. W rękach miała bukiet ze spirei i fiołków. Maria niosła za nią jej kufer. Gdy tylko wyszła z bramy prowadzącej na ulicę, natychmiast pojawił się służący w liberii i pomógł jej wsiąść do powozu. Zamknął za nią drzwiczki, a kufer umieścił z tyłu. Powóz ruszył.

Angeline pokiwała stojącej na chodniku Marii, potem siadła ostro nie, by nie pognieść stroju.

Przed kościołem chciała wsiąść jak elegancka panna młoda.

Na pierwszym skrzyżowaniu za domem wdowy usłyszała stukot końskich kopyt. Przez okno zobaczyła postać w białym mundurze, potem jeszcze drugą i trzecią.

Siadła wyprostowana, ale ani Gustave, ani Leopold, ani Oswald nie patrzyli na nią, lecz prosto przed siebie, wyprężeni na koniach jak eskorta honorowa samego króla.

Wtem ukazał się czwarty jeździec. Drzwi po prawej stronie powozu otworzyły się gwałtownie.

Król Ruthenii zręcznie wykonał skok z kulbaki do jadącego powozu.

Pochylił się w drzwiach, roześmiał radośnie, zatrzasnął za sobą drzwiczki i siadł obok niej.

Zgarnęła szeroko rozłożoną suknię i spojrzała na niego piorunującym wzrokiem.

- Co ty tu robisz?!

- Towarzyszę panie młodej w drodze do kościoła. To taki rutheński zwyczaj.

Przez mgnienie oka pomyślała, e... ale nie, nie! To dobrze, e w powozie jest ciemno, e nie widać rumieńca, oblewającego jej twarz a po czubki włosów. I drżenia rąk.

Wzburzona zawołała:

- Jesteś chyba pijany?!

- Tak! Ale twoją pięknnością! Nigdy w życiu nie byłem równie trzeźwy jak w tej chwili. I myślę, e tak

ju zostanie na zawsze.

- Jeśli traktujesz... to wszystko, tak... to wszystko, jako urządzenie mnie... na przyszłość, to powiem ci otwarcie... to wygląda dokładnie... jak przekazanie swojej utrzymanki następcy...
- Osa, i to z językiem gorzkim jak aloes! Jeśli zamierzasz być taką oną, to współczuję twemu mężowi.
- Mo esz sobie darować. Nie będzie na mnie narzekał.
- To ju brzmi lepiej.
- Nie mam pojęcia, czemu akurat ty miałbyś się tym przejmować.

Nagle spowa niał.

- Czuję się niejako odpowiedzialny za wszystko. To tak, jakbym posadził kwiaty o tak cudownym zapachu, a sąsiad się nim zadusił.
- Jeśli chcesz przez to powiedzieć, że zamierzam zdominować Andre, to jest to śmieszne – powiedziała ju opanowana, a nawet niebezpiecznie spokojna.
- Jestem pewny, że będzie się buntował przeciw temu, ale pozostaje pytanie, czy da radę. Mo e nie wyrwie się spod matczynej spódnicy w obawie, że nie sprosta małżeńskiemu obowiązkowi?
- To obraźliwe! - zawołała tracąc opanowanie. - Pewnie siebie uważasz za najlepszego?!

Odwrócił głowę tak, że patrzył jej prosto w twarz.

Światło lamp powozu ciemnym złotem zagrało mu we włosach.

- Tak, słodka Angeline, tak! Jestem twoim nauczycielem, twoim towarzyszem, drgającą cięciwą u twego łuku, hartowaną szablą do twojej delikatnej pochwy, zakochaną, bliźniaczą duszą, połową ciebie samej i łabędziem, który bez ciebie umrze.

Ból, przenikliwy i obojętniający, ścisnął jej serce i zaczął przenikać do najtajniejszych zakamarków duszy.

Nie mogła mówić. Wstrzymała oddech. Dopiero gdy powóz zaczął zwalniać przed bramą kościoła, zdołała wyszeptać:

- Nie rób tego.
- Zrobiłem to ju - odpowiedział równie cicho.

Opanował się. Zwinnie jak wilk - jego herbowy znak - wyskoczył z powozu i pomógł jej wysiąść.

Nigdzie nie widziała Andre. Przed kościołem nie było tego powozu, jakie spodziewała się tu zastać.

Powinni nimi przyjechać krewni. Mieli poprowadzić ją środkiem nawy do ołtarza. Drzwi kościoła były otwarte.

Światło płonących świec wylewało się na schody. Nawa główna, z pustymi ławkami po obu stronach, wiodła do samego ołtarza, przy którym, w białych szatach, czekał ksiądz. W powietrzu unosiła się woń kadzidła i wosku, kurzu i potu zastygłego w drewnie. Błyszczały pozłacane figury świętych, w marmurowych płaszczyznach odbijało się blade światło, wydobywające z ciemności ostre kontury rzeźb. Ich kroki i kroki maszerujących za nimi gwardzistów tłumił

rozło ony chodnik, ale w panującej w kościele ciszy i tak wydawały się głośne.

Przez chwilę Angeline dała się ponieść marzeniem.

Człowiek idący obok niej był żywy i prawdziwy. Przez rękaw munduru palcami wyczuwała węży jego mięśni.

Całe jej ciało zdawało się opowiadać na ich wezwanie...

Wtem z cienia wyłonił się Andre i stanął między nimi a ołtarzem. Rolfe zatrzymał się przed nim na odległość wyciągniętej ręki. Zmierzyli się wzrokiem.

Napięcie sięgnęło zenitu. Angeline poczuła, jak ramię pod jej palcami sztywnieje, spostrzegła te, e dłonie Andre zamykają się w pięści.

Zrobiła krok do przodu, puściła ramię Rolfe'a i położyła rękę na dłoni Andre.

Zrobiła to z ogromnym wysiłkiem, największym, na jaki mogła się zdobyć. Ale nie była w stanie stłumić wyrazu rozpacz, jaki pojawił się w jej szarzielonych oczach. Andre go zauważył i zrozumiał. Twarz wykrzywił mu grymas bólu. Ale zaraz potem uśmiechnął się, chociaż oczy pozostały przeraźliwie smutne. Ujął jej dłoń, podniósł do ust, a następnie ułożył w dłoni Rolfe'a.

- Tak jak prosiłeś, obserwowałem jej twarz, gdy szła nawą - powiedział Andre. - Miałaś rację.

Oddaję ci ją.

Cofnął się o krok, odwrócił i odszedł środkiem kościoła.

Angeline osłupiała. Odwróciła głowę i patrzyła za nim jeszcze wtedy, kiedy ktoś delikatnie pchnął ją w stronę ołtarza i czekającego księdza.

Zło enie przysięg małżeńskich było krótkie. Jedyne wypowiedzenie wszystkich imion jej i jego, wraz z nazwiskiem, które teraz usłyszała po raz pierwszy, zajęło trochę więcej czasu. Potem ju tylko podpisali się w księgach kościelnych i ceremonia się skończyła.

Przed kościołem gwardziści wycelowali ją radośnie i głośno i dopiero potem pozwolili wsiąść do powozu. W środku odwróciła się do Rolfe'a, chciała spytać... Ale od kościoła do portu było zaledwie kilka kroków i zanim znalazła odpowiednie słowa, powóz zatrzymał się na nabrzeżu.

Ze stopni powozu wziął ją na ręce i po drewnianym trapie wniósł na pokład statku. Rozległ się ostry gwizd. Załoga oddała im honory. Rolfe skinął im głową, nie zatrzymując się. Zszedł pod pokład i dalej korytarzem w stronę drzwi, przy których stali dwaj marynarze w mundurach. Jeden z nich otworzył je, a Angeline obdarzyła go szerokim uśmiechem.

Kabina była obszerna, oświetlona lampami oliwnymi, zawieszonymi na specjalnych wysięgnikach. Ściany wyłożono drewnem. Podłogę pokrywał turecki dywan. Po jednej stronie stał mahoniowy stół z krzesłami, a po drugiej - ogromne, królewskie łóżko z baldachimem drapowanym z granatowego aksamitu, z haftowanymi insygniami królestwa Ruthenii.

Rolfe zbliżył się do łóżka i położył ją delikatnie. Gdy siedział obok niej, materace zaskrzypiały pod jego ciężarem. Pochylił się nad nią, oparty na rękach.

- Przepraszam, jeśli nie wszystko wyszło tak, jak byś chciała. Musiałem to zrobić. Nie mogłem nie być z tobą. Nie mogłem się pogodzić z tym, byś została oną inną, z rozpaczą nosząc w łonie moje dziecko, może później odsuwane na dalszy plan, gdy urodziłabyś dzieci Andre.

Musiałem cię mieć przy sobie. Inaczej zwariowałbym z tęsknoty.

Nie była zdziwiona; czuła tylko ogromne szczęście.

- Skąd wiedziałeś?

- Wyczytałem to z twoich oczu tamtego wieczoru na balu w ambasadzie. Później, gdy byłem u ciebie, wyczułem dłońmi, jak dojrzałe są twoje piersi i...

- Tak - przerwała mu szybko i zamknęła oczy, ale zaraz je otworzyła i badawczo popatrzyła mu w twarz. - Jeśli to prawda i skoro uznałeś, że możesz się ze mną o nic, to dlaczego...

- Dlaczego nie ogłosiłem naszych zaręczyn, dlaczego przy dźwiękach trąb nie wziąłem cię pod swoją opiekę, tak? Stałabyś się łatwym i pewnym celem ataków, gdyby na jaw wyszedł twój sekret, takim celem stałoby się te początki w twoim życiu. Z pewnością porwano by cię jako zakładniczkę, a ja za twoje uwolnienie musiałbym się stawić tam, gdzie są prawdziwi porwacze.

Nie zdołałem zapobiec atakom na siebie, jak mógłbym zapewnić bezpieczeństwo tobie?

Sądziłem, że będzie lepiej trzymać cię ode mnie z daleka, nawet gdyby to miało pokrzyżować moje plany.

- Meyer odgadł to wszystko i spróbował użyć mnie jako zakładniczki...

- Nie mówmy o tym! - przerwał jej gwałtownie i dopiero po chwili zaczął już spokojnie: - Lepiej pomyśl o Ruthenii pokrytej diamentami lodu i topazami śniegu albo o szalach lamowanych jedwabiem, o złotych wachlarzach w kolorach tęczy i złotem prześwieconych welonach z walenckich koronek.

Odsunął delikatnie pajęczą przędzę z jej włosów, odszukał upinające ją spinki.

- To *corbeille de noce* - powiedziała cicho. - To ty mi go przysłałeś. A ja myślałam, e to Andre...

- Czemu miałaś tak nie myśleć? On był wybrańcem, a niewiele brakowało, by tamtego wieczoru, kiedy odwa ył się ogłosić, e zgadzasz się go poślubić, nie stać się ofiarą nowo obwołanego króla.

- Zamiast tego pogratulowałaś mu.

- Wypowiedzenie tych słów kosztowało mnie więcej ni jakakolwiek inna wypowiedź w moim yciu. Mo esz mi powiedzieć, dlaczego właśnie wtedy musieliście to zrobić? Nie mogłaś poczekać na moje oświadczyzny? Przecie po śmierci Meyera były tak oczywiste jak to, e po niebie za Kasjopeją podą a Orion.

- Nie wiedziałam, czy one kiedykolwiek nastąpią.

Powiedziano mi przecie , e wszyscy oczekują twojego mał eństwa z przedstawicielką któregoś z europejskich dworów królewskich, e ojciec wybrał ci na onę jakąś bawarską księ niczkę, na co ty się zgadzasz, chcąc zaskarbić sobie jego przychylność.

- Angeline, słodka moja, przez całe swoje dorosłe ycie marzyłem o tym, by jak ka dy mę czyzna, kierować swoimi uczuciami. Jeśli idzie o mał eństwo z księ niczką - Max zapewne musiałby zastosować się do tego wymogu, ale ja? Przecie ju jestem królem.

- A twoje dzieci?

- Będę je kochał, bo będą zrodzone z miłości i dobroci.

- Wykarmione kobylim mlekiem i migdałami - powiedziała bezwiednie, przypomniawszy sobie kiedyś usłyszane zdanie.

- Tak. I całą miłość, jaka mi jeszcze pozostanie do rozdania, skupię na ich matce.

Z uśmiechem popatrzył jej w oczy. Potem mówił dalej:

- Jeśli martwi cię, e nasze dzieci będą ni ej nosiły głowy z powodu koloru krwi w ich yłach, czyli błękitnej i jasnoczerwonej wymieszanej w nich tak, e powstanie purpura królewska, to pomyśl o Europie po spustoszeniach dokonanych w tym względzie przez Korsykanina Napoleona, który siebie i swoją plebejską rodzinę w ciągu jednej nocy wyniósł do królewskich godności i osadził na tronach połowy Europy.

- To prawda - przyznała w zamyśleniu.

- Ale powiedz mi, czemu ty się tym martwisz?

Przecie jednym z twoich przodków był król z rodziny Burbonów.

- To Claire opowiadała takie rzeczy, nie ja.

- Papiery, którymi chwaliła się w Ruthenii, świadczyły o takim właśnie pochodzeniu jej ojca. Ty jesteś córką jego siostry, prawda? Więc pochodzisz z tego samego królewskiego pnia.

- Teraz rozumiem - powiedziała po chwili namysłu; palcami poszukała złotych guzików jego munduru i przyciągnęła go ku sobie. - O enieś się ze mną, bo mam dobre pochodzenie?

- Na Boga, nie dlatego! - zawołał wesoło.

Pochwycił ją w ramiona, uniósł i trzymał tak blisko siebie, e w głębi jego oczu mogła dostrzec czerwone odbicie płomyków lamp, wiszących za łó kiem.

- O enieś się z tobą, bo chcę, byśmy byli nierozzerwalnie złączeni, by uświęcić związek zadzierzgnięty między nami w doskonałej harmonii, pod otwartym niebem, by dać ci obfitość bogactw, których nie mo na znaleźć w skarbcach, lecz w umyśle, ciele i sercu, by szukać w twych ramionach pulsującego ycia, które oczyszcza i leczy, choć mo e niszczyć...

- Kocham cię, Rolfie z Ruthenii, mój królu - przerwała potok jego słów, więc dokończył ju krótko:

- Tak, to dlatego się z tobą o enieś.

Rozpięła mu kurtkę, wsunęła pod nią dłonie, przyciągnęła do siebie jego głowę. Jego ramiona zamknęły się na jej ciele z ogromną siłą. Garnęła się do niego z dr ącym oddaniem, z pragnieniem i wyzwajającą radością. Jego ciało było gorące, cię kie, podniecające - czekała na nie.

Statek rzucił cumy, popłynął z prądem rzeki w stronę zatoki i dalej, na otwarte morze.

Zły i nędzny był świat, pełen chciwości, podstępny, śmierć zbierała swoje gorzkie niwo w centrum miast i na pustkowiu. Ale w te marcowe dni były te błyski zachwytu, chwile słodczy, cudownie oderwane od przeraźliwej codzienności...

Tak myślała Angeline obejmując dłońmi twarz Rolfe'a.

Cofnął się odrobinę, błękitnymi oczami napotkał jej szarozielone spojrzenie. Znowu wpił się w jej usta i pieścił ją całą z zapamiętaniem.

Przestała myśleć.